

NANCY KRESS



O
G
I
E
N
K
R
Z
Y
Ż
O
W
Y



NANCY KRESS



OGIEN
KRZYŻOWY



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

PODZIĘKOWANIA

Książka ta wiele zawdzięcza mojemu śp. mężowi, Charlesowi Sheffieldowi, który wspaniałomyślnie pożyczył mi napęd McAndrew (pierwotnie stworzony przez jego bohatera, Arthura Mortona McAndrew) pod tym warunkiem, że gdy przestanie mi już być potrzebny, zwrócę go w dobrym stanie. Dziękuję, Charlesie. Dziękuję, Arthurze.

Pragnę również podziękować swemu redaktorowi, Jimowi Minzowi, za liczne cenne sugestie.

W czasie wojny prawda staje się tak cenna, że powinna być chroniona przez strażników kłamstw.

Winston Churchill
przeł. A. Misztal-Kania, E. Żelazna

Odmienia niebo, nie siebie, kiedy kto płynie za morze.

Horacy, Listy I XI (*Quid tibi visa Chios*)
przeł. S. Gołębiowski

PROLOG

Mój Boże, pomyślał Jake Holman. Udało mi się...

Podniósł wzrok na twarze wpatrzonych w niego ludzi, którzy zajmowali miejsca w naturalnym amfiteatrze kalifornijskiego wzgórza. Było ich tam sześć tysięcy: białych, czarnych, brązowych i złocistych, dużych i małych, nagich i wyzywająco umalowanych, przeciętnych, brzydkich i urodziwych za sprawą modyfikacji genetycznej, zaabsorbowanych i nieufnych, przyozdobionych nakryciami głowy i ich pozbawionych. Sześć tysięcy osób gotowych na lot do gwiazd. Sześć tysięcy wariatów, co do jednego.

– Nikt nie wieszczył nam powodzenia – powiedział Jake do mikrofonu. – Nikt się nie spodziewał, że mała prywatna korporacja zdoła zorganizować wyprawę na Zielnik. Nikt nie wierzył, że zbierzemy pieniądze, zbudujemy i wyposażymy statek. Nikt nie sądził, że nam się uda.

Ponieważ nikt nigdy nie myślał, że bogacze zechcą opuścić Ziemię na zawsze, by udać się Bóg wie gdzie. Zdaniem krytyków przeszkodę stanowiła niebotyczna opłata. Do tej pory nowe światy były podbijane przez rządy, a następnie kolonizowane przez wyrzutków społeczeństwa: przymierających głodem irlandzkich wieśniaków, prześladowanych purytanów i żydów, deportowanych przestępców. Jednym słowem, przez ludzi, którzy nie mieli nic do stracenia. Oczywiście połowa tych historycznych emigrantów ginęła jeszcze na pokładzie statku, natomiast połowa tych, co przeżyli, umierała w pierwszym roku od chorób i wskutek nieprzychylności tubylców. Udający się na Zielnik mieli nad nimi przewagę – statek był bezpieczny, a na samej planecie nie występowały żadne istoty rozumne, czy to wrogo, czy przyjaźnie nastawione. Mimo wszystko nieznanne pozostawało zawsze zagrożeniem. Dlaczego więc, pytali krytycy, ktoś, kogo stać na wykupienie rejsu na pokładzie statku kosmicznego, decyduje się przenieść do nieistniejącej kolonii na niepodbitej i niezbadanej planecie oddalonej o sześćdziesiąt dziewięć lat świetlnych?

Okazało się, że powodów, dla których bogacze chcą emigrować, jest równie dużo jak samych emigrantów. Krytykom chodziło o racjonalne argumenty; koloniści kierowali się głosem serca.

– Stanowimy różnorodną i cudowną grupę – kontynuował Jake.

Słyszając te słowa, Gail, jego siedząca w pierwszym rzędzie współpracowniczka, zmarszczyła brwi. „Nie popadaj w kwiecistość”, powiedziała samym ruchem warg. Jake ją zignorował.

– I zdecydowaliśmy się na ten krok z różnych i cudownych powodów.

Część Nowych Kwaków także zaczęła marszczyć brwi. Kwakrzy bowiem, jak przekonał się Jake, nie wierzyli w cuda. Cóż, tym gorzej dla nich. Wszyscy – nie licząc Williama Shipleya – mieli przespać następne sześć lat. W trybie czuwania pozostanie tylko rada zarządzająca, a raczej ci jej członkowie, którzy będą w stanie to znieść. Tak więc Jake nie musiał się nimi martwić.

– Coś nas jednak łączy: nasz nowy dom. Zielnik. Korporacja Mira gratuluje wam wyboru tego domu i życzy, byście mieli z niego wiele radości. A statkowi, który nas tam poniesie, mówimy: szerokiej drogi!

Jake odsunął się od mikrofonu. Zerwały się brawa – z początku ostrożne, z każdą chwilą jednak przybierały na sile, gdy tłumacze kończyli przekładać jego słowa na arabski, chiński i hiszpański. Gail uśmiechnęła się, niewątpliwie zadowolona, że Jake się streszczał. Tymczasem mikrofon przejął koordynator, który zaczął kierować pierwszą grupę na pokład *Ariela*.

Jake przyglądał się, jak członkowie poszczególnych grup – równie odrębnych tutaj jak w przyszłości na Zielniku – wstają z uschniętej trawy i ściskają się serdecznie przed zapadnięciem w długi, zimny sen. Kwaków było prawie dwa tysiące. A poza tym... Zdetronizowana arabska rodzina panująca w otoczeniu ogromnej świty, w której okryte zasłonami kobiety siedziały w stosownym oddaleniu od mężczyzn. Potulni Chińczycy, którzy bez szemrania słuchali swoich przywódców. Idący w równy tysiąc wątpliwi Czejeni Larry’ego Smitha, chyba najbardziej szaleni z całego kontyngentu. Liczna rodzina Gail przekonana, że biosfera Ziemi przetrwa jeszcze tylko jedno stulecie. A do tego naukowcy, poszukiwacze przygód, zwycięzcy loterii kosmicznej i przypadkowi milionerzy ekscentrycy.

Oraz Jake Holman, nieschwytany przestępca.

Mój Boże, udało mi się...

– Gotowy? – zapytała go współpracowniczka.

Jej brązowe oczy lśniły, co było niezwykle u sprawnej, pragmatycznej Gail. Jake przyjrzał się jej ogorzałej twarzy noszącej ślady wieku średniego (nieupiększonej

modyfikacją genetyczną), a potem obrzucił wzrokiem całą jej sylwetkę, dostrzegając triumfalną postawę: stopy szeroko rozstawione, klatka piersiowa pochylona do przodu, broda uniesiona. Zupełnie jak bokser przed walką.

Uśmiechnął się do niej.

– Bardziej niż gotowy, Gail. I to od dawna.

I

Gail Cutler zakochała się w *Arielu*. Co ją dziwiło, gdyż po śmierci Lahiri nie spodziewała się poczuć miłości do nikogo i do niczego.

Idąc do mesy oficerskiej wąskim przejściem wiodącym obok ciasnych kajut sypialnych, wyciągnęła jedną rękę, aby pogłodzić szary metal grodzi. Był to szybki nieśmiały ruch; nie chciała, aby ktokolwiek się domyślił, co czuje do tego statku. Po pierwsze niemądrze było okazywać czułość wielkiemu kawałowi metalu. Po drugie *Ariel* miał zostać rozmontowany i przerobiony zaraz po wylądowaniu na Zielniku. A któż byłby zdolny darzyć uczuciem, powiedzmy, stację oczyszczania ścieków?

– Wydajesz się w radosnym nastroju, Gail – zauważył Fajsal bin Saud, ledwie przekroczyła próg mesy. Pozostali, z wyjątkiem kapitana Scherera i jego oficerów, siedzieli już przy stole. – Dostałaś dobre wieści z Ziemi?

– Nie ma żadnych wieści – ucięła Gail.

Choć od początku podróży minęły dwa lata, nie była pewna, czy lubi Sauda. Był nazbyt wymuskany, nazbyt sztuczny. Zdawał się uosabiać za dużo sprzeczności – muzułmanin, który modli się kilka razy dziennie z twarzą zwróconą w stronę Słońca, Marsjanin, który lubuje się w ziemiańskich foliałach z epoki elżbietańskiej... Jego kobiety wiodły samotny żywot, odseparowane w czterech ścianach andarunu, podczas gdy on traktował Gail jak równą sobie specjalistkę od spraw finansowych i politycznych. Do tego był niesłychanie taktowny i uczynny, co raczej dziwiło w wypadku księcia.

– Ależ muszą być jakieś wiadomości – wtrąciła zadziornie Ingrid Johnson. – Nikt nie marnuje połączenia kwantowego na darmo.

Gail popatrzyła spokojnie na genetyczkę. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co do niej czuje: gardziła nią. Postawiła sobie jednak za punkt honoru, aby nie okazywać pogardy. „W zamkniętym ciasnym wnętrzu statku kosmicznego” – napisała razem z Jakiem w wytycznych dla rady zarządzającej – „równie ważna jak produktywne zajęcia będzie uprzejmość i tolerancja”.

– Tak, oczywiście, masz rację. – Gail zwróciła się do Ingrid. – Były wiadomości. Zjednoczona Federacja Atlantycka przegłosowała surowsze kary za nielegalne modyfikacje genetyczne. Wojna w Afryce Zachodniej przybrała gorszy obrót. Doszło do eskalacji rewolucji w Chinach. Na skraju Pacyfiku wystąpiło kolejne trzęsienie ziemi. W Kolumbii

kawa nie obrodziła. Instytut Modyfikacji Genetycznych przedstawił nowy lek na czerniaka. To i całą resztę można przeczytać w biuletynie, który wyjdzie zaraz po lunchu.

– Ja z pewnością się z nim zapoznam – powiedział Fajsal z tym swoim nieskazitelnym, seksownym angielskim akcentem. Gail była oczywiście na niego uodporniona w przeciwieństwie do Ingrid.

Wiadomości z Ziemi nadchodziły dwa razy w miesiącu za pośrednictwem łącza kwantowego. Do tej pory *Ariel*, poruszając się ze stałym przyśpieszeniem 1,25 g, zdążył osiągnąć prędkość podświetlną. Z Gail naukowiec był żaden, wiedziała jednak, że łącze kwantowe dzięki splątaniu cząstek zapewnia natychmiastową komunikację, choć wiąże się też ze sporymi kosztami. Ale tylko ono gwarantowało kontakt z domem, co tydzień oddalającym się nie tylko w przestrzeni, lecz także w czasie za sprawą prędkości relatywistycznych, których statek nabierał. Wsiadłszy na powierzchni Zielnika, koloniści będą mieli za sobą sześć lat i siedem miesięcy spędzonych na pokładzie *Ariela*. W tym czasie na Ziemi minie prawie siedemdziesiąt lat. Ojczysta planeta zmieni się nie do poznania, większość krewnych odejdzie w zapomnienie. Właśnie dlatego koloniści zabrali ze sobą bliskich, tworząc spore grupy. Cała rodzina Gail – w sumie dwieście trzy osoby – leżała uśpiona pod pokładem.

– Właściwie – odezwała się opryskliwie Ingrid – źle się stało, że opłaciliście przekaz wiadomości tylko co dwa tygodnie. Powinniśmy je dostawać co tydzień. Niemożliwe, żeby to kosztowało dużo więcej. Przecież i tak płacimy za dodatkowe połączenie kwantowe. Co jest na lunch? Chyba nie znowu ryba?

– Wydaje mi się, że dzisiaj będzie w innym sosie – rzekł William Shipley. – Czyż nie pachnie smakowicie?

Pogodnie usposobiony Shipley denerwował Gail niemal tak samo jak opryskliwa Ingrid. *Tylko spokojnie*, powiedziała sobie w duchu Gail. *Trzymaj nerwy na wodzy. To było do przewidzenia.*

Dwa lata za nimi, cztery z kawałkiem wciąż przed nimi. Już teraz wszyscy, którzy zapłacili za pozostanie w trybie czuwania, mieli dość jedzenia, dostępnych rozrywek, siłowni i siebie nawzajem. Troje z dwudziestki postanowiło spędzić resztę podróży w stanie uśpionia. Gail i Jake zakładali się, jak długo jeszcze wytrzyma reszta. Hibernatory czekały na wszystkich ochotników. Tak naprawdę niezbędni do zakończenia podróży międzygwiazdnej byli tylko członkowie załogi kapitana Scherera i on sam. A kapitan,

zwyczajem wojskowych, zwalczał wśród swoich podwładnych nudę, depresję i wrogość za pomocą ciężkiej pracy.

– Gdzie Jake? – zapytał Shipley, częstując się rybą z ryżem, które zaledwie przed dziesięcioma minutami były zamrożone na kość. – Na śniadaniu też go nie widziałem.

– Je na drugiej zmianie – odparła Gail. Mesa mogła pomieścić tylko dziesięć osób naraz, i to wtedy, gdy opuszczono przytwierdzony do ściany stół. Dlatego posiłki podawano w dwu turach. Gail i Jake dotrzymywali towarzystwa turom naprzemiennie, po czym wymieniali się wrażeniami. Kluczowym zadaniem było obserwowanie stanu psychicznego wszystkich pasażerów, których zakwalifikowano do podróży wyłącznie na podstawie stanu konta. – Co porabialiście do południa?

Todd Johnson, łagodny mąż pantoflarz Ingrid, odpowiedział miłym tonem:

– Ponownie przeanalizowaliśmy genom bakterii z próbek gleby pobranych na Zielniku.

– Chociaż wcześniej zrobiliśmy to ze dwadzieścia razy – rzuciła kwaśno Ingrid.

– Już niedługo będziemy mieli nowe dane do analizy, kochanie – obiecał Todd.

– Czyżby szykowała się nowa transmisja kwantowa z sondy planetarnej? – zainteresował się Shipley. – Będę mógł rzucić okiem na liczby?

– Oczywiście – zapewnił Todd, podczas gdy Ingrid zacisnęła wargi w wąską kreskę, jakby zamierzała bronić tych danych własną pierśią.

Shipley, reprezentant Nowych Kwaków („Nie ma wśród nas przywódców”), interesował się wszystkim. Wprawdzie Gail nie potrafiłaby zdefiniować Nowego Kwaka, jednakże uważała, że Shipley nie mieści się w tej kategorii. Nowi Kwakrzy mieli wrócić do korzeni, odrzucając wszystko co przyziemne, a co zakradło się do ich religii od jej skromnych początków w XVII wieku. Podobnie jak jego tysiąc dziewięciuset dwóch śpiących braci w wierze, Shipley ubierał się w prosty kombinezon bez żadnych ozdób i implantów. Wystarczyło na niego spojrzeć, aby się przekonać, że nie nosi śladów modyfikacji genetycznej: resztki włosów miał siwe, siedemdziesięciodwuletnią skórę pomarszczoną, a do tego pięćdziesiąt funtów nadwagi. Lubił jeść – jak pogodzić to z surowymi zasadami? Nie pasowało do nich także jego żywe zainteresowanie wydarzeniami na Ziemi, muzyką klasyczną, genetyką, napędem statku, dosłownie wszystkim. W dodatku z zawodu był lekarzem medycyny, co świadczyło raczej o przyziemności niż o duchowości.

Z drugiej strony Shipley nie przeklinał, nie oglądał holo, nie używał rzeczywistości wirtualnej, nie pił bąbelków ani tego, co na pokładzie *Ariela* uchodziło za wino. Co

niedziela zapraszał czuwających pasażerów i załogantów na „spotkanie”. Gail nie miała pewności, czy ktoś skorzystał z jego zaproszenia, wiedziała tylko, że sama nigdy nie wzięła udziału w żadnym ze spotkań.

W mesie pojawił się kapitan Scherer, któremu jak cień towarzyszyła porucznik Gretchen Wortz.

– Dzień dobry, panie kapitanie – odezwał się nienagannym angielskim Fajsal.

– Dzień dobry wszystkim. O, ryba. Świetnie. – Scherer poczęstował się sownicie.

Załoga statku, podobnie jak reszta, miała pozostać na Zielniku. Jej członkowie służyli w niewielkiej flocie przestrzennej Szwajcarii i wszyscy razem zgłosili się do Korporacji Mira. Wydajni, zrównoważeni, przejęci największym statkiem i najdłuższą podróżą, z jakimi mieli w życiu do czynienia, pozostali w oczach Gail i Jake’a zagadką. Wojskowi byli częścią wojska, a na Zielniku ta siódemka ludzi miała służyć za całą armię. Przynajmniej na początku. Jake zaproponował im, aby sformowali policję Mira City, głównego miasta-państwa na Zielniku (planeta miała zostać podzielona na skomplikowany układ lenn).

Rudolf Scherer przystał na to z ochotą. Odpowiedział Jake’owi z wielką pewnością siebie, że on i jego załoga doskonale się sprawdzą w roli stróżów prawa. Była to przypuszczalnie prawda; Jake przeświecił ich do tego stopnia, że na jaw wyszłoby oblane dyktando w podstawówce. Cała siódemka Szwajcarów okazała się równie czysta jak niegdysiejszy śnieg. A przy tym wszyscy byli uprzejmi, sprawni i urodziwi dzięki modyfikacjom genetycznym.

Czemu więc wywoływali w Gail lekki niepokój?

– Gdzie jest porucznik Halberg? – zwróciła się Gail do Scherera. Na tej zmianie w mesie powinna znaleźć się trójka załogantów. Pozostałych czworo było przypisanych do drugiej tury.

– On szukać błędu maszyny.

Scherer nie miał kłopotów z rozumieniem mówionego angielskiego i zdaniem Gail potrafił też wyrażać się poprawnie, a nie tylko bezkolicznikami i równoważnikami zdań, aczkolwiek nie miała na to żadnego dowodu.

– Błędu wywołanego promieniowaniem? – zapytał Todd. Ciągłe bombardowanie cząstkami w przestrzeni kosmicznej powodowało usterki w oprogramowaniu skomputeryzowanego sprzętu.

– Chyba tak. – Scherer rzucił się na jedzenie z apetytem.

Wszyscy marynarze trzymali się rygorystycznego programu ćwiczeń, a także stosowali się do narzuconej rutyny pracy, wypoczynku, snu i posiłków. Gail podejrzewała nawet, że kapitan opracował dla podwładnych rutynę łazienkową. Bardzo możliwe, że właśnie dzięki tej regularności działań marynarze mieli lepszy nastrój niż większość cywili.

„Depresja, napięcie, niepokój i wrogość mogą wynikać z długotrwałego odosobnienia” – napisał Jake. – „Istotne jest, aby wszyscy koloniści pozostawieni w trybie czuwania uświadomili sobie, jak trywialne sprawy na pokładzie statku kosmicznego urastają do wielkich problemów”.

– Gdyby sprzęt miał lepsze tarcze ochronne – rzuciła kąśliwie Ingrid – nie padałby tak często.

– Tarcze standardowe – odparł Scherer pomiędzy kęsami.

Ingrid poczerwieniała na twarzy.

– Jak to: standardowe, kapitanie? Jak w ogóle możemy mówić o standardach w sytuacji, gdy jesteśmy piątym statkiem międzygwiazdowym, przy czym pozostałe cztery... wszystkie wojskowe!... odbyły znacznie krótsze podróże do znacznie bliżej położonych planet?

– Ingrid... – odezwał się delikatnie jej mąż.

– Tarcze standardowe, doktor Johnson – powtórzył Scherer beznamiętnie, po czym dopił kawę jednym haustem.

– Proszę mnie nie zbywać! – obruszyła się Ingrid.

– Kochanie, pan kapitan wcale cię nie zbywa – usiłował załagodzić sprawę Todd.

Gail często się zastanawiała, czemu taki cichy nijaki mężczyzna ożenił się z wiedźmą pokroju Ingrid. Za każdym razem kończyło się to westchnieniem: czemu ludzie w ogóle się pobierają? Zresztą Ingrid była piękna, miała delikatną urodę modyfikowanej genetycznie blondynki i szafirowe oczy. Gail podejrzewała, że arogancja Ingrid wynika w dużej mierze właśnie z wyglądu – w wypadku uczonej był on kulą u nogi, nikt w środowisku nie brał Ingrid poważnie. Rodzice bywają głupi. Nie wspominając o zaślepionych pożądaniem mężczyznach.

– Nie mów mi, co kapitan robi, a czego nie! – naskoczyła Ingrid na męża. – Przecież sama widzę!

Sprawy zaszły za daleko. Gail postanowiła użyć swojego autorytetu.

– Ingrid, pozwolisz do mojego gabinetu na słówko?

Nie była to prośba, o czym Ingrid doskonale wiedziała. Poczzerwieniała na twarzy jeszcze bardziej, aż na jej różanej cerze wystąpiły brzydkie plamy. Jednakże wstała i ruszyła śladem Gail.

Gabinet Gail, pełniący zarazem funkcję biura Korporacji Mira, był niewielkim pomieszczeniem, w którym archiwizowano dokumentację na nośnikach innych niż elektroniczne, na wypadek awarii komputerów na Zielniku. Znajdowały się tam akta i kontrakty pasażerów, a także spisane instrukcje wszystkiego, poczynając od nawigacji oceanicznej według gwiazd, a kończąc na ścinaniu drzewa. Gail i Jake korzystali z gabinetu, aby prowadzić prywatne rozmowy w środowisku, gdzie prywatność była rzadkim dobrem. Teraz Gail wskazała Ingrid krzesło współnika. Gdy już obie zasiadły, w pomieszczeniu zrobiło się ciasno do granic.

– Ingrid, chyba nie muszę ci mówić, jaki stres na nas ciąży na tym etapie podróży, ani tłumaczyć dlaczego.

– To jeszcze nie powód, żeby ten świętoszkowaty...

– Chyba nie muszę ci mówić, jaki stres na nas ciąży na tym etapie podróży, ani tłumaczyć dlaczego – powtórzyła Gail.

Ingrid zrozumiała aluzję. Gail powtarzałaby to samo zdanie, dopóki ona jakoś by nie zareagowała. Była to technika, którą stosował Jake i której nauczyła się boleśnie na własnej skórze.

– No tak – przyznała niechętnie.

– Wiem, że robisz, co możesz, aby kontrolować emocje przez wzgląd na nas wszystkich.

– *Boże, jakie kłamstwa muszą opowiadać przywódcy... Czemu tej rozmowy nie prowadzi Jake?* – Obawiam się jednak, że będę musiała cię poprosić, abyś postarała się bardziej.

– Ale Scherer...

– Obawiam się, że będę musiała cię poprosić, abyś postarała się bardziej.

– Gail, błagam, nie mów do mnie jak do dziecka!

– Nie jesteś dzieckiem. Jednakże mam zobowiązania wobec tej wyprawy i nie mogę pozwolić, żebyś ty jej zagroziła. Nie pozwolę, żebyś ty jej zagroziła – powtórzyła dobitniej.

To wystarczyło. Ingrid podpisała kontrakt z Korporacją Mira, była więc świadoma, że Gail ma prawo narzucić jej hibernację, jeśli uzna, że to przysłuży się wyprawie. Treść umowy sporządził Jake, były prawnik. Rudolf Scherer dopilnowałby dotrzymania jej litery.

William Shipley uśpiłby ją tak szybko, że w niczym by się nie zorientowała, dopóki nie otworzyłaby oczu na Zielniku.

Gail obserwowała, jak Ingrid walczy ze sobą, jak tłumi własną wściekłość i absolutnie rozumiała w tych warunkach, wywołaną przez zamkniętą przestrzeń paranoję. Wszyscy na nią cierpieli. Ingrid jej uległa, aczkolwiek tylko w małym stopniu. Genetyczka była niezrównowazona z natury, lecz nie straciła kontaktu z rzeczywistością. Taką przynajmniej nadzieję miała Gail. Przy okazji tej rozmowy nie sięgnęła nawet po broń.

– Dobrze, Gail – mruknęła Ingrid. – Przepraszam. Postaram się nad sobą panować.

– Nigdy w to nie wątpiałam – rzekła Gail z udawaną szczerością, po czym zamarła w oczekiwaniu.

Raz, dwa, trzy... Tak, wychodząc, Ingrid trzasnęła za sobą drzwiami.

Ten żałosny akt sprzeciwu przytłoczył ją bardziej niż cała reszta zajścia. Jacy w chwili lądowania na Zielniku będą wszyscy pasażerowie pozostawieni w trybie czuwania, jej nie wyłączając? Ludzie, którzy dotąd nie poddali się hibernacji, byli inteligentni i spełnieni. Znaleźli się wśród nich członkowie rady zarządzającej: Fajsal bin Saud, William Shipley, Liu Fengmo oraz marynarze Scherera, których zdyscyplinowanie przekraczało wszystko, co kiedykolwiek widziała Gail. Naukowcy – między innymi Ingrid i Todd; cicha myszowata paleontolożka Lucy Lasky; Maggie Striker, ekolożka; Robert Takai, inżynier energetyki – zazwyczaj pozostawali skupieni na swojej pracy i zaradni. Wszyscy wydawali się kompetentni i zrównoważeni.

Zarazem każdy, kto pisał się na rolę kolonisty poza Układem Słonecznym, z natury rzeczy był wybrykiem. Żywił przemożne marzenia albo obawy, albo – tak jak Gail – przekonania. *Oczywiście, pomyślała sucho, moje przekonania są bliższe rzeczywistości niż przekonania kogokolwiek innego na tym pokładzie.* I pomijając jej egocentryzm, były takie. Gail wiozła swoich licznych inteligentnych i zamożnych krewnych na nieznaną planetę, ponieważ Ziemia miała przed sobą co najwyżej kilka pokoleń.

Rodzina Gail zawsze przewidywała globalne zmiany ekonomiczne, społeczne i – ostatnio – ekologiczne, a także czerpała z nich korzyści. „Cwani Cutlerowie”, tak nazywała ich prasa. Byli cwani, byli klanowi, byli wyrachowani. Pod względem intelektualnym przewodził im wuj Harry, natomiast pod względem prawnym na ich czele stała Gail. Wszyscy mieli jasny ogłąd sytuacji i spodziewali się rychłej ruiny ziemskiej biosfery. Dlatego zawczasu pomyśleli o przenosinach.

Raczkująca korporacja Jake'a nadarzyła się w samą porę. Cutlerowie nie chcieli się przenieść ani na Marsa, ani na Lunę, ani na Europę. Wszędzie tam panowało wrogie środowisko. Z kolei cztery planety zajęte przez różne ziemskie rządy nie weszły jeszcze w fazę kolonizacji. Piąta, właśnie odkryta i mająca przyjazną człowiekowi atmosferę, świeciła pustkami. Tak przynajmniej wynikało z danych przesłanych przez lądownik. Sonda została wysłana w podróż kosmiczną wiele dekad temu, gdy Zjednoczona Federacja Atlantycka wciąż dysponowała środkami na takie rzeczy. Leciła przez ponad stulecie, jednakże szczegółowe informacje wróciły w mgnieniu oka dzięki łączu kwantowemu. Skład gleby, skład atmosfery, analiza genomu skromnych form życia. Te ostatnie były oczywiście oparte na DNA. Tak samo jak w wypadku czterech pozostałych planet. Naukowcy utrzymywali, że... Nie, Gail nie zamierzała się wdawać w te argumenty w rzadkiej dla niej chwili spokoju.

Potarła oczy i pochyliła się do przodu, opierając łokcie o konsolę Jake'a. Boże, kolejny dzień przepełniony hałasem, nudą i niewolą. Bo tym właśnie był dla nich wszystkich pobyt na pokładzie statku kosmicznego – niewolą. Pomimo starań, aby zapewnić kolonistom rozrywkę, pracę i ćwiczenia. Na *Arielu* nic nigdy się nie działo. Każdy dzień był taki sam. Gail chlubiła się tym, że jest samowystarczalna i elastyczna, ale te warunki przerosły nawet ją. Zabrakło jej wyobraźni, aby sobie przedstawić, jak wypaczone, nerwowe i jednostajne będą tutejsze interakcje międzyludzkie. Oczywiście wszystko miało się zmienić, gdy już dotrą na Zielnik, ale...

– Gail? – Jake zajrzał do gabinetu.

– Kto w ogóle wymyślił tę głupią nazwę Zielnik?

– Ty. Zależało ci na czymś neutralnym, co będzie dobrze brzmiało w każdym języku i wyglądało lepiej od nazwy katalogowej nadanej przez Zjednoczoną Federację Atlantycką, „64A, status oczekiwania”. Gail, mamy problem.

Podniosła na niego spojrzenie.

– Problem? Jakiego rodzaju? Chodzi ci o błąd maszyny, nad którym pracuje porucznik Wortz?

– Nie. Problem ludzki. Z Lucy Lasky.

– Co z nią? – Młoda paleontolożka sprawiała najmniej kłopotów ze wszystkich. Większość czasu spędzała w ciasnej kajucie sypialnej, gdzie się doszkaliała zgodnie z założeniem Gail. W porównaniu z resztą uczonych była nieopierzona. Korporacja Mira nie

zamierzała sięgać po najjaśniejsze talenty. Mało kto się spodziewał, aby powodzenie wyprawy zależało od paleontologa. – Zdaje się, że jest w twojej turze...

– Nie pojawiła się na lunchu – odparł Jake.

– Gdzie jest w takim razie?

– Zamknęła się w ładowni. Wyjęła laserowy przecinak do skał i grozi, że potnie poszycie statku na plasterki.

– To moja wina – powiedział Jake, gdy śpieszyli korytarzem do wjazdu ładowni.

– Oczywiście, że tak – warknęła Gail. – Twoją winą jest też to, że góry się przewracają i supernowe wybuchają. Jake, nie mamy teraz czasu na egzystencjalne rozterki.

To tylko pokazuje, pomyślał Jake, jak ona słabo rozumie, co kieruje ludźmi... Jemu nie chodziło o jakieś abstrakcyjne poczucie winy. Zwariowana, groźna Lucy Lasky zamknęła się w ładowni dlatego, że on nie poświęcił jej wystarczająco dużo czasu i nie zgłosił jej postępującego wycofywania się. Doskonale wiedział, czemu zawiódł. *Oczywiście Gail, zaprzysięgła lesbijka, tego również nie zrozumie.*

Zatrzymali się przy włączach, gdzie Gail rzuciła do panelu sterującego:

– Aktywować!

– Skan siatkówki – rozległo się z głośnika.

Gail pochyliła się, by jej oko znalazło się na wysokości skanera. Jake odwrócił głowę. Nawet teraz, po takim czasie, wzdrygał się na każde wspomnienie o skanie siatkówki.

– Abigail Sandra Cutler, Korporacja Mira, wiceprezes – padło z głośnika. – Kod dostępu: alfa.

– Otworzyć włącz! – poleciała Gail.

– Myślisz, że tego nie próbowałem? – zirytował się Jake.

– Otwieranie w toku – zaskrzeczał głośnik. Po czym dodał: – Awaria systemu. Mechanizm otwierający po drugiej stronie uległ zniszczeniu.

– W jaki sposób?

– Przecinak laserowy.

– Pokazać nagranie z kamer!

Ekranik obok głośnika wyświetlił nagranie, które Jake zdążył już zobaczyć. Odziana w skafander z hełmem Lucy wkroczyła w próżnię ładowni tym samym wjazdem. Poruszała się nieśpiesznie, z namysłem. Wbiła ręcznie prawidłowy kod (skąd go miała?), żeby otworzyć skrzynię z ciężkim przecinakiem laserowym zaprojektowanym tak, aby poradził sobie z najtwardszą skałą magmową. Ostrożnie zwolniła mechanizm utrzymujący w bezruchu jego kołowe podpórki. Widząc to, Jake ponownie poczuł niedowierzanie. Chodziło o Lucy Lasky z jej szczupłą, niemal chłopięcą sylwetką, kosmykami cienkich jasnobrązowych włosów i dużymi oczami pod uniesionymi nieco zbyt wysoko brwiami, przez co wydawała

się wiecznie zdziwiona. Ta Lucy, milcząca, miła i praktycznie niewidzialna, właśnie wytaczała przecinak laserowy przy ciężeniu 1,25 g i ustawiała go tak, aby był wycelowany dokładnie w zewnętrzną gródź. Smukłymi palcami wbiła kod aktywujący urządzenie.

– Jezusie – powiedziała Gail.

Lucy poklepała urządzenie krótkim zaborczym gestem. Następnie rozpakowała mniejszy przecinak, jeden z tych, które w swoim czasie miały zostać użyte do rozmontowania podsekcji statku, i metodycznie zniszczyła elektroniczny zamek wjazdu. Od tej pory można go było otworzyć wyłącznie ręcznie.

– Dlaczego, u diabła, nie rozdzwoniły się alarmy? – zapytała gniewnie Gail.

– Rozdzwoniły się – odparł Jake. – Dlatego tu przyszedłem. Nic nie słyszałaś?

– Nie!

– Cóż, ja słyszałem. Musiała część dezaktywować, ale nie wiedziała, jak poradzić sobie z wszystkimi. W każdym razie unieszkodliwiła alarm Scherera.

Gail obróciła się, żeby spojrzeć Jake'owi prosto w oczy.

– Nie zawiadomiłeś kapitana?

– Jeszcze nie. Gail, zastanów się... Jeśli uda nam się ją stamtąd wywabić, wprawimy ją w stan hibernacji, zanim ktokolwiek się zorientuje, co się stało. Wszyscy są dostatecznie podenerwowani bez...

– Pokładasz zbyt wielką wiarę w moc słowa, Jake! Jezusie, prawnicy... Czemu w ogóle chcesz negocjować z wariatką? Może zniszczyć poszycie! – Gail uniosła rękę, aby skorzystać z komunikatora na nadgarstku.

– Nie, zaczekaj... – zaczął Jake.

– Właśnie, Gail, zaczekaj – odezwał się za ich plecami czyjś głos. – Proszę.

Jake okręcił się na pięcie w wąskim korytarzu. W ciasnym przejściu stał pulchny William Shipley, wypełniając sobą przestrzeń między szarymi grodziami. Minę miał napiętą.

– Nie powinno tu pana być, doktorze Shipley – powiedziała szybko Gail. – Niech pan wraca do mesy.

– Pozwólcie mi z nią porozmawiać. Proszę. Nie proponowałbym tego, gdybym nie był pewien, że na coś się przydam.

– Taaa, akurat – bąknęła Gail. – W tej sytuacji przyda nam się raczej kapitan Scherer. Mostek! – rzuciła do komunikatora. – Kapitanie, mamy problem przy wjazdzie do ładowni.

Kod czerwony. Lucy Lasky zamknęła się w środku i...

Jake przestał jej słuchać. Jego wzrok przykuło coś w spojrzeniu Shipleya. Facet był fanatykiem religijnym, ale Jake więcej niż raz widział, jak reprezentant Nowych Kwaków pograża się w cichej ożywionej rozmowie z Lucy. Nikt inny właściwie z nią nie rozmawiał. Gail zdążyła się już precyzyjnie przesuwać obok Shipleya, nie przestając mówić do komunikatora, po czym przyspieszyła kroku, oddalając się korytarzem. Zapewne chciała spotkać Scherera w pół drogi.

– Jake, proszę... – powtórzył Shipley.

Jake zwrócił się do wciąż aktywnego panelu przy włączniku.

– Otworzyć komunikację!

– Skan siatkówki.

Zmusił się, aby się pochylić do przodu, zwalczając nagłą falę mdłości. *Boże, nawet po takim czasie...*

– Jacob Sean Holman, prezes Korporacji Mira.

– Otworzyć komunikację, do diabła!

Shipley zrobił krok do przodu, łokciem odsuwając na bok Jake'a.

– Lucy? Tu doktor Shipley... – Jego głos utracił natrętne nutki, był teraz cichy i ciepły.

Obraz Lucy na ekraniku zamarł. Zaraz jednak kobieta podeszła do dużego przecinaka i powiedziała:

– Niech pan stąd idzie, doktorze. Proszę. Nie chcę, żeby pana też skrzywdzili.

– Kto, Lucy? Kto może mnie skrzywdzić?

– Oni – rzuciła rozpaczliwie. – Tamci. Wie pan kto.

– Nie, Lucy, nie wiem. Możesz mi powiedzieć?

– Oni! – powtórzyła.

Jake, choć zdenerwowany, był pełen podziwu, że jej głos pozostał spokojny. Lucy Lasky nigdy nie podnosiła głosu. Niewykluczone, że na tym polegał jej problem.

– Lucy... – zaczął Shipley.

– Niech mi pan da się skoncentrować, doktorze. Niedługo muszę to włączyć. Wiedzą, jak się nazywam.

Jake poczuł chłód w piersi. Nagle z jego komunikatora odezwała się Gail. Szybko nakrył go drugą ręką, bojąc się, że Lucy usłyszy, co Gail ma do powiedzenia. Mimo to głos Gail, stłumiony, ale wyraźnie napięty, rozległ się spomiędzy jego palców.

– Jake, Rudolf zdecydował się na EVA. Przejdzie po burcie i dostanie się od zewnątrz. Oboje z Gretchen już wkładają skafandry.

Coś było nie tak z czasem. Jake słyszał słowa Gail, słyszał, jak Shipley rozmawia cicho z Lucy, ale też był w stanie sobie wyobrazić, jak Rudolf Scherer i Gretchen Wortz pełzną po zewnętrznym poszyciu statku pędzącego niemal z prędkością światła. A następnie uzbrojeni wkraczają do ładowni przez zewnętrzny właz. To wszystko jeszcze się nie stało, ale dla Jake’a było równie realne jak przysadzista sylwetka Shipleya w korytarzu. Rudolf unosi broń i mierzy, po czym drobna postać Lucy pada na ziemię obok przecinaka. Tymczasem Shipley mówił:

– Lucy, wiesz, co znaczy twoje imię?

Coś w jego głosie przykuło jej uwagę.

– Moje imię?

– Twierdzisz, że wrogi statek zmierzający w naszą stronę poznał twoje imię, zgadza się? I dlatego musisz otworzyć do niego ogień, aby nas wszystkich uratować. Ale czy wiesz, co znaczy twoje imię? To bardzo ważne.

Znajdująca się przy aktywowanym przecinaku Lucy zwróciła drobną wąską twarz w kierunku włazu.

– Moje imię? – powtórzyła.

– Twoje imię. Luxina... Znaczący tyle co „światlista”. I taka jesteś, Lucy. Niesiesz nam światło. Jednakże gdy włączysz ten laser, naruszysz konstrukcję statku i zostaniesz wyszana w przestrzeń, co pozbawi nas twojej świetlistej obecności.

– Nie ma we mnie światła, które ktoś mógłby chcieć!

– Bardzo się mylisz, moja droga. Każda dusza niesie w sobie światło. A ty szczególnie, ponieważ znasz wartość milczenia. My, Nowi Kwakrzy, wierzymy, że mądrość bierze początek w milczeniu. Nie możesz nas pozbawić swojego światła, Lucy.

– Nie ma we mnie światła – powtórzyła Lucy głucho. – A pan niczego nie rozumie. Tam na zewnątrz są Obcy. Zniszczą nas, jeśli nie zaczną strzelać!

Jake wciągnął powietrze. To się nie sprawdzało. Shipley był głupcem, jeśli myślał, że coś pomoże. Zaśniedziała stara religia...

– Jeśli zaczniesz strzelać, pozbawisz nas też światła Obcych – kontynuował Shipley.

Lucy nie odpowiedziała. Odwróciła się do przecinaka, w którym teraz Jake widział działo. Bezradnie postąpił krok do przodu. W przeszłości stanął raz oko w oko ze

straszliwą przemocą i zdołał nawet na niej skorzystać. Ale teraz...

– Obcy też mają swoje światło – podjął Shipley, jakby wymaginowani Obcy istnieli naprawdę. – Śmierć nie jest złem, moja droga, w przeciwieństwie do odbierania życia, które odbiera światło innym. Kto może wiedzieć, czego się dowiemy od tych istot?

– Ale one chcą nas zabić! – krzyknęła Lucy. Wyglądała na bardzo pobudzoną.

Jake zastanowił się, czy to dobrze czy źle. *Czy Shipley wie, co robi? I czemu ja, sprawny negocjator, pozwoliłem mu przejąć pałeczkę? Chyba tylko dlatego, że sam nie miałem pojęcia, co uczynić.*

Tymczasem Shipley mówił dalej:

– Sądzisz, że nas bronisz, że postępujesz właściwie. – Jego głos pozostał ciepły. – Ale zastanów się, Lucy. Gdy postępujemy właściwie, przepełnia nas uczucie wewnętrznego spokoju, nawet jeśli na zewnątrz powodujemy chaos. Czy ogarnęło cię, moja droga, uczucie spokoju i rezygnacji? Czy czujesz się wiedziona przez światło?

– Ja...

– Bo jeśli nie, postępujesz niewłaściwie. Jeśli czujesz wewnętrzny konflikt, jeśli targa tobą gniew, twój postępek jest niemoralny. Wejrzyj w siebie, Lucy. Co czujesz?

– Doktorze – przemówiła z napięciem Lucy – ja nigdy nie czuję wewnętrznego spokoju ani rezygnacji.

Ja też nie, pomyślał Jake i przeniósł spojrzenie na obraz Lucy na ekraniku. Nigdy nawet nie przypuszczał, że mają ze sobą tyle wspólnego. A może właśnie przypuszczał i między innymi dlatego jej unikał?

– Wewnętrzny spokój i moralne postępowanie to zbyt duża odpowiedzialność jak na jedną osobę – odezwał się znowu Shipley. – Z tego powodu my, Nowi Kwakrzy, szukamy wskazówek Światła na spotkaniach, w czasie których staramy się osiągnąć konsensus. Światło każdej istoty może się przysłużyć ogólnemu dobru, Lucy, dlatego najlepszym sposobem na radzenie sobie z innymi jest zwracać się do ich światła.

– Obcy nie mają w sobie światła!

– Jesteś tego absolutnie pewna? – Ton głosu Shipleya stracił miękkość i stał się napięty.

– Masz wystarczającą wiedzę po temu? Naprawdę żywisz tak wysokie mniemanie o sobie?

Mój Boże, Shipley odwołuje się do jej największej słabości: niskiej samooceny. Czy to jest moralne?

– Nie wydaje mi się, abyś była aż taką egoistką, Lucy. Proszę, wyjdź stamtąd, pozwól

nam doświadczyć swojego światła i sama doświadczyć naszego. Pomóż nam powziąć właściwą decyzję.

A teraz apeluje do jej pragnienia, aby być użyteczną, jak również do jej wątpliwości względem siebie. Jake przyjrzał się Shipleyowi z rosnącą nieufnością. Nie miał pojęcia, że lekarz Nowych Kwaków jest zdolny do równej subtelności i równej manipulacji.

Lucy Lasky odwróciła się do przecinaka, zawahała i w końcu dezaktywowała urządzenie. Następnie podeszła do włazu i otworzyła go ręcznie, mocując się z mechanizmem. Ledwie właz się otworzył, Shipley wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie, ona zaś złożyła mu głowę na ramieniu. Jake dostrzegł, że cała drży.

– Jake, przynieś moją torbę z kajuty. I skontaktuj się z Gail i Rudolfem, jeśli zdołasz. Lucy i ja zaczekamy na ciebie tutaj. – Mówiąc, zamknął delikatnym kopnięciem właz.

Oszołomiony Jake spełnił jego polecenie. Kątem oka zobaczył na ekraniku, że do ładowni wchodzi Scherer i Wortz w skafandrach, po czym z uniesioną bronią zakradają się ostrożnie za wielką przymocowaną skrzynię. Sekundę później z komunikatora na jego nadgarstku doleciał głos Gail, a dwie groźne postacie na ekranie zamarły, jakby czas stanął w miejscu.

– Poziom kortyzolu, katecholaminy i arzendrolu był u niej tak wysoki, jak to tylko możliwe u osoby jej rozmiarów – poinformował Shipley. – To cud, że wytrzymała tak długo. Lucy to kobieta o wspaniałej duszy.

– Taaa, jasne – skwitowała Gail. – Tak wspaniałej, że omal nas nie pozabijała.

Lucy podano już środki uspokajające, uspio ją i zapakowano do hibernatora, w którym miała spędzić resztę podróży. Jake, Gail i Shipley siedzieli w „bibliotece”, pomieszczeniu cieszącym się największą popularnością na statku, które właśnie kazali zwolnić. Obok mesy i siłowni tylko biblioteka umożliwiała spotkania w większym gronie. Znajdowała się tam konsola wirtualnej rzeczywistości, kosze z nagraniami filmowymi i dźwiękowymi, które można było oglądać i odsłuchiwać przy poszczególnych stanowiskach, a także komputer połączony z bibliotekę pokładową. W dodatku było tam okno, które samo w sobie stanowiło wystarczającą atrakcję zdolną przyciągnąć każdego. Nic dziwnego więc, że zazwyczaj przebywało tam tyle osób, ile zdołało się naraz pomieścić. Ponieważ zarówno biuro korporacji, jak i zastawiona sprzętem dwuosobowa siłownia były za małe na potrzeby tego trzyosobowego zgromadzenia, Jake opróżnił bibliotekę – ku wielkiemu

niezadowoleniu tych, którzy akurat z niej korzystali.

– Jakie działania mają te wszystkie związki, które wymieniłeś? – zainteresował się Jake.

Shipley odchylił się na oparcie wyprofilowanego czerwonego fotela. Wcześniejsza kwerenda Jake'a wykazała, że na pokładzie statku międzygwiazdowego sprzęty powinny mieć zdecydowane kolory. Aczkolwiek nawet czerwone fotele nie zdołały pomóc Lucy Lasky.

– Katecholamina – zaczął wyjaśniać Shipley – to związek produkowany w momentach napięcia. Kortyzol powstaje w organizmie w chwilach stresu. A arzendrol towarzyszy zaburzeniom psychotycznym.

– Zatem Lucy cierpi na psychozę? – zapytała Gail. – Ta myszowata chudzina, która wiecznie stara się wszystkich zadowolić?

– Wszystko bierze się właśnie z tego pragnienia, aby zadowolić innych – powiedział cierpliwie Shipley. – Chodzi o to, że... Pozwólcie, że zacznę od początku. W sytuacji stresowej ciało reaguje odpowiednio, po czym wraca do równowagi, w której różne związki chemiczne występują w określonych ilościach. Jednakże gdy napięcie jest ciągłe, organizm nie jest w stanie osiągnąć balansu, przez co popada w chroniczną nerwową nierównowagę, która z czasem może się...

– A na jaki stres Lucy była wystawiona, którego my byśmy nie doświadczali? – wpadła mu w słowo Gail. – Jest paleontologiem! Nie przewozimy na statku kości dinozaurów, praktycznie więc nie miała nic do roboty!

Shipley splótł dłonie na pokaźnym brzuchu.

– Z tego po części wynikało jej napięcie, Gail. Osoby takie jak ona muszą czuć, że są potrzebne. Do tego stresowały ją ciągłe interakcje międzyludzkie, i to nawet w normalnych warunkach, nie tylko w ciasnocie. Niektórzy ludzie już tak mają. A na *Arielu* nie sposób uniknąć kontaktów z innymi...

– Większość czasu spędzała samotnie w swojej kajucie – upierała się Gail.

– Przez co czuła się jeszcze mniej użyteczna. Lucy potrzebuje być sama, ale sama w środowisku, które pozwala jej pracować we własnym tempie. Nie została paleontologiem przez przypadek, wiecie. Na powierzchni Zielnika powinna wrócić do siebie.

Jake nie był tego taki pewien. *Lucy może się poczuć tak zawstydzona własnym załamaniem nerwowym, że stres tylko się pogłębi.* Wiedział coś na ten temat.

Jak na złość Gail skierowała na niego uwagę.

– Jake, gdy powiedziałeś mi o Lucy, użyłeś stwierdzenia „To moja wina”. Dlaczego?

Shipley uważnie mu się przyglądał, co samo w sobie było powodem, aby nie ujawniać zbyt wiele. Jake powiedział więc tylko:

– Och, chodziło mi o to, że moim zadaniem jest zachować czujność i szukać symptomów u wszystkich pasażerów. Skoro jestem prezesem Korporacji Mira.

– Ja też pełnię tę funkcję – przypomniała mu Gail.

– To prawda – rzucił lekko Jake.

Ale wina była moja dlatego, że celowo unikałem Lucy. Ponieważ bardzo mi się podoba, ta jej słodycz połączona z intensywnością, przez które relacja z nią skończyłaby się czymś znacznie więcej niż tylko fizyczną zażyłością. Kobiety takie jak ona łakną prawdziwej bliskości, chcą poznać drugiego człowieka, dowiedzieć się, jaki faktycznie jest. A ja nie mogę sobie na to pozwolić. Nigdy. Dlatego odepchnąłem Lucy, a ona to silnie odczuła, po czym wycofała się w głąb siebie jeszcze bardziej.

– Tak czy owak, problem rozwiązany – rzuciła Gail.

– Tak – zgodził się z nią Jake. – Dziękujemy raz jeszcze, doktorze. Muszę przyznać, że z początku nie byłem zadowolony, że postanowił pan pozostać w trybie czuwania. Ale wszyscy odnieśliśmy korzyść z pańskiego niespotykanego światopoglądu.

„Gadka szmatka”, tak nazywała to Gail. Jake potrafił ściemniać. Nie był to specjalny powód do dumy.

Gail wstała teraz i przeciągnęła się, prostując kościste ciało w komfortowych warunkach prawie pustego pomieszczenia. Kto przepelnia jej fantazje seksualne? Supresanty libido działały tylko do pewnego stopnia. A z tego, co wiedział Jake, wszystkie osoby pozostające w trybie czuwania były heteroseksualne. Jednakże Gail nie przeszła do porządku dziennego nad straszliwą śmiercią Lahiri. I może nigdy nie przejdzie. Podobnie jak jego nieskończenie zmieniała śmierć pani Dalton.

Shipley opuścił bibliotekę pierwszy. Korzystając z chwili prywatności, zanim w pomieszczeniu pojawi się ktoś inny, Gail powiedziała do Jake’a:

– Ja dalej go nie lubię.

– Dlaczego? – Ze zdziwieniem skonstatował, że jej stwierdzenie go ucieszyło.

– To manipulator. Użył religii, żeby spacyfikować biedną Lucy.

Jake bił się przez chwilę z myślami, w końcu jednak wzięła w nim górę szczerłość.

– Gail, nie wydaje mi się, żeby to była manipulacja. On rzeczywiście wierzy w to

wszystko.

– W takim razie jest jeszcze gorzej, niż myślałam – odparła nielogicznie. – Ostatnie, czego mi trzeba, to jakiś świętoszkowaty Budda przyglądający się nam wszystkim i oceniający nas na podstawie światła naszych dusz i związków chemicznych w krwiobiegu.

Chociaż zdaniem Jake’a była to niesprawiedliwa ocena doktora Shipleya, w żaden sposób nie zareagował. Gail, tak samo jak Lucy, była nieodporna na stresy długiej podróży kosmicznej w towarzystwie nieprzyjemnych ludzi.

To samo zresztą dotyczyło jego, o czym doskonale wiedział.

Jednakże to nie żaden czynnik stresujący skłonił ją do złożenia mu wizyty w kajucie nocną porą.

– Wejdz! – zawołał zdziwiony.

Kajuty sypialne, wysokie na siedem stóp, długie na pięć i szerokie na cztery, były święte. Nikt nikogo nie nagabywał, jeśli roleta drzwiowa była opuszczona. Tylko wtedy bowiem można było zaznać całkowitej prywatności. Co więcej, wszyscy odwracali wzrok, przechodząc obok kajuty z podniesioną roletą, byle tylko nie zobaczyć wnętrza, na które składały się w większości osobiste zdjęcia i pamiątki. Jedynym odstępstwem od tej reguły było zaproszenie gospodarza.

Tymczasem Gail zignorowała zasady. Najpierw zajrzała do środka, po czym weszła i usiadła na skraju koi Jake’a, opuściwszy za sobą roletę. Kolana wcisnęła w szczelinę między koją i drzwiami.

– Właśnie rozmawiałam z Rudolfem. Erik Halberg znalazł błąd maszyny.

Jake usiadł prosto, uważając, aby nie uderzyć się w głowę o półki przymocowane nad koją bezpośrednio do grodzi.

– Gdzie?

– W danych astronomicznych. Program oznaczył szybko poruszający się obiekt bez wyznaczonej trajektorii, na co Erik w pierwszym odruchu założył, że to błąd spowodowany bombardowaniem cząstkami w przestrzeni kosmicznej. Ale potem sprawdził wszystko jeszcze raz i teraz z pełną odpowiedzialnością twierdzi, że to nie był błąd.

– Nieznana kometa – zaczął wyliczać możliwości Jake. – Planetoida, która wyrwała się z przyciągania gwiazdy. Rozpędzony meteoroid... Na Boga, Gail, to mogło być cokolwiek.

– Erik utrzymuje, że sprawdził wszystko i nie była to żadna z tych rzeczy.

Jake pomyślał: *Nigdy nie należy zakładać całkowitego wykluczenia. To zwodnicze*

myślenie. Nie powiedział jednak tego głośno. Gail nie cierpiała, gdy wyrażał się jak typowy prawnik.

– Zatem co to było zdaniem Erika?

– Nie wie. Ale twierdzi, że poruszało się z prędkością dziewięćdziesięciu ośmiu procent prędkości światłnej. W tej części przestrzeni nic równie dużego jak *Ariel* nie powinno się przemieszczać. Erik uważa, że to był obiekt będący wytworem czyichś rąk. Na przykład inny statek.

– Masz na myśli ziemski statek.

– Nie. Gdyby jakiś wyruszył z Ziemi, dowiedzielibyśmy się o tym przez łącze kwantowe. Przecież wiesz.

Jake wpatrywał się w nią przeciągle. Ludzie odkryli cztery planety poza Układem Słonecznym, nigdzie jednak nie natknęli się na zaawansowaną technologicznie cywilizację. Diabła tam, nigdzie nie natknęli się nawet na rozumne formy życia. Jak dotąd najciekawszym znaleziskiem będącym wytworem obcej ewolucji był ciepłokrwisty, wyposażony w skorupę, przypominający żółwia drapieżnik o inteligencji gołębia. Wprawdzie Zielnika jeszcze nie zbadano, a tylko sprawdzono za pomocą lądownika, jednakże nic w składzie atmosfery nie sugerowało emisji żadnych gazów przemysłowych.

– Gail, czy Lucy mogła...

– Nie, oczywiście, że nie. Nie miała pojęcia, co ustalił Erik. Ba, dostała szajby, zanim Erik zdążył cokolwiek ustalić. To czysty przypadek. Ale jeśli ten obiekt rzeczywiście był statkiem kosmicznym...

– Niemożliwe – wpadł jej w słowo Jake. – Gdyby...

– Nie przekonuj mnie – rozżościła się Gail – tylko Halberga. I całą resztę. Wszyscy zebrali się w mesie i pytają o ciebie.

Dotarłszy do mesy, Jake przekonał się, że w środku czekają na niego Halberg, Scherer, Shipley, Liu Fengmo, Fajsal bin Saud oraz Robert Takai, inżynier. Wszyscy najwyraźniej spierali się o coś z Halbergiem. Zgodnie z przewidywaniami Jake'a porucznik wyglądał na bardzo zdenerwowanego: oczy miał pociemniałe, a minę zaciętą.

– Nie było żadnego błędu maszyny! *Nein!*

– Przyjacielu... – zaczął Shipley, jednakże zagłuszył go przyjemny głos Fajsala:

– Poruczniku, to, co pan widział, nie mogło być żadnym statkiem kosmicznym. Proszę się przyjrzeć twardym danym. W skali kosmosu my, ludzie, zrobiliśmy zaledwie kilka kroków

za nasze tylne drzwi. Od półtora stulecia badamy za pomocą sond niewielki wycinek przestrzeni. Gdyby Obcy latający statkami byli na porządku dziennym, gdyby istniały tak zaawansowane technologicznie cywilizacje, już dawno natknęlibyśmy się na jakieś ich ślady.

– A co więcej – wtrącił Robert Takai – oni znaleźliby nas. Ten obiekt, o którym mówimy, minął nas w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. Gdyby to był statek jakiegokolwiek rodzaju, przechwyciłby sygnały elektromagnetyczne czy cieplne wysyłane przez *Ariela*. Z pewnością by nas nie przeoczył. A nie było żadnej próby kontaktu, czy to wrogiej, czy przyjaznej. Z tego wynika, że to nie mógł być statek.

– Ale...

– To nie był statek, przyjacielu – powiedział łagodnie Shipley.

Wszyscy kolejno przytakiwali głowami. Jake poczuł, że się odpręży. Fajsal miał rację: każdy statek zauważyłby *Ariela* z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. A zatem to nie był statek. Dane, o których mówił Halberg, musiały oznaczać kometę albo planetoidę wyrzuconą z pola grawitacyjnego gwiazdy, albo najzwyczajniejszy błąd maszyny.

W otaczającej ich pustce kosmosu nie było żadnego innego statku.

Mamy wszystko, pomyślał William Shipley. Wszystko, czego można potrzebować.

Jego nogi w dalszym ciągu nie przywykły do mniejszego ciężenia Zielnika. Po niemal siedmiu latach ciągłego przyspieszenia rzędu 1,25 g grawitacja planety wynosząca 0,9 g sprawiała, że czuł się lekki, jakby nagle stracił na wadze, co oczywiście nie było prawdą ani teraz, ani w przyszłości. Chodząc, bądź to wkładał w kroki zbyt dużo siły, przez co wyskakiwał w powietrze, bądź zbyt mało, przez co się potykał, zamiast iść. Nie omieszkał zauważyć, że młodszym od niego ta sztuka udaje się lepiej.

I bardzo dobrze, skoro to oni wykonywali większość prac manualnych, znosząc materiały z *Ariela* do zrobotyzowanych koparek, spawarek i tokarek. Wszędzie dookoła wałały się części; metal, skała, pianodlew; rozrywane, składane od nowa, niedokończone i porzucane. Przyszłe Mira City na razie wyglądało jak złomowisko.

Nic z tego jednak nie miało znaczenia w obliczu czystego, nieziemskiego piękna Zielnika.

Shipley widział oczywiście zdjęcia przesłane przez sondę. Całą masę zdjęć. Jednakże kolory na nich były jakieś dziwne – może chodziło o inne widmo światła? Z Shipleya był żaden fizyk. Tak czy owak tutejsze światło wydawało się zimniejsze niż na Ziemi, a w jego spokojnym blasku kąpały się dziwne delikatne rośliny i wysokie, smukłe drzewa. Temperatura jak dotąd umożliwiała chodzenie w samej koszuli, co najwyżej w kurtce. Wszędobylskie poszycie, na które składały się purpurowe szerokolistne rośliny, było gęściejsze od trawy. Większość kwiatów także miała odcień purpury lub błękitu, co tylko wzmacniało atmosferę wytchnienia.

Shipley schylił się, żeby zerwać kwiatek, który jakimś cudem uniknął zdeptania pośród krzątaniny. Kwiat był bladoniebieski, miał cztery długie i wąskie, podobne do płatków struktury, które otulały delikatne, obco wyglądające purpurowe wnętrze. Nie był to ani słupek, ani pręciki, ani nic, co można by zobaczyć na Ziemi, tylko coś dziwnego... obcego właśnie. Samo to słowo sprawiło, że Shipleyowi przeszedł po plecach dreszcz. On, William Shipley, stał na ziemi, która nie narodziła się razem ze Słońcem i nigdy nie zaznała radosnego żółtego blasku Słońca. Czy ten wspaniały fakt oszałamiał pozostałych tak samo jak jego?

– „Ten drugi Eden, ta połowa raj” – zadeklamował. – „Twierdza natury postawiona

ręką...”[*]

– Proszę? – zapytała przebiegająca obok Maggie Striker, ekolożka.

– Nie, nic – odparł Shipley, mimo że już jej nie było.

Aczkolwiek Zielnik niewiele miał wspólnego z Edenem. Planetę zamieszkiwały drapieżniki, niektóre naprawdę wielkie i niebezpieczne, chociaż Shipley jeszcze żadnego nie widział. Może zwierzęta bały się ludzi, a może Maggie poczyniła już kroki, aby je odstraszyć. Zapewne były też groźne odpowiedniki owadów, ale z tego, co wiedział Shipley, w bezpośredniej bliskości obozu zostały wyeliminowane. Dalej życie niewątpliwie tętniło z dzikością podobną do tej, którą znała Ziemia z czasów pierwszych ssaków.

W samym obozie również nic nie odpowiadało pojęciu Shipleya o wytchnieniu. Ludzie pracowali jak roboty, niestrudzenie i wydajnie. Tak się cieszyli, że nareszcie mogą znów coś robić! Lądowanie na powierzchni planety zaktywizowało tę dwunastkę, która pozostała w trybie czuwania przez całą podróż. W niepamięć odeszły drobne niesnaski. Shipley przyglądał się, jak Jake Holman w towarzystwie genetyczki Ingrid Johnson i zdetronizowanego arabskiego księcia Fajsala bin Sauda ustawia w świetlicy dźwigar, który boty następnie zespawały. Widok tych różnych osobowości pracujących ramię w ramię przyprawiał go o uśmiech.

Obok niego przemknęła znowu Gail Cutler, niosąca tacę z czymś. Zapewne były to próbki dla Todda McCalluma. Uczni szalenie pragnęli przeanalizować wszystko, jednakże uzgodnili, że przez określoną liczbę godzin „dziennie” będą wznosić habitaty – i wywiązywali się z obietnicy. Nikt prawie nie spał, nikt nie zdążył przywyknąć do dnia liczącego dwadzieścia dwie godziny i szesnaście minut, ale wszystkim było to obojętne. Wrzała gorączkowa, frenetyczna, wydajna praca.

– Doktorze! – zawołała Gail. – Porucznik Wortz pana wzywa!

– Dokąd?

– Do wahadłowca – padła odpowiedź, zanim Gail znowu zniknęła z pola widzenia.

Radosny nastrój Shipleya wyparował. Mężczyzna domyślał się, czego może chcieć od niego porucznik Wortz.

Załoga kapitana Scherera pozostała w trybie czuwania przez całą podróż – wszyscy siedmioro z ogółem dwunastu osób, którym udała się ta sztuka. Zdaniem Shipleya było to wielce zastanawiające. Na pewno miała z tym coś wspólnego wojskowa rutyna narzucona

przez Scherera, jak również ciągłe zajęcie, ale do stalowej wytrzymałości załogi musiało się przyczynić coś jeszcze. Tak, na pewno chodziło o coś więcej. Wszyscy marynarze zachowywali dystans wobec reszty, chociaż nie było to łatwe w ciasnych wnętrzach statku. Wystarczyło spojrzeć na to, jak w dalszym ciągu zwracano się do członków załogi. Była „porucznik Wortz”, nie „Gretchen”. Nawiasem mówiąc, miała się zająć ekspedowaniem stopniowo wybudzanych kolonistów na powierzchnię planety, przy czym o kolejności decydowało zapotrzebowanie na umiejętności pasażerów oraz wynik loterii wśród nich przeprowadzonej.

– Doktorze – powitała go miło Gretchen Wortz. – Wygląda na to, że budowa habitatów postępuje w szybszym tempie, niż zakładaliśmy. Jake Holman życzy sobie, abyśmy rozpoczęli wybudzanie o dzień wcześniej. Zabierze się pan ze mną w ciągu godziny?

– Tak, oczywiście. – Shipley zmusił się do uśmiechu.

Dzień wcześniej! To znaczyło, że pierwsi koloniści pojawią się na Zielniku już jutro. Będzie wśród nich czwórka Nowych Kwaków, co powinno być powodem do radości. *I jest*, napomniał się w myślach Shipley. To jemu wiele brakowało, nie innym. Tym razem bardziej się postara, podda się kierownictwu światła, zamiast starać się narzucać swoją wolę. Tym razem czeka go nowy początek na nowej planecie.

Tym razem poszuka pokoju z Naomi, zamiast jak zwykle z nią walczyć, co obojgu im łamało serce.

– Jak jest na dole? – zapytała tęsknie Tariji Brown.

– Cudownie – odparł Shipley. – Już niedługo tam się znajdziesz, moja droga.

Tariji prychnęła.

– Na razie potrzebuję mnie tutaj. Popełniłam wielkie głupstwo, przyznając się, że mam wykształcenie medyczne. Powinnam była powiedzieć, że jestem hydraulikiem. Hydraulików trzeba na dole. No, zabierajmy się za nich, doktorze. Starzeją się z każdą chwilą.

Shipley uśmiechnął się do niej. Samo patrzenie na nią poprawiało mu humor. Ta wysoka, dobrze zbudowana czarna kobieta o włosach krótko przyciętych na kształtnej głowie emanowała radosnym kpiarskim potencjałem. Tariji była w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co by poszło nie tak, czy to na górze, czy na dole. Jeszcze na Ziemi pomogła mu spacyfikować co strachliwszych Nowych Kwaków, którzy chcieli skolonizować Zielnik,

ale nie zamierzali stanąć oko w oko z niczym nieznanym.

– No, nie da się popływać, nie zamoczywszy nóg – stwierdziła wtedy. I zapytała: – To jak będzie, nurkujecie czy zostajecie na brzegu?

Jej głęboki śmiech pozbawił tę wypowiedź wszelkiej namolności, dzięki czemu większość Nowych Kwaków ze Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej jednak wybrała się w podróż.

– Mam tutaj listę – powiedziała teraz. – Dwanaście osób. Jest pan gotowy, doktorze? Pierwszy to Benjamin Aaron Goldman, inżynier.

– Troje z tej dwunastki jest inżynierami – odparł Shipley, który znał tę listę na pamięć. W przeciwieństwie do Tariji, która spędziła podróż zahibernowana, miał prawie siedem lat na wyuczenie się spisu na pamięć.

Procedura była prosta. Shipley wybijał na klawiaturze numer odpowiedniej trumny – straszna nazwa, ktoś się nie popisał – po czym pas transmisyjny dostarczał ją do dawnej biblioteki. Następnie Shipley wklepywał kod wybudzania, na co trumna wykonywała całą robotę: spuszczała płyny, ogrzewała ciało, podawała właściwe leki w odpowiedniej kolejności.

– No i już! – podsumowała Tariji. – Witamy na Zielniku, panie Goldman.

Benjamin Goldman, nagi, jak go Pan Bóg stworzył, spróbował usiąść. I natychmiast wrócił do pozycji wyjściowej, ponieważ przez lata nieużywania jego mięśnie wyszły z wprawy. Zrobił przy tym taką komiczną minę, że Tariji wybuchnęła tym swoim tubalnym zaraźliwym śmiechem.

– Powoli, Ben. Będzie ci się kręciło w głowie, będziesz czuł mdłości i zachce ci się zjeść konia z kopytami, ale wszystko w swoim czasie. Tak że powoli, powolutku... złap mnie za rękę.

– Już jesteśmy na miejscu? – wysapał Goldman.

Tariji pomogła mu usiąść. Trumna była umiejscowiona naprzeciwko okna, za którym – tak się złożyło – akurat znajdowała się planeta. Zielono-niebiesko-biały glob do tego stopnia przypominał z kosmosu Ziemię, że wdzięczne oko dopiero po dłuższej chwili wychwytywało dziwne ułożenie kontynentów i trzy księżyce.

– Aaaach! – powiedział Goldman z głęboką satysfakcją, po czym zwymiotował do wnętrza trumny.

Ledwie Shipley i Tariji ustabilizowali go, odziali i usadzili na krześle w mesie, zabrali

się do drugiej na liście osoby. Była nią agronom Thekla Belia Barrington, która w pierwszej kolejności zażądała odpowiedzi na pytanie, które rośliny na dole okazały się jadalne.

– Jak na razie żadne – odparła Tariji – ponieważ nikt nie próbował ich jeść. Myślisz, że zaczęliby ucztę bez ciebie? Wszyscy na razie żywią się racjami z *Ariela* i szaleją z radości, że mają się czym zająć.

– Chcę na dół.

– Niedługo. Najpierw musisz się zrzygać, a my musimy wybudzić dziesięć następnych osób... O, właśnie tak, wyrzuć to wszystko z siebie.

Gdy budzili dziewiątego kolonistę, pierwszych dwoje dopadł głód. Shipley zaprowadził ich do ciasnej kuchni, z dala od oczu tych wszystkich, którzy czuli wciąż mdłości, po czym pokazał, jak zamawiać potrawy z dystrybutora i jak używać gotowca. Następnie wrócił do biblioteki.

– Naomi Susan Frayne – odczytała Tariji, a Shipley poczuł, że sztywnieje.

Trumna Naomi wślizgnęła się na swoje miejsce. Maszyny zaszumiły cicho, wieko się odsunęło. Naomi – Nan, jak chciała, by ją nazywać, musiał o tym pamiętać – spróbowała usiąść. Była tak chuda, że obojczyki sterczały jej niczym wieszaki. Jej ogolona głowa pokryta tatuażami i pióropuszem ze sztucznej skóry wydawała się niebieskawa. Zalśniły metaliczne implanty na niewielkich piersiach.

– Boże mój, nie ma na tobie ani grama tłuszczu – stwierdziła Tariji. – Jak ty się chcesz ogrzać?

Naomi chciała coś powiedzieć, ale z jej ust nie padły żadne słowa. *I dobrze*, pomyślał Shipley. *Byłaby zbeształa Tariji za ten bezczelny komentarz.*

– Witamy na Zielniku, panno Frayne – rzekła Tariji.

Naomi zerknęła za okno. Tym razem były za nim same gwiazdy. Kąciki ust wybudzonej opadły lekko.

– Nie ruszaj się przez chwilę, bo się porzygasz – przestrzegła ją wesoło Tariji.

Naomi zmierzyła wzrokiem Murzynkę, po czym spojrzała na Shipleya.

– Ty... Tutaj... Już...

– Tak, Naomi. Już tutaj jestem.

– Powinnam była... wiedzieć. Nie ma... ucieczki.

Tariji wyglądała na zdziwioną. Shipley wyjaśnił jej:

– To moja córka.

W tej samej chwili Naomi wychyliła się za krawędź trumny i zwymiotowała wprost na buty ojca.

Co ma zrobić człowiek, gdy dziecko zbłądzi?

Shipley całymi latami próbował zrozumieć, dlaczego tak się stało, jak gdyby to mogło przynieść rozwiązanie. Od dziecięcego buntu i kradzieży przez branie narkotyków i ucieczki aż do chaosu, jaki Naomi wprowadzała wszędzie tam, gdzie się ruszyła. Nie wspominając o kaleczeniu się i próbie samobójczej, a także o późniejszym rozboju, który skończył się wyrokiem sądowym i pięcioletnią odsiadką. Przynajmniej przez ten czas Naomi nie stanowiła zagrożenia dla siebie.

Może, zastanawiał się rozpaczliwie Shipley, wszystkim winna była śmierć matki, gdy Naomi miała sześć lat. Jednakże bunt i złość zaczęły się, zanim umarła Catherine, a poza tym reszta dzieci – Seely, John i Terry, wszyscy w dalszym ciągu zahibernowani wraz ze swoimi rodzinami – nie zareagowała podobnym gniewem.

Może więc była to sprawa genetyki. Shipley był lekarzem w trzecim pokoleniu. Dokonał analizy córczynej sekwencji DNA, szukając znanych nauce nieprawidłowości. Jednakże coś takiego jak norma właściwie nie istniało. Im głębiej ludzkość badała własny genom, tym większa różnorodność wychodziła na jaw. Na poziomie komórkowym ludzie byli zdumiewająco różni – nie dotyczyło to DNA, które człowiek dzieli z małpami, myszami, muszkami owocowymi i drzewkami brzoskwiniowymi. Różnice przejawiały się w tym, jak geny kodują białka, jak te białka na siebie oddziałują i jak rozmaite kombinacje wpływają na mechanizmy komórkowe. Nawet genetyka nie znała odpowiedzi na wszystkie pytania. A w miarę jak stan Ziemi pogarszał się globalnie, fundusze na badania wysychały, przez co każda dekada przynosiła mniej odkryć naukowych.

Największy zaś problem zdaniem Shipleya polegał na tym, że obwinianie genów Naomi było swego rodzaju unikiem. Ludzie to coś znacznie więcej niż biochemia. Człowiek ponosi odpowiedzialność za swoje decyzje i wybory.

Może więc to wybory Shipleya ukształtowały Naomi. Milczenie, prostota, prawda – przez całe życie starał się stosować do zasad Światła. Jednakże milczenie, które pozwalało człowiekowi usłyszeć wewnętrzne światło, zarazem wzbraniało mu rozmawiać z innymi i nimi kierować. Co do prostoty zaś... Shipley bardzo się obawiał, że będzie narzucał

własną wolę swoim dzieciom, że uczyni z nich posłuszne narzędzia, zamiast pozwolić im żyć odrębnym życiem. Czyżby posunął się za daleko, tak że Naomi odebrała jego powściągliwość jako obojętność? Natomiast prawda... Prawda była czymś, czego większość ludzi nie jest w stanie znieść – Shipley wiedziałyby to, nawet gdyby nie był lekarzem.

Możliwe, że dla dziecka prawda okazała się nie do zniesienia. Seely powiedział raz Shipleyowi: „Naomi uważa, że kochasz Boga bardziej niż nas”. *Bo kocham*, przyznał teraz w duchu Shipley świadom, że to nie Seely zmusił go do zmierzenia się z tym faktem.

Shipley leżał znużony na swojej koi w trzewiach *Ariela* i wpatrywał się w ciemność. Razem z Tariji wybudził trzydzieści sześć osób z ogółem sześciu tysięcy zahibernowanych. Dwadzieścia cztery osoby, w tym Naomi, trafiły już na Zielnik. Pozostała dwunastka miała się udać na powierzchnię planety nazajutrz, kiedy Shipley zabierze się do wybudzania kolejnych trzech tuzinów. Potem cały proces ustanie do czasu, aż wybudzeni zbudują dostateczną liczbę habitatów. Wszystko zostało skrupulatnie zaplanowane w oparciu o doświadczenia wojskowych kolonistów, którzy wzięli w posiadanie pozostałe cztery planety, jak również na podstawie drobiazgowych badań Jake’a i Gail.

Drobiazgowość. Skrupulatność. Same zalety, a jednak nic z tego nie pomogło Shipleyowi, gdy chodzi o jego córkę. Wciąż był całkowicie bezradny.

Czemu w ogóle Naomi chciała przylecieć na Zielnik? Od dziesięcioleci nie brała udziału w spotkaniach religijnych. Shipleya zdumiała jej decyzja, aby przyłączyć się do reszty rodziny w tym przedsięwzięciu. To znaczy najpierw się zdumiał, potem zaś poczuł uniesienie. Łudził się, że być może jego córka nie straciła własnego światła. Być może w końcu zaczęła się nim kierować. Zielnik mógł stanowić dla niej nowy początek, podobnie jak dla reszty Nowych Kwaków, którzy pragnęli wyznawać swoją wiarę z dala od przesiąkniętego zepsuciem, wywołującego znieczulicę, rozpasanego materializmu ziemskiej kultury globalnej.

Jednakże teraz Shipley nie był już niczego pewien. Leżąc w ciemnościach, torturował się wątpliwościami. Naomi przyleciała z nimi, aby zostawić za sobą dawne życie. On, jej ojciec, musiał w nią wierzyć. Musiał wierzyć w Światło. Reszta przyjdzie sama. „Niech wasze życie przemówi za was” – powiedział pierwszym kwakrom George Fox przed niemal sześćuset laty. Shipley musiał usłuchać tego wezwania, musiał zaufać, że jego życie i życie całej wspólnoty przemówi do Naomi.

Oczy go zapiekły. Bardzo chciał ją nadal kochać. To było najgorsze, ta ciągła walka, aby darzyć uczuciem własną córkę. Przerazało go, że wolałby, aby zamiast Naomi jego dzieckiem była Tariji Brown. Albo dziarska, pragmatyczna Gail Cutler. Albo nawet Lucy Lasky, której epizod psychotyczny na pokładzie *Ariela* ujawnił przed Shipleyem prawdziwą naturę tej kornej i ustępliwej dziewczyny.

Leżał bezsenne ponad piękną planetą, usiłując się nie nienawidzić, usiłując kochać swoją przerażającą córkę.

[*] William Szekspir, *Ryszard II*, Akt II, Scena 1, *Dzieła dramatyczne Williama Szekspira w dwunastu tomach*, przeł. J. Paszkowski, Kraków 1895.

Gail stała obok Jake'a Holmana na skraju „miasta”, za sobą mając chaos nieustającej budowy, przed sobą zaś rozległą równinę Zielnika. Żegnała dziewięciuset sześćdziesięciu siedmiu Czejenów, z których praktycznie żaden nie mógł się poszczycić rdzennie amerykańskimi korzeniami. *Chyba nic na tej planecie, pomyślała, nie jest równie zaskakujące jak ci zwariowani romantycy ze swoimi zwariowanymi planami.*

– Odejdziemy teraz – ogłosił uroczyście Larry Smith.

Był to niski krępy mężczyzna o brązowych włosach i inteligentnych jasnoszarych oczach, odziany w brązowy kombinezom z praktycznie niezniszczalnego włókna Threadmore. Na Ziemi hodował bydło. Tutaj został wodzem Czejenów.

Za jego plecami, na równinie pokrytej gęstym kobiercem purpurowego poszycia, mężczyźni i kobiety zaczęli ciągnąć sanie zrobione ze świeżo powalonych drzew i wzmocnione włóknem diamentowym. Na tych niezgrabnych hybrydowych środkach transportu piętrzyły się pakunki nakryte płachtami threadmore'u. Pomiędzy saniami kursowały napędzane energią słońca pojazdy, które wyglądały tak, jakby zaplątały się z innego milenium. Co oczywiście było prawdą.

– W każdej chwili możecie skontaktować się z nami albo z bazą na *Arielu* za pomocą komunikatorów – powiedziała Gail do Larry'ego, bo coś wypadało powiedzieć, a sytuacja była bezprecedensowa.

– Nie uczynimy tego – odparł. – Chyba że złamiecie warunki kontraktu.

Co mogła powiedzieć na to? „Obiecujemy, że dotrzemy warunków umowy z waszym plemieniem”? Przecież historia pokazała, jak to się kończy w praktyce.

– Cóż, żegnajcie – rzuciła Gail niezręcznie.

– Żegnaj, Gail. Niech Duch będzie z tobą.

– I z wami – odparła.

Larry Smith odwrócił się do swoich pobratymców. Wszyscy zostali wybudzeni na przestrzeni ostatnich tygodni i na pokładzie wahadłowca przewiezieni na dół, gdzie od razu zabrali się do wznoszenia tymczasowych tipi poza obrębem Mira City.

Gdy Smith znalazł się poza zasięgiem słuchu, Gail zwróciła się oskarżycielskim tonem do Jake'a:

– Mogłeś mi jakoś pomóc, zamiast tylko stać i szczyrzyć się.

– Nie szczerzyłem się.

– Szczerzyłeś się w duchu. O Boże, jacy dziwaczni są ludzie! Wydaje im się, że zdołają odtworzyć plemienną kulturę łowiecko-zbieracką, która tak naprawdę jest tylko wytworem wyobraźni.

– Jesteś niesprawiedliwa – powiedział Jake, przyglądając się odchodzącym Czejenom.

– Ci ludzie dopuszczają do siebie myśl o nowoczesnych adaptacjach. I to na skalę planetarną.

– O, tak – przyznała Gail. – Spójrz tam. Ten pojazd to laboratorium genetyczne na kółkach.

– Będzie im potrzebne, póki nie ustalą, co jest jadalne, a co nie – odparł Jake.

Gail prychnęła. Laboratorium genetyczne Czejenów, reszta ich sprzętu i pojazdy zajęły na *Arielu* masę miejsca, za co jednak Czejenowie sownie zapłacili. „Plemię” Smitha stanowiła grupa odszczepieńców złożona z jednostek i całych rodzin, które kierowane idealizmem postanowiły rozpocząć nowe życie na Zielniku, co było możliwe dzięki zyskom z kliniki Genemod czerpanym od kilku pokoleń. Ich kontrakt z Korporacją Mira szczegółowo opisywał zobowiązania korporacji na czas hibernacji i wybudzenia, a także wyraźnie stanowił, że później zostaną zerwane wszelkie więzi i nie będzie żadnych prób ingerencji w to, co będzie się działo na wielkim subkontynencie, który obejmą na własność.

– Myślisz, że im się uda? – zapytała Gail, obserwując jedną z kobiet, która mozoliła się z saniami, starając się ominąć spląsnięty porośnięty czerwonym pełzakiem.

– Oczywiście, że im się uda. Wiedzą o tej planecie tyle samo co my.

– Czyli nic.

– Gail, byłaś kiedykolwiek w rezerwacie Indian?

– Nie. A ty?

– Ja byłem – odpowiedział, zaskakując ją. – I wiele o nich czytałem. Z początku były to straszne miejsca, nieużytki, na których szalała bieda i alkoholizm. Ale gdy rdzenni Amerykanie uświadomili sobie, że jako odrębny naród mogą w zgodzie z prawem oferować usługi zabronione na reszcie terytorium Stanów Zjednoczonych, zaczęli prosperować. Hazard, kliniki Genemod, klonowanie zwierząt domowych...

– Zdaję sobie sprawę, że rezerwy to wielkie centra naukowe – rzekła sucho Gail. – Bardzo bogate... Właśnie dlatego nie rozumiem, czemu ci tutaj chcą to wszystko porzucić i

wrócić do stylu życia sprzed kilkuset lat. Ale oczywiście z laboratorium genetycznym pod ręką.

– Ech, ty istotą społeczną – rzucił Jake. – W samym środku swojej ogromnej rodziny.

– Wcale nie – zaproponowała. – Wybudzeniu uległa jak dotąd tylko szóstka moich krewnych. Reszta zajmuje końcowe miejsca na liście.

– Drobnostka. Jesteś istotą społeczną i jako taka nie rozumiesz, że niektórzy ludzie rozpaczliwie pragną się uwolnić od społeczeństwa.

Gail przyjrzała się Jake'owi z ciekawością. W dalszym ciągu odprowadzał spojrzeniem Czejenów, którzy maleli na horyzoncie, pokonując rozległą równinę w drodze do odległych gór. Jake rzadko opowiadał o swojej przeszłości. Gail nie miała pewności, czy to jedna z tych nieczęstych chwil.

– Jake...

– Wiesz, że Larry Smith będzie się odtąd nazywał inaczej? Zresztą jak oni wszyscy. Ale ze zmianą zaczekają do czasu, aż się coś wydarzy albo inni dopatrzą się jakiejś cechy charakterystycznej. Bo tak to najwyraźniej odbywało się kiedyś.

– Zatem kiedy następnym razem spotkamy Larry'ego Smitha, będzie nosił miano Człowieka z Laboratorium Genetycznym?

– Uważasz, że to zabawne – skwitował Jake. – A czy twoim zdaniem Shipley też jest śmieszny, że chce rozpocząć nowe życie z resztą Nowych Kwaków?

Musiła być z nim uczciwa.

– Nie, w każdym razie nie tak bardzo. Przynajmniej jest gotów stawić czoło cywilizacji technologicznej. Aczkolwiek nie potrafię rozgryźć, w co oni wierzą i w co nie wierzą. A ty?

– Nawet tego nie próbuję – zbył ją Jake.

Po siedmiu śmiertelnie długich latach Gail doskonale wiedziała, że Shipley niepokoi Jake'a. Tymczasem jego współwyznawcy byli stopniowo wybudzani i przenoszeni na dół – pytanie, jak Jake zareaguje, gdy znajdzie się w otoczeniu dwóch tysięcy Nowych Kwaków?

Zapytała teraz:

– Powiedz... Czy dopuściłeś Nowych Kwaków do projektu tylko dlatego, że bez ich udziału nie byłbyś w stanie sfinansować wyprawy?

– Oczywiście. To jedyny powód, dla którego dopuściliśmy kogokolwiek, nie wyłączając

twojej rodziny i Czejenów. Przecież o tym wiesz.

– Mimo wszystko nie rozumiem, czemu nie zaczekałeś kilku lat, aż znajdzie się ktoś, kto bardziej ci odpowiada. Kilka lat nie zrobiłoby różnicy, skoro zamierzałeś opuścić Ziemię na zawsze. – Chciała go o to zapytać już dawno.

– Racja – przyznał Jake lekkim tonem. – Osobiście jednak bardziej mnie martwią Arabowie niż Nowi Kwakrzy. Ci wariaci Shipleya przynajmniej kierują się zasadami demokracji. Wiem, że Fajsal zawsze nas przekonywał, że jego rodzina jest umiarkowana pod względem politycznym i religijnym i właśnie dlatego musiała opuścić ojczyznę, gdy do władzy doszedł reżim wojskowy, ale...

Gail gapiała się na niego otwarcie. Przerabiali to już tak wiele razy, że poruszenie tego tematu ponownie zakrawało na próbę odwrócenia jej uwagi. Pytanie od czego.

– Chodź – odezwała się raptownie – bo spóźnimy się na spotkanie rady.

I nie czekając na niego, ruszyła w stronę obozu.

Właściwie do tej pory powinna była przywyknąć do jego uników. Od dziesięciu lat byli współnikami, z tego prawie siedem spędzili razem na *Arielu*, wiedziała zatem o Jake’u praktycznie wszystko. Jakie potrawy lubi, jak często beka, co uważa za zabawne, co dostał na szóste urodziny, jakie miał stopnie w szkole... Równocześnie często czuła, że nie zna go w ogóle i że on lepiej rozumie ją niż ona jego.

A może po prostu ją było łatwiej przejrzeć.

Kiedy miała osiem lat, poszła z ciotką Tamarą – obecnie wciąż zahibernowaną na *Arielu* – na wiec religijny na wielkim błyszczącym stadionie w Portland w stanie Oregon. Kaznodzieje grmieli na temat śmierci i kary boskiej, która czeka cudzołóżników, genetyków, złodziei i niewierzących. Wszyscy oni mieli szczeznąć w rzece ognia i zniszczenia Ziemi. Nazajutrz trzęsienie ziemi na uskoku portlandzkim zabiło siedem tysięcy osób.

Effekt, jaki to wywarło na Gail, znacznie odbiegał od wyobrażeń kaznodziejów. Oglądając wiadomości, nawet w wieku ośmiu lat widziała, że zginęli zarówno wierzący, jak i niewierzący, prawi i nieprawi. Zrobiła na niej wrażenie bezosobowa potężna siła natury, ta sama, która wywoływała tak ją przerażające błyskawice i grzmoty. Gail postanowiła wtedy, że zostanie naukowcem.

Matka Gail, biolog ewolucyjny, była wściekła, odkrywszy, że ciotka Tamara zabrała Gail na wiec religijny. Emily Cutler była biologiem ewolucyjnym o zdecydowanych,

aczkolwiek dość ekscentrycznych poglądach. Uważała mianowicie, że mężczyźni i kobiety nigdy nie zdołają żyć w zgodzie.

– To jedyny rozsądny wniosek – tłumaczyła cierpliwie – dla każdego, kto kieruje się rozsądkiem. Obie płci ewoluowały celem zapełnienia odmiennych nisz. Mężczyźni są myśliwymi i kierują się zasadą współzawodnictwa, kobiety zaś są zbieraczkami i mają w swojej naturze troskliwość. Osiem tysięcy lat tak zwanej cywilizacji nie jest w stanie przebić pięciu milionów lat ewolucji. Mężczyźni i kobiety to nie odrębne gatunki, ale odmiany tego samego gatunku. Nadzieja, że będą żyli zgodnie, jest równie płonna jak myśl, że wilk i pudel dogadają się w jednym legowisku. Powinni żyć oddzielnie i tylko składać sobie wizyty.

Dekadę później, gdy Gail ogłosiła krewnym, że jest lesbijką, ciotka Tamara obwiniła o to nauki swojej siostry. Wszyscy inni kiwali głowami i pytali z uśmiechem, czemu Gail występuje przeciwko biochemii i fizyce.

Nauka ją nudziła. W przeciwieństwie do pieniędzy, w związku z czym w wieku dziewiętnastu lat miała magisterium z ekonomii. Jako dwudziestopięciolatka kierowała większą liczbą rodzinnych inwestycji niż ktokolwiek w jej licznej rodzinie cierpiącej na obsesję związaną z ekologią. Potem spotkała Lahiri i jej życie się dopełniło, przesycając ją maślanym smakiem szczęścia.

A jeszcze później Lahiri umarła, powolną i bolesną śmiercią, od genetycznie zmienionego wirusa uwolnionego przez jakiegoś terrorystę, który chciał wziąć Minneapolis na zakładnika i osiągnąć w ten sposób szalone polityczne cele. Lahiri nawet nie powinna była wtedy być w Minneapolis, udała się tam w zaplanowaną na ostatnią chwilę podróż służbową. Poziom promieniowanie ultrafioletowe i stężenia dwutlenku węgla w ziemskiej atmosferze wzrósł niebotycznie w minionych dwudziestu latach, w stopniu, jakiego nie spodziewali się nawet uczeni w prognozach na najbliższe stulecie. Bogacze się bogacili, biedacy biednieli i w nienawykłych do cierpliwości narodach Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej do głosu dochodziła wewnętrzna przemoc i terroryzm. Terroryzm międzynarodowy był już stałym elementem życia. Zmodyfikowane genetycznie zboża zaczęły przegrywać z opornymi szczepami śnieci i przeludnieniem.

Krewni Gail postanowili opuścić Ziemię. Gail zwróciła się w tej sprawie do Jake'a, który od pierwszej chwili zdawał się rozumieć, że po Lahiri w życiu Gail nie będzie już miejsca dla nikogo. Inni ludzie tego nie rozumieli. Jake i Gail zostali współnikami i

zaprzyjaźnili się, choć w wielu sprawach mieli różne zdanie. Przez cały ten czas jednak Gail nigdy nie poczuła, że zna Jake'a na wylot.

– Oto nadchodzi Fajsal, elegancki jak zawsze – powiedział Jake, gdy zbliżali się do paskudnej nadmuchiwanej konstrukcji, która służyła za świetlicę. – Cała rodzina książęca zdaje się dobrze adaptować do nowych warunków.

– Przynajmniej jej męska część – skorygowała kwaśno Gail. – Skąd mielibyśmy wiedzieć, jak wygląda sprawa z kobietami? Przecież prawie nigdy nie opuszczają kwater, a jeśli już to robią, chodzą ukryte za zasłonami.

– Chyba wiesz, że jeszcze na Ziemi – odezwał się Jake delikatnie – oznajmiły, że taki styl życia chcą kontynuować. Twierdziły tak nawet przy analizatorze głosu.

To dopiero była batalia: przekonać Arabów, żeby pozwolili przebadać pod tym kątem swoje kobiety! Gail przypuszczała, że Fajsal, najbardziej z nich wszystkich kosmopolityczny i praktyczny, uciekł się do sposobów, o których wolałaby nie wiedzieć. Tak czy owak Jake miał rację: nawet przy analizatorze głosu, którego nie dało się oszukać, Arabki – z rodu książęcego i plebsu jednakowo – całkiem szczerze zapewniały, że chcą dalej wieść życie w takim stylu jak na Ziemi. Za czterema ścianami, teoretycznie na terenie Mira City, a w rzeczywistości na marginesie.

Dlatego obecnie północna sekcja miasta na wschód od rzeki była otoczona dziesięciostopowym murem z pianodlewu. W obrębie tej medyny znajdował się andarun, którego Gail nie miała okazji widzieć osobiście. Wyobrażała sobie tylko dziedzińce jak na starych perskich drzeworytach: z fontannami i grządkami, z przesłoniętymi ciemnookimi kobietami chronionymi na podobieństwo dzieci. Jak to wygląda naprawdę, nie miała w rzeczywistości pojęcia. Wychodząc za mury, Fajsal nie mówił wiele na temat swego prywatnego księstwa. Jego przybocznicy – oczywiście sami mężczyźni, z czego większość stanowili jego synowie – brali z niego przykład. Nie licząc oficjalnych okazji, Fajsal ubierał się w taki sam brązowy kombinezon z threadmore'u, jak Jake i Gail.

Wiedziała, że Fajsal ma trzy żony: Dżabarę, Homi i Chanomę chociaż nigdy o nich nie wspominał. Jedyne, co rzucało się w oczy z całej medyny, to minaret sięgający ponad mury. Powietrze przecinał systematycznie okrzyk nawołujący wiernych do modlitwy, a sam Fajsal czasami – bez słowa przeprosin i bez dywanika modlitewnego – klękał na spotkaniu rady zwrócony twarzą do Słońca.

– Pragniemy przywrócić prawdziwe muzułmańskie zwyczaje – oznajmił Gail i Jake'owi

przy pierwszej okazji, gdy zwrócił się do nich z propozycją przyłączenia się do wyprawy na Zielnik. – Pełne ciepła i radości serce islamu zakorzenione w rodzinie. W przeciwieństwie do fanatycznego wojowania, z jakim kojarzona jest nasza religia.

– Ale wasze kobiety... – zaczęła Gail.

Fajsal nie pozwolił jej dokończyć.

– Osobiście was zapewnią, że chcą żyć wedle starych zasad.

I tak też się stało przy analizatorze głosu, na którego użycie nalegała Gail. Nie podobało jej się to utrwalanie patriarchy na nowej planecie, jednakże jak chłodno wytknął jej Jake, wcale nie musiało się jej podobać. Dopóki Arabowie będą stosować się do reguły „żyj i dać żyć innym”, ich bogowie nie muszą być jej bogami.

– Zdaje się, że mają tylko jednego boga – zauważyła wtedy przez zęby.

– Nieważne. – Jake wzruszył ramionami.

Zresztą czy to, co chcieli zrobić Arabowie, było dużo dziwniejsze od Czejenów Larry’ego Smitha pragnących wskrzesić dawnych bogów natury?

– Witajcie – rzucił Fajsal w progu namiotu. Z jakiegoś powodu zrezygnował dziś z kombinezonu. Miał na sobie białe szaty, które na tle błękitu i purpury Zielnika prezentowały się bardzo ładnie i wyglądały na wygodne.

– Witaj, Fajsalu – odpowiedziała Gail, zastanawiając się w duchu, czy jego świta zwraca się do niego per „wasza wysokość”. Chyba tylko kontyngent Chińczyków i krewni Gail przybyli na Zielnik, patrząc w przyszłość i nie oglądając się w przeszłość.

Jake zapytał zaś:

– Czy wszyscy już są? Uda nam się nakłonić ich, żeby mówili zrozumiale?

Fajsal się roześmiał. Rada zarządzająca spotykała się dwa razy w miesiącu. Za „miesiąc” przyjęto okres, w którym największy księżyc, Gamma, dokonywał obiegu planety. Nawiasem mówiąc, ile trzeba wyobraźni, żeby trzech satelitów Zielnika nazwać Alfa, Beta i Gamma? Cóż, ojcowie kolonii pozostawiali sobie wyobraźnię na co innego. Pierwsze comiesięczne spotkanie poświęcano postępom budowy Mira City i radzeniu sobie z problemami, których do tej pory było zadziwiająco mało. Drugie, które właśnie ich czekało, organizowano z myślą o raportach naukowców. I właśnie naukowcy, posługujący się żargonem, mieli kłopoty z mówieniem po angielsku zrozumiale.

Grupa uczonych była bardzo różnorodna. Wchodziło w jej skład dziewięć osób, każda innej specjalizacji. Jedynie Robert Takai, inżynier, samodzielnie opłacił przelot. Pozostali

skorzystali z hojności Wellcome Trust, brytyjskiej fundacji, która od wieków wysyłała swoich członków na ekspedycje naukowe w nadziei na pozyskanie wiedzy i przysłużenie się ludzkości. Gail nie była pewna, czy informacje zebrane na Zielniku i przesłane łączem kwantowym na Ziemię przydadzą się na coś fundacji czy komukolwiek innemu. Dziwnie było myśleć, że wszyscy członkowie fundacji, którzy opłacili ósemkę uczonych, od dawna leżą w grobie. Na Ziemi bowiem minęło aż siedemdziesiąt lat.

Sytuacja tam musiała być równie zła – albo nawet gorsza – niż wtedy, gdy *Ariel* wyruszał w podróż. Woda, głód, terroryzm, rozpacz, jakość powietrza, polityka, chciwość. Wysoki poziom dwutlenku węgla, niski poziom produkcji żywności, warunki pogodowe posunięte do ekstremów, tak że większość planety albo była zalana powodzią, albo cierpiała od suszy.

– Namierzyłem i przeanalizowałem kolejne trzy warstwy geologiczne – zaraportował Roy Callipare, geolog.

W tym momencie Gail się wyłączyła. Te raporty były konieczne, ale nudne. Chociaż nie dla naukowców, którzy słuchali z napięciem, sprzeczali się, żartowali sobie i atakowali się wzajemnie, jakby obecność czy nieobecność berylu była sprawą życia i śmierci.

Gail rozglądała się dyskretnie, usiłując nie dać poznać po sobie obojętności. Fengmo, chiński członek rady, był dziś nieobecny, ponieważ coś go zatrzymało w placówce badawczej. Pozostali, nie licząc Fajsala w białych szatach, zlewali się w jedno na tle ścian namiotu – wszyscy nosili brązowe lub zielone kombinezony, które niknęły w zderzeniu z nijakimi zielonymi ścianami i szarymi meblami. Istniała jednak szansa, że w zbudowanym Mira City będzie bardziej kolorowo. Namioty były tylko tymczasowe, podobnie jak kombinezony, aczkolwiek nowe ubrania nie zajmowały szczytu listy priorytetów. *Mimo wszystko ktoś mógł pomyśleć i nazrywać miejscowych kwiatów..*

Lucy Lasky przedstawiła krótki raport, który był równie mdły jak otoczenie. Paleontolożka trzymała się na uboczu od chwili wybudzenia i przyłączała się tylko do geologa, z którym udawała się codziennie na wyprawę dwuosobowym łazikiem. Wspólnie przebadali kilkanaście miejsc i wybrali jedno, w którym – z tego, co zrozumiała Gail – były zarówno skały, jak i odciski. Gail słuchała raportu Lucy tylko jednym uchem.

Podobnie było z ekolożką Maggie Striker, inżynierem budownictwa Benjaminem Goldmanem i biologiem George'em Foxem. Gail bawiło do łez, że żywiołowy, roześmiany mężczyzna lubujący się w bąbelkach nosi takie samo imię i nazwisko jak założyciel

oryginalnej wspólnoty kwaków. William Shipley powiedział tylko, że wiele osób tak się nazywa. Jake pokiwał głową w roztargnieniu, w związku z czym Gail musiała się delektować dowcipem sama.

Teraz zaczęła się uważniej przysłuchiwać Robertowi Takaiemu, inżynierowi energetyki – na tyle, że poznała status jego projektów dotyczących energii słonecznej, wiatrowej i geotermalnej. Żaden nie przejawiał śladów opóźnienia w stosunku do planów. Genetycy, Todd McCallum i upierdliwa Ingrid Johnson, przedstawili informacje na temat kolejnych gatunków fauny i flory, potwierdzając, że jak dotąd wszystkie są oparte na DNA. Wielkie mi rzeczy... Każda forma życia na każdej skolonizowanej planecie była oparta na DNA. Uczni zgadzali się co do teorii panspermii mówiącej, że przed miliardami lat przez Galaktykę przepłynęła chmura spor, siejąc kodem genetycznym życia.

I bardzo dobrze, bo w przeciwnym razie Thekla Belia Barrington, brytyjska agronom, nie mogłaby zaraportować równie obiecujących widoków na uprawianie i spożywanie – tylko po kosmetycznych modyfikacjach genetycznych – tak dużej liczby gatunków lokalnych roślin.

– Może nawet piętnastu procent – dodała radośnie. – To lepiej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Cholernie cudownie, jeśli mam być szczerą. Pierwsze eksperymentalne grządki już są gotowe.

Nawet William Shipley się uśmiechał.

A potem do namiotu wkroczyła Nan Shipley, rujnując dobrą atmosferę.

Uczestnictwo w spotkaniach rady zarządzającej teoretycznie było zarezerwowane dla członków rady, a więc dla przywódców grup, które wykupiły udziały w Korporacji Mira, to znaczy: Nowych Kwaków, Czejenów, krewnych Gail, Chińczyków Liu, Arabów Sauda, a także Jake'a, Gail i w ramach wyjątku przedstawiciela fundacji Wellcome Trust, George'a Foxa, który pełnił funkcję przełożonego naukowców. Tymczasem Nan Shipley wmaszerowała do namiotu, jakby tam było jej miejsce. Chociaż zbliżała się do trzydziestki, była ubrana w luźną tunikę ponaszywaną maleńkimi lusterkami i podziurawioną artystycznie, tak że przez otwory można było zobaczyć pomalowaną na niebiesko skórę. *Ostatni krzyk mody nastolatków sprzed siedemdziesięciu lat*, pomyślała mściwie Gail. Pośród praktycznych kombinezonów całej reszty Nan wydawała się równie egzotyczna i bezużyteczna jak pawie ogon.

– Naomi, to zamknięte zebranie – powiedział do niej sztywno Shipley. – Myślę, że

powinnaś...

– Nadeszło połączenie z *Ariela*, kod jeden – rzuciła Nan jakby nigdy nic. Najwyraźniej świetnie się bawiła. – Zostało odebrane w centrali planetarnej Korporacji Mira, gdzie akurat przebywałam. Rudolf nie chciał go przekierować na ogólną częstotliwość, tak że mnie przypadło w udziale przekazanie wam nowin i ściągnięcie Jake’a albo Gail.

– Co robiłaś w centrali? – zainteresował się jej ojciec.

Gail dostrzegła jego zawstydzenie i irytację. Nan zdążyła zirytować Gail, i to pod wieloma względami: bo plątała się po namiocie Korporacji Mira, bo drwiąco nazywała go „centralą planetarną”, bo wmaszerowała tutaj, jakby kod jeden nic dla niej nie znaczył, bo nazwała kapitana Scherera po imieniu. Czemu w ogóle Scherer powierzył jej taką wiadomość? To nie miało sensu.

Jake przerwał napięte milczenie.

– No więc jaka to wiadomość?

Nan nie odzywała się przez chwilę, po czym rozciągnęła wargi w uśmiechu.

– Dokonując przelotu na niskiej orbicie, sonda *Ariela*, która miała za zadanie zmapować okolicę, odnotowała istnienie wioski. Właściwie dwu wiosek. Porucznik Wertz to potwierdza. Na osady składają się kryte strzechą chaty, zewnętrzne paleniska i pola uprawne. Nie jesteśmy jedynymi mieszkańcami Zielnika.

Niemożliwe, taka była pierwsza myśl Jake'a. Zaraz jednak się poprawił. *Ależ tak!*

Galaktyka, czy raczej ten drobny jej wycinek, okazała się pozbawiona życia rozumnego, aczkolwiek przepełniona życiem w ogóle, w dodatku w całości opartym na DNA i zdumiewająco podobnym do siebie na poziomie komórkowym. Gdziekolwiek przefrunęły spory panspermiczne i padły na podatny grunt planet – których było więcej, niż pierwotnie zakładano – wszędzie zostawiły startowy pakiet genów, z których początek wzięło życie. Następnie życie to ewoluowało rozmaitymi ścieżkami. Jednakże wyłącznie Ziemia miała odpowiednie warunki lub wystarczająco dużo czasu, lub po prostu to coś, co umożliwiło rozwinięcie się na niej życia rozumnego. Na Kolchidzie na przykład nie było nawet roślin okrytonasiennych. Tak przynajmniej głosiła teoria.

Nie było żadnego powodu, aby ta teoria nie okazała się błędna.

Gdy Jake dopiero otrząsał się z szoku, biolog George Fox mamrotał:

– ...poza zasięgiem naszej dotychczasowej eksploracji! Jeśli przybyli z systemów gwiazdnych, których jeszcze nie zbadaliśmy, mogą...

Ingrid Johnson zrobiła cierpką minę.

– Twierdzisz, że to cywilizacja, która sięgnęła gwiazd? I mieszka tutaj w chatkach krytych strzechą i z zewnętrznymi paleniskami?

– Może kapitan Scherer myli się w tej sprawie – odpowiedział George. – Albo zaawansowana technologicznie cywilizacja urządziła sobie tutaj prymitywne obozy wakacyjne... – Urwał, gdy zdał sobie sprawę, jak nieprawdopodobnie to brzmi.

Jake zmusił się do spokoju.

– Nie dojdziemy do żadnych wniosków, nie mając więcej materiałów. Potrzebujemy informacji.

– Wyprawa! – rzucił ochoczo George. – Trzeba się zapoznać!

Gail się skrzywiła. W jej zielonych oczach nadal krył się wyraz szoku.

– Wyprawa może się okazać niebezpieczna, jeśli tubylcy są wrodzy bądź jeśli kapitan Scherer pomylił się co do poziomu ich rozwoju. A także jeśli się nie pomylił. Nawet włócznie bywają śmiertelne, wicie... – Umilkła na chwilę. – Czy czego tam używają.

– Nie mamy pewności, czy w ogóle czegokolwiek używają – wtrąciła Ingrid.

– Ale mamy okazję się przekonać... – zaczął George.

– Sondy niczego nie raportowały...

– ...sondy mają ograniczony zasięg, do tego z takiej odległości... A małe chaty...

– ...fantastyczna szansa dla ksenobiologa...

– Trzeba wziąć pod uwagę stronę prawną. – Jake przebił się przez podekscytowane głosy. Wszyscy spojrzeli na niego w zdziwieniu, on jednak odzyskał już grunt pod nogami. Prawo. Na tym się znał. – Federacja Planetarna opublikowała wskazówki już przed stuleciem... to znaczy przed prawie dwoma stuleciami ...dotyczące kontaktu z jakimkolwiek gatunkiem rozumnym, na który natknie się ludzkość w trakcie kosmicznych peregrynacji. Trzeba wziąć pod uwagę kwestie wywłaszczenia, pokojowego przejęcia, dobrej wiary...

– Czyjej? – zapytała zjadliwie Ingrid.

– To bez znaczenia, prawda? – rzuciła Thekla Barrington. – Mamy moralny obowiązek uszanować własność tych ludzi... Boże, co ja wygaduję? Nie wiemy nawet, czy chodzi o istoty rozumne...

– Dowiemy się tego! – wykrzyknął George Fox, zapoczątkowując kolejną lawinę głosów.

Jake usiłował zebrać myśli. Jeśli to istoty rozumne, ile ich tam jest? Czy zamieszkują wszystkie kontynenty? Jeśli tak, czy mają swoje własne...

– Na Zielniku nie ma żadnych istot rozumnych! – wrzasnęła Lucy Lasky, podnosząc się z miejsca. Takie zachowanie zazwyczaj spokojnej i cichej paleontolożki sprawiło, że wszyscy nagle umilkli.

Tymczasem Lucy poczerwieniała na twarzy jak burak. Jake, który przez cały czas był świadom jej obecności, popatrzył na nią z uwagą. Wyczuwał jej stały, przesycony wahaniem wstyd po załamaniu na *Arielu* i wiążącej się z nim przymusowej hibernacji i miał dla niej współczucie. A może raczej identyfikował się z nią? W każdym razie teraz Lucy ani się nie wstydziła, ani nie wahała. Gdy wreszcie krew odpłynęła jej z twarzy, drobna kobieta wyprostowała się i przemówiła z siłą, o jaką Jake nawet by jej nie posądzał:

– Posłuchajcie mnie wszyscy. Od trzech miesięcy badam stanowiska paleontologiczne na Zielniku zgrupowane w kilkunastu miejscach. Nic w nich nie wskazuje na występowanie na planecie życia rozumnego.

– Z tego wynika, że nie trafiłaś jeszcze na właściwe stanowisko – skwitowała Gail.

Lucy zdążyła się już uspokoić.

– Nie rozumiecie... Ścieżka ewolucyjna do życia rozumnego, nie wspominając o dachach krytych strzechą i garnkach, jest długa. Byłaby upstrzona artefaktami, choćby tylko kamiennymi toporami i nożami. Jeśli nie ma artefaktów, nie ma też rozumu. Ta teoria sprawdziła się na Ziemi, na Ariadnie, na wszystkich pięciu planetach zamieszkałych przez ludzi. Wyniki moich badań są rzetelne. Na Zielniku nie wyewoluowało życie rozumne.

– Twierdzisz, że te... te istoty przyleciały tu skądinąd? – zapytała sceptycznie Thekla Barrington. – I że później ich cywilizacja cofnęła się w rozwoju?

– To by zostawiło ślady – wtrącił Todd McCallum. – Cofnięta w rozwoju kultura powstała na ruinach bardziej zaawansowanej wymaga zwałów śmieci. Jak Kartagina czy Kinszasa...

– Lucy? – zapytał Jake. – Co na to powiesz?

– Tak. Nie – odparła Lucy. Zdała sobie sprawę, że wciąż stoi, poczerwieniła znowu i usiadła. – Mogę mówić tylko o tym, co znalazłam. Czy raczej czego nie znalazłam. Na Zielniku nie ma śladów ewolucji rozumu ani cofniętej w rozwoju cywilizacji.

– Lucy, nie owijajmy w bawełnę – wypaliła Ingrid. – Najpierw widzisz Obcych, których nie ma, jeszcze na *Arieli*, a teraz odmawiasz zobaczenia tych, którzy są na Zielniku. Może problem leży w tobie?

– Zamknij się, Ingrid – rzucił Jake, zaskakując samego siebie. – Osobiste wycieczki w niczym tu nie pomogą.

– To nie była osobista wycieczka! To było...

Gail zagłuszyła krzyzącą Ingrid:

– Jake ma rację. Musimy się skupić na tym, co z tym fantem zrobimy. Zapewne powinna się tą sprawą zająć rada zarządzająca, skoro Jake wspomniał o kwestiach prawnych. Kontrakt wyraża się na ten temat jasno. Jednakże ani Jake, ani ja nie zamierzamy wyłączyć was, naukowców. – Zawiesiła spojrzenie na współniku.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Jake, żałując, że wystąpił w obronie Lucy tak gwałtownie i tak publicznie. Chociaż z drugiej strony być może przejmował się tym po to, aby nie musieć myśleć o najważniejszym?

– Po pierwsze... – zaczęła Gail.

– Po pierwsze musimy odpowiedzieć Rudolfowi – wpadła jej w słowo Nan, która wyglądała na rozbawioną. – On nadal czeka.

Wszyscy o niej zapomnieli. Wszyscy zapomnieli nawet o Schererze.

– Ja pójdę – zaofiarował się Jake. Do Gail zaś rzucił: – Zajmij się wszystkim.

Zerwał się z miejsca i ruszył do wyjścia, po drodze łapiąc Nan mocno za łokieć. Boże, ależ jej nie znosił.

– No dobra, wyprowadziłeś mnie – powiedziała już na zewnątrz. – Teraz możesz mnie puścić.

– Nan, chyba nie muszę ci mówić, że nie wolno ci o tym z nikim rozmawiać. Nie siej niepotrzebnej paniki. Właściwie... Czemu kapitan Scherer w ogóle ci powiedział o tych wioskach?

Uśmiechnęła się.

– Nie domyślasz się?

Scherer i Nan? Po chwili zastanowienia Jake pokręcił głową.

– Nie. Nie Scherer. Bez względu na to, jakie kobiety lubi. Jest na to za dobrym żołnierzem.

– Cóż, przyznaję ci rację, Jake. Zabrakło ci spostrzegawczości.

Oddaliła się, błyskając nagim niebieskim ciałem pod tuniką. Nie odpowiedziała na jego pytanie.

Nie było jednak teraz na to czasu. Jake pośpieszył do namiotu Korporacji Mira, żeby odebrać rozmowę z orbity.

Chcieli iść wszyscy oprócz Gail.

– Opowiecie mi po powrocie – zwróciła się do Jake'a. – Tutaj też jest masa roboty. Koloniści wciąż są wybudzani. Robot instalujący rury ma błąd w oprogramowaniu, którego technicy nie są w stanie znaleźć. Thekla w przyszłym tygodniu otwiera ciepłarnię. A Chińczycy sprzeczą się o granice miasta. Poza tym, Jake, im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że tak naprawdę nie ma czym się martwić. Idź zatem i nawiąż stosunki dyplomatyczne w naszym imieniu.

– Nie ma czym się martwić? – powtórzył z niedowierzaniem. – Uważasz, że Obcy nie stanowią problemu?

– Zgadza się. No, chyba że zaatakują...

– Obraz z powietrza raczej to wyklucza.

W gruncie rzeczy raporty były zagadką. Sonda przelatująca na niskiej orbicie namierzyła tylko cztery osady. Pomiędzy nimi w promieniu wielu setek mil nie było żadnych innych

wiosek. Skimmery sondy opuściły się nad chaty na wysokość trzystu stóp. Porucznik Wortz zameldowała, że tubylcy podnosili głowy na widok obiektu latającego. Nikt jednak nie biegał, nie zbierał się w grupy, nie pokazywał palcem ani nie przymierzał się do ataku. Wieśniacy po prostu zadzierali głowy, gapili się przez chwilę, po czym wracali do swoich zajęć – ani przestraszeni, ani zaciekawieni.

Jak to możliwe, że ani się nie boją, ani nie interesują? Czy w takim razie są rozumni? No ale raporty porucznik Wortz wyraźnie mówiły o plecionej strzesze i utensyliach kuchennych. Jedno i drugie zdecydowanie wskazywało na istoty rozumne.

Nagrania były w kółko oglądane przez dziewięciu naukowców i pięciu członków rady zarządzającej. Obcy okazali się dwunożni, budowy symetrycznej, mniej więcej na cztery stopy wysocy, pokryci gęstym rudobrazowym futrem, przez które momentalnie zostali ochrzczeni Zwierzakami. Mieli długie pyski i grube ogony, na ich grzbietach biegł pióropusz z ciemniejszych włosów, a całe ciało było raczej przysadziste.

– Ogony służą im do podpierania – zauważył George. – To by wskazywało, że prawdopodobnie potrafią też skakać... – Zmarszczył czoło.

– O co chodzi, George? – zapytał Jake.

– Trudno mi mówić z całą pewnością, ale... Zielnik to ciepła planeta, cieplejsza niż Ziemia, praktycznie bez zmian sezonowych dzięki małemu nachyleniu osi. Do tego praktycznie brak tutaj drapieżników, przynajmniej w porównaniu z Ziemią na tym samym etapie rozwoju. Tymczasem futro tych Obcych i podpierające ogony miałyby szanse się rozwinąć raczej na zimniejszej planecie o większej grawitacji. I spójrzcie na ich oczy: dwoje umieszczonych symetrycznie z przodu trzewioczaszki i jedno na szczycie głowy. To wynalazek ewolucyjny typowy dla niebezpiecznego świata, z dużą liczbą latających i kroczących drapieżników. Na Zielniku ich nie ma.

– Obecnie – potaknęła Ingrid. – Może jednak występowały tu w przeszłości. Może nasi Obcy wytepidli wszystkie drapieżniki. My tak zrobiliśmy na Ziemi.

– Ale nie mamy oka na ciemieniu – wtrącił Todd. – Czy przypadkiem wymarłe kangury nie miały też takich ogonów? A przecież wyewoluowały na Ziemi.

– Racja – zgodził się George i nachylił w stronę ekranu, aby lepiej przyjrzeć się zdjęciom.

Jake wzruszył ramionami.

– Musimy poczekać z wnioskami, dopóki nie dotrzemy na miejsce i nie przekonamy się

naocznie – powiedział.

To spowodowało, że napięcie w grupie znowu wzrosło. Kto wybierze się na eskapadę? Każdy uważał, że będzie nieodzownym członkiem wyprawy. Koniec końców decyzję podjęli Jake i Gail.

– Wiemy, że wam się to nie spodoba – oznajmił naukowcom Jake – ale postanowiliśmy, kto nam się przyda w terenie i kto musi zostać na miejscu. Nawiasem mówiąc, wyobrażacie sobie, że wśród pięciu tysięcy osób nie ma ani jednego lingwisty z prawdziwego zdarzenia? Bo naszych tłumaczy angielsko-chińskich nie liczę... Tak czy owak nie chcemy przyłoczyć Obcych nadmiarem ludzi. Dlatego polecę ja, George, Ingrid i porucznik Halberg. Pilotować skimmer będzie porucznik Wortz, która jednak pozostanie w pojeździe.

Ku zdziwieniu Jake'a odezwał się William Shipley:

– Ja też chyba powinienem polecieć.

– Pan?

– Jestem lekarzem. W wyłonionej grupie znaleźli się biolog i genetyk, ale Ingrid operuje na poziomie DNA, a George nie jest patologiem. Myślę, że mogę być użyteczny.

– Jak, u licha, chce pan rozpoznać patologię u Obcego?

– Ocenię ich ogólny stan zdrowia, porównując detale, o jakich wy nawet byście nie pomyśleli.

Zdawszy sobie sprawę, że Shipleya w ogóle nie powinno być na dole, Jake zapytał:

– Czemu nie wybudza pan kolonistów na pokładzie *Ariela*?

– Przekazałem pałeczkę Tariji. Ma nie mniejsze umiejętności ode mnie, a do tego towarzyszy jej asystent. Poza tym, Jake... W Mira City jest dostatecznie dużo lekarzy, nawet jeśli brakuje nam lingwistów. Nikt nie będzie tu za mną tęsknił.

George zgłosił obiekcje:

– Nie jestem pewien, czy przydasz się na wiele podczas ekspedycji...

Nie uszło uwagi Jake'a, że George – jako jeden z nielicznych – zwraca się do Shipleya po imieniu. Najwyraźniej nie miał żadnych głębszych przemyśleń na temat religii Nowych Kwaków.

– Właśnie że się przydam – odparł Shipley. – Kapitan Halberg z pewnością będzie miał mnóstwo broni do ochrony, ale może się zdarzyć, że ktoś z was odniesie rany, jakich nie przewidział.

To ich przekonało.

– Tylko jedna rzecz, doktorze – powiedział Jake. – Sam pan wspomniał o broni... Porucznik Halberg będzie dysponował wszystkim, począwszy od pianki paraliżującej, a skończywszy na zmrażaczach, nam zaś udostępni broń ręczną. Z tego, co wiem, Nowi Kwakrzy nie uznają stosowania przemocy bez względu na okoliczności.

– To prawda – przyznał Shipley miłym tonem. – Osobiście więc zrezygnuję z broni. Ale wy możecie podjąć decyzję zgodnie z własnym sumieniem.

Jake'owi nie spodobała się nuta świętoszkowatości, którą wyczuł w odpowiedzi Shipleya. Nie mógł jednak odmówić racji lekarzowi, a skimmer mieścił sześć osób. Poza tym Shipley zaliczał się do większych udziałowców, dobrze więc było trzymać z nim sztamę. Być może któregoś dnia będzie mógł oddać przysługę. Dla pewności Jake zerknął na Gail, która tylko wzruszyła ramionami i skinęła głową.

– No dobrze – zdecydował Jake. – Polecą pan z nami, doktorze. Wyruszymy, jak tylko skimmer wróci z mapowania.

Przygotowania potrwały dłużej. Halberg uparł się, żeby każdy zademonstrował mu biegłość w posługiwaniu się bronią ręczną. Ćwiczenia odbyły się z dala od obozu, na rozległej równinie, w miejscu, z którego wyruszyli Czejenowie Larry'ego Smitha. Jake tylko z rzadka opuszczał sterylne, w większości ogołoczone z roślinności strzeżone elektronicznym perymetrem granice Mira City. Dziwnie było stać na otwartej przestrzeni, wprost na gęstym purpurowym poszyciu. Co by było, gdyby coś tam w dole pełzało? W górze krążyły jakieś latające stwory, które pokrzykiwały wrzaskliwie... Jake ponownie poczuł się wyobcowany, co nie zdarzało mu się często pośród codzienności na Zielniku. Co te latawce jedzą? I jak agresywne bywają, gdy je zdenerwować?

Halberg przeciwiczył z nimi zbliżanie się w szyku do osady, wzajemne ubezpieczanie się za pomocą broni, przenoszenie rannych i wycofanie do skimmera. Shipley zasapany wziął udział w trzech z czterech ćwiczeń. Halberg przyglądał mu się z obojętną miną. Porucznik był zmodyfikowany genetycznie i przystojny, jak wszyscy członkowie załogi Scherera, i tak jak oni zachowywał powściągliwość wzorem swojego kapitana. Po dłuższym czasie poczuł się usatysfakcjonowany wynikami podopiecznych.

Gdy ćwiczenia dobiegały końca, Gail skontaktowała się przez komunikator z Jakiem.

– Tak się zastanawiam... Może powinniście zanieść tubylcom jakieś prezenty? Przejaw

dobrej woli nie powinien zaszkodzić.

– Masz na myśli podarki w rodzaju tych, jakie dostawali mieszkańcy Polinezji? – zapytał ją Jake. – Zresztą jakie prezenty można by zanieść Obcym?

– Zapytaj Shipleya – poradziła mu Gail.

Jake nie zrozumiał aluzji, ale zrobił, jak poleciła, i ku swemu zdziwieniu usłyszał gotową odpowiedź:

– Zgadzam się z Gail. Moglibyśmy im zanieść nieco ulepszone wersje przedmiotów, które znają i rozpoznają. Jakies garnki ze stopów albo ruszty na palenisko. Prędzej czy później natkną się nas i stwierdzą, że dysponujemy bardziej zaawansowanymi technologicznie przedmiotami niż ich. Garnki i ruszty przygotowują pod to grunt, nie przerażając ich zbyt.

– Skąd wytrzaśniemy ruszt?

– Gail powinna jakiś znaleźć.

W tym również Shipley się nie mylił. Gail wynalazła ruszt koronkowej roboty z włókna węglowego, wykonany przez jeden z botów. Przywiozła go łazikiem, pędząc przez równinę do ich prowizorycznego obozu niczym odsiecz kawalerii.

– Dostawa kurierska, to będzie równo trzy miliony dolarów, proszę pana.

– Cha, cha – zaśmiał się Jake bez cienia wesołości w głosie. – Jak się mają sprawy w Mira City?

– Pod twoją nieobecność wszystko legło w gruzach, zarozumialcze – odparła. – Nie, nie... Wszystko odbywa się normalnie. Jeden z ludzi Fengma złożył oficjalną skargę, że granica obozu biegnie o sześć cali za daleko. Zaczynam uważać, że Chińczycy są równie szaleni jak reszta, tyle że się z tym kryją.

Sześć cali. Rozumni Obcy na Zielniku i sześciocalowe przesunięcie granicy. Jake pokręcił głową.

W końcu oderwali się od podłoża i skierowali w stronę najbliższej osady.

Jake nie widział Zielnika z niskiej orbity aż do teraz; zbyt absorbowwały go sprawy obozu. Dzień, trwający tutaj dwadzieścia dwie godziny i szesnaście minut, powoli dobiegał końca. Zimne chłodne cienie kładły się na purpurowo-błękitnym podłożu. Barwa pochodziła od bakteriodopsyny, jak wyjaśnił mu George Fox, białka zbliżonego bardziej do ziemskich bakterii, które wykorzystują energię słoneczną, aniżeli do chlorofilu. Substancja ta była częścią wszystkich roślin na Zielniku.

Z poszycia niczym wieże strzelały w górę smukłe drzewa. Niebieska rzeka wiła się spokojnie szeroką wstęgą pomiędzy niskimi wzgórzami, przecinając zagajniki i łąki. Stado jakichś dużych szarych zwierząt ociężale zmierzało w stronę jeziora.

– Nazywamy je tilisami – rzekł George na ucho Jake'owi. – To ciepłokrwieńcy roślinożercy z mózgiem wielkości orzecha włoskiego. Poruszają się niezwykle wolno.

– Dlaczego nic ich nie zjada?

– Ależ zjada. Z tym że niełatwo je upolować. Jak widzisz, dorosłe osobniki mają na wierzchu sztywny pancerz. Poza tym wydaje nam się, że ich mięso ma nieprzyjemny dla większości drapieżników smak.

– Niech żyje ewolucja – stwierdził Jake.

Krajobraz się nie zmieniał, chociaż pokonywali setki mil. Było pięknie, spokojnie, monotonnie. W tej akurat części Zielnika brakowało gór, chociaż wszędzie indziej strzelały w niebo spiczastymi wierzchołkami. W porównaniu z Ziemią była to młoda planeta.

– Osada na szóstej – poinformowała porucznik Wortz z nosowym akcentem. – Lądowanie w toku.

Jake zastanowił się przelotnie, czy ktokolwiek z załogi Scherera potrafi się wyrażać normalnie, bez tego całego wojskowego slangu. Doszedł do wniosku, że najprawdopodobniejszym kandydatem jest Halberg. Angielszczyzna Wortz była na to zbyt ograniczona.

Jake spostrzegł, że z tej odległości osada wygląda dokładnie tak samo jak na zdjęciach. Kryte strzechą dachy, zewnętrzne paleniska, niewielkie pola... Paru Zwierzaków przechadzało się między chatami. Gdy ludzie pojawili się w drzwiach skimmera, tubylcy zatrzymali się i zaczęli obserwować intruzów.

Obserwowali, ale nie robili nic więcej. Troje dorosłych i jedno dziecko. Żadne z nich nie rzuciło się do ucieczki, nie drgnęło, aby się zbliżyć, ani nawet nie zmieniło wyrazu twarzy.

Prezes Korporacji Mira zaczerpnął głęboko tchu.

– Idziemy! – zakomenderował.

Pierwszy opuścił skimmer Halberg gotowy ubezpieczać pozostałych, gdyby okazało się to konieczne. Za nim ruszył Jake, który miał za sobą naukowców. Shipley zamykał stawkę. Jake już dawno się przekonał, jak oderwane i sztuczne wydają się najważniejsze chwile życia, zupełnie jakby człowiek przyglądał się sobie z zewnątrz. *Zmierzam na pierwsze w*

historii ludzkości spotkanie z Obcymi, pomyślał i chociaż coś ścisnęło go w piersi, nadal czuł się jak aktor odgrywający raczej śmieszna rolę.

Zwierzaki nie wykonały żadnego ruchu. *Naprawdę nic nie zrobią?* Najwyraźniej nie miały takiego zamiaru. Jake zwolnił i mając po swojej prawej Halberga, zatrzymał się kilka jardów od najbliższego. Rozciągnął wargi w uśmiechu. W dalszym ciągu żadnej reakcji.

– Witajcie – odezwał się ostrożnie.

Nic.

– Ludzie – powiedział, wskazując najpierw na siebie, a potem na Halberga.

Nic.

Zza jego pleców dobiegł szept Shipleya:

– Wręcz im prezenty.

Jake obrócił się lekko i już miał przy sobie lekarza – z garnkiem, o którym sam całkiem zapomniał. Ingrid i George wszystko nagrywali. Jake odebrał naczynie z rąk Shipleya i wyciągnął je w stronę jednego ze Zwierzaków. Pozostała trójka ani drgnęła, nawet dziecko.

Wybrany Zwierzak spojrział na lśniący garnek, ale nie uczynił żadnego ruchu, aby go przyjąć. Jake trzymał naczynie w wyciągniętych rękach przez dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści. W końcu położył je u stóp Zwierzaka i z uśmiechem powiódł palcem od niego do garnka.

– Wycofaj się – szepnął Shipley – to może zrozumie, że prezent jest dla nich.

Jake postąpił zgodnie z radą. Zwierzak przyglądał się temu obojętnie. Minęła pełna minuta. Po tym czasie Zwierzak odszedł, pozostawiając garnek na ziemi. Halberg stężał. Zwierzak zbliżył się do skraju pola, podniósł coś, co przypominało prymitywną motykę, i zaczął okopywać rośliny. Pozostałe Zwierzaki też wróciły do swoich zajęć.

George skomentował:

– Chyba zostaliśmy zignorowani.

– Raczej – skontrował Jake – ledwie nas zauważyły. Stanowiliśmy tylko krótkotrwałą przerwę w rutynie.

– Co teraz? – zniecierpliwiła się Ingrid. – Wejdziemy do wioski?

– Odradzam – rzucił Halberg.

– Och, poruczniku, na miłość boską – warknęła genetyczka. – Wszystko wskazuje na to,

że nie są wrogo usposobione. Zresztą jaki sens był tu przylatywać, skoro nie nawiązemy żadnego kontaktu?

Do rozmowy włączył się George.

– Jake?

– Chyba możemy spróbować – rzekł bezradnie. *Co można zrobić, gdy Obcy nie zwracają na człowieka uwagi?*

Ruszyli naprzód grupą. Jeden dorosły Zwierzak podszedł z dzieckiem do paleniska i właśnie mieszał coś w dużym garnku. Dolatywał stamtąd potworny smród. Kiedy ludzie się zbliżyli, dorosły Zwierzak podniósł spojrzenie, ale nie przestał mieszać. Dziecko stało obok równie obojętne.

Dzieci, o ile się nie wstydzą, są ciekawskie. Powolnym ruchem Jake sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyciągnął małą latarkę. Była jaskrawopomarańczowa i miała niebieski przycisk. Gdy Jake go wdusił palcem, na kamienie paleniska padł snop światła. Następnie Jake zwolnił przycisk i podał latarkę dziecku. Usłyszał, jak ktoś wciąga szybko powietrze. Przez głowę przemknęły mu obrazy zwierząt broniących swoich młodych, jednakże nie cofnął ręki z latarką.

Dziecko po nią nie sięgnęło.

Jake położył ją na skraju paleniska, po czym cofnął się o krok. Dziecko w dalszym ciągu nie sięgnęło po latarkę. Dorosły Zwierzak nadal mieszał w garnku.

– Jezu Chryste – skomentowała Ingrid. – One są albo głupie, albo ślepe.

George stwierdził:

– Skoro nie zwracają uwagi na to, co robimy, chciałbym zebrać kilka próbek.

– Odradzam! – powtórzył Halberg.

George zignorował żołnierza i zbliżył się do dziecka. Położył mu dłoń na futrzastej głowie. Jake sprężył się, czekając na atak. Dziecko spojrzało przelotnie na George'a, po czym wróciło do przyglądania się garnkowi. George sprawnie uciął kosmyk futra za pomocą nożyczek ukrytych przemyślnie w zagłębieniu dłoni. Żaden ze Zwierzków nie zareagował.

Zwierzak z motyką dalej dziobał ziemię. Czwarty Zwierzak wszedł do chaty.

Jake perwersyjnie zapragnął jakiegokolwiek reakcji tubylców. Wszystko – atak, furia – byłoby lepsze od tego statecznego udawania, że ludzie nie istnieją, że są niewiele lepsi od duchów.

– Idziemy w stronę tej chaty – powiedział na głos.

Halberg nie rzucił swojego „odradzam”. Może nawet jego sfrustrowało to zachowanie, nie zachowanie. Piątka ludzi skierowała się ku otwartym drzwiom najbliższej chaty. Nikt nie próbował ich zatrzymać. Jake zajrzał do środka, mając u swego boku ciekawskiego George’a, podczas gdy Ingrid i Shipley tłoczyli się z tyłu.

W środku zobaczyli postanie ze ściętych gałęzi drzewa, garnek pełen tej samej śmierdzącej potrawy co na zewnątrz i dorosłego Zwierzaka, który karmił małe dziecko. Musiała to być samica, ponieważ leżąc na ziemi na boku, odsłaniała wystający spomiędzy rudobrązowych włosów sutek, do którego przyssało się niemowlę. Ona także wpatrywała się tępo w przyglądających się jej ludzi.

Jake stracił nagle chęć na dalszą eksplorację.

– Wystarczająco nadużyliśmy cierpliwości tych... ludzi. Wracamy do skimmera.

Opuścili chatę i zawrócili do skimmera. Żaden Zwierzak ani nie podniósł głowy, ani nie oderwał się od pracy, gdy wsiadali na pokład i odlatywali.

– Coś bardzo mi tu nie pasuje – stwierdził George Fox.

Biorący udział w spotkaniu William Shipley wiedział, że daje plamę.

Spotkania religijne były dla niego zazwyczaj najjaśniejszym punktem tygodnia. Opróżniał z wszystkiego umysł i czekał w błogosławionym milczeniu, aż spłynie na niego Światło. Jeśli tak się nie stało, ktoś inny z zebranych – natchniony swoim wewnętrznym światłem – wstawał, żeby wygłosić kazanie. Było ono na ogół pełne harmonii i prostoty i przesycone prawdą, dzięki czemu Shipley opuszczał miejsce spotkania podniesiony na duchu i uspokojony. Działo się tak nawet wtedy, gdy przez całą godzinę nikt nic nie powiedział. Wspólne milczenie również oznaczało duchowość dzieloną z innymi i słodsza od słów.

Nie tego tygodnia jednak. Shipley powiódł spojrzeniem po wiernych zebranych na pianodlewowych ławach nowego domu zgromadzeń. Sam budynek, też z pianodlewu, był pozbawiony okien i jakichkolwiek upiększeń. Nowi Kwakrzy, podobnie jak dawni, nie uznawali obrazów, liturgii, kapłanów i teologii.

Wcześniej spotykali się pod gołym niebem, jednakże od trzech tygodni z rzędu mocno padało. W związku z tym skierowali siły i środki na budowę domu zgromadzeń. W tej chwili było ich w Mira City już dziewiętnaście, wszystkie z pianodlewu, przy czym resztę zabudowań stanowiły bądź namioty, bądź zaadaptowane fragmenty *Ariela*, które zdawały się w tym otoczeniu metalową anomalią. Fajsal twierdził, że w medynie Arabowie rozpoczęli budowę rezydencji z miejscowego drewna pozyskanego metodami ekologicznymi. Jak dotąd powstał tylko szkielet. Poza tym całe Mira City stanowiło mieszaninę zielonych dmuchańców i szarych domów zgromadzeń.

Od pół godziny niemal setka wiernych siedziała w milczeniu, ze spuszczoneymi lub zamkniętymi oczami. Brakowało paru członków zgromadzenia. Alia Benton złamała sobie goleń w wyniku upadku i na polecenie Shipleya została zapakowana w genemodowy gips, który ułatwiał zrastanie kości. U Paula Dubrowskiego wywiązała się reakcja alergiczna, co samo w sobie było ciekawe, znaczyło bowiem, że ludzki system odpornościowy przyzwyczajają się do alergenów Zielnika. Marlie i Harrel Forresterowie zostali przekierowani do innego domu zgromadzeń, podobnie jak młody Guy Lowell, którego Shipley podejrzewał o zainteresowanie pewną młodą kobietą z tamtego grona. Wreszcie – co oczywiste – brakowało Naomi.

Jednakże to nie nieobecność córki tak rozkojarzyła Shipleya...

W końcu ze swojego miejsca podniosła się Farley.

– Cały tydzień ze sobą walczyłam – powiedziała. – Koleżanka z cieplarni, niebędąca członkiem Nowych Kwaków, miała naszyjnik z pięknych różowych kamieni. Chciałam taki. Zapytałam ją, czy mi go sprzeda. Odparła, że tak. Wiem jednak, że naszyjnik tylko by mnie odciągał od prostoty. Czuję to w środku. To nie ja bym posiadała naszyjnik, tylko on mnie by posiadał. Dlatego go nie kupiłam... choć nadal go pragnę.

Skończyła mówić i usiadła – piękna młoda kobieta niepokojona przez sznur różowych kamieni.

Nie, nie tylko przez niego. Także przez wewnętrzną walkę z materialistycznymi pragnieniami. Ktoś, kto ma głowę zaprzątniętą przedmiotami, nie nadaje się do siedzenia w milczeniu i nasłuchiwania cichego głosu Boga.

Tak samo jak ktoś, pomyślał Shipley, kto ma głowę zaprzątniętą informacją genetyczną.

George Fox, Ingrid Johnson i Todd McCallum mieli się zebrać później tego samego dnia, aczkolwiek w innych okolicznościach, aby omówić wyniki testów genetycznych przeprowadzonych na włosie tubylczego dziecka. Biolog i genetycy pracowali zawzięcie od tygodnia. W tym czasie Jake powiódł ekspedycje do dwu z trzech pozostałych osad i także miał przedstawić wyniki. Zaledwie tego ranka zaś kolejna grupa osób została podrzucona na obrzeże pierwszej wioski z zadaniem sprawdzenia, czy dłuższy kontakt zrobi jakieś wrażenie na Zwierzakach. Nic z tego nie powinno zaśmieszać umysłu Shipleya w trakcie spotkania religijnego.

Tymczasem głos zabrał David Ornish:

– Nowi Kwakrzy nie pożądamy wielu rzeczy w swoim życiu. Dlatego przylecieliśmy tutaj. Aby nasze dzieci, uwolnione od ciągłego pragnienia przedmiotów, mogły odnaleźć Światło.

Usiadł z powrotem, czemu towarzyszyło skrzypnięcie ławy.

Minęło kolejne dziesięć minut. Następna była Olivia Armstead. Widząc to, Shipley zdusił w sobie nieprzychylny jęk. Olivia była inteligentną, dobrze wykształconą kobietą, która nie wiedziała, kiedy przestać. Nieraz się zdarzało, że po dwudziestu minutach albo nawet półgodzinie ktoś wstawał, aby jej powiedzieć: „Siostró, postaraj się wreszcie skończyć”.

– Ci tubylcy na Zielniku – rzuciła teraz bez żadnych wstępów. Wszyscy już wiedzieli o Obcych i w większości oglądali przekazy, gdy tylko nadarzyła się przerwa w mozolnym stawianiu od podstaw obozu pionierów. – Patrząc z historycznej perspektywy, jest pięć rodzajów relacji, które mogą połączyć różne ludy.

I zaraz usłyszymy o wszystkich pięciu, pomyślał Shipley. Zmusił się jednak do słuchania. Skoro Olivia uznała za stosowne poruszyć ten temat, był on częścią jej światła i częścią prawdy, która ujawniała się, gdy Światło wydobywało z wiernego to, co najlepsze.

– Po pierwsze może panować całkowita obojętność i zupełny brak kontaktów, gdy dwa kraje odmawiają wzajemnego uznania się i nawiązania stosunków. Po drugie możemy mieć do czynienia ze zdrowymi negocjacjami, paktami wzajemnej pomocy, umowami handlowymi, arbitrażem i otwartymi granicami, jak w wypadku stosunków Nowych Kwaków z Korporacją Mira tutaj, na Zielniku. Po trzecie zdarza się utajona walka, bez otwartej wrogości, ale też bez chęci dogadania się, za to z akcjami wywrotowymi mającymi na celu podkopywanie nawzajem swojej pozycji. Po czwarte może dojść do relacji panujący–poddany, bądź to w łagodnej, bądź w autorytarnej formie. Coś takiego wystąpiło w ziemskiej historii nie raz i nie dwa, zwłaszcza w wypadku imperiów i ich kolonii. Po piąte dochodzi do wojny. Nie wolno nam wywołać wojny ze Zwierzakami. Nie wolno nam też ich podbić ani zwalczać potajemnie, ani nawet udawać, że nie istnieją. Musimy traktować ich jak sprzymierzeńców. – Skończywszy mówić, usiadła.

Shipley był pod wrażeniem. Olivia wykazała się nie tylko bystrością, ale też zwięzłością. Pozostawało tylko pytanie, jak uważać za sprzymierzeńca Obcych, którzy odnoszą się do ludzi z kompletną obojętnością.

Nikt więcej się nie odezwał. Gdy godzina upłynęła, David Ornish sięgnął po dłoń osoby siedzącej obok niego. Wszyscy podnieśli głowy i złapali się za ręce. Przejście z wewnętrznej wiary do zewnętrznej aktywności było oczywiste. Spotkanie dobiegło końca.

Ludzie wyszli przed dom zgromadzeń i zaczęli ze sobą rozmawiać. Ta grupa okazała się dość towarzyska. Wielu wiernych wydawało się odświeżonych i oczyszczonych. Shipley pomyślał, że jeśli o niego chodzi, równie dobrze może się zająć swoimi pożywkami i kulturami bakterii. Tym razem nie udało mu się zaznać Światła.

Ruszył szybkim krokiem po niebrukowanych „ulicach”. Ostatnimi czasy zrobiły się czystsze, odkąd zniknęły z nich kupy śmieci, a w paru miejscach nawet wyrosły grządki z przeplancowanymi lokalnymi kwiatami, które zaaprobowała ekolożka Maggie Striker.

Przed odkryciem Zwierzaków George Fox zajmował się systematyką i genetyką tubylczej flory. Odkąd jednak skupił się na obcych próbkach, ludzie sami zaczęli nadawać nazwy najładniejszym kwiatom. Shipley na własne uszy słyszał, jak ten sam delikatny fiołkowy kwiat jest nazywany „księżycowym zieleń”, „fiołuchą” i „słodziejką”.

Gdy dotarł do namiotu, Ingrid Johnson już przemawiała. Naukowcy i członkowie rady zarządzającej przysłuchiwali się jej z zainteresowaniem, którego Shipley nie był w stanie wykrzesać z siebie podczas wcześniejszego spotkania.

– Todd i ja zakończyliśmy analizę genetyczną. Mówiąc krótko: genom Zwierzaków jest oparty na DNA, jak wszystko, na co natrafiliśmy w kosmosie. To tylko umacnia teorię panspermii. Zwierzaki w dużym stopniu przypominają ziemskie ssaki: są ciepłokrwiste, prawdopodobnie żyworodne. Pióropusz ciemniejszych włosów na grzbiecie zdaje się występować tylko u samców. Geny, który odpowiadają systemowi nerwowemu innych miejscowych ssaków, nie są zbyt liczne. Gatunek ten jest raczej stary, w jego genomie znaleźliśmy „skamieniałości” odpowiedników wirusów. Spróbowaliśmy rozczytać ekspresję genów, jednakże bez próbek tkankowych Zwierzaków możemy tylko zgadywać. Za podstawę bierzemy dane, które pozyskaliśmy z innych gatunków miejscowych ssaków, one jednak mogą, ale nie muszą być dobrym przykładem.

– Innymi słowy – wtrącił Todd z tym swoim spokojnym uśmiechem, który zawsze znacznie bardziej przemawiał do Shipleya od asertywności Ingrid – wiemy, że nic nie wiemy.

– To nieprawda, Todd. – Ingrid nie zgadzała się nawet z własnym mężem. – Mamy pewne informacje.

– No dobrze – przerwała im Gail, która pełniła funkcję moderatora. – Pełnego raportu wysłuchamy później. Czy laicy coś z tego rozumieją?

– Nie – odparła natychmiast Ingrid.

– Tak – powiedział Todd. – Pod warunkiem, że postaramy się wam wytłumaczyć.

Gail się uśmiechnęła.

– Kto następny? Jake?

– Złożyliśmy wizytę w trzech pozostałych osadach, które zdają się zgrupowane. Spotkaliśmy się z identyczną reakcją. Przywitała nas totalna obojętność. Zupełnie jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Pozostawiliśmy trochę prezentów, po czym gdy tam wróciliśmy, przekonaliśmy się, że Zwierzaki używają naszych garnków i rusztów, ale nie dają w żaden

sposób poznać po sobie, że te rzeczy mają z nami jakiś związek.

– Jedna wioska jest dokładnie tych samych rozmiarów co pierwsza. Dwie pozostałe są mniejsze. W gruncie rzeczy jedną zamieszkuje tylko szesnaście osób, przy czym siedem chat stoi pustych.

– To wymierający gatunek? – zapytał Shipley, łamiąc złożoną sobie obietnicę, że będzie tylko słuchał.

Jake wykonał dziwny gest lewą ręką, przecinając nią powietrze.

– Na to wygląda. Poszukaliśmy nawet czegoś w rodzaju cmentarza, ale niczego takiego nie znaleźliśmy. Może nie mają żadnych rytuałów pogrzebowych.

– Jestem biologiem, nie antropologiem – wtrącił George Fox – ale żadna ludzka cywilizacja na tym poziomie rozwoju nie była pozbawiona rytuałów pogrzebowych.

– Cóż, może w takim razie jednak je mają, tylko my ich nie zauważyliśmy – rzucił Jake.

Shipley zauważył, że ten temat z jakiegoś powodu go zmieszał.

– Może to wynik zarazy? – podsunęła Gail. – Może mamy do czynienia z jedynymi osobnikami, którzy ją przeżyli?

– Nie – rzekła Lucy Lasky. – To niemożliwe.

Shipley przyjrzał się jej uważniej. Lucy mówiła z wielką pewnością siebie, ale unikała słuchaczy wzrokiem. Na policzki wystąpiły jej rumieńce. Najwyraźniej wciąż bardzo się wstydziła swojego załamania na *Arielu* i obawiała się, że przez to nikt nie weźmie jej poważnie. Z drugiej strony wydawało się, że wie, co mówi.

Najbardziej wystawieni na ciosy, pomyślał Shipley, są zawsze skrupulatni i pracowici. Ci, którym zależy. W przeciwieństwie do nich ci, którzy mieli wszystko gdzieś i chcieli tylko dotrzeć do końca swojej zmiany, nie przejmując się otoczeniem, byli chronieni przed wstydem własną obojętnością.

Ta uwaga dotyczyła między innymi Naomi.

Tymczasem Lucy zmusiła się, aby pociągnąć temat:

– Wiem, że mówiłam to już wcześniej. Ale naprawdę nie ma żadnych skamieniałości Zwierzaków. To nie jest liczny gatunek starty przez zarazę z powierzchni Zielnika. Zwierzaki nawet tutaj nie wyewoluowały. Byłam z Jakiem w jednej wiosce i przeprowadziłam sondowanie podziemne. Stwierdziłam występowanie warstw archeologicznych, których nie ma pod Mira City. Być może Zwierzaki zamieszkują tę planetę od tysiąca lat. Nie dłużej jednak. Nie ma na to żadnych dowodów

paleontologicznych.

– Lucy, gdyby byli tu od tysiąca lat – powiedział Todd – powinno być ich więcej. Tymczasem pula genowa jest niezwykle skromna.

– To prawda – zgodziła się z nim Lucy. – Właśnie to staram się wam powiedzieć. Że dowody do siebie nie pasują. Zwierzaki nie wyewoluowały na Zielniku. Zostały tutaj sprowadzone przed, powiedzmy, tysiąc dwustu ziemskimi latami. Sprowadzone – podkreśliła.

– Ale przez kogo? – zapytał łagodnie George. – Nigdzie poza Układem Słonecznym nie natknęliśmy się na życie rozumne, o cywilizacji zaawansowanej technologicznie nie wspominając. Gdyby istnieli nasi bracia w rozumie, wykrylibyśmy ich albo co bardziej prawdopodobne, oni skontaktowaliby się z nami. W skali wszechświata jesteśmy bardzo blisko domu, nie zapominaj o tym.

– Wiem to wszystko – rzekła Lucy z godnością.

Shipley przypomniał sobie nagle tamten obiekt, który minął *Ariela* z prędkością dziewięćdziesięciu ośmiu procent prędkości światła, gdy statek znajdował się jeszcze lata świetlne od Zielnika. Koniec końców wszyscy uznali, że albo to był błąd maszyny, albo mieli do czynienia z obiektem naturalnym, ponieważ nie był w stanie wykryć *Ariela*. Jedynie Erik Halberg pozostał przy swoim zdaniu.

– Dostępne dowody wskazują, że Zwierzaki zostały sprowadzone na Zielnik – powtórzyła Lucy.

– Chyba chcesz powiedzieć: nieistniejące dowody – poprawiła ją Ingrid. – Mówisz o tym, czego nie ma. Przynajmniej na razie.

– Kapitanie? – Gail zwróciła się do Scherera.

– Dane satelitarne nie pokazywać więcej osad Zwierzaków na Zielniku – powiedział kapitan Scherer z ciężkim niemieckim akcentem. – Ale ja być ostrożny. My mieć dobrą rozdzielczość, do ćwierci metra, i komputer dalej przetwarzać obrazy. A planeta duża. Jeśli jakieś wioski być małe i schowane pod dużymi drzewami, my ich nie znaleźć. Ale wciąż szukać. Na razie nic, co my odkrywać, nie przedstawiać zagrożenia dla ludzi.

Ingrid wtrąciła cierpko:

– Nie może pan wiedzieć, czy Zwierzaki nie stanowią zagrożenia biologicznego. Weźmy choćby zakażenie pasożytami. Właśnie dlatego Todd i ja powinniśmy...

Wpadł jej w słowo George:

– Niemożliwe, kapitanie, żeby na Zielniku były tylko te cztery osady Zwierzaków. To by było niespotykane.

– My znajdować tylko jedno skupisko – rzekł sztywno Scherer.

Lucy wyglądała, jakby się miała rozpłakać.

– Założmy na moment – powiedział delikatnie Jake – że to wygnańcy przesiedleni tutaj przez własny gatunek... coś na podobieństwo kolonii karnej czy wygnańców politycznych albo medycznej kwarantanny...

– Kwarantanny? – podchwycił zaniepokojony Shipley.

George'owi zaświeciły się oczy.

– To by tłumaczyło ich zubożenie!

– Zakładając, że to prawda – odezwała się Gail. – Doktorze, czy oni mogą być dla nas niebezpieczni?

– Rzadkością jest przenoszenie się chorób z gatunku na gatunek, nawet gdy mówimy tylko o Ziemi, a co dopiero w wypadku odmiennych ścieżek ewolucji. Poza tym każdy mikrob potrzebowałby czasu, aby się w nas zaadaptować. Nie, nie sądzę, żeby nam coś groziło.

Gail poczuła ulgę.

Ingrid rzuciła niecierpliwie:

– Cała planeta przeznaczona na cele kwarantanny albo kolonii karnej? To lekka przesada, gdyby mnie ktoś pytał. Poza tym nadal nie jestem przekonana, czy te futrzaste bestie nie pochodzą stąd.

– To nie bestie – zaproponował Shipley. – To...

Gail nie dała mu skończyć.

– Cóż, skądkolwiek się wzięły i z jakiegokolwiek powodu, teraz są tutaj. Z naukowego punktu widzenia roztrząsanie tego jest interesujące, ale od strony praktycznej nie widzę żadnej różnicy dla Mira City. Zwierzaków jest garstka, wszystkie znajdują się ponad sto mil od nas i w żaden sposób nas nie zaczepiają. Jeśli dadzą nam do zrozumienia, że nie życzą sobie naszej obecności w okolicy swojej osady, my także przestaniemy je zaczepiać. Tak czy owak, nic z tego nie ma najmniejszego wpływu na nasze plany. Zgodzicie się ze mną?

Obecni wbili w nią spojrzenia. Zszokowany Shipley szepnął:

– Gail... zamierzasz je zignorować? Zamierzasz zignorować jedyny kontakt, jaki

ludzkość nawiązała z obcym rozumnym gatunkiem?

W tym momencie do dyskusji włączył się milczący dotąd Fajsal bin Saud.

– Na moje oko wcale nie są takie rozumne. Zgadzam się z Gail. Zwierzaki nie mają dla nas znaczenia.

– Co jeszcze mamy pańskim zdaniem zrobić, doktorze? – zapytała Gail. – Przecież wysłaliśmy raport na Ziemię, prawda?

– Jeszcze nie – sprostował George Fox. – Ponieważ transmisja kwantowa kosztuje, chcieliśmy najpierw zebrać więcej pewnych danych. Poza tym tak nas pochłoneło badanie Zwierzaków, że...

– Na tym polega prawdziwy problem? – rzuciła z zacietrzewieniem Gail. – Połowa uczonych bądź znajduje się w osadzie Zwierzaków, bądź dniem i nocą analizuje pozyskane dane, a reszta prac leży odłogiem. Doktorze, jestem panu wdzięczna, że przynajmniej pan pozostaje w gotowości, na wypadek gdyby jakiś człowiek potrzebował pańskiej pomocy. Ale Ingrid, Todd, George... Thekla skarży się, że wasz wkład w projekt agrarny uległ praktycznie zahamowaniu. George, nie mamy od ciebie spisu potencjalnie trujących roślin i zwierząt. Jake, problemy administracyjne...

– Dobrze, już dobrze – przerwał jej cierpko Jake, zadziwiając Shipleya. Prezes Korporacji Mira na ogół zachowywał kamienną twarz. – Rozumiemy, do czego zmierzasz, Gail.

– To dobrze. Kto obozuje w pobliżu osady? I kto zamierza się tam wybrać dzisiejszego popołudnia?

– Ja – wyrwała się Lucy.

Nikt jej nie zabronił. Mira City niespecjalnie potrzebowało paleontologa ewolucyjnego.

– I ja – dodała Ingrid. – Próbki tkanek...

– Próbki tkanek mogą poczekać – ucięła Gail.

– Ale kwestia możliwego skażenia biologicznego...

Tym razem wpadł jej w słowo Jake:

– Będziemy musieli podjąć to ryzyko. Ale wiesz co, Ingrid? Sporządzisz raport dla Ziemi.

Ingrid uśmiechnęła się zadowolona niczym pogłaskany kot. Shipley domyślał się, że ten, kto przekaże wiadomość o Obcych na Ziemię, będzie miał zapewnione miejsce w historii. Jake znał się na ludziach. Ingrid momentalnie przestanie zależeć na kolejnej wycieczce do

osady Zwierzaków. A ponieważ transmisja kwantowa jest kosztowna i nie można za bardzo obciążać łącza, jej raport będzie musiał być krótki. Dzięki temu będzie miała czas na inne swoje obowiązki.

Kapitan Scherer zameldował precyzyjnie:

– Pięć osób przebywać w wiosce Obcych. Szeregowy Mueller dla ochrony. Dwoje naukowców...

– Nasi genetycy – wtrącił Todd z wysiloną serdecznością. – Mieli zastąpić mnie i Ingrid do czasu, aż przeanalizujemy dane z włosa Zwierzaka. Po południu...

– Nie, zostaniecie tutaj – rzekła Gail. – W osadzie może zostać jeden wasz pracownik. Dokonajcie wyboru. Drugi wróci tym samym skimmerem, który zawiezie na miejsce Lucy. My tu kolonizujemy planetę, a nie badamy ją – przypomniała wszystkim.

Wy zaś podpisaliście kontrakty, dodała już tylko w myślach. Shipley przypuszczał jednak, że wszyscy i tak usłyszeli niewypowiedziane przez nią słowa. Jake byłby subtelniejszy. Jednakże zdążył popaść w zadumę i zdawał się wyłączony.

– ...jeden członek grupy księcia Fajsala – podjął kapitan Scherer.

– Mój piąty syn – wyjaśnił Fajsal. To była nowość dla Gail, nawet jeśli Jake nie był zdziwiony. – Interesują nas tubylcy. Salah prowadzi badania w naszym imieniu.

– Interesują was tubylcy? – powtórzyła Gail, marszcząc brwi. – To znaczy?

Fajsal posłał jej czarujący nieprzenikniony uśmiech.

– Mówię tu o czysto intelektualnym zainteresowaniu, Gail.

– Dobrze. A ta piąta osoba...

– Panna Frayne – dokończył kapitan Scherer.

Serce Shipleya fiknęło koziołka. *Naomi? A co ona tam robi? Nic mi nie mówiła.*

– Co ona tam robi? – zapytała na głos Gail. – Nie jest naukowcem.

– Prosić, żeby pójść – wyjaśnił Scherer.

– Połowa Mira City chciałaby chociaż zerknąć na Obcych! Kapitanie, kto dał na to pozwolenie?

– Ja – odparł Scherer.

Przy stole zapadła cisza. Scherer wpatrywał się w przestrzeń przed sobą, jednakże grdyka ponad kołnierzykiem munduru mu drżała. Shipley przyglądał się temu w oszołomieniu. *Naomi w osadzie Zwierzaków...*

– Dlaczego, kapitanie? – zapytała twardo Gail. – Oczywiście to leży w pańskiej gestii,

ale dlaczego dał pan Nan Frayne pozwolenie na wyprawę do osady Zwierzaków?

– Ja nie widzieć powodu, żeby odmówić panie Frayne – powiedział Scherer, co nie było żadnym wytłumaczeniem.

Shipley poczuł w głowie zamęt. *Co łączy Naomi i tego człowieka? Na pewno nie chodzi tylko o to, co samo się nasuwa na myśl. Scherer jest zbyt opanowany, zbyt karny, żeby dać się przekupić seksem, a poza tym Naomi raczej nie wydaje się w jego guście. Zatem o co może chodzić?*

Jake przerwał niezręczne milczenie:

– W porządku, koniec z badaniami w wiosce Zwierzaków. Ingrid, zostaw na miejscu jednego pracownika, a drugiemu przez komunikator każ wrócić razem z kapitanem Schererem, który podrzuci tam Lucy. Lucy, będzie ci potrzebny ktoś do pomocy?

W tym momencie do rozmowy włączył się Fajsal:

– Pani doktor, mój syn Salah z radością zostanie pani asystentem. Nie ma pojęcia o paleontologii, jak większość z nas, ale będzie w stanie zapewnić wszystko, co jest w możliwościach medyny.

Lucy potrafiła wykorzystać okazję, gdy się nadarzała.

– Dziękuję, panie Saud – odpowiedziała. – Jestem pewna, że Salah bardzo mi się przyda.

Słyszając te słowa, Jake Holman się skrzywił.

– Przejdźmy zatem do spraw kolonii – odezwała się Gail. – Jake, w sprawie paneli słonecznych...

Shipley się wyłączył. Wymknął się z namiotu, unikając wzrokiem obecnych. Na zewnątrz ruszył prosto przed siebie, kierując się na skraj Mira City. Po drodze kiwał szorstko głową każdemu, kto go zagadnął, nie zatrzymywał się jednak. Zanim dotarł do ostatniego budynku, dyszał z wysiłku.

Poza granicami rodzącego się miasta płynęła szeroka rzeka wijąca się między brzegami porośniętymi poszyciem i upstrzonymi dzikimi kwiatami. Były bardzo piękne, chyba jak wszystkie kwiaty. Starożytni Egipcjanie obdarowywali swoich zmarłych na drogę w zaświatach kwiatami, które traktowali jak jeden ze skarbów. Ale ponieważ George Fox w dalszym ciągu badał miejscową florę pod kątem substancji toksycznych i niejadalne kwiaty nie znajdowały się wysoko na liście priorytetów ziemskiego biologa, nikt jeszcze nie wiedział, ile z tych cudnych kwiatów może być trujących.

Jak dotąd ludzie mieli nadspodziewane szczęście. Zdaniem George'a nie mogło być lepiej. Dzięki temu, że życie na Zielniku było oparte na DNA, koloniści mogli zmienić genom części roślin, czyniąc je strawnymi dla ziemskich przybyszy. Nasiona zmodyfikowanych genetycznie gatunków powinny zostać wysiane, jak tylko genetycy i agronomowie skończą się z nimi zabawiać. Z drugiej strony odmienne ścieżki ewolucji na Ziemi i na Zielniku oznaczały, że miejscowe pasożyty nie są w stanie atakować ludzkich trzewi, oczu i mózgów. To samo mogło być prawdą w odniesieniu do toksyn roślinnych, które powstały, aby krzywdzić życie inne od ludzkiego. Jak dotąd okazało się niebezpieczne tylko jedno drapieżne pnącze nazwane „czerwonym pełzakiem”. Oplatało niewielkie ssaki swymi zadziwiająco sprawnymi, sięgającymi podłoża wąsami, po czym rozpuszczało ich ciała. Dlatego w obrębie Mira City wypleniono je do szczętu.

Na razie ten odcinek rzeki wraz z bujnie porośniętymi brzegami znajdował się poza granicami miasta i jako taki zaliczał się do terenów potencjalnie niebezpiecznych. I to mimo że właśnie rzeka była powodem, dla którego ludzie tu się osiedlili. Biolodzy zaczęli od sprawdzenia wody w rzece. George ustalił, że będą potrzebne filtry – z powodu wysokiego poziomu mikroelementów (Shipley nie pamiętał jakich) oraz niezidentyfikowanych mikrobów, które mogłyby...

Jakie to ma teraz znaczenie?!

Shipley wyciągnął komunikator.

Kierujący się prostotą Nowi Kwakrzy zwyczajowo nie używali komunikatorów. Jednakże religia ta była znacznie bardziej elastyczna, niż wydawało się autsajderom. Sumienie każdego człowieka znaczy więcej od zasad, a Shipley był przecież jedynym lekarzem na pięć tysięcy osób. Korzystał z komunikatora, ażeby pacjenci mogli się z nim szybko porozumieć w razie potrzeby, tak samo jak podpierał się komputerem przy stawianiu diagnozy. Wszystko sprowadzało się do tego, aby nie odwracać się od technologii – co próbowali uczynić Czejeni Larry'ego Smitha – lecz podporządkować ją sobie dla dobra ludzkiej duszy. Tak czy owak po raz pierwszy Shipley skorzystał z komunikatora w celach prywatnych.

Nie znał osobistego kodu Naomi, jeśli go w ogóle miała. Znając swoją córkę, zakładał jednak, że Naomi posługuje się komunikatorem bez ograniczeń. Znał za to kod do szeregowego Muellera, młodego mężczyzny, który był jeszcze cichszy od większości Szwajcarów.

Mueller odebrał bezzwłocznie.

– *Ja*. Szeregowy Mueller.

– Tu William Shipley. Chciałbym rozmawiać z Naomi Frayne.

– Przełączę pana, doktorze – warknął Mueller.

– Słucham.

– Naomi? Mówi twój ojciec.

– Tato? Cóż to, zauważyłeś, że twoja córka marnotrawna zniknęła?

Shipley zapytał bez ogródek:

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że wybierasz się do osady Obcych?

– Może zacniemy od tego, czemu to cię tak obchodzi. I tak ci nie uwierzę, ale możesz mi powiedzieć.

Powściągnął rozpacz.

– Naomi, co ty tam robisz? Ingrid Johnson twierdzi, że istnieje ryzyko złapania pasożytów albo zakażenia od...

– Wiesz co, tato? Jak złapię tutejsze pchły, obiecuję, że nie będę się do ciebie zbliżać.

Zmilczał, czując, jak zalewa go bolesna fala dobrze mu znanej frustracji i poczucia winy.

Och, Naomi...

Jej głos nieoczekiwanie zmiękł.

– Nie uwierzysz, ale ja tutaj pracuję. Co na to powiesz?

– Pracujesz?

– Czynię obserwacje. Robię notatki. Sprawdzam, w jaki sposób się komunikują. Może dzięki temu zrozumiemy ich lepiej.

– Naomi, przecież ty nie masz pojęcia o... – Urwał. Jak zwykle podszedł do tego niewłaściwie.

– Nie mam pojęcia o niczym? To chciałeś powiedzieć, tato? Biedna, niewykształcona, beżużyteczna Nan. Tylko że ta praca polega głównie na siedzeniu w bezruchu, uważnej obserwacji i obsłudze sprzętu nagrywającego. Choć to może cię dziwić, potrafię robić te trzy rzeczy nie gorzej od tresowanego pawiana.

– Przepraszam... – rzucił kornie. – Czy... czy ta praca cię interesuje?

Ponownie jej głos stał się cieplejszy.

– Jest ciekawa na swój beznadziejny sposób. Twoja bezwartościowa córka może się jeszcze przyczynić do odkrycia naukowego.

– To wspaniale, kochanie. – Chciał ją zapytać o Scherera, o to, dlaczego kapitan ją tam przywiózł, ale nagle przestraszył się, że zniszczy to nieoczekiwane porozumienie. – Uważaj na siebie.

– Ty też, tato. Cześć.

Przerwała połączenie. Shipley gapił się chwilę na komunikator w dłoni, po czym przeniósł spojrzenie na zakole rzeki oflankowane przez porośniętą purpurą ziemię. Nie widział ani jednego, ani drugiego. Czy to możliwe, że Naomi... znalazłszy w końcu jakieś konstruktywne zajęcie... odnajdzie też swoje wewnętrzne światło?

Ogarnęła go radość. Zamknął oczy. Chociaż wiedział, że to przedwczesne, niezasłużone, ba, nawet śmieszne, pozwolił, aby zalała go fala przepełnionej wdzięcznością ulgi.

– Doktorze?... – Jake musiał iść za nim aż tutaj. Shipley otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Doktorze, wyszedł pan za perymetr. Ten teren nie został zdezynfekowany.

– Byłeś kiedyś w sytuacji, która wydawała ci się beznadziejna, ale nagle otworzyły się przed tobą nowe drzwi? – zapytał.

Ku zdziwieniu Shipleya prezes Korporacji Mira odwrócił się na pięcie i odszedł energicznie.

Nie powinien był tak się zachować. Nigdy wcześniej nie zrobił nic, co by go odsłoniło w równym stopniu.

To przez tę planetę, pomyślał Jake. Usiłował wrócić na spotkanie, jakby nic się nie stało, jakby wyszedł tylko do toalety. Wszyscy chyba tak właśnie myśleli, zważywszy, że Gail perorowała, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi. Ciekawe, czy uznała, że Shipley też musiał nagle skorzystać z łazienki, zupełnie jakby byli jakimiś moczowymi klonami. Kto mógł wiedzieć, co sądzi Gail? Kogo to zresztą obchodziło?

Jake'a na pewno. Zmusił się do zajęcia miejsca i przybrania zainteresowanej miny. Przez cały czas starał się wziąć w karby. Na ogół przychodziło mu to z łatwością. To nie Zielnik tak na niego wpływał, tylko Shipley.

Gail lekceważyła Shipleya, traktując go jak bogatego, nieszkodliwego religijnego maniaka, u którego z niewyjaśnionych przyczyn fanatyzm szedł w parze z wyjątkowymi zdolnościami medycznymi. Jake próbował zapatrywać się na Shipleya w podobny sposób, coś jednak w tym człowieku go niepokoiło. Może wyjątkowa przenikliwość?

„Byłeś kiedyś w sytuacji, która wydawała ci się beznadziejna, ale nagle otworzyły się przed tobą nowe drzwi?”...

Jezu Chryste, Shipley nie pił do niego. Jake to wiedział. A mimo to oddalił się pośpiesznie. Nie było lepszego sposobu na ściągnięcie na siebie uwagi i wzbudzenie podejrzeń. Jake okazał się konkursowym głupcem.

– Jake? – zwróciła się do niego Gail. – A ty jak uważasz?

Nie dając nic po sobie poznać, odparł:

– Uważam, że powinniśmy wziąć pod uwagę wszystkie implikacje, zanim się na coś zdecydujemy.

Gail skinęła głową, jakby to, co powiedział, miało sens. Fajsal bin Saud podchwycił:

– To samo powtarzam od dłuższej chwili. Jeśli tylko...

Jake ponownie się wyłączył i powiódł spojrzeniem do Lucy Lasky. Z profilu jej drobna twarz wydawała się jeszcze poważniejsza. Był pod wrażeniem jej szczupłych rąk nagich do łokci. Gdy się nachyliła do przodu, włosy przycięte równo z brodą przesłoniły na moment jej twarz. Przytakiwała zawzięcie czemuś, co mówiła Gail.

Lucy, powiedział w myślach Jake. *Jest coś, czym muszę się z kimś podzielić. Utrzymuję*

to w sekrecie od piętnastu lat i to jedyny powód, dla którego wszyscy przylecieliśmy na Zielnik. Odkąd znaleźliśmy się tutaj – odkąd ja się tu znalazłem – energia mnie opuściła. Straciłem siły na posuwanie się do przodu i czuję, że tajemnica mnie przytłacza.

- ...szesnaście procent energii wodnej na...
- ...do jednej milionowej i...
- ...się podepniemy pod energię geotermalną, żeby...

Ty musisz wiedzieć, jak to jest balansować na krawędzi strachu. Przypuszczam, że całe życie to robisz. Pytanie dlaczego?

- ...decyzja powinna zależeć od...
- ...umowę, którą zawarliśmy przed głosowaniem na...
- ...działki wyznaczone pod cieplarnie według...

Lucy, uczyniłem coś haniebnego. I upiekło mi się. Czy ma to jeszcze znaczenie po takim czasie, tak daleko od Ziemi? Wszyscy zainteresowani już dawno nie żyją. Czemu wciąż mnie to gnębi?

Nigdy się z tym nie zdradzi. Nie Jake Holman. Nie odnoszący sukcesy, wygadany Jake.

- Jake, zgadzasz się z Fajsalem? – zapytała go Gail.
- Sądzę, że podniósł ważny temat – powiedział Jake – ale chciałbym usłyszeć więcej, zanim się wypowiem.
- Racja – przyznał Todd. – Ty zawsze trafiasz w sedno, Jake.

Trzy dni później po południu Jake siedział przy komputerze, przeglądając zasoby biblioteki *Ariela*. Niewiele ze statku pozostało na orbicie. Gdy wszyscy już się wybudzili i zostali przewiezieni na dół razem ze sprzętem, rozpoczął się proces kanibalizacji. Wszystko przebiegło zgodnie z planem, co samo w sobie było godne odnotowania. Korzystając z pędników sterujących i spadochronów, przetransportowano na dół całe sekcje statku. Obecnie pełniły one funkcję kadzi hydroponicznych, laboratoriów genetycznych, infirmerii, stacji oczyszczania wody i co najmniej pół tuzina innych obiektów.

Ale jeden moduł *Ariela* pozostał na orbicie. Obejmował on układy obrony orbitalnej, czujniki i główną bibliotekę. Dzięki satelitom komunikacyjnym zlokalizowanym we właściwych miejscach można było korzystać z zasobów tej biblioteki, jak również wzbogacać je za pośrednictwem dowolnego terminala na Zielniku. Bibliotece nie groziło więc fizyczne unicestwienie czy to z powodów naturalnych, czy to będących wynikiem

działalności człowieka.

Jake powiedział:

– Dane dotyczące połączeń kwantowych. Z systemami poza Układem Słonecznym.

Najnowsze.

Terminal zamruczał.

– Materiał głosowy, wirtualny czy papierowy?

– Wirtualny. I przetłumaczony na standardowy angielski.

Wiadomości kwantowe były zwykle krótkie, ponieważ do ich przesłania potrzebne były znaczące ilości energii. Któregoś dnia *Ariel* przestanie nadawać. Spośród wszystkich statków znajdujących się na orbicie skolonizowanych światów jeden, *Feniks*, już przestał. Cokolwiek się stało z łączem kwantowym, nikt na Ziemi ani na trzech pozostałych planetach się nie dowie. Nowa kolonia miała być może energią potrzebną do nadawania wiadomości, ale brakowało jej wyrafinowanych materiałów koniecznych do stworzenia takiego łącza od podstaw.

Tymczasem na ekranie przed Jakiem pojawiły się raporty kwantowe nadane ze statku Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej o nazwie *Winston Churchill* oraz z chińskiej jednostki noszącej nazwę *Traf losu*. Jake przebiegł je wzrokiem, spowolniony przez dziwaczne tłumaczenie chińskiego – na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat nie poradzono sobie z tym problemem oprogramowania. Przed jego oczami przebiegały zdania w rodzaju: „Obecna populacja wynosi szesnaście tysięcy dusz w pełnym sukcesów duchu” i „Niebo czyni kryzys systemu wodnego achronologicznym”.

Szukał czegoś, czego nie miał szans znaleźć. Ani na Avalonie, ani na Nowej Nadziei nie wykryto śladów życia rozumnego. Żadna z tych planet nie dysponowała też nowymi wiadomościami na temat Ziemi. Ingrid skomponowała swój doniosły raport na temat miejscowych Zwierzaków dwa dni temu, po czym wysłała go w formie skompresowanej po zatwierdzeniu przez radę zarządzającą na specjalnym posiedzeniu. Przekaz kwantowy nie przestawał zadziwiać Jake'a. Transmisja była błyskawiczna dzięki splątaniu cząstek, którego kompletnie nie rozumiał, i miała przebyć w okamgnieniu odległość sześćdziesięciu dziewięciu lat świetlnych, aby dotrzeć do... No właśnie, do kogo? Jak wygląda Ziemia siedem dekad po tym, jak opuścił ją *Ariel*?

Wiadomość zaadresowano, jak wszystkie przekazy kwantowe, do Światowego Sojuszu Rządowego w Genewie, ciała pełniącego symboliczną rolę i niemającego praktycznie

żadnej władzy. Odpowiedź nadeszła po godzinie w języku angielskim:

Światowy Sojusz Rządowy uległ rozwiązaniu. Genewa oblężona. Nie jesteśmy w stanie pomóc z inwazją Obcych. Proszę działać według własnego uznania.

– Co, u diabła? – zapytała Thekla. – Jaka znowu „inwazja Obcych”?

George nie wytrzymał:

– Jak mogą nie odnotować tego, że odkryliśmy pierwszych Obcych w kosmosie?

Przez szmer oburzenia przebił się głos Liu Fengma:

– Odpowiedzi udzielił wojskowy, którego interesuje wyłącznie własna rozpaczliwa sytuacja w Genewie.

Rozpaczliwa sytuacja... Jake przyjrzał się uważniej mówiącemu. Ów Chińczyk, filigranowy, schludny i samowystarczalny niczym biochip, rzadko odzywał się na tematy niemające związku z pragmatyzmem. Przynajmniej Jake nigdy nie słyszał, żeby Liu wcześniej dywagował... aczkolwiek te jego słowa nie brzmiały jak dywagacja. Wtem do Jake'a dotarło, że Liu walczył w armii generała Chu podczas przegranej wojny z Indianami. „Interesuje go wyłącznie własna rozpaczliwa sytuacja w Genewie”. Jake'owi przebiegły po krzyżu ciarki.

– Co wyprawia się na starej dobrej Ziemi? – Todd McCallum wyraził na głos obawy wszystkich.

Nikt tego nie wiedział. Od tamtej pory nie nadeszła żadna więcej wiadomość.

Teraz przerwał mu inny głos:

– Jake, jesteś zajęty?

– Nie, wejść – odparł Jake automatycznie, wyłączając ekran.

W drzwiach biura Korporacji Mira stał Frank Byfield. Był to szef Sekcji Szóstej, jednego z osiedli Mira City, które zostało podzielone na rejony według kryteriów politycznych i sądowniczych.

– Zapadła już może decyzja? Ta dotycząca zapasów?

Jake kompletnie zapomniał o tym wspomnieć podczas zebrania rady.

– Frank, na razie członkowie rady rozpatrują wszystkie aspekty tej sprawy. Wiem, że zależy ci na jak najszybszym zakończeniu, i zgadzam się z tobą w całej rozciągłości. Zobaczą, co da się zrobić, aby przyspieszyć finalizację.

– Dzięki – rzucił Byfield z nieszczęśliwą miną. – Naprawdę musimy to wiedzieć, zanim

poczynimy następne kroki.

– Rozumiem to – powiedział ciepło Jake. – Osobiście porozmawiam z Gail jeszcze dziś po południu.

– Doceniam to – rzekł Byfield i wycofał się.

Mój Boże, zawiadywanie kolonią! Czemu tego nie przewidział na Ziemi? To znaczy przewidział, w końcu był prawnikiem. Może nie najlepszym, ale znośnym. Tymczasem teraz, przy sześciu tysiącach kolonistów (minus tysiąc Czejenów), wychodziło na to, że jego umiejętności nie są wystarczające.

Cóż, przynajmniej mógł się od razu zająć sprawą, z którą przyszedł do niego Byfield.

Skontaktował się z Gail, która zareagowała słowami:

– Jake?... Czemu poruszasz ten temat dopiero teraz? To powinno zostać przedyskutowane na spotkaniu.

– Wiem, ale Frank Byfield nie zdążył mi przekazać wszystkich informacji. Właśnie je od niego dostałem. Chodzi o to, że...

– Na miłość boską, nie mogę cię teraz wysłuchać! Schodzę pięćdziesiąt stóp pod powierzchnię do nowej kopalni żelaza. Boty skończyły drążyć szyb. Przecież wiesz.

– Tak, oczywiście, ale...

– Porozmawiamy później. – Rozłączyła się.

Jake wstał i odetchnął głęboko. Udał się na poszukiwanie porucznik Wortz.

Pilotka niedawno wróciła skimmerem. Jake natknął się na nią, gdy zmierzała w stronę żeńskiej łaźni, wciąż w mundurze, którego wymagał od swoich podwładnych kapitan Scherer. Tylko na ramieniu niosła przerzucony ręcznik. Jake zastanowił się przelotnie, jak ta kobieta wygląda nago. *Ma na sobie za dużo ciała*, zdecydował. I uznał, że potrzebne mu dodatkowe supresory libido. *Znów zacznę je brać...*

Okłamywał sam siebie. Nie zamierzał tego robić.

– Pani porucznik! Może mnie pani zawieźć do osady Zwierzaków? Wiem, że skończyła pani służbę, ale nikogo innego nie ma pod ręką.

Nie zareagowała na kłamstwo. Zresztą może nie skłamał; po prostu tego nie sprawdził.

– Do osady Zwierzaków? – zapytała Gretchen Wortz swoim starannym angielskim. – Właśnie stamtąd wracam.

– Wiem. Przykro mi, ale coś wypadło...

Nie zapytała co. Scherer wpoił im wojskowe posłuszeństwo władzy – a na Zielniku

władzę stanowił Jake. Zazwyczaj go to irytowało, ale nie tym razem.

Spacer do skimmera, pozostawionego poza obrzeżem Mira City, zabrał im dwadzieścia minut. Wkrótce znaleźli się w powietrzu. Na niebie wisiały dwa z trzech księżyców – bliższy poruszał się zauważalnie na firmamencie. Zachód słońca przychodził tutaj szybko, ponieważ Mira City było zlokalizowane niedaleko równika.

Porucznik Wortz zaskoczyła Jake'a, zagajając rozmowę:

– Proszę spojrzeć w dół, panie Holman. Nosorożce.

Na powierzchni sunęło stado ciepłokrwistych, podobnych do żółwi drapieźników. George Fox nadał im jakąś nazwę, Jake nie pamiętał jaką, ale na pewno nie był to „nosorożec”. Rozciągnął wargi w uśmiechu. Ludzie nazywali obce stworzenia znanymi sobie nazwami, mimo że te konkretne zwierzęta w niczym nie przypominały nosorożców.

– Są bardzo powolne – stwierdził.

– *Ja*. Widać też żarłoczne istoty. Lwy. Mieszkają na drzewach.

Jake spróbował sobie wyobrazić mieszkające na drzewach lwy, ale nie zdołał. Porucznik Wortz nie powiedziała nic więcej.

Wylądowała po mistrzowsku na „łące” opodal wioski Zwierzaków. Purpurowe poszycie stanowiło miękki dywan. Kilkoro Zwierzaków pracowało w polu. Żaden nie podniósł nawet głowy na widok zbliżającego się Jake'a, który wypatrywał pod nogami czerwonego pełzaka, kierując się do skupiska chat stojących pomiędzy łąką i zagajnikiem wysokich niebieskawych drzew. Obóz ludzi znajdował się po wschodniej stronie osady. Na miejscu Jake zastał Lucy Lasky siedzącą samotnie przed terminalem w największym namiocie.

– Witaj, Lucy.

– Jake? Co się stało?

Wstała zaalarmowana. Co rozumiała, niezapowiedziana wizyta prezesa Korporacji Mira wywołała w niej wrażenie, że coś jest nie tak. Jake odpowiedział więc pośpiesznie:

– Nic się nie stało. To tylko rutynowa wizyta celem sprawdzenia, jak postępują prace.

Strach ustąpił miejsca ostrożności. Lucy doszła do wniosku, że szef chce skontrolować jej sumienność, kompetencje lub zdrowie psychiczne. Incydent z *Ariela* w dalszym ciągu ją prześladował.

– Praca idzie jak trzeba – odparła sztywno.

– Tak naprawdę, Lucy, doktor Shipley poprosił mnie, żebym sprawdził, co u jego córki... Martwi się o nią. Oczywiście wolałbym, abyś o tym nie wspominała Nan Frayne.

Zauważalnie się odprężyła.

– Jasne, że nic nie powiem. Ale Nan także świetnie sobie radzi. Nawet lepiej niż świetnie. Nakłoniła Zwierzaka, żeby się do niej odezwał.

– Naprawdę? – Nie musiał udawać zdziwienia.

Lucy uśmiechnęła się, co było rzadkie w jej wypadku. Zauważył, jak przy tym rozjaśniła się cała jej twarz.

– Zrobiła to poniekąd siłą. Stała na ścieżce, gdy jeden ze Zwierzków zmierzał na pole, i nie chciała go przepuścić. Ilekroć Zwierzak się poruszył, Nan zastępowała mu drogę. Porucznik Halberg wpadł w złość.

– Jestem pewien, że tak było. Nan ryzykowała życie.

– W swoim mniemaniu nie, ponieważ Zwierzaki są takie pasywne. W każdym razie ten konkretny usiłował ją wyminąć przez dwadzieścia minut. Da pan wiarę? W końcu się poddał i usiadł na ziemi. Nan też usiadła, w bezpośredniej bliskości Zwierzaka, i zaczęła mówić. Tylko swoje imię, ale raz po raz, wskazując przy tym na siebie. I Zwierzak odpowiedział!

– Co powiedział? – Serce zaczęło walić Jake’owi. Komunikacja z Obcym!

– Nan nie wie. Wydał z siebie tylko jeden dźwięk, coś jakby „iiiiirat”. Mogło to być imię, ale niekoniecznie. Pięć godzin trwało, zanim to z niego wydusiła.

– Przez pięć godzin powtarzała „Nan”?

– Tak! – Lucy się roześmiała. Jake zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie słyszał jej śmiechu. – Do tego wciąż tam siedzi. To wszystko wydarzyło się dzisiaj, dlatego jeszcze nie dostał pan raportu. Chce pan zobaczyć?

– Za chwileczkę. Czy porucznik Halberg stoi w pogotowiu, ubezpieczając Nan z jakiejś broni?

– Tak! – Zaśmiała się ponownie. – Przypominają jedno z tych nieruchomych średniowiecznych malowideł.

– A twoja praca? Dokonałaś jakiegoś przełomu?

Wesołość Lucy zniknęła.

– Nie. Potwierdziłam tylko to, co już wcześniej mówiłam.

– Że Zwierzaki nie wyewoluowały na tej planecie. Chciałbym o tym więcej usłyszeć. Przejdziemy się i porozmawiamy? W skimmerze przez cały czas siedziałem.

– W porządku.

Powietrze na zewnątrz pachniało jednocześnie słodko i ostro. Ruszyli na przełaj łąki, równolegle do skraju zagajnika. Strzeliste drzewa rzucały na purpurowe poszycie długie cienie. Jake wypytywał Lucy o jej pracę, uciekając się do wszystkich konwersacyjnych sztuczek, jakie miał w zanadrzu, aż w końcu zaczęła mówić z własnej woli, porzuciwszy typowe dla niej zrozpaczone milczenie. Przysłuchiwał się jej, nie przerywając i pozwalając jej wyrzucić z siebie wszystko, co chciała powiedzieć. Od czasu do czasu kiwał tylko głową z szacunkiem. Płatki małych uszu miała delikatne i różowe jak wnętrze muszelki.

Jake poczuł, że Lucy powoli się rozluźnia.

– Wierzy mi pan?

– Tak. Wierzę. W obliczu odkrytych przez ciebie dowodów nie wydaje mi się, żeby Zwierzaki były gatunkiem rodzimym na Zielniku.

Wypuściła wstrzymywane powietrze, wydając z siebie coś na pograniczu szlochu i westchnienia.

– Lucy... podoba ci się tutaj?

Odpowiedziała prędzej, niż się spodziewał, jakby miała to przemyślane.

– Tak. Podoba mi się... nawet po tym wszystkim, co się stało. Zielnik jest piękny, a do tego mogę się tu zajmować rzeczami, przy których nigdy bym nie mogła pracować na Ziemi.

– To dlatego przyleciałaś? Żeby móc pracować?

– Nie. – Po chwili milczenia dodała: – Zgłosiłam się na ochotnika do Wellcome Trust, bo nie potrafiłam dłużej wytrzymać na Ziemi. Ani w Układzie Słonecznym. Pewnie pan tego nie zrozumie, ale... Mój mąż zostawił mnie dla innej. Nie czekał nawet do czasu, aż nasz kontrakt małżeński wygaśnie.

Powiedziała to obojętnie, bez cienia emocji, jednakże Jake dosłyszał w jej głosie uczucie. Tak, ktoś taki jak Lucy kocha całym sercem, całym sobą, i w razie zdrady gotów jest opuścić rodzimy system gwiazdny. To powinno uczynić z niej osobą godną pożałowania. Tymczasem kiedy idąc obok niego z cichą godnością, zaryzykowała podobne wyznanie, wydała mu się kimś rzadkim i wartościowym: osobą zdolną do bezgranicznego oddania.

– Nie mieliście dzieci? – zapytał. – Czy innych krewnych, dla których wolałabyś zostać na Ziemi?

Wzruszyła ramionami.

– Miałam siostrę. I paru kuzynów. Ale nikogo, na kim naprawdę by mi zależało. Obawiam się, że miłość nie przychodzi mi łatwo. Jestem oziębła.

– To nie oziębłość. To głębia.

Zaśmiała się.

– Ładnie to pan ujął. A pan? Zostawił pan kogoś ważnego dla siebie na Ziemi?

– Miałem brata, ale umarł.

Skinęła głową, zapatrzona w linię drzew, a on poczuł lodowaty chłód.

Jeszcze nigdy nie wspomniał nikomu o Donniem. W ciągu całych piętnastu lat. Nawet w aktach osobowych jego brat nie figurował. Wycinki gazetowe w archiwum bibliotecznym rozwodziły się nad Jakiem szeroko – MILIARDER, KTÓRY NIEOCZEKIWANIE ZBIŁ MAJĄTEK, ORGANIZUJE PIERWSZĄ W HISTORII PRYWATNĄ WYPRAWĘ W KOSMOS! – jednakże nie napomykały o żadnych krewnych. Co, u licha, sprawiło, że niespodzianie wymienił imię Donniego?

– Lucy – odezwał się, a ona musiała dosłyszeć w jego głosie jakąś przerażającą nutę, bo odwróciła się do niego z szeroko otwartymi oczami. – Nigdy nie mówię o swoim bracie. Proszę więc... nie...

– Naturalnie. Ja też nigdy nie mówię o swoim mężu. Dlatego chciałam o nim wspomnieć.

Niemalże powiedział: „Zrobiłem coś strasznego, o czym też nigdy nie wspominam”, ale zachował milczenie. Pochylił się za to, wziął Lucy w ramiona i pocałował ją.

Poddała mu się chętniej, niż mógłby przypuszczać. Wargi miała miękkie, a szczupłe ciało lekkie. Jake momentalnie dostał imponującego wzvodu. Przycisnął ją do siebie mocniej, tonąc w jej zapachu i pozwalając, aby przesłoniła mu wszystko.

Rozległ się krzyk.

Przenikliwy wrzask przeciął mroczniejące powietrze niczym pocisk. Jake i Lucy oderwali się od siebie i rozejrzeli dookoła nerwowo.

– Dochodzi od wioski! – zawołała Lucy i rzuciła się biegiem.

Jake popędził za nią. Na skraju osady natknęli się na porucznika Halberga i Nan Frayne. Halberg trzymał pistolet w jednej ręce i miotacz pianki paralizującej w drugiej. Nan Frayne krzyknęła:

– Tam!

Obok chaty na skraju wioski jakieś stworzenie ciągnęło miejscowe dziecko. Jake

natychmiast zrozumiał, co Gretchen Wortz miała na myśli, mówiąc o „lwach, które mieszkają na drzewach”. Stworzenie miało długie lśniąco-ciemne ciało niczym kot, ale nogi wyposażone w macki, a ogon najprawdopodobniej służył do owijania się wokół gałęzi. Macki oplatały właśnie dziecko, podczas gdy długie ostre zęby rozszarpały futrzaste ciało. Drapieżca stał chwiejnie na potężnych tylnych łapach, wycofując się w stronę lasu.

– Do diabła, strzelaj! – wrzasnęła Nan.

Halberg, rozejrzawszy się celem upewnienia, że nikomu z ludzi nic nie grozi, zajął dogodną pozycję i wystrzelił.

Zwierzę padło na ziemię z dziurą wypaloną w głowie laserem. Zanim Halberg zdążył złapać Nan, ona już biegła w stronę dziecka. Mały Zwierzak przestał krzyczeć i Jake nawet z odległości trzydziestu jardów widział, że tubylec nie żyje. Jedno futrzaste ramię wisiało tylko na paru włókienkach mięśnia. Jake odwrócił wzrok.

Dwoje dorosłych Zwierzaków stało kawałek po lewej, przyglądając się Nan, Halbergowi, martwemu drapieżcy i dziecku. Wyraz ich twarzy nie uległ zmianie. Następnie oboje, nie wypuszczając motyk z dłoni, ruszyli w stronę parującego garnka. Zajrzeli do środka i zaczęli jeść ręką.

Lucy wciągnęła ze świstem powietrze.

Halberg powiedział głośno do Nan:

– Panno Frayne, proszę się odsunąć od zwłok.

Nan o dziwo usłuchała. Podeszła do posilającego się Zwierzaka i zajrzała mu w twarz. Potem zrobiła to samo z drugim dorosłym osobnikiem. Na koniec zbliżyła się do Jake’a.

– Nie dbają o to, że jedno z ich młodych zginęło – zauważyła Lucy.

– Nie – potwierdziła Nan wściekle. – Coś im tego zabrania. Niemożliwe, żeby miały taką naturę. Żadna istota zdolna wznieść chatę i posługiwać się motyką nie może być taka. Niech to szlag... Co tu się, u diabła, wyprawia?

Lucy miała na to gotową odpowiedź:

– Są chore. Wszystkie co do jednego. Dlatego wyniki moich badań pokazują, że ten gatunek wymiera. Cierpią na jakiś umysłowy defekt, który sprawia, że każde kolejne pokolenie jest głupsze i obojętniejsze. Nie pociągną dłużej niż dwie generacje.

Nan przysłuchiwała się wpatrzona uważnie w twarz Lucy. W końcu skinęła głową. Jake ze zdziwieniem spostrzegł na jej zazwyczaj naburmuszonej twarzy wyraz smutku.

– Tak. Tak, Lucy, masz rację. Chorują na jakąś nieznaną nam chorobę. Wirus?

Lucy uniosła rękę, ale zaraz ją bezradnie opuściła.

– Skąd mam wiedzieć? Ich fizjologia jest mi obca...

– W takim razie poznajmy ją!

Nan ruszyła w stronę zwłok. Gdy Halberg chciał ją zatrzymać, kładąc jej dłoń na ramieniu, strząsnęła jego rękę pogardliwym gestem. Wyciągnęła z kieszeni mały laserowy pistolet i sprawnie odcięła głowę dziecka. Krew, czy też ciecz pełniąca jej funkcję, trysnęła brązową fontanną.

– Ej! – zawołał Jake, chcąc przez to powiedzieć, że pistoletów można używać wyłącznie do obrony w obrębie Mira City.

Nan go zignorowała. Podniosła małą głowę i zawinęła w swoją kurtkę.

– Jake, jak się tu dostałeś? Skimmerem? Zabierz mnie z powrotem do laboratorium.

– Nie rozkazuj mi, Nan – powiedział cicho Jake.

Ton jego głosu był czytelny. Zamiast jednak rzucić w odpowiedzi jakąś kąśliwą uwagę, spojrzała na niego tylko smutno i powiedziała:

– Dobrze. Ale zabierz mnie z powrotem. Musimy znaleźć odpowiedzi, zanim Zwierzaki znikną.

– Inni... – zaczął Halberg.

– Inni mogą zostać na miejscu razem z tobą – zdecydował Jake. – Porucznik Wortz czeka przy skimmerze. Chodźmy, Nan. Lucy?

– Ja... pójdę z wami.

Odcięta głowa zabrudziła kurtkę Nan, która mimo to trzymała ją kurczowo przy sobie, przeciskając się do drugiego rzędu foteli w skimmerze. Lucy zajęła miejsce obok niej. Jake usiadł z przodu.

– Z powrotem do miasta, pani porucznik.

– Moment, panie Holman. Właśnie nadeszła wiadomość. Komputer, powtórz...

– Jake! – z głośnika dobiegł głos Gail. – Gdzie ty jesteś? Potrzebujemy cię na miejscu. Powstał pewien problem.

Problem. Jake'owi przemknęły przez głowę różne katastrofalne możliwości. Wybuch nieznanej zarazy, straszliwy wypadek na budowie, kraksa skimmera, atak szалу kogoś z kolonistów, który chwycił za broń...

– Chodzi o Larry'ego Smitha – dodała Gail. – Właśnie skontaktował się przez komunikator... – Była to ostatnia rzecz, jakiej by się spodziewał Jake. Czejeni uparli się

zerwać wszelkie więzi z Mira City. – Czejeni natknęli się na grupę Obcych zamieszkujących osadę. Niesprowokowani niczym Obcy zaatakowali ich włóczniami i pałkami, usiłując zabić jak najwięcej osób. Efekt: czterech zabitych i dziesięciu rannych. Larry powiedział, że Obcy są wysocy, pokryci rudobrazowym futrem i mają wielkie ostre zęby. Jak dla mnie, wygląda to na Zwierzaki.

Gdy grupa prymitywnych Obcych mieszka sobie w odległej osadzie i odmawia kontaktu, nie stanowiąc zagrożenia, to jedno, pomyślała Gail. Natomiast czymś zupełnie innym jest, gdy zaczynają miotać włócznie i wymachiwać pałkami, atakując ludzi, nawet jeśli ci ludzie nie pozostają pod jurysdykcją Mira City.

Ten drugi przypadek wymagał osobistego zaangażowania.

Scherer nie chciał jej puścić.

– Pan Holman być już poza miastem. Dwoje liderów poza miastem to niedopuszczalne ryzyko.

– Dlaczego? Czyżby nie wierzył pan, że pańscy żołnierze zdołają nas obronić? Jeśli wasze działa laserowe i inne cuda-niewidy nie poradzą sobie z garstką włóczników, to mamy większy problem niż moja czy Jake’a śmierć.

– Ja odradzać – powtórzył sztywno Scherer.

Gail zignorowała go i wdrapała się do drugiego skimmera razem z George’em Foxem i doktorem Shipleyem, który zabrał ze sobą tyle sprzętu medycznego, ile zmieściło się na wolnych siedzeniach.

– Gail, czy Czejeni pozwolą mi się opatryć? – zapytał. – Bo zdaje się, że zerwali wszelkie więzi z cywilizacją?

– Czemu w takim razie Larry Smith użył komunikatora? – zapytała retorycznie. – No dalej, szeregowy Mueller, lecimy!

Miała szczerą nadzieję, że Mueller umie pilotować skimmer. Scherer uparł się, że zostanie na miejscu, aby bronić Mira City, a zarówno Wortz, jak i Halberg znajdowali się akurat w osadzie Zwierzaków.

Ależ oczywiście, że Mueller potrafi pilotować skimmer! Scherer wyszkolił dobrze wszystkich swoich podwładnych. Przez te nerwy Gail nie myślała trzeźwo.

Wysiadłszy ze skimmera u celu, Gail najpierw ujrzała czejeńskich wojowników szykujących sobie włócznie. W większości szesnasto- i siedemnastolatki siedzieli kręgiem w kucki, ostrząc kamienie. Obok nich leżały liczne drzewce tylko czekające, by zatknąć na nich groty. Jeden z chłopców podniósł spojrzenie na grupkę zbliżającą się od skimmera, po czym wrócił do pracy, odrzuciwszy długie jasnobrązowe włosy przytrzymywane opaską. Gail widziała, że oczy lśnią mu z podniecenia.

– Młodzi jak zwykle rwą się do wojny – rzuciła do Shipleya.

Shipley pokręcił głową.

– Myślę, że tu chodzi o coś więcej.

– Taaa, jasne. O mistycyzm. O nostalgię. I tym podobne psychologiczne brednie.

– Znacznie więcej.

– Sądziłam, że Nowi Kwakrzy są przeciwni przemocy.

– W stu procentach – potwierdził Shipley. – Pamiętaj jednak, że to nie Czejeni zaczęli.

Mieli całkiem inne plany.

Jakkolwiek te inne plany wyglądały, nie zrobiły na Gail wrażenia. Równinę wokół, którą porastało wszędobylskie purpurowe poszycie, pstrzyły stożkowe namioty. Gail wypatrzyła też kilka zewnętrznych palenisk i parę zwierzęcych skór rozciągniętych między palikami. Wielkie łaziki nie były widoczne na pierwszy rzut oka. Gwoli szczerości miejsce to w dużym stopniu przypominało osadę Zwierzaków. Jak to możliwe, że ludzie łaknęli powrotu do prymitywizmu?

– Czy to Naomi? – zapytał nagle Shipley.

Gail zmrużyła oczy, aby lepiej widzieć w zapadających ciemnościach. Tak, w ich stronę zmierzała różnym krokiem Nan Frayne. Niosła coś... Shipley sapnął w tej samej chwili, gdy Gail zdała sobie sprawę, że tunika Nan jest przesiąknięta krwią.

– To nie moja krew – rzuciła poirytowana Nan.

Gail zdążyła zauważyć, że „krew” jest niewłaściwego koloru. Była zbyt brązowa.

– Co się stało, Naomi? – zapytał Shipley z większym spokojem, niż mogłaby przypuszczać Gail. – Byłaś tutaj, gdy Zwierzaki zaatakowały, zamiast siedzieć w osadzie z Lucy?

– Nie. Byłam tam. Rzecz w tym... A niech to, gdzie jest laboratorium, które powinno być pośród tego ich całego prymitywnego szaleństwa? Widzieliście może Jake’a albo Lucy?

Jake też tu jest. To dobrze. Ale Lucy Lasky... co ona tu robi? Ta sytuacja nie wymaga przecież paleontologa...

– Łazik stoi tam za drzewami, widzisz? – odezwał się George.

Pośpieszyli w stronę ukrytej w cieniu metalowej bryły. Zdążyło się już zrobić niemal całkiem ciemno. Mira City było oczywiście oświetlone, ale tutaj, na równinie rozjaśnionej tylko paroma ogniskami, noc nabrała dla Gail całkiem nowego wymiaru. Wydawała jej się taka obca... Czy ona naprawdę mieszka na tej dziwnej planecie z jej chłodnym żyznym

pięknem i morderczymi drapieżnikami? W górze zapłonęły dziwne konstelacje gwiazd do pary z dwoma nienaturalnie małymi księżycami.

Jednakże wewnątrz łazika Ziemia przypomniawszy gwałtownie o sobie. Czejeńska techniczka (czy nie było to zaprzeczenie wspaniałej wizji Larry'ego Smitha?) obsługiwała wymyślny sprzęt medyczny. Siedmioro ludzi leżało ściśniętych na dostępnej powierzchni. Wszyscy wyglądali, jakby spali, najpewniej uspokojeni lekami. Shipley obrzucił ich spojrzeniem i uklęknął przy kobiecie, która nagi brzuch miała owinięty przesiąkniętymi krwią bandażami.

– Co im podałaś? – zapytał Shipley techniczkę.

Gail zastanowiła się, czy zaraz usłyszy nazwę jakiegoś egzotycznego ziemskiego zioła przewiezonego na odległość siedemdziesięciu lat świetlnych przez pustkę kosmiczną.

– Assiterline – odparła techniczka, na co Shipley skinął głową wyraźnie usatysfakcjonowany.

– W raporcie była mowa o dziesięciu rannych – zauważył George Fox. – Czy mogę porozmawiać z pozostałą trójką?

– Tak. Doznali tylko powierzchownych obrażeń. Znajdziesz ich w tipi Błękitnej Wody.

– Kto to jest Błękitna Woda? – zapytał George.

– Dawniej Larry Smith.

Błękitna Woda... Gail w ostatniej chwili opanowała się, żeby nie przewrócić oczami. Jednakże Shipley powiedział głosem pełnym szacunku, że tu chodzi o coś więcej. O co, czego Gail nie dostrzegała, mogło chodzić w tym poronionym eksperymencie?

Tymczasem George indagował dalej:

– Macie coś, czym ludzie odpowiedzieli na atak? Coś, co może nosić ślady włosów, tkanek albo krwi Obcych?

Techniczka przyjrzała się biologowi. Była to niska, przysadzista kobieta o zdumiewająco pięknych zielonych oczach. Odparła teraz cicho:

– Mamy coś lepszego. Zwłoki Obcego. Zabiliśmy jednego. Leżą za łazikiem.

George momentalnie wyszedł na zewnątrz. Nan Frayne, która rozmawiała z kimś na dworze, przepchnęła się obok Gail.

– No to macie dwa ciała Obcych – zwróciła się do techniczki, pokazując głowę dziecka.

– Chcę zrobić skan mózgu tego... Żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś pasożytów albo wirusów czy czegoś w tym stylu. To ważne.

– Wcale nie – odparła techniczka.

– Nie próbuj...

Zielonooka kobieta nie dała jej dokończyć:

– Nie robimy tu skanów mózgu. Mamy tylko najprostsze wyposażenie, żeby ocenić, które rośliny i zwierzęta są jadalne, i żeby leczyć ludzi, zanim zaadaptują się do warunków panujących na Zielniku. Brakuje nam skomplikowanego sprzętu. Ostatecznie ten łązik zostanie rozebrany, podobnie jak pozostałe dwa. Nie trzeba nam niczego od Człowieka Wulkanu.

– Powariowaliście – stwierdziła Nan. – Wszyscy. Zasługujecie tylko na naszą pogardę.

Techniczka pokazała jej plecy.

Gail pociągnęła Nan za ramię i wyprowadziła z łązika.

– Nan, przestań. Natychmiast. Jesteśmy tutaj gośćmi, ten subkontynent jest własnością Czejenów, którym będziemy okazywać wszelki szacunek i grzeczność. Skoro potrafisz być miła dla Zwierzaków, bądź też miła dla własnego gatunku. Czemu masz z tym trudności?

– Jeśli jeszcze nie znasz odpowiedzi, nie ma sensu ci tłumaczyć.

Gail się zaśmiała.

– Sądzisz, że taka sofistyka robi na mnie wrażenie? Albo rani mnie, tak jak twojego ojca? On jest jeszcze jednym przykładem kogoś, kogo lekceważysz, ponieważ ty, Naomi Shipley Frayne, nie podzielasz jego wierzeń. Co ci się w ogóle wydaje? Że wyznaczasz standardy we wszechświecie? Znasz może słowo „pycha”?

– Czy przypadkiem nie o to oskarżała cię zawsze Lahiri? – rzuciła Nan, po czym odeszła raptownie, zostawiając Gail nieomal zgiętą w pół, jakby ktoś wpakował jej pięść w brzuch.

Skąd ta mała suka... Do czego zdobyła dostęp i jak...

Gail dochodziła do siebie długą chwilę. O wiele za długą. W końcu włączyła latarkę i ruszyła na poszukiwanie tipi Błękitnej Wody.

Stało pośrodku obozu nomadów, od frontu wisiały rozciągnięte na palikach dwie zwierzęce skóry. Tym razem Gail przyjrzała się im dokładnie. Jedna była beżowa i prawie bezwłosa. Druga, znacznie mniejsza, również nie miała włosów i w tym świetle wydawała się szaropurpurowa. Gail przypomniała sobie słowa George'a, który twierdził, że Zwierzaki nie mogły wyewoluować na Zielniku, ponieważ ich gęste futro było stworzone do zimniejszego klimatu.

Ile czasu minie, zanim Czejenowie zaczną rozciągać przed swoimi tipi skóry

Zwierzaków?

Nie widząc sposobu, aby zapukać czy zadzwonić, po prostu uniosła klapę i zaczęła, aż ktoś ją zauważy. Larry Smith siedział na syntetycznym dywaniku w swoim plastikowym tipi w otoczeniu pięciorga innych osób. Wszyscy obecni mieli na sobie dziwną kombinację kombinezonów, butów roboczych, pasków zrobionych z jakiegoś miejscowego włókna i kolorowych opasek ponaszywanych małymi błyszczącymi orzechami, kamykami i piórkami. Powietrze zdawało się sine od gęstego, słodko pachnącego dymu.

– Wejdz, Gail.

– Larry, ja...

– Nie „Larry” – przerwał jej. – Błękitna Woda.

– W porządku. Błękitna Wodo, chciałabym porozmawiać z tobą i z twoimi... z twoją radą plemienną o niedawnym ataku.

– Witamy was, goście – odezwała się jedna z kobiet. Jej włosy, długie i lśniące, były zaplecione w warkoczyki i poprzetykane purpurowymi piórkami. Oczy miała wyraźnie zmodyfikowane genetycznie, na czym zyskała ostrość jej wzroku.

– Dziękuję – odparła Gail, która poczuła się nagle potężnie zdezorientowana.

– Usiądź, proszę – powiedział Larry, to znaczy Błękitna Woda. – Chcesz wiedzieć, jak Czejeni zareagują na nowego wroga.

– Tak. Oni... oni byli tutaj pierwsi, wiecie. Jestem pewna, że plemię Czejenów potrafi to zrozumieć.

U licha, gdzie jest Jake? To on powinien tutaj negocjować...

– Wcale nie byli tutaj pierwsi – zaprzeczył spokojnie Błękitna Woda. – Nawet wasi naukowcy twierdzą, że oni są równie obcy tej planecie jak my.

– To wciąż kwestia sporna wśród naszych uczonych – powiedziała Gail.

– Posłuchaj, Gail... Rozumiemy, że Obcy mają jakieś prawa do tej ziemi. Tak samo jak my na mocy kontraktu z Korporacją Mira. Umowa stanowi, że rdzenny rozumny gatunek będzie miał pierwszeństwo, jednakże to nie jest rdzenny gatunek. Ale te istoty są tutaj, więc zamierzamy żyć z nimi w zgodzie. Nie jest ich wiele, podobnie jak nas. Nie zanieczyszczają ani nie bezczeszczą ziemi. Zwierzyny i miejsca starczy dla wszystkich. Z tym że jeśli wypowiedzą nam wojnę, będziemy mogli zareagować tylko w jeden sposób.

– Kolonizacja Zielnika miała się odbyć bez przemocy między jakimikolwiek grupami – przypomniała mu Gail. – „Żyj i pozwól żyć innym”... Ta klauzula znalazła się w każdej

umowie, w każdym nadaniu ziemi...

– Zatem chcesz, aby zwyczajnie nas wyrzynali? – zapytała z wyrzutem zielonooka kobieta. – A może powinniśmy ich zetrzeć z powierzchni Zielnika? Jak myślisz, laserowy atak z orbity załatwiłby chyba sprawę?

– Nie. – Gail pokręciła stanowczo głową. – To by tylko powiększyło problem. Ale zawsze możecie negocjować.

– Zamierzamy tak uczynić – zapewnił Smith. – Z tym że dotychczasowe wydarzenia nie są zachęcające. Jeśli Obcy nie przystąpią do negocjacji, będziemy musieli się bronić.

– Włóczykami? Na własne oczy widziałam, jak młodzi wojownicy szykują włócznie!

– Tym, co da nam ziemia – padła odpowiedź. – Nie pozwolimy, aby ponownie nas zdziesiątkowano. Czejeni to dumne plemię.

Och, na miłość boską! – pomyślała Gail. Zapoznała się z aktami osobowymi. Larry Smith był Czejenem w dokładnie jednej trzydziestej drugiej. „Plemię” składało się z Irlandczyków, Niemców, Hiszpanów, Szwedów i Francuzów, i to w większości. Jeden wojownik był w trzech czwartych Chińczykiem i miał takie rysy, jakich żaden siedemnastowieczny Indianin nawet nie widział.

Jednakże na głos powiedziała tylko:

– Nikomu nie zależy na przemocy, La... Błękitna Woda. To prawda, ta ziemia należy do was i Korporacja Mira nie będzie się wtrącać. Jednakże Obcy, rdzenni czy nie, mają pierwszeństwo w stosunku do waszego nadania ziemi.

– Czy to znaczy, że będziecie ich chronić? – zapytał. – Stosując przemoc wobec nas?

To było najważniejsze pytanie, rzecz jasna. A Gail nie miała na nie odpowiedzi. Odparła więc uczciwie, choć bezradnie:

– Nie chcemy przemocy.

– Wróć, gdy będziesz miała odpowiedź na moje pytanie – rzekł Błękitna Woda. – Do tego czasu opuść naszą ziemię.

– Sam nas tutaj zaprosiłeś! Chciałeś, żeby doktor Shipley pomógł rannym!

– Wiem – przyznał. – Jesteśmy wam wdzięczni. Wciąż się adaptujemy do nowych warunków i uczymy się metod leczenia.

Gail wstała. Poniosła porażkę.

– Człowiek Wulkan – prychnęła zielonooka kobieta.

– Przynajmniej korzystaj dalej z komunikatora – poprosiła Gail na odchodnym,

zwracając się do Larry'ego Smitha.

Komunikacja to połowa sukcesu.

Być może.

Skimmery odleciały jednocześnie pośród ogólnego zamętu ludzi i przedmiotów w mroku. George zabrał zwłoki Zwierzaka owinięte w folię, korzystając z niechętniej pomocy porucznika Halberga. Gail zauważyła, że Jake niesie ostrożnie plastikową torbę. Lucy trzymała trzy rekordery – ciekawe, czyje są pozostałe?

– Jake, gdzieś ty się, do cholery, podziewał? Rozmawiałam z Larrym, który zapowiedział, że plemię weźmie odwet na Zwierzakach, jeśli dojdzie do kolejnego ataku. Pytał też, co my zrobimy. Co zrobimy?

– Musimy o tym porozmawiać.

– Z pewnością. Gdzie byłeś? I co masz w tej torbie?

– Głowę miejscowego dziecka – odparł.

– Co?!

– Jeden z tych drapieżników przypominających lwa zabił tubylcze dziecko – wyjaśnił. – George zamierza przeprowadzić skan mózgu czy coś.

– Lew zabił dziecko? Tutaj?

– Nie. W pierwszej osadzie Obcych. Gail, porozmawiamy w Mira City. Muszę lecieć drugim skimmerem.

Oddalił się pośpiesznie. W drzwiach dużego skimmera odłożył torbę na ziemię, żeby pomóc Lucy załadować coś, co wyglądało na kilka wiader gleby czy piasku.

Gail ze znużeniem wdrapała się do mniejszego skimmera. U sterów siedziała porucznik Wortz, jak zwykle sprawiająca wrażenie oazy spokoju.

– Pani porucznik, drugi skimmer właśnie startuje. Czekamy tylko na doktora Shipleya, który kończy opatrywać rannych. Dwaj Czejeni powinni go odeskortować na lądowisko lada chwila.

– *Ja* – stwierdziła neutralnie Gretchen Wortz.

Gail odchyliła głowę na zagłówek i przymknęła oczy. Cieszyła się, że nie leci drugim skimmerem, z całym zwłokami i odciętą głową martwych Obcych, a do tego z grotami włócznie noszącymi ślady tkanek Zwierzaków. I z ziemią. Na co Lucy tyle piachu? Zapewne chce go przebadać pod kątem artefaktów ewolucyjnych, aby móc nadal utrzymywać, że

Zwierzaki przyleciały skądinąd.

Ale skąd? I jak? Przecież nie dostały się tutaj na miotłach jak jakieś baśniowe czarownice. Lucy musiała się mylić. To kolejne z jej urojeń, podobne do tego, którego doświadczyła na pokładzie *Ariela*, kiedy starała się unicestwić nieistniejący statek Obcych.

Nagle coś zaczęło męczyć Gail, coś, co wiązało się z rozstrojem Lucy... *Już wiem!* Porucznik Halberg zaraportował błąd maszyny, gdy komputer zarejestrował rzekomy obiekt poruszający się z prędkością dziewięćdziesięciu ośmiu procent prędkości światła. Nic podobnego nie powtórzyło się w przeszłości i koniec końców wszyscy przyjęli, że faktycznie chodziło o błąd maszyny spowodowany bombardowaniem cząstek w przestrzeni kosmicznej.

– Pani porucznik... – odezwała się Gail, po czym dodała szybko: – Już nic.

Gretchen Wortz raczej nie miała szans znać się lepiej od niej na danych astronomicznych. A nawet gdyby tak było, wyniosła żołnierka z pewnością nie podzieliłaby się z nią tą wiedzą.

Gail przysnęła wbrew sobie. Gdy się obudziła, byli już w powietrzu, a Shipley siedział obok niej.

– Doktorze, kto to jest „Człowiek Wulkan”?

Zdawał się rozkojarzony. Całe wieki zabrało mu skupienie się na jej słowach.

– Proszę?

– „Człowiek Wulkan” – powtórzyła. – Dwoje Czejenów użyło tego określenia w odniesieniu do mnie. Wie pan kto to?

– Zdaje się, że to stara indiańska legenda. Człowiek Wulkan wydostał się spod ziemi i zaczął wszystko niszczyć, drążyć kopalnie, zanieczyszczać jeziora, zabijać bizona i wycinać lasy. Z czasem zaczęto go kojarzyć z zachodnią cywilizacją, która plądrowała przyrodę, od której zależni byli rdzenni Amerykanie. Zarazem równał się pogardzie dla duchów ziemi, siły życiowej, która przenika wszystkie istoty, czyniąc je wartościowszymi. Ta siła życiowa postrzega świat jako coś uświęconego i cennego.

Gail milczała.

– Całkiem rozsądny punkt widzenia – dorzucił Shipley drżącym głosem.

Gail uznała, że to coś więcej niż wyczerpanie.

– Doktorze, gdzie jest Nan?

Nie odpowiedział.

- Leci drugim skimmerem, tak? Na dole panowało zamieszanie...
- Nie wsiadła do drugiego skimmera. Została z Czejenami. Żeby dowiedzieć się tyle, ile zdoła, jak powiedziała.
- Od Czejenów?
- Nie – odparł ze zbolaną miną. – Od Zwierzaków, które starają się ich wymordować.

Zdumiewające, pomyślał Jake, że ludzie upierają się przedkładać wydarzenia z własnego życia ponad zdarzenia wiekopomne, a nawet przełomowe. Człowiek potrafi rozpaczać w czas pokoju, dobrobytu, postępu. I potrafi znaleźć szczęście pośród wojny, chaosu, niepewności.

Jake był szczęśliwy.

Leżąc w łóżku obok śpiącej Lucy, która przerzuciła szczupłą nogę przez jego łydkę i po dziecięcemu zakopała twarz w poduszce, zastanawiał się nad tym zaskakującym uczuciem spełnienia. Nie wynikało ono z wewnętrznego spokoju ani z trwałego idealizmu. Brakowało mu, przykładowo, rozmachu wizji Shipleya, co było zabawne, kiedy się zważyło, że to jego wizja umożliwiła wyprawę na Zielnik. Ale stało się tak dlatego, że w określonym okresie swojego życia skupił się na założeniu kolonii międzygwiazdnej. To skupienie zaś wyniknęło z decyzji, którą podjął piętnaście lat wcześniej.

Całe życie, skonstatował, przewracając się na wznak i wpatrując w zielony sufit namiotu, może zależeć od jednego jedyne go wyboru. Ale nawet gdyby w jego wypadku tak nie było, nawet gdyby wydarzenia w bibliotece pani Dalton potoczyły się inaczej, Jake nadal bardzo by się różnił od Shipleya. Po prostu każdy z nich wychodził z innego założenia. Shipley wierzył w decyzje grupy, pobłogosławione i pokierowane przez Światło; był przekonany, że zgoda wielu prostych ludzi – jakkolwiek długo by się ją osiągało – w efekcie zawsze skończy się właściwym postępkim.

Jake był odmiennego zdania. *Jeśli coś ma się wydarzyć, musisz to sprawić. Ty sam, ponieważ nikt inny nie robi tego za ciebie. Każdy może polegać tylko na sobie.*

I Jake sprawił tamtą słodycz z Lucy. Lucy była przestraszona i niespokojna, on jednak zastosował wszystkie techniki perswazji, jakie znał, zadowolony, że tym razem używa ich nie w celu manipulacji, lecz z pożądania. I z wiary, że seks dobrze im zrobi.

Co było prawdą.

Aczkolwiek, rozmyślał dalej, zakładając ręce pod głowę i napełniając płuca rześkim rannym powietrzem, które wpadało do namiotu, słodycz w życiu jest naprawdę słodka tylko wtedy, gdy nie trzeba za nią zbyt drogo zapłacić. Jake nie zamierzał przepłacić za tę idyllę z Lucy. Nie zamierzał powiedzieć jej – kiedykolwiek – o pani Dalton. Zdał sobie bowiem sprawę, że Lucy nie należy do kobiet, które by akceptowały zło. Gdyby taka była,

toby jej nie pragnął. Toby nie była idealistką, jaką w niej widział.

Gdy komunikator na jego nadgarstku zawibrował, delikatnie potrząsnął Lucy za ramię.

– Pora wstawać, Lucy. Poranne spotkanie zacznie się za pół godziny.

Mruknęła coś niezrozumiale i zakopała się głębiej w poduszce.

– Dziś powinny być gotowe raporty biologów.

Zerwała się natychmiast, mrugając oczami.

– A, tak!

Wyszczrzył się do niej. Wyglądała nęcąco, gdy tak kuciała na łóżku z chmurą świetlistych jasnych włosów dokoła głowy i sterczącymi różowymi sutkami, które celowały w niego niczym para widzących oczu. Sięgnął do niej ręką.

– Jake, nie, nie mamy czasu!

– Mamy, pod warunkiem że odpuścimy sobie kąpiel. Co wolisz: siedzieć na spotkaniu czysta czy siedzieć na spotkaniu zaspokojona?

Zaśmiała się i oczy jej pociemniały, co jak już wiedział, było przejawem pożądania. Wybuchnęła śmiechem powtórnie, głębszym, bardziej gardłowym i zapraszającym.

Ledwie przekroczyli próg namiotu, Jake domyślił się, że nie będzie to kolejne rutynowe spotkanie. Obok członków rady zarządzającej obecni byli też wszyscy ważniejsi naukowcy: Maggie Striker, Roy Callipare. Robert Takai, Ingrid i Todd, Thekla Barrington.

– Czemu tak późno? – szepnęła do niego Gail.

Jake nie odpowiedział.

George Fox zdawał się na wpół wykończony, na wpół podniecony.

– Wykonałem na tyle drobiazgową analizę tkanek, na ile pozwolił czas. Możecie wszyscy zapoznać się z moim raportem, ale ostrzegam, że jest naszpikowany technicznym słownictwem. Tutaj przedstawię najważniejsze punkty. – Urwał. W innych okolicznościach ta przerwa zostałaby poczytana za przejaw jego wrodzonej teatralności, nie tym razem jednak. Jake spostrzegł, że George Fox jest szczerze oszołomiony swoim odkryciem. Wszyscy zebrani przy pianodlewowym stole stężeli. – Po pierwsze – podjął George – pod względem biologicznym Zwierzaki są identyczne. Mówię tu o obu grupach, tych głupich pasywnych i tych agresywnych. Jedne i drugie mają taką samą biochemię. To ten sam gatunek.

– Jesteśmy to w stanie potwierdzić na poziomie DNA – dodała Ingrid. – Zarazem

odnotowaliśmy pomniejszy dryf genetyczny, który wskazuje, że obie grupy są pozbawione kontaktu od jakiegoś tysiąca lat. To by pasowało, zważywszy na dzielącą je odległość i poziom rozwoju technologicznego.

George skinął głową.

– Po drugie – odezwał się ponownie – ich układy: oddechowy, krwionośny i mięśniowy... – Zawiesił na moment głos, po czym przyznał emfaticznie: – Do licha, ludzie, pamiętajcie, że tak naprawdę nie mam pojęcia, jak działają ich organizmy. Są oparte na DNA i ciepłokrwiste, ale ewidentnie powstały w wyniku innej ścieżki ewolucyjnej niż zwierzęta stałocieplne na Ziemi. Aczkolwiek to tylko hipoteza.

– To zrozumiałe – potaknęła Gail. Jako osoba najmniej zainteresowana Obcymi, miała najwięcej cierpliwości.

George przejechał dłonią po rzadziejących rozczochranych włosach.

– W każdym razie ich układy różnią się nie tylko od naszych, ale też od układów wszystkich innych tutejszych stworzeń przypominających ssaki. Lucy miała rację. Zwierzaki, wszystkie Zwierzaki są na Zielniku nie mniej obce od nas.

– Genetyka to potwierdza – wtrąciła Ingrid. – Na poziomie molekularnym występują podobieństwa, do jakich przywykliśmy w całej Galaktyce, wynikające z panspermii, ale brak dostatecznej liczby podobieństw genetycznych między Zwierzakami i resztą tutejszego życia, żeby można mówić o wspólnej ewolucji.

– Po trzecie – przejął pałeczkę George, po którego głosie Jake zorientował się, że teraz czeka ich prawdziwa bomba – wykonałem skan mózgu martwego dziecka z wioski i Zwierzaka zabitego przez Czejenów. Wyniki WSO...

– Czym dokładnie jest WSO?

– To tak zwany wielopłaszczyznowy skan organu – wyjaśnił George. – Pokazuje organy na poziomie komórkowym. Oba mózgi są identyczne z poprawką na różnice osobnicze. Ale jest jeden wyjątek. Mały fragment mózgu pasywnego Zwierzaka jest nieaktywny. Pokryty bliznami. Powiedziałbym, że nie działa.

– Guz? – zapytał Jake.

– Nie – odparł George. – Guzy narastają niekontrolowanie, tymczasem tu mamy do czynienia ze zmianą punktową w ściśle określonym miejscu mózgu. Ponieważ wszystkie Zwierzaki z czterech położonych na wschodzie osad zachowują się podobnie, czyli obojętnie, jestem zdania, że u każdego występuje taki „wymazany” wycinek. Guzy tak nie

wyglądają, rozrastają się we wszystkie strony... Moim zdaniem jakiś wirus czy też tutejszy odpowiednik wirusa zaatakował konkretny obszar mózgu i zniszczył go...

– Mikroby nie są na ogół tak precyzyjne – zauważył Shipley.

– Nie – zgodziła się z nim Ingrid. – Chyba że same zostały wcześniej poddane procesowi inżynierii...

Inżynieria. To słowo zawisło w powietrzu i zamigotało niczym chmura wypuszczonego śmiertelnośnego dymu.

Ekolożka Maggie Striker zmarszczyła brwi.

– Pozwól, że to sobie poukładam, George. Twierdzisz, że wirus zainfekował Zwierzaki z czterech osad, czyniąc je pasywnymi, ale nie przedostał się na terytorium Czejenów. Uważasz też, że ten wirus został celowo zamajstrowany celem wykonania określonego zadania w określonej grupie Zwierzaków.

George rozłożył szeroko ręce.

– Skąd mam to wiedzieć na pewno? Przedstawiam tylko hipotezę, która znajduje potwierdzenie w faktach. Jeśli ktoś z was ma inną teorię, chętnie jej wysłucham.

Zapadło milczenie. Najwyraźniej nikt z obecnych nie miał lepszej teorii. W końcu Lucy zapytała nieśmiało:

– A czy ten wirus nie mógł wyewoluować samoistnie, bez niczyjej pomocy?

– Skąd miałbym to wiedzieć? – powtórzył George.

Ingrid rzuciła:

– To nie wydaje się prawdopodobne.

Jake nie rozumiał dlaczego, jednakże to nie była jego działka. Na razie starał się przyswoić wszystkie informacje.

– Czyli jakaś zaawansowana cywilizacja dostarczyła Zwierzaki na Zielnik skądinąd, po czym zaraziła ich jedną grupę wyspecjalizowanym wirusem?

Aż do tej pory agronomka Thekla przysłuchiwała się wszystkiemu z wypiekami na twarzy. W tej chwili powiedziała:

– Zanim przejdziemy dalej, chciałabym wam coś pokazać. Nagranie, a właściwie dwa nagrania. Mogę, Gail?

– Proszę bardzo – odparła Gail, choć nie wyglądała na uszczęśliwioną.

– Pierwsze nagranie – kontynuowała Thekla – zawdzięczamy kapitanowi Schererowi. Oczywiście kapitan w dalszym ciągu mapuje Zielnik z orbity, a kiedy jego satelity

wychwyciły to, postanowił osobiście dokonać przelotu na niskiej orbicie. Plik trafił do Gail wczoraj wieczorem. Komputer, włącz się. Wyświetl nagranie cztery–pięć–dziewięć–trzy.

Ekran ścienny pojaśniał. Oczom zebranych ukazało się nagranie przetransponowane już z wersji cyfrowej, ukazujące kupy... czegoś. Pomiędzy nimi siedziały bez ruchu małe kropki. W pewnym momencie zmieniła się nagle perspektywa i rozdzielczość, gdy kapitan Scherer zrobił zbliżenie. Kupy okazały się krytymi strzechą chatami, a nieruchome kropki – Zwierzakami. Osada znajdowała się dla odmiany w terenie górzystym.

Trzecia grupa Obcych na Zielniku.

Zwierzaki siedziały na ziemi obok zgasłych palenisk. Wszystkie były bardzo chude i wyliniałe – na ich ciałach widniały gołe placki. Jake’a jednak najbardziej zdumiał wyraz ich twarzy. Choć porośnięte rudobrazowym futrem i tak obce, ich oblicza wyrażały jakąś emocję, czego nie dało się zauważyć w wiosce pasywnych Zwierzaków. Miały szeroko rozwarte oczy i usta, które odsłaniały potężne zęby. Co do oczu zaś... oczy przywodziły Jake’owi coś na myśl, aczkolwiek nie byłby w stanie powiedzieć co. Kiedy im się przyglądał, jeden ze Zwierzaków wstał, zatoczył się chwiejnie i upadł.

– Czy one są chore? – zapytał Todd.

– Nie wiem na pewno, ale raczej nie – odparła Thekla. – Drugie nagranie wykonała moja techniczka w laboratorium agrarnym. Wszyscy moi technicy ciężko pracują, są młodzi i... Cóż, sami zobaczcie.

Ekran znowu pojaśniał, ukazując młodą kobietę o lśniących czarnych włosach, która siedziała po turecku na podłodze laboratorium i wpatrywała się w but. W pewnym momencie uniosła głowę i spojrzała prosto w kamerę. Źrenice miała rozszerzone, a jej twarz przybrała wyraz takiego zachwytu, takiego niewinnego cudownego zdumienia, że Jake natychmiast się domyślił, w czym rzecz.

Tymczasem Thekla mówiła dalej sucho:

– Na Ziemi wszystkie ludzkie kultury, z wyjątkiem Eskimosów, prędzej czy później odkryły co najmniej jedną roślinę psychotropową i zrobiły z niej użytek. Tu mamy przykład zmodyfikowanej genetycznie wersji dziko rosnącego kwiatu nazywanej przez dzieciaki „hajzielem”. Wypróbowali ją na biednej Puchatce, która jednak nie ma nic przeciwko temu...

Kamera odjechała i objęła szerszą perspektywę, ujmując dodatkowo kota, jedno z

kilkudziesięciu zwierząt domowych przywiezionych z Ziemi. Większość z nich nadal była pogrążona w hibernacji, jednakże z tego, co wiedział Jake, agronomowie i genetycy wybudzili kilka osobników – kotów, psów i kóz – aby używać ich jako testerów pożywienia hodowanego na Zielniku. Na oczach patrzących kot zatoczył się wkoło i upadł. Zbliżenie na jego pyszczek pokazało koci odpowiednik zachwytu widocznego na twarzy dziewczyny.

– To nagranie w ramach żartu zarejestrował kolega techniczki – wyjaśniła Thekla. – Natknęłam się na nie na komputerze i dałam im burę. Na tym etapie prac zbyt niebezpieczne jest wypróbowywanie substancji na ludziach, a nawet na zwierzętach laboratoryjnych. Nie chcemy przecież żadnego niepotrzebnie stracić. Na szczęście ani Puchatka, ani Kendra nie ucierpiały, co jednak nie wróży nam najlepiej, gdybyśmy chcieli zakazać hajziela.

– Skoro kot najwyraźniej wylażł z worka – rzucił George, sprawiając, że Jake roześmiał się wbrew sobie.

Lucy zerknęła na niego czule. Jake nieoczekiwanie zastanowił się, co myśli sobie Shipley. Nowi Kwakrzy nie pili bąbelków ani kawy. Ciekawe, czy Shipley był świadom, że wszystkie religie, poczynając od Rygwedy przez islam, a kończąc na Wielkim Duchu, wykorzystywały chemiczne polepszacze nastroju w celu osiągnięcia odpowiedniego poziomu mistycyzmu. Nie mógł przecież tego nie wiedzieć.

Z zamyślenia wyrwała go Maggie, która powiedziała:

– Zatem trzecia grupa Zwierzaków stosuje jakieś psychotropy. Co nam to mówi?

– Jeśli tylko o to chodzi, nic – stwierdziła Thekla. – Ale w świetle odkrycia George’a zastanawiam się, czy w mózgach tych istot nie odbywa się ciągle identyczny proces. Przyjrzyjcie się im: tu nie chodzi o dobrą zabawę, po której wracają do przerwanego życia. One nie jedzą. Zaniedbują swoje ciała. Pozwalają, żeby strzecha spadała z dachów. Nie pilnują ognia. Może coś w ich mózgu utkwilo na stałe, wywołując stan odmiennej świadomości, przez co pogarsza się każdemu kolejnemu pokoleniu, które popada w coraz większe odrętwienie i degrengoladę.

– Masz na myśli coś sztucznego, powstałego w wyniku inżynierii genetycznej? W rodzaju wirusa, który zubożętnia pozostałe Zwierzaki?

– Musimy zdobyć jeden taki mózg! – rzucił George.

Gail zareagowała stanowczo:

– Nie wywołamy wojny, żeby go dla ciebie zdobyć.

Wszyscy obecni pokiwali głowami. Larry Smith – Błękitna Woda – nie skontaktował się z bazą w sprawie swojej wojny ze Zwierzakami. Satelity Scherera również nie wychwyciły oznak żadnego wojowniczego zachowania. Nikt nie miał pojęcia, co się dzieje na subkontynencie Czejenów, chyba że Nan Frayne odezwała się przez komunikator do ojca. Jeśli nawet tak się stało, Jake nie został o tym powiadomiony.

– Załóżmy na chwilę – zaczęła zamyślona Maggie – że naćpane Zwierzaki są ofiarą jakiegoś innego zmodyfikowanego genetycznie wirusa. Podsumujmy więc... Przed tysiącem lat nieznane istoty sprowadziły na Zielnik trzy grupy Zwierzaków i rozmieściły je w oddalonych od siebie rejonach. Następnie te same albo inne istoty wypuściły różne wirusy z zamiarem wpłynięcia na mózgi Zwierzaków, czyniąc je obojętnymi, agresywnymi i stale naćpanymi... – Nagle rozszerzyła oczy.

– Opisujesz eksperyment – stwierdziła głucho Ingrid – w którym szalką Petriego jest cała planeta.

– Mój Boże... – powiedział George. – Jeśli...

Zaczął, ale nie dokończył. Jake poczuł zawrót głowy. *Zakrojony na skalę planety eksperyment prowadzony na przestrzeni tysiąca lat? A nawet dłużej, bo przecież statek Obcych potrzebował czasu, aby dotrzeć na Zielnik z ojczyzny Zwierzaków. Jakie istoty...*

– Nie podoba mi się to – oznajmiła Maggie. Po chwili milczenia dodała: – I nie wierzę w to.

– Dlaczego? – zapytała Ingrid.

– Brzytwa Ockhama – rzuciła krótko Maggie. – Najprostsze wytłumaczenie jest takie, że Zwierzaki wyewoluowały na miejscu w wyniku jakiejś pokręconej ścieżki ewolucyjnej.

Zaciskając pięści, Lucy prychnęła:

– Zwierzaki nie są rdzennymi mieszkańcami tej planety!

– Może nie tego kontynentu – sprostowała Maggie – ale Zielnika na pewno. To by się zgadzało... Nie przebadaliśmy dostatecznie uważnie reszty globu. W pewnym momencie historii gatunkowej Zwierzaki znalazły się tutaj i złapały jakiegoś wirusa, na którego nie były odporne...

– Trzy rodzaje wirusa ot tak, przypadkiem? – wpadła jej w słowo Ingrid, z której głosu przebijała drwina. – Nie chce mi się w to wierzyć. Moim zdaniem te wirusy powstały w wyniku inżynierii genetycznej z zamiarem wywołania trojakiemu skutku.

– Kto za tym stał? – zainteresował się Jake.

– Skąd mam wiedzieć? Bardziej zaawansowani w rozwoju przedstawiciele gatunku Zwierzaków albo jakieś inne stworzenia.

– Gdyby – rzekł autorytarnie Jake – inne kontynenty nosiły ślady występowania zaawansowanej technologicznie cywilizacji, Scherer już dawno by na nie natrafił podczas mapowania. Diabła tam, do tego nie trzeba by nawet lotów na niskiej orbicie. Ślady termiczne i tym podobne, wszystko byłoby widać jak na dłoni z satelitów.

Ponieważ nie można było z tym dyskutować, przez chwilę wszyscy milczeli. W końcu Robert Takai powiedział cicho:

– Jeśli Ingrid nie myli się w sprawach genetyki...

– Nie myślę się!

– ...to ktoś tutaj, na Zielniku, prowadzi eksperyment. Jednym słowem wpakowaliśmy się na wielką szalkę Petriego. Żeby ubiec twoje obiekcje, Maggie... Brzytwa Ockhama podpowiada, że inicjatorami doświadczenia byli przedstawiciele gatunku Zwierzaków, którzy zainstalowali tu swoich pobratymców przywiezionych z innej planety.

– Bzdura – skwitowała Thekla, rozwścieczając do białości Ingrid swoim brytyjskim akcentem.

– Mówię wam...

– ...śmieszny pomysł, że...

– ...dowodu paleontologicznego Lucy...

– ...niemądre argumentowanie na podstawie...

– Przestańcie! – poprosił Jake. Potem dodał spokojniej: – Czekać.

Potoczył po nich obojętnym wzrokiem. Przynajmniej miał nadzieję, że jego spojrzenie jest obojętne. Zdążył rozboleć go brzuch.

– Zbierzmy do kupy fakty. Na tym kontynencie nie ma śladów kopalnych Zwierzaków. Wszystko wskazuje na to, że trzy odrębne grupy Zwierzaków mają mózgi zainfekowane trzema różnymi wirusami. Wszystkie trzy grupy cofnęły się w rozwoju i ewidentnie wymierają, aczkolwiek z różnych powodów behawioralnych. Czy jak dotąd wszyscy się zgadzamy?

Trzydzieści siedzących naprzeciwko niego osób skinęło głowami. *Na razie wszystko idzie dobrze.* Jednakże Jake nie łudził się, że ta zgoda utrzyma się dłużej.

– No więc... Dowodów kopalnych na tym kontynencie może brakować, ponieważ Zwierzaki przyszły skądinąd, względnie zostały tu przez kogoś sprowadzone. Ingerencje w

ich mózgi mogą być prowokowane sztucznie albo całkowicie naturalnie, nie zapominajmy, że mamy do czynienia z Obcymi. Dalej...

– Ingerencje nie są naturalne! – wybuchnęła Ingrid z poczerwieniałą twarzą.

Jake uniósł rękę wnętrzem dłoni do przodu.

– Wstrzymaj się, Ingrid. Proszę. Jeśli połączymy zróżnicowane interpretacje faktów, co do których się zgodziliśmy, otrzymamy cztery możliwości. – Zaczął wyliczać. – Po pierwsze: Zwierzaki przybyły tutaj z jakiegoś innego, równie prymitywnego miejsca na Zielniku, po czym uległy zarażeniu chorobą lub chorobami, które ich dziesiątkują. W efekcie patrzymy na wymieranie i koniec naturalnej ewolucji.

Maggie pokiwała zawzięcie głową.

– Tak. Podobnie było w wypadku neandertalczyków. To by miało sens.

Zgodził się z nią geolog Roy Callipare, który powiedział:

– Też tak uważam. Stanu tych naćpanych Zwierzaków nie trzeba tłumaczyć wydumanym wirusem, wystarczy tutejszy odpowiednik opium czy pejotlu.

Thekla również skinęła głową, czując się usprawiedliwiona.

– Po drugie – podjął Jake, zanim Ingrid zdążyła napaść na Roya – Zwierzaki pochodzą spoza Zielnika, ale nabawiły się wirusa drogą naturalną. Przybyły tu z własnej woli, tak jak my, żeby skolonizować planetę. Następnie zostały zaatakowane przez wirusy, po czym po tysiącu lat zostały z nich tylko te nędzne resztki.

– O Boże, tylko nie „zagubiona kolonia kosmiczna”, błagam – powiedziała Ingrid. – Ile kiepskich holofilmów na ten temat widzieliście?

– Nie, to ma sens – rzekł Liu Fengmo, zadziwiając Jake’a. – Dlaczego Zwierzaki nie miałyby być kolonizatorami, którzy ulegli degeneracji?

– Dlatego, że nie ma żadnych artefaktów z czasów, kiedy nie były zdegenerowane! – wypaliła Lucy.

– Tutaj nie ma – przyznał spokojnie Fengmo – ale mogą być na innych kontynentach. Nasze urządzenia nie wychwyciłyby śladów termicznych porzuconego sprzętu ani miast zagrzebanych pod gęstą roślinnością. Moim zdaniem to bardzo możliwy scenariusz.

– Zgadzam się – powiedzieli niemal równocześnie Fajsal i Robert.

William Shipley skinął powoli głową, po czym nią pokręcił. Jake nie przerwał wypowiedzi, aby się zastanowić, co to może znaczyć.

– Po trzecie: ktoś celowo manipulował przy mózgach Zwierzaków. To oznacza, że

najpierw ktoś je tutaj skądś sprowadził, ponieważ już ustaliliśmy, że na Zielniku nie występuje cywilizacja zaawansowana technologicznie w wystarczającym stopniu, aby zmodyfikować genetycznie wirusy. Z tego by wynikało, że Zwierzaki poddano technikom inżynierii genetycznej bądź przed sprowadzeniem ich tutaj, bądź później.

– Ale dlaczego? – zapytał Robert.

– Tego nie wiemy – odparł cierpliwie Jake. – Może Zielnik to swego rodzaju kolonia karna.

– Użycie w tym celu całej planety byłoby za kosztowne – sprzeciwił się Robert. – Nie zapominaj o ogromnych kosztach transportu międzygwiazdowego.

– Racja. Po prostu przedstawiam możliwości. Niewykluczone, że Ingrid ma rację i to jakiś rodzaj eksperymentu biologicznego mającego na celu...

– Wielkie dzięki – wtrąciła Ingrid.

– ...mającego na celu udoskonalenie ich rasy, przeprowadzenie doświadczenia społecznego albo ukarania ichniejszych odpowiedników rodzin czy klanów. Nie sposób o tym wyrokować.

– To prawda – potwierdził George. – Myślę jednak, że...

– Chwileczkę, George – przerwał mu Jake. Boże, to przypominało zaganianie w jedno miejsce wielu kotów. – Jest jeszcze jedna możliwość, aczkolwiek najmniej prawdopodobna. Zwierzaki zostały tutaj sprowadzone i zmanipulowane przez Obcych. Skoro w kosmosie może istnieć jeden obcy rozumny gatunek, równie dobrze może ich być więcej.

No i proszę. Udało mu się wyłożyć wszystkie możliwe kombinacje faktów, nawet jeśli ostatnia, traktująca o obcych übermanipulatorach, i jemu wydawała się zwyczajnie śmieszna.

– Ja stawiam na trzecią albo czwartą teorię – odezwała się Ingrid. – Zwierzaki zostały tutaj sprowadzone i poddane modyfikacji genetycznej. Nie wiem, kto to zrobił ani dlaczego, ale to na pewno nie jest zjawisko naturalne.

– Też tak uważam – dorzucił Todd, zawsze lojalny mąż, zerkając na Ingrid wzrokiem wyraźnie błagającym o aprobatę. Nie doczekał się jej.

– Ja także – dodała Lucy. Jake spostrzegł, że nie jest zachwycona obecnością w grupie Ingrid, jednakże mówiła z przekonaniem. – A ty, Jake... jak myślisz?

Odpowiedział powoli:

– Jeszcze nie wiem.

Scherer zaskoczył wszystkich.

– A ja wiedzieć, co myśleć. Jeśli ktoś, ktokolwiek, sprowadzi tu Zwierzaków, ten ktoś tutaj wrócić. Żeby sprawdzić wynik eksperymentu. Może ci Obcy wrócić prędko. My musimy się przygotować.

– O Boże – jęknęła Gail. – To zaczyna się wymykać spod kontroli... Jacy znowu Obcy? Przecież nie przerobimy Mira City na twierdzę, żeby się bronić przed... jak ich nazwałeś, Jake?... przed übermanipulatorami, którzy najprawdopodobniej nawet nie istnieją!

Tuzin głosów rozbrzmiał równocześnie. Przebiła się przez nie Ingrid:

– To, że Zielnik może być szalką Petriego, nie znaczy, że coś nam grozi!

– Nie znaczy też, że jesteśmy bezpieczni – zauważył Roy przytomnie.

– Założmy... – Shipley był bardzo blady. – Założmy, że to eksperyment i że eksperymentatorzy wrócą. Najlepiej byłoby przygotować plan, który pozwoli ich powitać bez wywoływania w nich gniewu. W końcu to nasi bliźni, którzy też mają dusze.

Jake natychmiast sobie uświadomił, że Shipley był najgorszą możliwą osobą do wysunięcia tej propozycji. Ponieważ sugestia padła z ust Nowego Kwakra, wszyscy wyobrazili sobie zaraz jakieś pseudoreligijne pacyfistyczne ewangelizowanie, z którym nie chcieli mieć do czynienia.

– Nawet jeśli Zwierzaki zostały poddane eksperymentowi – rzekł George – nie znaczy to jeszcze, że doświadczenie trwa. Spójrzcie, jak ich jest niewiele i jacy są prymitywni i zdegenerowani. Moim zdaniem nikt do nich nie zaglądał od setek lat.

– To dlatego, że są zaginioną kolonią – wtrącił Liu Fengmo. – Jeśli nas spotka podobny los, jeśli zapadniemy na choroby i zdegenerujemy się, nikt na Ziemi też nie będzie o tym wiedział.

Jake wspomniął ciszę kwantową z *Feniksa*.

– Sądzę, że Fengmo może mieć rację – powiedział Robert. – Mamy do czynienia albo z zaginioną kolonią, albo z izolowanymi wymierającymi resztkami rodzimego gatunku. Kimkolwiek są Zwierzaki, nie stanowią dla nas zagrożenia. Czeka nas tu za dużo pracy, abyśmy poświęcali siły i środki na rozwikłanie zagadki tubylców.

George nie wytrzymał:

– Jak możesz tak mówić o jedynym rozumnym gatunku, jaki znaleźliśmy w kosmosie?

– Wydaje mi się – rzuciła stanowczo Gail – że Robert powiedział najrozsądniejszą rzecz

tego ranka. Możemy dalej badać Zwierzaki, ale jedyne, co nam pozostaje, to czekać na dodatkowe informacje. W tym czasie naszym priorytetem powinno być Mira City.

– Poczekamy, zobaczymy – mruknął Fengmo. – Popieram.

– *Nein!* – zaprotestował Scherer. – My musimy się bronić!

Jake zauważył, że militarystyczne podejście kapitana jest równie niemile widziane jak wcześniej religijne Shipleya. Scherer został zignorowany z taką samą łatwością jak Nowy Kwakier przed chwilą. Był żołnierzem, więc co zrozumiałe, rwał się do wojny, ale...

– Jak niby mielibyśmy się obronić przed rasą, która używa całych planet jako szalek Petriego? No, jak? – zapytał Robert Takai.

Scherer nie miał na to gotowej odpowiedzi. Jake wyczuł, że grupa zwraca się przeciwko niemu. Oczywiście wszyscy będą dalej sprzeczać się co do pochodzenia Zwierzaków. Dyskusja będzie zacięta i długa, na pewno nie skończy się ot tak. Jednakże to w końcu naukowcy i administratorzy. Ich podstawowa strategia sprowadza się do „Poczekamy, zobaczymy”.

– Przeczy podejściu naukowemu – stwierdził George Fox – zakładanie, że dysponujemy wystarczającą wiedzą, aby podjąć jakieś działania. Tak naprawdę prawie nic nie wiemy. Przynajmniej na razie. Dlatego musimy się dowiedzieć więcej.

– Tak – zgodzili się wszyscy kolejno, chociaż na różne sposoby.

Jake stwierdził, że również jest za. Brakowało im informacji, aby wyciągnąć konkretne wnioski. Zagadka pozostała nierozwiązana.

Być może nigdy nie uda się jej rozwiązać. To była najbardziej niepokojąca myśl.

Po spotkaniu rozmawiał o tym jeszcze z Lucy i zdziwiło go, że nie satysfakcjonuje jej bezczynność.

– To nie paranoja – powiedziała Jake’owi. – Nie paranoja. Jestem paleontologiem. Wiem, że Zwierzaki nie wyewoluowały na Zielniku ani nie przyleciały tu w jakimś rozpadającym się statku kosmicznym, żeby następnie drastycznie zmniejszyć swoją liczebność. One...

– Lucy, nie zbadałaś całej planety, tylko kilka wybranych stanowisk – przerwał jej łagodnym tonem Jake.

– Przeprowadziłam symulacje komputerowe... Jake, martwi mnie, że mi nie wierzysz. Czuję się tak, jakbyś podważał moje kompetencje zawodowe.

Była taka bezpośrednia. Jak Donnie.

– Wcale tego nie robię, Lucy.

– No to w takim razie moje zdrowie psychiczne. Albo przynajmniej mój zdrowy rozsądek.

Zebranie się do odpowiedzi zajęło mu dłużej, niż powinno. Lucy zeszywniała i odsunęła się od niego.

Oczywiście się pogodzili. Ich namiętność była taka świeża – wciąż na etapie, gdy przeważa wszystko inne. Za obopólną milczącą zgodą nie poruszali więcej tematu – jak ochrzcił to George – „teorii szalki Petriego”. Rozmawiali o Mira City, plotkowali o znajomych, śmiali się, droczyli i uprawiali seks. Wszystko było dobrze.

Jednakże Jake uświadomił sobie, że teraz nie mogą już mówić o dwu sprawach.

– Jake, mamy problem – powiedziała Gail kilka tygodni później.

Tyle dobrego, że nie dotyczył on Zwierzaków. Gail była zdania, że cała sprawa ze Zwierzakami jest nieistotna.

– Jaki? – zapytał i natychmiast się zorientował z wyrazu jej twarzy, że to coś poważnego.

Przebiegł w myślach listę bieżących kłopotów... Awaria sprzętu kładącego rury, który Ben Goldman starał się bezskutecznie naprawić. Straty poczynione w doświadczalnej hodowli modyfikowanej genetycznie pszenicy przez milutki, ale nienasycone stworzenie przypominające nieco żuka. Okaleczenie młodego kwakra w wypadku przy pracy. Uszkodzenie kilku namiotów w czasie niedawnej burzy. Kłótnia pomiędzy dwojgiem ludzi, którzy zarzucali sobie wzajemnie zniszczenie narzędzia pożyczonego przez jedną rodzinę drugiej...

Rozjemstwo było domeną Jake'a. Ustanowił na Zielniku system prawny, który miał zapewnić sprawiedliwość minimalnym kosztem czasu, wysiłku i pieniędzy. Za model posłużył kodeks karny Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej, aczkolwiek większość spraw trafiała do arbitrażu, nie przed sąd. Ilekroć było to możliwe, stosowano oprogramowanie prawnicze. Wszyscy koloniści z wyłączeniem Czejenów podpisali umowy zobowiązujące ich do respektowania wyroków bez prawa do odwołania. Rudolf Scherer był gotów je wymusić w razie potrzeby. Jednakże większość osób – Nowi Kwakrzy, nastawieni proekologicznie krewni Gail, łagodnie dyktatorscy Arabowie oraz grupa przyjaznych Chińczyków – była jak najdalsza od popełniania przestępstw. Wspólnoty etniczne żyły

oddzielnie głównie na terenie Mira City, a każda z nich znajdowała się nieustannie pod wewnętrznym nadzorem, który zapewniał silną kulturalną kontrolę zachowania.

– Jaki problem, Gail? – powtórzył, kiedy nie odpowiedziała.

Siedzieli w biurze Korporacji Mira, które wydawało się niemal tak samo ciasne jak na *Arielu*, choć miejsca było tam znacznie więcej. Do pomieszczenia tego trafiało wszystko, czego akurat nie używano: posłania, rejestratory, próbki skał, zepsuty sprzęt i raporty, które czekały na włączenie do akt.

Gail w dalszym ciągu nie odpowiadała. Jake przyjrzał się jej uważnie i wreszcie dostrzegł malujący się na jej twarzy wyraz niebotycznego przerażenia. Coś ścisnęło go w piersi.

– Chodzi o Nan Frayne – odezwała się wreszcie. – Zabiła czejeńskiego wojownika. Larry Smith domaga się, aby karę wymierzyła jej rada plemienna. Najprawdopodobniej skazą ją na śmierć.

William Shipley siedział w lecącym skimmerze z tępą miną i dłońmi splecionymi tak ciasno, że z palców odpłynęła mu wszystka krew.

Nie chcieli, żeby przylatywał. Co więcej, ani Jake, ani Gail nie zamierzali mu powiedzieć o wyprawie do Czejenów. Nawet by nie wiedział, co uczyniła Naomi i co ją czeka, gdyby sama się z nim nie skontaktowała.

Stało się to tuż po spotkaniu religijnym. Shipley opuścił namiot, czując przepełniające go Światło, mimo że nic szczególnego nie zostało powiedziane podczas spotkania. Jednakże milczenie, harmonia, obecność reszty dzieci Shipleya i ich rodzin, jak również pozostałych Nowych Kwaków kornie czekających, aż spłynie na nich Światło – wszystko to odniosło skutek, dzięki czemu umysł i serce Shipleya zalały spokój i wdzięczność. Właśnie wtedy rozległ się sygnał komunikatora.

– Tato? Tu Nan.

Zatrzymał się w pół kroku na jednej ze świeżo wybrukowanych ulic Mira City. Jako że dwie więcej miejscowe rośliny zostały zaakceptowane przez biologów do przeplacowania, wzdłuż ulicy rosła z jednej strony cienka jaskrawa linia kwiatów. Były purpurowe i ciemnoczerwone i miały obco wyglądające płatki.

– Mam tylko minutę, zanim mnie zauważą – powiedziała bez tchu. – Powinnam właściwie być w izolacji, ale pewna stara Czejenka uznała, że mogę skontaktować się z rodziną, i przyniosła mi komunikator. Chyba mnie uśmiercą. Zabiłam człowieka, drania, który bez wątplenia sobie na to zasłużył, ale Larry Mokry czy jak mu tam...

Połączenie zostało przerwane.

Shipley stał jak sparaliżowany. Później z wysiłkiem ruszył zasapanym biegiem w stronę biura Korporacji Mira.

Jake i Gail byli na miejscu i Shipley, jak tylko ich zobaczył, zrozumiał, że już wiedzą, co się stało.

– Doktorze... – Gail zerwała się, żeby wysunąć mu krzesło. – Niech pan usiądzie. Jest pan cały zgrzany.

– Ja... – Nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Z opresji uratował go Jake.

– Wiemy o wszystkim. Larry Smith właśnie się z nami skontaktował. Doktorze...

W słowo wpadła mu Gail:

– Czy Nan do pana dzwoniła? Jak?

– Tak – wysapał Shipley. – Nie wiem jak. Powiedziała, że stara Czejenka przyniosła jej komunikator. Co tam się wydarzyło? Wiecie? Och, proszę, powiedzcie mi!

– Spokojnie, doktorze – poprosił Jake. – Tak, wiemy o wszystkim. Jak mówiłem, skontaktował się z nami Larry Smith. Startujemy, jak tylko porucznik Halberg uzupełni zapas paliwa w skimmerze.

– Ale... ale co tam się stało? – Usłyszawszy żalną nutę we własnym głosie, spróbował wziąć się w garść. W niczym nie pomoże Naomi, jeśli podda się rozpacz.

Gail i Jake wymienili spojrzenia. Jake, który zawsze lepiej sobie radził z ludźmi, skinął głową. Następnie nachylił się w stronę Shipleya.

– To wciąż jest nie do końca jasne – powiedział. – Dobra wiadomość jest taka, że Larry w ogóle się do nas odezwał. To oznacza, że nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie Nan, w przeciwnym razie po prostu wcieliłby ją w życie. Należy mieć nadzieję, że gdy porozmawiamy z nim osobiście, sytuację da się...

Gail nie pozwoliła mu skończyć.

– Och, przestań patrzeć na pozytywy i powiedz doktorowi, co się wydarzyło!

Wyjątkowo Shipley był wdzięczny za jej bezpośredniość.

– Nan najwyraźniej mieszkała ze Zwierzakami – zaczął opowiadać Jake. – I...

– Ze Zwierzakami? – zdziwił się Shipley. – Z tymi agresywnymi na terytorium Czejenów? Jakim cudem...

– Nie wiemy – odparła Gail. – W jakiś sposób przekonała je, aby ją zaakceptowały. Nie miała ze sobą komunikatora ani, jak się zdaje, nic innego. Zwierzaki skutecznie nocne podjazdy na obóz Czejenów, wdając się w małe potyczki na obrzeżach. Czejeni spodziewali się ich i byli przygotowani, wystawiali strażę i tak dalej, ale za każdym razem Zwierzakom udawało się uciec. Jak dotąd nikt inny nie zginął, choć dwóch wojowników zostało rannych. Jak się jednak zdaje, paru młodych wojowników postanowiło przenieść walki na terytorium wroga. Zaatakowali osadę Zwierzaków. Tak się składa, że była to wioska, w której mieszkała Nan. Zginęło pięciu Zwierzaków, a Nan zabiła jednego wojownika. Potem Czejeni działkiem laserowym zmiotli wioskę z powierzchni ziemi.

– Zgodnie z prawem plemiennym i literą kontraktu z Korporacją Mira nie powinni mieć działka laserowego – wtrącił Jake z powagą. – To daje nam przewagę w negocjacjach z

Larrym.

Shipley był zbyt zdenerwowany, aby to zrozumieć.

– A Naomi...

– Wojownicy przyprowadzili ją ze sobą i przekazali w ręce rady plemiennej.

Poczucie odrealnienia opadło Shipleya niczym wszędobylski pył. Rada plemienna, nocny podjazd, wojownicy... Naomi. To wszystko brzmiało jak kiepski holofilm o dziewiętnastym wieku.

– A wiecie – usłyszał własne słowa – że dawni kwakrzy na pograniczu mogli bezkarnie odwiedzać Indian, nawet jeżeli pozostawali w stanie wojny z białymi? To szczerą prawdą. Brak przemocy... – Urwał.

Gail zwróciła się do niego łagodnie:

– Doktorze, to musi być dla pana szok. To zrozumiałe. Proszę tu chwilę spokojnie posiedzieć...

– Jadę z wami – oznajmił.

– Nie sądzę, aby to był dobry pomysł – powiedział Jake. – Skontaktujemy się z panem z obozu Czejenów.

– Jadę z wami! – powtórzył dobitniej. – Chodzi o moją córkę!

Ponownie Gail i Jake spojrzeli na siebie. Gail wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się, aby pozwolono panu zobaczyć się z Nan.

– Dobrze – rzucił Shipley. Zdążył się już uspokoić. Musiał coś zrobić.

Tylko co? Siedząc w skimmerze, zamknął oczy i starał się otworzyć na Światło. Gdyby tylko mógł teraz odbyć spotkanie! Prawda najczęściej ujawniała się wtedy, gdy nasłuchiwało jej naraz wiele osób kierowanych przez milczenie. Jednakże nie było czasu na zorganizowanie spotkania.

Zresztą co można było zrobić? Naomi zabiła człowieka. Cokolwiek by uradzono, cokolwiek by uczynił Jake, nie da się tego zmienić, nie da się tego zignorować. William Penn ujrzał to z jasnością Światła wiele wieków temu: „Dobry cel nie uświęca złych środków; nie wolno nam postępować źle w nadziei, że przyjdzie z tego coś dobrego”.

Nie miało znaczenia, jakie usprawiedliwienie wymyśliła Naomi dla swojego uczynku. Odebrała człowiekowi życie. Rozdzieliła ciało i duszę.

Porucznik Halberg wylądował w tym samym miejscu co poprzednio. Najwyraźniej było to lądowisko Czejenów, kolejna rzecz, która nie powinna istnieć. Larry Smith czekał na

nich w otoczeniu trojga ludzi: dwóch mężczyzn i jednej kobiety, wyraźnie starszych od niego. Zniknęły gdzieś kombinezony z threadmore'u. Wszyscy czworo byli ubrani w tuniki ze zwierzęcych skór narzucone na syntetyczne spodnie i buty. Ich włosy, czarne, brązowe i brudny blond, były związane z tyłu i przystrojone piórkami i kamykami.

Wysiadając ze skimmera, Shipley poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Ostrzeżenie: nic nie mów. Skinął głową do Jake'a.

– Witaj, Błękitna Wodo – przywitał się Jake.

– Witaj, Jake.

– Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach. Gdzie będziemy rozmawiać?

– Tutaj. Nie ma wiele do powiedzenia. – Opalona twarz Smitha była zacięta.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekł Jake przeproszającym tonem – może zejdziemy ze słońca? Doktorowi Shipleyowi jest trochę słabo.

– Nie powinniście byli go ze sobą przywozić – stwierdził Błękitna Woda, ale pokonferował z pozostałą trójką i ruszył w stronę obozu.

Porucznik Halberg został przy skimmerze niezadowolony, że Jake kazał mu pilnować maszyny.

Świetnie, pomyślał Shipley częstką umysłu, która potrafiła wciąż rozumować racjonalnie. *Trzeba włożyć nogę między drzwi, trzeba pokazać, że nie stanowimy zagrożenia. Jake jest w tym dobry...* W Shipleyu zrodziła się znów nadzieja.

Czejeni większość życia spędzali najwyraźniej na zewnątrz. Shipley zobaczył ludzi wyplatających koszyki z macek czerwonego pełzaka, które były wytrzymałe i elastyczne. Dwóch mężczyzn układało pasy mięsa na tłącym się dymiącym ognisku. W ciepłym powietrzu uniósł się swąd. W oddali grupka półnagich dzieci biegała, radośnie pokrzykując.

Shipleya, Jake'a i Gail poprowadzono do tipi zajmowanego przez dwie młode kobiety zaabsorbowane szyciem. Gdy starsza kobieta powiedziała do nich coś, czego Shipley nie dosłyszał, obydwie zerwały się, zrobiły wielkie oczy i odeszły. Wszyscy przybyli zasiedli na perskich dywanach o złotej krawędzi, równie tutaj nie na miejscu jak konsola wirtualnej rzeczywistości. Wkrótce w tipi stłoczyło się dalsze siedem osób; Shipley znalazł się ściśnięty pomiędzy Gail i starą Czejenką. Jake usiadł naprzeciwko nich zapewne po to, aby odwrócić uwagę od Shipleya. Powietrze było przesycone zapachem ludzkich ciał i jedzenia.

– Błękitna Wodo, członkowie rady plemiennej, przyjmijcie na wstępie nasze podziękowanie za zaproszenie. Wiem, że umowa do niczego was nie zobowiązuje, i tym bardziej je doceniam.

Dwaj Czejenowie skinęli głową, jednakże Błękitna Woda siedział dalej bez ruchu.

– Lecąc tutaj, myślałem o tym, jak niewiele wiem o waszej kulturze. Spodziewałem się, że zastanę waszą grupę podzieloną na mniejsze plemiona. Czy nie taki był pierwotny plan?

– Podzielimy się kiedyś – odpowiedział Błękitna Woda. – Gdy już lepiej poznamy środowisko.

– Każde plemię będzie prowadziło koczowniczy tryb życia myśliwych, zgadza się?

– Każde plemię będzie żyło w harmonii z ziemią, przyjmując jej dary, lecz jej nie eksploatując.

– Żałuję, że nie wiem wiele więcej – stwierdził Jake. Błękitna Woda skrzyżował ramiona na piersi. – Aczkolwiek z tego, co zapamiętałem, wódz plemienia ponosi odpowiedzialność za czyny swoich współplemieńców. Odpowiada przed duchem ziemi... dobrze mówię?... za zachowanie swoich ludzi. To wielka odpowiedzialność, Błękitna Wodo.

– Owszem. Czy możemy już...

– Silne przywództwo to rzecz godna podziwu – kontynuował Jake. – Przydałoby się nam w Mira City. Gdybyśmy je u siebie mieli, być może cały ten przykry incydent z Nan Frayne nigdy by się nie wydarzył.

Oddech uwiązł Shipleyowi w gardle. Błękitna Woda milczał.

– Winię siebie – ciągnął Jake. – Nie powinienem był jej pozwolić zostać na waszym terytorium. Było to złamanie kontraktu, za co jestem wam winien przeprosiny. Mówię szczerze, Błękitna Wodo. To nasza wina, nie wasza.

Shipley przyglądał się, jak wódz rozplata założone na piersi ramiona. Jedną dłoń położył na płask na kolanie, a Jake powtórzył jego gest.

– Macie prawo rozprawić się z Nan Frayne w zgodzie ze swym plemiennym obyczajem – powiedział Jake. – To nie ulega kwestii. Ale pozwólcie, że zadam wam pytanie... Co mamy zrobić, abyście przekazali ją w nasze ręce w zamian za obietnicę, że jeśli kiedykolwiek w przyszłości ktoś z waszych koczowniczych plemion popełni przestępstwo w Mira City, choćby niechcący przekroczywszy jego granice, my z kolei oddamy go w wasze ręce?

– Nie mogę tego zrobić – oznajmił Błękitna Woda.

– Mianowicie dlaczego? – zapytał ze szczerym zainteresowaniem Jake.

– Decyzja należy do rady plemiennej, nie do mnie.

Jake zrobił skonfundowaną minę.

– Tak, ale... to ty odpowiadasz przed duchem ziemi, prawda? Przed żywym duchem, który przenika wszystko, co występuje w naturze?

– Tak...

– Cóż, chyba rozumiem, o co ci chodzi. Doktor Shipley jest Nowym Kwakrem. Jego grupa również osiąga decyzje przez konsensus. Jednakże każdy Nowy Kwakier, przynajmniej tak jak ja to rozumiem, odpowiada przed własnym sumieniem.

Jake popatrzył pytająco na Shipleya, który zdołał skinąć głową w odpowiedzi.

– U was wygląda to podobnie – podjął Jake. – Decyzja zapada jednogłośnie, ale to wódz ponosi odpowiedzialność. Silne przywództwo, jak mówiłem. – Uśmiechnął się z podziwem.

Błękitna Woda zmarszczył brwi.

– Pozwól zatem, że powtórzę... – Jake nie tracił czasu. – Co mamy zrobić, abyście przekazali Nan Frayne w nasze ręce? Co musimy zrobić? Co powinniśmy uczynić, aby zachować przyjazne stosunki w czasie, gdy wszyscy adaptujemy się do nowych warunków?

Błękitna Woda powiódł spojrzeniem po członkach rady. Wymienili jakąś informację, której Shipley nie był w stanie odczytać.

– Decyzja zapadła – powiedział Błękitna Woda.

– Wiem, że tak jest. Wasze prawo – przyznał Jake. – Niemniej... Gdy w przyszłości jakiś Czejen zbłądzi na terytorium Mira City, przykładowo jedno z twoich dzieci, które gdy dorośnie, może mniej szanować granice niż pierwsze pokolenie... Mówiłeś, że ile masz dzieci?

– Troje. Ale Jake...

– Shipley ma czworo. Gail i ja żadnego, niestety. Tak czy owak kiedyś...

Gadał tak przez godzinę. Nigdy nie posuwając się do bezczelności, zawsze zachowując szacunek. Wyrażał podziw dla wszystkiego, co było godne podziwu w kulturze Czejenów, a co Błękitna Woda powoli przed nim odsłaniał, ani razu nie przegapiwszy okazji, aby zwrócić uwagę na podobieństwa z Nowymi Kwakrami. Ideał prostego, godnego życia. Przyroda będąca cudownym dobrodziejstwem, uświęconym darem. Nieustająca

świadomość tajemniczej wspaniałości kryjącej się za każdym najzwyczajszym aktem: jedzenia, chodzenia, patrzenia w niebo.

Jake dopytywał również o radę Błękitnej Wody, co rusz potwierdzał niezależność plemienia i starał się wciągnąć w dyskusję pozostałą trójkę Czejenów. W końcu mu się to udało. Następnie zatoczył koło i taktownie wykazał, że uwolnienie Nan Frayne pasowałoby do godnych podziwu rzeczy, których dowiedział się o Czejenach. Wypuszczenie jej byłoby spójne z tym, kim są – czy też kim chcą być – członkowie plemienia. Podkreślił przyszłą odwzajemnioną pobłażliwość wobec ich dzieci lub wnuków. Zaznaczył, że Błękitna Woda ma obowiązek myśleć o następnych pokoleniach, gdyż to stanowi część silnego przywództwa. Kroczek po kroczeniu Jake zmuszał Błękitną Wodę do przyznania słuszności najpierw w sprawach drobnych, a potem w poważniejszych, aż wreszcie to Błękitna Woda wyszedł z planem, po czym wszyscy już stali na nogach i Naomi była wolna.

– Mój Boże, Jake... – powiedziała Gail, gdy zostali we troje sami. W jej głosie pobrzmiwało coś więcej niż tylko podziw. – Mam nadzieję, że nigdy nie stanę po przeciwnej niż ty stronie barykady w jakiejś ważnej sprawie.

– Zamknij się – syknął Jake.

Przez okamgnienie Shipley widział duszę tego człowieka nadszarpniętą przez uporczywą manipulację.

Dwie Czejenki przyprowadziły do nich Naomi. Szczupłe ciało miała luźno owinięte tylko w koc, włosy brudne, zmatowiałe, a wyglądała, jakby nie spała od wielu dni. Dolatywał od niej brzydki zapach.

– Cz... cześć – rzuciła drżącym głosem.

– Naomi...

– Nie dotykaj mnie. – Nagle znów mówiła jak dawna Nan Frayne. – Nie...

– Nie dotknę cię – obiecał bezradnie Shipley.

W skimmerze, do którego Jake prędko ich poprowadził, zajęła miejsce obok Gail w tylnym rzędzie. Shipley, nie mając wyjścia, wgramolił się na siedzenie koło Jake'a. Smród bijący od Nan wypełnił ciasną kabinę.

Ledwie znaleźli się w powietrzu, Naomi zaczęła opowiadać. Słowa opuszczały jej usta niepowstrzymanymi falami, co słysząc, Shipley uświadomił sobie, że jego córka jest na skraju hysterii.

– Zabiłam go, zabiłam drania i bardzo się cieszę. Przebiłam go włócznią z tyłu, drzewce

weszło gładko, ale potem utknęło na czymś twardym z przodu, może to był mostek, pomyślałbyś, tato, że jako córka lekarza powinnam to wiedzieć, chyba nie przyłożyłeś się do mojej edukacji. Ale to nic nowego, prawda? Usłyszałam hałas, gdy atak przypuścili ci głupi wojownicy... wojownicy, też coś, oni mieli w rękach pieprzone działka laserowe! Wyskoczyłam z łóżka, żeby ostrzec moje Zwierzaki, ale przy nich nie wolno wykonywać gwałtownych ruchów, bo mogą to poczytać za agresję, i wtedy Ninchee...

– Kto to jest Ninchee? – zapytała Gail z łagodnością, która zadziwiła Shipleya.

– Moja przyjaciółka, to dzięki niej Zwierzaki mnie do siebie dopuścili. Wymknęłam się z żałosnego obozu Zaszczanej Wody, zdjęłam ubranie, żeby nie przypominać Czejenów, i podeszłam do wioski Zwierzaków, gdzie znalazła mnie Ninchee. Oczywiście to nie jest jej prawdziwe imię, ale brzmi dostatecznie podobnie przy ich inaczej zbudowanych strunach głosowych. Natknęła się na mnie, zbierając jedzenie, i byłaby mnie pewnie zabiła, gdyby nie to, że podpatrzyłam u chorych Zwierzaków, jak sprawiać wrażenie bezbronnej i biernej...

– U chorych Zwierzaków? Masz na myśli te zamieszkujące pierwszą osadę? – zapytała Gail, nie zmieniając tonu.

– Jasne, jakie by inne, przecież nie z jakiegoś pieprzonego programu komputerowego! No więc wpadłam w tryb bierności, ale Ninchee chyba i tak by mnie zabiła, gdybym nie była kobietą i nie miała takich małych rozmiarów, pewnie wzięła mnie za dziecko. Tak, to musiało być to, one są bardzo czułe wobec dzieci, w jednym z tipi, które zaatakowały polujące Zwierzaki, była dwójka dzieci i Zwierzaki zabiły dorosłych, ale dzieci nie, a po wszystkim wyniosły maluchy na zewnątrz, żeby nie patrzyły na trupy, czego chyba nie zrobiłby żaden człowiek dla Zwierzakowego dziecka. Są agresywne, zgoda, ale nie można ich za to winić, w końcu to ich planeta, nie nasza, a one gardzą głupotą i całym tym brakiem przemocy. Brak przemocy! Niemądry jesteś, tato, to nie taki wszechświat, w każdym razie kiedy ci wojownicy zaatakowali, trochę mi odbiło, tak myślę, no i dźgnęłam jednego włócznią od tyłu, drzewce weszło gładko, ale potem utknęło na czymś twardym z przodu, może to był mostek, pomyślałbyś, tato, że jako córka lekarza powinnam to wiedzieć, tak czy owak zabiłam go. Na śmierć. Na amen. Krew... – Naomi zaczęła płakać. Płacz tylko zwiększył jej wzburzenie. – Pieprzyć to! – krzyknęła. – Pieprzyć! Co z tego, że go zabiłam, wokół wszyscy się zabijali, przekłęci Czejeni, to nie była wina moich Zwierzaków...

„Moich” Zwierzaków.

– Nie, to nie była wina Zwierzaków. Ani twoja. Boże, musisz być wykończona, Nan.

– Nic mi nie jest, nie próbuj się ze mną cackać! I nigdy nie powiedziałam, że to była moja wina, nie można mnie obarczać winą czy nie obarczać, mówiąc, że...

Nie przestawała mówić, ale słowa wylewały się z niej coraz wolniej, aż w końcu zmieniła ton i zaczęła prawie szeptać. Od czasu do czasu Gail coś wtrącała, także szeptem. Shipley nie śmiał odwrócić głowy.

Zanim dolecieli do Mira City, na tylnym siedzeniu zapadła kompletna cisza. Shipley powoli wykręcił zwaliste ciało. Naomi spała z głową złożoną w zagłębieniu ramienia Gail. Starsza kobieta obejmowała młodszą opiekuńczo, nie zważając na bijący od niej odór. Czując na sobie spojrzenie Shipleya, Gail podniosła wzrok. W jej oczach malowało się zdziwienie.

– Jej naprawdę na nich zależy – powiedziała. – Na Obcych. Naprawdę jej zależy...

Shipley nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Patrzył na Naomi, umorusaną i zranioną, zamkniętą w ramionach Gail, i widział kwilące niemowlę w objęciach nieżyjącej matki, widział roześmianego berbecia u siebie na ręku, widział skutą kajdankami dziewczynę, która wykrzykuje sprośności, walcząc zawzięcie w uścisku woźnego sądowego... Mógł tylko pokręcić głową.

– Zgadzam się z nią co do tego, że wszechświat jest pełen przemocy – stwierdziła Gail.

Shipley, nawet rozżalony i zagniewany, i pełen ulgi, dostrzegł, że Jake wpatruje się prosto przed siebie kamiennym wzrokiem.

II

Gail siedziała na spotkaniu swoich swarliwych idealistycznych krewnych i usiłowała się skupić na rozmowie, która dotyczyła siedziby Ricka i Amali.

Kwestia własności ziemi, nieuchronnie powiązana z kwestią kapitalizmu, była skomplikowaną sprawą na Zielniku. Zgodnie z kontraktami podpisanymi przez wszystkich kolonistów, przez pierwsze trzy lata nie było mowy o indywidualnym prawie do ziemi, nie licząc subkontynentu oddanego Czejenom, którzy zgodzili się go trzymać przez następne sto lat. Nie powinno to być trudne, teren bowiem był rozległy. Reszta największego kontynentu Zielnika na zasadzie powiernictwa przypadła Korporacji Mira.

I tak wszyscy, nie licząc Czejenów, byli zobowiązani umową do życia w obrębie Mira City przez pierwsze trzy lata. Tyle bowiem, jak zakładano, potrwa przystosowanie się ludzi do warunków panujących na Zielniku. Tym sposobem, trzymając wszystkich w jednym miejscu i prowadząc rozsądne badania naukowe, Korporacja Mira chciała zminimalizować straty w ludziach spowodowane przez zatrucia, nieurodzaj, katastrofy naturalne i spory o ziemię. Co jeszcze ważniejsze, przez tyle czasu Zielnik będzie chroniony przed rabunkową eksploatacją wynikającą z niezrozumienia ekologii planety.

Po trzech latach za pomocą map satelitarnych wyznaczy się równej powierzchni działki, pozostawiając znaczne rejony pod parki publiczne i rezerwy dzikiej przyrody. Następnie każdy dorosły w wyniku loterii otrzyma jedną taką działkę. Każda z nich będzie mogła zostać zaadaptowana na siedzibę mieszkalną lub kopalnię bogactw mineralnych względnie odsprzedana po cenach rynkowych. Obostrzenia ekologiczne uniemożliwiały taki użytek ziemi, który by niósł dla niej „poważne zagrożenie” sprecyzowane przez dziesięcioosobową radę elektorów. Wszyscy ci, którzy nie wyrażą chęci przeniesienia się poza granice Mira City, będą mieli prawo pozostać na miejscu, gdzie zarezerwowano znaczne tereny pod przyszły rozwój miasta i przewidziano zabudowę bardziej stałą niż namioty. W zamian za zrzeczenie się praw do ziemi włodarze Mira City z kolei będą zobowiązani do zapewnienia mieszkańcom ochrony, dróg, usług wodno-kanalizacyjnych i innych typowych dla terenów zurbanizowanych, aczkolwiek tylko w minimalnym stopniu. Edukacja dzieci, pomoc medyczna i sprawy kulturalne, a także utrzymanie czystości i porządku w najbliższej okolicy – wszystko to będzie spoczywać na jednostkach bądź grupach jednostek.

– Innymi słowy – wyjaśnił Jake lata temu, jeszcze na Ziemi – zaczniemy jako komuna skrzyżowana ze stacją naukową, a skończymy jako kapitaliści wyznający ducha pogranicza. Wszystko to zaś podlane duchem libertynizmu.

Nikt nie miał pojęcia, czy ten wymysł sprawdzi się w praktyce. Nikt też nie był w stanie zaproponować nic lepszego.

Jak dotąd, to jest w okresie pół roku od dotarcia na Zielnik, system sprawdzał się doskonale, przynajmniej po części, a to dlatego, że środowisko planety okazało się nawet łagodniejsze i żyźniejsze niż w założeniach. Z drugiej strony minęło dopiero pół roku. Aczkolwiek były też problemy. Gail i jej krewni zajmowali się właśnie jednym z nich.

Oprócz ramowego kontraktu z Korporacją Mira istniały liczne załączniki. Jeden z nich traktował o osobach, które zapragną opuścić Mira City przed upływem trzech lat. Miały one dwie możliwości: zamieszkać gdzie indziej ze świadomością, że nie wejdą w posiadanie ziemi, którą będą uprawiać czy przekształcać, względnie przenieść się za ocean na odrębny kontynent. To drugie wyjście było raczej niewykonalne. Wszystkie wahadłowce, skimmery i łaziki należały do Korporacji Mira.

– Wiemy, że nie założymy stałej siedziby – przekonywał Rick Sibley. – Ale chcemy wykonywać ekologiczną pracę u podstaw poza Mira City. Ludzie, ten kontynent jest ogromny i w żadnym razie nie jednolity! Konkretnie mówiąc, Amali i ja chcemy przenieść się na wybrzeże, o tutaj.

Gail przyjrzała się mapie, która zajaśniała na ścianie. *A niech to, niedługo będę potrzebowała kolejnej operacji rogówki*, pomyślała. *Starzenie się nie jest dla tchórzy...*

Laserowa kropka pojawiła się na zachodnim wybrzeżu w miejscu, gdzie rzeka wypływająca z pobliskich gór łączyła się z morzem. Gdy Rick rzucił „Zbliżenie!”, na mapie wyrosło więcej szczegółów. Następnie przeszedł do omawiania nisz ekologicznych. Gail się wyłączyła.

Stanowiła anomalię na tle liczego klanu Cutlerów, na który składały się rodziny Sibleyów, Statlerów, Richmondów i deBeerów. Wszyscy oni przez dwa stulecia wydali wielu naukowców, organicznych przemysłowców i zapalonych adwokatów Ziemi (dość spojrzeć, ile im to przyniosło dobrego). Rick był ekologiem i pracował na Harvardzie, jego piękna żona Malezyjka, Amali, legitymowała się doktoratem Oksfordu i zajmowała komputerowymi modelami życia oceanicznego. Gail była ekonomistką. Ku jej przerażeniu nauka ją nudziła.

Z czasem wyrosła z przerażenia, a nawet ze wstydu, który rozbudziła w niej pogarda Lahiri. Świat – każdy świat – potrzebował administratorów, którzy będą wspierać naukowców i zwalczać piratów ekologicznych. Gail zdawała sobie sprawę, że odnosi w tej walce sukcesy, pod warunkiem że nie musi zajmować się bzdurami.

Jednakże w tym akurat momencie walka jej nie szła. Zbyt absorbowała ją sprawa Nan Frayne.

Gail chlubiła się tym, że jest dobrym psychologiem. Potrafiła wydać pragmatyczny osąd człowieka, zarazem nie traktując ludzi, jakby byli pionkami na szachownicy, którymi można dowolnie manipulować. Zazwyczaj udawało jej się przeniknąć charakter danej osoby, oceniając jej zdolności i ograniczenia. Nan Frayne już dawno podsumowała jako pasożyta, który niepotrzebnie zabiera innym tlen i ma tyle wartości i wytrzymałości co zużyta chusteczka. Myliła się co do niej jednak.

– Dlatego uważam, że powinniśmy się tam udać – skwitował Rick.

Głosowanie klanu było praktycznie jednomyślne. Tylko Paul deBeer zaprotestował, mówiąc:

– Tutaj jest wystarczająco dużo do zrobienia, nie trzeba rozbijać się gdzie indziej.

Wuj Paul zawsze lubił się wyróżniać.

– W sprawie ciotki Tamary... – odezwał się Sydney Statler. – Przewróciła się i złamała sobie biodro, co dobitnie pokazało, że potrzeba nam lepszej opieki medycznej niż tylko boty, skoro...

Po zakończonym spotkaniu rodzinnym Gail udała się spacerkiem w stronę domu doktora Shipleya. W połowie drogi przystanęła, zawróciła i ruszyła w przeciwnym kierunku. Co z tego, że się pomyliła w sprawie Nan Frayne? Przecież nie musi mieć racji zawsze i we wszystkim.

Pycha... czy nie o to wiecznie oskarżała cię Lahiri? Skąd Nan mogła o tym wiedzieć?

Nie miało to teraz znaczenia. Do diabła z tą suką. Gail miała lepsze rzeczy do roboty.

– Panie Holman. Panno Cutler. Ja musieć z państwem porozmawiać.

Gail nie słyszała, jak Rudolf Scherer zbliżył się do nich od tyłu. Stała właśnie z Jakiem i sprzeczała się z Robertem, miejscowym inżynierem energetyki, nieopodal na wpół ukończonej tamy na rzece. Miał to być rezerwuar, z którego będzie czerpać wodę Mira City.

– Mówiłem ci, Jake – tłumaczył gorączkowo Robert Takai – że powinniśmy stworzyć dwakroć większą pojemność. Zapotrzebowanie na wodę...

– Nie możemy tego zrobić – sprzeciwił się Jake. – Jak wspomniałem, opracowanie ekologów stwierdza wyraźnie: wolno wam pobrać tyle wody i ani trochę więcej. Zespół Maggie...

– Panie Holman. Panno Cutler. Ja musieć z państwem porozmawiać.

– Nie teraz, kapitanie, proszę – powiedziała Gail, jednakże najwyraźniej Jake dosłyszał w głosie wojskowego coś, czego ona nie zauważyła.

– To ważne, kapitanie?

– Bardzo ważne.

Takai prychnął ze zdenerwowania. Gail i Jake oddalili się z Schererem poza zasięg jego słuchu. Na terenie wokół tamy walały się kupy wykopanej ziemi i kamieni, stał ciężki zautomatyzowany sprzęt, wycłaczarka monotonnie produkowała monomolekularne włókno węglowe. Ubrania robotników leżały rozrzucone dokoła, w południowym upale nie sposób było w nich wytrzymać. Nieopodal buczała pozostawiona sama sobie konsola ekologów badająca czystość wody. Dwie kobiety dyskutowały z zacięciem na temat jakiegoś detalu oprogramowania, które miało stanowić backup dla głównego komputera tamy. Dziko rosnące kwiaty ginęły pod licznymi stopami.

Scherer pierwszy przerwał milczenie.

– W tym systemie gwiazdnym być statek kosmiczny.

W pierwszym momencie Gail sądziła, że się przesłyszała. Chciała właśnie poprosić, aby Scherer powtórzył, gdy Jake ją uprzedził:

– Statek?

– Tak. On być w odległości dwustu jednostek astronomicznych, zgodnie ze wskazaniem satelitów, które śledzić okolicę w poszukiwaniu dużych obiektów z przesunięciem ku fioletowi. Z trajektorii wynikać, że na orbitę Zielnika wejść za sześćdziesiąt osiem godzin.

– Co to za statek? – wybuchnęła Gail. – Z Ziemi?

Istniała możliwość, że w ciągu siedemdziesięciu lat, które minęły od momentu startu *Ariela*, Ziemia skierowała na Zielnik inny statek kosmiczny, wyposażony w szybszy napęd. Gwarantowało to prawo międzynarodowe, które mówiło, że pierwszy kraj, który postawi nogę na nowej planecie, może sobie rościć prawa wyłącznie do pierwszego skolonizowanego kontynentu. Z drugiej strony, kiedy *Ariel* startował, Ziemia była w

rozsypanie pod względem ekologicznym, politycznym, gospodarczym... Do tego nie należało zapominać o ostatnim przekazie kwantowym, będącym reakcją na przełomową wiadomość o odkryciu rozumnego gatunku Obcych: „Światowy Sojusz Rządowy uległ rozwiązaniu. Genewa oblężona. Nie jesteśmy w stanie pomóc z inwazją Obcych. Proszę działać według własnego uznania”.

– Ja myśleć, że ten statek nie być z Ziemi – oznajmił Scherer.

Gail i Jake rozdziawili usta. Gail dopiero teraz spostrzegła, jak zdenerwowany jest kapitan i jak wielkim wysiłkiem woli panuje nad sobą.

– Ja myśleć – ciągnął Scherer – że ten statek być skądś indziej. On poruszać się z prędkością osiemdziesięciu procent prędkości światła i...

– Zatem nie leci tutaj – stwierdził Jake z ulgą w głosie. – Z tego, co pamiętam, kapitanie, ledwie *Ariel* osiągnął dziewięćdziesiąt dziewięć procent prędkości światła, musieliśmy zacząć hamować. Czyjkolwiek to jest statek, nie zdoła wyhamować z osiemdziesięciu procent prędkości światła na odległości dwustu jednostek astronomicznych w porę, aby zatrzymać się na orbicie Zielnika.

– Z naszych wstępnych wskazań wynikać, że on już hamować przy sto g...

Zapadło milczenie.

– To niemożliwe. Chyba że... Już wiem, to statek bezzałogowy. Bez ludzi na pokładzie.

Chciałeś powiedzieć „bez Obcych na pokładzie”, pomyślała Gail i w ostatniej chwili stłumiła chichot.

– My myśleć być może – potwierdził Scherer sztywno – ale nie wiedzieć na pewno. Obecne tempo hamowania sprowadzić statek na orbitę Zielnika. Ja radzić, żeby podjąć wszelkie działania zaradcze.

– Czyli jakie? – wypaliła Gail. – Od kiedy to mamy procedury opracowane na wypadek pojawienia się statku Obcych?

Zatem działo się to, co uznali za niemożliwe na niedawnym spotkaniu, które teraz nagle zaczęło się wydawać nieprawdopodobnie oddalone w czasie.

– Tak, oczywiście – bąknął Scherer.

Mój Boże...

– Pozostały na orbicie kadłub *Ariela* być całkowicie pozbawiony załogi – podjął Scherer. – Ja tego nie zmienić, ale uzbroić go w broń dalekosiężną. Ja sugerować, żeby w Mira City panować zaciemnienie i cisza radiowa na większości częstotliwości, natomiast

w dużym oddaleniu ustawić boję nadawczą. Jeśli Obcy zamierzać doprowadzić do kontaktu, oni się skierować w pierwszej kolejności tam. To kupić nam trochę czasu na ocenę sytuacji, dzięki czemu my móc, ale nie musieć ustalić intencje wroga.

– To nie jest „wróg”, kapitanie. Nie wolno nam robić takiego założenia!

Scherer nie odpowiedział.

– To ci sami Obcy, którzy sprowadzili Zwierzaki na Zielnik, prawda? – zapytała powoli Gail. – Przylatują, żeby sprawdzić, co słyhać na wygnaniu, w kolonii karnej czy czym tam jest ta planeta.

– To także niedopuszczalne założenie – skwitował Jake. – Nie powinniśmy zakładać niczego z góry.

– Boja – odezwał się znowu Scherer – musieć nadawać na większości częstotliwości. I musieć stać w odległości co najmniej tysiąca kilometrów od Mira City. Musieć też być dobrze uzbrojona.

– Uważam – powiedział Jake – że powinniśmy zwołać spotkanie rady zarządzającej. Natychmiast.

Rada zarządzająca przyklepała wszystkie propozycje Scherera.

– Musimy to zrobić, skoro nie mamy własnych pomysłów – rzekł Fajsal. Zniknął gdzieś jego wytworny dystans.

Liu Fengmo nie odezwał się ani słowem, za to jego gładka śniada twarz zmarszczyła się ze zmartwienia.

– A ja mam pomysł – rzucił doktor Shipley. – Staralem się go przedstawić już wcześniej. Kapitanie, proszę posłuchać...

Scherer już zabrał się do wydawania rozkazów w asyście roztrzęsionego Roberta Takaiego, który miał w swojej pieczy materiały potrzebne do zbudowania boi nadawczej. Jednakże słysząc słowa lekarza, kapitan zamarł i wbił w niego obojętny wzrok.

– Kto znajdzie się przy boi, żeby powitać Obcych?

Gail zamrugała. Nawet nie pomyślała, nie wzięła pod uwagę...

Tymczasem Scherer odpowiedział bez zastanowienia:

– Nikt tam nie musieć być! Człowiek kontrolować urządzenie zdalnie.

– Przykro mi – stwierdził Shipley – ale takie rozwiązanie jest nie do przyjęcia.

Gail i Jake popatrzyli na siebie. *Co, u diabła...*

– Nie do przyjęcia dla kogo, doktorze? – zapytał Jake. – Jakie są pańskie przemyślenia na ten temat? Chciałbym jednak panu przypomnieć, że decyzja nie należy do pana.

– Po części należy do mnie – rzekł Shipley. Jego czoło lśniło od potu. – Proszę, Jake, Gail, Fengmo, Fajsalu... Musimy to omówić.

– Istotnie – zgodził się George Fox, obecnie przedstawiciel naukowców w łonie rady zarządzającej. Przez całą pierwszą część spotkania milczał, co było dla niego nietypowe. W tej chwili jakby się przebudził do życia, chociaż w dalszym ciągu był bladej. – Niewykluczone, że szykuje się pierwszy kontakt z Obcymi na naszym poziomie rozwoju technologicznego albo nawet wyższym!

Gail wtrąciła szybko:

– Zdaniem kapitana na pokładzie nadlatującego statku nie ma żadnych form życia. To niemożliwe przy ciężeniu sto g...

Sama myśl o superinteligentnych Obcych wywoływała w niej panikę.

– Nie ma żadnych form życia, które byśmy znali – poprawił ją George. – Kto jednak może wiedzieć, co kryje ten statek? Kapitanie, może nam pan powiedzieć, jaki jest duży?

– *Nein* – odparł Scherer. – Jeszcze nie. Przy boi nadawczej nikt nie czekać. To być za duże ryzyko. Kontrola na odległość wystarczyć.

Zdecydowane polecenia Scherera zaczęły działać Gail na nerwy. Miały chyba taki sam wpływ na Jake'a, który wypalił nagle z irytacją:

– To spotkanie się nie skończyło. Niech wszyscy z powrotem usiądą z wyjątkiem ciebie, Robercie. Zajmij się zebraniem materiałów na boję nadawczą. No dobrze... Padł wniosek, żeby przedyskutować obecność ludzi przy boi. Kapitan Scherer jest temu przeciwny. Doktorze, a co pan na ten temat sądzi?

Shipley przemówił ostrożnie, starannie dobierając słowa:

– Nie spodziewaliśmy się zastać tutaj Zwierzaków, a jednak je zastaliśmy. Nasz kontakt z drugą osadą Zwierzaków kosztował je wiele ofiar. Nasi naukowcy w większości są zdania, że Zwierzaki pochodzą spoza Zielenika. Nowo przybyli bez względu na to, czy znajdują się na pokładzie tego statku, czy tylko kontrolują go na odległość, mogą mieć coś wspólnego z miejscowymi Zwierzakami. Takie założenie jest logiczne, chyba że przyjmujemy, iż Zielenik stanowi galaktyczne skrzyżowanie, co jest raczej mało prawdopodobne. Pozbawiliśmy życia paru ich pobratymców, ulubieńców, obiektów eksperymentu czy czymkolwiek tam są Zwierzaki dla Obcych. Nie da się wykluczyć, że

Obcy już o tym wiedzą na przykład dzięki temu, że nie odebrali jakiegoś sygnału czy czegoś z powierzchni planety. Ponadto Obcy się zorientują, że boja jest wyposażona w ciężką broń. To będzie stanowić dowód, że nasze zamiary są wrogie. Czy naprawdę takie wrażenie chcemy sprawić? I to zanim się z nimi spotkamy?

Rozsądnie mówi, pomyślała Gail i zaraz tego pożałowała.

– My musieć im pokazać, że my być w stanie się bronić – dodał Scherer.

– Kapitanie – zwrócił się Shipley do przedmówcy z anielską cierpliwością – skąd Obcy mają znać różnicę między instalacjami obronnymi i służącymi do ataku? Każda broń zostanie poczytana za chęć walki.

– Przy założeniu, że zapatrują się na sprawy podobnie jak my – wtrącił George. – Co niekoniecznie musi być prawdą. Równie dobrze mogą się nawet ze sobą nie porozumiewać. Życie przybiera zróżnicowane i dziwne formy!

– George, mam wrażenie, że czytasz z podręcznika – rzucił Jake, jednakże nikt się nie roześmiał.

– Ktoś musi być przy boi – podjął Shipley – aby zapewnić o naszym pokojowym nastawieniu. Musi powitać tam Obcych bez broni, z otwartymi ramionami, sprawiając pokojowe wrażenie. Zgłaszam się na ochotnika, ponieważ obecność wszystkich pozostałych jest niezbędna tutaj, w Mira City.

– Jest pan naczelnym lekarzem Mira City, doktorze – rzekła ostro Gail. – I lepiej, żeby to się nie zmieniło przez następne dwa i pół roku.

– Są też inni lekarze. A nie ma innych przywódców Korporacji Mira poza panią, Jakiem, Fajsalem i Fengmem. Proszę nie zapominać, że my, Nowi Kwakrzy, nie mamy wśród siebie przywódców.

– Pojadę z panem – odezwał się nieoczekiwanie George.

– Nikt nie... – zaczął Scherer, ale George nie pozwolił mu skończyć:

– Jestem biologiem. Być może zdołam wypatrzeć metodę komunikacji z Obcymi na podstawie analizy różnych form życia, które...

– George, nie udało ci się skomunikować z Obcymi, których mamy na miejscu! – przerwał mu Jake. – Jediną osobą, która odniosła w tej materii jakiś sukces, jest Nan Frayne.

Po jego słowach zapadła krótka chwila ciszy. W końcu po raz pierwszy przemówił Liu Fengmo:

– Uważam, że doktor Shipley ma rację. Powinien udać się do boi.

– To być za duże ryzyko – upierał się Scherer. – Wystarczy kontrola na...

Sprzeczhali się o to przez kolejne pół godziny. Gail niewiele się odzywała. Zdumiewające, że już teraz potrafiła przewidzieć, jak potoczy się głosowanie. Pytanie tylko, czy dlatego, że był to najlepszy z możliwych wyborów, czy raczej z tego powodu, że wszyscy mieli serdecznie dość zadufania Rudolfa Scherera? *Boże, byle nie to drugie. Oby jednak okazali się rozsądniejsi...*

Gail przyglądała się badawczo Chińczykowi. Jego pobratymcy byli najmniej kłopotliwi ze wszystkich kolonistów. Przyleciało ich w sumie tylko pięciuset trzydziestu dziewięciu, wszyscy wywodzili się z Redlands w stanie Kalifornia, części Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej. W chwili startu *Ariela* mniej więcej połowa stanowiła świeżych imigrantów z Chin, którym udało się prześlizgnąć przez sito administracji obu krajów.

Chiny poważnie ucierpiały w wyniku bolączek Ziemi: targały nimi gwałtowne zmiany klimatu, skutki globalnego ocieplenia i przeróżnych katastrof naturalnych. Pobratymcy Liu, zarówno wywodzący się z Chin, jak i ze Zjednoczonej Federacji Atlantyckiej, należeli do ludzi, których przetrwanie uzależnione jest od strategii udawania Greka – byli potulni i praktycznie niewidzialni w tkance życia miejskiego. Przyzwyczajeni do biedy widzieli w Zielniku róg obfitości podarowany im przez Liu, którego nie tyle szanowali jako filantropa patriarchę, ile czcili niczym pomniejsze bóstwo. Bez jednego słowa ruszyli za nim do Mira City, gdzie ciężko pracowali i oddawali się nielicznym rozrywkom, przynajmniej publicznie. Gail niezmiernie rzadko widywała dorosłych Chińczyków po zakończonym dniu pracy. Trzymali się swoich w brzydkich ciasnych namiotach. Nawet ich dzieci były ciche i opanowane.

Zdaniem Jake’a następne pokolenie miało być inne – tak przynajmniej wskazywałaby historia. Gail nie zaprzętała sobie głowy następnym pokoleniem, interesowało ją wyłącznie tu i teraz.

– Przy boi powinna się znaleźć Nan Frayne – oznajmił George. – Jako jedynej udało jej się skomunikować z przedstawicielem Zwierzaków.

Jake potarł palcem twarz. W tym momencie Gail pomyślała, że prezes Korporacji Mira musi być znacznie bardziej zdenerwowany, niż okazuje.

– Jak ciężko została poturbowana przez Czejenów, doktorze? Będzie w stanie podróżować?

– Nie powinna wybierać się w podróż – zaproponował ojciec dziewczyny. – Ma liczne stłuczenia, pękniętą jedną kość i jest niedożywiona. Do tego łatwo się ekscytuje.

Gail wbiła w niego spojrzenie, chcąc się upewnić, czy celowo użył tego niedomówienia. Najwyraźniej tak nie było.

– Zgadza się – powiedział Jake z ulgą w głosie. Nan zawsze była jedną wielką niewiadomą, a niewiadomych mieli na razie aż nadto. – Poza tym wcale nie poznała języka Zwierzaków. Powiedziała tylko, że jej zdaniem obie grupy posługują się różnymi językami, co przemawia za tym, że Obcy na statku mają jeszcze inny język, chyba że...

Nie dokończył myśli. Gail podejrzewała, że sam nie wie, co chce powiedzieć.

Ostatecznie zapadła decyzja, że przy boi znajdą się William Shipley i George Fox, na wypadek gdyby pojawili się tam Obcy. Ewentualny kontakt będzie nadzorowany z Mira City. Ewentualny atak zostanie odparty przez żołnierza kapitana Scherera wysłanego razem z komitetem powitalnym. Badanie *Ariela* przez Obcych, o ile do niego dojdzie...

Gail odpuściła. Było za dużo zmiennych. Nie, zbyt dużo napięcia.

Udała się do siebie, aby sporządzić spokojne w wymowie obwieszczenie, w którym zawiadomi się mieszkańców Mira City o pojawieniu się Obcych.

Okłamał członków rady zarządzającej Mira City. No, może nie okłamał, tylko zataił część prawdy. Nie było bowiem mowy, aby ją usłyszeli, aby mógł ją wyznać w tym konkretnym momencie.

Shipley siedział w głównym pomieszczeniu swojego nowego domu, trzymając dłonie na kolanach i głowę nisko zwieszoną. Pokój służył przede wszystkim jako miejsce spotkań religijnych, ponieważ na tym etapie rozwoju miasta koloniści w dalszym ciągu posilali się we wspólnych stołówkach, które korzystały wciąż z zapasów *Ariela*. Nigdzie poza medyną nie zainstalowano prywatnego sprzętu kuchennego. Nikomu to nie przeszkadzało; większość kolonistów była zachwycona, że ma własny kąt, gdzie może się przespać, odpocząć i rozstawić nieliczne cenne pamiątki przywiezione z Ziemi. Jakiś czas temu tymczasowe namioty zaczęto zastępować solidniejszymi budynkami z pianodlewu. Dom Shipleya był jednym z pierwszych wzniesionych, ponieważ łączył się bezpośrednio ze „szpitalem”, budynkiem znacznie większym od domu i górującym nad nim niczym zaokrąglone wzgórze nad wygładzonym głazem.

Meble – także z pianodlewu – były toporne, pozbawione ozdób i nieliczne. Na obłych ścianach nie było widać żadnych dzieł sztuki. Nowi Kwakrzy mieli wolną rękę, jeśli chodzi o wystrój i kolorystykę własnych domów, jednakże dominowała nadrzędna zasada prostoty i nieodrywania myśli od duchowości. Na siedzibę Shipleya – oprócz głównego pomieszczenia, które przejmie kiedyś funkcję jadalni – składały się dwie sypialnie i łazienka, wszystko połączone z centralną częścią. Zza jednych drzwi dobiegał właśnie szmer głosu Lucy Lasky, która odwiedziła Naomi w dalszym ciągu przykutą do łóżka. Kiedy w końcu dała się zbadać ojcu, Shipley stwierdził u niej dwa złamane żebra, stłuczenia i skaleczenia na prawie całym tułowiu.

Jakże mógłby powiedzieć radzie zarządzającej całą prawdę? Jakże mógłby powiedzieć: „Moja córka odebrała życie człowiekowi. Niepokoi mnie to. Czuję, że jestem za to osobiście odpowiedzialny. Pomiędzy ludźmi i Obcymi nie może dojść do żadnych więcej aktów przemocy, już moja w tym głowa, aby tego dopilnować”...

Ani Jake, ani Gail by tego nie zrozumieli. W ich świecie działania dorosłych dzieci nie obciążały sumienia rodziców. Rozdzielali wychowanie od późniejszego postępowania dziecka – jakby można naginać gałązkę na zachód, po czym po latach skarżyć się, że konar

nie strzela na wschód!

Jednakże poczucie odpowiedzialności za czyn córki byłoby dla Jake'a i Gail bardziej zrozumiałe od drugiego powodu, dla którego Shipley chciał się udać na spotkanie z przylatującymi Obcymi. *Światło Prawdy wybrało mnie, ażebym dał świadectwo pokojowi.*

Uznaliby, że zwariował. Ich opinia nie miałaby znaczenia, chociaż liczyliby się to, że nie pozwoliliby mu pojechać. A musiał pojechać. Musiał zrobić wszystko, aby zapobiec dalszej przemocy. Wezwanie Światła to nie była czysto prywatna sprawa, lecz wezwanie do działania.

Gail weszła bez pukania, co najlepiej pokazywało, jak jest zdenerwowana. Wraz z nią do środka wpadł powiew słodkiego wieczornego powietrza. Uszu Shipleya doleciał słaby okrzyk muezzina wzywającego wiernych na modlitwę. Dźwięki adhanu wlatywały do wnętrza domu, zawodzące i przeciągłe, póki Gail nie zamknęła za sobą drzwi.

– Doktorze, czy powiedział pan córce o statku i boi?

– Nie – odparł Shipley. – Poprosiłem też Lucy, aby nic jej nie mówiła. Właśnie u niej jest.

Był to kolejny problem duchowy. Nie należało zatajać prawdy przed osobą dorosłą. Jednakże gdyby Naomi wiedziała, że więcej Obcych przylatuje na Zielnik, należałoby, aby znaleźć się w komitecie powitalnym – pomimo obrażeń i pomimo zakazu Jake'a. A Shipley dopiero co ją odzyskał. Nie chciał jej stracić na rzecz kolejnej grupy dziwnych stworzeń. Czy raczej na rzecz własnego impulsu, aby do nich dołączyć.

– To dobrze – stwierdziła Gail, kiwając głową. – Uważam, że tak jest lepiej. Czy mogę... czy mogę do niej wejść?

Gail zachowywała się z nietypową dla niej nieśmiałością. Dlaczego? Shipley był zanadto rozkojarzony, aby skupić się na tym pytaniu.

– Tak, moja droga, proszę.

– Witaj, Gail – powitała ją Lucy.

Naomi nie odezwała się do niej, tylko dalej jakby nigdy nic rozmawiała z Lucy. Ponieważ Gail zostawiła otwarte drzwi, Shipley usłyszał głos córki – za wysoki, za szybki jak na środki przeciwbólowe, które jej zaordynował. Najwyraźniej unosiła się na fali starszych, bardziej naturalnych endorfin.

– ...i połączyli myślistwo-zbieractwo z uprawą zbóż w najlepszy z możliwych sposobów. Lucy, one są znacznie bardziej rozwinięte od tych biernych Zwierzaków, na

które natknęliśmy się na początku. Nie uwierzyłyabyś. Wytwarzają biżuterię. Głęboko w lesie wyrzynają z drewna posąg boga, przynajmniej myślę, że to jest bóg, a także wyciskają olej z tych małych sinawych jagód i przechowują go w glinianych słojach. Moje stare Zwierzaki nie potrafiły robić takich rzeczy.

„Moje stare Zwierzaki”...

– Dane archeologiczne – odparła zamyślona Lucy – wskazują, że obie grupy miały na zróżnicowanie się może tysiąc lat. Rdzennym mieszkańcom Polinezji rozwój społeczeństw na innym poziomie niż otaczające wyspy zabrał tylko kilka stuleci. Tonga miała zaawansowaną sztukę, broń i organizację społeczną. Mieszkańcy Chathamu używali tylko prostych pałek. Ale to, Nan, wzięło się z różnych warunków środowiskowych na tych wyspach... odmienna była zasobność gleby w minerały i nawóz, co przekładało się na dostępność jedzenia. Obie grupy Zwierzaków, z którymi mieszkałaś, mają do dyspozycji takie same zasoby.

– Z tym że – wtrąciła z podnieceniem Naomi – bierne Zwierzaki mają w mózgu wirusa George’a Foga.

– Być może – zgodziła się z nią Lucy. – Ale gdyby to był wirus złapany na wczesnym etapie rozwoju plemienia, do tej pory całe by wymarło, sądząc po poziomie zubożenia na otoczenie. Z kolei gdyby do zarażenia doszło niedawno, plemię powinno dysponować wyższą sztuką i kulturą rolną i lepszymi narzędziami. Coś tu w dalszym ciągu nie pasuje.

– Może – odezwała się Gail – wirus z czasem staje się coraz gorszy?

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – rzuciła pogardliwie Naomi.

– Więcej, niż ci się wydaje – odparowała Gail, sprawiając, że Shipley wstrzymał powietrze. *Czy Gail zaraz powie Naomi o nowych Obcych? Nie, nie straci tak łatwo kontroli nad sobą.* Gail tymczasem zwróciła się do Lucy: – Powiedziałaś jej o trzeciej grupie Zwierzaków, tych na permanentnym hajdu?

– Jeszcze nie – wyznała Lucy. – Nan, nie podnoś się! Ojciec kazał ci leżeć!

– Diabła tam! O jakiej trzeciej grupie Zwierzaków mówicie?

– Przyniosłam ci zdjęcia – rzekła Gail.

Zapadło dłuższe milczenie. Shipley wstał i przeszedł bliżej wejścia do sypialni. Naomi siedziała na łóżku, z napięciem przeglądając fotografie. W końcu podniosła spojrzenie i popatrzyła na Gail. Między obiema kobietami zaiskrzyło coś, czego Shipley nie był w stanie odczytać, po czym znów odezwała się Gail:

– Nigdy więcej nie mów do mnie takim tonem, Nan.

O dziwo Naomi odpowiedziała cicho:

– Nie będę. Przepraszam.

Shipley poczuł zawrót głowy. Co tu się stało? Przed oczami stanął mu obraz świeżo uratowanej Naomi, umorusanej i zranionej, która śpi z głową złożoną w zagłębieniu ramienia Gail. Starsza kobieta obejmowała wtedy jego córkę pomimo bijącego od niej odoru. A gdy Gail poczuła na sobie spojrzenie Shipleya i podniosła wzrok, w jej oczach malowało się zdziwienie.

Teraz zaś nie odrywała oczu od Naomi. Minęła długa chwila, napięta jak struna fortepianu. Ku zdumieniu Shipleya jego córka nagle się uśmiechnęła, i to uśmiechem tak słodkim i pokornym, że nie pasował do jej twarzy. Kiedy ostatnio widział, żeby tak się uśmiechała? Nigdy.

Tymczasem znowu przemówiła Gail:

– Właśnie podjęłam decyzję za nas wszystkich, Nan. Jest coś, o czym ci nie powiedzieliśmy. Moim zdaniem to był błąd. Masz prawo wiedzieć, a my być może będziemy cię potrzebować. Jeszcze nie teraz, ale za jakiś czas, gdy stanie się jasne, jaką drogą kroczymy. Może przyda nam się twoja umiejętność komunikacji ze Zwierzakami. – Zrobiła krótką przerwę dla zaczerpnięcia oddechu. – Na Zielnik zmierza statek Obcych. Przyleci tutaj za niespełna czterdzieści osiem godzin.

Tuż przed tym, zanim skimmer odleciał z komitetem powitalnym, kapitan Scherer jeszcze raz spróbował zmienić plany.

– My źle robić – powiedział przez zęby. – To być błąd.

Shipley, Jake, Gail, George Fox i porucznik Halberg odwrócili się do niego. Stali przy skimmerze, poza elektronicznym perymetrem Mira City. W mieście zastosowano maksymalne zaciemnienie. Nigdzie nie jaśniały światła ani nie szumiały urządzenia. Za murem medyny nowy minaret strzelał w niebo cichy i pusty. Dzieci nie biegały po niebrukowanych ulicach. Shipley uświadomił sobie, że po raz pierwszy od miesiący słyszy rzekę, chociaż nie stoi na jej brzegu. Wirowała dookoła tamy, bulgocząc i śpiewając.

– Dlaczego uważa pan, że to błąd, kapitanie? – zapytał Jake.

– Przecież znamy opinię kapitana nie od dziś – warknęła Gail.

– Pozwól mu się wypowiedzieć, Gail – poprosił łagodnie Jake.

Scherer zadziwił Shipleya, odzywając się z czymś na podobieństwo namiętności:

– Ziemska historia znać przypadki małej siły pokonującej większe siły, ale tylko w sytuacji, gdy mała siła działać szybko, z zachowaniem elementu zaskoczenia. Ja podać jeden przykład: bitwa pod Cajamarcą. Francisco Pizarro z zaledwie stu sześćdziesięcioma ośmioma hiszpańskimi żołnierzami pobić inkaskiego cesarza Atahualpę, który mieć aż osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy. Jak Pizarro to zrobić? On wziąć cesarza do niewoli, zanim Inkowie zdołają napaść na Hiszpanów. To samo powtarzać się w historii wojskowości raz po raz. Najlepsza strategia w naszym wypadku to taka, w której my pojmać Obcych, zanim oni być w stanie oszacować nasze siły, po czym wykorzystać ich jako punkt przetargowy w negocjacjach z dowództwem na statku.

– Zakłada pan z góry, że zantagonizujemy się z Obcymi, kapitanie – stwierdził Jake.

– Ja nie wiedzieć, czy tak będzie czy nie, panie Holman. Pan też tego nie wiedzieć. Wszystko wskazywać jednak, że ci Obcy prowadzi doświadczenia na gatunku rozumnym. Dlatego najlepszy sposób to być przygotowanym.

– Przygotowanym na co, kapitanie? – zapytał Shipley. – Ten, kto szykuje się na wojnę, dostanie wojnę. Ten zaś, kto spodziewa się pokoju, być może zostanie wynagrodzony pokojem.

Scherer nawet na niego nie spojrział.

– Pańskim zdaniem powinniśmy się przygotować na najgorszą ewentualność – stwierdził Jake.

– Nie mamy czasu – wtrąciła Gail – na to twoje manipulowanie ludźmi za pomocą zgody i perswazji. Zwyczajnie nie mamy na to czasu. Kapitan Scherer otrzymał rozkazy. Pora je wykonać.

Scherer zdawał się zwracać na nią taką uwagę jak wcześniej na Shipleya. Wbijał wzrok w Jake'a, w którym najwyraźniej widział jedynego przedstawiciela władzy. Gail poczerwieniała ze złości.

– Chyba lepiej trzymać się pierwotnego planu, kapitanie – powiedział Jake, na co (o ile to możliwe) twarz Scherera jeszcze bardziej stężała. – Ale dziękuję, że podzielił się pan z nami swoimi wątpliwościami.

Porucznik Halberg, William Shipley i George Fox wspięli się do mniejszego skimmera. Gdy pojazd wzbijał się w powietrze, Shipley spostrzegł, że pozostali kierują się do świeżo wzniesionego bunkra, w którym mieścił się sprzęt umożliwiający śledzenie misji. Jake i

Gail będą słyszeć, widzieć i praktycznie czuć wszystko, co się wydarzy przy boi nadawczej, a także będą mogli rzutować tam swoje holoprojekcje w razie potrzeby. Aczkolwiek Shipley nie potrafił sobie wyobrazić, jakie okoliczności by to wymusiły.

Zwiesił głowę, zamknął oczy i spróbował skoncentrować się na milczeniu. Jednakże George Fox mu to uniemożliwiał. Biolog najwyraźniej nie był zaznajomiony z wartością ciszy.

– Doktorze, nieraz się zastanawiam nad Schererem... Ach, te wojskowe umysły. Jeśli ktoś widzi wszędzie wrogów, tworzy wrogów. Gdy dla odmiany zobaczyć wokół siebie potencjalnych przyjaciół, być może da się stworzyć także ich.

Chyba nigdy w życiu Shipley nie słuchał z taką niechęcią filozofii Nowych Kwaków wykładanej przez autsajdera. Pilotujący skimmer porucznik Halberg – czy to możliwe, że siedział jeszcze sztywniej wyprostowany niż przed chwilą? – opuścił maszynę na wysokość dwudziestu stóp nad ziemią. Shipley wpatrywał się w czubek jego głowy, nie odpowiadając George'owi.

– Weźmy rośliny – paplał dalej George nieświadom niczego. – Rośliny w każdym ekosystemie są narażone na zjedzenie przez zwierzęta. Zgoda, niektóre rozwijają w sobie mechanizmy obronne, które pozwalają im za pomocą toksyn czy nieprzyjemnych zapachów zniechęcać roślinożerców do konsumpcji. Ale równie często rośliny rozwinęły ewolucyjne strategie, które czynią je sojusznikami zwierząt. Werbena karmi kolibry nektarem, a w zamian kolibry niechcący dokonują zapłodnienia krzyżowego, przenosząc pyłek. Albo weźmy zwykły rzepień, *Xanthium strumarium*...

George należał najwyraźniej do osób, które uspokajają nerwy paplaniną. Shipley zastanowił się przelotnie, czyby mu nie zacytować jego kwakerskiego imiennika: „Wsłuchaj się w cichy wewnętrzny głos”. Ostatecznie uznał, że tego nie zrobi.

– Albo taki pospolity dmuchawiec...

Boja nadawcza znajdowała się czterysta mil na północny zachód od Mira City. Tam, na wzniesieniu pośród rozległego płaskowyzu, roboty zbudowały niewysoką wieżę z pianodlewu wzmocnioną monomolekularnym włóknem węglowym. Wieża ta nadawała obecnie krótkie sekwencje liczb pierwszych za pomocą całego szeregu nadajników na częstotliwościach, które nie były ani absorbowane przez atmosferę, ani w niej rozpraszane. Obejmowały światło widzialne, podczerwień, fale krótkie, ciepłe, mikrofałe i fale radiowe. Całość była zasilana przez generator umieszczony pod powierzchnią ziemi.

Również pod ziemią znajdował się komputer. Wokół wszędzie w okolicy mieściły się połączone z nim czujniki, które przekazywały obraz i dźwięk. U podnóża wieży stał mały bunkier z pianodlewu zabezpieczony ołowiem.

Porucznik Halberg wylądował skimmerem, wysadził Shipleya i Foxa, po czym przeleciał jeszcze jakąś milę, opadając za niskim skalistym zboczem. Shipleya ogarnęła na moment panika: co będzie, jeśli Halberg po prostu ich tu zostawi i do nich nie wróci? Oczywiście tak się nie stało. Już po chwili lekarz zobaczył wojskowego, który biegł po purpurowym poszyciu. Był zdumiewająco szybki. Niewątpliwie miał na wyposażeniu wzmacniacze mięśni. Nie po raz pierwszy Shipley zastanowił się, w jakim wieku jest kontyngent szwajcarskich żołnierzy. Ich próbki tkankowe wskazywały na wiek średni, choć wszyscy co do jednego wyglądali młodziej za sprawą inżynierii genetycznej. A zazwyczaj to młodzież bywa bardziej skłonna do przygód.

Aczkolwiek ja też tutaj jestem, prawda?...

– Już jest! – wyrwał go z zamyślenia głos George’a.

Shipley ocienił oczy ręką i spojrzał ostrożnie w stronę słońca. Po chwili wypatrzył na niebie jaśniejącą słabo kropkę, która znajdowała się jakieś trzydzieści stopni na wschód od gwiazdy.

– Ile jeszcze zajmie mu podróż? – zapytał.

– Przewidywany czas wynosi dwadzieścia minut – padła mechaniczna odpowiedź.

Potem porucznik Halberg zniknął w ciasnym bunkrze. Shipley zastanowił się, co też tam ma. Minionego wieczoru Scherer wybrał się osobiście do świeżo ukończonego bunkra. „Dla pewności” – jak powiedział Jake’owi.

Dwadzieścia minut to dużo czasu.

Ciekawe, co porabia Naomi... Shipley miał nadzieję, że jego córka wypoczywa w łóżku, chociaż z drugiej strony bardzo wątpił, że tak jest. Od dłuższego czasu podchodziła Gail, aby pozwoliła jej dołączyć do członków rady zarządzającej w bunkrze Korporacji Mira, bardzo podobnym do tego, tylko większym, skąd dało się śledzić lądowanie obcego statku. Shipley nie miał pojęcia, czy Gail się w końcu zgodziła, ale podejrzewał, że tak. Od czasu absolutnie nieautoryzowanego kontaktu ze Zwierzakami jego córka nawiązała wyjątkową więź z członkami rady, którzy traktowali ją jak kogoś niemal równego sobie.

Dziesięć minut.

Shipley wspomniał Naomi Warren Bly, założycielkę Nowych Kwaków, po której jego

córka otrzymała imię. Naomi Bly napisała w dwa tysiące ósmym roku: „Nikt nie wie, jak drugi człowiek osiągnie prawdę poprzez Światło. Traktujcie siebie nawzajem z taką tolerancją, na jaką pozwala wam sumienie”. Gdzie jednak kończą się granice tolerancji? I czy te pomieszane myśli Shipleya dotyczą w tym momencie Naomi, Gail, Scherera czy jego?

Kolana mu lekko zmiękły.

Pięć minut.

– Coś jest nie tak – rzucił George Fox. – Oni nie wchodzą na orbitę. Powinniśmy wiedzieć już coś więcej.

Sekundę później w implancie umieszczonym w uchu Shipleya rozległ się głos Jake’a:

– Nie wchodzą na orbitę. Dane z satelitów wskazują, że Obcy kierują się do *Ariela*. Niewykluczone, że chcą dokować...

Shipley i Fox popatrzyli na siebie. Pierwszy odezwał się oczywiście George.

– Przyjęcie bez gości – stwierdził. – Co teraz?

Niebo rozbłysło jasnością, a w Mira City oboje, Jake i Gail, zaczęli krzyczeć. Shipley, który opierał się o ścianę bunkra, usiłował zrozumieć, co się dzieje. W końcu z przerażeniem pojął to.

– Kapitanie!... – wrzeszczała Gail.

– O mój Boże...

– Mueller...

– Nie! Nie!

Kapitan Scherer nie zczekał, aż Obcy wejdą na pokład *Ariela*, aby dowiedzieć się więcej o ludziach i tym samym zlikwidować przewagę elementu zaskoczenia. Unicestwił *Ariela*, w nadziei że uda mu się również unicestwić Obcych. Gdyby Rudolf Scherer miał ostatnie słowo, Pizarro nie musiałby nawet się spotykać z Atahualpą, aby go pokonać. Mniejsza siła mogła się rozprawić z większą na odległość za pomocą wywołanej zdalnie eksplozji nuklearnej.

Jake rzucił się na Scherera, wrzeszcząc coś, czego później sam nawet nie pamiętał. Żołnierz się odwrócił. Jake spostrzegł, że cios zmierza prosto w jego brzuch, i spiął się cały, równocześnie rozpaczliwie starając się okręcić, aby impet uderzenia przyjęły jego mięśnie skośne. Chyba zadziało, bo chociaż poczuł dotkliwy ból, Scherer – mimo że wspomagany modyfikacjami i implantami – nie zdołał go zabić. Jednakże Jake poszybował na ścianę bunkra. Walnął o nią potylicą, aż zobaczył przed oczami czerwone i czarne plamy. Potrząsnął głową, aby odzyskać ostrość widzenia, i ponownie przypuścił atak na kapitana. Tymczasem Gail złapała coś małego, ale ciężkiego – co to było, Jake nie był w stanie stwierdzić, choć nawet jego skołowany umysł rozpoznawał w przedmiocie zwykłą rzecz, którą powinien nazwać – i usiłowała zdzielić tym czymś Scherera. Kapitan odrzucił przedmiot lekko, jakby to była poduszka. Gail osunęła się po ścianie bunkra i zamarła.

Czerwone i czarne plamy... tylko nie znowu... stał nad ciałem pani Dalton w bibliotece i przyglądał się jej, jak umiera, ale najpierw jeszcze złapał ją za włosy i...

Scherer wyrzwał go ponownie w brzuch. Jake zwałił się jak kłoda, tracąc oddech. Czerwone i czarne plamy ustąpiły zastąpione straszliwym odgłosem, który jak Jake sobie uświadomił, wydawał on sam. Nie był w stanie złapać tchu, dusił się, umierał...

Charcząc i cierpiąc katusze, zobaczył, jak Scherer nagle się przewraca, okręcając ciało w locie. Dostrzegł w jego szyi otwór po strzale lasera – dojrzał go, co zgoła niemożliwe, na sekundę przed tym, zanim krew trysnęła fontanną. I zauważył jeszcze szeregowego Franza Muellera, doborowego żołnierza kapitana, stojącego nad ciałem z twarzą tak popielatą, że wydawała się wykuta w bryle soli. Potem Jake nic już nie widział.

Gdy z trudem odzyskał przytomność, scena uległa tylko minimalnej zmianie, zdał więc sobie sprawę, że nieprzytomny był tylko minutę czy coś koło tego. Szeregowy pochylał się nad Schererem i płakał cicho. Jake, który nadal nie odzyskał tchu i walczył o każdy oddech, nie miał pojęcia, czy Mueller jego też zastrzeli, jeśli się poruszy. Ale Gail leżała pod ścianą taka nieruchoma...

Podczołgał się ku niej. Mueller poderwał głowę. Łzy toczyły mu się po policzkach niczym małe diamenty.

– Panie Holman, nie. Może pan być ranny. Ja sprawdzę co z nią.

Serce Jake'owi zamarło, gdy Mueller pochylił się nad Gail. Jednakże żołnierz nie skrzywdził kobiety. Sprawdził jej tylko puls i odciągnął powiekę.

– Chyba nic jej nie jest. Wezwę lekarza!

Znienacka Jake zdał sobie sprawę z hałasu dobiegającego od strony monitorów. Obolały obrócił głowę. To William Shipley i George Fox spod boi nadawczej domagali się odpowiedzi.

– Co się dzieje? Jake? Jake!

George wymachiwał bezskutecznie ramionami z twarzą pozbawioną zwykłej u niego wesołości.

Pierwszy odezwał się Mueller:

– Poruczniku... – zwrócił się do Halberga, po czym przeszedł szybko na niemiecki.

Jake całkiem zapomniał o Halbergu. Pomimo klucia w piersi zdołał wycharczeć do komunikatora:

– Doktorze, proszę wracać. Mueller zastrzelił Scherera. Gail jest nieprzytomna.

Po fakcie uświadomił sobie, że nie ocenił sytuacji trzeźwo. Przecież w Mira City były dziesiątki innych lekarzy. Chciał się poprawić, ale z jego ust nie wydobyło się żadne słowo więcej.

Odpowiedział mu George Fox. Już nie wymachiwał ramionami. Stał w bezruchu, patrząc w górę.

– Jake, nie możemy wrócić. Halberg twierdzi, że statek Obcych nie uległ zniszczeniu w wyniku wybuchu. Właśnie leci tutaj wahadłowiec. Będzie na miejscu za niecałe dziesięć minut.

Jake podniósł się na drżące nogi. Sprawdził wszystkie członki – nie miał nic złamanego, może oprócz paru żeber. Mógł stać o własnych siłach, chodzić, rozmawiać, ale wszystko zabierało mu więcej czasu niż normalnie. I ten piekący ból w piersi przy każdym ruchu, przy każdym słowie. Na szczęście Mueller bez szemrania wykonywał jego polecenia.

– Wezwij lekarza. Podaj mi taśmę medyczną... Dziękuję. A teraz owiń mi nią pierś... ciaśniej.

Torturą było samo podniesienie ramion, jednakże gdy Mueller opatrzył mu zebra, Jake zyskał na mobilności.

– Teraz ułóż pannę Cutler na płask i unieś lekko jej nogi... Dobrze. Obróć jej głowę na

bok, na wypadek gdyby miała wymiotować. Mamy tu jakiś koc?

Koca nie było, ale Mueller zdjął własną bluzę mundurową i nakrył nią Gail. Naraz Jake'a ogarnęło współczucie dla szeregowego, jak również żal, że nie zaprosili do bunkra innych osób. Większa liczba ludzi oznaczałaby więcej ubrań, większą pomoc. Lucy była chętna przyjść, tak samo jak Robert Takai i Nan Frayne... Jednakże Gail i Jake nie chcieli się rozpraszać. Ha! Chyba nie było większego rozproszenia uwagi niż eksplozja *Ariela* i śmierć Scherera...

Halberg na monitorze powiedział:

– Obcy statek matka pozostaje na orbicie. Zakres uszkodzeń, jeśli w ogóle są jakieś, nieznyany. Wahadłowiec wylądowuje za cztery minuty. – Głos porucznika drżał lekko, co dla Jake'a było ewenementem.

– Trzeba pochować kapitana Scherera – rzucił Mueller. – Jak najszybciej.

Było to dziwne stwierdzenie w tych okolicznościach. Czy szeregowy Mueller nie widział, że mają inne pilne rzeczy do zrobienia? Jake złożył to na karb zdenerwowania. Mueller dopiero co zastrzelił swojego przełożonego. I nie wezwał lekarza!

– Mueller... lekarz!

– Doktor Shipley niedługo tu będzie.

– Doktor Shipley jest daleko, my potrzebujemy szybkiej pomocy. Wezwij Fajsala.

– Nikt inny tu nie przyjdzie – rzekł Mueller, nie patrząc Jake'owi w oczy.

Jake dopiero po chwili zrozumiał, do czego zmierza szeregowy. Starał się ukryć swoją zbrodnię, nie rozszerzając grona wtajemniczonych. Niespodzianie Jake'a zalała fala empatii. *Pani Dalton leżąca na podłodze biblioteki...*

– Do diabła, szeregowy, wezwijcie lekarza!

Jake nie śmiał opuścić stanowiska przy monitorze przekazującym obraz spod boi nadawczej. Co tam się zaraz wydarzy? Mueller zignorował jego krzyki.

Gail poruszyła się i jęknęła.

– Jestem tutaj, Gail – powiedział Jake. – Nie próbuj wstawać. Nie ruszaj się.

– Widzę ich! – zawołał George Fox. – Już są!

Wahadłowiec dziwnego kształtu przeszył z wizgiem atmosferę i wylądował kilkaset jardów od boi nadawczej. Przypominał leżące jajko z długim elastycznym ogonem, który falował jeszcze przez kilka chwil po lądowaniu. Niemal od razu otworzyły się drzwi na czubku jajka przeciwnym do ogona, po czym wysunęła się z nich krótka stroma rampa.

Jake przygotował się na atak Zwierzaków równie krwiożerczych jak te, które wdały się w walki z Czejenami.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem z rampy zjechała niewielka platforma. Miała może stopę kwadratową powierzchni. Nakrywała ją przezroczysta kopuła, która zdawała się połączona z rampą. Całość poruszała się w tempie uniemożliwiającym wyhamowanie na dole. Zanim Jake się spostrzegł, platforma dotknęła ziemi, zachwiała się i nieomal wywróciła, zdołała jednak odzyskać równowagę i stoczyć się na bok, zanim pojawiła się za nią następna.

Pod kopułą najwyraźniej znajdowało się coś skomplikowanego, brunatnoczerwonego. Jake nachylił się do monitora, jakby to mogło zwiększyć rozdzielczość. W końcu zdał sobie sprawę, że kopuła jest lekko zamglona, przez co nie widać wyraźnie jej wnętrza.

– Mój Boże, myślę, że to... – zaczął George Fox.

W tym samym momencie kopuła na pierwszej platformie rozprysła się w drobny mak.

– Nie! – krzyknął Shipley. – Nie strzelać!

Jake spostrzegł promień laserowy namierzający platformę, która zatrzęsała się znowu na jego oczach. Druga zaczęła szaleńczo wtaczać się pod górę na rampę.

– Och... – zdążył powiedzieć Shipley, zanim George Fox pociągnął go za sobą na ziemię.

Potężny mężczyzna padł ciężko, bez cienia wdzięku. Zniecierpliwiony Jake potrząsnął monitorem, wywołując w piersi nową falę bólu. Kolejny promień lasera wystrzelił z bunkra i trafił w wahadłowiec, którego drzwi zdążyły się zamknąć. Na tyle, na ile był w stanie ocenić Jake, laser nie wyrządził wahadłowcowi żadnej szkody.

– Halberg! – ryknął. – Natychmiast przestań strzelać! Wstrzymaj ogień, ty skurczybyku!

Pojawił się kolejny promień lasera. Gail jęknęła, a może jęknął Shipley przy boi nadawczej, tego Jake nie był w stanie stwierdzić. Nie widział George'a. Niech to wszyscy diabli, Halberg wybiję wszystkich Obcych, których przed chwilą chciał unicestwić na orbicie Scherer...

– Jake – rozległ się drżący głos George'a. – On nie żyje.

Przez moment Jake sądził, że chodzi o Shipleya. Jednakże Nowy Kwakier podnosił się niezgrabnie na nogi obok bunkra. Laser przestał strzelać i Jake zdał sobie sprawę, że George mówi o poruczniku.

– Przysmażyłem go podręcznym miotaczem – powiedział George. Tak, głos wyraźnie mu drżał. – Nosimy je przy sobie, żeby wypalać poszycie... czerwonego pełzaka... ja nie...

– Wszystko dobrze, George – rzekł Jake i zaraz poczuł się idiotycznie, ponieważ nic nie było dobrze, nic a nic.

Shipley stał już na nogach. Wolnym krokiem ruszył w stronę wahadłowca.

– Nie, doktorze, niech pan tam nie idzie, to zbyt niebezpieczne, zabiją pana! – przestrzegł Jake.

Shipley na pewno go usłyszał, ale nie zatrzymał się. Kroczył dalej niepewnie, choć z wyraźną determinacją, wyciągając przed siebie ręce z uniesionymi dłońmi dla pokazania, że są puste.

Stojący za plecami Jake'a szeregowy Mueller stęknął. Jake by się nie zdziwił, gdyby Mueller też zaczął strzelać do niego albo do Gail. Albo do obojga. Jednakże żołnierz nie wystrzelił. Z wahadłowca również nie doleciał ogień. Shipley pokonał jakieś sto jardów otwartej przestrzeni i zatrzymał się przy roztrzaskanej kopule na platformie. Zanim do niej dotarł, dogonił go George Fox. Obojgu stali pod nieruchomym wahadłowcem, przyglądając się zepsutej platformie.

Jake dopiero teraz zauważył, że elastyczny ogon wahadłowca zeszywniał i wygiął się tak, aby celować w ludzi. Był pewien jak jeszcze nigdy w życiu, że patrzy na broń. A jednak ogon nie wystrzelił.

Tymczasem William Shipley nachylił się nad tym, co wystawało z potłuczonej kopuły, i powiedział:

– Bardzo mi przykro. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Jake, to coś nie żyje – rzucił George. Do jego głosu powoli wracały pełne podekscytowania nutki. – Ale na moje oko to jest odpowiednik naszej flory. Ma liście i pnącza... tak. Na pewno. Ten Obcy to nie Zwierzak, tylko roślina. Podobnie jak ten drugi, który uciekł, kiedy zaczęliśmy strzelać.

Nie było to proste. A jednak decyzje zapadły raz-dwa. Gdy później Jake się nad tym zastanawiał, zrozumiał, że zdecydował o dziesiątkach spraw szybko i bez wahania, chociaż na bieżąco ledwie sobie z tego zdawał sprawę.

Obcy nie opuścili wahadłowca. Ani nie zaatakowali Shipleya i Foxa, którzy z kolei nie dotknęli martwego Obcego, aczkolwiek stali nad nim przez dłuższy czas. Jake rozkazał George'owi pozostawić szczątki w spokoju. Niech Obcy odprawia rytuał pogrzebowy – o ile jakiś mają – jeśli uznają to za stosowne. Jake mógł mieć tylko nadzieję, że rytuał

pogrzebowy, jakkolwiek jest, nie obejmuje zemsty międzyrasowej.

Shipley i Fox nie wsiedli do skimmera.

– Nie chcę stąd odlatywać – oznajmił George. Notował wszystko, co mu przyszło do głowy na temat martwego Obcego. *Czy pozostali to widzą? Czy będzie im to przeszkadzać?* Skąd Jake miałby znać odpowiedzi na te pytania?

– Ja też nie chcę odlatywać – powiedział Shipley z nieco mniejszym entuzjazmem. – W Mira City są inni lekarze, z których usług ty i Gail możecie skorzystać.

– Owszem. – To samo powiedział wcześniej Muellerowi. Było to jednak przed tym, zanim ludzie pozbawili życia pierwszego napotkanego Obcego, który przemierzał wszechświat w statku kosmicznym. – Ale nie chciałbym, aby nowiny rozeszły się zbyt szeroko. Pozostali członkowie rady oczywiście już o wszystkim wiedzą, mają bezpośrednie połączenie z moimi monitorami. Nikomu jednak nie zależy na ogólnej panice. Fajsal poradzi sobie ze zniesieniem zaciemnienia, nie wywołując przy tym hurmu na boję nadawczą. Fengmo również kontroluje swoich ludzi. Tak na marginesie, mnie i Gail właściwie nic nie jest. Zbadałeś Halberga?

– Tylko na tyle, aby stwierdzić, że nie żyje.

– W porządku. Słuchajcie, wyślę do was szeregowego Muellera w większym skimmerze...

– To on umie pilotować? – zapytał niemądrze Fox.

– Oczywiście. Wszyscy podwładni kapitana Scherera są pilotami. Na miłość boską, George. Przylecimy tam razem z Gail. Moim zdaniem sytuacja uległa zmianie. Obcy z wahadłowca nie biorą odwetu, co znaczy, że być może konieczne będą negocjacje...

– Z rośliną? – dobiegł z komunikatora głos Fajsala.

– Powiedziałem, że to „odpowiednik flory” – sprostował George. – Na pewno nie mamy do czynienia z rośliną. Widzę tu jakieś wyrostki i coś śluzowatego, co przypomina mechanizm ruchowy ślimaków. Będę umiał powiedzieć coś więcej, gdy przebadam tkanki.

– Nie ma mowy! – krzyknął Jake.

– Wiem – zgodził się z nieszczęśliwą miną George.

Shipley postanowił zmienić temat.

– Jesteś pewien, Jake, że zabranie Gail to dobry pomysł?

– Gail jest już na nogach, doktorze.

– Mimo wszystko zachowaj ostrożność – powiedział Shipley i zaczął instruować, jak

przewieźć ranną.

Gail przerwała mu gniewnie:

– Niepotrzebne mi nosze, doktorze. Nic mi nie jest. Co się stało przy boi?

– Opowiem ci za chwilę – zaofiarował się Jake. Zwracając się do Muellera, dodał: – Szeregowy, sprowadźcie tu większy skimmer i przygotujcie się do lotu. Szeregowy?

Żołnierz stał nad zwłokami Scherera. Łzy zdążyły mu obeschnąć, ale nadal miał dziwny, nieodgadniony wyraz twarzy. *Czyżby to był strach?* – zastanowił się Jake. *Tak, strach i coś jeszcze*, odpowiedział sobie.

– Szeregowy... Franz... Nie staniecie przed sądem wojskowym. Postąpiliście słusznie. Tak to przedstawię porucznik Wortz... – Porucznik Wortz była obecnie najwyższą stopniem. Mueller nie odpowiedział.

– Szeregowy!

Z głośników doleciał głos Gretchen Wortz. No tak, oczywiście, przysłuchiwała się wszystkiemu z członkami rady zarządzającej i naukowcami, gotowa bronić Mira City, gdyby zaszła taka potrzeba.

Gdyby istniała taka możliwość...

– Tak, pani porucznik? – zareagował Mueller.

– Wykonuj wszystkie rozkazy pana Holmana. Panie Holman, ma pan do ochrony tylko szeregowego Muellera. Zaraz tam będę.

– Myślę, że wystarczy nam wkładu wojska – rzucił kąśliwie Jake. Po chwili milczenia dodał: – Przepraszam, pani porucznik. Proszę zostać na swoim miejscu. Nie wiemy, co Obcy zamierzają w stosunku do Mira City.

– Tak jest – odparła Wortz. W jej głosie Jake dosłyszał odpowiednik niejasnego wyrazu twarzy Muellera, nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym głębiej.

Tymczasem szeregowy udał się łazikiem po duży skimmer ukryty w pewnym oddaleniu od bunkra.

– Fajsal? – rzucił Jake.

– Tutaj wszystko dobrze, Jake. Nie martw się o Mira City. Fengmo i ja mamy wszystko pod kontrolą. Niech Allah nad tobą czuwa.

– Może ponegocjuje z Obcymi? – zapytał Jake, zanim się rozłączył. Następnie pochylił się do Gail. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odparła rozzłoszczona. Nie wypadło to jednak przekonująco. – Z wyjątkiem

ramienia.

– Cóż, ja mam złamane żebra. Nic nam nie będzie, pod warunkiem że odpuścisz sobie uścisk na misia.

– Jake... Co oni zrobią?

– Skąd mam wiedzieć, do cholery?

Gail jakby go nie usłyszała.

– Kiedy zbliżali się do naszego statku na orbicie, wysadziliśmy go, próbując zniszczyć także ich jednostkę. Kiedy wylądowali, od razu zabiliśmy pierwszego Obcego, który wyszedł na zewnątrz. Gdybyśmy byli na ich miejscu, doskonale wiem, jaki byłby dalszy rozwój wypadków. Wiem, co ja bym zrobiła. Założyłabym wrogie zamiary i zrównała z ziemią boję nadawczą i wszystko dookoła. Zanim zostałabym ponownie zaatakowana.

– Yhm – potwierdził Jake.

– W takim razie czemu oni tego nie robią?

– Może nie mają wystarczającej siły ognia.

Gail prychnęła.

– Przylatują tu z prędkością podświetlną i hamują przy przeciążeniu, które powinno ich zmiażdżyć na papkę, ale nie mają broni pozwalającej im wykończyć George'a, który ślini się nad ich martwym towarzyszem? Nie wydaje mi się...

Jake'owi także się nie wydawało.

– Gail, to Obcy. Skąd mamy wiedzieć, co myślą?

– Jakoś nie mieliśmy z tym problemu, gdy chodziło o Zwierzaki na subkontynencie Czejenów.

Jake nie odpowiedział. Ostrożnie, nie zapominając o żebrach, podszedł z powrotem do konsoli i przywołał nagrania satelitów. Chciał zobaczyć zdjęcia statku Obcych na orbicie.

Była to najdziwaczniejsza jednostka, jaką w życiu widział. Gruby płaskawy dysk ze smukłą rurą wystającą z boku. Wolny koniec tej rury rozszerzał się na zewnątrz. Całość przypominała krowi placek z wetkniętą zdeformowaną słomką. Nie sposób jednak było ustalić skali.

Skontaktował się z Fajsalem.

– Fajsal, potrzebny mi fizyk. Nie ma żadnego w składzie rady, ale chyba...

– Oczywiście, że mamy w swoim gronie fizyków, Jake – odparł Fajsal głosem, z którego przebijały znów nutki wytwornego rozbawienia. – Tyle że nie wchodzi w skład ekipy

Wellcome Trust. Podeszłem ci Karima Madżuba, jest dobry w swoim fachu, studiował w Cambridge z samym Nigelem Fearlingiem.

– Świetnie. Właściwie niech się ze mną skontaktuje z Mira City, na pewno już przejrzał zdjęcia satelitarne.

– Myślę, że wolałby znaleźć się tam gdzie ty. Na placu boju – dorzucił Fajsal bardzo dumny ze swej biegłej znajomości języka.

– Ale...

– Zaraz go poinformuję – powiedział Fajsal, po czym się rozłączył.

Tymczasem przy boi nadawczej nic się nie działo. George Fox w dalszym ciągu stał, gapiąc się na szczątki Obcego.

– Jake, widzę liść czy coś, co uległo oderwaniu i leży kawałek od ciała. Czy mógłbym...

– Nie! Gdzie jest Shipley?

– W bunkrze. Z jakiegoś powodu bada Halberga.

– Doktorze? – wywołał Jake lekarza przez komunikator. – Proszę się zgłosić. Czy porucznik Halberg na pewno nie żyje?

– Na pewno – potwierdził Shipley. – Jake, kiedy tu będziesz?

– Niedługo. A co? Są jakieś nowe informacje?

– Nie jestem pewien... – powiedział Shipley. – Będę czekał.

O jakie nowe informacje na temat Halberga mogło chodzić? Nagle Jake zapragnął się tego dowiedzieć. Jednakże w tym momencie najważniejszy był wahadłowiec Obcych, który tkwił nieruchomy, niedostępny, niemściwy.

Na razie.

Gail nie przestawała tulić lewego ramienia prawą ręką. Opryskliwie odmówiła propozycji Jake'a, aby skorzystała z temblaka, i zbywała jego słowa pociechy, więc ostatecznie się zamknął. Gdy Mueller przyleciał skimmerem, wdrapała się na pokład bez niczyjej pomocy, choć było to długie i bolesne. Zanim zajęła swoje miejsce, na horyzoncie pojawił się łazik. Nadjeżdżał fizyk Fajsala.

Z łazika wysiadły cztery osoby.

– Nie – powiedział Jake. – Nie ma mowy. Dobry Boże, Ingrid, co ty sobie wyobrażasz?

– Jestem starszym genetykiem – oznajmiła Ingrid Johnson. – Muszę tam polecieć. George jest biologiem, nie genetykiem. Muszę być na miejscu, gdy wylądują Obcy.

– I dlatego przywiozłaś ze sobą Lucy i Nan Frayne?

– Jake – poprosiła go Lucy – nie denerwuj się. Siedziałyśmy wszystkie razem, gdy Fajsal zaczął szukać Karima. Ja też chcę być na miejscu.

– Ostatnie, czego nam trzeba, to paleontolog!

– Wiem – zgodziła się pokornie. Jednakże jej oczy mówiły: „Ale muszę być tam gdzie ty!”.

Był to najgłupszy powód, o jakim słyszał w życiu. Zresztą „słyszał” to za dużo powiedziane, skoro wyrażały go tylko jej oczy. No i do tego wszystkiego jeszcze Nan Frayne!

Nan wciąż wyglądała jak wypluta, włosy miała nierówno przycięte w próbie pozbycia się kołtunów, miejscami tak krótkie, że prześwitywała skóra na głowie, była też wychudzona. Mimo to stała pewnie i patrzyła wyzywająco... jakby w jej wypadku było to coś nowego.

– Posłuchaj, Jake – odezwała się. – Może będziesz musiał z nimi negocjować. Nie zapominaj, że jestem w tym dobra. W gruncie rzeczy jedyna. Ja...

Główny negocjator Korporacji Mira odparł:

– Negocjowałeś ze Zwierzakami. W pewnym sensie. To nie są Zwierzaki. Dlatego nigdzie nie lecisz.

Nan spojrzała ponad jego ramieniem na wejście do skimmera, w którym pojawiła się Gail.

– Gail, jesteś ranna!

– Mam złamaną rękę – powiedziała Gail. – Wracaj do miasta, Nan.

– Nie.

Jake nie wytrzymał.

– Ty parszywa łachudro! Daleko mi do twojego anielsko cierpliwego ojca! Wsiadaj do łazika razem z Lucy i wracaj do Mira City albo każę szeregowemu Muellerowi zastrzelić cię na miejscu.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do skimmera, przepychając się w wejściu obok Gail. Ingrid, której nie wydał bezpośredniego zakazu, podreptała za nim jak cień. Karim Madżub poszedł w jej ślady. Ostatni wsiadł Franz Mueller, który zamknął drzwi.

Nikt się nie odezwał, dopóki nie wzbili się w powietrze. Dopiero wtedy Gail, wyraźnie cierpiąc w siedzeniu skimmera, powiedziała:

– To na nic, wiesz. One obydwie wiedzą, gdzie jest boja. Pojadą do niej łazikiem.

– Lucy nie – rzucił Jake z przekonaniem.

Gail tylko się uśmiechnęła.

Jake obawiał się, że lądowanie skimmera wywoła jakąś reakcję pasażerów wahadłowca, jednakże tak się nie stało. Przy boi nadawczej nic się nie zmieniło. Pierwszy w bunkrze zniknął Karim Madżub, który chciał sprawdzić, czy pojawiły się jakieś nowe dane satelitarne na temat statku na orbicie. W tym samym czasie zza bunkra wyszedł doktor Shipley z napięciem na twarzy.

– George? – zawołał Jake w kierunku wahadłowca. – Jest coś nowego?

Biolog siedział sto jardów dalej, obok martwego Obcego, czekając na... No właśnie: na co?

– Nie jestem w stanie ocenić tempa rozkładu – odkrzyknął. – Widzę jednak, że miejscowe owady nie ciągną do ciała.

Jake nie zrozumiał, czemu to takie ważne, lecz Ingrid zaintrygowana spytała:

– Jesteś pewien?

Chwilę później siedziała już obok George'a.

– No dobrze, wracajcie stamtąd – powiedział do nich Jake.

Czym innym było przesiadywanie George'a przed wahadłowcem, zanim nadleciał Jake; być może to powstrzymało Obcych od ponownego wyjścia na zewnątrz. Teraz jednak, kiedy Jake już tu był, chciał, aby Obcy spróbowali nawiązać ponownie kontakt.

George i Ingrid niechętnie odeszli od platformy z roztrzaskaną kopułą. Jake przyjrzał się Foxowi uważniej. Od zastrzelenia Halberga roztrzęsienie minęło biologowi, jednakże w dalszym ciągu był bardzo blady.

– Skoro – odezwała się Ingrid – po upływie godziny nadal nie ma żadnej aktywności owadów, należy przyjąć, że...

Jake wyłączył się i odprowadził od niej George'a.

– Dobrze się czujesz? – zapytał go.

– Nie miałem wyboru, Jake. – Głos Foxa był głuchy, wyprany z typowej dla niego rażnej pewności siebie. – Musiałem zabić Halberga.

– Wiem, George. Czy mógłbym jakoś...

– Nie. Po prostu zostaw mnie w spokoju i pozwól mi pracować. – George się odwrócił i Jake pozwolił mu odejść. Naukowiec miał rację. Praca powinna pomóc.

Shiplej sprawnie nastawił ramię Gail i przykleił jej na szyi plastry lecznicze, tak że momentalnie poweselała.

– Teraz ty, Jake – powiedział lekarz.

– Coś pana gryzie, doktorze. O co chodzi?

– Pozwól, że najpierw cię przebadam. – Postukał zebra Jake'a i również zaordynował mu plastry na szyję. Ból zniknął, ale zmęczenie pozostało. Czuł się wykończony. Czyżby dostał inne leki niż Gail? – Niedobrze, Jake – rzekł Shiplej niezwykle cicho. – Chodź ze mną. Tylko ty.

Poprowadził Jake'a za bunkier, pozostawiając Gail, Ingrid i George'a pogrążonych w ożywionej rozmowie. Karim znajdował się wciąż w środku przy komputerze. Zaczął zapadać zmrok – na ziemi kładły się długie cienie, które poprzedzały błyskawiczny na tej szerokości geograficznej zmierzch. W powietrzu dało się wyczuć cierpką słodycz, która jak Jake zdążył się już przekonać, przesyciała tutejsze wieczory. Zdaniem George'a chodziło o jakąś kwitnącą w ciemnościach roślinę. W każdym razie ta słodycz była niepokojąca.

Ciało porucznika Halberga leżało na ziemi przykryte cienką płachtą brezentu. Ku zdziwieniu Jake'a szeregowy Mueller już kopał grób, machając nerwowo łopatą.

– Nie – rzucił Shiplej jakby nigdy nic.

– Muszę pochować oficera – stwierdził Mueller, nie przestając kopać.

– Za późno na to, Franz – powiedział Shiplej. – Ja już wiem.

Mueller zamarł. Tym razem wyraz jego twarzy był nie do pomylenia z niczym innym.

Żołnierz się bał.

Tymczasem Shipley zapytał:

– Wszyscy siedmioro to macie, prawda?

– Ja nic nie wiem. A pan się myli. I to bardzo.

– Nie myślę się. Franz, musisz mi pozwolić pobrać próbkę. Nie krwi ani skóry, tylko organu.

– O co tu, do diabła, chodzi? – wybuchnął Jake.

Shipley nie spuszczał wzroku z Muellera.

– Próbkę organu i próbkę płynu mózgowo-rdzeniowego. Czy ty to w ogóle czujesz, Franz? Tylko powiedz prawdę. Zdajesz sobie sprawę, co to potrafi zrobić. Zabiłeś kapitana Scherera, ponieważ zobaczyłeś to w akcji. Próbki, Franz.

Przez jedną trudną do wyobrażenia chwilę Jake myślał, że szeregowy uniesie łopatę i zdzieli nią Shipleya. Jednakże Mueller w końcu tylko załkał rozpaczliwie i rzucił łopatę.

– Nie chcę umierać, doktorze!

– Nikt cię nie zabije, Franz. No już. Zadrzyj koszulę, synu.

Mueller zrobił, co mu kazano. Miał wspaniałe ciało, opalone i umięśnione, z szerokimi ramionami i torse, który zwęzał się do talii i płaskiego brzucha. Jake przyglądał się, jak Shipley przykładła czarną skrzynkę najpierw do piersi Muellera tuż pod żebrami, a następnie do jego pleców na wysokości łędźwi. Automed zaszumiał cicho.

– Wkrótce będę miał wyniki, Franz – powiedział Shipley. – Przestań kopać. Usiądź tam i weź się w garść.

Mueller popatrzył niepewnie na Shipleya, który ku zdziwieniu Jake'a powtórzył polecenie po niemiecku. W każdym razie Jake zakładał, że chodzi o to samo polecenie, ponieważ Mueller posłusznie ruszył w stronę strzelistego niebieskawego drzewa rosnącego poza zasięgiem słuchu, usiadł pod nim i wsparł głowę na podciągniętych kolanach.

– Chyba też powinienem usiąść. To był dzień pełen... wrażeń – powiedział Shipley, opadając ciężko na ziemię. W gęstniejącym mroku wyglądał jak jakaś monstrualna narośl na obcym purpurowym poszyciu.

Jake stał dalej wyprostowany, czekając. Ciarki biegały mu po grzbiecie.

– Przeprowadziłem autopsję przed waszym przybyciem, Jake – odezwał się lekarz. – Pobiegną, aczkolwiek wystarczającą, abym utwierdził się w podejrzeniach, które żywiłem. Halberg i zapewne Scherer, a najprawdopodobniej wszyscy Szwajcarzy są

przekładańcami.

– Niemożliwe! – zareagował natychmiast Jake. – Skorzystaliśmy z najbardziej zaawansowanych procedur bezpieczeństwa! Nie wspominając o badaniach medycznych. Sprawdziliśmy ich w najdrobniejszych szczegółach pod względem fizycznym, finansowym i prawnym. Nawet...

– Przypuszczam, że to się stało już po badaniach, a przed startem *Ariela*. Chociaż oczywiście wszystko musiało zostać przygotowane z kilkudziesięcioletnim wyprzedzeniem.

– Były przecież regularne badania...

– Tego nie da się wykryć w próbkach krwi ani skóry.

– Ale doktorze... sam koszt...

– Nie mam na to odpowiedzi, Jake. Mogę tylko mówić o medycznym aspekcie sprawy. Nie chcesz mi chyba jednak powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś o nagłej fortunie, której korzeni nie sposób prześledzić?

Przez moment Jake myślał, że Shipley wie. O Donniem, o pani Dalton... lecz nie, to było niemożliwe. Ot, zwykły zbieg okoliczności. Przepęłniła go złość, że Shipley go na to wszystko naraża. Co za świętoszkowaty stary...

– Moja autopsja zwłok Halberga objęła tylko kilka organów jamy brzusznej – oznajmił Shipley, jakby nie zauważył reakcji Jake'a, co było raczej nieprawdopodobne. – Jednakże te kilka organów wystarczy. Zapewne wiesz wystarczająco dużo o przekładańcach, ale pozwól, że podsumuję.

Gniew Jake'a spotęzniał. Shipley nim manipulował, ciągnął tę wypowiedź, aby dać mu czas na ujęcie się w karby. Nikt nie będzie rządził emocjami Jake'a Holmana! To Jake Holman jest manipulatorem i negocjatorem. Człowiekiem u władzy.

– Ciało przekładańca bierze początek ze sklonowanej komórki – podjął Shipley – z której usuwa się DNA, umieszcza w jego miejsce zmienione i całość wszczepia do gotowego jajeczka. Dziecko rozwija się bądź w sztucznym łonie, bądź w ciele surogatki. Klon, który przychodzi na świat, jest idealną kopią dawcy, nie licząc dokonanych in vitro zmian w genomie. Wszystkie dotyczą mózgu. Dziecko jest idiotą. Potrafi oddychać i trawić, ale nie nauczy się chodzić, mówić ani samodzielnie jeść, o korzystaniu z nocnika nie wspominając. Mimo to jest zdolne do śmiechu, poznaje ludzi i reaguje na światło słoneczne, muzykę czy uściski. Gdy osiągnie wiek nastu lat, zostaje zabite dla swoich młodszych organów, które następnie są kolejno transplantowane dawcy. Ten zaś, z

niezrozumiałych wciąż dla nas powodów, wydłuża swoje istnienie dwukrotnie, co by wskazywało, że proces starzenia bierze początek w jednym, kilku albo wszystkich naraz organach...

– Wiem o...

– Oczywiście, że wiesz, Jake. Przekładańcy są zakazani przez prawo we wszystkich krajach na Ziemi. Częściowo z powodów etycznych, a częściowo dlatego, że u około trzydziestu procent przekładańców stwierdzano rozwój choroby psychicznej. Zależności między mózgiem i ciałem są niesłychanie skomplikowane. Mózg sparowany z nowymi organami, choćby sklonowanymi, nie radzi sobie najlepiej. Następuje ekspresja innych genów bądź dochodzi do supresji, a może rzecz dotyczy liczby genów, które się uaktywniają. Tak czy owak neurotransmitery na tym cierpią. Czasem nieznacznie, a czasem bardzo poważnie. W rezultacie może się rozwinąć całe spektrum zaburzeń psychicznych, poczynając od depresji, a kończąc na schizofrenii. Najczęstszą przypadłością jest paranoja. Służba bezpieczeństwa Mira City składa się z siedmiorga przekładańców. U dwóch już pojawiły się objawy paranoi. Paranoik postrzega za największe zagrożenie odmienność, którą stara się unicestwić. A Obcy są najwyraźniejszym przejawem odmienności.

W tym momencie Jake usiadł. Miał wrażenie, że stracił wzrok, za to rozumiał wszystko, co się do tej pory wydarzyło.

– Dopóki chodziło o grupkę Obcych z włóczyniami żyjących w chatach krytych strzechą, nie było mowy o prawdziwym zagrożeniu. Zwierzaki stanowiły raczej ciekawostkę. W przeciwieństwie do Obcych dysponujących zaawansowaną technologią...

– Mueller? Wortz? Pozostała trójka? – zapytał Jake obco brzmiącym głosem.

Shiplej podniósł z ziemi automed i wduśił przycisk. Dane przebiegły na miniaturowym wyświetlaczu.

– Nie. U Franza nie widzę żadnych anomalii w płynie mózgowo-rdzeniowym. Przynajmniej na razie. Choroba może się rozwinąć w dowolnym momencie, ale da się nad nią zapanować, stosując odpowiednie leki. W większości wypadków.

Zapadły całkowite ciemności. Ktoś włączył światła i teren wokół bunkra pojaśniał. Jake siedział dalej na ziemi, aż w pewnej chwili poczuł na ramieniu dotyk ręki Shipleya. Podniósł na niego wzrok, jakby w całym swoim głupim, próżnym, pokręconym życiu nie widział tego starego mężczyzny.

Jak tylko Shipley powiedział Gail prawdę na temat służby bezpieczeństwa Mira City, pomyślała: *A więc to Nan miała na Rudolfa Scherera!* Nan Frayne, z jej wątpliwymi powiązaniem ze światkiem przestępczym, jakimś cudem dowiedziała się, że Szwajcarzy są przekładańcami, i wykorzystwała tę wiedzę w swoich stosunkach z Schererem. Gail zerknęła ciekawie na Shipleya. *Czy się domyśla? Nie.* Nie połączył własnej córki z uczynkiem żołnierzy. Błoga niewinna nieświadomość.

W drugiej kolejności poczuła odrazę, której nie wypowiedział na głos Shipley. Klony, ludzkie istoty wiodące odrębne życie, czujące przyjemność i ból, i dość innych emocji, aby mienić się ludźmi, tyle że z ograniczeniami mentalnymi. Aż tu nagle pewnego dnia czeka je śmierć, po czym oprawcy wyciągają ręce po ich organy, zupełnie jak górnicy po rudy metali tkwiące bezpiecznie w skałach...

Gail odepchnęła od siebie zniesmaczające ją myśli i skupiła się na sprawie od strony praktycznej.

– Jak sprawdzimy, czy pozostali Szwajcarzy też są przekładańcami? I jak zaradzimy ich paranoi, gdy w nią popadną?

– Będziemy badali ich płyn mózgowo-rdzeniowy i podawali im odpowiednie leki – odparł Shipley.

– Zgodzą się na to? Co będzie, jeśli odmówią?

– Nie wiem – przyznał Shipley. Wyglądał na wyczerpanego. – Ale jeśli porucznik Wortz przystanie na naszą propozycję, myślę, że przekona też resztę.

Gail kiwnęła głową. To już było zadanie dla Jake'a.

– Doktorze... – powiedziała. – Czemu nie przyklei pan sobie na szyję któregoś plastra? Z całym szacunkiem, ale wygląda pan, jakby potrzebował wspomagacza. – Gdy Shipley się uśmiechnął, Gail zdała sobie sprawę, że Nowi Kwakrzy nie stosują takich rzeczy. Cóż, ich strata. – W takim razie niech się pan chociaż na trochę położy. Ingrid i George nadmuchali namiot, który przywieźliśmy ze sobą.

– Dobrze, położę się. Ale Gail, obiecaj, że mnie obudzisz, jeśli coś się będzie działo.

Zawahała się; obietnica złożona Shipleyowi z jakiegoś powodu wydawała się bardziej wiążąca niż w wypadku innych osób.

– Zgoda. Obudzę pana.

– Dziękuję. – Posłał jej swój łagodny uśmiech i odczłapał w stronę namiotu.

Gail rozejrzała się i pomyślała, że teren wokół bunkra zaczyna przypominać prowizoryczne miasteczko, miniaturową wersję początków Mira City. Reflektory umieszczone na konstrukcji boi wydobywały z ciemności nierówny kwadrat poszycia poszatkowanego ludzką aktywnością. W jednym rogu stał bunkier, za którym Mueller urządził jednoosobowy cmentarz. W drugim tkwił namiot, w którym mogli spać wszyscy siedmioro na raz, zakładając, że by się na to zdecydowali, w co Gail bardzo wątpiła.

W trzecim rogu leżał rozrzucony rozmaity sprzęt, w tym przenośna kuchenka ze skimmera, na której Ingrid właśnie coś podgrzewała, dyskutując zawzięcie z George'em. Fox sprawiał wrażenie człowieka, który przeszedł do porządku dziennego nad tym, że kogoś zabił – a w każdym razie zdawał się do tego nie wracać w myślach. Gail to pochwaliała. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem.

Czwarty róg świecił pustkami, co nie znaczy, że był najmniej istotny. Wręcz przeciwnie. Na jego przedłużeniu stał bowiem jajowaty statek Obcych.

Gail właśnie miała obejść bunkier dokoła, gdy ze środka wyszedł Karim Madżub.

– Panno Cutler, mam wszystkim do zakomunikowania kilka faktów na temat statku pozostającego na orbicie.

– To na tyle ważne, że musimy się dowiedzieć natychmiast? – zapytała.

Karim wydawał się zdziwiony. Jeśli chodzi o fizykę, wszystko było niezmiernie ważne – przynajmniej jego zdaniem.

– Cóż...

– Proszę z tym poczekać kilka minut, dobrze? – poprosiła, znikając za bunkrem.

Szeregowy Mueller skończył kopać grób. Na jej widok podniósł spojrzenie.

– Panno Cutler, chciałbym urządzić... *begrabnis*.

Pogrzeb. Teraz. Jednakże widząc jego minę, powiedziała tylko:

– Może doktor Shipley zechce wygłosić kilka słów.

– *Ja!* Kilka słów. Co zaś do kapitana Scherera...

Zupełnie zapomniała o ciele pozostawionym w bunkrze na obrzeżu Mira City. Wyleciała jej z pamięci samotanina i przerażająca chwila, gdy Mueller zastrzelił przełożonego. Złożyła wszystko na karb plastrów Shipleya.

– Szeregowy Mueller... Franz... nie wolelibyście z tym poczekać, aż porucznik Wortz będzie mogła zorganizować należyty pogrzeb wojskowy?

Oczy żołnierza pociemniały.

– Zdraycy nie przysługuje pogrzeb wojskowy, panno Cutler.

No tak. Zarówno Scherer, jak i Halberg wystąpili przeciwko rozkazom Jake'a. Wolała nie myśleć o zamęcie w duszy tego nieszczęśnika. Odezwała się łagodnie:

– Zaczekajcie tu. Sprowadzę pozostałych.

Shipley nie zdążył zasnąć.

– Tylko pięć minut, doktorze. – Posłusznie zwłóknął otyłe ciało z materaca. W tym czasie Gail zawołała Ingrid, George'a i Karima. – Gdzie Jake?

– Poszedł przejść się dookoła wahadłowca, zobaczyć, czy czegoś nie zauważy – odparł George.

– Puściłeś go samego?

– Jak niby miałem go powstrzymać?

Gail udała, że tego nie słyszy.

– George, zdołasz to przeprowadzić? Pogrzeb porucznika Halberga?

Odpowiedź George'a zarazem była i nie była na temat.

– Nic nie jest takie jak przedtem.

Gail skinęła głową i ruszyła na poszukiwania Jake'a.

Zbliżyła się do wahadłowca po raz pierwszy. Przyprawiło ją to o ciarki. Co mogły robić w środku te roślinne istoty? Opłakiwały martwego towarzysza? Unikała wzrokiem zniszczonej platformy i leżącego obok niej nieżywego Obcego.

Jake'a znalazła na dalszym krańcu wahadłowca, jakieś dziesięć stóp od statku, tuż poza zasięgiem reflektorów. W mroku nie była w stanie dojrzeć wyrazu jego twarzy.

– Jake, to niebezpieczne. Wracaj. Szeregowy Mueller chce odprawić krótkie nabożeństwo nad grobem Halberga. Wiem, że to nie najlepsza pora. Ale on jest tak rozdarty, że moim zdaniem pięć minut kazania Shipleya powinno mu pomóc.

Jake nie odpowiedział.

– Jake? Dobrze się czujesz?

– Zdefiniuj „dobrze” w tej sytuacji.

Jego apatia rozjątrzyła ją.

– Kto to może wiedzieć? Ja z pewnością nie. Skoro jednak George zdołał wrócić do siebie, ty też mógłbyś. W końcu nikogo nie zabiłeś. Ja po prostu staram się znaleźć najlepsze wyjście, a w tym konkretnym momencie jest nim durny wojskowy pogrzeb dla

Halberga.

– Taki pogrzeb to zły pomysł. Niech się tym zajmie Wortz.

– Mueller uważa, że jej zdaniem Halberg dopuścił się zdrady. Tak samo jak Scherer.

Obaj nie posłuchali rozkazu naczelnego wodza, czyli ciebie.

To go wyrwało z marazmu.

– Nie jestem naczelnym wodzem, na miłość boską! Jestem byłym prawnikiem, który zorganizował przedsięwzięcie na skalę kosmiczną i został kolonistą!

– Nie w oczach Szwajcarów. No ruszże dupę, Jake. Potrzebujemy cię. To do ciebie niepodobne...

Gdy wystąpił z cienia, zobaczyła, że twarz ma pustą.

– Jake, co się stało?!

– Nic. Chodźmy na pogrzeb.

Przepchnął się obok niej i ruszył przed siebie, nie patrząc, czy Gail idzie za nim wokół biernego wciąż wahadłowca.

Shipley stał nad grobem Halberga ze spuszczoną głową tak długo, że nagle Gail dopadła obawa: czy Nowi Kwakrzy nie modlą się w milczeniu? Straciła nadzieję, że lekarz w ogóle się odezwie.

Obok miała George'a Foxa, który wydawał się opanowany, biorąc pod uwagę okoliczności. Byli na tyle daleko od grobu, że mieli dobrą widoczność na bunkier i dalej, na wahadłowiec. Pozostali tłoczyli się bliżej, deptając świeżo wykopaną ziemię. Ktoś zerwał nieco kwiatów i położył je na kopczyku. Mueller? Najwyraźniej nawet wyniosli żołnierze, i to przekładańcy, zachowują się sentymentalnie. Gail nigdy by tego nie podejrzewała.

Spróbowała przywołać bardziej osobiste wspomnienia o zmarłym. Jednakże Erik Halberg był zawsze tak wyniosły, tak poprawny i sztywny, że nic nie przyszło jej do głowy. Praktycznie go nie znała.

W końcu Shipley przemówił:

– Wiemy, że Bóg nie oczekuje od nas nic więcej oprócz tego, abyśmy wiedli zwykłe ludzkie życie. Każdy człowiek błądzi, jednakże nie do nas należy ocenianie jego kroków. Powinniśmy raczej przyglądać się własnym. Nie próbujmy zmieniać innych, dopóki nie wejrzymy we własne serce i nie nabierzemy ochoty na zmianę siebie. Nie wiemy, co Erik

Halberg myślał, otwierając ogień do tej nieszczęsnej obcej istoty. Nie wiemy, czy zmiany w jego ciele wpłynęły na jego mózg do tego stopnia, że nie był w stanie się powstrzymać, nawet jeśli chciał. Wszystko to oceni Bóg. Jedyne, co możemy w tej sytuacji zrobić, to w obliczu Światła zapytać się, do czego nas jego czyn prowadzi i jaki postępek będzie właściwy. Erik Halberg był pod wszelkimi względami sumiennym człowiekiem. Towarzysze broni go szanowali. W jego życiu musiało być wiele Światła, tak samo jak w życiu każdego, kto ma serce otwarte na prostotę i milczenie. Oddajemy hołd Erikowi i dobru, które w sobie niósł. Znaczenie w ludzkim życiu ma nie zawsze to, co się myśli, ale to, co można pomyśleć. Myślmy o naszym zmarłym bracie jak najlepiej i takim go pamiętajmy.

Też mi mowa pogrzebowa, pomyślała Gail. Blizsza potępieniu niż pochvale... Pochwyciła spojrzenie, które wymienili Ingrid i George, unosząc brwi, lecz Mueller wydawał się usatysfakcjonowany. Znienacka rzucił melodyjne „Aaaa...men” głosem tak słodkim i wysokim, że Gail aż drgnęła. Nie spodziewała się czegoś takiego po szeregowym.

– *Danke, Herr Doktor* – wymamrotał do Shipleya, z emocji posługując się ojczystym niemieckim.

Shipley pokiwał głową ze znużeniem.

– Niech się pan położy, doktorze – powiedział Jake, powtarzając słowa Gail sprzed dziesięciu minut.

Karim wyrósł u boku Jake’a ze słowami:

– Proszę, panie Holman... Statek na orbicie...

– Tak – odparł Jake. W oczach Gail wyglądało to tak, jakby Jake brał się w garść z ogromnym wysiłkiem. Jego twarz się wygładziła, gubiąc wyraz cierpienia i przybierając wymuszoną maskę. Szczercząc się straszliwie do młodego fizyka, rzucił: – No dobrze, Karimie, posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

Przeszli do wejścia do bunkra. Tam bez niczyjej podpowiedzi, zgoła instynktownie, George, Ingrid, Jake i Gail zasiedli półkolem tak, aby mieć dobry widok na wahadłowiec. Po chwili wahania Karim zajął miejsce naprzeciwko nich, plecami do obcej jednostki. George przesunął się lekko, ponieważ fizyk mu zasłaniał.

– Przejrzałem wszystkie dane z satelitów – zaczął Karim. Tak jak obiecał Fajsal, mówił nienaganną angielszczyzną z lekkim nosowym akcentem, który przydawał jego słowom

powagi pomimo ewidentnie młodego wieku. Gail oceniała, że fizyk ma trzydzieści lat, aczkolwiek szczupli gładko ogoleni mężczyźni zawsze wydają się młodszy niż w rzeczywistości. – Moje wnioski są oczywiście tylko wstępne. Technologia jest w całości obca. Chciałbym jednak podzielić się z wami swoimi przemyśleniami na temat statku.

Gail rozejrzała się w poszukiwaniu Muellera i przestraszyła się, widząc, że stoi obok bunkra za nimi, nieco po lewej, trzymając broń. Sam sobie przydzielił wartę. Ale ta broń... *O mój Boże, strzelanina chyba się nie powtórzy?...* Odwróciła się do Jake'a, który zdążył już omieścić tę scenę wzrokiem. Teraz szepnął do niej:

- Zdaniem Shipleya z szeregowym wszystko w porządku.
- Wiem! – odszepnęła.

Jake poklepał ją po ręce: nic nam nie grozi ze strony Muellera. Gail nie była tego taka pewna. Wyglądało na to, że Jake odzyskuje pewność siebie, w miarę jak ona traci swoją.

Nieświadom niczego Karim kontynuował:

– Ten statek ucieleśnia pewną teorię, która obowiązywała w fizyce przez dwieście lat, choć pozostała tylko teorią. Mowa o napędzie McAndrew nazwanym tak od szkockiego fizyka, który go wymyślił: Arthura Mortona McAndrew. W wielkim skrócie chodzi o możliwość przyspieszania przy ciężeniu większym, niż powiedzmy, trzy g bez zamienienia ludzi na pokładzie w galaretę. Teoretycznie można by przyspieszać i przy ciężeniu sto g, gdyby zbalansować przyspieszenie równą, tyle że odwrotną siłą grawitacji. Obie siły znosiłyby się wzajemnie, a pasażerowie mieliby wrażenie, że swobodnie spadają. Moim zdaniem to właśnie wykorzystuje obcy statek matka. Widzicie, ma taki kształt... – Uniósł gruby płaski kryształowy dysk służący do przechowywania danych i przez dziurkę pośrodku przewłóknął gałązkę, trzymając ją za jeden koniec. – Przedział mieszkalny znajduje się w moim kciuku. To kapsuła, która porusza się swobodnie, o tak, w górę i w dół tego szybu, to przybliżając się, to oddalając od dysku. Sam dysk jest zrobiony z materiału, którego składu możemy się tylko domyślać. To materiał o niezwyklej gęstości, ważący tryliony ton w wypadku dysku o szerokości stu metrów i grubości, powiedzmy, metra. Aby zbalansować taką siłę grawitacyjną, kapsuła z przedziałem mieszkalnym... czyli mój kciuk dla przypomnienia... zaczyna podróż w pewnym oddaleniu od dysku. W miarę jak dysk przyspiesza, kapsuła zbliża się do niego, tak żeby zwiększona siła grawitacji balansowała zwiększone przyspieszenie. Naturalnie kapsuła musi zmieniać kształt, uginając się po bokach, w miarę jak zbliża się do dysku. Dzięki temu kompensuje dyferencjację siły.

Karim zerknął na nich, jakby chciał się upewnić, że za nim nadążają. Gail się pogubiła. Kątem oka przez cały czas obserwowała Muellera.

– A skąd brać energię potrzebną do uruchomienia i podtrzymania napędu? – zapytał George. – Żaden ze mnie fizyk, ale czy nie trzeba by jej strasznie dużo, nawet gdyby posiłkować się samym dyskiem dzięki konwertowaniu masy na energię?

– Tak! – potwierdził Karim, uśmiechając się do George’a promiennie, jakby był wyjątkowo pojętym uczniem. – Nie wiemy, skąd statek czerpie energię! Moim zdaniem z próżni. Próżnia jest bardzo bogata w energię, co jak wiecie, wynika z pogodzenia ogólnej teorii względności z mechaniką kwantową...

Gail nic podobnego nie wiedziała, ale też było jej to obojętne. Liczyło się to, że statek Obcych przyleciał tutaj. Tak samo jak wahadłowiec. I martwe „liściaste” ciało, które w świetle reflektorów ledwie widziała z tej odległości. Nieważne jak, ważne, że tak było.

Raz jeszcze uderzył ją surrealizm tej sytuacji. Oto siedziała na obcej planecie i czekała, aż rozprawią się z nią istoty, dla których Zielnik również był obcy... *Lahiri, nie o to nam chodziło.*

George i Ingrid zadawali pytania na temat sił pływowych i reakcji materia–antymateria. Gail usłyszała cichy grzmot, coś jak zapowiedź hałasu. Byłaby go może przeoczyła, gdyby nie to, że go cały czas wyczekiwała. Ale nie, to był zwykły grzmot, bardzo odległy. Na to drugie było o wiele za wcześnie.

Zakładając średnią prędkość pięćdziesięciu mil na godzinę i w miarę równy teren... no dobra, niech będzie czterdzieści mil na godzinę. Odległość wynosiła czterysta mil. Jeśli nie zrobią sobie po drodze przystanków, Lucy i Nan powinny tu być o świcie.

– ...i może przyspieszać i zwalniać nawet przy ciężeniu sto g – zakończył Karim. – Bo na tyle ocenialiśmy je, gdy nadlatywał. Jeśli się nie mylę, ten statek byłby w stanie osiągnąć prędkość dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięciu procent prędkości światła w czasie umożliwiającym pokonywanie odległości międzygwiazdnych w parę dni. Czasu pokładowego rzecz jasna.

Bo to, że tu przyjadą, nie ulegało wątpliwości. Jake im zabronił. Ale – jak słusznie sam zauważył – nie jest ani przywódcą kraju, ani wodzem naczelnym. Jest tylko byłym prawnikiem, który zorganizował przedsięwzięcie na skalę kosmiczną i został kolonistą. A w jego kolonii nic nie szło tak, jak powinno.

Gail przebudziła się raptownie w środku nocy. Serce momentalnie zaczęło jej walić jak oszalałe. Usłyszała kogoś pod namiotem. Mueller z bronią...

Mueller spał na materacu obok niej ciężkim snem młodego mężczyzny. Gail przypomniała sobie ich decyzję, aby jedna osoba zawsze czuwała, mając oko na wahadłowiec. Ustalili system wart. Jednakże w tej chwili wolne były dwa miejsca: Ingrid i George'a.

Domyślała się, co robią, ale i tak wykradła się z namiotu, ostrożnie przestępując przez Jake'a. Na zewnątrz reflektory w dalszym ciągu świeciły z pełną mocą. Ingrid i George rozstawili swój sprzęt, który musiał przylecieć dużym skimmerem razem z kuchenką. Ingrid poderwała wzrok pierwsza w poczuciu winy i natychmiast przystąpiła do ofensywy:

– Na miłość boską, Gail! Nie zakradaj się tak i nie strasz ludzi! Wracaj do łóżka, masz złamaną rękę, Shipley kazał ci się oszczędzać. Ostatnie, czego nam trzeba, to kaleka.

Gail zignorowała tę próbę odwrócenia uwagi.

– Jake zabronił wam to robić. Obojgu.

– To tylko fragment... wyrostka, który odpadł od ciała – powiedział błagalnym tonem George. – Nie tknęliśmy właściwego ciała. Wciąż tam leży, tak jak życzy sobie Jake. Przeprowadziliśmy analizę tylko tego skrawka. I...

– Jake wam zabronił – powtórzyła Gail. – Nie wiemy, jakie rytuały pogrzebowe mają ci Obcy.

– Gail, możesz mnie przez chwilę posłuchać? Przeprowadziliśmy analizę. To nie jest życie oparte na DNA.

Chwilę zabrało, zanim znaczenie jego słów zapadło jej w świadomość.

– W takim razie przebadaliście coś martwego! Syntetyczne ubranie albo...

– Nie. To coś ma budowę komórkową, chociaż żadne struktury komórkowe nie przypominają niczego, co znamy. Nie możemy też mieć pewności, że coś, co zidentyfikowaliśmy jako odpowiednik jądra, istotnie jest jądrem komórkowym. Ale tak nam się wydaje, Gail... I ono nie zawiera DNA.

– Całe życie w Galaktyce jest oparte na DNA – powiedziała niemądrze. – Wszędzie.

– Wszędzie, gdzie byliśmy do tej pory – poprawiła ją Ingrid. – Całe życie oprócz tego. Natrafiliśmy na naprawdę Obcych!

Jakby Zwierzaki nie były wystarczająco obce. Gail nagle rozboleła głowa.

– No to skąd pochodzą te wasze Badyle?

– Skąd mamy wiedzieć? – zapytał George. Wyglądał, jakby nie tylko w ogóle nie spał, ale jakby już nigdy nie miał usnąć. Był pobudzony, na skraju hysterii.

– Badyłe – podchwyciła Ingrid. – Udana nazwa.

Gail spojrzała na wahadłowiec.

– Działo się tam coś?

– Nie – odparł George. – Gail, ich ściana komórkowa...

– Mam to gdzieś – stwierdziła Gail i wróciła zamaszystym krokiem do namiotu.

Oboje naukowcy powiedli za nią wzrokiem, jakby to ona była Obca.

Zanim pojawiły się Nan i Lucy, nowych Obcych wszyscy nazywali już Badyłami.

Łazik przyjechał o świcie z Nan za kierownicą. Lucy spała do momentu, aż się zatrzymał. Sądząc po jej minie, Nan była na tym samych wspomagaczach co Ingrid i George. Włosy jej sterczały na wszystkie strony, skórę miała pociętą i posiniaczoną i brakowało jej jednego zęba. Wyszczrzyła się radośnie do Gail. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

Gail zdumiało uczucie, które nią zawładnęło. Stała bez jednego ruchu pośrodku oświetlonego reflektorami kwadratu i pozwalała mu przez siebie przepływać.

O mój Boże, tylko nie ona.

Nie córka Williama Shipleya.

Nie była kryminalistka.

Uparta egocentryczna suka. Która nie tyle się zmieniała, ile znajdowała swoje powołanie.

Szantażystka Rudolfa Scherera.

Tylko nie ona...

Nan wiedziała – albo się domyślała – co się dzieje. Przyglądała się Gail spokojnie, jakby oceniając. W tym czasie przebudziła się Lucy, rozejrzała nieprzytomnie i potrząsnęła głową. Nan dalej się gapiła, po czym uśmiechnęła się do Gail uśmiechem tak pokornym i błagalnym, tak niepodobnym do Nan Frayne, że Gail poczuła, jak nogi niosą ją w stronę łazika.

– Witaj, Nan. Witaj, Lucy.

– Witaj, Gail – odparła Nan cicho i to wystarczyło.

Spał niespokojnie, śniąc o rozmytych, monstrualnych, nienazwanych kształtach. Ludzie kręcili się po nocy – jak przypuszczał, udając się na wartę i wracając z niej. Dopiero gdzieś nad ranem zapadł we w miarę normalny sen, a gdy się obudził, zastał na miejscu Naomi Frayne i Lucy Lasky, które zdążyły przyjechać łazikiem z Mira City.

– Dzień dobry, doktorze – powitała go Ingrid Johnson. Zdawała się pogodna i nietypowo miła. – Wahadłowiec jak stał, tak stoi. Nic się przez noc nie zmieniło.

Jake, któremu daleko było do pogody ducha, powiedział:

– Przywieźliśmy dużym skimmerem trochę wody do mycia. Jest w zbiorniku.

– Naomi przyjechała, prawda? – zapytał Shipley.

Lucy stała odwrócona plecami do Jake'a, jedząc coś, co George podgrzał na kuchence. George sprawiał wrażenie spokojnego; najwyraźniej pogodził się już ze śmiercią Erika Halberga. A może należał do osób, którym własne czyny nie mącą spokoju ducha.

– Tak – odparł krótko Jake. – Przyjechały obie, Naomi i Lucy.

Po tych słowach odmaszerował w stronę skimmera.

– Gdzie znajdę Naomi? – zwrócił się Shipley do Ingrid. – Wiesz może?

– Chyba śpi. Przywiozły ze sobą drugi namiot i rozbiły go o, tam.

Shipley dopiero teraz zauważył drugi mniejszy namiot stojący po prawej stronie bunkra. Ale nie zbliżył się do niego. Kiedy George zaczął wydawać kubki z parującą kawą, wziął od niego jeden.

– Pierwszy raz widzę, żeby pił pan kawę, doktorze – stwierdził George.

Shipley nie odpowiedział. Przerastało go wyjaśnianie, że w normalnych okolicznościach nie potrzebuje sztucznego pobudzenia, które burzy wewnętrzne milczenie, i na ogół unika nawet zwykłej kawy. Jednakże okoliczności były dalekie od „normalnych”. Wewnętrzne milczenie tak czy owak zostało przerwane przez emocjonalny zamęt, równie niemiły jak fizyczne skurcze. Zbyt wiele się działo. A kawa była przynajmniej gorąca.

Wypiwszy połowę kubka, wiedział już, że popełnił błąd. Wezwanie do prostoty miało swoje podstawy. A jemu teraz serce waliło i skakało.

Właśnie dyskretnie wylewał resztę kawy na ziemię, gdy Naomi – która jak się okazało, jednak nie spała – wyszła z za większego skimmera razem z Gail. Obie kobiety niosły ciężkie worki.

– Dzień dobry, tato – zawołała do niego Naomi. – Zaczyna tu wyglądać jak w jakimś cholernym komisie pojazdów, co? – Wolną ręką zatoczyła łuk obejmujący dwa skimmery i łaźnik, wybuchając przy tym śmiechem.

Musiła zażyć coś znacznie silniejszego od kofeiny.

– Naomi...

– Wiem, strasznie wyglądam – powiedziała radośnie – ale w rzeczywistości nic mi nie jest. A mój wygląd raczej nie jest kluczowy w tym momencie historii, prawda?

Wykonała półobrót i puściła oko do Gail, która zmarszczyła brwi. *Ona naprawdę wygląda strasznie*, pomyślał Shipley. *Zarazem jednak poznać, że ma cel, czego chyba nigdy nie dało się o niej powiedzieć...*

– Co tam macie, Gail? – zainteresował się Jake.

Gail odłożyła worek na ziemię. Zdaniem Shipleya była gotowa do sprzeczki.

– Sprzęt, który przywiezły Nan i Lucy – odparła.

– Jakiego rodzaju sprzęt? – zapytał Jake wystudiowanym tonem.

Gail zrobiła krok do przodu i spojrzała mu prosto w oczy.

– Miejmy to za sobą, Jake. Wiem, że zabroniłeś im się tu pokazywać, ale oto są z nami, co wkurza cię do granic. Tego nie da się już zmienić, a w dodatku one mają parę dobrych pomysłów w związku z wahadłowcem. Wszyscy oczekujemy, że zgodzisz się chociaż je wysłuchać.

– A ja oczekuję, że raz-dwa zabiorą się i wrócą do Mira City. Zdecydowanie oczekuję.

– Ale z ciebie autokratyczny dupek... – zaczęła Naomi.

– Nan! – upomniała ją Gail.

– Zamknij się, Gail, wiem, że to teraz twoja dziewczyna, ale to jeszcze nie znaczy...

– Cóż to, Jake? – wpadła mu w słowo Naomi. – Co się stało z twoim słynnym taktem i dyplomacją?

– Ty bezużyteczna szmato...

– Jake, nie waż się tak nazywać Nan...

– Przestańcie! – ryknął Shipley.

Cała trójka wraz z resztą obecnych zamilkła w pół słowa.

Shipleya zalała fala zmęczenia. *Dziewczyna...* Wszyscy patrzyli na niego w zdumieniu. Doktor William Shipley, Nowy Kwakier, nigdy nie podnosił głosu ani nie wydawał rozkazów. Był żalosporną ikoną. Wierzył w prymitywne czary-mary. Boże, ależ był zmęczony.

Ta kawa tylko wszystko pogorszyła.

– Chcę, żeby wszyscy wzięli udział w spotkaniu religijnym. Natychmiast.

Nie dodał „proszę”.

Wybuch Shipleya przywrócił Jake’owi zwykłą ogładę.

– Myślę, że to doskonały pomysł, doktorze. Przyda nam się parę chwil ciszy na zebranie myśli. No dalej, siadajmy. George? Karim?

Jake wymienił dwie najprzyjaźniej nastawione i najmniej rozgniewane osoby w całym obozie. Obaj mężczyźni opadli szybko na poszycie. Karim uśmiechnął się do Shipleya, który usiadł ciężko na purpurowych roślinach stratowanych wieloma parami stóp.

Po krótkiej chwili Ingrid także usiadła, w jej ślady poszedł Franz Mueller. Lucy przesunęła się dyskretnie, aby zająć miejsce obok Jake’a. Wyglądała przy nim jak siedząca po turecku drobna figurka. Do tego zwiesiła głowę.

Wśród stojących zostały Naomi i Gail. Shipley usiłował oczyścić swój umysł. Nie chciał o nic prosić, nie chciał niczego żądać. Niech Światło samo na niego spłynie. Jego zadaniem było po prostu czekać.

Gail i Naomi przysiadły na ziemi, trzymając się za ręce.

Nikt się nie odzywał. Parę osób poprawiało się niespokojnie, między nimi Gail i Franz. W ciszę wdarł się zwierzęcy zew, na przemian przenikliwy i słodko brzmiący, wydawany przez istotę, którą George zaliczył do odpowiedników ziemskich gadów. Słaby wietrzyk, chłodny i pachnący, poruszył poszyciem. W powietrzu wciąż było czuć echo woni nocnych kwiatów.

Żadne świadectwo nie pojawiło się w umyśle Shipleya, nic, co by go skłoniło do odezwania się. Jednakże cisza powoli go oczyszczała. Czuł, jak go zalewa – namacalna i ciepła niczym światło słoneczne. Żołądek mu się rozsupłał. Ogarnął go spokój, bezcenna duchowa harmonia za sprawą milczenia dzielonego z członkami tej najmniej prawdopodobnej kongregacji.

Shipley nie miał pewności, ile czasu upłynęło. Zapewne więcej, niż ktokolwiek myślał. W nabrzmiałej ciszy czas tracił na znaczeniu. Pierwszy przemówił George Fox. Cichym, spokojnym głosem biolog powiedział:

– Drzwi wahadłowca się otwierają.

Wyszły kolejno na swoich małych platformach. Tak jak poprzednio kąt nachylenia rampy

wydawał się zbyt ostry – platformy z kopułami toczyły się w dół, chwiały i odzyskiwały równowagę. Później wszystkie trzy zamarły w jednym rzędzie.

To rośliny, pomyślał Shipley, a zarazem nie rośliny. Wzrok miał lepszy niż resztę narządów starzejącego się ciała. Przez przezroczystą kopułę na każdej platformie wyraźnie widział centralny pień, czerwonobrazowy cylinder wysoki może na jard i o średnicy jednej stopy. Wydawał się twardy jak drewno albo wyprawiona skóra. Z niego strzelały na boki liczne wyrostki – macki? gałęzie? – które z kolei rozdzielały się na płaskie mięsiste nieregularne owale tkanki. Była ich może setka. Liście. Albo bezpalce dłonie. Kilka takich liści/dłoni na końcach najdłuższych macek/gałęzi miało, zdaje się, palce. A może były to po prostu ostro ząbkowane liście. Czy też jakieś inne elastyczniejsze części roślinne, jak na przykład pnącza. W wypadku tych Obcych niełatwo było o porównania z ziemskimi stworzeniami. A nawet z tymi, które występowały na Zielniku. Brakowało im wyodrębnionej głowy, oczu, nóg. Niektóre gałęzie/macki/pnącza leżały zwinięte luźno na dole platformy.

Nikt się nie poruszył, dopóki Shipley – ruchem najwolniejszym z możliwych – nie odwrócił lekko głowy, aby spojrzeć na Franza Muellera. Żołnierz miał koło siebie na ziemi broń, jednakże nie uczynił żadnego gestu, aby po nią sięgnąć.

Jake również skontrolował zachowanie Franza. Zadowolony z wyniku zaczął się podnosić tak samo wolno, jak Shipley wcześniej się odwrócił.

– Niech nikt inny nie wstaje – powiedział cicho. – Nie wywołujemy wśród nich znowu paniki.

Naomi poprawiła się na swoim miejscu, co widząc, Shipley pomyślał, że zignoruje polecenia Jake'a, urządzi scenę i zniszczy tę chwilę. Jednakże ona tylko popchnęła swój worek w stronę Jake'a.

– Translator chińsko-angielski – szepnęła. – Wiem, że to naciągane, ale kto wie?

– Jeszcze nie teraz – odparł, ruszając ostrożnie przed siebie.

Na ten widok Obcy zaczęli falować liśćmi/rękami/wyrostkami. Jake się zatrzymał.

Wtedy jedna z platform drgnęła i potoczyła się do przodu.

Jake ponownie ruszył, dostosowując swoje tempo do jej szybkości. Shipley zniechęca pomyślał, niezbyt na temat, że jedna z technik negocjacyjnych Jake'a polega na tym, aby dostosowywać się do mowy ciała rozmówcy. W tym wypadku było to bardzo utrudnione.

Człowiek i Obcy zbliżali się do siebie w ślimaczym tempie. W końcu doszło do

spotkania w pół drogi między obozem i wahadłowcem. Zamarli w bezruchu – Jake przyglądał się Obcemu, a Obcy odpowiadał spojrzeniem. Albo nie.

Gdy w pewnym momencie zaczęła się toczyć druga platforma, Gail szepnęła:

– George, teraz twoja kolej. W końcu jesteś biologiem.

George Fox nie potrzebował dalszych zachęt. Zerwał się tak ochoczo, że Gail musiała go napomnieć sykiem, po którym zmusił się do wolniejszych ruchów.

Dziesięć minut trwało, zanim George i drugi Obcy się spotkali. Jak było do przewidzenia, poruszyła się trzecia platforma. Widząc to, Ingrid Johnson zaczęła się podnosić.

– Nie! – syknęła Gail.

Ingrid się obruszyła.

– Ale ja jestem...

– ...niewłaściwą osobą do tego zadania – dokończyła za nią Gail, starając się mówić bardzo cicho. Mimo to jeden z Obcych jakby zwrócił w jej stronę swój pień. – Pójdzie doktor Shipley.

Zdziwił się, ale wstał posłusznie. Tak, to miało sens. To on powinien spróbować nawiązać kontakt.

Z bliska Obcy wydawał się jeszcze dziwniejszy. Jego ciało było zbudowane nie z mięśni i skóry, nie z drewna, nie z chityny, tylko z jakiejś substancji, która nie przypominała nic znajomego. Shipley był dwakroć wyższy od tej istoty, gdyby pozbawić ją niskiej platformy. Spojrzał z góry na czubek Obcego, który stanowił falującą płataninę gałęzi, macek i wyrostków. Jak się okazało, wszystkie były wyposażone w setki małych dziurek. Główne części Obcego, pień i „pnącza”, pokrywała jakaś brązowawa kleista substancja.

Shipley nieoczekiwanie dla samego siebie powiedział:

– Jake, usiądźmy. Wyszły do nas, jak siedzieliśmy.

Jake i George usłuchali go. *Bez słowa*, jak zauważył Shipley. W końcu ich milczący bezruch wywabił Obcych z wahadłowca. Cisza i spokój. A ludzie tak rzadko bywali cicho. Tak rzadko bywali spokojni.

– Po prostu siedźmy – dodał, zadziwiając się tą próbą uzurpacji władzy, która była przynależna Jake’owi. Jednakże Jake najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. George miał taką minę, jakby mógł tak siedzieć i gapić się na Obcych przez całą wieczność.

Pytanie, czy ludzie za nimi, w tym Naomi i Karim, wykażą się równą cierpliwością.

Spisali się lepiej, niż przypuszczał Shipley. Dopiero po półgodzinie kolejne dwie osoby zakradły się za ich plecami i usiadły w pewnym oddaleniu. Nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, że to Ingrid i Naomi. Cokolwiek robili pozostali, którym przewodziła Gail, czynili to cicho.

Minęło kolejne pół godziny.

Shipley poczuł, jak bierze go w posiadanie drugi etap milczenia. Najpierw był słodki, dzielony z innymi spokój. Później czasami przychodziło głębsze znaczenie. Zawsze brakowało mu słów, aby to właściwie opisać. Najbliższe prawdy wydawały mu się słowa Andrew Marvela, którego życie dalekie było od spokoju:

*Umysł, rzuciwszy namiętności,
Wraca do stanu szczęśliwości;
Umysł jest wodą, Oceanem,
W nim rzeczy wszystkie są schowane,
Które na ziemi spotykamy.
A przecież wznosi z morskiej piany
Wciąż nowe morza, nowe światy;
Własnym bogactwem jest bogaty,
Gdyż zmienia każdą rzecz stworzoną
W zielonym cieniu w myśl zieloną.^[*]*

I Shipley – w zielonym cieniu myśl zielona – nie miał pojęcia, ile czasu minęło. Przenikała go głęboka radość. Nie Światło, lecz coś innego, coś tak pięknego i tak radosnego, że...

– Feromony – rzucił George Fox. – Omamiamą nas. Nie, nie wstawajcie, nic się nie dzieje. Są słabe.

Gdy Shipley się podniósł, jego nastrój transcendencji prysnął.

Pozostała czwórka została na swoich miejscach. Shipley, potykając się, wrócił do obozu, gdzie powiedział do Gail:

– George twierdzi, że traktują nas feromonami. Przez które czujemy różne rzeczy...

– Jakie rzeczy? – zapytała Gail.

Nie mógł jej powiedzieć: „Miałem wrażenie, że dotykam własnej duszy”. Zamiast tego rzekł:

– Szczęście.

Zmarszczyła brwi.

– Sztuczne szczęście? Coś jak po bąbelkach?

On jednak nigdy nawet nie próbował bąbelków.

– Coś tu się nie zgadza, doktorze – stwierdziła Lucy. – Testy Ingrid i George’a wykazały, że budowa tych Obcych nie jest oparta na DNA. Jakim cudem wytwarzają feromony, które oddziałują na nasze organizmy oparte na DNA?

Shiplej nie znał odpowiedzi na to pytanie. Zalał go wstyd, że nie potrafi rozróżnić prawdziwego religijnego przeżycia od działania narkotyku.

– Powinniśmy ich przywołać poza zasięg tego czegoś, czymkolwiek to jest? – zapytała Gail.

– George uważa, że nie ma zagrożenia. Jego zdaniem działanie feromonów jest słabe i ludzie są w stanie je znieść. Tak jak znoszą kofeinę.

Z tym że Shiplej źle znosił kofeinę.

Gail ponownie zmarszczyła czoło.

– No dobrze... zakładam, że George wie, co mówi. Ale jeśli to się będzie przedłużać...

Wie pan, doktorze, ile pan tam siedział?

– Nie, ale zamierzam tam wrócić.

– Naprawdę? Dlaczego?

Nie umiał jej tego wyjaśnić. Z powodu wstydu. Dlatego że – choć Gail tego nie rozumiała – w swoim mniemaniu powinien doprowadzić do kontaktu z Obcymi. Ponieważ skłaniała go do tego jego własna dusza, co było najczytelniejszą podpowiedzią Światła, jaką dostał od wielu dni. Jako że jednak Gail nic z tego by nie pojęła, Shiplej podał najprostsze wytłumaczenie:

– Naomi tam jest.

Gail skinęła głową. Nazbyt dobrze nad sobą panowała, aby się zaczerwienić.

Shiplej odwrócił się i ruszył w stronę wahadłowca. Jednakże Lucy położyła mu dłoń na ramieniu.

– Doktorze... czego oni pańskim zdaniem od nas chcą?

– Na razie chyba wystarcza im wspólne siedzenie z nami.

– Wspólne siedzenie... – powtórzyła za nim Gail.

– Tak – potwierdził Shiplej.

– Cóż, pewnie nie ma w tym nic złego... Ale nic dobrego też nie. Wie pan, że siedzicie

tam od sześciu godzin?

Shipley nie miał o tym pojęcia. Pokręcił głową.

– Siedząc tam bez słowa i bez ruchu, nie czuł się pan znudzony? – zapytała go Gail.

Obrócił się ku niej zdumiony i przyjrzał się jej, jakby to ona była Obcym i nie rozumiała go ani w ząb.

W końcu ludzie zgłodnieli. Ingrid musiała wymknąć się i wrócić niepostrzeżenie, ponieważ w pewnym momencie wyciągnęła do Shipleya rękę z kanapką i butelką wody. Lekarz posilił się ostrożnie, tak samo jak pozostali. To było wynikiem potrzeb fizjologicznych – dla ich zaspokojenia ludzie wymykali się kolejno i cicho wracali. Obcy nie reagowali ani nie okazywali, że mają podobne potrzeby. Wywołujące radość feromony zniknęły równie nagle, jak się pojawiły.

Aż do zmroku nic się nie wydarzyło. W pewnym momencie Naomi sięgnęła po translator. Ponieważ Jake nie zaprotestował, położyła urządzenie naprzeciwko niego i włączyła je, po czym wróciła na swoje miejsce.

– Ustawiłam je tak – wyjaśniła szeptem – żeby nauczyło się ich języka, jak najszybciej budując słownik i system gramatyki.

– Ci Obcy nie używają żadnego języka – zauważył Jake.

– Może zaczną, jeśli i my to zrobimy.

– Skoro to urządzenie to takie чудо, czemu nie skorzystałaś z niego w wypadku Zwierzaków?

– Rozwaliłyby je tylko – powiedziała Naomi.

Podnosząc lekko głos, Jake przywitał się miłym tonem:

– Dzień dobry.

Czy Obcy jakoś zareagowali? Shipleyowi wydawało się, że ruch gałęzi/macek przybrał na sile, jednakże nie mógł być tego pewien.

– Dzień dobry – powtórzył Jake. – Jesteśmy ludźmi...

Wskazał kolejno na siebie, Shipleya i George'a, który siedział obok niego.

Żadnej reakcji.

– Dzień dobry. Jesteśmy ludźmi. Cieszymy się, że przylecieliście tutaj.

Raz jeszcze umysł Shipleya zalała fala słodkiej, zdradliwej, wywołanej chemikaliami radości.

– To pozytywna odpowiedź – stwierdził George. – Mów dalej, Jake.

– Dzień dobry – powiedział po raz czwarty Jake. – Jesteśmy ludźmi. Cieszymy się, że przylecieliście tutaj.

Zza pleców Shipleya odezwała się Naomi:

– Dzień dobry. Jesteśmy ludźmi. Cieszymy się, że przylecieliście tutaj.

W jej ślady poszedł George:

– Dzień dobry. Jesteśmy ludźmi. Cieszymy się, że przylecieliście tutaj.

Następnie te same słowa wypowiedziała Ingrid. Shipley uznał, że nie ma wyjścia, i też to zrobił.

Nagle poczuł żal. Milczenie jako forma komunikacji okazało się nieskuteczne.

[*] Andrew Marvel, *Ogród*, przeł. Jerzy S. Sito, za: *Poeci języka angielskiego*, t. 1, Warszawa 1969.

Przez godzinę ludzie opowiadali Obcym prostymi zdaniami o drzewach, poszyciu, słońcu i własnych ciałach. Mowie towarzyszyły uśmiechy i wskazywanie. Nic z tego nie wywołało żadnej reakcji. Jake czuł się jak głupiec.

W pewnym momencie przysnął na siedząco – ostatnimi czasy mało spał. George szturchnął go szybko.

– Obudź się, Jake. Coś się zaczyna dziać.

Zrobiło się prawie ciemno. Jeden z Obcych podtoczył się na platformie do martwego towarzysza. Jake poczuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. Czyżby zemsta właśnie miała nadejść?

Platforma zatrzymała się przed strzaskaną kopułą. Z kąta, pod jakim patrzył, Jake zobaczył, że w dole platformy otwiera się szczelina. Coś z niej wypełzło.

– Ach, na me uszy i wąsy – sapnął George.

Macka powoli – bardzo powoli, te stworzenia nie robiły niczego pochopnie – wyciągnęła się... Nie przypominała pnączy widocznych pod kopułą. Była oślizgła i śluzowata, podobna do długiego ślimaka. Pełzła w nieśpiesznym tempie po poszyciu, sięgając do martwego Obcego. A potem w tym samym tempie zawróciła się i wślizgnęła się przez szczelinę do środka platformy. Szczelina się zamknęła. Wszystkie trzy platformy wtoczyły się po rampie i zniknęły za zamkniętymi drzwiami wahadłowca. Zdążyła zapaść noc.

George, Ingrid i Shipley tłoczyli się nad martwym Obcym.

– Aż błyszczą od resztek śluzu – stwierdziła Ingrid.

– Chyba się rozpuszcza – wysunął przypuszczenie George. – Może został polany kwasem albo jakąś toksyną czy zainfekowany czymś w rodzaju bakterii.

– To może skazić środowisko – rzucił Shipley.

– Odejdźmy stąd – zaproponował ostrym tonem Jake. – Ingrid, George, nie dotykajcie tego. Nie mamy pojęcia, jakie to ma znaczenie dla tych... istot.

– Dla Badyli – poprawił go George. – Powinniśmy je nazywać Badyłami. Gail wpadła na tę nazwę. Jake, mam kilka przypuszczeń, które chciałbym przedyskutować.

– W obozie.

Gail i Karim przyszykowali posiłek bardziej wymyślny od zwyczajowej syntetycznej

papki uzyskiwanej z gotowca. Jake domyślał się, że stoi za tym raczej Karim – z Gail była żadna kucharka. Czekala na nich potrawka z warzyw, które eksperymentalnie zaczęła uprawiać Thekla. Jedzenie przywróciło Jake'owi siły. Nawet sobie nie zdawał sprawy, jak bardzo jest głodny.

– I jak smakują warzywa? – dopytywał Karim. – Theklę martwi, że inny skład gleby wpłynie na smak ziemskich roślin.

– Niebo w gębie – odpowiedział Shipley – aczkolwiek nie wiem, czy bardziej chodzi o warzywa, czy o ten wspaniały sos.

Karim się rozpromienił.

Jedzenie nie miało większego znaczenia dla George'a. Przełknąwszy na szybko kilka kęsów, powiedział:

– No dobrze. Słuchajcie. Chciałbym podsumować to, cośmy widzieli. Przerwijcie mi, jeśli się ze mną nie zgodzicie albo będziecie chcieli poprzeć to, co mówię. To ramię, które rozpuściło martwego Obcego...

– Które co zrobiło? – Gail omal się nie udławiła.

George musiał zacząć od początku, opisując wydarzenia tym, którzy pozostali w obozie.

– W każdym razie ramię, które wysunęło się z platformy, przypominało błonę biologiczną, strukturę mikroorganizmów o bardziej złożonych właściwościach niż u pojedynczego mikroba. Ziemskie błony biologiczne wytwarzają warstewkę śluzu, który chroni je przed działaniem antybiotyków. Cechuje je także skomplikowany system komunikacji chemicznej, jak również rozbudowana architektura, na którą składają się rurki i kanaliki dystrybuujące substancje odżywcze i tlen. Do tego są ruchliwe, poruszają się na włoskach... Doszedłem do następujących wniosków: Badyłe nie oddychają naszym powietrzem, o czym świadczyłyby kopuły ochronne. Nie są zatem w stanie bezpośrednio oddziaływać na środowisko Zielnika. Ale noszą ślady tej samej śluzowatej substancji. Ich przedłużenie, kontrolowane przez pień, może się zamknąć w otoczce śluzu, broniąc się w ten sposób przed szkodliwym działaniem gazów i ciał stałych. Najwyraźniej na naszych oczach zainfekowało nieszczęsnego martwego Obcego jakimś związkiem chemicznym..

– Rytuał pogrzebowy – wtrącił Shipley.

– Ale dlaczego to tyle trwało? – zapytała Lucy. – Zabiliśmy Badyła wczoraj...

Rozejrzała się w poszukiwaniu Franza Muellera, on jednak stał przy kuchence, nie słuchając dyskusji.

– Może Badylom tyle czasu zabiera wytworzenie takiego ramienia. W ogóle wszystko robią bardzo powoli.

George poczuł, że przepełnia go entuzjazm.

– Nie są oparte na DNA, więc...

– I w ten sposób upadła teoria panspermii, która miała obowiązywać w całej Galaktyce – stwierdziła Ingrid.

– ...więc – kontynuował niezrażony George – choć mają w sobie coś ze zwierząt, coś z roślin i coś z bakterii, nie sposób dopatrzeć się większej liczby analogii. Ale przynajmniej teraz wiemy, że trzeba o nich myśleć jako o takiej potrójnej hybrydzie.

– A czy twoje przemyślenia obejmują też to, co mogą nam zrobić? – zapytała kwaśno Gail. – Może skoro wszystko robią powoli, zemsta też zabiera im trochę czasu?

Jake był tego samego zdania.

– Jutro powinniśmy powtórzyć operację z dzisiejszego dnia – powiedział. – Żeby im uświadomić, że dążymy do pokojowego kontaktu.

– Nie możesz wiedzieć, że właśnie tak interpretują nasze zachowanie – zaproponowała Ingrid. – Nie możesz nawet wiedzieć, czy w ogóle są świadome naszej obecności.

– No nie – prychnęła Gail. – Pukanie do drzwi Obcych, którzy nie mają słuchu. To by dopiero był sukces.

– Ależ to jest sukces – stwierdziła Nan Frayne, na co Gail tylko się skrzywiła.

– Czy twój translator czegoś się nauczył, Nan? – zainteresował się Jake.

– Oczywiście, że nie. Żeby przeanalizować dźwięki, jakieś musi usłyszeć.

– Tak się zastanawiam... – Gail zawiesiła głos. – Może i pewna grupa powinna siedzieć i medytować z Obcymi. Nie wymaga to jednak obecności nas wszystkich. Jake, Fajsal nie przestaje mnie atakować przez komunikator. On i Fengmo świetnie sobie radzą w Mira City, ale nie mają wszystkich niezbędnych informacji. Wydaje mi się, że powinnam jutro wrócić do miasta, zabierając ze sobą Lucy, Karima, Nan i doktora Shipleya.

– Ja nigdzie nie jadę! – oburzyła się Nan.

– Ani ja – dodał Karim. – Dopóki jest nadzieja, że dostanę się do środka tego wahadłowca, będę tu czekał na okazję.

– Ja też wolałbym zostać – powiedział Shipley – aczkolwiek nie jestem pewien, czy wysiedzę kolejny dzień na ziemi. Stare kości nie są takie elastyczne. Ale mógłbym czekać w obozie.

Lucy milczała. Jake ani na nią nie patrzył, ani się do niej nie odzywał. W dalszym ciągu był zły, że przyjechała tutaj wbrew jego wyraźnemu zakazowi. Zaczerwieniła się teraz i wbiła wzrok w ziemię.

– Chcecie powiedzieć, że mam wracać sama? – zapytała Gail.

Spojrzała na Nan, która ściągnęła brwi w głębokim marsie i odparła:

– Na to wygląda. Chyba że jednak zostaniesz z nami.

Gail zrewanżowała się równie posępnym zmarszczeniem brwi.

– Mam swoje obowiązki.

Nan wzruszyła ramionami. *Walka tytanów*, skwitował w duchu Jake. Para twardogłowych kochanków, to się nigdy nie sprawdza. Pozabijają się wzajemnie. Ta myśl sprawiła, że poczuł tkliwość względem Lucy, która była bardziej spolegliwa. Aczkolwiek nie wtedy, gdy w grę wchodziła wyprawa życia.

– W takim razie wrócę do Mira City razem z Lucy.

Lucy nie sprzeciwiła się temu pomysłowi.

George snuł dalej teorie:

– Ziemskie rośliny to wspaniali biochemicy. Produkują szeroki wachlarz związków chemicznych nie tylko po to, aby się utrzymać przy życiu, ale też by manipulować zwierzętami. Weźmy zapach dla przywabienia owadów zapylających kwiaty. Albo toksyny do odstraszenia drapieżników. Rośliny potrafią nawet wpływać na poziom rozrodczości innych gatunków... Macie pojęcie, że liście pewnego drzewa wytwarzają związek chemiczny, który zapobiega przeobrażeniu się gąsienicy w motyla? To ich sposób na ograniczenie liczby liściożerców.

– Może więc teraz wszyscy jesteśmy jałowi – zauważyła Gail.

George zignorował jej sarkazm.

– Nie mogę zapomnieć tego upajającego zapachu, który rozsiały Badyle, kiedyśmy zaczęli z nimi rozmawiać. Chciały, żebyśmy mówili. Zsyntetyzowały i uwolniły, zapewne przez tę samą szczelinę w dole platformy, związek chemiczny, którego skład miał na nas korzystne działanie. Chociaż nasza budowa opiera się na DNA, a ich nie! Zastanówcie się nad tym przez chwilę. Wiedziały, co wyprodukować, po zaledwie jednym dniu, i to bez bezpośredniego kontaktu!

– Równie dobrze mogły pobierać próbki powietrza od chwili lądowania wahadłowca – powiedziała Ingrid. – W powietrzu aż roi się od życia opartego na DNA.

– A może Badyłe były tu już wcześniej? – zapytał Jake. Choć pomysł ten wpadł mu do głowy dopiero przed chwilą, niezwykle przemówił do jego wyobraźni. – George, jesteś w stanie przeanalizować związki między Zwierzakami i Badyłami, pomijając pewnik, że jedno i drugie nie są gatunkiem rodzimym?

– Nie – odparł George.

– Ale Zwierzaki są oparte na DNA?

– O, tak. Przypominają ziemskie ssaki. Nie żaden konkretny gatunek, ale są dwunożne, ciepłokrwiste, mają mózg otoczony oponami mózgowymi i tak dalej. W gruncie rzeczy niczym się od nas nie różnią, co może sugerować, że jest tylko jeden uniwersalny projekt budowy gatunku rozumnego opartego na DNA.

– A jeśli – wtrącił Jake – Badyłe przyleciały tu z powodu Zwierzaków? Są wyraźnie na dużo wyższym poziomie rozwoju niż Zwierzaki i...

– Zaawansowane technologicznie rośliny? – wyraziła sceptycyzm Gail.

– Wszystko zależy od tego – powiedział George – jakiego rodzaju zdobycze się ceni. My cenimy język, pismo i tak dalej. Ale ziemskie rośliny wyewoluowały wcześniej od nas i objęły w posiadanie więcej nisz. Można by wręcz twierdzić, że to rośliny nas udomowiły, a nie odwrotnie. Przez tysiąclecia ludzie udoskonalali rośliny metodą sztucznego doboru. Do tego przenosimy ich geny na odległości większe, niż same byłyby w stanie to zrobić, a poza tym pielęgnujemy je dla ich kwiatów, owoców i nasion. W pewnym sensie jesteśmy niewolnikami roślin. Istniejemy, żeby pomagać im w rozrodzie i leczyć je, zwiększając ich liczebność. Służymy im.

– Idę się położyć – rzuciła nagle Gail.

Jeśli oczekiwała, że Nan pójdzie za nią, to się rozczarowała. Jednakże Shipley powiedział:

– Ja także.

Jake dopiero w tym momencie zauważył, jaki wymizerowany zdaje się lekarz.

Jednakże George'a nic nie było w stanie powstrzymać.

– W istocie gdyby rośliny nie wykształciły kwiatów, ludzie mogliby nigdy nie powstać. Większość dużych ssaków pojawiła się dopiero wtedy, gdy owoce i nasiona umożliwiły koncentrację zasobów energetycznych pożywienia. Bez kwiatów świat może wciąż byłby w posiadaniu gadów. To kwiaty nas stworzyły, to one rozwinęły kształty i zapachy miłe dla oka i dla zmysłu powonienia, a my w zamian im służymy. Niewolą nas swym pięknem i

słodyczą, zupełnie jak kobiety.

Nan prychnęła. Jake wbrew sobie spojrzął na Lucy.

– A Badyle – dodała Ingrid głosem znacznie mniej entuzjastycznym niż głos George’a przed chwilą – w mgnieniu oka nas odurzyły.

– Są też lepsze, jeśli chodzi o wytwory technologii – oznajmił Karim. – Przykładowo mają ten statek, który potrafi przyśpieszać i zwalniać przy ciężeniach, o jakich nam się nawet nie śniło.

Wyrósł przy nich zniecka szeregowy Mueller.

– Panie Holman, sądzę, że dzisiejszej nocy też powinniśmy wystawić warty.

– Tak – zgodził się Jake. – Masz rację.

Zostawił Ingrid i George’a nadal dyskutujących o botanice i odszedł kawałek w stronę zagajnika strzelistych drzew, mając nadzieję, że Lucy za nim pójdzie. Tak też się stało.

– Jake, przepraszam, że cię nie posłuchałam i jednak tutaj przyjechałam.

– Wcale nie jest ci przykro z tego powodu. Mnie zresztą też nie, już nie.

Objął ją ramionami, a ona wsparła się o niego. Cudownie jej było w jego uścisku.

– Och, Lucy, jakżebym mógł rozkazywać tobie czy komukolwiek innemu? To sytuacja bez precedensu. Gdzie w zapisach Korporacji Mira znajdę wytyczne, jak powinien się zachować prezes w wypadku milczącego kontaktu z obcymi formami roślinnej inteligencji?

Zaśmiała się.

– Myślisz, że nas wszystkich wysadzą? Myślisz, że to ostatnia noc naszego życia?

– Nawet jeśli, wykorzystajmy ją do maksimum. – Sięgnął dłonią do jej piersi.

– Ale chyba nie myślisz naprawdę...

– Myślę, że jutro będzie taki sam dzień jak dziś – powiedział. – Posiedzimy, pomedytujemy, podyskutujemy bez sensu. Nic się nie wydarzy.

– Może w takim razie powinniśmy... – Głos jej się obniżył, stał się bardziej chropawy.

– Jake, Lucy! – zawołała ich Ingrid. – Wybaczcie, że przeszkadzam..

– No to nie przeszkadzaj! – warknął Jake. Boże, dlaczego nie ma sobie pozwolić choćby na ten moment niezasłużonej słodczy?...

Gdy Ingrid wyłoniła się z cienia, rzuciła twardszym głosem:

– Gail was szuka. Właśnie skontaktował się z nią Fajsal. Nadeszła wiadomość z Ziemi.

– Powtórz jeszcze raz – powiedział Jake, nie przejmując się, że to mało profesjonalne.

Miał kłopoty z koncentracją.

Fajsal, znajdujący się w Mira City, powiedział głośno i wyraźnie:

– „Do władzy w Genewie doszedł Sojusz Trzeciego Życia. Wojna trwa. Środki ograniczone, ale jest szansa na małą naukową wyprawę na Zielnik pod koniec roku. Do tego czasu za wszelką cenę utrzymać dobre stosunki z Obcymi”.

Jake potarł twarz. „Za wszelką cenę utrzymać dobre stosunki z Obcymi”. Taaa... Przekaz kwantowy dotyczył Zwierzaków – jak dotąd nie zdążyli wysłać na Ziemię wiadomości dotyczącej Badyli.

– Czym jest Sojusz Trzeciego Życia? – zaciekała się Lucy.

– Nie mam pojęcia – odparła Gail. – Pewni ci, co doszli do władzy.

– Pytanie, czy utrzymają się przy niej do końca roku – wtrącił George.

– W wiadomości nie powiedziano, przeciwko komu Sojusz Trzeciego Życia prowadzi wojnę – zauważyła Ingrid. – Te przekazy kwantowe z Ziemi stają się coraz krótsze.

– Oszczędzają środki – skwitował George.

– Zatem nowa ekspedycja naukowa nie przybędzie wcześniej niż za dwa lata czasu pokładowego? – zdziwiła się Lucy. – To oznacza dla nas ponad siedemdziesiąt lat!

– Niekoniecznie – zaproponował Karim. – Odkąd opuściliśmy Ziemię, minęło siedemdziesiąt lat. Bardzo możliwe, że doszło do przełomowych odkryć. Ludzie mogą dysponować szybszym napędem albo skrótami przestrzennymi.

George wzruszył ramionami.

– Raczej mało prawdopodobne, skoro wszystkie wysiłki koncentrują na wojnie.

Po tych słowach wszyscy zamilkli. W końcu z komunikatora dobiegł głos Fajsala:

– Jake? Co mam odpowiedzieć?

– Nic – odparł Jake. – Przynajmniej na razie. Poczekajmy i przekonajmy się, jak się rozwine sytuacja z Badyłami.

– Jak sobie życzysz – rzucił neutralnym tonem Fajsal.

Jake poczuł, że dłoń Lucy wślizguje się do jego ręki. Choć jej szczupłe palce były ciepłe, wiedział, że jego libido pozostanie uśpione tej nocy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony i najbardziej ze wszystkiego zapragnął snu.

Do świtu martwy Obcy zniknął. Poszycie w tym miejscu wydawało się nienaruszone, jeśli nie liczyć miejsc pozbawionych dostępu słońca przez strzaskaną platformę. Mimo to

George i Ingrid natychmiast rozpoczęli zbieranie próbek.

– Albo wracajcie z nimi do obozu, albo usiądźcie spokojnie – polecił Jake. – One...

– Już są – rzuciła Nan.

Drzwi wahadłowca się otworzyły i trzy platformy stoczyły się do dołu rampy. Jake, George, Ingrid i Nan siedzieli w tym samym miejscu co minionego dnia. Nan włączyła dyskretnie translator chińsko-angielski.

– Zastanawiałam się w nocy – powiedziała. – To urządzenie wychwytuje wibracje charakterystyczne dla ludzkiego głosu, ale to wszystko. A jeśli Badyłe starają się do nas przemówić na tym paśmie częstotliwości, które słyszą tylko psy, jakże się ono nazywa...

– Ultradźwięki – podpowiedziała Ingrid.

– No więc jeśli to robią na tej czy jakiegokolwiek innej częstotliwości, translator nawet nie będzie wiedział, czy...

– Dzień dobry – odezwał się Badył.

Jake poderwał głowę tak szybko, aż mu strzeliło coś w karku. Przez moment miał czarno przed oczami. W piersi mu waliło. Gdy już odzyskał jasność widzenia, spostrzegł, że inni patrzą na niego wyczekująco.

– Dz... dzień dobry – odpowiedział.

– Dzień dobry, Jake Holman. – Głos był równy, jednostajny. Mechaniczny.

– One mają własny translator! – powiedziała Ingrid. – Korzystają z zasobu tego, cośmy wczoraj tu mówili. Mój Boże, on musi być wytworem biologii, może to membrany wprawiane w ruch przez sygnał chemiczny...

– Bębenek uszny jest wytworem biologii – przypomniał jej George. – Dzień dobry!

– Dzień dobry, George Fox.

Jake powtórzył to, co wczoraj wydawało się cczą gadaniną, a co dzisiaj zabrzmiało nadzwyczaj prawdziwie.

– Dzień dobry. Jesteśmy ludźmi. Cieszymy się, że przylecieliście tutaj.

Natychmiast przepełniła go radość wywołana słodkim łagodnym środkiem odurzającym. Taki był preferowany przez Obcych sposób komunikacji – translator został wykorzystany tylko przez wzgląd na ludzi. Ten zapach jednak bardzo dekoncentrował. A on, było nie było, prowadził negocjacje... Przypomniawszy sobie, co tu robi, od razu poczuł się pewniej.

– Proszę, nie wysyłajcie nam więcej zapachów. Chcemy porozmawiać. – Pierwsza

zasada skutecznego negocjatora: zacznij z pozycji silniejszego, pokaż, kto jest górą.

– Dobrze – odpowiedział Badył i natężenie środka odurzającego wyraźnie się zmniejszyło. Rozwiewał się przez chwilę na wietrze, aż zanikł zupełnie.

– Dziękuję – powiedział Jake.

Czy powinien przeprosić za śmierć Badyła? Jeszcze nie. Najważniejsze to utrzymać silną pozycję. Byle nie za silną. Jake zdawał sobie sprawę, że ludzie bywają zamknięci na nowe informacje, ponieważ świadomość własnej niewiedzy źle na nich działa. W razie czego wolą zatrzaskać umysł. Czy Badyłe też są takie? Chyba powinien wyjść z tego założenia, dopóki nie przekona się, że jest inaczej. Zatem najważniejsze to nie narzucać się zbyt.

– Dziwi nas wasza obecność na tej planecie – stwierdził Badył.

I wzajemnie, pomyślał Jake. Na głos powiedział jednak:

– Przybyliśmy... – Jak dawno temu, licząc wedle miejscowej miary czasu? „Miesiąc” niewiele znaczy, gdy wokół globu krążą trzy księżyce. – Pół roku temu – dokończył.

– Przybywacie ze świata jakiego?

– Z Ziemi. – Informacja, która niewiele mówiła.

– Gdzie?

– Daleko.

– My przybywamy ze świata oddalonego o sto lat świetlnych.

Są bardzo szczerze, pomyślał Jake. Po tym nadeszła błyskawicznie inna myśl. *Kłamią. Sto lat świetlnych to za daleko.* Nawet przy prędkości równej prędkości światła potrzebowaliby stu lat na dotarcie tutaj, i to nie licząc przyśpieszania i hamowania, aczkolwiek Karim twierdził, że są w stanie robić jedno i drugie zastraszająco szybko. Ale Karim utrzymywał także, że ich statek matka jest mały, jak więc zdołałby podtrzymać hibernację przez taki długi czas? Chyba że...

Następne słowa Badyła wybiły Jake'owi z głowy obliczenia.

– Inni Obcy niż wy tutaj z bliżej.

– Inni... inni Obcy?

– Wyglądają jak wy. Mają takie same geny.

Zwierzaki. Wszystkie dwunożne, oparte na DNA istoty są do siebie podobne...

Badył znał pojęcie „genu”. Jake nie potrafił sobie przypomnieć, czy ktoś go użył tu wczoraj, czy raczej Badyłe nasłuchiwały rozmów prowadzonych sto metrów dalej w

obozie.

Co jeszcze o nas wiedzą?

– Mają takie same geny, tak – powiedział. – Skąd pochodzą?

Szczelina w dole platformy się otworzyła. Wymknęło się z niej ramię. Jake instynktownie się cofnął, ale zaraz zmusił się do spokoju. Ramię rozlało się w płaską nieregularną plamę. I zaczęło zmieniać kolor.

– To rysunek – szepnęła Nan.

Większość plamy pociemniała. Rozrzucone w niej były jaśniejsze kropki.

– Ja nie... – zaczął Jake.

– To niebo – wyjaśniła Nan. – To samo, na które patrzysz codziennie z Zielnika.

Jake dostrzegł znajome konstelacje. Jedna z „gwiazd” zaczęła świecić na czerwono.

Badył stwierdził:

– Wrogi układ gwiazdny.

Wrogi?

– Zabijają nas – powiedział Badył. – Jak wy jednego z nas. Ale nie przestają jak wy. Zabijają nas na naszej planecie. Nie możemy rozmawiać z nimi tak jak z wami. Nie siedzą z nami w słońcu. Tylko zabijają.

– Jesteście w stanie wojny z tamtymi Obcymi. Tymi, które mają nasze geny.

– Tak. Długa wojna. Osiem tysięcy miejscowych lat.

Jake’owi zakręciło się w głowie. Opanował się i zaczął przedzierać przez gąszcz informacji.

– Dylatacja czasu... – wtrąciła Ingrid.

– Tak – zgodził się z nią Badył mechanicznym głosem. – Zabijają nas i zabijają.

– A wy zabijacie ich – zaryzykował Jake.

– Nie.

– Nie zabijacie ich?

– Nie. Wy żałujecie, że zabiliście jednego z nas.

– Bardzo, ale to bardzo żałujemy – przyznał Jake.

– Tak. Widzimy to. Siedzicie z nami w słońcu.

Ramię poczerniało i wślizgnęło się z powrotem do wnętrza platformy.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami – oznajmił Jake z przekonaniem.

– Nie jesteście – potwierdził Badył.

– Nie jesteśmy też wrogami tych innych Obcych.

– Nie jesteście.

Przynajmniej tyle zdołali ustalić. Może Mira City zachowa neutralność pośród wojny, która toczyła się między tymi dwoma potężnymi gatunkami... z tym że Zwierzaki na Zielniku żadną miarą nie wydawały się potężne.

Wojna trwająca osiem tysięcy lat?

– Tych innych Obcych – odezwała się Nan – nazywamy Zwierzakami.

– Zwierzaki – powtórzył Badył. Nie sposób było się domyślić, czy rozumie źródłosłów.

– A czy Zwierzaki tutaj, na Zielniku, też są waszymi wrogami? – zapytała Nan.

– Nie – odparł Badył. – Tak.

Ludzie popatrzyli po sobie wzajemnie.

– Zwierzaki żyjące w innym systemie gwiazdowym zabijają nas. Zwierzaki na Zielniku nie zabijają nas – wyjaśnił Badył.

– Aha – stwierdziła Nan. – Dlaczego?

– Nie mają broni – rzekł rozsądnie Badył.

– Czemu tamte Zwierzaki zostawiły te Zwierzaki na Zielniku bez broni? – zainteresował się Jake.

Tym razem to Badył zamilkł na dłuższą chwilę. Mijały minuty. Czyżby Obcy komunikowali się między sobą? Każdy Badył tkwił zasklepiony pod kopułą, ale mógł wysyłać sygnały, poruszając liśćmi czy czym tam były ich wyrostki. Pozostawało jednak pytanie, czy one widzą. Nic w ich morfologii nie przypominało oczu.

W końcu odezwał się ten sam Badył co wcześniej, najwyraźniej rzecznik wszystkich:

– Tamte Zwierzaki nie zostawiają tych Zwierzaków na Zielniku bez broni. Tamte Zwierzaki nie sprowadzają tych Zwierzaków na Zielnik. Te Zwierzaki to eksperyment genetyczny. Próba wygrania wojny. To my stworzyliśmy Zwierzaki na Zielniku.

Rozmowa trwała cały dzień. W południe Jake miał dosyć. Osiągnął stan nasycenia. George i Ingrid zadawali pytania związane z biologią, a Badył odpowiadał na nie częściowo słowami, a częściowo rysunkami ramienia. „Gadający” Badył miał niespożyte pokłady cierpliwości, tak samo jak dwa „milczące” Badyły, które tylko zmieniały pozycję, aby przez cały czas znajdować się w słońcu.

Jake wstał, czując się zeszywniały od przeciągającego się siedzenia na poszyciu.

Chciało mu się sikać. Rzekł kurtuazyjnie:

– Muszę teraz odejść. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, George, Ingrid i Nan zostaną, aby dalej z wami rozmawiać.

– Nie mamy nic przeciwko temu – odpowiedział Badył. – Będziemy rozmawiać. Ale potem usiądziemy znów wszyscy razem.

O Boże. Jake złamał protokół, wstając. Właśnie miał powiedzieć, że wróci jak najprędzej, gdy Badył mu przypomniał:

– Musisz odejść, Jake. Jesteś mobilem.

Czym?!

– Wszyscy jesteście mobilami. Jesteście wszyscy mobilami? Uważamy, że tak. Mobile muszą chodzić i biegać. W naszym świecie mobile nie mówią. Nie siedzą razem z nami. Kochamy je takimi, jakimi są. Wy, ludzie... – to George nauczył go tego słowa – ...jesteście po części mobilami, po części Badyłami.

– Tak – powiedział Jake, nad którym przyzwyczajenie wzięło górę. Zawsze przytakiwał zdecydowanym twierdzeniom, aby dopiero później przemyśleć swoje stanowisko i ewentualnie przenegocjować zgodę. Z czym właśnie się zgodził? Że ludzie są po części mobilami, a po części Badyłami?

„Kochamy je takimi, jakimi są”...

– Opowiedzcie nam o mobilach na swojej planecie – poprosił podekscytowany George.

– Nie pora na mobile – rzekł wymijająco Badył.

– W taki razie opowiedzcie nam o...

Jake się oddalił.

Gail i Lucy jednak nie wróciły do Mira City. Jake nie był w stanie ich winić. Gadatliwe Badyle były znacznie bardziej interesujące od niemych Badyli.

– Słyszaliście? – zapytał je.

– Czujniki wciąż są na swoim miejscu – odparła Gail. – Mój Boże, Jake... Co to wszystko znaczy? Wojna? Badyle stworzyły Zwierzaki na Zielniku?

– Wiem tyle samo co wy – powiedział znużony. – Będziemy musieli poczekać, aż George i Ingrid złożą fakty do kupy. I Lucy... Twoją działką jest badanie społeczeństw, z którymi nie ma bezpośredniego kontaktu.

Była to gałązka oliwna i Lucy tak właśnie to przyjęła. Nagle zrobiło mu się lżej na sercu, że nie wróciła do Mira City. Złość wczorajszego wieczora wyparowała nagle w

niespodziewanym akcie miłości pośrodku nocy, kiedy Jake już odespał najgorsze zmęczenie. Zdawał sobie sprawę, że ludzie czasem uciekają się do seksu, gdy grozi im niebezpieczeństwo, sam jednak nie miał podobnych doświadczeń. Jego własne zachowanie stanowiło dla niego zaskoczenie. Teraz Lucy uśmiechnęła się do niego, a on poczuł się uspokojony jej pełnym ciepła uśmiechem.

– Mam już pewną hipotezę, chociaż oczywiście może ona ulec modyfikacji w zależności od tego, co usłyszę dziś po południu – powiedziała. – Społeczeństwa Zwierzaków mogą być na różnym poziomie zaawansowania technologicznego z dobrego powodu... No, zaniósę coś do jedzenia naszym negocjatorom.

– Chciałbym potem zamienić z tobą kilka...

– Panie Holman! – Przerwał im Karim z poważną miną. – Czy będzie mi wolno wejść na pokład wahadłowca? Poprosi pan o pozwolenie Badyle?

Jake zapatrzył się na młodego naukowca. Każdy miał tu innego konika. Karima w ogóle nie interesowały kwestie biologiczne, którymi fascynowali się George i Ingrid, ani społeczne, które rozgrzewały wyobraźnię Lucy i Nan – fizyk nie przejmował się nawet tym, że został pochwycony w ogień krzyżowy wojny międzygwiazdnej. Intrygowała go wyłącznie fizyka Obcych i węszył za nią niczym ogar na tropie. Niewiedza była dla niego kusząca.

– Nie wiem, Karimie... Badyle nie zaproponowały nam wycieczki po swoim statku.

– Nie prosił pan o to.

– Racja. Ale uważam, że błędem byłoby naciskać na Obcych.

– Badyle wydają się chętne odpowiedzieć na każde nasze pytanie – argumentował Karim. – Do tego zdradzają nam znacznie więcej niż my im. Ma pan powody podejrzewać, że odmówią prośbie wpuszczenia na pokład wahadłowca?

Byłby z niego dobry prawnik.

– Pozwól, że to sobie przemyślę – powiedział Jake. Karim odszedł z nieszczęśliwą miną. – Lucy, gdzie są porucznik Mueller i doktor Shipley?

Jej ładna szczupła twarz spoważniała.

– Na spacerze. Franz nie może dojść do ładu z tym, co zrobił Scherer, Halberg i on sam. Doktor Shipley przebadał ponownie jego płyn mózgowo-rdzeniowy, po czym oznajmił, że wybierają się na spacer.

– Miejmy nadzieję, że Mueller nie zastrzeli Shipleya – wtrąciła Gail z goryczą.

Jake domyślał się, skąd ta gorycz – Gail sama nie mogła dojść do ładu ze wszystkim tym, co się stało. Osobiście razem z Jakiem zatrudniła szwajcarskich żołnierzy. Jemu też to nie dawało spokoju.

– Jakim cudem przeszli przez sito badań wstępnych? – zapytał ją teraz. – Rozmawiałaś o tym z Nan Frayne?

Gail pogodziła się z implikacją, którą zawarł w swoim pytaniu. Lucy oddaliła się taktownie poza zasięg słuchu.

– Doktor Shipley miał rację. Scherer zaaranżował wszystko tak, żeby przekładańcy przeszli modyfikację już po badaniach, a przed opuszczeniem Ziemi. Oczywiście klony przygotowali sobie zawczasu. Mueller i Josef Gluck, najmłodszy z nich, byli ledwie nastolatkami. Scherer służył jeszcze pod rozkazami ich ojców. To był spisek wielogeneracyjny.

– Kto to finansował? – zapytał Jake.

– Tego Nan nie wie. Skądkolwiek pochodziły pieniądze, Scherer wykonał kawał dobrej roboty, tuszując ślady. Jeśli mam być szczerą, nie przypuszczałam, że w dobie przekazów kwantowych można ukryć jakąkolwiek fortunę.

Och, można, pomyślał Jake, uważając, aby nie zdradził go wyraz twarzy.

– Jak Nan to wszystko odkryła?

Gail uciekła wzrokiem.

– W więzieniu. Dzięki przypadkowemu spotkaniu. Nasza Nan ma bogatą przeszłość.

– Gail... jesteś pewna, że wiesz, co robisz, wiążąc się z nią?

– Oczywiście, że nie wiem, co robię – odwarknęła Gail. – Co ci w ogóle przyszło do głowy, żeby o to pytać? Nikt z nas nie wie, co robi. Otaczają nas Obcy na obcej planecie, a my staramy się tylko przeżyć. À propos, Thekla napotkała jakiś problem przy uprawie pszenicy modyfikowanej genetycznie. Chce z tobą rozmawiać.

Jake stwierdził, że z przyjemnością skontaktuje się z Theklą w Mira City. Przez to sprawy wydawały się nieomal normalne.

Nieomal.

Shipley wrócił ze spaceru z Franzem Muellerem bardziej zaniepokojony, niż wyruszył. Żołnierz upierał się, aby trzymać broń w pogotowiu i nie tracić z oczu grupy przy wahadłowcu. W rezultacie zatoczyli duże półkole, a Franz więcej uwagi poświęcał Obcym niż rozmowie.

Skupił się na słowach Shipleya, gdy ten powiedział:

– Tak naprawdę nie chciałeś mieć wszczepionych organów klona, prawda?

– Właśnie że chciałem! – nieomal krzyknął Franz. Moment później zamarł. – Kapitan Scherer przygotował dla mnie klon, kiedy miałem dziewiętnaście czy dwadzieścia lat. Zrobił to razem z moim ojcem, który dowodził oddziałem kapitana Scherera. Kapitan Scherer uratował mojemu ojcu życie w trakcie walk o Rio de Janeiro... Pamięta pan walki o Rio de Janeiro?

– Czytałem o nich – odparł Shipley. W Rio de Janeiro wybuchły zamieszki spowodowane brakiem żywności, bardzo gwałtowne i brutalne, jak to miejskie bunty. Shipley czytał o tych walkach z ciężkim sercem i nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak to było brać w nich udział.

Tymczasem Mueller kontynuował:

– Zawarli *Blutpakt*. Wszyscy, którzy przeżyli, zawarli *Blutpakt*.

Shipley skinął głową. Było to bardzo powszechne działanie na Ziemi, którą opuścił *Ariel*. Sam akt nazywano w języku niemieckim, włoskim, bantu czy chińskim, a szczegóły mogły się różnić, jednakże zawsze chodziło o to samo. W wyalienowanym stuleciu, przy globalizacji, która wykluczała silne więzi rodzinne i religijne, pakt krwi oznaczał absolutną lojalność. Ci, którzy go zawarli, mogli liczyć na pomoc, ochronę, towarzystwo, ciągłość – bez względu na to, co innego wydarzyło się w ich życiu. Mieszkali blisko siebie, dbali o siebie nawzajem. Przypominali prawdziwą społeczność: to, czym powinna być i czym zapewne kiedyś była.

Czy spotkanie religijne Nowych Kwaków jest łagodniejszą wersją paktu krwi, scementowaną innymi środkami?

Nie. Członkowie spotkania religijnego nie tworzyli, hodowali i mordowali niewinnych sklonowanych istot, by je wykorzystać do przedłużenia czyjegoś życia.

– Franz... *Blutpakt* można zawrzeć, niekoniecznie stając się przekładańcem.

Żołnierz nie odpowiedział. Nie spuszczał oka z wahadłowca.

– Czujesz się okropnie z powodu zastrzelenia kapitana Scherera – podjął Shipley. – Nie masz podobnych odczuć w związku z zamordowaniem swojego kлона?

– Nie. Klon to nie człowiek, tylko klon. Doktorze, *entschuldigen Sie*, ale nie jest pan księdzem. W dzieciństwie byłem katolikiem, teraz już nim nie jestem. A pan nie jest księdzem.

Była to prawda. Shipley zaproponował ten spacer, aby sprawdzić, czy zdoła polepszyć Franzowi nastrój, zmniejszyć jego poczucie winy. Gdzieś po drodze musiał zjechać z obranego kursu. Jednakże widziany oczami wyobraźni obraz nastoletniego Franza Muellera, który ślini się i uśmiecha, a następnie jest przywiązany pasami do stołu i wybebeszony dla swoich organów... obraz ten sprawił, że Shipley zadrżał. Najwyraźniej jednak nie miał podobnego wpływu na Franza.

– Franz... jako lekarz muszę zadać ci kilka pytań.

– Proszę pytać.

Shipley zadał kolejno kilka podchwytliwych pytań opracowanych po to, by oszacować zarówno czyjś stan fizyczny stan, jak i umysłowy. Skończywszy, nie był wiele mądrzejszy niż przedtem. Franz nie sypiał dobrze, ale kto mógł to o sobie powiedzieć? Był nerwowy, zdawał się podatny na huśtawkę nastrojów, obawiał się przyszłości i zwyczajnie bał się Badyli. Zarazem nie sprawiał wrażenia człowieka, który cierpi na depresję, urojenia, paranoję, manię czy schizofrenię. Po prostu był bezdusznym, zdezorientowanym wytworem bezdusznej, zdezorientowanej ery, do tego rzuconym w sam środek sytuacji, która zbiłaby z tropu Buddę. Albo niegdysiejszego George'a Foxa.

Obecny George Fox zdawał się najmniej zdezorientowaną osobą w całym obozie. Pojawił się po południu, ciągnąc za sobą na sznurkach brzęczące manierki niczym psy roboty.

– Karim! Gdzie jest Karim, doktorze?

– W latrynie, jak mi się zdaje.

– Badyłe pozwoliły mu wejść na pokład wahadłowca!

Stojący obok lekarza Franz Mueller stężał.

– Ja też pójdę.

– Nie – rzucił Jake.

W pierwszej chwili Shipley pomyślał, że Jake zabrania Karimowi wstępu na pokład

obcej jednostki. Jednakże on zwracał się tylko do Franza.

– Żadnej broni na pokładzie wahadłowca ani w pobliżu Badyli. Są wobec nas przyjazne i chcemy, żeby takie pozostały.

– Z całym należnym szacunkiem, panie Holman – odezwał się znowu Franz – ale one tylko wydają się przyjazne.

– Pozory na razie wystarczą. Żadnej broni – powtórzył Jake.

– Będę mógł pójść, jeśli zostawię broń?

Shipley zauważył wahanie Jake'a, który odwrócił się do niego z pytaniem:

– Jak pan uważa, doktorze?

– Franz nie wykazuje objawów nierównowagi psychicznej – odpowiedział. Pomyślał przy tym, że szeregowy Mueller jest osobnikiem na tyle udoskonalonym, iż bez trudu narobi szkody nawet z pustymi rękami. *Nie pozwól mu, Jake.*

– Zgoda, pod warunkiem że zostawisz wszystką broń tutaj. I że nie wejdiesz na pokład z doktorem Madżubem.

– *Ja* – obiecał uroczyście Franz.

Shipley odprowadzał wzrokiem obu mężczyzn zmierzających w stronę wahadłowca. W purpurowym poszyciu zdążyło powstać coś w rodzaju ścieżki. Stojąca za jego plecami Lucy Lasky odezwała się znienacka:

– Czuć w powietrzu stan zawieszenia, prawda? Zupełnie jakbyśmy pochylali się nad... nad ogromną szachownicą, nie wiedząc, jaki ruch wykonać.

Raczej nad przepaścią, pomyślał Shipley. Nie powiedział jednak tego na głos. Przyglądał się powiększającej się grupie ludzi przy wahadłowcu. Karim i Franz zdążyli dołączyć do George'a, Ingrid i Naomi. Shipley żałował, że nie może sobie pozwolić na chwilę wewnętrznego milczenia, spokoju i ciszy.

W której nad niczym by się nie pochylał.

Gdy o zmroku Badyli wróciły na pokład statku, Karim podzielił się z resztą swoim odkryciem.

– Nie jest ich.

W pierwszej chwili usłyszał go tylko Shipley. George dalej się rozwodził nad właściwościami ramienia, a Ingrid co rusz dorzucała swoje trzy grosze.

– Co nie jest ich? – zapytał Shipley.

– Wahadłowiec – odparł Karim, podnosząc głos. – Wahadłowiec nie jest ich. Nie jest Badyli.

Jake odwrócił się powoli w stronę Karima.

– W takim razie czy jest? – zainteresował się Shipley.

Karim wzruszył ramionami.

– Tego nie umiem powiedzieć. Skąd miałbym wiedzieć? Ale wewnątrz nie jest przystosowane do nich. Na pokładzie są siedzenia, które wyrastają z ziemi i nie dają się ruszyć. Na co Badylom siedzenia? Do tego konsola sterująca znajduje się jak dla nich za wysoko. Dobudowały stopień, żeby do niej sięgnąć, tak samo jak coś w rodzaju stojaków dla platform, ale jedno i drugie to modyfikacje, co poznać po innych materiałach.

Zdążył przykuć uwagę wszystkich obecnych.

– Całe wewnątrz, z wyjątkiem konsoli, pokrywa warstwa śluzu. Silnika oczywiście nie obejrzałem, ale z tego, co zdołałem się domyślić na jego temat, wynika, że też nie pasuje do Badyli.

– Jak wyglądają te siedzenia? – zapytał nagłaco George.

Karim wykonał nieokreślony gest rękami.

– Chodziło mi o to – George wyrzucał z siebie pośpiesznie słowa – czy zdają się zaprojektowane dla istoty dwunożnej, niższej od ludzi i z potężnym ogonem.

Shipley natychmiast się domyślił, do czego zmierza George. Zakręciło mu się od tego w głowie.

– Tak! – odparł Karim. – Nie dostrzegłem tego od razu, ale teraz widzę, że nadawałyby się idealnie dla Zwierzaków! Podobnie jak konsola sterująca... Czyli to jest statek Zwierzaków!

– Raczej był – poprawiła go Ingrid.

Shipley zerknął na Naomi. Jego córka stała nieruchomo, ale wyczuwał w niej konflikt wewnętrzny. Broniała Zwierzaków. Fascynowała się Badydami. Obie rasy były w stanie wojny, a Badyłe najprawdopodobniej przejęły statek Zwierzaków, aczkolwiek nie tych mieszkających na Zielniku.

Wbiła w niego wzrok i – zupełnie jakby wojna międzygwiazdna była jego winą – warknęła:

– Odczep się ode mnie!

Nie uczynił żadnego ruchu. Widząc to, przeszła na drugą stronę George'a, który był tak

zaabsorbowany snuciem teorii, że nie zauważył spięcia ojca z córką.

– Jeśli Badyle mówią prawdę – podjął George – prowadzą wojnę ze Zwierzakami od tysiącleci. Karimie, dobrze mówię, że dylatacja czasu przy dużym ułamku prędkości światła by to umożliwiała? Zwłaszcza że dysponują tym napędem, o którym wspominałeś, jakże on się nazywa...

– Napęd McAndrew – podsunął Karim. – Tak, ten napęd umożliwia bardzo szybkie przyspieszanie i hamowanie, dzięki czemu czas pokładowy byłby niezwykle krótki w porównaniu z czasem upływającym na obu planetach. Czy na Zielniku.

– Zatem Badyle dysponują biotechnologią – kontynuował George – a Zwierzaki technologią opartą na fizyce. Ten wahadłowiec jest jej przejawem. Skoro zaś prowadzą ze sobą wojnę... – Nie dokończył, jakby zabrakło mu konceptu.

– W historii nie było przypadku, żeby późniejsza technologia zwyciężała bardziej rozwiniętą przez dłuższy czas.

– Ale która jest tutaj „bardziej rozwinięta”? – zapytała Ingrid. – Oparta na biologii czy na fizyce? Brak nam informacji na temat obu, aby powiedzieć coś stanowczo.

– Wiele zależy też od tego – wtrącił cicho Shipley – co rozumiemy przez „późniejsza” i „zwycięzać”.

Karim chciał coś powiedzieć, jednakże Ingrid go ubiegła:

– Badyle twierdzą, że stworzyły Zwierzaki na Zielniku. Coś mi mówi, że one traktują to dosłownie. Stworzyły kilka grup Zwierzków w różnych koloniach i...

– Jak ktoś mógłby – zapytała rozzłoszczona Naomi – „stworzyć” dorosłe osobniki gatunku, który nawet nie jest oparty na tym samym materiale genetycznym?

Ingrid zignorowała jej słowa, ponieważ nie padły z ust naukowca.

– ...i zmodyfikowały te kolonie. Jedną tworzą osobniki pozbawione ciekawości i mające trudności z adaptacją. Drugą osobniki pozostające w permanentnym stanie odurzenia. Trzecią, mówię tu o tych na terytorium Czejenów, sama nie wiem, może...

– No dobrze – podsumowała Lucy. – Mamy do czynienia z eksperymentem kontrolowanym. Ale czemu on ma służyć?

– Znalezieniu broni biologicznej, która by obezwładniła Zwierzaki na rodzimej planecie.

– A także... – dodał Karim, jednakże Naomi wpadła mu w słowo.

– Bzdura. Czy nie lepiej byłoby po prostu wybić Zwierzaki w domu?

Przez chwilę nikt się nie odzywał. W końcu Shipley powiedział ze znużeniem w głosie:

– Badyłe nie uznają zabijania.

Córka napadła na niego:

– Badyłe to nie pieprzeni Nowi Kwakrzy, tato! Nie mieszaj do tego swojej anachronicznej religii!

– Doktor Shipley ma rację – poparł lekarza Jake. – Przyjrzyjcie się faktom. Wysadziliśmy statek Badyli. Nie odpowiedziały odwetem. Zabiliśmy pierwszego Obcego, który opuścił wahadłowiec. Nic nam nie zrobiły.

– Nie wiemy nawet, czy dysponują jakąś bronią – zauważyła Ingrid.

– Dysponują – powiedział Karim. – One...

George nie pozwolił mu skończyć.

– Nie znam gatunku, który nie rozwinął jakichś sposobów obrony – rzekł. – Najprostszym jest ucieczka. Oczywiście mówię o ziemskich stworzeniach, gdy tymczasem mamy do czynienia z Obcymi. Aczkolwiek mechanizmy obronne u roślin...

– Wciąż nie daje mi spokoju myśl, że Badyłe stworzyły społeczeństwo dorosłych Zwierzaków, i to bez...

– Posłuchacie mnie wreszcie czy nie?! – wydarł się Karim.

Zebrani wpatrzyli się w niego szeroko otwartymi oczami. Karim, uprzejmy młody arabski naukowiec, nigdy nie podnosił głosu.

– Usiłuję wam coś powiedzieć. Badyłe poinformowały mnie na pokładzie wahadłowca, że jutro zamierzają złożyć wizytę Zwierzakom na Zielniku. Zapraszają nas na wspólną inspekcję. Są chętne wyjaśnić nam, co takiego tutaj robią. Tak myślę. W końcu odpowiedziały na wszystkie nasze wcześniejsze pytania. Wystarczy, że zapytamy.

Obce roślinne społeczeństwo, które nie uznaje przemocy.

Tak przedstawił to Jake’owi doktor Shipley. Ale nie była to do końca prawda. Jeśli hipotezy wysunięte podczas wieczornej narady były choć po części słuszne, to – przynajmniej zdaniem Shipleya – Badyłe stosowały przemoc nie mniejszą od przekładańców, którzy poddawali geny manipulacji, aby stworzyć rezerwuar części zamiennych. Badyłe zaś manipulowały przy genomie, ażeby znaleźć sposób na zniszczenie mózgów wroga, czyniąc go tak biernym, że nie był w stanie o siebie zadbać. Czy można to nazwać niestosowaniem przemocy?

Shipley miał kłopoty z zaśnięciem. Wyślizgnął się z namiotu po północy, a przed świtem,

nie budząc pozostałych, którzy chrapali głośno znużeni wielogodzinną rozmową. Wartość pełniła Lucy Lasky. Skinęła mu głową, ale o nic nie zapytała, za co był jej wdzięczny. Na jej miejscu Gail bądź Ingrid kazałyby mu wracać do łóżka, zostać w obozie albo przynajmniej tam, gdzie nawet we śnie byłby otoczony przez ludzkie hałasy. Rozmowy. Chrapanie. Krzyki przez sen spowodowane przez koszmary, o których Shipley nie chciał nawet wiedzieć.

Oddalił się od obozu, unikając zarówno wahadłowca, jak i mniejszego namiotu zajmowanego przez Naomi i Gail. Nie było całkiem ciemno; na czystym niebie świeciły dwa księżycy i miriady gwiazd, a boja nadawcza błyskała ze szczytu wieży, przyzywając Badyle, które pozostały na statku matce. Aczkolwiek Karim stwierdził, że jednostka jest mała jak na statek międzygwiazdny z kapsułą sterującą z rury umieszczonej nad dyskiem dużej gęstości, bardzo możliwe więc, że te cztery – a obecnie już tylko trzy – Badyle były jedynymi pasażerami statku matki.

Shipley nie chciał myśleć o tym, co powiedział Karim, co powiedział ktokolwiek z nich. Pragnął wewnętrznego milczenia.

Purpurowe poszycie, które w świetle księżyców nabrało upiornej srebrzystej poświaty, ciągnęło się równo we wszystkich kierunkach, bez żadnych gładów czy kłód. Shipley niósł dmuchany stołek, tak lekki, że praktycznie nie zauważał jego ciężaru, a jednocześnie wystarczająco solidny, aby wytrzymał masę jego ciała. Wybrawszy miejsce, nadmuchał stołek i usiadł ciężko z twarzą zwróconą w stronę przeciwną niż obóz. W poszyciu śmignęło jakieś drobne stworzenie. Zignorował je, buty miał praktycznie nie do zderzenia. Owiewało go słodkie nocne powietrze Zielnika.

Prawda, prostota, milczenie, sumienie – takie były zasady Nowych Kwaków. „Prawda was wyzwoli”^[*] – powiada Biblia, i słusznie. Prawda uwalnia człowieka od kłamstwa, bezsensu, pustki, egocentryzmu. Prawda jest najlepszą częścią każdej osoby, jej wewnętrznym światłem, które może się przedzierzgnąć w radość. Nowi Kwakrzy opuścili Ziemię, ponieważ na całej planecie nie było ani jednego społeczeństwa, które by od prawdy nie ceniło wyżej oszustwa i cynizmu, przekrętu i popularności.

Dlaczego więc przychodziło mu z takim trudem wsłuchanie się w wewnętrzną prawdę?

Badyle z rozmysłem nie skorzystały z okazji do wzięcia odwetu na ludziach za pozbawienie życia jednego z nich. Na tyle, na ile był to w stanie ocenić Shipley, odpowiedziały szczerze i chętnie na wszystkie pytania naukowców. Równie jasno jak

każdy kwakier w historii pokazały, że da się zareagować brakiem przemocy na agresję, tym samym przedzierzgając agresorów w sojuszników. Zupełnie jakby Badyle знаły słowa George'a Foxa sprzed sześciuset lat: „Unikać wojny”. Shipley nie znał bardziej dosadnego świadectwa pokoju niż to, które zaoferowały ludziom te dziwne obce istoty.

A jednak prowadziły wojnę ze Zwierzakami. Czyżby Badyle nie zaoferowały Zwierzakom tego samego świadectwa pokoju, które zaoferowały ludziom? Może tak się stało, z tym że Zwierzaki nie odpowiedziały we właściwy sposób, potęgując agresję. Shipley potrafił sobie to wyobrazić, jeśli kosmiczne Zwierzaki przypominały te, na które natknęła się Naomi na terytorium Czejenów.

Prawdziwie pokojowe stworzenia nie wzięłyby odwetu, nawet gdyby oznaczało to śmierć. Już lepsza jest śmierć od współudziału w złych uczynkach. Najwyraźniej jednak Badyle zareagowały inaczej. Sprowadziły próbki DNA Zwierzaków bądź ich embriony czy coś jeszcze innego na tę odległą planetę, gdzie metodą inżynierii genetycznej stworzyły rozliczne kolonie i zaczęły na nich eksperymentować, wykorzystując żywe istoty z takim samym wyrachowanym brakiem szacunku, jaki Franz Mueller miał dla swojego zamordowanego klona.

Ale czy cokolwiek z tego było prawdą? Przecież wszystko zasadało się na słowie Badyli – o ile „słowo” w tym wypadku to właściwe określenie – powiązaniem z hipotezami George'a, Ingrid i Lucy.

Z drugiej strony teoria ta pasowała do brzytwy Ockhama: stanowiła najprostsze wyjaśnienie, które zgadzało się z zaobserwowanymi faktami.

Najprostsze? Prowadzony przez rośliny eksperyment kontrolowany, będący straszliwą eugeniką w najczystszej postaci, miałyby być najprostszym wyjaśnieniem?

Shipley przyłożył dłoń do piersi. Ostatnimi czasy zauważył, że jego serce bije nierówno pomimo mechanicznego stymulatora. Nie robiło tego na Ziemi siedem lat temu, siedemdziesiąt lat temu. Przykleił sobie na szyi jeszcze jeden plaster, dzięki czemu jego klatka piersiowa się uspokoiła. Jakkolwiek na to patrzeć, żaden organ nie działa wiecznie, i to bez względu na to, jak człowiek stara się go zakonserwować. Co najwyżej można go zastąpić, tak jak Franz Mueller zastąpił...

Bezproduktywnie kręcił się w kółko. Dlatego wygłuszył myśli i otworzył się na nocną ciszę. Stopniowo uspokoił pobudzony umysł. Siedział tak przez dłuższy czas, aż mu zdrętwiały nogi i bladym świtem pojawiła się prawda.

Nie była to jakaś wielka prawda. Ani Światło rozjaśniające sprawę Badyli, Zwierzaków, Naomi czy Franza. Jednakże Shipley był wdzięczny za tę prawdę, która na niego spłynęła, ponieważ zrozumiał, co powinien zrobić. A nie ma większego błogosławieństwa, aniżeli czuć pewność, że postępuje się właściwie.

Naszło go przekonanie, że powinien udać się z Badyłami do kolonii Zwierzaków. Będzie tam potrzebny. Nie wiedział do czego, ale czuł, że będzie potrzebny. Jego rola w tym – czymkolwiek było owo „to” – jeszcze się nie skończyła.

Uspokojony Shipley podźwignął się na nogi. Przeciągnął się, słysząc, jak mu strzelają stare kości, po czym ruszył z powrotem do obozu.

[*] Ewangelia według św. Jana 8,32, Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pismo Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych; oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy Benedyktynów Tynieckich, Poznań 2008.

– Jesteś niesprawiedliwa względem swojego ojca – powiedziała Gail i zaraz tego pożałowała. Teraz czeka je kolejna kłótnia, choć kłóciły się już w minionych dwóch dniach. Żadna z nich nie należała do osób, które kładą uszy po sobie.

Jednakże Nan tylko przewróciła się na brzuch i rzekła:

– Pozwól, że opowiem ci historię z czasów mojego dzieciństwa.

Gail zmrużyła oczy w półmroku. Było trochę po północy, ale że w szczycie namiotu zostawiły otwartą przezroczystą klapkę, do środka przedostawało się zimne światło gwiazd, zalewając wszystko srebrzystym blaskiem. Gail, która zdążyła stracić ciepło towarzyszące seksowi, leżała zawinięta w koc. Nan nigdy nie marzyła ani się nie przegrzewała, ani nie głodniała, ani się nie męczyła, leżała więc naga, eksponując szczupłą pupę w postaci niewielkiego wzgórka na długim gładkim ciele. Gail widziała więc jej blizny, starsze i nowsze, którym Nan poświęcała równie mało uwagi jak czynnościom fizjologicznym, nie licząc seksu.

– Kiedy miałam osiem albo dziewięć lat – zaczęła opowiadać Nan – zapragnęłam mieć kota. Ale nie pierwszego z brzegu, tylko takiego modyfikowanego genetycznie, z holoreklamy. Moja matka zmarła kilka miesięcy wcześniej, więc naprawdę zależało mi na tym kocie. Był jasnoniebieski, miał wielkie srebrne oczy, uszy duże jak u słonia i potrafił mówić. Oczywiście nie tak na serio. Po prostu miał wbudowany program audio, który reagował na różne napięcie strun głosowych, kiedy więc mruczał zadowolony, jednocześnie rozlegały się słowa „Jestem taki szczęśliwy” czy coś równie głupiego.

– Pamiętam je – wtrąciła Gail. Osobiście uważała je za ohydne, no ale kiedy Nan była ośmio-, dziewięciolatką, Gail miała dwadzieścia osiem czy dwadzieścia dziewięć lat.

– Chciałam go całą sobą. I usiłowałam zmiękczyć ojca. Gadałam o kocie przy śniadaniu. Gadałam o kocie przy lunchu. Gadałam o kocie przy obiedzie. Stawałam pod drzwiami łazienki, kiedy robił siku, i wrzeszczałam do niego o kocie. Przesyłałam mu e-mailem hologramy kota. Nie odpuszczałam.

Gail z łatwością przyszło w to uwierzyć.

– Najdziwniejsze jest to, że było mnie stać na tego cholernego kota. Miałam pieniądze od babci, która obdarowywała mnie przez lata, nabierało się tego sporo na moim koncie bankowym. Ale chciałam, żeby to ojciec dał mi kota. Przyznając, że wie, jak bardzo mi na

nim zależy, albo pochwalając moje pragnienie czy coś w tym stylu.

Pokazując, że cię kocha, pomyślała Gail. Położyła rękę na nagiej pupie Nan, która nawet tego nie zauważyła.

– Ale on mi go nie kupił. Zamiast to zrobić, usadził mnie i gadał cicho o prostocie, braku przemocy i o prawdzie tkwiącej w tym, aby pozwolić stworzeniom być takimi, jakimi stworzyła je natura, a nie zmieniać im geny przez próżność i egocentryzm ludzi. Mówił tak w nieskończoność, nie tracąc cierpliwości ani humoru. A ja coraz bardziej chciałam dostać tego kota. Wymalowałam sprejem rysunek kota na drzwiach jego gabinetu. Urządzałam sceny w miejscach publicznych. Nawet naszkicowałam zarys kota na jego pościeli za pomocą własnej... kupy.

O mój Boże, pomyślała Gail. *Biedny doktor Shipley*.

– Im bardziej na niego naciskałam, tym łagodniej mi tłumaczył swój punkt widzenia, ciągał mnie na spotkania religijne i robił inne głupie rzeczy, na przykład czytał mi historyjki przed snem. Ja jednak nie przestawałam domagać się kota.

– To było przeciąganie liny.

– Możesz się założyć o swoje utalentowane palce... W końcu pewnego dnia pojawił się w domu z kociakiem. Nie z moim wymarzonym zmodyfikowanym genetycznie kotem, tylko ze zwykłym wielkookim, ślicznym do zrzygania pręgusem. To miało mnie uspokoić. Wiesz, co robiłam?

– Co? – zapytała Gail, wiedząc, że odpowiedź jej się nie spodoba.

– Wybrałam pieniądze z banku i wzięłam kociaka do warsztatu genetycznego w rezerwacie Indian. Tam były legalne, bo technicznie biorąc, nie znajdowały się na amerykańskiej ziemi, i...

– Wiem – wtrąciła Gail. – Opowiadaj dalej.

Nan przewróciła się na wznak, strząsając rękę Gail, i przez klapkę zapatrzyła się na gwiazdy.

– Oczywiście nie mogłam przemienić kociaka w modyfikowanego genetycznie kota, jakiego chciałam mieć. Niemniej kazałam mu wszczepić geny fluorescencji, dzięki czemu jego skóra lśniła na niebiesko. Kazałam mu dołożyć hormonów wzrostu, które wydłużyły jego uszy. Kazałam... kazałam zrobić z nim masę innych rzeczy. Po wszystkim wróciłam z kociakiem do domu i pokazałam go ojcu. „Widzisz?”, powiedziałam. „Mam zmodyfikowanego genetycznie kota. Z tym że wszystko, co kazałam mu zrobić, zabije go w

ciągu miesiąca albo dwóch”.

– Nan...

– Nie rozczulaj się nade mną, Gail. Ani na mnie nie krzycz. Wystarczająco sama się ukarałam. Nienawidziłam się za to, co zrobiłam. Ale nie na tyle, by tego nie zrobić. Byle tylko dopiec ojcu. Jeszcze bardziej jednak nienawidziłam jego reakcji.

– To znaczy? – zapytała Gail. Jake czasem zarzucał jej brak wyobraźni.

– Tato się rozpłakał. Oddał kociaka do uśpienia, zanim zaczął cierpieć, i płakał po nim. I z mojego powodu też. Ale ani mnie nie skrzyczał, ani nie ukarał, nie powiedział mi nawet, jaka wstrętna ze mnie gówniara.

W głosie Nan pobrzmiwała tłumiona furia, co zdumiało Gail. Nie odzywała się, czekając.

– Nie rozumiesz? – wybuchnęła Nan. – Jego zdaniem nie byłam warta gniewu! Spisał mnie na straty jako złą na wskroś, poniżej jego gniewu czy pogardy, dlatego mi ich w ogóle nie okazał! Ten drań przekreślił mnie jako przypadek beznadziejny!

Gail leżała w milczeniu. Domyślała się, że żadne słowa tutaj nie pomogą, mimo to postanowiła je wypowiedzieć.

– Nan, jego zachowanie można też interpretować inaczej...

– Nie możesz się powstrzymać, aby go nie bronić, co?

– Daj spokój. Przecież wiesz, że walczę z jego pomysłami szesnaście razy dziennie. Zdaję sobie jednak sprawę, że wszyscy rodzice popełniają błędy. Dlatego właśnie bardzo mnie cieszy, że nigdy nie chciałam mieć dzieci.

– Ja też nie – powiedziała Nan, najwyraźniej tracąc zainteresowanie tematem. – Naprawdę wracasz jutro do Mira City?

– Tak.

– Ta cała sytuacja tutaj cię nie ciekawi, co? Dwie rasy Obcych, wojna międzygwiezdna...

– Hipotetyczna wojna międzygwiezdna – sprostowała Gail. – Boże, to zakrawa na streszczenie kiepskiego holofilmu. Ale tak, niespecjalnie mnie ciekawi. Domyślałam się, że trudno ci to zrozumieć, skoro dla ciebie ta zagadka jest fascynująca. Mnie fascynuje organizowanie życia w Mira City. Rozwiązywanie codziennych zagadek, takich jak dostawy wody i odprowadzanie ścieków, wznoszenie budynków, rozwijanie sądownictwa i adaptowanie upraw do warunków panujących na Zielniku. Co mam do dyspozycji? Jak to

najlepiej wykorzystać? Co jeszcze jest mi potrzebne i skąd to wziąć?

Ku jej zdziwieniu Nan skinęła głową.

– Rozumiem to. W pewnym sensie. Przynajmniej w twoim wypadku.

Gail się uśmiechnęła.

– Łaskawe ustępstwo. Nie jesteśmy do siebie zbyt podobne, kochana.

– W ogóle nie jesteśmy do siebie podobne.

– Dlaczego więc...

– O Boże, tylko nie to – jęknęła Nan. – Każda kochanka, którą mam, kiedyś w końcu zadaje to pytanie. „Dlaczego my?”. A dlaczego nie? Nie zrozum mnie źle, nie chodzi o to, że to przygoda tylko na jedną noc. Lubię cię. Po prostu nie chcę się zastanawiać dlaczego. Zadaj mi inne pytanie.

– Zgoda – rzekła zadziornie Gail. – Skąd wiesz, że Lahiri zarzucała mi pychę? Skąd w ogóle wiesz o Lahiri?

– Ktoś słyszał, jak raz Jake mówił o niej do ciebie. Co do pychy, po prostu się domyśliłam.

– Brawo. Proszę jednak, żebyś więcej o niej nie wspominała.

– W porządku. Teraz moja kolej. Dlaczego zostałam współpracowniczką takiego lepkiego kutasa jak Jake?

– Nie mam pojęcia, czy jego kutas jest lepki, skoro nigdy go nie widziałam – odparła rozsądnie Gail, doprowadzając tym Nan do chichotków. – Mimo wszystko lubię Jake’a. Wyłożył swoją część pieniędzy i wykonuje swoją część roboty, i to nie najgorzej.

– Jego robota polega na manipulowaniu ludźmi – zauważyła Nan.

– I kto to mówi.

Nan wyszczerzyła się do niej. Gail wyraźnie dostrzegła jej przewrotny uśmieszek. Na zewnątrz już chyba jaśniało. Po chwili Nan spoważniała.

– Jake’a coś gnębi.

– Naprawdę? Co takiego?

– Właśnie to mi się w tobie podoba – powiedziała Nan, uśmiechając się ponownie. – Nie widzisz w ludziach nic skomplikowanego. Nie mam pojęcia, co gryzie Jake’a. I jest mi to obojętne. Gail, nie wracaj jutro do Mira City. Miasto jakoś sobie bez ciebie poradzi przez dzień czy dwa. Pojedź ze mną do kolonii Zwierzaków razem z Badyłami.

Gail zrobiło się cieplej na sercu. Nan porzuciła sarkazm, wieczną szermierkę i próbę

dotknięcia przeciwnika, zanim on to zrobi. Prosiła tak otwarcie i prosto, jakby były kochankami od lat.

– Mira City chyba faktycznie może zaczekać jeszcze jeden dzień. Ale...

Gdy Nan pochyliła się ku niej, żeby ją pocałować, Gail zapomniała, co chciała powiedzieć. *Ta pokiereszowana, bezbronna, skomplikowana, nieustępliwa, niewiarygodna dziewczyna...* Gail zdążyła już stracić nadzieję, że kiedykolwiek znowu to poczuje. Warto było dla tego zapomnieć o dziennych dostawach wody i odprowadzaniu ścieków.

Nazajutrz nie była już tego taka pewna. George, który albo świetnie spał, albo nie potrzebował snu, obudził wszystkich długo przed świtem.

– Zjedzmy coś i spakujmy się, aby czekać na Badyle i ruszyć z nimi, gdy tylko będą gotowe.

– Ruszyć dokąd, George? – zapytała zrzędliwie Gail. – Czy ci twoi Obcy przedstawili jakąś trasę?

– Zapytam ich, gdy wstaną – odparł. – Tymczasem pracowałem nad pewną teorią... Ale opowiem o niej komu innemu – dodał, spoglądając na jej twarz.

– Dobry pomysł.

Lucy, kolejna osoba, której najwyraźniej nie przeszkadzała wczesna godzina, rozlewała gorącą papkę, syntetyczną soję wzbogaconą składnikami odżywczymi, bogatą w błonnik i całkiem dobrą w smaku. Gail wzięła sobie miskę i poprosiła dodatkowo o kawę. Spożyła posiłek na stojąco, drżąc lekko w porannym chłódzie i oceniając kondycję pozostałych.

Doktor Shipley wyglądał okropnie, jakby w ogóle nie spał. Niezdarnie pomagał Muellerowi wynosić sprzęt z wieży, którą niebawem mieli porzucić. Zamierzali zostawić boję włączoną, na wypadek gdyby Badyle ze statku matki – zakładając, że jakieś tam w ogóle są – zechciały przylecieć na powierzchnię. Ingrid i Karim zwijali większy namiot, podczas gdy Nan zajmowała się mniejszym. Wszyscy mieli coś do roboty z wyjątkiem Jake'a, którego nie było nigdzie w pobliżu. Gail zobaczyła go dopiero wtedy, gdy wyłonił się zza jej pleców.

– Właśnie rozmawiałem z Fajsalem i...

– To on już wstał?

– Zdążył nawet zrobić poranną przebieżkę. Nie każdy jest takim lelum polelum jak ty,

Gail.

– Hmmm – mruknęła, czując się nazbyt otępiała, aby się wykłócać.

– Fajsal powiedział, że w Mira City wszystko toczy się gładko. Nie jesteśmy tam potrzebni do szczęścia.

– Nie wydajesz się tym zachwycony – skomentowała Gail.

Jake wzruszył ramionami.

– Nikt nie jest niezastąpiony, chociaż niektórzy lubią tak o sobie myśleć. W każdym razie decyzje już zapadły. Wreszcie. Chciałem, żeby Mueller wrócił łazikiem i oddał się pod rozkazy porucznik Wortz, ale on odmówił. Tak więc...

Gail omal się nie udławiła kawą.

– Odmówił? Od kiedy to nasi ludzie mają ostatnie słowo?

Jake popatrzył na nią z powagą.

– Od nigdy. Rozmawiałem z doktorem Shipleyem. Okazuje się, że chciałby mieć Muellera na oku, przynajmniej do czasu, aż się upewni, że nie wystąpi u niego nieprzewidziana psychotyczna reakcja na to, co zrobił.

– Dobry Boże, Jake, czy naprawdę chcemy zabierać ze sobą kogoś takiego, skoro mamy u swego boku Obcych zdolnych do nie wiadomo czego? Dwie rasy Obcych – podkreśliła. – Dlaczego nie odeślesz do Mira City ich obu?

– Shipley nigdzie się nie wybiera. Twierdzi, że musi dać świadectwo pokoju. A ja nie zamierzam odsyłać Muellera samego, bez nadzoru.

Świadectwo pokoju. Reakcja psychotyczna. Obcy.

– Od kiedy to chwasty rządzą w ogrodzie?

– Od zawsze. Zresztą sama masz prywatny chwast... Nan nie jest lepsza od doktora Shipleya.

– To ciekawe, że go bronisz – zauważyła Gail. – Sądziłam, że czujesz się przez niego nieswojo.

– Możemy się trzymać tematu, Gail? Mueller, Shipley, Lucy i ja polecimy małym skimmerem, a wasza piątka zabierze się dużym. Karim będzie pilotował. Już to robił.

– A co z łazikiem?

Jake pogładził się po twarzy w zamyśleniu.

– Na razie zostanie tutaj. Możemy go potrzebować, gdy wrócimy z misji zbierania faktów.

– Tak to nazywasz? Bo mnie się wydawało, że to tylko impreza towarzysząca... Słuchaj, Jake, tak czy owak spędzę z wami tylko jeden dzień. Jeśli Badyłe zaplanują dłuższą wycieczkę, mały skimmer wraca do Mira City. Z Muellerem albo Karimem za sterami. Zgoda?

– Tak – powiedział Jake. Nieoczekiwanie wydał jej się bardzo zmęczony. – Niewykluczone, że polecę z tobą. Nie jestem tu specjalnie potrzebny. Tak naprawdę tylko George, Ingrid i Nan mają aparat pojęciowy pozwalający na wymianę myśli z Badyłami. Które raczej nie stanowią dla nas zagrożenia, więc moje zdolności negocjacyjne są tutaj na nic. Badyłe same z siebie mówią nam to, o co pytamy.

– Nie wydaje ci się to podejrzane? – zapytała nagle.

– W jakim sensie?

– Nie wiem – przyznała. – Ale taka wylewność jest raczej mało... ostrożna.

– A ile znasz ostrożnych roślin? – zapytał. – Chociaż faktycznie, Karim powiedział dziś rano coś...

Gail poczuła chłód. Cokolwiek powiedział Karim, jej się to nie spodoba.

– Co takiego?

– Powiedział, że jeśli statek matka jest wyposażony w napęd McAndrew i jeśli czerpie energię z próżni, by osiągać przyspieszenie równe sile grawitacji...

– Pomiń szczegóły techniczne – poprosiła. – Jaki problem dostrzega Karim?

– Dzięki temu napędowi Badyłe mają do dyspozycji ogromną energię. Skoro naprawdę prowadzą wojnę ze Zwierzakami, czemu nie zaatakują ich planety za pomocą silnika plazmowego? Zdaniem Karima byłaby to przepotężna broń. Po co „tworzyć” kolonie osobników identycznych z wrogami, a potem jeszcze wymyślać związki chemiczne, które utrzymają je przy życiu, aczkolwiek uczynią niegroźnymi?

– Boże, Jake, nie wiem. Może Badyłom potrzebni są niewolnicy? Albo partnerzy handlowi? Albo zwierzęta w zoo? Skąd mamy wiedzieć, czego chcą istoty, które są tak różne od nas?

– Możemy je o to zapytać. Co też zamierzam zrobić.

– Obowiązkowo – potwierdziła Gail. – Tymczasem już startujemy.

Ktoś, zapewne George, musiał uzgodnić wszystko z Badyłami jeszcze minionego dnia, ponieważ rano się nie pokazały. Ich wahadłowiec uniósł się tuż po świcie – srebrzyste jajo

z długim ogonem. W oczach Gail wyglądał jak któreś z tych jednokomórkowych stworzeń z wicią, które mgliście pamiętała z lekcji biologii. Boże, biologia jej w głowie. To musiał być wpływ George'a.

Siedząc obok Nan, przyglądała się, jak powierzchnia Zielnika przesuwa się pod nimi. Mimo że Karim nie wzniósł się na wysoki pułap, planeta wyglądała inaczej niż z poziomu gruntu. O dziwo, wydawała się mniej obca. Nie dało się stąd rozróżnić spiczastych drzew ani dziwnych zwierząt, ani czerwonego pełzaka. Zamiast tego planeta oferowała widoki rozległych równin, wijących się rzek i błękitnych jezior. Ignorując purpurową barwę roślinności, można by pomyśleć, że patrzy się na Ziemię, pierwotną i nieskażoną, zupełnie jakby dwadzieścia tysięcy lat ludzkiej historii nigdy się nie zdarzyło.

Co by nie było takie złe, pomyślała Gail. Rzadko pozwalała sobie wracać myślami do Ziemi. Ziemia równała się Lahiri. Oraz fizycznej i społecznej ruinie, obecnie najwyraźniej jeszcze gorszej niż w chwili startu *Ariela*. Tego samego *Ariela*, którego Rudolf Scherer wolał wysadzić, niż przekazać w ręce Obcych, i to zanim się dowiedział, kim są ci Obcy i czego chcą. Czy naprawdę doszło do tego, ponieważ Scherer był przekładańcem? A może raczej ludzie mają jakąś okropną skazę przemocy i destrukcji? Tę samą, która doprowadziła do zniszczenia ich rodzimego świata...

Gail zazwyczaj nie oddawała się tak negatywnym – i abstrakcyjnym – myślom. Nie zamierzała też tego robić teraz; nie przyniosłoby to jej żadnego pożytku. Czekał ją tylko jeden dzień dalszego gadania o wojnie Obcych, po czym wróci do Mira City, gdzie zajmie się ważnymi praktycznymi sprawami, pilnując, aby ta planeta nie podzieliła losu Ziemi. Takie działanie miało sens.

Odwróciła się zamaszyście do George'a.

– Czy twoi liściaści przyjaciele powiedzieli ci, kiedy zrobimy sobie pierwszy przystanek?

– Chyba jesteśmy na miejscu – odpowiedział George. – To mi wygląda na kolonię Zwierzaków. Aczkolwiek żadną z tych trzech, na które myśmy natrafili!

– Przestań się ślinić, George. Może dostaniesz od nich gówienko do analizy.

– Z odchodów można się wiele dowiedzieć – przyznał poważnie.

Gail niepokoiła się, że zostaną zaatakowani przez dzikie Zwierzaki, lecz niepotrzebnie. Ledwie wszystkie trzy pojazdy wylądowały obok siebie, Zwierzaki rzuciły się pędem w ich stronę. Ale zatrzymały się – czy też zostały zatrzymane – na barierze niewidocznej

gołym okiem.

– To jakieś pole siłowe – stwierdził podekscytowany Karim. – Skoro tak, czemu nie użyły go wcześniej do ochrony wahadłowca? Oczywiście to by nie powstrzymało broni energetycznej Muellera, ale później, kiedy próbowaliśmy nawiązać z nimi pierwszy kontakt? Najwyraźniej postanowiły zaryzykować, a to za sprawą tego całego cichego siedzenia, do którego George zmusił nas poprzedniego dnia...

Łatwo pójdzie, pomyślała Gail. Naukowcy zadadzą swoje pytania i uzyskają wszystkie odpowiedzi. Ona będzie mogła milczeć.

Badyle opuściły pokład wahadłowca, jak zwykle na platformach staczających się po spadzistej rampie.

– To dlatego, że wahadłowiec nie jest ich! – domyślił się Karim. – Nie był zaprojektowany pod kątem tych platform. Założę się, że zdobyły go na Zwierzakach.

Zwierzaki, które tłoczyły się przy niewidocznej barierze, nie wyglądały na istoty zdolne budować statki kosmiczne. Zarazem też nie przypominały biernych, pozbawionych ciekawości gamoni z pierwszej osady odkrytej przez ludzi.

Nan podsumowała na jednym wydechu:

– Nie są upośledzone ani odurzone, nie są też chyba tak wojownicze jak Zwierzaki na subkontynencie Czejenów...

Nie, nie wyglądały na wojownicze. Większość trzymała na plecach młode. Była też jeszcze jakaś różnica, coś związanego z ich wielkością albo barwą czy też...

– To same osobniki płci żeńskiej – powiedział George. – Wszystkie co do jednego. Spójrzcie na ich grzbiety, nie mają pióropuszy.

– Męskie osobniki mogą być na polowaniu – wysunęła przypuszczenie Ingrid. – Albo przechodzą coś w rodzaju rytualnej kwarantanny. Albo...

– Albo ta kolonia składa się wyłącznie z samic – wtrąciła Nan schrypniętym głosem. – Celem przekonania się, czy wtedy łatwiej nad nimi zapanować. Kolejna faza eksperymentu genetycznego.

Gail przyjrzała się jej twarzy. Mina Nan wyrażała mieszaninę niesmaku, smutku i gniewu, który był nieodłączną częścią jej natury. Aha, zatem Nan fascynowały obie rasy Obcych, jednakże ostatecznie postawiła na Zwierzaki. Na te, z którymi nawiązała pierwszy kontakt. Na obiekty eksperymentu. Na stronę słabszą.

George nie przestawał paplać:

– Na Ziemi występuje pewien roztocz, *Brevipalpus phoenicis*, którego wszystkie osobniki są haploidalne. Jajeczka rozwijają się bez zapłodnienia. W genomie występuje wchłonięta bakteria, która „kastruje” męskie osobniki, jeśli się pojawią. Wiąże się z tym ewolucyjna przewaga: roztocz ten nie musi dzielić zasobów energii między dwie płcie, dzięki czemu gatunek jest w stanie przetrwać przy obniżonym poziomie reprodukcji. Zarazem unika nakładów wymaganych przez reprodukcję seksualną przy współzawodniczących ze sobą chromosomach X i Y.

– Te haploidy, o ile na nie właśnie patrzymy – zauważyła Ingrid – nie skarżą się na brak energii. Ich kolonia zdaje się kwitnąć. Widzę co najmniej trzy nowe budowle, które pną się, o tam, i spójrzcie na całe to zdrowe potomstwo!

Lucy, która notowała zawzięcie, dodała:

– Chciałabym wejść do wioski i zobaczyć na własne oczy, jak tutejszy poziom narzędzi i sztuki ma się do poziomu z innych osad Zwierzaków.

Tymczasem Badyłe podtoczyły swoje platformy do samej bariery. Ramię, na którego widok Gail w dalszym ciągu przechodziły ciarki, wysunęło się przez szczelinę i scaliło z niewidzialną ścianą. Trzy czy cztery Zwierzaki, trajkocząc, stłoczyły się w jednym miejscu. Coś się działo, być może dochodziło do wymiany płynów fizjologicznych. Gail się wzdrygnęła.

– Kolonia składająca się z samych kobiet brzmi nieźle, ale jeśli nie ma mowy o seksie...
– powiedziała, próbując polepszyć sobie nastrój, jednakże Nan nawet jej nie usłyszała. Podobnie jak Ingrid, George i Lucy była tak zafascynowana obiema rasami Obcych, że jej własny gatunek równie dobrze mógł dla niej nie istnieć.

Gail zawróciła do lądowiska. Karim ponownie zerkał do wnętrza wahadłowca Badyli – czy miał na to pozwolenie? Musiał mieć przynajmniej zgodę Jake’a, który stał obok i rozmawiał z nim w najlepsze.

A potem było po wszystkim szybciej, niż się mogła spodziewać. Każdy wrócił do swojego środka transportu. Gail żałowała, że nie leci drugim skimmerem. Nan ją ignorowała, a George nie potrafił się przymknąć.

– Rozmawiałem z Alfą. Powiedział...

– Z Alfą? – zapytała Gail. – Który to? I skąd wiesz, że to osobnik płci męskiej?

– Nie wiem – przyznał George. – Po prostu nazwałem je Alfa, Beta i Gamma. – Tak samo nazwaliśmy księżyce.

– I co z tego? Tak jak mówiłem, one nie komunikują się za pomocą fal głosowych, w ich wypadku wszystko odbywa się na bazie sygnałów chemicznych. Ich prawdziwe imiona nie miałyby dla nas najmniejszego sensu. Rozmawiałem z...

– Skoro porozumiewają się za pomocą cząsteczek – zastanowiła się na głos Gail, popadając w zadziorny nastrój – to jak im się udaje dogadać na znaczne odległości?

– Też je o to pytałem. Alfa powiedział, tak przynajmniej mi się wydaje, że nie porozumiewają się na odległość. Wszystkie Badyłe są ze sobą w jakiś sposób połączone, więc sygnał chemiczny rozchodzi się, aż w końcu dociera do wszystkich. A może są połączone ze sobą w takim stopniu, że wystarczy, aby informację „usłyszał” tylko jeden Badył? W każdym razie komunikacja na ich planecie musi być bardzo wolna.

To by się zgadzało. Gail wciąż miała w pamięci siedzące na słońcu Badyłe, które godzinami nic nie robiły.

– A co z komunikacją w przestrzeni kosmicznej? – zapytała. – Albo ze statkiem matką? Karim, który siedział przy sterach, rzucił:

– Do tego mają technologię Zwierzaków. Może wcześniej nie miały żadnego programu kosmicznego.

– Rozmawiałem z Alfą – powtórzył dobitnie George. – Badyłe mają technologię opartą na biologii. Nigdy nawet nie opuściły swojej planety, dopóki Zwierzaki nie rozpoczęły wojny. Ale teraz mają kilka kolonii na rubieżach i właśnie z jednej z nich pochodzą nasze Badyłe. Zielnik od ich rodzinnej planety dzieli mniej niż sto lat świetlnych. Oba te miejsca mają jakąś cechę, której nie zrozumiałem, jeśli nie liczyć tego, że jest bardzo, ale to bardzo ważna. I jeszcze jedna rzecz... Mają nadzieję znaleźć genetyczny sposób, który powściągnie Zwierzaki bez konieczności ich zabijania. Zabijanie to dla Badyli tabu. Może chodzić o filozofię, ale równie dobrze o biologię. Gdy jest się w gruncie rzeczy jednym wielkim, luźno połączonym i wolno się poruszającym organizmem, któremu do życia wystarcza energia słoneczna, woda i własne obumarłe tkanki, żaden mechanizm ewolucyjny nie preferuje zabijania. To by się w praktyce równało samobójstwu.

– Mówisz tak – stwierdziła Nan napiętym głosem – jakbyś popierał Badyłe.

George był nazbyt podniecony – albo nazbyt obojętny – aby zwracać uwagę na ton Nan.

– Oczywiście, że je popieram. Pomijając to, jak interesujące są pod względem biologicznym... Rozumny, nieuznający przemocy, dbający o swoją planetę gatunek... czego tu nie lubić? Gdyby ludzie bardziej przypominali Badyłe, Ziemia nie uległaby takiemu

zniszczeniu.

– Tak, czego tu nie lubić, George? – rzuciła sarkastycznie Nan. – Z wyjątkiem tego, że twoje Badyle eksperymentują na innym rozumnym, opartym na DNA gatunku podobnym do ludzkiego, tworząc osobniki tylko po to, żeby je zniszczyć w próbie opanowania metody masowego zabójstwa. Cudowne, nieprawdaż?

– Nie myślę...

– Najwyraźniej – skwitowała zimno Nan. – Te Badyle są nie lepsze od ekipy Scherera. Tworzą klony, aby je mordować ku biologicznemu pożytkowi.

– Różnica, i to zasadnicza... – zaczęła Ingrid z zapalem, jednakże Gail się wyłączyła.

Miała serdecznie dosyć tych dyskusji na temat Obcych. Sięgnęła do komunikatora i nawiązała połączenie z Fajsalem.

Nie odpowiedział. *A niech to*, pomyślała. *Powinien być bardziej odpowiedzialny... Przecież obiecał nie rozstawać się z komunikatorem.* W drugiej kolejności spróbowała nawiązać połączenie z naczelnym inżynierem Mira City.

Robert Takai również nie odebrał.

Tak samo Thekla Barrington na farmie.

– Pożycz mi swój komunikator – poprosiła George'a, który podał jej urządzenie, nie przestając dyskutować.

Komunikator George'a też nie zdołał wywołać Fajsala.

Gail przygryzła wargę. *To pewnie nic takiego...* Zdążyła stracić poczucie przestrzeni, tak że nie wiedziała, po której stronie planety się znajdują. Oczywiście system satelitów teoretycznie umożliwiał skomunikowanie się z jakiegokolwiek miejsca, ale jeśli akurat jeden satelita nawalił, a skimmer znajdował się poza zasięgiem kolejnego, istniała możliwość, że wystąpi dziura. Prawda? Zapytałaby o to Karima, gdyby nie był zajęty pilotowaniem.

Tak, to na pewno usterka systemu satelitarnego. Nic więcej.

W małym skimmerze panowała cisza. Za sterami siedział Mueller, a Jake – widząc tylko tył głowy pilota – nie był w stanie ocenić jego nastroju. Shipley odchylił głowę na oparcie fotela i przymknął oczy, pogrążając się w śnie, medytacji czy modlitwie. Siedząca obok Jake’a Lucy wyglądała przez okno.

Gdy skimmer wylądował w drugiej osadzie Zwierzaków, Lucy powiedziała:

– O, to ci pod wpływem środków odurzających!

Jake, który nigdy wcześniej tu nie był i widział tylko nagranie podchmielonych Zwierzaków, nie rozpoznał tego miejsca. Jednakże uwaga Lucy z jakiegoś powodu poprawiła mu humor. Ciekawe dlaczego.

Zastanowił się nad odpowiedzią na to pytanie i wkrótce ją znalazł. Wyprowadzały go z równowagi poważne, pacyfistycznie nastawione Badyle bez skazy, jak również to, że Shipley z mety uznał je za pacyfistów. Wyczekiwał jakiejś odmiany, którą mogły zapewnić rozbrykane Zwierzaki, bracia w DNA.

George Fox zdążył już opuścić duży skimmer i czekał właśnie niecierpliwie na Badyle, które przyleciały swoim wahadłowcem.

– Ciekawe, czy wzniosą elektroniczny perymetr wokół tej wioski. Jak myślisz, Jake?

– Nie mam pojęcia.

Do rozmowy włączyła się Ingrid:

– Pewnie nie. Te Zwierzaki nie wyglądają na zagrożenie.

Była to prawda. Gdy ludzie ruszyli w stronę osady, przekonali się, że zabudowania są w opłakanym stanie. Belki stropowe zwieszały się pod najróżniejszymi kątami, miejscami brakowało strzechy. Jedno palenisko było nie tylko wygaszone, ale też tworzące krąg kamienie leżały rozrzucone dookoła, jakby ktoś ciskał nimi radośnie we wszystkich kierunkach. Jediną grządkę porastały chwasty. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było ani jednego Zwierzaka.

– Odsypiają? – zwrócił się Jake do George’a.

George zmarszczył czoło.

– Ten psychotrop raczej nie wywołuje kaca. Przynajmniej u nas.

Jake ugryzł się w język. Tymczasem zza rogu wyszła para Zwierzaków, które rzuciły się nagle w stronę ludzi.

Mueller momentalnie złapał za broń. Dłoń na ramieniu położył mu Shipley, który wysiadł ze skimmera, gdy Jake patrzył w inną stronę. Okazało się to niepotrzebne. Zwierzaki przeszły chwyciejnie jeszcze parę kroków, po czym uwiesiły się sobie wzajemnie, wydając dziwne dźwięki z otwartych szeroko ust. Czyżby się śmiały? Jake tego nie wiedział, ale zobaczył imponujące zęby Obcych. Na ich widok aż się cofnął. Zwierzaki zdawały się nie zwracać na ludzi najmniejszej uwagi. Rechotały dalej (o ile to właśnie robiły), po czym przewaliły się i wtedy samiec zaczął macać po brzuchu samicę, która najwyraźniej straciła przytomność.

– Przypomina to imprezy w akademiku, na które chodziłem swego czasu – zauważył George.

– Nie antropomorfizuj, George – upomniała go Ingrid. – Mój kot zachowuje się podobnie po kocimiętce.

– Nie zabraliśmy kocimiętki z Ziemi – stwierdził George. – A szkoda.

– Jake... – Słyszac głos Gail za plecami, Jake odwrócił się gwałtownie.

Wystarczył jeden rzut oka na jej twarz, aby zrozumiał, że coś jest nie tak. Zanim zdążył zapytać, o co chodzi, z rampy wahadłowca stoczyła się samotna platforma z Badyłem. Karim chyba miał rację, twierdząc, że to przejęta od kogoś technologia – rampa faktycznie wydawała się za stroma dla platformy, która nie zatrzymała się, znalazłszy się na ziemi, tylko potoczyła dalej, i to w tempie, o jakie Jake nigdy by jej nie podejrzewał. Mueller natychmiast uniósł broń.

– Franz, nie! – krzyknął Shipley. – Widzisz? Już się zatrzymuje. Chce nam tylko coś powiedzieć.

Platforma zatrzymała się naprzeciwko Jake'a, który z trudem powstrzymał się przed wzdrygnięciem.

– Jake, ty odejść. Teraz. Wszyscy ludzie odejść teraz. Wróg tu być. Nasz statek zniszczony... – rozległ się mechaniczny głos.

Lucy sapnęła. Karim sięgnął do komunikatora i zaczął gorączkowo stukać w klawisze.

– Nie mogę się połączyć z Mira City – rzuciła Gail. – Mój Boże, czyżby siadły satelity?

– Tak – potwierdził Karim. – Właśnie sprawdziłem przekazywane automatycznie dane.

Satelity komunikacyjne zniknęły. Chociaż... jeden został, zdaje się...

Jake zwrócił się do Badyła:

– To sprawka Zwierzaków? Tych, które prowadzą z wami wojnę?

– Tak. Znajdą wasze miasto. Jeśli polecicie skimmerem, namierzą go. Jeśli wystartujemy wahadłowcem, namierzą nas.

– Ślady termiczne – powiedział Karim. – Jak czuły mają sprzęt? Są w stanie znaleźć te kolonie?

– My je znaleźliśmy z powietrza – przypomniała Ingrid.

– Najpierw polecą do waszej boi – rzekł Badył.

– Boże... – jęknęła Gail. – Co będzie z Mira City?

– Nie wiemy. One nie prowadzą wojny z wami.

– Ale co zrobią wam? – zapytał Shipley. – I tym koloniom?

– Zabiją nas. Nie wiemy, co zrobią z koloniami. Zaczekamy w wahadłowcu.

I platforma odtoczyła się z powrotem w stronę wahadłowca.

– Zaczekaj! – zawołał za Badyłem Jake. – Nie macie na pokładzie żadnej broni? Takiej, która kiedyś należała do Zwierzaków? Przylecą identycznym wahadłowcem, prawda? Nie możecie ich zniszczyć w powietrzu?

Badył jakby go nie słyszał. Pędził w stronę rampy wahadłowca.

– Duży skimmer jest uzbrojony – przypomniał sobie Mueller. – Niezbyt dobrze, ale zawsze. Spróbuję strącić wahadłowiec, zanim wyląduje.

Shipley się obruszył.

– Zanim uciekniesz się do przemocy...

– Cisza! – przerwał mu Jake.

Wszyscy natychmiast umilkli. Domyślał się, że oczekują po nim przejęcia dowodzenia. Potrzebował jednak więcej informacji.

– Franz, Karim, jaką broń mamy na pokładzie?

Odpowiedzi udzielił Karim:

– Lasery, zarówno punktowe, jak i szerokopasmowe. Oraz trochę broni ręcznej: miotacz pianki paraliżującej, kierunkowy transmiter EMP i obezwładniający miotacz fal beta krótkiego zasięgu. To wszystko.

Broń ręczna na nic im się nie przyda.

– Jakie są szanse na strącenie wahadłowca Zwierzaków za pomocą lasera, gdyby przyszło co do czego?

– Skąd mamy wiedzieć? Przecież to obca technologia.

– Tylko rzuciłem okiem na wahadłowiec Badyli, a przy tej dylatacji czasu może być

przestarzały o setki lat.

– W takim razie pytanie do wszystkich – rzucił Jake. – Czy Badyłe mówią prawdę?

Nan odparła zapalczywie:

– No, nareszcie ktoś zakłada, że mogą kłamać!

– Dlaczego mieliby kłamać? – zapytała Lucy, blednąc. Sama była prawdomówna do bólu. A ludzie postrzegają świat przez pryzmat siebie, nie widzą go takim, jakim jest naprawdę.

– Wkrótce się dowiemy – skwitowała Gail. – Jak tylko pojawi się następny wahadłowiec.

– Nie – zaprzeczył Jake. – Będziemy wiedzieć wyłącznie to, że wahadłowiec się pojawił. Z samej jego obecności nie wywnioskujemy, kto jest na pokładzie ani jakie są jego intencje. – Pozostali przytaknęli skinieniem głowy. – W związku z tym musimy być przygotowani na różne ewentualności. Mueller, wracaj do skimmera i przygotuj się na użycie broni. Z tym że czekaj na mój wyraźny rozkaz. Ponieważ komunikatory nie działają, podniosę rękę, o tak.

Mueller pokręcił głową.

– A co będzie, jeśli nie zdoła pan tego zrobić? Jeśli pana unieszkodliwią?

Rozległ się gwar głosów, który Gail uciszyła ostrym krzykiem.

– Spokój! Pozwólcie Jake’owi się zastanowić, na miłość boską!

Jake usiłował zebrać myśli. Mueller sam będzie musiał ocenić, czy rozpocząć atak... Nie. To niemożliwe. Mueller był przekładańcem, który zabił własnego kapitana. Aczkolwiek uczynił to w obronie Badyli...

– Karim, dasz radę obsługiwać uzbrojenie na pokładzie wahadłowca?

– Tak – odparł fizyk.

– Niedopuszczalne! – warknął Mueller, tak bardzo przypominając zmarłego Scherera, że Lucy aż podskoczyła.

– Franz, tak trzeba, bo ty będziesz chronił mnie – wyjaśnił rzeczowo Jake. Następnie zwracając się do reszty, ciągnął: – Zostanę tutaj, aby powitać Zwierzaki jako prezes Korporacji Mira, która ma prawa do tej planety. Franz będzie mnie osłaniał z jakiejś kryjówki. Wy wszyscy wycofacie się do lasu i zostanieie tam, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Tylko zostawcie kogoś w pogotowiu, żeby zawiadomił resztę. Niech to będzie... Nan. Czuje się najswobodniej na tutejszym łonie natury. – Chodziło mu też o to, aby nie

upierała się przy pozostaniu na miejscu.

Nan zawahała się, ale w końcu skinęła głową. Będzie wystarczająco blisko centrum wydarzeń.

– Nie, nie Nan – zaproponowała nieoczekiwanie Gail. – Obserwatorem powinien być jakiś naukowiec, ktoś, kto ma choć cień szansy na odkrycie, po co Zwierzaki przyleciały.

– Ja zostanę – zaofiarował się George.

– Nie. – Jake włożył w to słowo wszystkie pokłady władczości, na jakie było go stać.

– Ale... – zająknęła się Ingrid. – Ale jeśli wszyscy zginiecie, a my będziemy w lesie, daleko od skimmera, to jak wrócimy do Mira City? Przecież to setki mil!

– Nie wiem, Ingrid – powiedział Jake. – Ten plan nie zawiera rozwiązania na każdą ewentualność. Po prostu poczekamy i zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja. Wiem jedno: w wypadku każdego gatunku we wszechświecie, poczynając od wiewiórek, a kończąc na ludziach, napotkanie dwu istot ma mniejsze szanse wywołać strach i agresję niż napotkanie całego tłumu.

Uwagi słuchających nie uszła jego wzmianka o „dwu istotach”. Jake zdążył zabronić pozostania na miejscu George’owi. Gail, druga szefowa Mira City, która w dodatku nie miała zbyt wielkiej cierpliwości do Obcych, była raczej mało prawdopodobną kandydatką. Karim, romantyk z natury, spojrział z zazdrością na Lucy. Reszta jednak zrozumiała w lot.

– Dziękuję, Jake – odezwał się Shipley. – Zostanę z miłą chęcią.

Pod komendą sprawnej Gail wymontowano ze skimmera tyle urządzeń podtrzymujących życie, ile się dało, po czym obarczono nimi Gail, George’a, Ingrid i Lucy. Nan znalazła miejsce wśród drzew i umościła sobie kryjówkę pośród gałęzi i liści. Mueller schował się po przeciwnej stronie polany. Nan zaopatrzyła się w gogle wysokiej rozdzielczości wyposażone w zoom, Franz natomiast rzucił krótko:

– Wystarczą mi moje oczy.

No tak. Modyfikacja genetyczna.

Zanim Mueller odszedł, aby się ukryć, upewnił się jeszcze, że Karim wie, jak się posługiwać skromną bronią skimmera. Jake zdziwił się w duchu, że żołnierz tak ochoczo przekazał maszynę w ręce naukowca. Być może postanowił wypełniać rozkazy, aby odciąć się od tego, co uczynili jego przełożeni, Scherer i Halberg. To by był plus.

Lucy, zgięta wpół pod brzemieniem sprzętu, mimo że Gail obarczyła ją mniejszą ilością

wyposażenia niż resztę, przyczłapała do Jake'a.

– Idziemy już... Powodzenia. Kocham cię.

Obawiał się, że Lucy zechce go pożegnać wylewnie, jednakże na szczęście się opanowała. Cmoknęła go tylko w przelocie i ruszyła za tamtymi.

Jake zniechęcając poczuł palące pragnienie, aby Lucy przeżyła tę przygodę.

Po półgodzinie na polanie zrobiło się dziwnie cicho. Skimmer i wahadłowiec Obcych tkwiły na zarośniętej otwartej przestrzeni, która kiedyś mogła być polem. Dwoje Zwierzaków spało kamiennym snem – albo było martwych – pomiędzy zapuszczonymi chatami. Jake nie widział żadnych więcej Zwierzaków, dopóki z lasu nie wyszła trójka młodych.

– Doktorze, niech pan spojrzy – szepnął.

Shiplej siedział z zamkniętymi oczami na swoim nadmuchiwanym stołku. Na dźwięk słów Jake'a rozwarł powieki i powiodł spojrzeniem za wyciągniętą ręką prezesa Korporacji Mira.

Po ruchach dzieci dało się poznać, że są tak samo zamroczone jak dorośli. Poprzyglądały się ludziom, po czym otworzyły usta i wydały z siebie odgłos, który Jake nazwał w myślach śmiechem. Jedno z nich raz po raz uderzało o ziemię ogonem, pozostała dwójka raczej potrzebowała swoich ogonów do utrzymania pozycji pionowej. Uwieszone siebie nawzajem rzuciły się w pewnym momencie naprzód.

Tylko nie strzelaj, Franz, poprosił w duchu Jake. Nie strzelaj do tych dzieci.

Mueller pozostał bezczynny – może dlatego, że był bardziej opanowany, niż uważał Jake, a może dlatego, że dzieci szybko skręciły w stronę wioski i zniknęły w chacie z tylko połową dachu.

Dzieci... Tak myślał o młodych Jake. Zwierzaki wydawały się – były – znacznie bliższe ludziom niż Badyle. Czy Badyle w ogóle mówiły prawdę? Co zaraz spadnie im na głowy z nieba?

I kiedy?

– Czekanie jest często najtrudniejsze – rzucił Shiplej jakby nigdy nic.

Jakim cudem zachowywał spokój w tej bezprecedensowej, absurdalnej, niebezpiecznej sytuacji? Tak naprawdę Jake nie chciał tego wiedzieć. Religijne czary-mary. Pod wpływem impulsu zgodził się, by Shiplej z nim został, aczkolwiek przez cały czas wiedział, że intuicja go nie zawodzi. Shiplej pierwszy spostrzegł, że Badyle są nastawione pokojowo.

Nie spanikował. Poradził sobie dobrze z Muellerem i wszystkimi innymi. W gruncie rzeczy miał kłopoty tylko z własną okropną córką.

Córki. Synowie. Bracia.

Nie, nie będzie teraz myślał o Donniem.

Brakowało mu jednak wewnętrznej dyscypliny, aby sobie tego zabronić. Nawet trwająca sześćdziesiąt dziewięć koma trzy lata świetlne podróż na Zielnik nie pozwoliła mu zapomnieć o Donniem. Ani o pani Dalton. Czy o poruczniku Carew...

Jego rozmyślania przerwał doktor Shipley, za co Jake był mu wdzięczny.

– Co zamierzasz powiedzieć tym Zwierzakom?

– Jest pan pewien, że przylecą Zwierzaki?

– Tak mi się wydaje. Wierzę Badyłom. Zatem co im powiesz?

– To zależy od tego, co one będą miały do powiedzenia nam. A także od tego, czy będzie czas na rozmowę, zanim nas załatwią.

– To prawda – przyznał Shipley. – Zakładając jednak, że zdążymy, czy mogą być tym, który nawiąże kontakt? Użyłbym gestów. Bo wiesz, one raczej nie będą mówić po angielsku.

To oczywiste, zreflektował się Jake. Badyłe przysłuchiwały się ludzkim rozmowom przez kilka dni z rzędu, zanim opracowały program zdolny tłumaczyć w obie strony. O ile to właśnie nastąpiło. George pozostawał jawnie sceptyczny wobec możliwości przekładu fal dźwiękowych na formę komunikacji za pośrednictwem cząsteczek chemicznych i odwrotnie, jednakże to właśnie najwyraźniej się działo. Pytanie, czym dysponowały Zwierzaki.

– Moglibyśmy sprowadzić tu Naomi – dodał ciszej Shipley. – Ona chyba posiadała ograniczoną zdolność komunikacji z miejscowymi Zwierzakami.

– Które nie mają nic wspólnego ze Zwierzakami z kosmosu – zauważył Jake. – Lepiej niech Nan zostanie tam, gdzie jest.

Był przekonany, że Nan jest nieobliczalna.

Shipley wduśił przycisk, aby nadmuchać swoje trójnogie krzesło, po czym opadł na nie, przymykając oczy. *Znów się modli? Cóż, niech się modli, skoro mu to pomaga.* Jake nie miał niczego, co by mu pomogło w tych okolicznościach. Wpatrywał się w niebo, aż rozboleły go oczy.

Trzy godziny później, gdy zaczął żałować, że nie zostawił dla siebie i Shipleya części

racji żywnościowych ze skimmera, nareszcie coś dostrzegł.

Z początku była to tylko blada biała kropka na błękitnym niebie. Rosła jednak z każdą chwilą, aż wreszcie zaczęła oślepić światłem. W pewnym momencie rozległ się ryk – Boże, ależ szybko poruszał się ten wahadłowiec! – po czym Jake stracił jednostkę z oczu. Gdy ponownie ją ujrzał, opadała łagodnie na polanę. Było to srebrne jajo z elastycznym ogonem. Statek taki sam jak wahadłowiec Badyli.

Jake stęzał, na wypadek gdyby ktoś otworzył ogień. Nic takiego jednak się nie stało. Błyskawicznie otworzyły się drzwi, wyjechała rampa i zszedł po niej Obcy.

Zwierzak.

Nie licząc taśm materiału, które opasywały jego futrzaste ciało i podtrzymywały rozmaite przedmioty, Obcy w niczym się nie różnił od Zwierzaków śpiących nieopodal w pijanym widzie. Ani od Zwierzaków snujących się bezmyślnie po wymierającej wiosce. Ani od Zwierzaków, które zaatakowały Czejenów. Ani od samic Zwierzaków, które zaatakowały niewidzialne ogrodzenie, dźwigając na plecach dzieci. Jedyna różnica była taka, że ten Zwierzak kroczył, jakby był panem tej planety. Odrzucił do tyłu głowę i zaryczał, po czym podjął wędrówkę w stronę Jake'a i Shipleya. Nie okazywał strachu ani przed nimi, ani przed drugim wahadłowcem.

Shipley wstał. Jake przygotował się na śmierć. Albo ten wojownik – Zwierzaka nie dało się inaczej nazwać – zabije go, albo Mueller zabije wojownika, co skończy się tym, że jego pobratymcy i tak się z nimi rozprawią.

Następnie równocześnie wydarzyło się kilka rzeczy.

Kiedy Zwierzak znalazł się w odległości dwudziestu jardów, Jake poczuł, jak w jego pierś uderza coś niewidzialnego i twardego niczym diament. Shipley, który stał bliżej Zwierzaka, został trafiony pierwszy, aż się zachwiał do tyłu i potknął o stołek. Z pozycji Muellera nadleciał promień lasera. Nie wyrządził jednak żadnych szkód – zupełnie jakby wyparował w odległości dwudziestu jardów od Zwierzaka. Widząc to, Mueller wystrzelił ponownie. Bez skutku. Wahadłowiec zamiótł ogonem, po czym wycelował nim w Muellera. Mueller przestał strzelać.

Zwierzak podszedł do Jake'a i Shipleya. Jake w dalszym ciągu czuł na swojej piersi napór ciężkiej bariery. Musiało to być coś w rodzaju pola siłowego, którym Badyli odgrodziły się od wioski pełnej samic, tylko że przenośnego. Zwierzak wojownik był otoczony przez ruchomą tarczę, która niwelowała działanie broni Muellera. Pytanie, czy da

też sobie radę z arsenałem Karima na pokładzie skimmera. W każdym razie Zwierzak nie wydawał się przestraszony obecnością którejkolwiek jednostki.

Zatrzymał się pięć cali od dwóch mężczyzn, odrzucił głowę do tyłu i ponownie zaryczał. Jakąś częścią świadomości Jake zauważył, że dźwięk bez kłopotu pokonuje barierę.

– Nazywam się Jake Holman. Jestem człowiekiem. Witaj. – Wolnym ruchem uniósł jedną rękę dłonią na zewnątrz, pokazując, że nic nie trzyma. Następnie wskazał na siebie i powtórzył: – Nazywam się Jake Holman. Jestem człowiekiem. Witaj.

Zwierzak zaryczał po raz trzeci. Jake stwierdził, że wojownik spogląda ponad ludźmi na nieprzytomne, utyłane Zwierzaki leżące pokotem w wiosce. W promieniach słońca błysnęły długie ostre zęby przybysza. „Przystosowane do rozrywania ciała”, jak powiedział George. Zwierzaki były mięso- lub wszystkożerne.

Tymczasem z rampy zbiegły jeszcze dwa Zwierzaki. Były odziane – czy też rozdżane – podobnie jak ich przywódca. Jake zauważył, że nachylenie rampy jest odpowiednie do ich wysokości i kroku. Samiec niósł ciemne metaliczne owalne urządzenie, samica zaś zielonkawą pałkę. Gdy wymierzyła nią w wahadłowiec Badyli, drzwi się otworzyły i rampa się wysunęła. Samica rzuciła się biegiem w tamtą stronę.

Jake’owi zrobiło się słabo. *Ona je zaraz zabije, strzaska kopuły i spali Badyli, zupełnie jak Mueller.* Myśląc to, nie widział powodu, dla którego Shipley i on mieliby zostać oszczędzeni. *Czemu Badyli pozostają bierne? Przecież mają na pokładzie broń, a jednak nawet nie próbują jej użyć...*

Zwierzak z czarnym metalicznym jajem zdążył podejść do przywódcy. Odłożył jajo na poszycie, a przywódca raz jeszcze zaryczał. Dźgnął powietrze, celując w obu ludzi. *Czego może chcieć?* – zastanowił się Jake.

Shipley odezwał się, wyraźnie wymawiając poszczególne słowa:

– Nazywam się William Shipley. To jest Jake Holman. Jesteśmy ludźmi. Witajcie.

– Sądzi pan, że to translator? – zapytał Jake.

– Nie wiem – odparł Shipley. – Chociaż... Tak, wydaje mi się, że to może być translator.

Zwierzak przestał ryczeć.

Była to prawda. Przerazający Obcy ścichł. W milczeniu wskazał na jajo, a następnie na Jake’a i Shipleya.

– Jesteśmy ludźmi – powtórzył Jake. – Witajcie. Przylecieliśmy na tę planetę, żeby na niej zamieszkać. Pochodzimy z daleka. My... – Urwał.

Na rampie pojawił się jeden z Badyli, wyraźnie pchnięty tak mocno, że jego platforma przewróciła się na bok. Natychmiast się wyprostowała, jednakże w tym czasie z wnętrza wahadłowca wyleciał w powietrze drugi Badyl, uderzył w pierwszego i wykopyrtnął się. Śladem trzeciej platformy, która zjeżdżała po rampie, podążała samica Zwierzaków.

Złapała najbliższą platformę i odepchnęła ją od pozostałych dwu. Następnie wypaliła do jednej z nich. Kopuła się strzaskała, a przypalona maź, która do niedawna była żywym Badylem, oblepiła metalową platformę. Samica pogmerała przy swojej broni, po czym wypaliła ponownie. Druga kopuła poszła w drobny mak. Samica podniosła coś ze szczątków i zamasyście odeszła, nie zwracając uwagi na jedyne pozostałego przy życiu Badyla.

Dotarłszy do swoich pobratymców, zatrzymała się i wykonała skomplikowany gest w stronę przywódcy, zarazem rzucając głową i tupiąc nogą. Czyżby salutowała? Jake zorientował się, że przedmiotem, który podniosła z poszycia, było drugie jajo translator.

Ułożyła je na pierwszym i oba wyraźnie się połączyły, aczkolwiek ani się nie stopiły ze sobą, ani nie powiązały kablami, ani nie uczyniły nic, co Jake potrafiłby nazwać. W jednej chwili były dwoma czarnymi jajami na przykurzonym purpurowym poszyciu, a w drugiej jednym podwójnym jajem, które przypominało zdeformowany ziemniak. Nikt się nie poruszył. Jake zerknął na Shipleya, który ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

Po co najmniej dwu minutach milczenia i bezruchu przywódca się odezwał: powiedział do jaja coś, warknął czy zaświergotał, brzmiało to bowiem jak kombinacja i tego, i tego, i tego. Następnie jajo przemówiło tym samym mechanicznym głosem, który Jake słyszał nieprzerwanie od trzech dni:

– Kim jesteście? Dlaczego trzymacie się z naszym wrogiem? Czy to wy stworzyliście te... – translator się zawahał – ...błuznierstwa?

Tego ostatniego słowa urządzenie musiało się nauczyć od Shipleya. Nie było innej możliwości. Do tego zadało więcej niż jedno pytanie, a to najgorsze, co się może przydarzyć świadkowi w sądzie. Nie było jednak sędziego, który mógłby zainterweniować. Jake był zdany tylko na siebie.

– Jesteśmy ludźmi – powiedział tak spokojnie, jak umiał. – Nie stworzyliśmy tych błuznierstw. Były tutaj, gdy przylecieliśmy z naszej planety. Nasza rodzima planeta znajduje się daleko stąd. Przybyliśmy tutaj zaledwie przed półrokiem.

Translator wypluł z siebie bełkot, któremu daleko było do mechanicznej mowy.

Wszystkie trzy Zwierzaki stały zasłuchane. Potem zajazgotały między sobą. W końcu ich przywódca zwrócił się do Jake'a:

– Otwórzcie swój statek. Każcie innym ludziom go opuścić.

A zatem to test. Tylko na co? Jeśli Jake odmówi, zostanie to poczytane za wrogie zachowanie. A może raczej odmowa będzie współgrać z jakimś wojowniczym rytuałem, jak wśród japońskich samurajów czy pierwotnych Czejenów? Jeżeli Jake pozwoli Zwierzakom zbadać wnętrze skimmera, czy zostanie to poczytane za gest pokoju czy raczej za tchórzostwo? I czy Zwierzaki – widząc poziom zaawansowania technologicznego skimmera – uwierzą, że ludzie nie mieli nic wspólnego z powstaniem „bluźnierstw”? A może zwyczajnie zabiją Karima, jak przedtem zabili Muellera i dwoje z trójki Badyli?

Nie sposób było tego stwierdzić.

Wahanie Jake'a, który próbował znaleźć odpowiedzi na te wszystkie pytania, nie trwało dłużej niż sekundę. Jednakże Shipley zdążył w tym czasie przejąć inicjatywę.

– Otworzymy skimmer. Każemy wysiąść jednemu pasażerowi. Nie mamy nic do ukrycia przed wami ani przed nikim. Jesteśmy nastawieni pokojowo i mówimy prawdę.

A niech to! Jake zaniemówił, na poły z gniewu, na poły z ostrożności. Jako doświadczony negocjator wiedział, że nie może przeczyć słowom Shipleya, gdyż ludzie powinni nade wszystko tworzyć jeden front. Mimo to krew w nim zawrzała. Jak Shipley śmie uzurpować sobie prawo do przewodnictwa z tą jego ckliwą kwakerską filozofią pokoju?!

Zwierzak pokiwał głową.

– Dobrze.

Nie mając wyjścia, Jake uczynił gest, który wcześniej ustalili z Karimem. Sygnał znaczył tyle co „otwórz drzwi skimmera i wyjdź nieuzbrojony”. Wszystkie trzy Zwierzaki odwróciły się, aby popatrzeć. Jake odsunął się od translatora i szepnął do Shipleya:

– Spróbuj tego ponownie, a zabiję cię.

– Jestem gotów na śmierć w razie potrzeby – odparł równie cicho Shipley. – Tak było trzeba, Jake.

Poważny ton jego głosu dodatkowo rozwścieczył prezesa Korporacji Mira.

Drzwi skimmera otworzyły się i stanął w nich Karim, który następnie ruszył w ich stronę szary na twarzy, ale nieustraszony, choć ryzykował dopiero rozpoczynające się życie. Samica, która wcześniej wparowała do wahadłowca Badyli, wkroczyła teraz na pokład

skimmera.

Karim tymczasem dotarł do miejsca, gdzie stali Jake i Shipley. Zwierzaki obrzuciły go czujnym spojrzeniem, po czym zignorowały. Jake ujął Karima za rękę i niepostrzeżenie odwrócił od translatora. Tylko tyle mógł zrobić.

– Karim.. – szepnął. – Zachowaj spokój i milczenie. To jajo to translator. Widziałeś, jak Zwierzaki mordują Badyła i Muellera?

– Mueller nie zginął – odparł Karim, jednakże zanim Jake zdążył go wypytać, przywódca Zwierzaków znów zwrócił się do ludzi:

– Tak. Nie stworzyliście tych bluźnierstw. Siadajcie.

To powiedziawszy, odmaszerował.

Mieli usiąść? Shipley bezzwłocznie skorzystał z zaproszenia i ułożył się na stołku. Samica Zwierzaków opuściła skimmer. Jake uświadomił sobie, że Zwierzaki muszą się ze sobą porozumiewać w jakiś nieczytelny dla ludzi sposób. Przywódca uzyskał informacje od swej podwładnej, zanim wyłoniła się ze skimmera.

Teraz samica przeszła od skimmera do wahadłowca Zwierzaków i zniknęła w środku.

– Znajdujemy się wewnątrz pola! – rzekł z podekscytowaniem Karim.

Młody fizyk posłusznie zaczął siadać, chociaż robił to w nader dziwny sposób. Przykucnąwszy, obrócił się wokół własnej osi, przez co wyglądał jak zatrzymujący się bąk, i stulonymi palcami jakby przeciągnął po ścianie. Jake wyprostował jedną rękę i przekonał się, że otacza ich obła niewidzialna bariera – na tyle duża, aby pomieścić ich trzech.

– Kazali nam usiąść, Jake – powiedział Karim i Jake także usiadł.

– Skąd wiesz, że Mueller nie zginął?

– Miałem odczyty jego śladu termicznego. Bo wiesz, z takiej małej odległości czujniki skimmera są w stanie wychwycić pojedynczego osobnika. Ślad termiczny Muellera nie zanikł. Pewnie tylko stracił przytomność.

Zatem Zwierzaki nie uśmierciły strzelającego do nich człowieka pomimo tego, co uczyniły Badyłom. To nastawiało optymistycznie.

– Sądzisz, że ich sprzęt też wychwytyje ślady termiczne Muellera albo Nan... – zaczął mówić Jake, ale przerwał mu Shipley, który zerwał się ze stołka ze słowami:

– Nie! Nie!

W pierwszej chwili Jake nie zrozumiał, co tak wzburzyło lekarza. Dwa samce Zwierzaków stały bez ruchu i w milczeniu. Karim złapał Jake'a za ramię i odwrócił go w

stronę wahadłowca Zwierzaków.

Ogon jednostki unosił się, wijąc, aż w końcu wycelował w osadę Zwierzaków. Wystrzelił z niego promień – raczej połyskujące zaburzenie powietrza aniżeli coś konkretnego koloru – poruszający się niesłychanie wolno, jak żadne promieniowanie elektromagnetyczne. Lecąc, rozszerzał się. Jedna jego strona przemknęła w odległości dziesięciu stóp od niewidzialnej klatki, w której siedzieli ludzie. Gdy dotarł do wioski, zniknęła.

Jake zamrugał. Osada wyparowała na jego oczach. Całość: poszycie, zrujnowane chaty, wygaszone paleniska, upojone czymś nieprzytomne Zwierzaki. Troje dzieci...

Karim gapił się z niedowierzaniem. Shipley zerwał się na nogi i stał ze zwieszoną głową i twarzą ściągniętą bólem. W Jake’u rozgorzał zimny demoniczny impuls, dobrze mu znany. *Donnie. Pani Dalton.* Impuls ten skłaniał do krzywdzenia tych, których już spotkała krzywda i którzy nie mogli się bronić.

– To pańska wina, doktorze – stwierdził Jake. – Pan nauczył ich słowa „błuznierstwo”. A to właśnie robi się z błuznierstwami. Niszczy się je. Moje gratulacje.

W chwili gdy wypowiedział te słowa, pożałował ich z czystą, ostrą intensywnością nie tak znów różną od modlitwy.

21

– Wróciły – oznajmił Karim. – Przynajmniej dwójka.

Trzy Zwierzaki zdążyły wejść na pokład swojego wahadłowca, żeby się naradzić, skontaktować ze statkiem matką albo równie dobrze zrobić sobie przerwę na kawę. Pod ich nieobecność Jake powiedział do Shipleya:

– Przepraszam.

Nie był w stanie zdobyć się na nic więcej. Shipley skinął głową, nawet na niego nie patrząc, ale się nie odezwał.

Teraz dwa Zwierzaki, przywódca i drugi samiec, energicznie podeszły do niewidzialnej klatki z ludźmi. Jake ponownie zwrócił uwagę na różnicę między nimi a biernymi i upojonymi Zwierzakami. Czyli to jednak prawda, że o gatunku decyduje zachowanie.

Karim, który patrzył nie na Obcych, lecz na wahadłowiec, rzucił nagle:

– O nie...

Jake okręcił się na pięcie, żeby spojrzeć.

Ogon – czy też broń – wahadłowca Zwierzaków znowu był w użyciu. Uniósł się węzowym hipnotycznym ruchem i wycelował w drugi wahadłowiec, obok którego stał na swojej platformie pozostały przy życiu Badył. Z ogona wyleciał słaby promień, rozszerzając się w miarę oddalania od źródła. Z perspektywy Jake'a wyglądało to tak, jakby przemknął w odległości jarda od platformy. I wahadłowiec Badyli przestał istnieć.

– Przecież pierwotnie był ich! – zawołał Karim.

– Skażenie – skwitował Jake. Podczas oględzin Karim stwierdził, że wewnątrz jest pokryte śluzem, zapewne stanowiącym część systemu podtrzymywania życia Badyli, które z pewnością nie przebywały non stop pod kopułami.

Ogon raz jeszcze przeciął powietrze.

– Nie... – jęknął Karim.

Słaby promień pojawił się znowu i skimmer zniknął.

Tymczasem dwa Zwierzaki dotarły do Jake'a. Leżący u jego stóp translator odezwał się:

– Lecimy teraz. Wrócimy później. Wy, ludzie, zostaniecie tutaj.

– Dobrze – powiedział Jake, czując, że wymaga się od niego odpowiedzi. – Jak długo...

Nie dokończył, ponieważ Zwierzaki już się odwróciły i skierowały do wahadłowca. Kilka minut później jednostka wzbiła się w powietrze. Jake odprowadzał ją wzrokiem,

dopóki nie złała się z jasnym niebem poranka.

– Klatka zniknęła – stwierdził Karim i uczynił krok naprzód.

Shipley nie wstał ze stołka ani nie podniósł głowy.

Jake odetchnął głębiej parę razy, aby uporządkować myśli.

– No dobrze... Wiemy, że wrócą, ale nie mamy pojęcia, kiedy to się stanie. Skąd czerpią pewność, że się stąd nie ruszymy?

– Dokąd mielibyśmy pójść? – zapytał Karim. – Chociaż może nie o to chodzi... Moglibyśmy się ukryć. Ich czujniki termiczne nie najlepiej sobie radzą na dużej przestrzeni, zresztą łatwo o pomyłkę z tutejszymi ssakami. Myślę więc, że wciąż znajdujemy się w klatce, tylko znacznie większej.

– Sprawdź, gdzie rozciąga się granica – polecił mu Jake. Następnie przyłożył obie dłonie do ust i krzyknął: – Nan!

– Jestem! – odkrzyknęła. – Już idę!

Moment później zobaczył, jak wyłania się z kryjówki i biegnie w jego stronę, niosąc sprzęt nagrywający. Jake zamarł z obawy, że klatka, o której wspomniał Karim, wzbroni jej dostępu. Nic takiego jednak się nie stało.

– Nan, zostaw sprzęt tutaj i sprawdź, co z Franzem Muellerem. O ile uda ci się do niego dostać.

Kiwnęła głową i odbiegła we wskazanym kierunku. Cokolwiek o niej mówić, była przydatna w sytuacjach awaryjnych.

– I co, Karim? – zapytał Jake.

– Ciekawe... – odparł fizyk, przykładając dłonie do powietrza. – Ściana tutaj jest blisko, ale ciągnie się szerzej w kierunku, w którym ukrywała się Nan.

– Wyglądasz jak mim z dawnych czasów – stwierdził Jake wbrew sobie, ale nawet nie sprawdził, czy Karim uśmiechnął się na tę uwagę. Natychmiast ruszył śladem Nan.

Po drodze natknął się na Nan i Muellera wychodzących z lasu. Żołnierz wspierał się na szczupłej dziewczynie.

– Jest mocno oszołomiony! – zawołała Nan.

– Doktorze – zwrócił się Jake do Shipleya – potrzebujemy pana.

Dobrze, że mógł wyrwać starszego mężczyznę z zamyślenia i dać mu jakieś zajęcie.

Nan usadziła Muellera na ziemi i zaczęła, aż podejdzie do niego Shipley. Następnie zwróciła się do Jake'a:

– Ta bariera energetyczna zamyka się tuż za nim. To dziwne. Ustawili ją tak, żeby obejmowała jeszcze jego.

Przyjrzał się uważnie dziewczynie. Kibicowała miejscowym Zwierzakom, uważała je za „swoje”. Tymczasem na Zielniku pojawili się ich starsi, podlejsi pobratymcy. Ciekawe, jakie zdanie o Zwierzakach ma teraz? Widząc jej zmarszczki w kącikach oczu i zacięte wargi, uznał, że nie pora o to pytać. Należało ją czymś zająć, podobnie jak jej ojca.

– Nan... Karim sprawdza granice bariery w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara. Mogłabyś zrobić to samo w przeciwną stronę, zaczynając stąd? Skoro jesteśmy w klatce, zobaczmy, jaka jest duża.

Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Podeszedł do ocalałego Badyła i zapytał:

– Alfa?

– Beta – padła mechaniczna odpowiedź. W tych nieciekawych okolicznościach pozbawiony wszelkich emocji głos był czymś najgorszym, co Jake mógł usłyszeć.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej straty. To również nasza strata. To, co się stało z twoimi... z twoimi braćmi.

– Nie mamy ich kwiatów śmierci – rzekł Badył.

Jake nie miał pojęcia, co to może znaczyć.

– Nie mamy ich kwiatów śmierci, nigdy – powtórzył Badył.

– Przykro mi – wydusił z siebie Jake. Jakby mało miał zmartwień, zaniepokoiło go użycie zaimka w liczbie mnogiej. Czyżby Beta miał się za byt mnogi? – Czy mógłbym.. czy mógłbym coś dla ciebie zrobić?

– Tak. Później.

– Dobrze – powiedział Jake, zastanawiając się, jakie właśnie wziął na siebie zobowiązanie. – Ja... dobrze – powtórzył. – Mogę zadać ci teraz kilka pytań?

– Tak.

Jake usiadł na ziemi, aby znaleźć się na jednym poziomie z Badyłem. Istota ukryta pod przezroczystą kopułą wydawała się równie obca jak zawsze. Od łuskowatego pnia odchodziły pnącza czy macki albo na wprost zestalone błony, śluzowate i purpurowe. W nierównych odstępach sterczały trzy mięsiste liście, ręce, organy zmysłów czy cokolwiek to było. „Mówiąc”, Badył tkwił nieruchomo, toteż gdyby z translatora nie dobywały się jego słowa, Jake nie miałby nawet pojęcia, czy Beta nie jest równie martwy jak jego kompani.

– Dokąd twoim zdaniem udały się Zwierzaki?

– Zniszczyć pozostałe kolonie Zwierzaków.

Pozostałe „błuznierstwa”. Wszystko wskazywało na to, że wspólne geny nie mają dla Obcych znaczenia. Tak samo jak współczucie nawet wobec istot stworzonych na ich obraz i podobieństwo.

– Zniszczą też kolonię Zwierzaków na subkontynencie? – zapytał Jake, nie wiedząc, czy Badył zrozumie. – Tę dużą kolonię zdrowych Zwierzaków? Tę, która liczy wielu osobników i wciąż się powiększa? Wszystkie wydają się w pełni zdrowe...

– Grupa kontrolna – rzucił Beta, zadziwiając Jake’a.

Prezes Korporacji Mira po zastanowieniu uznał, że Badył podchwycił sporo naukowej terminologii dzięki ciągnącym się godzinami rozmowom George’a i Ingrid. A w każdym razie zrobił to translator.

– Tak, grupa kontrolna – potwierdził. – Czy te Zwierzaki ją zniszczą? Mimo że w niej nic nikomu nie dolega?

– Tak.

Ta monosylaba zmroziła Jake’a. Żadnej łaski. Nie zadał sobie trudu, aby spytać o patologiczną kolonię samic.

– Jak znajdują wszystkie zdrowe Zwierzaki? One przecież mieszkają w wielu wioskach i wyprawiają się daleko poza ich obręb, aby polować.

– Znajdą ich wystarczająco dużo. Zniszczą wszystkie albo prawie wszystkie samice. Samice rzadko polują. Reszta wymrze za pokolenie czy dwa.

– Beta... w tym rejonie żyją też ludzie. Jest ich tam około tysiąca. Czy Zwierzaki zniszczą również ludzi? – Jake wstrzymał oddech. Czejeni Larry’ego Smitha ze swą donkiszotowską śmieszna misją.

– Nie wiemy, czy zniszczą ludzi.

– Wliczając w to nas?

– Nie wiemy. Sposób myślenia Zwierzaków jest nam obcy. Tak jak wasz.

Jake zastanowił się nad tymi słowami. Z zamyślenia wyrwał go dopiero Karim, który powiedział:

– Bariera sięga miejsca, w którym stała wioska, po czym skręca na zachód, poszerzając się pod lekkim kątem. Sądząc z obserwacji Nan, wygląda to podobnie z drugiej strony, ale ona chce się jeszcze upewnić. To ogromna klatka, której kształt nie bez powodu jest taki,

jaki jest.

– Co to za powód?

– Moim zdaniem klatka obejmuje dziewięcioro ludzi. Nas i grupę Gail.

Grupa Gail... Lucy... Zatem nie odeszli zbyt daleko. Z drugiej strony, nawet gdyby znaleźli się poza klatką, dokąd mogliby uciec? Do Mira City mieli siedemset mil przez nieznaną dzicz, w której grasowały obce drapieżniki.

– Jeśli się nie mylę – podjął Karim – to już się natknęli na koniec bariery. Albo wkrótce do tego dojdzie.

– Wyślij do nich Nan.

– Sama poszła.

Bez wyraźnego polecenia. Jednakże Jake nie mógł sobie pozwolić na gniew w tej chwili.

– Co z Muellerem?

– Doktor Shipley twierdzi, że nic mu nie będzie. Po prostu stracił na jakiś czas przytomność i wciąż jest oszołomiony. Mam taką teorię, że Zwierzaki użyły pewnego rodzaju...

– Nie teraz – uciął Jake. – Później mi o tym powiesz. Beta uważa, że Zwierzaki polecały zniszczyć do cna resztę kolonii.

Karim przetrawił tę informację. Coś mignęło w jego ciemnych oczach, a na twarzy pojawił się rumieniec.

– Usiądź – poprosił go Jake, zanim młody mężczyzna zdążył zadać dręczące go pytanie.

– Jestem pewien, że też chciałbyś porozmawiać z Betą.

Karim usiadł posłusznie.

– Tak mi przykro z powodu twoich braci – powiedział do Bety i zwiesił głowę. Ludzie Fajsala mieli bardzo dobre maniery.

– Nie mamy ich kwiatów śmierci – rzekł Beta. Żal wyrażany tym mechanicznym głosem w dalszym ciągu przyprawiał o ciarki.

– Nie – zgodził się z Obcym fizyk.

– Nie mamy ich kwiatów śmierci, nigdy.

– Nie – powtórzył uprzejmie Karim.

Do rozmowy wtrącił się Jake:

– Mogę ci zadać więcej pytań?

– Tak.

– Co twoim zdaniem zrobią Zwierzaki, gdy już zniszczą wszystkie eksperymentalne kolonie?

– Skontaktują się ze swoim statkiem.

– Żeby odebrać dalsze rozkazy – domyślił się Jake. – To rozumiałe. I co potem?

– Odszukają inne eksperymentalne kolonie.

Jake i Karim popatrzyli po sobie zdziwieni.

– Inne kolonie? – zapytał ostrożnie Jake. – Jakie inne kolonie?

– Na drugiej planecie. W innym systemie gwiazdowym.

Karim gwizdnął przeciągle pod nosem. Dźwięk był zadziwiająco melodyjny. Beta natychmiast poprosił:

– Powtórz.

Karim zerknął na Jake'a, który skinął głową. Karim gwizdnął ponownie, po czym dorzucił osiem pierwszych taktów *Opowieści Lasku Wiedeńskiego*.

– Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak gwizdać – powiedział Jake. Ludzie nieustannie go zadziwiali.

– Jeszcze raz – poprosił Beta.

Karim pomimo beznamiętnego tonu tłumacza poczuł się zachęcony. Zagwizdał więcej taktów walca, potem zaś fragment jakiegoś utworu nieznanego Jake'owi, a na koniec, żeby się popisać, dodał jeszcze parę głosów ptaków. Wreszcie spojrzał z głupią miną na Jake'a.

– To rozjaśnia moją duszę – powiedział Beta.

To także musiała być fraza zaczerpnięta z Shipleya. Mimo to na Jake'u zrobiła dziwne wrażenie. Pograżony w żałobie Badył znalazł swego rodzaju pocieszenie w ludzkiej muzyce. Może na rodzimej planecie Badyli, gdzie przesiadują w słońcu, deliberując, też są jakieś ptaki? Wprawdzie Badyle porozumiewały się za pomocą sygnałów chemicznych, lecz to niekoniecznie oznaczało, że są całkowicie nieczułe na dźwięki.

– Pogwizdź ci więcej trochę później, jeśli będziesz chciał – dodał nieśmiało Karim.

– Dziękuję, Karimie – wtrącił Jake, po czym zwrócił się do Badyła: – Co za kolonie macie w innym systemie gwiazdowym? Też eksperymentalne, ze Zwierzakami?

– Ten sam eksperyment. Inne środowisko. Nie znamy planety Zwierzaków. Nie latamy na planetę Zwierzaków. Nigdy.

Jake usiłował poskładać informacje do kupy.

– Twierdzisz, że stworzyliście Zwierzaki w eksperymentalnym celu dwukrotnie w odmiennych środowiskach? Aby się przekonać, jakie modyfikacje genetyczne najlepiej unieszkodliwią ten gatunek? Przeprowadziliście dwa eksperymenty?

– Cztery.

Cztery. Zatem istnieją cztery planety zdolne utrzymać przy życiu organizmy oparte na węglu i DNA, oddychające mieszaniną tlenu i azotu, a do tego rozumne. Jak Zwierzaki. Jak ludzie. Jak daleko trzeba będzie polecieć, aby je znaleźć? Od jak dawna trwają te eksperymenty? Jake oczywiście rozumiał, że za sprawą relatywistycznej dylatacji czasu na planecie mogą upłynąć setki lat, podczas gdy na statku kosmicznym zaledwie kilka – dzięki temu Badyli były w stanie eksperymentować na Zwierzakach od pokoleń. Zarazem jednak te same setki lat upływały na rodzimej planecie Badyli. Jaki gatunek jest w stanie wieść wojnę przez milenia?

Jeśli się nad tym zastanowić, ludzie swego czasu toczyli – na znacznie mniejszą skalę – zmagania, które przeszły do historii jako wojna stuletnia...

Znienacka, nie mogąc się dłużej powstrzymać przed zadaniem tego pytania, Karim wypalił:

– Dlaczego po prostu nie rozpirzyliście rodzimej planety Zwierzaków za pomocą napędu próżniowego waszego statku?

– Nie robimy takich rzeczy.

Znowu ten pacyfizm. A może coś innego?

– Wasze statki kosmiczne są waszym dziełem? To wy stworzyliście swój statek matkę, który macie na orbicie?

– Statek matka jest dziełem Zwierzaków. My go używamy. Zwierzaki mają ich więcej. My używamy wielu. W domu, w słońcu, rozmyślamy o statkach.

– Skoro to wszystko skradziona technologia – zauważył Karim – to oczywiste, że Zwierzaki są w stanie stawić jej czoło. Ale jak Badyli... – Zażenowany zwrócił się do Bety. – Jak udało wam się przejąć tyle jednostek Zwierzaków? Skąd wzięliście technologię, o której... o której rozmyślacie w słońcu?

Beta milczał. Jake zdążył pomyśleć, że nie padnie żadna odpowiedź, lecz wtem zobaczył, jak otwiera się szczelina w dole platformy i wydostaje się przez nią na zewnątrz ramię. Beta zamierzał coś narysować, a to musiało potrwać.

Jake obrócił się, aby spojrzeć za siebie. Mueller podniósł się z poszycia i właśnie robił

przysiady. Wyglądał na okaz zdrowia. Jednakże doktor Shipley leżał wyciągnięty na ziemi, ręką zakrywając oczy. Jake pośpieszył w jego stronę.

– Śpi – wyjaśnił Mueller. – Panie Holman, mam broń. Ale jest nieskuteczna wobec tarczy Zwierzaków. Dlaczego?

Jake przypomniał sobie, jak wystrzelony przez żołnierza promień laserowy zwyczajnie zniknął, zanim dotarł do Zwierzaków czy ich wahadłowca. Kolejna zagadka.

– Nie wiem, Franz. Możesz zapytać Karima, choć nie sądzę, aby miał gotową odpowiedź. A teraz posłuchaj, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Kiedy Zwierzaki wrócą, nie wolno ci ich zaatakować, chyba że wydam wyraźny słowny rozkaz. Atak tylko pogorszy naszą sytuację. Zrozumiałeś? Ostrzegam cię, że przejaw nieposłuszeństwa potraktuję jako akt zdrady.

– Tak jest! – odparł Mueller z nieszczęśliwą miną.

Jake, czując się jak oszust przez to, że uzurpuje sobie rangę dowódcy, chociaż nie jest w armii, powiódł spojrzeniem w dół, na Shipleya. Lekarz chrapał głośno. Cóż, sen pewnie mu się przysłuży. Nikt nie wiedział, co jeszcze ich czeka.

Gdy Jake wrócił do Bety, ramię Badyła rozpląszczyło się śluzowato i właśnie zaczynały się pojawiać kolory, w miarę jak zmieniały się pigmenty poszczególnych komórek. Jake odczekał, aż proces „rysowania” się zakończy, co potrwało kolejne dziesięć minut.

– To system satelitów – domyślił się Karim. – Są rozmieszczone na wysokich orbitach w całym układzie planetarnym!

Jake przyjrzał się rysunkowi. Zobaczył umieszczone centralnie duże kółko, cztery mniejsze kółka, które dzieliła spora odległość i które mogły być planetami, oraz setki małych kropek zapełniających cały obraz.

– Nie sądzę, aby to były satelity... – powiedział do Karima. – Technologia Badyli jest odmienna od naszej, a zresztą jak by miały przechwycić tyle satelitów Zwierzaków?

– Nie satelity – rzekł Beta. – My.

Niczego to nie wyjaśniło. Jake przyjrzał się rysunkowi uważniej, ucząc się go na pamięć. Dostrzegł przy tym, że drugie z kolei mniejsze kółko jest wyposażone w pojedyncze cienkie włókno sterczące w przestrzeń kosmiczną – było to coś na podobieństwo ogona wahadłowca.

– Beta, czy druga planeta systemu to wasz rodzimy świat? – zapytał.

– Tak.

– A ta struna... co to jest? Ogon biegnący w próżnię?

– Nie ogon – odparł Beta. – Rampa.

– Aha. – Jake nadal nic nie rozumiał.

Od wschodu dobiegło wołanie. Jake zerwał się na nogi, nadstawiając ucha.

– Nan?

– Jake’u Holmanie? – odezwał się Badył.

– Słucham.

– Czy William Shipley może z nami posiedzieć?

– Zaraz go sprowadzę – obiecał zdumiony. Zanim jednak zdążył o cokolwiek zapytać, z lasu wybiegła Nan. Wyszedł jej na spotkanie.

– Jake! Wracają, Gail i reszta. Bariera kończy się parę stóp na wschód od ich pozycji. Skoro Zwierzaki i tak wiedziały, że ludzie tam są, Gail uznała, że równie dobrze możemy być wszyscy razem.

– Dzięki, Nan – powiedział Jake.

Dziewczyna miała twarz i ramiona pokryte zadrapaniami i sińcami, na które jednak nie zwracała najmniejszej uwagi. W rozczochrane włosy wplątały się jej liście.

Podchodząc do nich, Karim zapytał:

– George też tu idzie? Chcę mu o czymś powiedzieć.

– Oczywiście, że George też idzie. Cóż to, myślałeś, że go upiekli i zjedli? Lepiej trzymaj się swojej fizyki...

Tymczasem Jake zbliżył się do miejsca, gdzie leżał Shipley. Uklęknął i delikatnie potrząsnął lekarza za ramię.

– Doktorze, dobrze się pan czuje? Jest pan potrzebny.

Shipley dźwignął się ciężko z ziemi, popatrując w stronę lasu.

– Ktoś się zranił?

– Nie. Chodzi o Betę. Tego ocalałego Badyła... Poprosił, czyby pan z nim nie posiedział.

Wydaje mi się, że jest pogrążony w żalobie. – Albo coś w tym stylu.

Shipley spojrział w stronę okrytego kopułą Obcego. W oczach mu błysnęło.

– Jesteś żydem, Jake?

– Nie. Dlaczego?

– Słyszałeś kiedyś o kadiszu?

– Nie – przyznał się do swojej ignorancji Jake.

Shipley milczał przez chwilę, po czym powiedział cicho:

– Nie przestaje mnie zadziwiać, jak podobne do ludzi są Badyłe.

Jake'a nie przestawało zadziwiać, jak są różne od ludzi.

W końcu Shipley ruszył w stronę Badyła. Odprowadzając go wzrokiem, Jake zastanowił się, dlaczego Obcy poprosił właśnie o niego. To Shipley zaproponował, aby po prostu posiedzieli w milczeniu z Badyłami jeszcze pod boją nadawczą. To on nauczył Badyłe zdań w rodzaju: „To rozjaśnia moją duszę”. Kwakrzy, podobnie jak Badyłe, przesiadywali razem, rozmyślając czy marząc na jawie.

Zdaniem Jake'a z dwojga obcych ras bliższe człowiekowi były Zwierzaki. Wojna stuletnia. Racja jest po stronie silniejszego. Technologia równa się fizyce, a fizyka równa się broni.

Zaniepokojony ruszył w stronę lasu, wychodząc na spotkanie Gail, Lucy, George'owi i Ingrid.

George stwierdził:

– Nie satelity. Zarodniki.

Przyglądał się kopii rysunku nakreślonego przez ramię Badyła. Wszyscy oprócz Shipleya siedzieli wokół ogniska, którego rozpalenie zarządziła Gail. Dysponowała przenośnym piecykiem zabranym ze skimmera, jednakże najwyraźniej oszczędzała go na wypadek... no właśnie, czego? Zapewne na wypadek gdyby byli przetrzymywani w klatce przez dłuższy czas albo gdyby musieli wracać pieszo do Mira City. Jake nie sądził, aby taka ewentualność wchodziła w grę, jednakże Gail lubiła brać pod rozwagę każdą możliwość.

Zapadła noc, która tutaj, na Zielniku, przychodziła znienacka. Przez całe popołudnie wznosili obóz, korzystając z tego, co mieli pod ręką. Jako że nie było wiele sprzętów, obóz powstał bardzo prymitywny. Wcześniej Gail zabrała ze skimmera wszystko, co dało się unieść, dysponowali więc sproszkowanym jedzeniem. Mieli też jednoosobowy namiot, który służył za składzik żywności chroniący produkty przed warunkami atmosferycznymi i miejscowymi zwierzętami, poza tym pięć koców przetykanych włóknem termicznym, liofilizowane jedzenie, sagan do gotowania, parę łyżek, urządzenie do filtrowania wody i duży nadmuchiwany pojemnik do przechowywania czystej wody. Bariera energetyczna odcięła ich od rzeki, jednakże Nan znalazła zamulony stawik, po czym wszyscy kolejno – nie licząc Shipleya – targali sagan całą milę, aby napełnić go wodą i przytaszczyć z

powrotem na polanę, gdzie wlewali zawartość do urządzenia filtrującego, póki zbiornik się nie napełnił.

Jake nie miał wielkiego apetytu. Jednym uchem przysłuchiwał się temu, co mówi George, nie przestając obserwować Shipleya, który nadal siedział z Badylem. Chyba jeszcze nigdy nie widział takich ciemności; niebo zaciągnęło się chmurami, tak że jedynym źródłem światła był blask ognia. Gail oczywiście oszczędzała też latarki. Powietrze zrobiło się chłodne i wilgotne, istniało więc ryzyko, że jeśli Shipley posiedzi tam jeszcze trochę, zeszywnieje na amen. Jake modlił się w duchu, żeby nie rozpadał się deszcz. Gdy znów zwrócił uwagę na otoczenie, George właśnie mówił:

– Oczywiście, że to możliwe. Ich technologia zasada się na biologii, nie na fizyce. Potrafią tworzyć cząsteczki, o jakich nam nawet się nie śniło, a do tego są w stanie mieć nad nimi kontrolę. No więc stworzyły jakiś analog bakterii, które pożerają metalowe kadłuby statków Zwierzaków. Albo inne najbardziej narażone zewnętrzne części jednostki. Bakterie te namnażają się w zawrotnym tempie i...

– Skąd czerpią energię do takiego szybkiego namnażania? – zainteresowała się Ingrid.

– Ze słońca, tak jak Badyle.

– Potrzebowałyby też wody.

– Ingrid! – rzucił niecierpliwie George. – Skąd pewność, że potrzebują wody? Nie mam pojęcia, czego potrzebują. Nie są oparte na DNA.

– Mimo to – upierała się Ingrid – żeby żyć i namnażać się, muszą skądś czerpać podstawowy budulec. No i jak się tam w ogóle wzięły?

George wskazał na rysunek.

– Widzisz to włókno sterczące z planety? To może być winda kosmiczna.

– Nie da się tego wykluczyć – zgodził się Karim. Wziął do ręki rysunek i przyjrzał mu się uważniej, jak gdyby sam schemat był w stanie powiedzieć coś więcej.

– Coś w rodzaju panspermii – rzuciła Lucy. – Z tym że nie chodzi o tworzenie życia, a o dziurawienie kadłubów. Potem zjawiają się Badyle i adaptują statek do swoich potrzeb.

– W tej teorii jest więcej dziur, niż jestem zdolna zliczyć – stwierdziła Ingrid.

– Wiem – przyznał Karim. – Nie zapominaj jednak, Ingrid, że za tym wszystkim stoi nie tylko biotechnologia Obcych, ale też fizyka. Weźmy choćby tę barierę... My nie potrafimy czerpać energii z próżni, aby napędzać nią statki.

– O ile to właśnie robią Obcy – sprzeciwiła się znów Ingrid.

Jake wstał i przeciągnął się. Lucy spojrzała na niego pytająco, on jednak uśmiechnął się tylko do niej i gestem osadził ją na miejscu. Chciał sprowadzić Shipleya do prowizorycznego obozu. Lekarz siedział z Badyłem od wielu godzin i w tym czasie nie miał nic w ustach.

Shipley właśnie podnosił się na nogi, gdy Jake wyłonił się z ciemności. Prezes Korporacji Mira ledwie potrafił wychwycić w mroku zarys zwalistej sylwetki lekarza.

– Doktorze? Gail zaprasza pana na posiłek... – Gail, nie Nan. Córka Shipleya ani razu nie zapytała nawet o ojca.

– Dobrze. Beta zasnął czy co one tam robią.

Jake zastanowił się, po czym można to poznać. Wyciągnął po omacku rękę, aby złapać Shipleya za ramię.

– Pozwoli pan, że pana poprowadzę, doktorze.

– Jedną chwileczkę, Jake. Chcę ci coś powiedzieć. Beta dał mi swój kwiat śmierci.

– Co panu dał?

Shipley ujął dłoń Jake'a i położył ją na paczuszcze, która wydawała się owinięta grubą warstwą poszycia.

– To. Kwiat śmierci. Mały kawałek Bety, który ramię wypchnęło przez szczelinę w platformie. Jeśli nadarzy się sposobność, mam go przekazać innym Badyłom. Czy jeśli coś mi się stanie, zrobisz to za mnie?

Jake'a ogarnęły mieszane uczucia, których nawet nie starał się nazwać. Zapytał tylko:

– Złożył pan Obcemu przyrzeczenie na łożu śmierci?

– Nowi Kwakrzy nie składają przyrzeczeń – odparł Shipley. – Staramy się zawsze dotrzymywać słowa, nie trzeba więc żadnych więcej obostrzeń. Ale tak, powiedziałem, że to uczynię. Beta spodziewa się, że zginie, kiedy Zwierzaki wrócą. Jeśli nie zdołam, czy ty...

– Nie!

Shipley zmrużył oczy, aby widzieć lepiej w ciemnościach. Jake usłyszał własny ciężki oddech, poczuł, jak znów zalewają go wspomnienia. Donnie. Pani Dalton. Prośby umierających. Nie!

– Jake...

– Niech pan poprosi Gail. Albo George'a. I niech pan wróci do obozu, zanim nabawi się pan hipotermii. Cały pan drży.

– Jake...

– Mówię, żeby pan wracał!

Nie odzywając się więcej, Shipley ruszył po omacku za Jakiem w stronę grupki ludzi, którzy kulili się wokół ognia niczym członkowie jakiegoś prymitywnego plemienia pozbawionego jaskini czy tipi.

Wkrótce po wschodzie słońca rozpadał się deszcz – zimny i niesłabnący. Każdy chronił się jak mógł. Gail oddała składzik Shipleyowi, upierając się, aby zajął jedyny namiot.

– Proszę się ze mną nie spierać, doktorze. Jestem zbyt zajęta, aby wdawać się z panem w dyskusje – powiedziała.

Shipley jej uległ. W opinii Jake'a zyskał na tym tyle, że pozostał suchy, nawet jeśli było mu zimno. W ramach rekompensaty bowiem odmówił przyjęcia koca termicznego.

Jake i Lucy chronili się pod jednym, a Gail z Nan pod drugim. Mueller także nie przyjął koca – jak podejrzewał Jake, z żołnierskiego przyzwyczajenia. A może Franz był wyposażony w jakieś jeszcze ulepszenia, dzięki którym nie potrzebował dodatkowej ochrony. Pozostałe trzy kocy zaanektowali Ingrid, George i Karim. Wszyscy leżeli we wspólnym szałasie, który Nan kazała im zbudować z gałęzi. Osłona nawet się sprawdzała, nie licząc chwil, gdy wiatr zmieniał kierunek i zacinał deszczem do środka. W tych warunkach ludzie zapadli w niespokojny sen.

Jake poczuł, że coś mu rozpiera głowę od wewnątrz. Rozpoznawał to uczucie, jego intensywność i to, do czego ono prowadzi. Zalał go strach zimniejszy od deszczu.

– Lucy... – szepnął kobiecie na ucho, wdychając głęboką, słodką woń jej brudnych włosów.

– Nie śpię.

– Wyjdź ze mną na zewnątrz.

– Teraz?

– Przestało padać.

Nie była to do końca prawda, aczkolwiek faktycznie ulewa przeszła w mżawkę, a zresztą w szałasie było tylko trochę mniej mokro niż na dworze. Albo tak przynajmniej wmawiał sobie Jake. Ta nagła potrzeba pilnej rozmowy z Lucy przeraziła go nie na żarty. To przez Shipleya, przez Shipleya i jego przyrzeczenie złożone przekłętemu Obcemu, przez Shipleya i przez wspomnienia, które wywołał... Jake nie był w stanie wytrzymać ani chwili dłużej. Jeszcze moment, a eksploduje.

Lucy wstała i przestąpiła nad Ingrid i Karimem. Jake złapał ją za rękę, ani myśląc puszczać.

Poprowadził ją na oślep przez mżawkę i zatrzymał się w miejscu, gdzie kończyła się niewidzialna ściana i jeszcze niedawno stał skimmer. Ile to godzin temu – dwanaście, czternaście? Wydawało mu się, że minęło kilka dni. Gdzieś w tych ciemnościach Beta siedział pod swoją ociekającą wodą kopułą, której nie był w stanie dotknąć. Jake pociągnął Lucy na ziemię, tak że usiedli z plecami opartymi o ścianę i z kocem nad głowami w charakterze daszka.

– Jake, o co chodzi?

– Muszę ci coś powiedzieć...

Wyczuł, że stężała w oczekiwaniu.

– Muszę ci coś powiedzieć, ale nie jest to dla mnie łatwe. Chcę, żeby ktoś... żebyś ty wiedziała, zanim umrę.

– Nie umrzemy, Jake – rzekła łagodnie.

Boże, jaka ona była dzielna. Spróbował dorównać jej odwagą.

– Być może. Bardzo możliwe, że chcę, abyś się dowiedziała tak czy owak. Żebyś wiedziała, jakim jestem człowiekiem. – *Przestaniesz mnie wtedy kochać*, dodał w myślach. Mimo to czuł imperatyw mówienia. – Miałem brata. Był młodszy ode mnie o dwanaście lat. Nieokiełznany. Nasi rodzice zmarli, kiedy ja miałem dziewiętnaście lat, a Donnie siedem. Klepaliśmy biedę, nie mieliśmy żadnych krewnych, więc to ja wychowałem Donniego. Nie, to nieprawda. Donnie wychował się sam. Zbyt szybko absorbowana mnie nauka, najpierw szkoła, a potem studia prawnicze, żebym miał czas zawracać sobie głowę czymś więcej niż podstawowymi zakupami i kieszonkowym. Jako dziesięciolatek Donnie spędzał większość czasu na ulicy. Z wiadomymi skutkami.

– Jake, to nie była twoja...

– Wysłuchaj mnie, proszę. Jako czternastolatek Donnie był notowany przez policję. Właśnie skończyłem aplikację i próbowałem zaglądać do domu częściej, ale moje starania nic nie dały. W Atlancie, gdzie mieszkaliśmy, warunki były z dnia na dzień gorsze. Donnie przepadał na wiele dni z rzędu. Dlatego na siłę umieściłem go w pseudowojskowej szkole w Wirginii, gdzie ponoć kształcili trudne dzieciaki do służby w kosmosie. Gwarantowali motywację, dyscyplinę, cele. Całe to gównno, w które jeszcze wtedy wierzyłem. Z początku wydawało się, że to działa. Donnie zyskał przyjaciół, chłopców z szanowanych rodzin

zamiast ulicznych łobuzów. Zaczął się zadawać z Hobartem Sullivanem Daltonem Trzecim...

Zrobił pauzę, jednakże nie doczekał się żadnej reakcji Lucy. Deszcz znów przybrał na sile.

– Nie słyszałaś o morderstwie Daltona? Przed ćwierćwieczem?

– Jake, miałam wtedy pięć lat.

I tak powinna o tym słyszeć, ale dał jej spokój.

– Daltonowie byli bogaczami. Nieludzkimi. To o nich się mówiło, że drenują zarówno biedotę, jak i samą Ziemię. Anna Standish Dalton była wdową, a Hobart był jej najmłodszym synem. Dwoje starszych dzieci było niezłymi wampirami, ale Hobart uznał, że przyjemniej jest zachodzić za skórę krewnym, niż korzystać z przywilejów urodzenia.

– Zupełnie jak Nan Frayne – wtrąciła Lucy.

– Nie o to... Nieważne. Może. No więc Hobart i Donnie się spiknęli i zaczęli kraść w szkole, poza szkołą, gdzie tylko mogli. Zostali wydalen. Kiedy Donnie wrócił do domu, urządziłem mu piekło, zabrał się więc i zniknął razem z Hobartem w wysoce technicyzowanych slumsach Wirginii. Przysyłał mi maile od czasu do czasu, no to w końcu skorzystałem z usług jumpera i kazałem wyśledzić go elektronicznie. Zabrało mi to kilka lat, bo miałem własne problemy. Byliśmy z żoną w samym środku paskudnego rozwodu.

– Masz żonę?

– Miałem. Nazywała się Rania. – Dziwnie było myśleć, że Rania nie żyje od wielu dziesięcioleci i jest pochowana gdzieś tam, na cienistej Ziemi zagubionej w czasie za sprawą dylatacji relatywistycznej. – Nie byliśmy bogaci, ale walczyła o wszystkie nasze pieniądze. Oczywiście nie chciałem ich jej dać. Wydaliśmy majątek na tę walkę, a Donnie był przypadkową ofiarą. Ale gdy wytropiłem go w Wirginii, poleciałem tam taksówką powietrzną, wziąłem sobie hotel i zacząłem bezskutecznie sprowadzać go na dobrą drogę. Przypominało to zawracanie kijem rzeki. Widziałem, że zarówno Donnie, jak i Hobart zażywają neptuna i że ten narkotyk ich niszczy. Obaj byli wychudzeni, mieli rozszalały wzrok i chodzili nieumyjni. Nie chciałem finansować nałogu Donniego, tak samo jak pani Dalton nie płaciła za narkotyki Hobarta. Ten chłopak miał odziedziczyć swoją działkę dopiero po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia.

Gdy tym razem przerwał, Lucy się nie odezwała.

– Postanowiłem, że rozmówię się z panią Dalton, i oznajmiłem to Donniemu. Na miejsce

udałem się robotaxi. Właśnie zbliżałem się do bramy podmiejskiej posiadłości, w dalszym ciągu poza zasięgiem kamer monitorowania, gdy wtem drzwi się otworzyły i wypadł przez nie Donnie. Był rozhisteryzowany. Kazałem mu opowiedzieć, co się stało. Gdy to zrobił, trybiki w głowie zaczęły mi się kręcić z taką szybkością jak jeszcze nigdy. Byłem prokuratorem stanowym, wiedziałem, jak to działa.

Jake poczuł, że w ustach mu zaschło pomimo otaczającej go wilgoci. Oblizął wargi. Lucy była bardzo cicho.

– Zmusiłem Donniego, żeby zamienił się ze mną na ubrania. Buty, kombinezon, maska na twarz, rękawiczki. Kazałem mu wracać do miasta, oddalić się maksymalnie daleko, zanim złapie go policja, a przy aresztowaniu nie stawiać oporu. Hobart wcześniej unieszkodliwił system monitorowania i wciąż nie przywrócił jego funkcjonalności. Znał albo jakoś wyszperał kody. Ja wszedłem do środka. Sądziłem, że natknę się na służących, ale nikogo nie spotkałem. Pani Dalton i Hobart leżeli w jej gabinecie, tak jak powiedział Donnie. On chyba wystrzelił pierwszy, bo wciąż miał pistolet w dłoni. Ale ona musiała być równie szybka, może nawet wypaliła równocześnie, w każdym razie jej broń leżała obok niej. Hobart chyba się nie spodziewał, że pani Dalton jej użyje. Zabić matkę, to jedno. Zabić własne dziecko, to coś całkiem innego, nawet jeśli to dziecko właśnie cię zmusiło do otwarcia e-konta i przelania ci miliona dolarów. Wchodząc, miałem zamiar zabrać coś, cokolwiek, co pomoże w obronie Donniego. Wiedziałem, że zostanie złapany. Techniki śledcze są nazbyt rozwinięte, z pewnością zostawił po sobie włókna i Bóg wie co jeszcze. Ja także, ale wszystkie pochodziły z ubrania Donniego. Będą wiedzieć, że ktoś jeszcze przebywał na miejscu zbrodni, ale nie będą mieli pojęcia kto. Całą skórę miałem zakrytą. Podniosłem tablet z myślą, że później sprawdzę, do kogo należał, o ile jakieś dane to ujawnią. Wtem zauważyłem, że pani Dalton żyje. I zobaczyłem coś jeszcze.

Lucy drgnęła, lecz Jake położył jej dłoń na ramieniu, aby ją powstrzymać. Gdyby mu teraz przerwała, nie byłby w stanie dokończyć.

– Została postrzelona jakieś dziesięć minut wcześniej. Miałem całkowitą pewność, że umiera, ale jej serce jakimś cudem nadal pracowało. To znaczyło, że krew wciąż krąży. A dopóki krwiobieg działa, krew dociera wszędzie, także do naczyń włosowatych w oku. Hobart zdążył już ją zmusić do otwarcia e-konta w celu dokonania przelewu. Więc...

– Nie!

– Tak. Zawlokłem ją za włosy do terminala i przytknąłem jej twarz do skanera

siatkówki. To pozwoliło na autoryzację przelewu. Upuściłem umierającą kobietę i przelałem dziesięć miliardów dolarów na sekretne boliwijskie konto, które założyłem, aby ukryć pieniądze przed Ranią. Po wszystkim wyszedłem z domu. Nastąpił zbieg okoliczności na podobieństwo koniunkcji planet. Jedno i drugie to bardzo rzadkie zjawisko. W moich oczach znaczyło to tyle, że musiałem bronić Donniego. Wykradłem pieniądze, które i tak stanowiły tylko ułamek bogactwa Daltonów, żeby wynająć najlepszych prawników. Gliny może i będą się interesowały, skąd u mnie tyle kasy, ale nie zdołają mi niczego udowodnić. Nic nie łączyło mnie z miejscem zbrodni. Oczywiście zarówno moja praktyka, jak i moje życie miało ulec zrujnowaniu, jednak w tamtej gorączkowej chwili byłem na to gotowy, ponieważ w swoim przeświadczeniu miałem do spłacenia dług bratu. Zawiodłem go i moim obowiązkiem było to naprawić. Lucy, opuszczałem tamten dom w nimbie niecnej cnoty, rozświetlony własnym wewnętrznym światłem.

– Jake? – zawołała Gail z szasa. – Lucy?

– Tylko że nic z tego nie wypaliło – podjął szybko Jake. – Nie doszło do żadnego procesu. Zbieg okoliczności, podobnie jak koniunkcja planet, trwa tylko mgnienie. Potem planety ruszają swoim torem. Tamtego dnia Donnie udał się prosto do meliny w mieście, przedawkował i umarł.

– Jake! – Głos Gail stał się bardziej natarczywy. – Jesteś tam? Nic ci nie jest?

– Nikt mnie nie podejrzewał. Gliny założyły, że przelewu dokonał bądź Hobart, bądź Donnie, jeszcze przed tym, zanim wywiązała się strzelanina. Konta boliwijskie były absolutnie bezpieczne i absolutnie tajne. Gdyby takie nie były, połowa korporacji ponadnarodowych by upadła. Te dziesięć miliardów dolarów dla wszystkich zwyczajnie zniknęło z powierzchni Ziemi.

– Jake...

– Jeszcze tylko chwila. Odczekałem pięć pełnych lat. Potem wydałem miliard z tych dziesięciu na wynajęcie najlepszego jumpera na świecie, aby stworzył bogatego wujka, który zostawi mi w spadku pozostałe dziewięć. Gdy jumper skończył pracę, mój szwajcarski wuj Johan miał całą historię życia w necie, przyjaciół, współpracowników, wszystko. Wreszcie założyłem Korporację Mira i zacząłem się rozglądać za inwestorami, którzy by chcieli równie chętnie jak ja opuścić tę śmierdzącą, przeżartą zepsuciem planetę. Pierwszy napatoczył się William Shipley, zacyjny przywódca Nowych Kwaków, którzy

chcieli wieść czystsze i bardziej idealistyczne życie gdzie indziej.

– Jake! – krzyknęła Gail, do której głosu zakradł się strach.

– Nic nam nie jest, Gail! Zostaw nas w spokoju! – odwrzasnął Jake, jednakże Gail, zamiast wykrzyknąć zażenowane przeprosiny, chyba ruszyła w ich stronę. Po chwili Jake zobaczył światełko latarki podskakujące w ciemnościach.

– Resztę już znasz, Lucy. Zatem teraz wiesz wszystko. Sama jesteś bardzo czystą i idealistyczną osobą. Czy potrafisz powiedzieć, że kochasz kogoś, kto zrobił coś takiego?

Nie widział jej twarzy. Lucy milczała i w tej ciszy Jake zrozumiał, czemu się przed nią zdradził. Nie z powodu przyrzeczenia złożonego Badyłowi przez Shipleya ani nawet nie dlatego, że Shipley miał chęć poprosić go w związku z tym o przysługę. Ani nie po to, żeby ktoś poznał prawdę o nim przed jego śmiercią. Nawet nie po to, by przetestować siłę uczucia Lucy. Nie. Powiedział jej o wszystkim, aby zniszczyć to uczucie. *Przestaniesz mnie kochać. A ja będę nareszcie wolny, nie będę musiał dorosnąć do twoich wyobrażeń o mnie...*

– Lucy? – zapytał cicho, niemal pieszczotliwie.

W dalszym ciągu ani się nie poruszyła, ani nie odezwała. A później nakryła ich Gail: nieświadoma niczego, zorganizowana do bólu, nadgorliwa Gail, która zaświeciła im obojgu w oczy, mówiąc:

– Ej, nie powinniście siedzieć na tym deszczu! Czy coś jest nie tak?

– Nie, Gail – odparł Jake. – Wszystko jest jak należy, nie licząc tego, że tkwimy w klatce na tym zimnie, unieruchomieni przez wojowniczych Obcych skłonnych zabijać wszystko, co się rusza. Reszta jest w idealnym porządku.

Shipley przebudził się cały zeszywniały, mimo że przespał noc na miękkiej podłodze namiotu w jedynym suchym schronieniu. Chwilę mu zajęło, zanim się wyczołgał z namiotu i stanął na nogi. Rozprostował kolana i ramiona, co jednak w niczym nie polepszyło jego samopoczucia, po czym włożył rękę do kieszeni. Wszystko było na swoim miejscu.

Wcześniej Gail podarowała mu wodoszczelne, chronione zamkiem elektronicznym plastikowe opakowanie wielkości jego dłoni, w którym schował „kwiat śmierci” Bety, pozbywając się żalostnej osłony z lokalnego poszycia. Nie miał pojęcia, co Gail usunęła z opakowania, aby się nim podzielić. Cokolwiek to było, z pewnością znalazła dla tego przedmiotu inne miejsce. Gail... Stała właśnie, komenderując przygotowaniem śniadania, które gotowało się na przenośnym piecyku. Może po mokrej nocy zabrakło suchego drewna. Niebo wciąż było zaciągnięte.

Wyglądało na to, że wszyscy zdążyli już wstać i rozejść się do swoich zajęć. Shipley rozejrzał się za Naomi, nie zobaczył jej jednak. Skierował więc kroki w stronę Bety.

Mała platforma Badyła stała obok obłości niewidzialnej ściany. Pomimo długich deliberacji ludzie nadal nie mieli pojęcia, czemu jeden z Badyli ostał się przy życiu, choćby tymczasowo. *Czyżby dla przyszłych tortur?* Shipley aż się wzdrygnął na tę myśl.

Nie miał pojęcia, jak poznać, czy Beta już nie śpi, o ile w ogóle Badyłe znały coś takiego jak sen. Wprawdzie Beta wspomniał coś o „śnieniu”, lecz Shipley nie wiedział, czy chodzi faktycznie o sen, medytację czy jakiś jeszcze inny nieznanym ludziom stan.

– Witaj, Williamie Shipleyu – odezwał się monotonnym głosem translator.

– Dzień dobry, Beto.

– Posiedź z nami w milczeniu, Williamie Shipleyu.

Lekarz przyniósł ze sobą stołek. Wdusiwszy guzik uruchamiający nadmuchiwanie, opuścił się ciężko na siedzisko i zwiesił głowę. W brzuchu mu burczało, ale nie zwracał na to uwagi.

Cisza. Spokój.

Nie był pewien, jak długo tak siedział. Nie miał potrzeby się odzywać. Milczenie przerwał Beta.

– Williamie Shipleyu, dzisiaj umrzemy.

– Jeśli taka będzie wola Światła – odparł, ponieważ czuł, że powinien coś powiedzieć.

– Śmierć nas smuci.

– Ale tylko smuci – rzekł. Tym razem jego słowa nie padły jedynie po to, aby zapełnić czymś ciszę. Coś w nim drgnęło, głęboko i mocno, co czując, aż przymknął oczy z wdzięczności.

– Tak – przyznał Beta. – Kwiaty śmierci urosną. Urosły już dwa razy. Mogą urosnąć i trzeci raz.

– Tak mówiłeś minionej nocy.

– Musisz powiedzieć Jake’owi Holmanowi.

Shipley otworzył oczy.

– Mam powiedzieć Jake’owi o bibliotece genów? Dlaczego?

– Zwierzaki mogą cię zabić, Williamie Shipleyu. Mogą zabić wszystkich ludzi. Albo niektórych. Nie jesteście jak my. Jesteście jak nasze wózki. Przypominacie też Zwierzaki. Zwierzaki mają przywódcę, tego, który przemawia pierwszy. Wy też macie przywódcę, który przemawia pierwszy. Jeśli pozostawią przy życiu kogoś człowieka, będzie nim przywódca. Opowiedz Jake’owi Holmanowi o kwiatach śmierci. Opowiedz mu, gdzie jest planeta kwiatów śmierci. Zwróci nam nasze kwiaty śmierci.

Była to najdłuższa przemowa, jaką wygłosił jakikolwiek Badył. Ile George’owych „sygnałów chemicznych” było koniecznych, aby translator mógł je zamienić na słowa? Shipley uzmysłowił sobie, że Beta przygotowywał tę mowę przez całą noc. Ile czasu Badył może spędzić pod kopułą bez potrzeby wzmocnienia się... czymś? George oceniał, że taki zamknięty ekosystem może być samowystarczalny przez jakiś czas, aczkolwiek na pewno nie w nieskończoność, w przeciwnym razie cały ten śluz nie byłby potrzebny w wahadłowcu Badyli.

– Powiem Jake’owi Holmanowi – rzekł. Nagle opuścił go jakże cenny wewnętrzny spokój wywołany milczeniem. – Beto...

– Dziękuję. Posiedźmy w ciszy.

Nic więcej Shipley nie mógł zrobić.

W dalszym ciągu tam siedzieli, gdy rozległ się huk, który narastając, zamienił się w światło na niebie.

– Wrócili! – zawołał Jake. – Kryć się wszyscy!

Shipley ani drgnął. Beta milczał.

Wahadłowiec Zwierzaków wylądował w miejscu po osadzie. Rampa pojawiła się od

razu i na zewnątrz wyszły trzy Zwierzaki. Samica zbliżyła się do Bety, podczas gdy samce skierowały się do ludzi skupionych wokół Jake'a.

Shipley wstał.

– Nie. Proszę, wysłuchajcie mnie najpierw.

Samica go zignorowała. Nie miała ze sobą translatora, w jej uszach jego słowa brzmiały jak bełkot. Gdy Shipley postąpił w jej stronę, to również zignorowała. Trzymała coś w ręce.

Stojący za lekarzem Karim zaczął gwizdać, cicho i słodko, jedną z melodii, które tak się podobały Badyłowi minionego dnia.

– Żegnaj, Williamie Shipleyu – powiedział Beta.

Samica wypaliła. Badył i jego platforma zniknęli.

– Żegnaj, Beto – szepnął doktor Shipley.

Następnie samica gestem skierowała Shipleya do reszty ludzi. Zdrętwiały lekarz stanął obok Naomi. Tymczasem przywódca Zwierzaków za pomocą jajowatego translatora leżącego na ziemi rzucił:

– Ty. Chodź tutaj.

Zwracał się do Jake'a. Prezes Korporacji Mira zawahał się, po czym przeszedł we wskazane miejsce znajdujące się kilka jardów od grupy. Drugi samiec złapał go za ramię i zaczął rozcinać mu ubranie narzędziem, które trzymał ukryte w futrzastej dłoni.

– Ejże! – krzyknęła Naomi gniewnie i rzuciła się naprzód.

Gail usiłowała ją złapać, ale jej się nie udało. Nie miało to znaczenia – Naomi wpadła na niewidzialną barierę. Znowu byli w klatce.

Naomi zaczęła przeklinać, sypiąc takimi bluźnierstwami, że zszokowany Shipley patrzył na nią oniemiały. Gail rzuciła ostro:

– Przestań, Nan! Translator i tak nie zna tych słów, więc tylko denerwujesz Jake'a.

Naomi ucichła, opierając się o ścianę. Jej twarz jednak w dalszym ciągu wykrzywił grymas.

Tymczasem Zwierzak nie przerwał zdzierania odzieży z Jake'a, aż rozebrał go do naga. W chłodnym porannym powietrzu na ciele wystąpiła mu gęsia skórka. Shipley odwracał wzrok, dopóki Zwierzak nie przejechał obłym ciemnym przedmiotem po piersi i plecach Jake'a. Gdy inspekcja dobiegła końca, przywódca zapytał:

– Kim jesteś?

– Jestem człowiekiem – odparł Jake. Stał z rękami zwieszonymi buńczucznie wzdłuż boków, nie próbując się zasłaniać. Jego przyrodzenie zwisało wiotkie i blade.

Przywódca trzepnął go w ramię, wystarczająco mocno, aby na twarzy Jake'a pojawił się grymas bólu.

– Kim jesteś? – Pytanie powtórzone bezpłciowym głosem przez translator zabrzmiało obscenicznie.

– Jestem przywódcą ludzi – spróbował Jake ponownie.

Najwyraźniej o to chodziło Obcym. Samica odepchnęła Jake'a na bok. Zachwiał się, ale nie przewrócił, zamknięty w drugiej klatce.

Drugi samiec sięgnął ku grupce ludzi. Najbliżej stała Naomi.

– Nie! – krzyknął Shipley przenikliwym, piskliwym głosem, którego nie poznawał.

Gail okazała się silniejsza.

– Nań, nie walcz z nim. Słyszysz? Nie walcz. Jeśli będziesz się opierać, skończysz martwa albo okaleczona!

Shipley stracił ostrość widzenia. Jednakże Naomi po raz pierwszy w życiu kogoś posłuchała. Stała nadąsana, lecz milcząca, gdy Zwierzak rozcinał na niej ubranie i badał ją zakrzywioną różdżką. Shipley zdał sobie sprawę, że to wykrywacz broni. Odwrócił spojrzenie od nagiego ciała córki.

– Kim jesteś?

– Jestem posłańcem ludzi – warknęła Naomi.

Samica popchnęła ją w stronę Jake'a.

Shipley uświadomił sobie, że niewidzialna ściana otwiera się i zamyka zgodnie z wolą Zwierzaków. *Naomi...*

Następny był George. Botanik w średnim wieku miał lekką nadwagę, a jego ciastowate ciało było pokryte naprzemiennymi pasami opalanej i bladej skóry. Stał ze stoicyzmem, nie opierając się.

– Jestem naukowcem od roślin.

– Jestem naukowcem od ewolucji. – To powiedziała Lucy, która była tak szczupła, że żebra jej sterczały pod nagimi piersiami. Czy translator znał słowo „ewolucja”? Tak. Lucy została pchnięta obok George'a, Naomi i Jake'a.

– Jestem naukowcem od gwiazd i planet. – Coś błysnęło w oczach Karima, który ledwie

panował nad swoim umięśnionym śniadym ciałem.

– Jestem naukowcem od genów. – Ingrid choć ten jeden raz się nie sprzeczała.

– Jestem żołnierzem. – Mueller był ostatni z tej grupy.

Shipley spodziewał się, że żołnierz pójdzie raczej na pierwszy ogień, chociaż może wojskowi trzymają się z tyłu i wyczekują sposobności do ataku? Jeśli nawet, temu się nie udało. Przekładaniec mówił głosem równie głuchym jak translator. Białe blizny znaczyły jego ciało w miejscach, gdzie przeszczepiono mu sklonowane narządy.

W końcu na placu boju pozostali tylko Shipley i Gail. Cała ta obsceniczna procedura przywołała lekarzowi na myśl coś, co krążyło nieuchwytnie na obrzeżach jego oszołomionego umysłu. Pamięć o jakimś momencie w historii, kiedy to jedni ludzie odzierali innych z ubrania i kazali im się opowiadać, po czym formowali szeregi tych, którzy przeżyją, i tych, którzy zginą. Nie mógł sobie jednak przypomnieć dokładnie. Nie był w stanie myśleć. Poza tym tutaj nie było szeregów, była tylko grupka nagich drżących ludzi za niewidzialną ścianą.

Shipley ponieważ chciał uprzedzić Gail, lecz odepchnęła go łokciem na bok. Podczas gdy odzierano ją z ubrania, Shipley obserwował Naomi. Nigdy jeszcze nie widział na ludzkiej twarzy równie przerażającej miny; nie zdawał sobie nawet sprawy, że ludzka twarz może tak wyglądać.

– Jestem administratorem – powiedziała Gail.

Translator milczał; nauczył się angielskiego za pośrednictwem Badyli, które raczej nie miały w swoim słowniku wyrazu „administrator”. Drugi samiec wyrzwał Gail pięścią. Zachwiała się i złapała mocno za posiniaczone ramię.

Nie załamała się jednak.

– Jestem strażnikiem imion.

Coś zmieniło się w wyrazie twarzy przywódcy Zwierzaków, który do tej pory stał nieruchomy jak głaz. Pobiegnął spojrzeniem do twarzy Gail. Translator u jego stóp ożył.

– Jesteś strażnikiem imion i ptaków?

Ptaków? Shipley pomyślał, że się przesłyszał. Jednakże Gail była bystrzejsza od niego.

– Jestem strażnikiem imion i ptaków.

Przywódca wydał z siebie ryk – taki sam jak zaraz po pierwszym lądowaniu. Drugi samiec puścił ramię Gail. Następnie wszystkie trzy Zwierzaki opadły na kolana, podwijając potężne ogony pod siebie.

Pozostali w pozycji na klęczkach – o ile oto właśnie chodziło – tylko przez moment. Wkrótce znowu stali, wspierając się na ogonach. Z translatora dobiegło:

– Oddajemy cześć strażniczce imion i ptaków. Możesz teraz umrzeć, jeśli chcesz umrzeć za ptaki i poranne niebo.

Gail odparła drżącym głosem:

– Nie chcę teraz umierać.

– Powiesz nam, kiedy zechcesz umrzeć za ptaki i poranne niebo?

– Powiem wam, kiedy zechcę umrzeć za ptaki i poranne niebo.

Przywódca zaryczał ponownie. Gail została poprowadzona – nie pchnięta – do reszty grupy. Shipley podziwiał ją za przytomność umysłu.

W końcu nadeszła jego kolej. Stał spokojnie, wpatrzony w ziemię, gdy rozcinano na nim ubranie. Nagły powiew wiatru na nagiej piersi i genitaliach był chłodniejszy, niż się spodziewał. Zalał go wstyd, prymitywny i niezasłużony. Zakrzywiona różdżka omiotła jego ciało i zatrzymała się przy ręce. Zmusił się do rozprostowania dłoni, w której trzymał zamknięte pudełko.

– Naprawiam zepsute ludzkie ciała – powiedział. Wątpił, aby wyraz „lekarz” funkcjonowało w słowniku Badyli, które przy swej znajomości genetyki z pewnością naprawiały się same. – To moje narzędzia. Są mi potrzebne, abym mógł naprawiać ludzi.

Zwierzak odebrał mu kwiat śmierci i rzucił go na kupę pociętych ubrań. Samica uniosła broń i wypaliła, dezintegrując wszystko w okamgnieniu.

Tożsamość genetyczna Bety nigdy nie trafi do ukrytej biblioteki. Beta przepadł na dobre. Shipley w dalszym ciągu nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie czytał o dwuszeregu nagich więźniów, tych, którzy przeżyją, i tych, którzy zginą, kończąc swoją linię rodową. Żałował, że pamięć go zawodzi.

Jeszcze bardziej było mu przykro, że nigdy nie poznał prawdziwego imienia Bety.

Dziewięcioro ludzi zapędzono na pokład wahadłowca. Jednostka bądź od początku składała się z dwu sekcji, bądź została przemodelowana nocą, ponieważ część, w której znaleźli się ludzie, nie miała połączenia z resztą statku. Nie licząc grubej wyściółki na podłodze, na wpół jajowate pomieszczenie pozbawione było jakichkolwiek sprzętów. Panował w nim chłód większy niż na zewnątrz.

– Ładownia? – Ingrid załamał się głos. – Jeśli nie ma regulowanego ciśnienia...

– Na to są za mądrzy – uspokoił ją George. – Ich rodzima planeta musi być zimniejsza od naszej. Wystarczy spojrzeć na to futro.

– Kłaść się wszyscy – zarządził Karim. – Ten statek nie ma napędu McAndrew, odczujemy więc boleśnie przyśpieszenie.

Aby się zmieścić, musieli się przytulić wzajemnie do siebie. Shipley znalazł się pomiędzy ścianą i czerwoną na twarzy Lucy. Była tak przyciśnięta do niego, że czuł jej stwardniałe z zimna sutki. To sprawiło, że sam się głupio zarumienił.

– Unosimy się – rzucił niepotrzebnie Karim. Najwyraźniej naukowcy panowali nad strachem, relacjonując fakty na głos.

Pierś Shipleya przygniół ogromny ciężar. Lekarz nie mógł złapać tchu. Gałki oczne wwiercały mu się w głęb czaszki, a ciało zamieniło się w ołów. Czuł, że zaraz straci przytomność. W końcu jednak było po wszystkim i mógł zaczerpnąć powietrza do płuc, które zdawały się go palić żywym ogniem.

– Nie było tak źle – sapnął George. – Co najwyżej sześć g, i to tylko przelotnie.

– Wszyscy dobrze się czują? – zapytał Jake. – Doktorze?

– T... tak – wydusił z siebie Shipley, jakąś częścią umysłu rejestrując fakt, że głos Jake’a Holmana dobiegł z przeciwległego krańca pomieszczenia, a nie z drugiej strony Lucy.

Karim usiadł.

– Nie znajdujemy się w nieważkości. Jak oni to, do diabła, robią?

Jake go zapytał:

– Czy przeciążenie wróci? Powinniśmy pozostać w pozycji leżącej?

– Nie widzę powodu, skoro przydokujemy do statku matki – odparł Karim.

Jake nie kazał wszystkim z powrotem się położyć. Shipley doskonale rozumiał dlaczego: siedząc, mieli przynajmniej kilka cali luzu z obu stron.

Ale było zimno, bardzo zimno. Podnosili się kolejno bez słowa, drżąc. Szczupłe ciało Lucy zdawało się zimne niczym lód. Grubszy od niej Shipley oceniał, że różnica temperatur ich ciał wynosi jakieś trzy stopnie. Objął ją ramionami, a po paru minutach wszyscy stanowili jedną wielką trzęsącą się z zimna masę ciał.

Na szczęście nie trwało to długo. Szarpnęło nimi lekko, po czym drzwi się otworzyły. W progu stał przywódca Zwierzaków i jego dwóch przybocznych. Ludzi bezceremonialnie wyciągnięto z wahadłowca, który zdawał się znajdować w ciasnym mrocznym doku.

Następnie przepchnięto ich za drzwi, które się za nimi zamknęły. Litościwie w środku było cieplej.

Trafili do kolejnego pustego pomieszczenia, jeśli nie liczyć wyściółki na podłodze. Pośrodku leżały dwa metalowe jaja. Jedno było translatoem, tym samym, którego Zwierzaki używały na Zielniku, albo tylko podobnym. Drugie, otwarte u góry, zawierało wodę.

– Nie ma jedzenia – zauważyła Ingrid.

– Czy wszyscy dobrze się czują? – zapytał Jake.

W odpowiedzi usłyszał chóralne „tak”.

– No dobra – podjął Jake. – Nie wiemy, dokąd nas zabierają ani dlaczego to robią, ani jak długo potrwa podróż. Ale żyjemy. To już coś.

Tym razem nikt nie odpowiedział.

– Dokądkolwiek lecimy – odezwała się żywo Gail – nie musimy siedzieć tu beczynnienie. Karim... zdaje się, że mówiłeś coś o jakimś napędzie Mc... kogoś tam? Który potrafi przyspieszać i zwalniać niemal błyskawicznie, dzięki czemu porusza się między systemami gwiazdnymi szybciej niż ludzkie statki...

– Tak – potwierdził Karim. – Napęd McAndrew. Składa się z dysku z supergęstej materii, która...

– Świetnie – wpadła mu w słowo Gail. – To znaczy, że nie musimy się obawiać przeciążenia przy opuszczaniu orbity?

– Chyba nie. Bardzo możliwe, że już zdążyliśmy opuścić orbitę.

– Dobrze – powiedziała Gail i kiwnęła głową. – To znaczy, że ta wyściółka podłogowa nie jest specjalnie potrzebna. Przekonajmy się, ile tego materiału zdołamy wydrzeć czy wydrapać i poszarpać na pasy. Może dzięki temu uda nam się spreparować coś w rodzaju minimalistycznego ubrania. Nie wiemy, jakie temperatury panują tam, dokąd lecimy. Poza tym przyda nam się jakieś zajęcie.

Ingrid przyglądała się jej, jakby Gail straciła rozum. Jake jednak powiedział:

– Doskonały pomysł, Gail. No dobrze, to zaczynajmy.

– Chwileczkę – odezwał się Shipley, ale z jego ust wydobyło się tylko skrzeknięcie. Musiał spróbować ponownie. – Chwileczkę. Zaczekajcie, proszę.

Wszyscy zwrócili się ku niemu. Musiał zachować ostrożność. Jeśli nazwie to spotkaniem religijnym albo chwilą wspólnej ciszy, nikt go nie poprze. Rozlegnie się hałas: rozmowy,

gadanina, kłótnie, przerzucanie się argumentami naukowymi. Czy kłamstwem będzie użycie innej nazwy?

Nie. Potrzeba była zbyt wielka.

– Zanim zaczniemy organizować sobie ubranie – powiedział – może byśmy uczcili chwilą ciszy pamięć Bety?

Przyjrzał się wpatrzonym w niego twarzom. Jake miał oblicze pełne napięcia, Gail wyraźnie się niecierpliwiła, ale Lucy i o dziwo, Karim wydawali się pełni współczucia. Mueller pozostał bierny jak zawsze. Ingrid i George zachowali obojętność.

Nie śmiał spojrzeć na Naomi. Naomi, która miała dla niego tylko pogardę i czerpała radość z zadawania mu bólu. Nie czuł się na siłach stawić jej czoło w tym momencie, tak jak robił przez całe życie, usiłując wskazać córce właściwą drogę. Był taki zmęczony... *Beta zginął, a ja zawiodłem zaufanie tego Badyła, nie spełniając jego ostatniej prośby. Jeśli jeszcze Naomi zwróci się przeciwko mnie, chyba się załamie...* uświadomił sobie z przerażeniem.

– Oczywiście, doktorze – odparł Jake. – Możemy uczcić pamięć Bety paroma chwilami ciszy. Był zawsze... był zawsze łagodny.

Ingrid zmarszczyła czoło. Shipley wymazał ją sprzed oczu, opuszczając powieki i zwieszając głowę. Nie wiedział, czy pozostali poszli w jego ślady, ale przynajmniej nikt się nie odzywał. Shipley usiłował oczyścić umysł, otworzyć drogę spokojowi i światłu, gdyby chciały do niego przyjść. Nie było to łatwe. Wszyscy obecni tolerowali jego milczenie, lecz go nie dzielali, niecierpliwiąc się, kiedy będą mogli przejść do czynów, które ich zdaniem były ratunkiem. Nie było to spotkanie religijne. Nie było to w ogóle żadne spotkanie, nie była to nawet chwila ciszy ku pamięci Bety – tylko narzucony moment milczenia, wymuszony przez jego arogancję i błędnie pojmowaną potrzebę dawania w sytuacji, w której powinien raczej brać. Ot, bezużyteczne niepotrzebne nadużycie, które nikomu nic nie przynosi, a już zwłaszcza jemu...

Nagle Karim zaczął gwizdać. Sekundę później Shipley poczuł dotyk drobnych, pokrytych odciskami palców, kiedy Naomi wsunęła rękę w jego dłoń.

Gail nie miała pojęcia, jak długo spała. Ze snu wyrwało ją otwarcie drzwi.

W progu stał Zwierzak, który spoglądał obojętnie na budzących się kolejno ludzi. Kilkoro największych śpiochów nie usłyszało skrzypnięcia drzwi i spało dalej w błogiej nieświadomości. Zwierzak – który mógł, ale nie musiał być jednym z trojga widzianych wcześniej, wszystkie bowiem w oczach Gail wyglądały tak samo – nie zareagował w żaden sposób, widząc wyrwaną z podłogi wyściółkę, która teraz służyła za skąpe odzienie ludzi zakrywające różne części ciała. Większość osób owinęła się przydziałowym materiałem w biodrach, zasłaniając genitalia. Lucy i Nan, najdrobniejsze ze wszystkich, zdołały też zasłonić piersi, tworząc coś na podobieństwo skromnego pareo.

– Chodźcie – powiedział Zwierzak za pośrednictwem jajowatego tłumacza, który przyniósł ze sobą.

Gładkie dotąd jajo było teraz wyposażone w uchwyt. *Dla wygody*, pomyślała Gail, po czym potrząsnęła George'em, aby go obudzić.

Dziewięcioro ludzi postąpiło śladem Zwierzaka, który prowadził ich przez ten sam – a może inny – bezpłciowy korytarz do wahadłowca. Raz jeszcze zostali stłoczeni w ciasnej przestrzeni. Ostatnia w szeregu Gail poczuła na ramieniu dotyk Zwierzaka i aż podskoczyła.

– Strażniczko imion i ptaków, możesz teraz umrzeć, jeśli chcesz umrzeć za ptaki i poranne niebo.

W zasięgu wzroku nie było żadnego nieba, o ptakach nie mówiąc.

– Nie chcę teraz umierać za ptaki i poranne niebo – odpowiedziała Gail z taką stanowczością, na jaką było ją stać.

Gdy Zwierzak puścił jej ramię, wspięła się do wahadłowca.

– Połóżmy się – rzucił ostro Jake. – Może nas czekać przyspieszenie.

Ledwie skończył, Gail poczuła napierające na nią ciśnienie. Nie mając innego wyjścia, zniosła nieprzyjemne uczucie bez walki. Po paru chwilach wszystko wróciło do normy.

– Jak się wszyscy czują? – zapytał Jake. – Doktorze?...

Nan odpowiedziała za ojca:

– Stracił przytomność. Ale oddycha.

Obserwowała doktora Shipleya, a Gail przyglądała się jej.

Nan trzymała ojca za rękę podczas żalnego sentymentalnego „nabożeństwa” za zmarłego Badyła, lecz puściła ją, jak tylko chwila ciszy się skończyła, po czym nie spojrzała na niego ani razu. Cokolwiek działo się z tą dziewczyną, Gail miała nadzieję, że szybko jej przejdzie. Nan powinna się wreszcie zdecydować, jak będzie traktować Shipleya: wypadałoby, aby zachowywała się w stosunku do niego przyzwoicie albo całkowicie go ignorowała. Tak samo powinna podjąć decyzję w sprawie Zwierzaków. Kibicowała eksperymentalnej grupie na Zielniku, ale była przeciwna tym tutaj okrutnikom. Zdaniem Gail było to zrozumiałe i rozsądne, jednakże Nan najwyraźniej pokomplikowała to w swym zaburzonym umyśle. Z jakiegoś powodu wymagała jednolitej reakcji i to rozdarcie sprawiało jej ból, którego Gail nie pojmowała. Coraz bardziej ją denerwowało niezdecydowanie kochanki względem Obcych. W tych warunkach zakrawało ono na fanaberię.

Jake’a i Lucy też coś poróżniło w trakcie deszczowej nocy, którą przegadali pod gołym niebem. Od tamtej pory Lucy unikała go wzrokiem i odkąd znaleźli się na pokładzie statku Zwierzaków, ani razu obok niego nie usiadła przez całe półtora dnia. O ile to faktycznie było półtora dnia – światła nie gasły ani na chwilę, tak że ludziom pozostawało jedynie kierować się własnym wewnętrznym zegarem.

Dlaczego oni wszyscy, Nan i Shipley, Jake i Lucy, a nawet Franz Mueller, który wciąż nie przebolewał śmierci Scherera, nie widzą, co tutaj jest naprawdę ważne? W obecnej chwili liczyło się tylko przeżycie. Wszystko inne stanowiło wyłącznie uzalanie się nad sobą. Gail miała ochotę nimi potrząsnąć.

Zaburczało jej w brzuchu. Boże, ależ była głodna. Na statku nie podano im nic do jedzenia. Lucy i Nan, którym brakowało zapasów tłuszczu, zdążyły już schudnąć na twarzy. Reszta, wyposażona w warstewkę tłuszczu, po prostu cierpiała głód.

– Zwalniamy! – krzyknął Karim i wszyscy uczepili się tego, co mieli pod ręką, czyli siebie nawzajem.

Gdy wahadłowiec w końcu się zatrzymał, Gail miała wrażenie, że kości jej wciąż drżą.

Dokąd przylecieli?

Drzwi się otworzyły. Jake przepchnął się do przodu i wyszedł pierwszy z Muellerem deptającym mu po piętach. Gail zamykała stawkę, idąc za Shipleyem i Karimem, który podpierał starszego mężczyznę.

Byli na innej planecie. Choć mogła się tego spodziewać, przeżyła wstrząs. Ciało jej

ciężko i zdawało się poruszać w ślimaczym tempie. Rozejrzała się i zamrugła.

Stali na rozległym płaskowyzu u podnóża stromej góry. Z jednej strony wznosiły się czerwone skaliste zbocza częściowo pokryte zielonkawą roślinnością. Po takim czasie spędzonym na Zielniku czerwona skała i zielona flora wydawały się dziwne, nie na miejscu. Rośliny powinny być purpurowe.

W przeciwnym kierunku miała widok na otwartą przestrzeń – całymi milami ciągnął się nierówny teren. Doliny, rzeki, znowu jakieś góry. Słońce, zawieszone nisko na niebie, było małe i bardzo jasne, a rzucane przez nie cienie zdawały się mieć ostre kontury i dziwaczne kolory. *Czy to jest to samo słońce?* – zastanowiła się Gail. Na pewno, nie podróżowali wystarczająco długo, aby opuścić system gwiazdny Zielnika.

Wiał słaby zimny wiatr. Powietrze, które przyprawiało ją o gęsią skórkę na odkrytym ciele, było przesycone intensywnym zapachem... czegoś. Jakby zgnilizny. Gail postąpiła krok do przodu. Siła ciężenia znów dała o sobie znać. Na niebie nie było ani jednego ptaka – za duża grawitacja? Gail wbrew sobie poczuła pod powiekami łzy. Otoczenie było zbyt obce, surowe, dzikie i odpychające. Zła na własną słabość przepędziła łzy mruganiem.

Po jej lewej stał duży kanciasty budynek z kamienia; ociosane z grubsza czerwonawe bloki połączono byle jak zaprawą. Wokół rozrzucone były mniejsze zabudowania. Z dziury w dachu największej budowli wydobywał się dym. Miał ostry, nieprzyjemny zapach. Do tyczek rozstawionych przed budynkiem było przywiązane coś kolorowego, jednakże Gail nie miała pojęcia, co to może być.

Z wahadłowca wysiadły dwa Zwierzaki. Jeden zwrócił się do Jake'a, kompletnie ignorując resztę ludzi:

– To inna planeta, na której nasi wrogowie stworzyli naszych pobratymców-błuznierstwa. Zostawimy was tutaj. Nasi wrogowie przybędą, żeby odwiedzić błuznierstwa. Zabiorą was swoim statkiem, jeśli o to poprosicie. Zawiozą was na swoją planetę. Nie zdradzicie im, że wiemy o tej planecie. Nie zdradzicie im, że wiemy o Zielniku. Powiecie, że inni ludzie zostawili was tutaj na śmierć. Nasi wrogowie zabiorą was na swoją planetę. Tam znajdziecie się pod ich tarczą. Zniszczycie tarczę, żebyśmy mogli zaatakować. Nie powiecie im, czemu niszcycie tarczę. Powiecie nam, gdzie jesteście i co robicie z... – tu translator wyrzucił z siebie niezrozumiały dźwięk.

Równocześnie Zwierzak wręczył Jake'owi płaski metalowy tablet, który Gail natychmiast rozpoznała. Był to ekran przenośnej wersji nadajnika kwantowego odłączony

od źródła zasilania. Zabrali go z Mira City do boi nadawczej na wypadek, gdyby doszło do jakiejś ostatecznej, fatalnej w skutkach konfrontacji, w której obliczu musieliby zawiadomić Ziemię o tragicznym losie kolonii na Zielniku. Zwierzaki musiały zabrać go z pokładu skimmera, zanim wysadziły jednostkę w powietrze.

– Jeżeli nie postąpicie, jak każemy – podjął Zwierzak – zniszczymy Zielnik, wasze miasto i wszystkich ludzi. Jeśli nie postąpicie, jak każemy, znajdziemy Ziemię i też ją zniszczymy. Ziemię będzie łatwo znaleźć.

To powiedziawszy, Zwierzak odwrócił się, by odejść.

– Zaczekaj! – zawołał za nim Jake. – Chcemy zadać pytania!

Zwierzak zawrócił, nie zmieniając wyrazu twarzy. Przynajmniej w oczach Gail.

– Jak mamy zniszczyć tarczę? – zadał pytanie Jake. – Nie wiemy, jak to zrobić!

– W takim razie musicie się nauczyć.

– Ale... nie mamy żadnej broni!

– Musicie się nauczyć – powtórzył Zwierzak.

– Nadajnik kwantowy, który nam daliście – Gail wskazała na tablet trzymany przez Jake'a – urządzenie, które przesyła informacje... jest pozbawione zasilania! Nie przekaże żadnej informacji bez zasilania!

– Zasililiśmy je – odparł Zwierzak. – Przekaze nam informacje, strażniczek imion i ptaków.

– Ale...

– Jeżeli nie postąpicie, jak każemy, zniszczymy Zielnik, wasze miasto i wszystkich ludzi. Jeśli nie postąpicie, jak każemy, znajdziemy Ziemię i też ją zniszczymy.

Gail przyglądała się, jak Jake bierze się w garść.

– Przywódco, powiedziałaś, że musimy zniszczyć tarczę na wrogiej planecie. Ale zastanów się przez chwilę. Nie dysponujemy tak zaawansowaną technologią jak wy. Wiecie to, bo widzieliście nasz wahadłowiec, naszą broń, nasze źródło zasilania nadajnika kwantowego, dużo większe i nie zgrabniejsze od waszego. Wyraźnie widać, że górujecie nad nami pod względem technologicznym. Skoro więc wy nie możecie zniszczyć tarczy, jak my, ludzie, moglibyśmy...

– Jeżeli nie postąpicie, jak każemy – oświadczył Zwierzak – zniszczymy Zielnik, wasze miasto i wszystkich ludzi. Jeśli nie postąpicie, jak każemy, znajdziemy Ziemię i też ją zniszczymy.

Ponownie się odwrócił, nieczuły na komplementy i logikę Jake'a. Gail poczuła, jak narasta w niej panika.

Pierwszy Zwierzak zniknął w wahadłowcu. Drugi odezwał się bezpośrednio do niej:

– Strażniczko imion i ptaków, możesz teraz umrzeć, jeśli chcesz umrzeć za ptaki i poranne niebo.

– Nie chcę umierać, do diabła! – wybuchnęła Gail, zanim zdążyła się opanować.

Zwierzak nie zareagował. Zniknął we wnętrzu wahadłowca, po czym wahadłowiec zaczął się unosić. Gail poczuła falę ciepłą, znacznie lżejszą niż w wypadku ludzkiego statku, ale też zauważalną, i rzuciła się na ziemię, zakrywając rękami głowę. Kiedy wstała, cała i zdrowa, wahadłowca już nie było.

– No dobrze – powiedział Jake, urwał i podjął ponownie. – Będzie nam potrzebne jedzenie i schronienie. Zamierzam zapukać do tej uroczej siedziby i sprawdzić, czy zaproszą nas na herbatę. Franz i George pójdą ze mną. Gail, zabierz wszystkich gdzieś... indziej. Za tamten głąz albo do parowu. I zabierz to.

– Idę z tobą, Jake – odezwała się Nan. – Mieszkałam ze Zwierzakami na Zielniku.

Prezes Korporacji Mira nie sprzeciwił się – albo uważał, że nie wygra z Nan, albo uznał, że dziewczyna faktycznie może się do czegoś przydać. Gail pomyślała, że oba powody są naciągane. Tutejsze Zwierzaki – o ile to będą Zwierzaki – na pewno się różnią od Zwierzaków na Zielniku. Poza tym przywódca powinien być bardziej stanowczy.

– Daj mi nadajnik – zwróciła się do Jake'a.

Często, choć nie zawsze, korzystała z niego zarówno na pokładzie *Ariela*, jak i w Mira City. Jake zrobił, o co prosiła. Oddzielony od nieporęcznej dużej bazy sprzęt wydawał się dziwnie lekki. Czy naprawdę jest dostatecznie naładowany, aby połączyć się ze swoim odpowiednikiem na pokładzie statku Zwierzaków? Pozostawało jeszcze pytanie, jak ci szaleni Obcy odczytają angielski tekst... Gail zaczynała się w tym wszystkim gubić. Nic nie miało sensu, odkąd natknęli się na pierwszą kolonię Zwierzaków na Zielniku.

– Słuchajcie – rzuciła. – Idziemy.

Ranił jej stopy nierówny teren, na który składały się czerwone kamienie przemieszane z płożącymi się kłującymi roślinami o ciemnoniebieskich ostrych jagodach. Bóg jeden wiedział, jakie patogeny tutaj wdychali. *Jeśli nie zginiemy od wystawienia się na tubylcze warunki, mogą nas dopaść miejscowe choroby...*

Nie myśl tak, upomniała się w duchu.

– Doktorze, da pan radę? – zapytała.

Lekarz wyglądał żałośnie z wydatnym brzuchem zwieszającym się nad szarą tkaniną przewiazaną na biodrach i z siwą piersią pokrytą gęsią skórką od zimna. Całą twarz miał pokrytą zmarszczkami.

– Dam – odparł. – Dziękuję, Gail.

Lucy i Karim pomogli mu zejść z boczem w kierunku głazu. Znalazłszy się na dole, Gail spostrzegła wgłębienie w ścianie klifu. Była to nie tyle jaskinia, ile nawis. To powinno jednak wystarczyć.

Ześlizgiwali się i toczyli w dół zbocza, wzbudzając lawinę kamyczków. Gail czuła, jak ciąży jej ciało. Nadepnęła na coś ostrego i zakłęta. Jednakże w niby-jaskini było zacisznie, a skała zdawała się nawet rozgrzana od słońca. Gail przysiadła na ziemi z wdzięcznością.

Karim od razu zaczął głądzić:

– To chyba będzie gwiazda klasy F, może F7 albo F8. Z poziomu jasności wnioskuję, że znajdujemy się od niej dalej niż Ziemia od Słońca, z czym wiąże się mniejsza ilość energii. Grawitacja wydaje się o jedną trzecią większa od ziemskiej. Ciśnienie powietrza też jest większe, przez co doświadczacie problemów z oddychaniem. I...

– Czy coś z tego ma dla nas praktyczne znaczenie? – wpadła mu w słowo Gail.

Zamyślił się na moment.

– Powiedziałbym, że jesteśmy wystawieni na więcej promieniowania ultrafioletowego, jak również rentgenowskiego. I bombarduje nas więcej cząsteczek, niż przywykliśmy. Powinniśmy jak najmniej przebywać na słońcu.

– Wspaniale – skwitowała Gail. – Przecież tylko słońce chroni nas przed zamrażaniem.

– Należałoby też dostosować tempo poruszania się do warunków... Chwilę nam zajmie, zanim się przyzwyczaimy do zwiększonego ciśnienia...

Gail obejrzała sobie podeszwę. Cokolwiek ją ukłuło, nie przebiło skóry.

– Widziałam ogródki za kamienną budowlą – rzuciła Lucy. – Mogłabym pójść i rozejrzeć się za jedzeniem. Skoro Zwierzaki się tym pożywiają, może my też byśmy mogli.

– Nie wiemy nawet, czy to rodzima planeta Zwierzaków! – parsknęła Ingrid.

Racja. Ludzie byli całkowicie bezbronni bez informacji, bez urządzeń, dzięki którym przebadaliby nowe rośliny i wykopaliby sobie tunele, aby chronić się przed drapieżnikami i innymi niemiłymi przygodami. Byli jak półnagie niemowlęta i mogli tylko czekać.

Na szczęście oczekiwanie nie trwało długo. Wkrótce pojawił się George, wyglądając przezabawnie w skąpej przepasce biodrowej. Podnieconym głosem powiedział:

– Ej, możecie wracać! W budynku jest jedzenie.

Wdrapali się na zbocze. Lucy i Karim ponownie pomogli Shipleyowi, który dyszał ciężko. Na płaskowyżu znów uderzył w nich zimny wiatr. Gail z ulgą weszła do budynku.

Wewnątrz było ciepło, parno i tłoczno. Pośrodku pomieszczenia płonęło palenisko, z którego dym unosił się i wymykał przez otwór w dachu. Drewniane belki ugiwały się pod wiązkami nieznanymi im roślin i kawałów czegoś, co przypominało mięso w przejrzystych błonach. Po jednej stronie ogniska siedziało parunastu Zwierzaków, z czego połowę stanowiły dzieci. Jak zwykle Gail nie była w stanie odczytać ich wyrazu twarzy, jednakże rozpoznawała tę postawę. Naoglądała się dość skulonych psów, kotów, zapędzonych w kąty myszy i ludzi, aby wiedzieć, że Zwierzaki są czymś przerażone.

Po drugiej stronie ogniska, jedząc coś szarozielonego, siedziała reszta ludzi z wyjątkiem Nan, która kuciała przy Zwierzakach, starannie naśladowując ich postawę, i mruczała coś cicho do jednego z dorosłych osobników.

– One się nas potwornie boją – stwierdził Jake. – Ingrid uważa, że wprowadzona u nich modyfikacja genetyczna skutkuje strachem przed nowością znanym również u ludzi. Paraliżuje ich wszystko co nowe.

– Dobrze robicie, jedząc to? – zapytała Gail. Na sam widok pożywienia do ust napłynęła jej ślinka.

– Nie mamy wielkiego wyboru – odparł z powagą George. – Możemy albo zaryzykować, albo umrzeć z głodu. To dzieło Zwierzaków, coś w rodzaju wysuszonej roślinnej papki. Jest tego mnóstwo w tamtym dole. Nie protestowały, kiedyśmy się częstowali.

Siedząca po przeciwnej stronie ogniska Nan rzekła kwaśno:

– Nie protestowałyby, nawet gdybyśmy zabrali im wszystko, co mają. Nie rozumiecie? Zostały okaleczone, uszkodzono im mózgi i upośledzono instynkt samozachowawczy, żeby Badyłe mogły powołać do istnienia odmianę Zwierzaków, która będzie się ich tak bała, że zacznie stronić od wszelkiej nowości: od przedmiotów, doświadczeń, istot... Ten eksperyment to gwałt.

Zatem Nan rozwiązała swój wewnętrzny konflikt w sprawie Obcych. Znalazła sobie nową grupę ofiar, którym mogła kibicować, a Badyłe uznała za dehumanizujących oprawców. By się tak wyrazić.

Gail zajrzała do dołu, który wskazał jej George. Dziura w podłożu była wyłożona przezroczystymi membranami, na których spoczywała szarozielona papka. Nabrała odrobinę na palec i spróbowała. Smak był lekko gorzki, ale nie odrażający. Z głodu zdążyła dostać skurczów brzucha. Nabrała sobie więcej papki i przeżuwając, zajęła miejsce bliżej ognia.

– Jeśli wszyscy umrzemy w nocy – powiedział George – będziemy mieli z głowy problem co dalej.

– Nie umrzemy w nocy – zaproponowała Gail.

Mieli schronienie, żywność, może nawet mentorów. Było od czego zacząć.

– Gail, obudź się! – Jake nią potrząsnął. – Zniknęły.

– Co?

Leżała na klepisku owinięta w szarawą skórę, której nie potrafiła zidentyfikować i która lekko ją drapała. Pachniała przy tym dziwnie. Ani smród, ani drapanie nie powstrzymało jej jednak przed zaśnięciem. Po trzech nocach spędzonych kolejno w deszczu, ciasnej ładowni i na zimnie, w ciągłym napięciu, możliwość snu w zadymionym pomieszczeniu pod osłoną drapiącej skóry wydawała jej się największym luksusem. Który niestety nie trwał długo.

– Zniknęły – powtórzył Jake. – Zwierzaki. Wszystkie.

Gail usiadła. Do pomieszczenia wdzierało się blade wodniste światło – wstawał świt. Wszyscy ludzie spali, nie licząc Jake’a, Karima i...

– Gdzie Nan?

O Boże, zniknęła razem z nimi, co za niemądra, idealistyczna...

– Na zewnątrz. Karim chciał sprawdzić, czy światło tej gwiazdy wywołuje zorzę polarną. Wyszedł, nie zwracając sobie głowy Zwierzakami, ale obudził przy tym Nan, która natychmiast zauważyła, że Zwierzaki zniknęły. To ona mi powiedziała.

– A ty postanowiłeś poinformować mnie. – Gail usiłowała ukryć ulgę na wieść, że Nan jednak nie oddaliła się z tubylcami. – Dlaczego?

– Dlatego, że Karim, obserwując niebo, spostrzegł jakiś obiekt na tle gwiazd. Jego zdaniem może to być meteor albo kometa. Albo równie dobrze statek.

– Już?

– Nie da się tego wykluczyć. – Jake wzruszył ramionami. – Zwierzaki mają wszystko

dobrze rozplanowane. Gail... jeśli to faktycznie statek Badyli, które przyleciały nas uratować, musimy się zastanowić co dalej.

– Wiem – odparła. Skupienie się na przetrwaniu było swego rodzaju luksusem. Żywność, woda, ubranie, schronienie... Myśląc o najpilniejszych sprawach, nie zawracała sobie głowy poważniejszymi problemami. A była przecież kwestia morderstwa, zdrady, sabotażu na skalę planetarną, no i ryzyko zniszczenia Mira City. Żaden człowiek nie powinien być zmuszony do podejmowania takich decyzji. Po namyśle odezwała się cicho: – Nic nie jesteśmy w stanie zrobić, Jake...

– Naprawdę? – zapytał z goryczą. – Nawet ty? Strażniczka imion i ptaków?

– Odpieprz się – rzuciła. Poczwała się dzięki temu trochę lepiej. – I co, mają tu zorzę polarną?

– Tak, i to imponującą. Taką na całe niebo. Może jeszcze zdążysz ją zobaczyć, zanim wzejdzie słońce.

– Nie, dziękuję – powiedziała Gail. – Zajmę się raczej budzeniem wszystkich i szykowaniem śniadania.

Posilili się prędko i w milczeniu, traktując czynność jedzenia jako obowiązek raczej niż przyjemność, jak to miało miejsce minionego wieczoru. Tym razem nawet Mueller coś przekąsił, chociaż z wielką niechęcią. Zdawał się wzdrygać, ilekroć jedzenie Obcych dotykało jego warg. Ingrid dorzuciła kłodę do dogasającego ognia. Kilka osób siedziało owiniętych w drapiące koce. Gail, George i Lucy zaczęli ciąć i wiązać swoje okrycia w coś, co by nieco bardziej przypominało ubranie.

Gail czekała, aż Jake się odezwie. Wyglądał lepiej, niż mogła się spodziewać, zdawał się wypoczęty i najedzony, aczkolwiek twarz miał napiętą z kontrolowanych emocji.

– No dobrze, słuchajcie... Nasze szanse przedstawiają się moim zdaniem następująco. Albo Badyli po nas przylecą, albo nie. Nie mamy na to wpływu. Za to możemy zrobić jedną z trzech rzeczy. Po pierwsze, możemy rozplnąć się w dziczy, unikając wszelkich Obcych, czy to Badyli, czy to Zwierzaków. Ciężko powiedzieć, czy uda nam się przeżyć, bo nie znamy w ogóle tej planety i nie dysponujemy sprzętem, który pomógłby nam ją bezpiecznie poznać. Korzyść z tego byłaby taka, że gdybyśmy oddalili się na wystarczającą odległość, żadni Obcy by nas nie wykryli. Jakkolwiek na to spojrzeć, wykorzystują tylko drobną część powierzchni do swoich eksperymentów.

– Nie rokuję nam wielkich szans powodzenia – wyraził swoją opinię George. – Nie mamy pojęcia, jakie drapieżniki, owady i trujące rośliny napotkamy. Zresztą nawet jeśli uciekniemy, Badyli mogą się tu zjawić już wkrótce, jeśli Karim faktycznie widział statek. Kto wie, ile mają tutaj kolonii i w jakiej kolejności będą je odwiedzać.

– Wszystko to nie przemawia przeciwko pierwszej możliwości – zauważyła Gail.

Jake podjął:

– Po drugie, możemy postąpić zgodnie z życzeniem Zwierzaków. Polecimy z Badyłami, powiemy im, że zostaliśmy tu porzuceni przez własnych pobratymców, i dostaniemy się do tej ich tarczy. Potem zastanowimy się, jak ją zniszczyć.

Zamilkł na moment, ale nikt się nie odezwał.

– Po trzecie, zaczekamy na Badyli i wszystko im opowiemy, planu Zwierzaków nie wyłączając. W nadziei, że nam pomogą.

Nan nie wytrzymała:

– Niby jak?! Niczego nie są w stanie zniszczyć, w przeciwnym razie już dawno rozprawiliby się z rodzimą planetą Zwierzaków. Będą tylko siedzieć i gadać, bo to jedyne, co potrafią. A tymczasem Zwierzaki z kosmosu zmiotą z powierzchni planety wszystkie kolonie, podobnie jak zrobili na Zielniku.

Och, Nan... pomyślała Gail. Znowu bierzesz stronę przegranych. I to kosztem swojego gatunku.

Na głos zaś powiedziała:

– Kluczowe jest pytanie, czy Zwierzaki istotnie zniszczą Mira City, jeśli ich nie posłuchamy. Strasząc zniszczeniem Ziemi, pewnie blefowały, ale Mira City z całą pewnością znajduje się w ich zasięgu.

– Zniszczą miasto – powiedział smętnie George.

– Też tak uważam – dorzucił Karim.

– W takim razie nie mamy wyboru – rzekła Gail, nie patrząc na Nan. – Musimy zrobić to, co kazały Zwierzaki. Może nam się uda znaleźć sposób na zniszczenie tarczy, a może nie. Ale jeśli chociaż nie spróbujemy, zginie pięć tysięcy ludzi. Albo więcej, licząc Czejenów.

– Alternatywą jest śmierć całej planety Badyli – wtrącił George.

– Badyli to nie ludzie – stwierdziła Gail. Nie miała co do tego wątpliwości. – My jesteśmy winni lojalność ludziom.

– *Ja* – odezwał się nieoczekiwanie Franz Mueller. – Zgadzam się z tym.

Zaniepokojona Ingrid powiedziała:

– Nie widzę sposobu, jak mielibyśmy zniszczyć tarczę, o której nic nie wiemy. Nawet jeśli dotrzemy na planetę Badyli, będziemy bezradni, co skończy się tym, że Zwierzaki i tak unicestwią Mira City. A może nawet Ziemię.

– Z kolei jeśli nie spróbujemy jej zniszczyć, możemy być pewni, że Mira City przepadnie – skwitował Jake.

– Czyli – rzekła zapalczywie Nan – tak czy owak nie powstrzymamy zniszczenia miasta! A tutaj przynajmniej możemy zapobiec dalszemu dręczeniu tych nieszczęsnych istot! Jeśli rozpląniemy się w dziczy i znajdziemy je, z czasem przyzwyczają się do nas. Będziemy mogli ich uczyć. Wspólnymi siłami przetrwamy!

– Nie – sprzeciwiła się Gail. – Mira City to nasz priorytet, nawet jeśli szanse na ocalenie miasta nie są duże. W końcu Jake i ja, a także George i doktor Shipley stanowimy radę zarządzającą. Nie możemy ot tak po prostu wypiąć się na mieszkańców, żeby ocalić własną skórę!

– Ocalimy skórę, jeśli polecimy z Badyłami – powiedziała Ingrid. – Nawet jeśli nie zniszczymy tarczy, chronieni przez nią będziemy bezpieczni.

– Jesteśmy winni lojalność Mira City – powtórzyła Gail.

– Nie bądź taką szowinistką, Gail! – krzyknęła Nan. – Te nieszczęsne Zwierzaki też są rozumne, wiesz! Postawić na nich krzyżyk... Czym to się będzie różnić od tych przypadków w historii, gdy jedna grupa uznawała drugą za podludzi i do woli na niej eksperymentowała, mordując ile wlezie?

– Nie unoś się, Nan – poprosił Jake. – Niech wszyscy zachowają spokój. Musimy to przedyskutować na zimno, jeśli mamy podjąć właściwą decyzję.

– Logika to nie wszystko! – odparowała Nan. – Tutaj w grę wchodzi czyjeś życie!

– Tak – potwierdziła Ingrid. – Nasze.

– Czy twój mąż przypadkiem nie został w Mira City, Ingrid? – zapytała ją Gail.

Genetyczka tylko zacisnęła pięści i zmierzyła Gail wściekłym wzrokiem.

– Ta tarcza... – zaczął Karim, ale inni go zakrzyczeli.

– Mira City...

– Zwierzaki...

– Szansa na przeżycie...

– Badyłe...

– Lojalność...

– Przestańcie! – zawołał Shipley, usiłując podnieść się na nogi. Zachwiał się i upadł. Lucy, która chciała go podtrzymać, także runęła na ziemię. Shipley wyprostował się do pozycji siedzącej, gubiąc przy tym z ramion koc. Widać było, że chce coś powiedzieć. – Przestańcie. Proszę. I posłuchajcie mnie...

– Niech pan mówi – rzucił Jake, dodając do pozostałych: – Cisza.

Gail przyjrzała się jego twarzy. Jake był ewidentnie niezadowolony, że Shipley chce zabrać głos. W dalszym ciągu nie dowierzał Nowemu Kwakrowi i nie darzył go sympatią. Potrafił jednak być ponad to. Wiedząc, ile go to kosztuje, Gail skinęła głową, pozwalając lekarzowi przedstawić swój punkt widzenia.

Aczkolwiek wątpiła, aby to cokolwiek zmieniło. Potrzebowali skutecznego planu zamiast filozofii religijnej. Miała nadzieję, że Jake da Shipleyowi nie więcej niż dwie minuty. Jeśli stanie się inaczej, zamierzała sama mu przerwać.

Sprawa była zbyt ważna, aby pozostawić ją ekscentrykom.

Shipley przez jedną cenną chwilę zbierał myśli. Nagle stwierdził, że nie musi tego robić. Słowa popłynęły same, z całą jasnością i prostotą prawdy. Przemawiało przez niego Światło, na które tylko musiał się otworzyć, okazując wdzięczność, że został wybrany.

– Rozmawialiśmy tutaj o lojalności wobec rodzaju ludzkiego, wobec Mira City, wobec innych rozumnych gatunków traktowanych gorzej niż ludzie, wreszcie wobec naszego życia. Tymczasem wypadałoby rozważyć coś jeszcze. Lojalność należy się też prawdzie. Albowiem to prawda czyni nas wolnymi, wolnymi od kłamstwa i od strachu. Prawda to najlepsze, co w nas siedzi. Taka jest jej definicja: to ta część nas, która się skłania ku dobru. Postępując właściwie, kierowani prawdą, przyczyniamy się do czegoś wspaniałego.

Zaczerpnął szybko tchu – bał się, że jeśli zamilknie choćby na moment, Jake odbierze mu głos; równocześnie czuł obawę, że jeśli nie będzie oddychał odpowiednio głęboko, tutejsza grawitacja wywrze na jego płuca taki nacisk, że żadne słowo nie będzie chciało przejść mu przez gardło.

– Postępując właściwie, kierowani prawdą, wyzwalamy w innych to, co najlepsze. Tylko będąc szczerymi w stosunku do innych, jesteśmy w stanie swoimi działaniami odwołać się do tego, co najlepsze w innych ludziach. Badyłe są szczerze. Przekonaliśmy się o tym na własne oczy, gdy odpowiadały bez wahania na każde nasze pytanie. Ich odpowiedzi zawsze były precyzyjne. Wiemy też, że Badyłe są odważne, a to za sprawą Bety, który zginął bohaterską śmiercią. To dobra rasa, a przy tym ofiara agresji w tej wojnie. Jeśli odwzajemnimy się im szczerością, jeśli powiemy im prawdę, będziemy mieli do dyspozycji zasoby obu naszych gatunków, dzięki czemu będzie łatwiej podjąć właściwe działania. Nie mówiąc im prawdy, okłamując ich, odbierzemy sobie tę możliwość. Utracimy wszelkie korzyści ze szczerzej współpracy. A przy tym odetniemy się od tego, co w nas najlepsze. – Zwrócił się do zarządców Korporacji Mira. – Proszę, opowiedzcie przybyłym Badyłom wszystko ze szczegółami. Wszyscyuteńko. Wtedy będzie można podjąć decyzje oparte na faktach, nie na oszustwie. Zaufajcie tym dobrym istotom. Zaufajcie sobie.

Zabrakło mu tchu i słów. Choć płuca go bolały, powiódł po słuchaczach spojrzeniem pełnym nadziei. Światło przemówiło przez niego z taką siłą, z taką jasnością, że po prostu musieli dać się przekonać...

Milczenie przerwała Naomi:

– Jasne, że Badyłe to dobra rasa. Świetna rasa stworzeń, które eksperymentują na innych istotach, chcąc wymyślić broń biologiczną.

Shipley poczuł, jak twarz wygina mu się w grymasie. Jego rodzona córka!

Na szczęście nie ona miała tutaj ostatnie słowo. Shipley wpatrywał się w Jake'a i Gail, zaklinając ich w duchu i nie tracąc nadziei.

– Czy wszyscy się zgadzają z doktorem Shipleyem, że powinniśmy powiedzieć Badyłom prawdę? Przedstawmy swoje opinie dla porządku.

Lucy uniosła rękę. Ta sama Lucy, której idealizm wziął górę jeszcze na *Arielu* pomimo przejściowego szaleństwa.

Po krótkiej chwili dołączył do niej Karim.

– Mogą dysponować nieznaną nam technologią, która pomoże nam się wykaraskać z tej sytuacji, jeśli będziemy z nimi szczerzy – powiedział.

– Ja głosuję za rozplnięciem się w dziczy – rzuciła ostrym tonem Naomi.

– To nie głosowanie, Nan – rzekł Jake. – Pytam o waszą opinię, żebym mógł podjąć decyzję. Czy...

Nan się zjeżyła.

– To nie twoja śmierdząca korporacja, Jake! Nie jesteś tu szefem!

– Czy wszyscy uważają, że powinniśmy wypełnić polecenia Zwierzaków, tym samym oszczędzając Mira City oraz być może... jeśli Zwierzaki nie blefują... także Ziemię?

Ingrid pokiwała zamasyście głową. W jej ślady poszli Franz Mueller, George i Gail.

– Zgadzam się z wami – oznajmił Jake. – Co znaczy, że jest nas pięcioro. Nan, nawet gdyby to było głosowanie, mielibyśmy większość. A zatem gdy pojawią się jakieś Badyłe, powiemy im, że zostaliśmy tu zostawieni na pastwę przez naszych pobratymców w ramach kary za taką czy inną przewinę. Znalazłszy się na pokładzie ich statku, postaramy się dowiedzieć jak najwięcej o tej ich tarczy. Będziemy się kontaktować ze Zwierzakami za pomocą łącza kwantowego... Gail, to twoje zadanie. Kiedy dotrzemy na rodzimą planetę Badyli, spróbujemy zniszczyć tarczę i uratować ludzi na Zielniku. Żeby uniknąć wpadek, tylko ja będę rozmawiał z Badyłami na temat Zielnika, naszej rzekomej przewiny i wszystkich innych rzeczy, nie licząc spraw oczywistych. Jeśli Badyłe was o coś zapytają, kierujcie je do mnie.

– Skąd możemy wiedzieć – zapytała Ingrid – że zmierzające tu Badyłe nie dowiedziały się o nas wszystkiego za pomocą łącza kwantowego?

– Stąd, że Badyłe nie dysponują technologią kwantową – odrzekł Karim. – Wiem to od Bety.

– W takim razie skąd pewność, że zmierzające tu Badyłe nie zahaczyły o Zielnik i nie natknęły się na zniszczone kolonie, czyli że domyśliły się planu Zwierzaków?

– To bez znaczenia – odpowiedział Jake. – Tak czy owak powiem Badyłom, że zanim zostaliśmy tu porzuceni, widzieliśmy na Zielniku wyłącznie zdegradowane Zwierzaki. Udamy ogromne zaskoczenie, że istnieją też inne Zwierzaki. Badyłe nie domyślą się planu Zwierzaków. Uwierzą, że jesteśmy wyrzutkami własnej rasy.

– Jak możesz być tego pewien? – obruszyła się Ingrid.

Jake spojrział na nią i odparł:

– Badyłe to prawdomówna rasa.

Shipley wstał i wyszedł na zewnątrz.

Potyając się na nierównym gruncie, ruszył w stronę głazu spoczywającego w pewnym oddaleniu od budynku i usiadł na nim odwrócony plecami do wejścia. Nie przeszkadzało mu zimno ani zmęczenie mięśni, ani ucisk w płucach. Ludzie postanowili wykorzystać dobroć Badyli przeciwko nim, wznieść szafot kłamstw na prawdomówności obcej rasy.

Zwiesił głowę i przymknął oczy. To było niewłaściwe, czuł to we własnych kościach dotkliwiej niż doskwierający mu chłód. Nikt się jednak nim nie przejmował. Zapadła decyzja, aby skłamać na początku, a później – jeśli to będzie możliwe – zabić. Wymordować całą planetę rozumnych istot.

Wyrzucał sobie, że nie zdołał przekonać tamtych. Powinien był powiedzieć coś więcej! Powinien był poruszyć temat dawnych kwaków, którzy przed pięciuset laty, kierowani przez Światło, udali się pośród Indian, aby okazać im przyjaźń. Przy innych okazjach Indianie brali w niewolę i torturowali wysłanników białego człowieka, jednakże kwaków powitali z otwartymi ramionami, powstrzymując się od przemocy, ponieważ kwakrzy również się od niej powstrzymywali. Powinien był położyć nacisk na siłę świadectwa pokoju zdolnego odmienić sytuację. Powinien był wspomnieć o Johnie Woolmanie, który zapuszczał się pośród groźnych Indian, aby się od nich czegoś nauczyć. I o doktorze Lettsomie, i o rozbójniku nazwiskiem Caydee Umbartu, i o rebelii zachodnioafrykańskiej...

Siedział na zimnym gładzie przez dłuższy czas. Nikt go nie nagabywał, nawet Lucy. Czuł, że umysł ma zmacony, pozbawiony już Światła, które zdążyło go opuścić. Wszelako w całym tym zamęcie pozostawała czytelna jedna myśl, ostra niczym strzała.

Jake zapowiedział, że okłamie Badyle. Postanowił to zrobić. Nie zapytał nawet, co na to Shipley, jakby możliwość przeciwstawienia się jego zdaniu nie przyszła mu do głowy. Nie dopuścił do siebie ewentualności, że Shipley, kierując się własnym sumieniem, mimo wszystko wyzna Badyłom prawdę. Z drugiej strony nie miało znaczenia, czy to pytanie padło czy nie.

Shipley tak czy siak nie znał na nie odpowiedzi.

Godzinę później zniknęła Naomi. Pierwsza zauważyła to Gail, która miała oko na wszystko.

– Doktorze, widział pan Nan?

Zwróciłyby się do niego tylko w ostateczności. W środku zmroził go nagły chłód.

– Nie. Wydawało mi się, że poszła z innymi, aby nazbierać drewna na opał... – Gail zdążyła się nastawić na dłuższy pobyt w budynku Obcych.

– Nie. Tamci już wrócili. Wtedy jeszcze Nan była, ale potem przepadła jak kamień w wodę.

Wpatrywali się w siebie nawzajem przez moment. Shipley podniósł się niepewnie na nogi.

– Poszła szukać Zwierzaków. Tych prymitywów z budynku...

– Boże, jak ona potrafi zaleźć za skórę! – wybuchnęła Gail. – Gdyby nie... – Zamiast dokończyć, ruszyła ciężkim krokiem w stronę Jake'a, który bez większego powodzenia usiłował zmajstrować sobie sztukę odzieży. – Jake...

Wtem nogi zawiodły Shipleya. Usiadł ponownie, choć na krótko. *Naomi...*

– Kilka osób zacznie jej szukać – powiedziała natychmiast Gail. – Franz, Karim i Lucy. Lucy twierdzi, że Nan wycofała się po śladach zbieraczy drewna, ponieważ tę drogę najprawdopodobniej wybrały Zwierzaki. Lucy będzie robić za łącznika. Jeśli poszukiwaczy nie będzie przez więcej niż dwie godziny, wróci, żeby sprawdzić, czy nie pojawił się wahadłowiec.

– Ja też pójdę – oznajmił Shipley.

– Doktorze...

– W każdym razie tak daleko, jak zdołam – dodał. – Co będzie, jeśli Naomi jest ranna? Albo ktoś inny się zrani?

– Lucy przywykła do badań w otwartym terenie, Franz to wyszkolony żołnierz, a Karim

ma świętą formę. Pan natomiast...

– Ja natomiast jestem grubym starcem. Wiem. Ale Naomi to moja córka. Muszę jej poszukać.

Gail zmilczała. Shipley przyłączył się do pozostałych, opatulając się kocem. Zdawał sobie sprawę, jaki widok przedstawia.

– Idziemy – zakomenderował Mueller. – Doktorze, jeśli nie wytrzyma pan tempa, będziemy zmuszeni zostawić pana w tyle.

Tempo na szczęście okazało się niezbyt szybkie, ponieważ na każdym rozwidleniu, na którym Naomi mogła zmienić kierunek marszu, Franz wysyłał dwoje zwiadowców, aby poszukali śladów przechodzącego człowieka: połamanych gałązek i naruszonej ziemi. Każdy taki postój dawał zasapanemu Shipleyowi szansę na dogonienie reszty. Główny szlak musiały przetrzeć Zwierzaki zamieszkujące budynek zaanektowany przez ludzi. Wiódł wzdłuż górskiego strumienia, który zapewne był źródłem wody, obrośniętego na brzegach przez dziwnie wyglądające drzewa – czy też odpowiedniki drzew – najwyraźniej będące źródłem drewna na opał. Ich przysadziste kształty z szerokimi, zwieszającymi się liśćmi przypominały Shipleyowi markotne krasnoludy. Im niżej zapuszczała się ekipa poszukiwawcza, tym silniejszy stawał się zapach zgnilizny i rozkładu.

Szlak kończył się w miejscu, gdzie strumień wpadał do niedużej rzeki. Miejsce to znajdowało się jakieś sto stóp poniżej poziomu płaskowyżu. Zadzierając głowy, ludzie zobaczyli nieregularne czerwonawe klify górujące nad nimi. Na tym brzegu między klifem i rzeką biegła tylko wąska ścieżka, jednakże po przeciwnej stronie wolnego miejsca było więcej.

– Karim – zwrócił się Franz do fizyka – idź na drugi brzeg. Sprawdź, czy Nan tam nie ma. Lucy, ty pójdziesz wzdłuż tego brzegu. Ja wejdem na zbocze.

– Czy to możliwe, żeby Naomi wspięła się tak wysoko? – zapytał Shipley.

Franz nie zaszczycił go odpowiedzią. Shipley obrzucił klif trwożnym spojrzeniem. Dostrzegł występy skalne, które mogły posłużyć za podporę dla rąk i nóg. Zatem tak, Naomi – która miała wytrenowane ciało i od małości przejawiała odporność na ból – mogła wejść wyżej, aby mieć lepszy widok na okolicę.

Shipley przysiadł na ziemi obok rozlewiska, które utworzyło się w miejscu, gdzie rzeka się poszerzała. Co ta Naomi narobiła? Jeśli jej nie znajdą, a wahadłowiec Badyli wylądował, Jake na pewno ją tutaj zostawi. I nie będzie można go za to winić. Z drugiej

strony, jeśli na nią trafią, czy zdołają ją przekonać, aby poszła z nimi? Córka nigdy go nie słuchała. *Dlaczego nie ma z nami Gail?* – zapytał się w duchu i zaraz sobie odpowiedział: *Dlatego, że sprawa z Badyłami jest dla niej ważniejsza niż jakaś tam zadufana w sobie uparta dziewczyna.*

Ukrył twarz w dłoniach. Przez to nie zauważył zbliżającego się zwierzęcia, póki praktycznie na niego nie wpadło.

Rozległ się jakiś odgłos, coś na granicy warknięcia i skrzeku. Shipley poderwał głowę. Zwierz wynurzał się z rzeki – miał długie gładkie ciało, był cały brązowy i prezentował zakrzywione zębiska. Zmierzał prosto na lekarza.

Shipley zmusił się do bezruchu. Niektóre ziemskie stworzenia pozostawały bierne, dopóki człowiek się nie poruszył. Jednakże tu miał do czynienia z obcą istotą, która nadal pełzła w jego stronę.

Pomyślał, że może zdoła jej uciec. Zaraz jednak zrewidował swoje poglądy: ścieżka pod górę była na to za stroma. Musiałby biec wzdłuż rzeki, po wąskim pasie pomiędzy klifem i wodą. A może lepiej byłoby wycofać się powoli; zdaje się, że swego czasu czytał, iż to najlepszy sposób na uniknięcie konfrontacji z niedźwiedziem. W epoce, gdy na Ziemi jeszcze żyły niedźwiedzie.

Zaczął się wycofywać. Słyszał własny oddech, chrapliwy i wysilony. Kamienie raniły jego bose stopy. Bestia zaczęła pełznąć szybciej, prosto na niego.

Shipley rzucił się do biegu. Po czterech krokach potknął się i upadł. Runął na kamienie jak długi, głośno krzycząc. Bestia pochwyciła go za ramię, wbijając ostre zęby w ciało. Shipley szarpnął się i przetoczył, usiłując się oswobodzić z uścisku szczęk. Ból był potworny.

– Pieprzony drań! – usłyszał i skądś wyłoniła się Naomi.

Zacząła tłuc bestię patykiem, a potem spróbowała rozewrzeć jej szczęki, aby uwolnić ramię. Zwierzę nie puszczało. Razy także zdawały się nie przynosić żadnego efektu.

Ból sprawił, że lekarzowi zamglił się wzrok. Mimo to nad sobą coś zobaczył; coś, co oderwało się od zbocza i...

Franz Mueller! Zeskoczył z półki skalnej. W powietrzu wykonał trzy czwarte przewrotu i zgięty wpół wylądował na ugiętych nogach w samym środku gęstej kępy krzaków. Sekundę później wyprysnął przed siebie, złapał kij i wraził go w bok zwierzęcia. Bestia puściła ramię Shipleya.

Lekarz chciał się odtoczyć, ale nie zdołał. Naomi szarpnęła go za zdrowe ramię. Była zadziwiająco silna; poczuł, że stawia go do pionu, sam też spróbował pomóc, podnosząc się na nogi. Córka pociągnęła go za sobą, kiedy on wciąż rozglądał się za żołnierzem i bestią.

Mueller nadal dźgał ją kijem, wykonując precyzyjne szybkie ruchy i pozostając poza zasięgiem jej szczęk. W końcu wraził koniec kija w otwór na jej łbie. Shipley pomyślał, że Franz ją oślepił.

Stworzenie wężowym ruchem poszukało schronienia w wodzie.

– Jest ranny! – sapnęła Naomi. – Podeprzyj go z drugiej strony...

– *Nein*. Będę strzegł tyłów, na wypadek gdyby pojawiła się druga bestia. Już nadchodzi Karim. Idźcie w górę ścieżki. Gdzie Lucy?

– Proszę... – szepnął Shipley. Świat kołysał mu się przed oczami. Tracił krew, potrzebował opaski uciskowej. Patogeny... większość zwierząt ma pyski pełne patogenów... Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ktoś ciągnął go w górę ścieżki, a on zaniemówił i zaniewidział.

– Nadchodzi druga bestia – rzucił Franz. – Szybciej!

Shipley zemdlał.

Ocknął się wewnątrz budynku. Obok niego siedzieli Gail, Jake i Naomi. Któreś powiedziało:

– Odzyskał przytomność.

– Doktorze...? – Nachyliła się nad nim Gail z zafrasowaną miną. – Słyszysz mnie pan?

– T... tak.

– To dobrze. Wyjdzie pan z tego. – Spostrzegł, że uczciwość każe jej dodać: – Naszym zdaniem.

– Opaska uciskowa? – zapytał szeptem.

– Franz już ją panu nałożył. Zna się na rzeczy.

Zatem Franz przeżył. Shipley zmówił modlitwę dziękczynną.

– On s... skoczył.

– A jak – potaknęła Naomi głosem pełnym podziwu. – I przegonił oba stwory.

– Co z Lucy?...

– Wszystko z nią dobrze – odparła szybko Gail. – Nikt inny nie odniósł żadnych obrażeń.

Sądę, że jeśli spędzimy tu jeszcze trochę czasu, Franz zacznie nam udzielać lekcji przetrwania.

– Jeśli spędzimy tu jeszcze trochę czasu – wtrącił Jake – wiele będzie musiało się zmienić.

Shipley dosłyszał gniew w głosie prezesa Korporacji Mira. Naomi... na pewno chodziło mu o ucieczkę Naomi. Naraziła troje innych ludzi. A teraz za moment przypuści atak i na jego oczach powtórzy się cały rytuał znany mu od jej dzieciństwa. Naomi zada cios, po czym gdy zaatakowany będzie krwawił i próbował uciec się do pokładów własnej cierpliwości i dobroci, znajdzie jeszcze czulsze miejsce, których przecież nikomu nie brakuje...

– Wiem, Jake – powiedziała Naomi. – Tato, tak mi przykro. To moja wina.

Przez moment myślał, że się przesłyszał. Ale jej twarz, w dalszym ciągu zacięta, z zaciśniętymi wargami i złością w oczach, wyrażała coś jeszcze. Wstyd. Naomi naprawdę było przykro.

– N... Naomi...

– Niech pan oszczędza siły, doktorze – powiedział Jake. – Cokolwiek chce pan powiedzieć, może poczekać. Naomi, chyba powinnaś już odejść. My z nim posiedzimy. Odszukaj Karima, Lucy i Franza.

Żeby ich przeprosić za narażanie także ich życia. O dziwo, Naomi usłuchała i podniosła się z miejsca.

– Chyba nie... – zaczęła Gail i urwała. – Co się stało, doktorze?

Jego ranne ramię przeszył nagły spazm bólu. W kierunku serca... Shipley odczekał chwilę, ale spazm minął, a jego serce nadal biło.

– Patogeny – szepnął.

– Wiem – potwierdziła Gail. – George mówi, że nie sposób ocenić, czym pan się zaraził przez to ugryzienie. Ale uważa też, że cokolwiek nas chroniło na Zielniku, chroni nas i tutaj. Nawet jeśli mikroby pokonały barierę pańskiej skóry, nie są w stanie się namnożyć w naszych komórkach. Geny zwyczajnie zbyt się różnią, zakładając, że w ogóle może być mowa o obcym DNA. Radzi po prostu czekać. Powinien pan się przespać, jeśli to możliwe.

Zapadł w niespokojny sen. Ilekroć się z niego budził, wiódł na wpół przytomnym spojrzeniem dookoła siebie i zawsze widział siedzących przy nim Gail i Jake'a. Nie

potrafiłby stwierdzić, czy mijały minuty czy godziny. Słyszał jednak urywki ich rozmowy, które mieszały się z majakami o bestii wychodzącej z rzeki, zmierzającej w jego stronę i zaciskającej szczęki na jego ramieniu. Śnił w kółko to samo.

– ...w to uwierzyć – powiedziała Gail. – Ale czy to się utrzyma?

– Tak mi się wydaje – odparł Jake.

– Ale dlaczego teraz? Nienawidziła go przez tyle...

– Nie nienawidziła. Nie do końca. Przecież to wiesz, widziałaś, jak zmiękała, będąc świadkiem śmierci Bety i zdenerwowania ojca.

– No dobrze. Zatem nie nienawidziła. Ale nie zmiękała na długo. Na jakiej podstawie uważasz, że teraz będzie inaczej?

– Podjęła dla niego ryzyko – rzucił. – To podstawowa technika negocjacyjna, Gail. Skłania się drugą stroną do wyświadczenia przysługi. Dzięki temu druga strona staje się lepiej usposobiona do ciebie i chętniejsza dać ci to, na czym ci zależy. Darzmy sympatią tych, którym pomagamy, pod warunkiem że pomoc nie jest nieproporcjonalnie duża. Nie dotyczy to tych, którzy pomagają nam. Takich ludzi nie lubimy, ponieważ czujemy się im zobowiązani. Koniec końców Nan przyszło wyświadczyć ojcu przysługę, i to ogromną.

Zatem o to chodziło przez cały ten czas, pomyślał Shipley, zanim ponownie usnął. Tyle bólu, tyle lat, a ja nie widziałem tego, nie rozumiałem...

– Śpi – stwierdziła Gail.

On jednak nie spał, słyszał wyraźnie kroki stóp na kamiennym podłożu i podekscytowany głos młodego Karima Mahjoubu.

– Jake! Musisz tu przyjść! Wahadłowiec właśnie ląduje!

Zatem to już pora... Jake pewnym krokiem ruszył na zewnątrz za Karimem, który wskazał na płaskowyż – zbyt ponury, aby nazwać go łąką – za budynkiem.

– Myślę, że wylądują o, tam – powiedział fizyk.

– W porządku. Przekaż Gail, żeby zebrała wszystkich w środku. Nie chcemy nikogo przytłoczyć tłumem. Ty i George zostańcie ze mną.

Fizyk, biolog i... Kim jest Jake? Przywódcą? Negocjatorem? Przyszłym Quislingiem?

Nie mógł sobie pozwolić na takie myśli.

– A Franz? – zapytał Karim. – Na pewno będzie chciał też tu być.

Jake przyznawał sam przed sobą, że żołnierz zasłużył sobie na miejsce w Komitecie Powitalnym, jednakże nie widział roli dla niego, mimo że Mueller był odważny i bystry. Jeśli to wahadłowiec pełen Zwierzaków, ludzie zdążyli się przekonać, jak nieznacząca jest ich agresja w stosunku do Obcych. A jeśli to wahadłowiec Badyli, żadna agresja nie będzie potrzebna.

– On nie – powiedział na głos. – Ma trzymać się z resztą na mój wyraźny rozkaz. Rozkaz wodza naczelnego – dodał Jake.

Gorycz w jego głosie była chyba dobrze słyszalna, ponieważ Karim tylko zerknął na niego zdziwiony, po czym odbiegł wypełnić polecenie.

No dobra, Holman. Powściągnij sarkazm. Nie ma sensu dramatyzować.

Obserwował zbliżający się wahadłowiec. Znajomy nijaki, jajowaty kształt ani nie ciemniał przy zetknięciu z atmosferą, ani nie palił gruntu w miejscu lądowania. *Technologia Zwierzaków...* pomyślał. Zanim drzwi się otwarły i rampa wysunęła, Karim i George stali już u jego boku, obaj odziani w prowizoryczne tuniki przycięte z koców. Sprawiali wrażenie niemytych prymitywów, nawet mniej zdolnych do dbania o siebie aniżeli wyrwani z korzeniami zdegradowani Obcy.

Badyle czy Zwierzaki?

Były to Badyle, które stoczyły się kolejno po zbyt stromej rampie w swoich nakrytych kopułami platformach. Nie sposób ich było odróżnić od Badyli, które zginęły na Zielniku. Czy któraś z platform została wyposażona w translator? Jeśli nawet, z pewnością nie będzie zaprogramowany na angielski. Natomiast jeśli w ogóle nie będzie translatora... Jake postanowił zająć się tym problemem, gdy przyjdzie co do czego.

Postąpił naprzód.

– Witajcie. Nazywam się Jake Holman. Jestem człowiekiem. Nie zagrażamy wam. Witajcie.

Platformy zatrzymały się, po czym dwie zawróciły na pokład wahadłowca. Trzecia została na swoim miejscu.

Jake zbliżył się do niej powoli, mając za plecami idących w tym samym tempie Karima i George'a, a następnie równie wolno zasiadł na kamienistej ziemi jakieś dziesięć stóp od Badyła. Czekala ich powtórka z Zielnika. Będą siedzieć we wspólnym milczeniu, tak jak nauczył ich Shipley. Później – jutro albo pojutrze – zaczną rozmawiać, cicho i nieprzerwanie, aby translator mógł poznać dostatecznie dużo słownictwa, i Badył w końcu przemówi, nabrawszy do nich zaufania. Dialog się rozwinie, w miarę jak zaufanie po obu stronach będzie wzrastać.

A potem ludzie nakarmią Badyła kłamstwami, przez które te istoty być może stracą całą rodzimą planetę.

Wszystko poszło zgodnie z planem.

O zmroku Badył wjechał po rampie i zniknął w wahadłowcu. Jake, przemarznięty do szpiku pomimo dodatkowego koca, który Gail przyniosła wszystkim, i bardziej znużony bezczynnością, niż mógł się spodziewać, wstał sztywno i wrócił do budynku. Miło było ogrzać się przy ogniu. Na dworze zdążył stracić czucie w dłoniach i stopach.

– Jak się czuje doktor Shipley? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Gail. – Dużo śpi i nie skarży się na nic, ale w sumie trudno powiedzieć. Nie mam pojęcia, czego wypatrywać. Zjedz coś, Jake. Mamy tylko tę papkę, smakuje lepiej, jeśli ją podgrzać...

Nad ogniem wisiało coś w rodzaju grilla ze świeżego drewna pokrytego szarozieloną papką, którą Nan przewracała zaostrzonym patykiem. Jake przyjął porcję w prymitywnej miseczce i zaczął jeść palcami. Nan omijała go wzrokiem. Zdawała się bardziej utemperowana, niż mógłby przypuszczać.

– Zmierzch trwa tu znacznie dłużej niż na Zielniku, z czego można wnioskować, że nie znajdujemy się w pobliżu równika – poinformował Karim. – Ciekawy jestem, czy ta pora roku to zima czy lato.

– Powiedziałbym, że lato – odparł George – sądząc po ilości ulistnionych, a nawet

kwitnących roślin.

– Tyle dobrego, że nie trafiliśmy tu zimą. Jest mi wystarczająco zimno.

– Od tej pory uważajcie na to, co mówicie, nawet gdy jesteście w budynku i daleko od wahadłowca. Nie wiemy, ile słyszą. Zrozumiano?

Wszyscy pokiwali głowami, nawet Nan, która jednak zrobiła swoją zwykłą naburmuszoną minę.

– Potrzebny nam grafik wart – rzucił Mueller. – Panie Holman, proponuję, żeby pan z pozostałymi obserwatorami przespał się, zamiast pełnić wartę.

Zatem został obserwatorem... Tak czy owak, Mueller miał rację. Powinien zachować maksymalną czujność.

– Dobrze, Franz. Świetny pomysł. Ustal grafik wart według własnego uznania.

Tyle przynajmniej mógł mu ofiarować. Zresztą dobrze było scedować na kogoś choć część odpowiedzialności. Zwłaszcza że Jake'owi straszliwie chciało się spać.

Niestety. Przespał kilka godzin, ale potem się obudził i nie potrafił znów zapaść w stan zapomnienia. Gdy usłyszał, że Ingrid wraca z warty i Lucy wychodzi na zewnątrz, odczekał, aż Ingrid zaczęła cicho chrapać, po czym ruszył śladem Lucy.

Jedyny księżyc tej planety świecił pośród nieznanymi gwiazd. Wiał chłodny wietrzyk. Słodką nocną woń Zielnika tutaj zastępował ciężki obrzydliwy smród. Lucy stała po zacisznej stronie budynku z dwoma kocami narzuconymi na prowizoryczną tunikę i z trzecim skotłowanym przy stopach. Jake zakradł się do niej bosy.

– Lucy...

Podskoczyła. Jake ukrył się za załomem ściany, dołączając do niej. Nieruchomy wahadłowiec był wyraźnie widoczny – w przeciwieństwie do wyrazu twarzy Lucy.

– Lucy... – powtórzył. – Odkąd ci opowiedziałem o... o tym, co zrobiłem, trzymasz się ode mnie z daleka. Zastanawiasz się nad tym wszystkim czy uznałaś już, że nie chcesz mieć ze mną do czynienia?

Jej brak odpowiedzi powiedział mu wszystko.

Jake dodał cicho:

– Jesteś bardzo surowa.

– Nic na to nie poradzę! – wybuchnęła.

Może była to prawda. Może ludzie potrafią się naginać tylko do pewnego stopnia, nieść

ciężar tylko do pewnej wagi. Gdy dodać im więcej, załamują się. Są tacy, jacy są. Shipley był pacyfistą nie z przekonania, lecz z charakteru; do tego dochodziła wiara, która wpasowała się w naturę. Identycznie Nan miała duszę buntownika, Gail – organizatora, Mueller – żołnierza. W wypadku ich wszystkich najpierw szedł charakter, a dopiero potem przekonania, które usprawiedliwiały zachowanie. Bardzo możliwe, że nawet Badyła i Zwierzaki nie potrafiły wznieść się ponad własną naturę, tak samo jak ołów nie potrafi się przeistoczyć w złoto. Z kolei Lucy przepełniała wiara, że należy postępować etycznie. Była prawa, wręcz przekonana o własnej nieomyślności, jeśli już spojrzeć na to uczciwie, w każdym razie nie umiała zaakceptować nieetycznego zachowania, nie gwałcąc przy tym w sobie czegoś tak ważnego, tak głębokiego, że równie dobrze można to było nazwać „duszą” dla świętego spokoju.

A jaki był on, Jake?

– Przykro mi... – szepnęła Lucy.

– Wiem, że ci przykro – odparł i wrócił do środka, aby znów spróbować zapaść w sen.

Następny dzień minął tak, jak przewidział Jake. Zmieniające się grupki ludzi rozsiadały się wokół Badyła i rozmawiały między sobą nieprzerwanie, trzymając kciuki, żeby pod tą kopułą znajdował się translator. George utrzymywał, że translator na pewno tam jest – jak inaczej Badyła miałyby się porozumiewać ze stworzonymi w eksperymencie Zwierzakami? Jake nie był tego taki pewien. Pilnował, żeby wszystko przebiegało gładko; na zewnątrz zawsze przebywały trzy osoby, dzięki czemu nikt przesadnie nie zmarzł. Przynajmniej smród nocy przeminął wraz ze zmianą wiatru.

Po południu Shipleyowi się pogorszyło. Majaczył w gorączce, wypowiadając niezrozumiałe słowa. Jego wielkie ciało było złane zimnym potem. Nan doglądała go w milczeniu, robiąc wszystko, co kazała jej Gail, aczkolwiek tak naprawdę można było tylko utrzymywać lekarza w cieple i nawadniać.

Jake dołączył do grupy na zewnątrz, gestem dając znak Ingrid, aby weszła do środka. Genetyczka oddaliła się z wdzięcznością. Karim właśnie opowiadał o gwiazdach i planetach, ale Jake kazał mu zamilknąć.

– Gościu, pragnę powiedzieć ci coś ważnego – oznajmił czysto i wyraźnie, dobierając proste słowa, tak jak się umówili w obecności translatora, czymkolwiek on był. – Jeden z ludzi jest chory. Jego ciało nie pracuje prawidłowo. Coś jest nie tak z jego organizmem.

Zaatakowało go zwierzę z tej planety. To zwierzę ugryzło go w ramię. – Jake dotknął własnego ramienia. – Ten człowiek jest chory. Nie mamy ze sobą przyborów, którymi moglibyśmy naprawić jego ciało.

Urwał. Po kilku minutach pomyślał, że jednak nie udało mu się narzucić tempa. Tymczasem opóźnienie wynikało z typowego dla Badyli lenistwa. Koniec końców Badyl się odezwał. Pierwsze słowa, które wypowiedział, brzmiały:

– Gdzie są przybory, którymi możecie naprawić ciało chorego człowieka?

A zatem miał translator! Głos był tak samo mechaniczny jak w rozmowach na Zielniku.

– Przybory, którymi możemy naprawić ciało chorego człowieka, są na innej planecie – odpowiedział Jake. – Tam, gdzie mieszkaliśmy, zanim znaleźliśmy się tutaj.

– Skąd bierzecie się bez swoich przyborów na tej planecie?

Translator nie opanował jeszcze czasów. Wtem Jake zdał sobie sprawę z treści pytania i całkiem zapomniał o gramatyce. A więc to już. Nadeszła pora kłamstw. Na piersi, już przytłoczonej tutejszą grawitacją, zrobiło mu się jeszcze ciężiej. Miał nadzieję, że Karim nie da nic po sobie poznać. Chociaż jakie to miało znaczenie? Badyle raczej nie były w stanie interpretować wyrazu ludzkiej twarzy. Najważniejsze, żeby siedział cicho.

– Przybyliśmy bez przyborów do naprawiania ciał chorych ludzi, ponieważ znaleźliśmy się tutaj w ogóle bez żadnych przyborów. Zostaliśmy tu pozostawieni przez swoich pobratymców. Oni nie chcieli, żebyśmy mieszkali z nimi na drugiej planecie. Zostawili nas tutaj na śmierć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że chcieliśmy budować inne rzeczy niż tamci ludzie. Wybuchła wojna. Przegraliśmy ją. – Badyle nie powinny mieć trudności ze zrozumieniem pojęcia wojny. W końcu toczyły ją od mileniów.

Badyl milczał przez dłuższy czas. Wreszcie przemówił:

– My też toczymy wojnę.

– Z kim? – Serce waliło Jake'owi w ołowianej piersi.

– Z istotami takimi jak te, które zamieszkują ten budynek. Gdzie są istoty, które zamieszkują ten budynek? Myśmy je stworzyli. A teraz ich nie widzimy.

– Uciekły, kiedy pojawiliśmy się tutaj – wyjaśnił Jake zgodnie z prawdą. – Bały się nas.

– Tak. Boją się wszystkiego, co nowe. Takimi je stworzyliśmy.

Ten Badyl był równie prawdomówny jak wcześniej Beta.

Równie dobrze można to było nazwać „duszą” dla świętego spokoju.

Po typowej dla Badyli dłuższej przerwie padło jeszcze:

– Sprowadźcie chorego człowieka tutaj. Obejrzymy go.

– Dobrze – powiedział Jake. – Karim, ty tu zostań.

Jake wrócił do budynku wolnym krokiem. Pozostali ludzie siedzieli wokół ogniska, plotąc linę z jakiejś rośliny. Gail wybiegła mu na spotkanie.

– Gail, Badył chce zobaczyć doktora Shipleya. Możliwe, że będzie w stanie mu pomóc. Zdaniem George’a to wszystko biochemicy.

– Odezwał się do ciebie? – zapytał podniecony George.

– Tak. Nan, musimy zanieść twojego ojca na zewnątrz, do Badyli.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Będą na nim eksperymentować? Tak jak na Zwierzakach?

– Raczej ocalą mu życie. Nie mam teraz czasu na twoje sceny. Gdyby nie ty, nic by mu nie było.

Nan się zaczerwieniła.

– Ingrid, zawołaj Karima – poprosiła Gail. – Franz, czy ty razem z George’em i Karimem dacie radę...

– Nie trzeba – przerwał jej Mueller. Następnie pochylił się nad Shipleyem i dźwignął jego ciężkie ciało. A potem wyniósł go nie przerzuconego przez ramię, tylko zwyczajnie na rękach.

– Miałeś pojęcie, że jest do tego zdolny? – zwróciła się Gail do Jake’a.

– Wzmocnione mięśnie – skwitował George. – Dzięki nim ma taką siłę. Mój Boże, ciekawe, co jeszcze potrafi.

Jake nie miał pojęcia. Ale to nie była pora na pytania.

– George, ty i Nan chodźcie na zewnątrz. Reszta niech zostanie tutaj, zaraz przyślę jeszcze Karima. Musimy pamiętać, aby nie przytłoczyć Badyli naszą liczbą.

Wolałby mieć przy sobie Karima zamiast Nan, jednakże wiedział, że nic jej nie powstrzyma. Obecnie jej oddanie dla ojca było równie przesadzone jak wcześniej obojętność wobec niego. Ta dziewczyna nie знаła umiaru.

Mueller złożył Shipleya na ziemi tuż obok Badyła. Jake poczuł irracjonalną ulgę, że żołnierz się odrobinę zasapał. Shipley musiał ważyć co najmniej dwieście pięćdziesiąt funtów, a przecież tutejsza grawitacja była o jedną trzecią większa niż ziemską.

Badył nic nie powiedział, ale szczelina w dole platformy otworzyła się i wysunęło się przez nią ramię, które skierowało się w stronę Shipleya. Nan postąpiła krok do przodu. Gdy Jake położył jej ostrzegawczym gestem rękę na ramieniu, przystanęła, lecz nie przestała marszczyć brwi.

Ramię powoli dosięgnęło Shipleya. Objęło jego dłoń. Jake przyglądał się temu z fascynacją i obrzydzeniem. Cóż można wyczytać z samej dłoni? Czyżby ramię pobierało próbki skóry? A może przenika w głąb ciała poprzez pory czy coś? Wkłuwa mikroskopijne igły? George praktycznie się ślinił z ciekawości.

Minął kwadrans. Jake'owi zrobiło się zimno.

– Wyziębi się! – powiedziała nagle Nan.

– Tak – odezwał się Badył mechanicznym głosem. – Ten człowiek potrzebuje więcej ciepła. Ten człowiek potrzebuje naprawy. Ten człowiek uda się z nami na pokład wahadłowca.

– Ja także pójdę – wtrącił szybko Jake. – Jestem przywódcą.

Na pewno znały to słowo od Zwierzaków.

– Dobrze – zgodził się Badył. Po czym dodał: – Wszyscy ludzie pójdą. Żaden człowiek nie może zostać na tej planecie. Nie jesteście do niej stworzeni. Umrzecie tutaj. Wszyscy ludzie muszą polecieć z nami.

A więc to takie łatwe... Jak odebranie dziecku cukierka.

– Polecieć dokąd? – zapytał Jake.

– Możemy was zawieźć na waszą drugą planetę. Możemy was zawieźć w inne miejsce na waszej drugiej planecie. Gdzie wasi pobratymcy was nie zabiją.

– Znajdą nas – powiedział Jake. – Mają bardzo silne przybory. Technologię. Umrzemy tam. Umrzemy tutaj. Chcemy żyć. Nie moglibyśmy polecieć na waszą planetę?

Zapadło długie milczenie. W tym czasie ramię nieprzerwanie obejmowało dłoń Shipleya. W końcu Badył znowu przemówił:

– Potrzebne wam inne powietrze. Potrzebne wam inne jedzenie. Możemy stworzyć dla was inne powietrze. Możemy stworzyć dla was inne jedzenie. To będzie dla was bardzo dziwne.

– Wiem – powiedział Jake. – Ale chętnie polecimy. Dziękujemy. Przynajmniej będziemy żywi.

Dopóki nie zniszczą tarczy Badyli. Jeśli ją zniszczą.

Najpierw zanieśli na pokład wahadłowca Shipleya, którego Nan nie odstępowała ani na krok. Jake pomyślał, że chyba tylko ona jedna nie krztusi się na widok wnętrza statku. Wszystko w zasięgu wzroku było pokryte śluzem podobnym do tego, który towarzyszył pojawieniu się ramienia w szczelinie platformy. Z tą różnicą, że w zamkniętym pomieszczeniu zapach był odrażający. Jeśli taka jest atmosfera na rodzimej planecie Badyli, jak ludzie będą tam oddychać? Pozostawało im liczyć na to, że Badyle wiedzą, co robią. Na razie najbardziej palącym problemem było zagłębienie się w coś, co przypominało czyjeś bebechy.

– Mamy problem – zwróciła się Gail do Jake’a. – Skoro zostaliśmy tu porzuceni przez naszych pobratymców i nie wiemy nic o Zwierzakach, Badylach i toczącej się wojnie międzyplanetarnej, jak wyłumaczymy posiadanie łącza kwantowego?

Łącze kwantowe... Jake całkiem o nim zapomniał. Mieli go użyć, aby się skontaktować ze swoimi panami. Skrzywił się na to ostatnie słowo, nie mógł jednak udawać, że jest inaczej. Ludzie stali się kukiełkami w rękach Obcych.

Odebrał nadajnik z rąk Gail i przyjrzał mu się uważnie. Zdawał się składać z samego ekranu wyjętego ze skomplikowanego urządzenia, które pierwotnie znajdowało się na pokładzie *Ariela*, a następnie w skimmerze. Ekran ten był zadziwiająco lekki, ważył góra trzy, cztery funty. Czy Zwierzaki faktycznie naładowały go wystarczająco, aby była możliwa kilkakrotna komunikacja, i to na odległość wielu lat świetlnych?

Zniżając głos do szeptu, powiedział:

– Cokolwiek myśleć, to nie dzieło rąk Zwierzaków, tylko ludzi. Jeśli Badyle zapytają o nadajnik, powiem, że ci, którzy nas tu porzucili, zostawili nam sprzęt komunikacyjny, aby nie odciąć zupełnie korzeni.

– Sądysz, że ci uwierzą? – zapytała sceptycznie Gail.

– Skąd mam, u diabła, wiedzieć? Ale jeśli są ze sobą tak połączone, jak twierdzi George, idea całkowitej izolacji może im się wydawać tak przerażająca, że zaakceptują takie koło ratunkowe. – Oddał nadajnik Gail, która poszła po rozum do głowy i zmilczała.

Kiedy wahadłowiec wrócił po kilku godzinach, w środku był wysprzątnany. Na dół przyleciał tylko jeden Badył. Mógł to być – choć nie musiał – ten sam osobnik, z którym Jake rozmawiał wcześniej; wszystkie wyglądały tak samo. Badył tkwił pod kopułą, aczkolwiek nie na platformie. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać translatora, zresztą

Badyl milczał przez całą podróż do statku matki. Nie tylko się nie odezwał, ale też w żaden sposób nie kierował wahadłowcem. Karim nie spuszczał oka ze sterów pozostawionych samym sobie.

Wszyscy siedmioro zmieścili się w wahadłowcu, chociaż zrobiło się ciasno. Gail trzymała nieporęczny nadajnik. W przeciwieństwie do wahadłowca Zwierzaków, ten był ogrzewany. Jednakże tak samo nimi szarpnęło, gdy jednostka zaczęła przyspieszać. Jak doktor Shipley zniósł zwiększone ciężenie? Bez translatora nie sposób było o to zapytać.

Podróż nie trwała długo, wkrótce nastąpiło kolejne szarpnięcie przy dokowaniu, po czym byli już na miejscu.

Z wahadłowca przeszli najwyraźniej do śluzy. Niewielka i ogołocona z wszelkich sprzętów, zawierała jednak siedem przedmiotów leżących na podłodze. Były to przezroczyste kule z kołnierzami. Hełmy.

– Włóżcie je – rozległo się wszędzie i nigdzie mechanicznym głosem.

– Mój Boże! – wykrzyknął George. – Nie wierzę własnym oczom! – Trzymał hełm blisko twarzy, przyglądając mu się i obwąchując go, macając i smakując. – Moim zdaniem ten kołnierz to jakaś forma życia. Zdaje się, że będzie oczyszczać bądź wytwarzać tlen bez potrzeby noszenia zbiorników. A kula...

– Nie włożę tego – oznajmiła Gail.

– Wolisz wdychać metan czy co tam mają na pokładzie? – zapytała Ingrid.

– Raczej nie metan – zaproponował George. – Sądzę, że te kule są zrobione z jakiejś wydzieliny, z czegoś w rodzaju masy perłowej, którą ostryga wytwarza, aby zrobić perłę. Całość musi być wynikiem biotechnologii uprawianej na żywych organizmach, które...

– Przymknij się, George – uciął Jake. – Nie pora na to. Nakładamy hełmy.

Dał reszcie przykład, powstrzymując wzdrygnięcie, kiedy to robił. Moment później omal nie zerwał hełmu, gdy poczuł na policzku coś ciepłego i wilgotnego. Zmusił się jednak, aby wytrzymać utworzenie się pierścienia na szyi. Powietrze, którym po chwili oddychał, było świeże i słodkie.

– George, teraz ty. – Spuszczając oczy, zobaczył na wysokości ust cienką membranę, która wibrowała pod wpływem jego słów. – Słyszycie mnie?

– Czysto i wyraźnie – odparł radośnie George i zaczął nakładać hełm.

Jake pomyślał, że życie byłoby znacznie prostsze, gdyby wszyscy w tej grupie byli równie rozentuzjasmowani jak biolog. Chociaż może jednak nie...

W ślady Jake'a poszli kolejno naukowcy: Ingrid, Karim i Lucy. Każde z nich wzdrygnęło się tylko lekko, gdy kołnierz dopasowywał się do ciała. Franz Mueller przyglądał się im uważnie. W końcu i on opuścił hełm na głowę powolnym, ostrożnym ruchem. Moment później skinął na Gail.

– W porządku. Teraz ty.

– Nie – powtórzyła Gail.

Jake spostrzegł, że kobieta autentycznie się boi. Od samego początku nie podobał jej się pomysł Obcych. Wybierając się na Zielnik, nie spodziewała się spotkania z kosmitami. Jak zatem będzie jej się żyło z Badyłami na ich rodzimej planecie?

– Gail... – odezwała się Ingrid.

– Zamknij się! – warknęła Gail.

Następnie uniosła hełm i zacisnąwszy powieki, umieściła go sobie na głowie. Na wszelki wypadek Jake położył na nim rękę. Jak było do przewidzenia, Gail spróbowała zerwać hełm z głowy, jak tylko kołnierz oblepił jej szyję. Jednakże Jake zapobiegł temu, nie zdejmując dłoni ze szczytu kuli. Przez przezroczyste tworzywo widział, jak twarz Gail najpierw szarzeje, a potem zielenieje.

– George, co będzie, jeśli zwymiotuje do środka?

– Ten organizm prawdopodobnie zrobi porządek – odparł George niepewnie.

Ale Gail nie zwymiotowała. Uspokoiała się wyraźnie, chociaż nadal miała dziwny kolor twarzy.

– Dzielna z ciebie dziewczyna – skwitował Jake.

W odpowiedzi tylko zgromiła go wzrokiem.

Drzwi śluzy się otworzyły. Jake powiódł ludzi w głąb statku Badyli. Zaraz się jednak zatrzymał, zbyt oszołomiony, aby zrobić krok naprzód.

George wyrzął ponad jego ramieniem.

– O Boże! – krzyknął.

Jake odstał na bok, po części aby przepuścić pozostałych, a po części po to, by złapać Gail, jeśli na widok wnętrza statku Obcych czy to zemdleje, czy zacznie uciekać.

Gail zachwiała się w progu, po czym zmusiła do zaczerpnięcia głębokiego oddechu, zanim przypomniała sobie, że tlen wytwarzają śluzowate mikroby kryjące się w kołnierzu hełmu. Przez to omal znów się nie zakrztusiła, lecz jakimś cudem wzięła się w garść. Jakkolwiek na to spojrzeć, miała spędzić na statku Badyli trochę czasu. Jedynym rozwiązaniem wydawało się przywyknienie do panujących na nim warunków. Jake stał obok niej, zachowując czujność, gotów w każdej chwili ją złapać, gdyby zrobiła jakąś głupotę i na przykład zemdlą. Powinien mieć dość rozumu, aby wiedzieć, że tak się nie stanie. Gail wyminęła go i przekroczyła próg śluzy.

Dalej rozciągało się duże, mierzące może sto jardów średnicy okrągłe pomieszczenie. Zoo. A raczej ogród – tak, chyba lepiej było myśleć o nim jako o ogrodzie. Kipiący śluz, gruby na co najmniej dwa cale, pokrywał całą podłogę, wspinał się po ścianach i sięgał aż sufitu. Badyle siedziały grupkami, splatając gałęzie, ramiona czy co one tam miały. Nie sposób było stwierdzić, gdzie kończy się jedno stworzenie i zaczyna drugie. Rozłogi płożyły się w śluzie, łącząc poszczególne grupki. W pomieszczeniu panowała rażąca jasność i duża wilgotność, było gorąco i duszno. Gail momentalnie zaczęła się pocić pod zrobioną z koca tuniką.

Nie, jednak nie ogród. Jakaś koszmarzna cieplarnia z najgorszego snu.

– Gail? – zapytał Jake. – Dobrze się czujesz?

Zignorowała go. W miejscu, gdzie stali ludzie, śluz się cofnął, zapewne, aby uniknąć nadeptania. Podłoga pod spodem wyglądała na metalową, aczkolwiek metal był dziurawy, skorodowany i chropawy – może aby śluz miał się czego czepiać.

– Gdzie Nan i doktor Shipley?

– Nie wiem. Przecież dopiero tu przyszedłem – odparł Jake.

– Pokażemy wam. – Znów ten mechaniczny głos.

Gail zerknęła w dół. U podstawy jednego z Badyli leżał translator.

– Pokażcie – powiedziała z całą stanowczością, na jaką ją było stać.

Część śluzu zaczęła powoli pełznąć w stronę ścian, tworząc wąską ścieżkę. Zabrało to całe pięć minut, jednakże w końcu otworzyło się przejście na przeciwną stronę pomieszczenia. W tym czasie Gail zdążyła zdjąć tunikę – nie miała wyjścia, mogła albo być naga, albo stracić przytomność z przegrzania. Pod spodem miała przepaskę biodrową

zrobioną z materiału znalezionej na pokładzie drugiego wahadłowca; Jake nakłonił ich do pozostawienia tej części garderoby, na wypadek gdyby Badyli rozpoznały koce jako wytwór Zwierzaków.

Niosąc tunikę i nadajnik, Gail ruszyła przejściem (zdaje się, że jakaś stara legenda mówiła o morzu rozstępującym się przed kimś?). Ścieżka wiała się pomiędzy grupkami Badyli, które siedziały nieruchomo wczepione w siebie wzajemnie. George twierdził, że komunikują się, wymieniając naładowane informacją cząsteczki. Ciekawe, co mówiły teraz.

Gail z trudem powstrzymywała drżenie. Nawet lodowaty, miazdzący kości wahadłowiec Zwierzaków był lepszy od tego.

Na drugim krańcu pomieszczenia, pod ścianą, spoczywał doktor Shipley odziany tylko w szeroką przepaskę biodrową. Nan, która zdążyła się pozbyć nawet przepaski, wisiała nad nim. Obok na podłodze leżały dwa złączone koce, które tworzyły wyspę pośród wszechobecnego śluzu. Widząc to, Gail stanęła na nich z wdzięcznością.

– Jak on się czuje, Nan?

– Nie wiem. Dużo śpi, ale to chyba lepszy sen. A może tylko utrata przytomności. Nie mam pojęcia, co te rośliny z nim robią! Bez przerwy obmacują go ramionami, a jedno, długie i cienkie, zagłębiło się nawet w jego nosie.

Gail aż się wzdrygnęła.

– Pewnie muszą poznać ludzką biochemię, zanim zaordynują jakiś lek. Nie zapominaj, że nigdy wcześniej nie miały kontaktu z ludźmi.

– Bzdury opowiadasz – skwitowała Nan bez ogródek. – Tak samo jak ja nie masz pojęcia, co one właściwie robią.

Była to prawda. Gail przysiadła obok Nan i zaczęła oddzierać pas materiału ze swojego koca. Nan mogła sobie chodzić nago, ale Gail była piersiasta, no i miała swoje lata, przez co tu i ówdzie obwisała, a podskakujący biust przeszkadzał jej przy każdym ruchu. Potrzebowała czegoś w rodzaju stanika, nawet gdyby znów zrobiło jej się gorąco.

Wtem podłoga pod jej nogami zaczęła się wyginać.

Słumiła okrzyk i wyciągnęła się na płask na kocu, ale oczywiście nie było to trzęsienie ziemi. Nie było to nic, co by się dało łatwo wytłumaczyć. Podłoga zaginała się i... i...

Chwilę jej zabrało, zanim doszła do tego, co w tym wszystkim jest najdziwniejsze. Nic, jej nie wyłączając, nie stoczyło się na dół, mimo że wzrok wyraźnie jej mówił, że środek

pomieszczenia się unosi. Lub brzegi opadają. Albo coś w tym stylu.

Powoli się podniosła. Z jej stóp napłynął sygnał: pewny grunt. Idealnie równe podłoże. Aczkolwiek jej oczy wciąż twierdziły, że podłoga zrobiła się wypukła.

Ścieżką zbliżył się zachwycony Karim.

– Tak jak się spodziewałem! Cudowne!

– Co jest takie cudowne? – zainteresowała się kwaśno Gail.

– Przedział pasażerski zmienia kształt w miarę przesuwania się szybem w stronę dysku przeciwwagi. Musi się tak dziać w celu zrównoważenia siły grawitacyjnej w całym wnętrzu przedziału i zrównaniu jej z siłą grawitacyjną środka dysku. Bo widzisz, gdy przyśpieszamy...

– Nieważne – przerwała mu Gail.

– Ależ to fascynujące! Załóżmy, że promień przedziału pasażerskiego to jedna dziesiąta promienia dysku przeciwwagi. W takim wypadku przy maksymalnym przyśpieszeniu, gdy poruszająca się kapsuła znajduje się najbliżej dysku, można się spodziewać dwudziestoprocentowego wygięcia, ponieważ...

Gail pokazała mu plecy. Zwracając się do Nan, zapytała:

– Co z wodą? I jedzeniem?

– Wodę bierze się stamtąd. – Nan wskazała na przezroczysty twardy kubek umieszczony w śluzie pod największym Badyłem. – Po prostu się tam pojawia. Jak myślisz, z czego się składa?

– Z wodoru i tlenu.

– Cha, cha – zaśmiała się Nan. W przeciwieństwie do Gail sprawiała przy tym wrażenie lekko pocieszonej.

– Jak mamy się napić z tymi hełmami na głowie?

– Nie wiem... – odparła Nan, ale oczywiście była pierwsza do podjęcia ryzyka.

Uniosła kubek do ust. Gdy brzeg kubka i przezroczysta kula się zetknęły, hełm wgiął się do środka i zlał w jedno z kubkiem. W okamgnieniu stanowili całość, dzięki czemu woda – czy cokolwiek to było – dostała się do ust Nan. Gdy kobieta odsunęła kubek od twarzy, oddzielił się od hełmu, który znów przybrał pierwotny kulisty kształt.

– Mają wszystko przemyślane – stwierdziła Nan tonem bynajmniej nie zachwyconym.

Pojawiła się rutyna, jakkolwiek dziwacznie to wyglądało w oczach Gail. Pośród

nieustannie kipiącego śluzu powstały trzy wysepki z koców. Największy leżał przed samotnym Badyłem przy drzwiach śluzu, tym z translatozem. Drugi znajdował się jakieś dwadzieścia jardów dalej i był przeznaczony dla tych, którzy chcieli się przespąć w spokoju. Spanie w hełmie na głowie wymagało trochę wysiłku, ale dało się do tego przyzwyczaić. Trzecia wysepka, ochrzczona mianem „szpitala”, mieściła się na dalszym krańcu pomieszczenia, gdzie leżał nieprzytomny doktor Shipley. Miejsce to wybrały Badyłe w chwili, kiedy pojawiły się na pokładzie z lekarzem i Nan. Nikt z ludzi nie wiedział, czy ta lokalizacja ma jakieś znaczenie.

Wszystkie trzy wyspy były połączone ścieżkami, szerokimi akurat na tyle, aby dało się po nich iść gęsiego. Przejścia wiodły pod górę, jak informował zmysł wzroku, aczkolwiek w trakcie chodzenia mięśnie nie rejestrowały żadnego dodatkowego wysiłku.

– To dlatego – wyjaśnił Karim – że wektor siły przyciągania jest wszędzie prostopadły do ziemi.

Wiele godzin poświęcił na same obliczenia.

Osobna ścieżka prowadziła do niepokrytego kocem miejsca, które ludzie wykorzystywali jako latrynę. Widok na nią przesłaniały gęste wysokie grupki Badyli. Gail nie cierpiała tam chodzić. Jeszcze mniej podobało jej się to, że ilekroć wracała do latryny, było tam zawsze czyściutko. Co ten śluz robił z odchodami? Zjadał je? Wolała o tym nie myśleć.

Wzdłuż wszystkich ścieżek pojawiły się twarde przezroczyste kubki zagłębione w śluzie. Odstawiony na swoje miejsce kubek zaczynał się natychmiast napełniać wodą.

George był wniebowzięty.

– Kubki są zrobione z tego samego materiału co nasze hełmy. To jakaś nieorganiczna forma materii. Cóż, to akurat nie dziwi. Ziemska gąbka, żyjąca w morzach, *Rosella racovitzae*, wytwarza dla podpory szklane włókna zewnętrznego szkieletu, wykorzystując dwutlenek krzemu. Ostrygi tworzą masę perłową, a owady chitynę. Z tym że Badyłe oczywiście sprawują świadomą kontrolę nad tym procesem.

– Oczywiście – powtórzyła Gail sarkastycznie, co jednak umknęło uwadze rozentuzjasmowanego George’a.

Wszyscy oprócz Lucy siedzieli na największym kocu. Lucy akurat spała w „sypialni” z twarzą ściągniętą czymś więcej niż zwykłym zmęczeniem. Nan i doktor Shipley także spali na swojej wyspie, skąd Gail przeszła ochoczo do reszty, modląc się w duchu, aby ścieżka

się przed nią nie zamknęła. Na szczęście udało jej się dołączyć do grupy ludzi, którzy usiłowali się skomunikować z Badyłem dysponującym tłumaczem. Rozmowa szła opornie, ponieważ George uparł się używać fachowego słownictwa, którego tłumacz jeszcze nie znał.

– Robicie dla nas te kubki – powiedział George z westchnieniem, dając za wygraną.

– Tak – potwierdził Badył mechanicznym głosem.

– Nazywasz się jakoś? – wtrącił Karim.

– Mówicie na nas „Badył”.

– Tak – zgodził się Jake – to prawda. Teraz jednak pytamy, czy ty, jako indywidualna jednostka, masz jakieś imię. Właśnie.

– Nie rozumiemy – odparł Badył.

– Nie wydaje mi się, żeby Badył znany pojęcie indywidualności – rzekł George. – Stanowią... konglomerat. Są wśród nich wyodrębnione osobniki, ale pod względem psychicznym to nieodróżnialna całość. Można to przyrównać do organów ludzkiego ciała, które są odrębne, ale nie mają własnej świadomości. – Gdy Jake spojrział na niego, George czym prędzej dodał: – Oczywiście tylko zgaduję.

Gail zaburczało w brzuchu. Zwróciła się do Badyła:

– Czy możecie zrobić... ludzie potrzebują żywności, wiesz. Bez niej umrzemy.

Jake popatrzył na nią takim wzrokiem, jakby znowu pokrzyżowała mu negocjacyjne szyki. Cóż, stało się. Była głodna, a resztą wszyscy, zwłaszcza doktor Shipley, będą musieli się wkrótce posilić.

– Tak – powiedział Badył. – Ludzie potrzebują żywności. Możemy zrobić żywność dla ludzi. Teraz was analizujemy. Potem wytworzymy żywność dla was.

Analizują mnie w tej chwili? Co dokładnie robią?... Gail obrzuciła wzrokiem swoje ciało, jednakże nie zauważyła ani odrobiny śluzu na sobie czy na skraju koca.

– Nic nie zobaczysz, Gail – uspokoił ją George. – Z pewnością są w stanie przebadać naskórek z naszych stóp, który zostawiamy na ścieżkach. Poza tym mają do dyspozycji doktora Shipleya.

– Niedługo zrobimy żywność. Teraz analizujemy – powtórzył Badył.

Gail ponownie zaburczało w brzuchu. Znienacka odezwał się George, który zwracając się do Badyła, zapytał:

– Czy mogę dotknąć twojego śluzu? Tego czegoś, co pokrywa podłogę?

– To, co pokrywa podłóżę, to my.

– Och, wybacz – rzekł George. Nagi, nie licząc skromnej przepaski biodrowej, ze skrzyżowanymi nogami i krągłym brzuszkiem spoczywającym na kolanach wyglądał jak zawstydzony Budda.

– Damy wam śluz do analizy – oznajmił Badył. Po tych słowach odrobina śluzu wpełzła na koc i oddzieliła się od reszty.

Gail się cofnęła. Zauważyła, że Franz Mueller zareagował tak samo – jego awersja do Badyli dorównywała jej wstrętowi. Ale George wyciągnął rękę i pozwolił, aby odrobina śluzu wpełzła mu na dłoń, którą następnie uniósł do oczu.

– Zdumiewające! Ingrid, spójrz tylko na to... Tu są włoski, powiedziałbym, że wielofunkcyjne, służące zarówno do ruchu, jak i jako biodetektory. Przypatrz się budowie wewnętrznej! To nie jest błona, tylko raczej coś w rodzaju superelastycznego tworzywa wielokomórkowego!

– Może to efekt współewolucji – odparła Ingrid. – Sądysz, że też jest rozumny?

– Skoro nie różnicują się w obrębie organizmów roślinopodobnych, bardzo możliwe, że tak samo jest ze śluzem... Zatem tak, on jest też rozumny w tym sensie, że stanowi część Badyli.

– W takim razie skoro... – Ingrid wdała się w długą, najeżoną specjalistycznymi terminami dyskusję, którą Gail sobie odpuściła.

Jakiś czas później śluz – nie była w stanie o nim myśleć inaczej, cokolwiek mówił George – zaczął się przerażająco pienić. Coś się działo. Przezroczyste kubki napełniły się nie wodą, lecz gęstą szarą substancją.

– Żywność dla was – oświadczył Badył.

– Ani mi się śni! – rzuciła z miejsca Gail. Szara breja wyglądała obrzydliwie. Mimo to kieszki w dalszym ciągu grały jej marsza.

– Czy ta żywność – zapytał Badyła George – składa się ze składników odżywczych, których potrzebujemy?

– Żywność składa się ze składników odżywczych, których potrzebujecie.

– Nie będzie zawierać błonnika – stwierdziła Ingrid. – Wątpię, żeby choćby zaspokoila głód...

Jednakże wbrew sobie sięgnęła po jeden z kubków. George złapał drugi i wkrótce jego hełm wyginał się do środka, aby umożliwić mu wypicie zawartości. Gail aż zatrzęsło.

– Smaczne! – stwierdził botanik. – Smakuje trochę jak kurczak.

– Jak kurczak? – zdziwił się Jake.

– To taki stary kawał, Jake. Nieważne. Tak naprawdę w smaku jest słodkawe i lekko cierpkie. Przypomina lemoniadę.

Jake podniósł kubek. Zrobił zaciętą minę, po której Gail poznała, że prezes Korporacji Mira za wszelką cenę pragnie dać reszcie przykład, chociaż nie ma na to najmniejszej ochoty. Wychylił swój kubek i przełknął wyraźnie zdumiony.

– Niezłe, pod warunkiem że się nie patrzy. Rzeczywiście przypomina lemoniadę.

– Musi zawierać hormony hamujące głód – wysunęła przypuszczenie Ingrid. – Przestałam być głodna.

Karim także się napił i skinął głową aprobowująco. Gail czuła, że do ust napływa jej ślinka z głodu. Ujęła kubek, zamknęła oczy i upiła łyczek. Jake miał rację: kiedy się nie patrzyło, nie było to takie złe. Nie otwierając oczu, wypiła do dna.

– Franz? – rzucił Jake.

– *Nein!* W życiu!

Gail odstawiła kubek i przyjrzała się żołnierzowi. Mueller pobladł, a jego potężne nagie ciało jakby zeszywniało.

– Obcy w ten sposób wpływają na nasze umysły. Nie zamierzam tego pić – powiedział.

– Franz, gdyby chcieli manipulować naszymi umysłami, mogliby to zrobić za pomocą cząsteczek unoszących się w powietrzu. Nie musieliby nas częstować.

– Nie zamierzam tego pić! – powtórzył Mueller, po czym zerwał się na nogi i ruszył ścieżką w stronę „szpitala”.

– Możemy zrobić dla niego inną żywność – rzekł Badył.

– Ta jest wystarczająca – powiedział Jake. – Nie bierz tego do siebie, proszę. Nasz przyjaciel jest... nerwowy. Wszyscy czujemy się dziwnie tu, gdzie jesteśmy.

– Tak – potwierdził obojętnie Badył.

– Sprawdzę, co z doktorem – powiedziała Gail, wstając.

I z Franzem – ale tego nie dodała na głos. Nerwowy przekładaniec, u którego mógł zaraz wystąpić atak paranoi, jawił jej się jako zagrożenie. Gdyby tylko Jake nie czuł się taki przytłoczony przez te wszystkie kłamstwa, które opowiadał... Czemu w ogóle negocjator wzdraga się przed opowiadaniem kłamstw? Ujrzała nową twarz Jake'a – twarz, która ani trochę jej się nie podobała. Gdyby nie był taki zaprzątnięty własnymi myślami,

zareagowałyby na wybuch Muellera.

Ciekawe, co też on porabia... Nic nie porabiał. Usiadł w milczeniu na kocu i wpatrzył się w ścianę. Tymczasem doktor Shipley otworzył oczy.

– Odzyskał przytomność – rzekła Nan. – Podali mu coś... jakiś lek.

W jej głosie Gail usłyszała odrazę na poczynania Badyli wymieszaną z ulgą z powodu polepszenia się stanu zdrowia ojca. Gail usiadła. Jej nagość – i nagość Nan – doskwierała jej tylko w obecności Shipleya. Starszy mężczyzna pocił się obficie.

– Jak się pan czuje?

– Lepiej. Lepiej niż kiedykolwiek, jeśli mam być szczery. Te leki, które mi podają, muszą być nadzwyczaj skuteczne.

Gail się uśmiechnęła.

– Cóż, może pan spróbować wypytać o skład, o ile dopcha się pan na antenę. George jest niepowstrzymany...

Shipley podniósł się do pozycji siedzącej. Uśmiechnął się do córki, po czym uciekł wzrokiem.

– Naomi... nie masz czegoś do ubrania?

– Polepszyło mu się – stwierdziła Nan z tak skomplikowaną mieszaniną uczuć w głosie, że Gail omal się nie roześmiała. Powstrzymała ją tylko obawa, że zdenerwowałyby tym kochankę. Sięgnęła po jeden z dwóch pełnych kubków stojących obok koca.

– Doktorze, powinien pan to wypić. To „żywność”, którą Badyle dla nas przygotowały. Smakuje całkiem nieźle, pod warunkiem że się nie patrzy.

– Wypiłaś to? – zapytała Nan ostrym tonem.

– Niechętnie. Ale teraz czuję się najedzona i pełna sił.

– Wolę umrzeć z głodu! – rzuciła zapalczywie Nan.

Shipley przyjął kubek z rąk Gail, pociągnął nosem i upił łyk.

– Smakuje jak lemoniada.

– Co do tego się zgadzamy – rzekła Gail.

– Tato, nie pij tego!

Shipley upił kolejny łyk, po czym przechylił i opróżnił kubek. Uśmiechnął się przepraszająco do córki.

– Trzeba jeść, moje serce.

– Ja nie muszę. – Nan pokazała obojgu plecy.

– To może być trucizna – oznajmił Mueller.

– Franz – powiedział Shipley – być może spędzimy tu sporo czasu. A jeśli trzeba. To jedyna żywność, jaką mamy.

Żołnierz zmierzył go obojętnym spojrzeniem.

– Jeśli... – zaczęła Gail, ale Nan wpadła jej w słowo.

– Gail! Nadajnik ożył!

Urządzenie leżało na skraju „szpitala”, tak daleko od translatora, jak tylko się dało. Chociaż oczywiście inne Badyle, znajdujące się bliżej, mogły podsłuchać przekaz i przesłać go pozostałym w cieplarni. Gail rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Shipleyowi, Nan i Muellerowi: ani się wścieć czymś zdradzić. Gdy już się upewniła, że ją zrozumieli, odebrała nadajnik z rąk Nan.

Dziwnie było trzymać w dłoniach urządzenie, które na pokładzie zarówno statku, jak i skimmera zawsze było przymocowane na stałe do źródła zasilania. Jednakże zdawało się działać tak jak zwykle. Brzęczeniem oznajmiło nadejście wiadomości i zamigotało czerwonym światłem. Gail zsunęła pokrywę ekranu, trzymając nadajnik pod takim kątem przy ciele, aby Badyle nie mogły podejrzeć wiadomości. Niewykluczone, że były to wysiłki skazane z góry na niepowodzenie. Z drugiej strony czym one miały patrzeć? Czymś jednak ewidentnie widziały, skoro potrafiły śledzić ruchy ludzi. Może odczytywały sygnały cieplne.

Wiadomość kwantowa nie wydzielala ciepła, chociaż sam nadajnik je emanował. Przekazem był zbiór ulotnych fluktuacji cząstek splątanych kwantowo. Informacja była przechwytywana i przechowywana dłuży czas, przynajmniej w skali niesłuchanie krótkich okresów obowiązujących na poziomie kwantowym. Dopiero po chwili coś pokazywało się na wyświetlaczu. Zwierzaki zawczasu splątały to konkretne urządzenie ze swoim odpowiednikiem, zarazem najwyraźniej rozwiązując wszelkie problemy z tłumaczeniem, ponieważ na ekranie pojawiły się od razu angielskie słowa.

Jesteście na pokładzie wrogiego statku?

Gail uderzyła w przycisk odpowiedzi. Transmisja odbywała się na bazie kodu alfabetycznego.

Tak.

Ekran pociemniał.

Na głos, na tyle pewnie, na ile było ją stać, Gail powiedziała:

– Nasi krewni przesyłają pozdrowienia.

Gdzieś w plątaninie obcej roślinności wrzasnęła Lucy.

„Szpital” znajdował się na drugim końcu krętej ścieżki, która prowadziła do „sypialni”. Zanim Gail zdążyła tam dobiec, deptając po piętach Franzowi i Nan, wszyscy byli już na miejscu, tłocząc się na trzech kocach opływających śluzem. Nikt nie wydawał się przestraszony, a Lucy przestała krzyczeć.

– Wspiął się na mnie – powiedziała z szeroko otwartymi oczami.

Dopiero wtedy Gail zobaczyła, o czym mowa.

Wysoki na kciuk człowieczek gramolił się u ich stóp. Nie, nie człowieczek, tylko... Gail zatrzymała się na ścieżce, niechętna podejść bliżej. Małeństwo zaczęło się wdrapywać na nogę George’a, mając ułatwione zadanie dzięki jego owłosieniu. Przynajmniej wybrało odpowiednią osobę: George podstawił pod stworzenie skuloną dłoń i delikatnie je podniósł.

Gail po raz pierwszy zobaczyła, jak biologowi odbiera mowę.

Wysoka na dwa cale istota faktycznie przypominała człowieka, a przynajmniej była do niego podobna bardziej niż Obcy. Miała symetryczną budowę, była dwunożna i charakteryzowała się dobrze wykształconą głową zaopatrzoną w oczy i otwór, który mógł być ustami. Gwoli szczerości, zamiast rąk z jej piersi wyrastała długa elastyczna i na oko lepka macka. Ministworzeniu brakowało też narządów płciowych. Jednakże proporcje były takie jak u człowieka, brązowa skóra wydawała się miękka, przez co Gail była w stanie myśleć tylko o opowiadanych jej w dzieciństwie przez nianię historyjkach o duszkach i elfach.

Istota zaćwierkała do George’a.

– Witaj – powiedział na próbę, ale nie dostał odpowiedzi.

– Patrzcie! – zawołała Ingrid.

Z pnączy wybiegało więcej takich istot. Gail zdążyła zobaczyć, jak u podstawy Badyła otwiera się liść, ręka czy cokolwiek to było. Wyprysnął z niej ćwierkacz. Po chwili tłum istotek tłoczył się wokół ludzi.

Mueller zaciął wargi, odchylił nogę i przymierzył się do kopnięcia jednego z ćwierkaczy. Jake krzyknął ostro „Franz!”, na co żołnierz spowolnił ruch, tak że skończyło się na stanowczym odsunięciu.

– Gail, przepuść mnie – poprosił George. – Muszę wypytać o nie Badyle!

Istota na jego dłoni w dalszym ciągu ćwierkała, w ogóle się nie bojąc.

Wszyscy ruszyli śladem George’a na środkową wyspę, gdzie biolog zwrócił się do Badyła:

– Co to jest?

– To są nasze mobile – odparł Badył.

W głowie Gail rozległo się echo słów przytoczonych przez Nan: „Wszyscy jesteście mobilami. Jesteście wszyscy mobilami. Uważamy, że tak. Mobile muszą chodzić i biegać. W naszym świecie mobile nie mówią. Nie siedzą razem z nami. Kochamy je takimi, jakimi są”.

– Mobile – powtórzył George. – Czy one... myślą? Analizują?

– Nie muszą analizować – odpowiedział Badył.

– Aha. – Nawet George sprawiał wrażenie zagubionego. W końcu zapytał: – Czy stanowią część waszego cyklu życiowego? Czy z takiego mobila wyrośnie Badył?

– Nie.

– Czy mobil kiedyś był śluzem?

– Wszyscy kiedyś byliśmy śluzem – rzekł Badył. Gail zorientowała się z miny George’a, że to niczego nie wyjaśnia. Tymczasem kilkanaście ćwierkaczy wbiegło na koc i usiłowało się wspinać na ludzi. Franz odepchnął jednego, cofnął się i zawrócił do „szpitala”. – Są ciekawskie – podjął Badył. – Chcą was skosztować. Potem wrócą do pracy.

George chyba dojrzał w tym swoją szansę.

– Na czym polega ich praca?

– Nadeszła pora, abyśmy uprawiali miłość – oznajmił Badył beznamiętnie.

Zanosilo się na kolejną długą rozmowę. Wszyscy oprócz Gail wydawali się zafascynowani. Teraz już nawet Nan siedziała na kocu, trzymając w dłoni małego ćwierkacza. Chociaż czuła awersję do Badyli i śluzu, ta trzecia forma życia najwyraźniej przykuła jej uwagę. Gail w pewnym sensie to rozumiała: mobile przypominały ludzi bardziej nawet niż Zwierzaki i w przeciwieństwie do nich entuzjastycznie reagowały na głaskanie. Gail wzruszyła ramionami i udała się do „szpitala”.

Doktor Shipley siedział wyprostowany. Franz Mueller zajmował miejsce w drugim rogu koca, gapiąc się w przestrzeń przed sobą.

– Doktorze, jak się pan czuje?

– Nadzwyczaj dobrze, dziękuję. Co tam się dzieje?

– Pojawiły się maleńkie istoty, które Badyłe nazywają „mobilami”. Ten, który z nami rozmawia, twierdzi, że to część ich procesu rozmnażania.

– Naprawdę? – Shipley wydawał się nie mniej zainteresowany niż Nan. Gail westchnęła. Czyżby ona jedna miała gdzieś, jak, kiedy i czy w ogóle Badyłe się pieprzą? Bo do tego najwyraźniej się przymierzały. – Chyba wstanę – dodał lekarz. Kiedy jednak spróbował się podnieść, runął z powrotem na koc.

– Proszę się nie nadweręzać – obruszyła się Gail. – Jeszcze pan całkiem nie wydobrzał...

Wtem uświadomiła sobie, że zwraca się do lekarza. Shipley wykrzywił usta w grymasie będącym na poły uśmiechem, na poły wyrazem bólu.

– Tak, moja droga. Masz rację. Rzecz w tym, że czuję się wyśmienicie po tych lekach Badyli... Chciałbym zapytać, co... Ale to mogę zrobić później, podobnie jak dowiedzieć się więcej o mobilach.

Franz rzucił gwałtownie:

– Każcie roślinom trzymać te rzeczy z dala ode mnie, bo je rozdepczę.

Gail wbiła w niego wzrok. Franz nie przeprosił. Zamiast tego powiedział:

– Nikt tutaj nie pamięta Mira City.

– Ja pamiętam.. – rzekła cicho Gail i poczuła przelotną więź z wściekłym żołnierzem.

Cała reszta była zafascynowana tajnikami biologii Obcych. Gail tego nie rozumiała. Ona ani na moment nie zapomniała Mira City. Jeśli Jake, Karim i George nie zdołają zniszczyć tarczy Badyli po wylądowaniu na ich rodzimej planecie, Mira City zniknie. Pięć tysięcy istnień ludzkich, w tym cała rodzina Gail. A wraz z ludźmi przepadną wszystkie jej plany, marzenia i cele, które stawiała sobie od piętnastu lat.

– Ja nieustannie myślę o Mira City – dodała, wiedząc, że nie może powiedzieć nic więcej, jeśli nie chce narazić planu Jake’a. To jednak wystarczyło. Mueller spojrzął na nią i udobruchany skinął głową.

Za to Shipley nie spuszczał oka z nich obojga, znowu czujny i przenikliwy jak zawsze.

Shiplej dołączył do dyskusji o mobilach późno, w związku z czym musiał sobie wyrobić zdanie na podstawie tego, co usłyszał od innych, oraz tego, co zaobserwował. Wmawiał sobie, że jest zainteresowany z medycznego punktu widzenia, wiedząc przez cały czas, że tylko się zwodzi.

Nikt nie stawia chętnie czoła bólowi i zdradzie.

Zatem przyglądał się bacznie mobilowi, który siedział na jego potężnej nodze, i dziwował się nieskończonej różnorodności wszechświata.

Mobile były „zapyłaczami” czy czymś w tym rodzaju. Biegały pomiędzy Badyłami, roznosząc „pyłek” na swoich lepkich mackach. Badyłe za to wytwarzały jakiś związek, który zaspokajał łaknienie mobili, aczkolwiek nie było to zwykłe jedzenie.

– Ziemskie rośliny postępują tak samo, wiecie – rzekł George. – Przynajmniej te udomowione. Nauczyły nas hodowania, ochrony, nawet inżynierii i szczepienia, w zamian zaspokajając nasze pragnienie piękna i zapachu kwiatów. Jesteśmy po prostu większymi, mądrzejszymi pszczołami. – Urwał. – Albo większymi, mądrzejszymi mobilami.

– Czemu po prostu nie zarzucą pyłkiem same siebie? – zapytała Naomi.

– Samozapylenie nie pozwala na dostateczną wymianę genów. Wiele ziemskich gatunków rozwinęło sposoby unikania samozapylenia. Niektóre nawet wytwarzają zalążki i pyłek, które są niekompatybilne. Inne produkują pyłek, kiedy słupki nie są jeszcze w stanie go przyjąć. Seks zapewnia ogromne ewolucyjne korzyści.

– Seks? – podchwyciła Naomi, rozglądając się za Gail, której akurat nie było. – To Badyłe dzielą się na osobniki żeńskie i męskie?

– Niekoniecznie – odparł George. Mobil, którego trzymał w dłoni, usiłował zeskoczyć na ziemię. Widząc to, George delikatnie przyłożył rękę do koca. Istota odbiegła, kryjąc się w pnączach. – O seksie można też mówić w obrębie jednej płci.

– Wiem – powiedziała Naomi.

Shiplej zachował kamienną minę. Jak widać, Naomi nie zrezygnowała jeszcze z zajścia mu za skórę.

– Nazywamy żeńskimi te gamety, które zawierają organelle noszące ślady DNA, takie jak mitochondria – tłumaczył George, zapalając się – a męskimi te, które ich nie zawierają. Może jednak w wypadku Badyli nie ma mowy o podobnych organellach. W końcu one

nawet nie są oparte na DNA.

– Nie rozumiem tych słów – wtrącił Badył.

Zanim George zdążył odpowiedzieć, odezwał się cicho Shipley:

– Tak się zastanawiam... Skoro Badyłe wymagają zapylenia, każdy z nich może być nosicielem genów drugiego. Może z tego powodu nie rozwinęły u siebie morderczych skłonności. Zabicie innego osobnika równałoby się dzieciobójstwu.

Naomi rozgniewała się zniechęca. Jake rzucił lekarzowi ostre spojrzenie, najwyraźniej pomny tego, że mieli nie wspominać o swych wcześniejszych kontaktach z Badyłami. George zniecierpliwiał się, jakby Shipley zwiódł dyskusję na manowce.

Jednakże Badył powiedział:

– Tak. Oczywiście. Umieramy, ale nie znamy zabijania. Ale nasz wróg morduje.

Nadal mierząc Shipleya wzrokiem, Jake zapytał:

– Jaki wróg? O czym ty mówisz?

Shipley podniósł się ciężko na nogi. Nie był tu mile widziany. Poza tym nie chciał się dłużej zwodzić ani odciągać swoich myśli od decyzji, którą będzie musiał wkrótce podjąć.

Krocząc ostrożnie po ścieżce, wrócił do „szpitala”. Na kocu był tylko Mueller. Gail udała się do „sypialni”, wreszcie dostatecznie zmęczona, aby zasnąć. Mueller zdążył odkryć, że mobile nie zapuszczają się na teren „szpitala” (czyżby Badyłe im tego zabroniły?), i od tej pory przebywał tylko tam. Konsekwentnie odmawiał wzięcia jedzenia do ust, tak samo jak Naomi. Obecnie leżał na kocu i spał głęboko – jego imponujące ciało rozluźniło się niczym ciało dziecka chyba po raz pierwszy, odkąd postawił nogę na pokładzie wahadłowca Obcych.

Shipley usiadł, zwiesił głowę i zamknął oczy. Usiłował oczyścić umysł z myśli, jednakże obraz Bety nie chciał go opuścić.

– To nasz kwiat śmierci, Williamie Shipleyu. Przekażesz go innym Badyłom, aby Beta mógł ponownie urosnąć?

– Ponownie urosnąć? Beta?

– Tak – potwierdził Beta. – Kwiaty śmierci wszystkich Badyli są bezpieczne na tajnej planecie. Kwiaty śmierci urosną. Urosły już dwa razy. Mogą urosnąć i trzeci raz...

Jake zapytał z niedowierzaniem:

– Złożył pan Obcemu przyrzeczenie na łożu śmierci?

– Nowi Kwakrzy nie składają przyrzeczeń – odparł Shipley. – Staramy się zawsze dotrzymywać słowa...

A Shipley go nie dotrzymał. Zwierzaki zniszczyły kwiat śmierci Bety, unicestwiając go równie skutecznie, jak wcześniej unicestwiły łagodnego Betę. A teraz Shipley przykładał rękę do kłamstwa, nie mówiąc tym Badylom – które ocaliły ludzi i zaufały im – prawdy mogącej uratować ich planetę przed zagładą.

Pod wpływem Jake'a stał się jednym z ludzi, którzy weszli do konia trojańskiego. Aby unicestwić wroga poprzez udawanie, że są kimś innym niż w rzeczywistości. Wślizgnąć się za linie obrony. Dokonać zniszczenia od środka.

Z tym że Badyłe nie były wrogami ludzi. Milcząc, Shipley pomagał skrzywdzić przyjaciół. Gdyby jednak coś powiedział, ucierpiałyby Mira City.

„Prawda jest drogą, a droga prawdą” – mawiali dawni kwakrzy, a zresztą nie tylko oni. Jak to ujął Platon? „Prawda jest źródłem wszelkiego dobra”. Nic dobrego nie wyniknie dla Badyli, jeśli Shipley nie powie im prawdy.

Jeśli zaś to zrobi, zginie co najmniej pięć tysięcy ludzi.

Jeśli nie zrobi, przepadnie wszelka szansa na znalezienie lepszego rozwiązania, dzięki któremu wszyscy przeżyją. W dodatku całe jego życie, cała wiara okaże się fikcją. „Niech twoje życie przemówi za ciebie” – powiedział do Lucy z zadufaniem tak dawno temu, jeszcze na pokładzie *Ariela*. Przez życie musi przemawiać prawda.

A on nie mógł być szczery... Jego myśli krążyły wokół tego, aż rozboleła go głowa. Sięgnął po kubek i upił łyk odżywczego płynu zapewnionego przez Badyłe. Położył się na statku ratunkowym zapewnionym przez Badyłe, odetchnął słodkim powietrzem zapewnionym przez Badyłe i usiłował się zdrzemnąć. Nawet wtedy jednak dręczyło go pytanie, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– One je zniewalają – rzuciła gniewnie Naomi. – Jak możesz w to wątpić?

– Uważam, że to nie jedyny sposób patrzenia na tę sprawę – odpowiedziała neutralnie Gail.

Shipley leżał bez ruchu. Miał wrażenie, że spał przez dłuższy czas. Czyżby podano mu coś w jedzeniu, a może raczej powodem było wyczerpanie steranego rannego ciała? Gail i Naomi siedziały na skraju „szpitala”, rozmawiając cicho. Mueller zniknął; Shipley znalazł

się sam na sam z dwiema kobietami. Naomi wyglądała okropnie, była wychudzona i miała zapadnięte policzki. Nie jadła nic od... Od ilu dni lecieli tym statkiem? Nie wiedział. Za Naomi majaczyły dwa duże nieruchome Badyłe, głuche na wszystko. Być może głuche...

– Nie ma innego sposobu! – wybuchnęła Naomi. – Te pieprzone rośliny zniewoliły maleńkie mobile, trzymają je uwięzione wśród pnączy, dopóki Badyłe nie zapragną ich usług w charakterze chodzących fiutów! Czy to nie jest niewolnictwo?

Shpley zauważył, że Gail stara się nadać głosowi obojętne brzmienie, mówiąc:

– Mobile nie wydają się nieszczęśliwe.

– Kurwa, Gail, w każdej kulturze od zarania dziejów zawsze zdarzali się „szczęśliwi” niewolnicy, którzy nie mieli o niczym pojęcia. Przecież wiesz. Mimo wszystko to nadal nie w porządku.

– Ależ one nie są ludźmi. Nie możesz przykładać ludzkiej miary do Obcych.

– Wiesz co? – prychnęła Naomi. – Dopiero teraz uświadomiłam sobie, jaką jesteś bigotką.

W końcu Gail nie wytrzymała:

– Nie jestem żadną bigotką, do diabła. Po prostu staram się zachować zdrowy rozsądek! Te mobile nie są maleńkimi ludzikami, choć wyglądają, jak wyglądają. Prawdopodobnie nawet nie są rozumne. Nikt inny tutaj nie ulega egoistycznemu antropomorfizowaniu!...

– Franz się ze mną zgadza.

– Och, cudownie. Znalazłaś oparcie w przekładańcu, który z każdą godziną staje się coraz bardziej ksenofobiczny. Widziałaś, jak się zamachnął na tamtego Badyła, którego liść niechcący musnął jego nogę?

Naomi zamilkła. Shpley zastanowił się, czym żołnierz mógł się zamachnąć na gospodarza. Jeśli Franz Mueller zaczynał przejawiać oznaki paranoi, która dopadła Rudolfa Scherera i Erika Halberga, on – lekarz – powinien o tym wiedzieć. Spróbował się podnieść, jednakże jego ciało opanował jakby niepokonany letarg.

– Nan? – odezwała się Gail.

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Naomi wstała i odmaszerowała.

– A ja chcę! – zawołała za nią Gail. – Mam dość tego, że wychodzisz teatralnie, udając moralną wyższość!

Zerwała się na nogi i pobiegła za Naomi ścieżką.

Shpley w dalszym ciągu nie był w stanie wykonać żadnego ruchu. W pomieszczeniu

zapanowała cisza. Gęsta biomasa (albo coś innego) tłumiała dźwięki; głosy z dwu innych wysp nie docierały do „szpitala”. Badyłe oczywiście nie robiły hałasu. Shipley nie słyszał też ćwierkania mobilu – czy to znaczy, że wszystkie wróciły do (jak nazwała to Naomi) swojego roślinnego więzienia?

Wtem uszu Shipleya coś doleciało...

Odgłos dotarł do jego świadomości w tej samej chwili, gdy ociężałość wreszcie ustąpiła i mógł znów poruszyć kończynami. Dźwięk był słaby, cichy, ale wyraźny; być może słyszalny tylko dlatego, że zdawał się wyższy od głosów ludzi. Swoją słodyczą przypominał inne miejsce, inny czas, całkowicie inne okoliczności...

Karim Madżub gwizdał *Rondo* koncertu skrzypcowego Beethovena.

Słuchając Straussa i Mozarta, Beta powiedział: „To rozjaśnia moją duszę”.

Światło...

Shipley usiadł na szorstkim kocu. Podjął decyzję.

Nie była to decyzja łatwa do wprowadzenia w życie. Musiał znaleźć się sam na sam z Badyłem, który miał translator. Nikt nie wiedział, czy pozostałe Badyłe słyszą – i rozumieją – cokolwiek z rozmów przywódcy Badyli z ludźmi. Może będąc jednym organizmem, dzieliły ze sobą wszystko. A być może nie.

Główną wyspę przy drzwiach śluzy na ogół zajmowało od trzech do ośmiu ludzi. Franz nigdy tam nie zachodził, za to George bez ustanku trwał na posterunku. Biolog nawet spał przy translatorze, zamiast przenieść się do „sypialni”.

– Nie przeszkadzają mi wasze rozmowy, mam kamienny sen – tłumaczył. Tak naprawdę jednak chodziło mu o to, że nie chce niczego przegapić.

Shipley dołączył do płynnie zmieniającej się grupy przy translatorze. Powinien właściwie obserwować Franza, lecz przekładaniec będzie musiał zaczekać. Ta sprawa była ważniejsza.

– Nie śpi pan – zauważyła Lucy miłym tonem. – Witamy z powrotem, doktorze. Jak się pan czuje?

– Dobrze – odparł Shipley. – Jak długo spałem?

– Dwa dni. Mniej więcej. Badył powiedział, że musi się pan wyleczyć.

Dwa dni! Nic dziwnego, że Naomi wyglądała na taką wygłodzoną. Jake także stracił na wadze i wychudł na twarzy, chociaż z tego, co wiedział Shipley, prezes Korporacji Mira

nie odmawiał posiłków. Jake'a przesładowało najwyraźniej coś innego niż brak jedzenia.

To również zasługiwało na uwagę lekarza. Na razie jednak Shipley musiał znaleźć się sam na sam z Badyłem. Który niestety zawsze miał towarzystwo.

George i Badył rozmawiali o tworzeniu się cząsteczek.

Ingrid, Badył i George rozmawiali o dziedziczności.

Jake i Lucy nie rozmawiali ze sobą, a dzielące ich milczenie było w uszach Shipleya głośniejsze od oskarżeń.

Karim gwizdał, dopóki usta go nie rozbolały.

Naomi pokazywała się tylko z rzadka, ale Gail kursowała w tę i we w tę od „szpitala” do głównej wyspy. Za którymś razem ogłosiła, że nadeszła kolejna wiadomość z „domu”. W jej głosie Shipley wychwycił cierpienie, którego Badył nie był w stanie zauważyć ani zinterpretować.

George i Badył rozmawiali o ewolucji.

Jake się oddalił, wrócił i usiadł blady jak sama śmierć.

Karim i Badył rozmawiali o fizyce rodzimego systemu gwiazdnego Badyli.

W końcu Shipley nie był w stanie czekać dłużej. Nie miał pojęcia, kiedy statek dotrze do celu ani co zastaną na miejscu. Nie wiedział też, jak długo odczekają Zwierzaki, zanim uznają, że ludzie wycofali się ze swojej części „umowy”. Liczyła się każda minuta.

Podniósł się zamyślony. Lucy zerknęła na niego.

– Chyba pójde sprawdzic, co u Franza – powiedział i opuścił główną wyspę, kierując się wolną od śluzu wąską ścieżką w stronę „szpitala”.

Przeście wiło się pomiędzy grupkami Badyli i kipiącego śluzu. Przez mniej więcej jedną trzecią drogi ścieżka była osłonięta przed widokiem zarówno z głównej wyspy, jak i ze „szpitala”. Shipley zatrzymał się w ustronnym miejscu, obok grupy czterech Badyli, które rosły w kępie. Przyłożył dłoń do pnia najbliższego, nie wiedząc nawet, czy to jest konieczne, aby zwrócić uwagę Badyła. W gruncie rzeczy nic nie wiedząc.

Nagle odezwał się cicho:

– Tutaj William Shipley. Nie wiem, czy mnie słyszysz albo wyczuwasz w jakiś inny sposób. Muszę porozmawiać z Badyłem, który ma translator wroga. Muszę porozmawiać z nim na osobności, bez innych ludzi. To bardzo ważne. Proszę.

Shipley zamilkł. Nic się nie działo. Stworzenie pod jego ręką wydawało się śliskie, pokryte swego rodzaju błoną, która osłaniała podłogę i ściany. Mięisty liść dotknął jego

nadgarstka, a może tylko został poruszony lekką bryzą, która nie przestawała wiać w tym pomieszczeniu. Shipley miał nadzieję, że nawet jeśli stworzenie nie rozumie jego słów, jest w stanie wyczuć napięcie ze związków wydzielanych przez jego dłoni.

– Proszę – szepnął powtórnie.

W dalszym ciągu nic.

Jednakże kiedy wrócił na główną wyspę, nie bardzo wiedząc, co mógłby jeszcze zrobić, wszyscy obecni stali podekscytowani. George, Ingrid, Jake, Lucy i Karim.

– Niech pan spojrzy, doktorze! – powiedziała Ingrid. – Nowa ścieżka!

Śluz rozstępował się, tworząc przejście w nowym kierunku. Działo się to wolno, bardzo wolno, w iście ślimaczym tempie, jednakże w końcu powstała szeroka może na stopę dróżka, na której nie było ani kropli śluzu. Trasa ta wiodła ku kępie wyjątkowo okazałych Badyli. Shipleya ogarnął na moment strach. *Co ja najlepszego uczyniłem?* Przez głowę przemknęły mu obrazy mięsożernych roślin z Ziemi i czerwonego pełzaka z Zielnika.

George rzekł z uniesieniem:

– Badyl mówi, że pokaże nam coś zupełnie nowego o swoim gatunku!

– Idźcie już – powiedział Badyl swoim mechanicznym głosem.

George'owi nie trzeba było powtarzać dwa razy. Rzucił się ścieżką, a Ingrid i Karim deptali mu po piętach. Jake ruszył wolniej, a kiedy to zrobił, Lucy skierowała się starą ścieżką w stronę „sypialni”.

– Obejrzę to później – rzekła do Shipleya napiętym nieprzekonującym głosem. – Teraz jest tam za tłoczno.

Spróbowała się uśmiechnąć, a kiedy jej się to nie udało, wzruszyła ramionami, nie zatrzymując się.

Shipley został sam na sam z Badylem.

Usiadł i splótłszy dłonie na brzuchu, zaczął mówić. Szepł rozlegał mu się pod czaszką donośnym dudnieniem.

– My... Muszę ci powiedzieć coś nowego. Mam nową ważną informację. Bardzo ważną. Wcześniej poznaliśmy inne Badyle. Jeden dał mi swój kwiat śmierci. Miałem go wam przynieść, żebyście go umieścili w tajnej bibliotece próbek genetycznych i żeby ponownie urósł. Zwierzaki jednak zniszczyły go, zanim zdążyłem go do was przynieść. Jest mi z tego powodu bardzo, ale to bardzo przykro.

Badyl milczał. Nie sposób było ocenić jego reakcji. Mimo to Shipley poczuł, jak jego

głos staje się pewniejszy, a serce lżejsze. Był przekonany, że postępuje właściwie.

– My, ludzie, poznaliśmy inną grupę Badyli, która przybyła na naszą planetę. Tamte Badyle przyleciały sprawdzić eksperymentalną kolonię waszych wrogów... my nazywamy ich Zwierzakami... którą pozostawiliście na tej planecie. Mówię nie o tej planecie, na której nas znaleźliście, tylko o tej drugiej z waszymi koloniami. Zwierzaki, które przyleciały statkiem kosmicznym, zniszczyły te kolonie, tak samo jak Badyle, które się pojawiły. Potem Zwierzaki przeniosły nas na planetę, na której nas znaleźliście. I kazały nam zrobić coś strasznego. Okłamaliśmy was.

To słowo – „okłamaliśmy” – Shipley zostawił sobie na koniec. Nie mógł mieć pewności, czy Badyl je zrozumie.

– Powiedzieliśmy wam rzeczy, które nie są zgodne z prawdą. Twierdziliśmy, że nasi pobratymcy zmusili nas do opuszczenia planety. To nieprawda. Zwierzaki nas przeniosły tam, gdzie mieliście nas znaleźć. Chciały, abyście zabrali nas na pokład swego statku. Chciały, abyście zabrali nas na swoją planetę.

Shipley przerwał. W tym momencie każdy człowiek zapytałby: „Dlaczego?”. Badyl nawet się nie odezwał. Spoglądając na jego obce kształty, na ciało, które nie było ani ciałem, ani drewnem, ani chityną, na niesamowity inteligentny śluz, który go pokrywał, Shipley nie dał się zbić z pantafelku. Mówił prawdę, a prawda jest źródłem wszelkiego dobra.

– Zwierzaki chciały, abyśmy byli na jednej z waszych planet. Chcą, abyśmy dostali się do tarczy, którą stworzyliście na swojej rodzimej planecie. Do tarczy, która przechwytuje ich statki, zanim zdążą was zaatakować. Zwierzaki kazały nam zniszczyć tę tarczę. Jeśli tego nie zrobimy, Zwierzaki zabiją wszystkich ludzi na naszej planecie. Pięć tysięcy osób w jednym mieście, kolejny tysiąc gdzie indziej. Okłamaliśmy was, aby chronić swoich pobratymców. Zgodziliśmy się zniszczyć waszą tarczę. Ale to niewłaściwe postępowanie. Właściwe jest powiedzieć wam prawdę, abyśmy wspólnie mogli znaleźć rozwiązanie, które pomoże ocalić Badyle i ludzi.

Shipley skończył mówić. Serce biło mu tak szybko, aż się obawiał, że zemdleje. Zmusił się, by zaczerpnąć głęboko tchu. Badyl milczał.

Czyżby nie rozumiał? Beta przecież tyle rozumiał! A może ten Badyl właśnie w tej chwili zabija pozostałych ludzi w tym pomieszczeniu, z dala od oczu Shipleya, w geście odwetu? *Naomi...*

Czemu ten Obcy nic nie mówi? O Boże, czyżby Shipley użył zbyt skomplikowanego słownictwa, zbyt rozbudowanej gramatyki? Co to coś sobie myśli?

– Rozumiesz – podjął desperacko Shipley – co do ciebie powiedziałem? Rozumiesz?

– Jakie nowe informacje? – zapytał Badył.

Shipley rozdziawił usta.

– Nie rozumiem, gdzie tu nowa informacja, Williamie Shipleyu. To nie jest nowa informacja. Jake Holman powiedział nam to wszystko już wcześniej.

– To prawda, doktorze – rozległ się głos Jake’a za plecami Shipleya. – Powiedziałem im to wszystko już wcześniej.

Absurdalnie Jake pożałował, że nie ma kamery. Wyraz twarzy Shipleya...

Jednakże ulga była tylko przelotna. Przez rozbawienie Jake'a przebiło się znów cierpienie – ból, który będzie mu towarzyszył już zawsze. Shipley wyznał Badyłom prawdę, ale Jake także to zrobił. I teraz Mira City czeka zagłada. Nie od razu, lecz niebawem, gdy Zwierzaki się zorientują, że ludzie nie zniszczą tarczy od środka, ponieważ nigdy nie dostaną się do „środka”.

– Nie zabiorą nas na swoją rodzimą planetę, doktorze – powiedział Jake. – Nie są głupie.

Shipley popatrzył na niego, a potem przeniósł wzrok na Badyła, jakby się spodziewał, że Obcy przemówi. Badył oczywiście milczał. Badyłe odzywały się wyłącznie wtedy, gdy miały coś do powiedzenia. Była to jeszcze jedna cecha różniąca Obcych od ludzi.

– Dlaczego im powiedziałaś, Jake? – zapytał cicho Shipley.

– Z tego samego powodu co pan. Żeby zagwarantować sobie ich pomoc za sprawą jakiegoś überplanu, dzięki któremu wszyscy zostaniemy ocaleni.

– Mną kierowały inne pobudki – rzekł Shipley.

Mną również, nie powiedział Jake. Przestał ogarniać, co nim kierowało. Względy praktyczne, nadzieja, prawda, cynizm, Lucy... Właściwie wszystko po trochu. Boże, ale był zmęczony. Nie spał od bardzo dawna.

– Tak czy owak powiedziałaś im – podjął Shipley. – Poinformowałaś Badyłe o koniu trojańskim i...

Jake domyślił się ataku, zanim go poczuł. Mueller stał za nim na ścieżce wiodącej do „szpitala”. Jake dokonał półobrotu w tej samej chwili, gdy żołnierz go złapał i obrócił o dalsze dziewięćdziesiąt stopni.

– Ty! Zdradziłeś nas! Zdradziłeś Mira City! *Scheisse!*

Jake poczuł pięść Muellera na własnym brzuchu, po czym stracił oddech, nie był w stanie zaczerpnąć tchu, miał wrażenie, że jego ciało stanęło w ogniu...

Coś ściągnęło z niego Muellera.

Jake przewrócił się bardziej obolały, niż mógłby sobie wyobrazić. Kątem oka zobaczył, że Mueller zmaga się z... Badyłem. Z dwoma Badyłami. Ich wici oplatały człowieka niczym żywe liny.

Jednakże zmodyfikowany genetycznie Mueller był od nich silniejszy. Rycząc, wyzwolił się z uścisku obu Badyli i nadepnął na zerwane wici. Właśnie to uratowało życie Jake'owi. Coś się wydarzyło pomiędzy deptaniem a kolejnym atakiem przypuszczonym na Jake'a. Prezes Korporacji Mira w dalszym ciągu nie mógł złapać tchu i był bliski utraty przytomności, ale zanim ogarnęła go ciemność, zobaczył jeszcze, jak doktor Shipley łapie Muellera za lewą kostkę. Przekładaniec, który nie spodziewał się niczego ze strony Shipleya, stracił równowagę. Rozpaczliwy gest lekarza pociągnął go na ziemię. Mueller runął na bok i wylądował twarzą do dołu obok koca.

Leżał tylko kilka sekund. Potem zerwał się z zawrotną szybkością, ale ten czas wystarczył, aby jego hełm, zetknąwszy się ze śluzem, jakby się rozpuścił. Teraz śluz pokrywał całą twarz Franza. Mężczyzna zaczął szaleńczo drapać się po skórze, lecz ona również się rozpuszczała. Wciąż obolały Jake, ledwie widząc na oczy, przyglądał się, jak ciało, oczy, usta przekładańca znikają... Później Jake'a pochłonęła ciemność.

Gdy się ocknął, jego płuca przepełniało powietrze. Pierś go bolała, ale już nie paliła żywym ogniem. Wisiała nad nim Gail trzymająca kubek.

– Już jesteś... Dobrze. Wypij to, Jake. Zmęczyło mnie sączenie ci do gardła po kropelce. Nie, nie ruszaj się, do cholery, masz trzy złamane żebra. Po prostu to wypij.

Zrobił, jak kazała, rozlewając połowę zawartości kubka na własną pierś. Ból ciała minął niemal natychmiast. Jake ostrożnie odwrócił głowę. Spoczywał na głównej wyspie. George siedział obok Badyła, ale poza nim nie było nikogo. Jake zobaczył zaczerwienione miejsca na torsie Badyła w miejscu, skąd wyrwano delikatne wici.

– Mueller? – zapytał.

– Nie żyje – odparła Gail z powagą w głosie. – Zdaniem George'a to był ten sam związek, którym rozpuściły martwych towarzyszy na Zielniku.

Zielnik... W innym życiu.

– Badył zaordynował ci środek przeciwbólowy – wyjaśnił George.

– Badył? – Ten Obcy zamordował Muellera. A przecież kiedyś ludzie usłyszeli: „My nie zabijamy”.

George opacznie zrozumiał pytanie Jake'a.

– Badyłowi nic nie jest. Potrafi zregenerować kończyny. Chociaż to trochę potrwa.

– Twoje żebra też się zrosną – powiedziała Gail. – Doktor Shipley już je obwiązał, teraz

powinieneś się jak najmniej ruszać. – Zawahała się. – On się obwinia, Jake. Najwyraźniej to on przewrócił Franza, który upadł prosto w... który upadł. Shipley uważa, że jest winien śmierci Franza.

– I uratowania mnie – dodał z goryczą Jake. Shipley zachowywał się irracjonalnie. Nie upadek pozbawił Muellera życia, tylko śluz. – Żałuje, że Mueller mnie nie zabił?

– Nie mam pojęcia, jakie myśli chodzą mu po głowie – rzekła Gail. – Od początku jest dla mnie zagadką. Ale powiedział mi, żeście obaj wyjawili Badyłowi nasz plan. To nieprawda, co?

– Prawda.

Wpatrzyła się w niego pustym wzrokiem.

– W takim razie ja żałuję, że Mueller cię nie zabił. Skazałeś na śmierć Mira City.

– Gail... – odezwał się łagodnie George.

Nieoczekiwanie się rozplakała.

– Czemu? O Boże, Jake, czemu...?

O to samo pytał go Shipley. Zanim Jake zdążył odpowiedzieć, Gail plasnęła go w hełm tak mocno, że głowa poleciała mu na bok, a w żebrach rozległ się przenikliwy ból.

– No już! – wrzasnęła. – Ja też napadłam na Jake'a! Rozpuśćcie mnie, obce dranie!

– Gail – powiedział George i rzucił się ją powstrzymać. – Przestań!

– Wszystko mi jedno, George! On zamordował wszystkich mieszkańców Mira City! – Znów zaczęła szlochać.

– Czekał – odezwał się Badył.

George momentalnie puścił Gail.

– Mówisz do nas?

Jake pomimo bólu żeber zdołał powiedzieć:

– Przecież jeszcze nie...

– Ani słowa – przerwał mu George. – Zaordynował ci środek przeciwbólowy, więc miałem nadzieję...

– George – wpadł mu w słowo Badył. – Bądź cicho, proszę.

Jake jeszcze nigdy nie słyszał, aby Badył wydał jakieś polecenie. Czy wyraził prośbę. No właśnie, co to było? Przy mechanicznym głosie tłumacza nie sposób było tego stwierdzić.

George zamarł w oczekiwaniu. Po twarzy Gail toczyły się milczące łzy. Jake ułożył się

wygodniej na szorstkim kocu. Nikt się nie odzywał.

W końcu przemówił Badył:

– Sprowadzimy resztę ludzi. Porozmawiamy ze wszystkimi ludźmi. Mamy pomysł.

Pomysł. Obcy miał pomysł. Jake usiłował się podnieść do pozycji siedzącej. Gail nie pomogła mu w tym ani nawet na niego nie spojrzała. Tak samo jak George, który całą uwagę skupiał na Badyłu.

Ścieżka do „szpitala” nadal była wyraźna, chociaż ta nowa, wiodąca w miejsce, które Badyłe zapragnęły nagle pokazać ludziom, zniknęła. Kiedy to się stało? Na oczach Jake’a ścieżka wyłoniła się znowu. Śluz po obu stronach się cofnął. Śluz... Jake przegonił przed oczu obraz rozpuszczającego się Muellera.

– Ścieżka zamknęła się, kiedy dotarliśmy na miejsce – wyjaśnił George. – Było to... nieważne. Ty zdążyłeś stamtąd zawrócić. Wydaje mi się, że o to chodziło Badyłowi. Chciał nas zatrzymać w oddaleniu, aby porozmawiać na osobności z Shipleyem. Ty jednak podsłuchałeś, co doktor miał do powiedzenia, zgadza się?

Jake potwierdził skinieniem.

– Po tym, jak Franz cię zaatakował – opowiadał dalej George. – Badył sprowadził tylko mnie. Shipley był... jest... sam się przekonasz. Badył potrzebował kogoś, komu mógłby się wytłumaczyć. Potem udałem się do „szpitala” po Gail i Nan.

– Gdzie jest Nan teraz? – zapytał Jake.

– Z ojcem. – George zwrócił się nagle do Badyła. – Czy mam tu poprosić doktora Shipleya i Nan?

– Wszyscy ludzie – powiedział Badył.

A przynajmniej wszyscy żywi ludzie.

– Pójdę po nich – zaofiarował się George.

Ledwie ścieżka zrobiła się dostatecznie szeroka, przygnali z powrotem Karim, Ingrid i Lucy.

– Co tu się stało? – zapytała stanowczo Ingrid. – Na Boga, Jake, coś ty zrobił temu Badyłowi?

– Przyciął go – rzuciła gorzko Gail.

– Co...

– Zamknij się – ucięła Gail. – George będzie tu za chwilę. Wszystko wyjaśni.

– Gail, ty płaczesz – stwierdziła Lucy.

Gail odwróciła się do wszystkich plecami.

– Idę po George’a – oznajmił Karim i ruszył biegiem.

Jake przymknął oczy. Chciało mu się spać. Żałował, że Franzowi się nie powiodło. Mira City...

– Jesteśmy wszyscy – oświadczył Badył. – Będziemy siedzieć w milczeniu.

– Nie teraz – powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie Jake. – Ludzie nie... ludzie nie potrafią czekać tak jak wy. Zdradź nam, co to za pomysł!

Nastąpiła przyprawiająca o szaleństwo przerwa. W końcu Badył rzekł:

– Dobrze.

Gdy Jake otworzył oczy, zobaczył przed sobą Shipleya. Starszy mężczyzna był popielaty na twarzy. Wydawał się zapadnięty w sobie, jakby w jego potężnym ciele doszło do kolapsu. Boże, jeśli taki efekt daje wiara w ramach kary za ocalenie czyjegoś życia, Jake cieszył się, że jest agnostykiem.

Nan trzymała się łokcia ojca. Kości sterczały jej spod napiętej skóry. Gail w dalszym ciągu stała odwrócona do wszystkich plecami.

– Może tak ktoś, do diabła, powie nam wreszcie, co tu się wydarzyło? – wybuchnęła Ingrid.

George nakreślił sytuację cichym głosem. *Wspaniale*, pomyślał Jake. *Teraz już wszyscy wszystko wiedzą. Zawsze dobrze mieć poinformowaną ławę przysięgłych.*

– Mamy pomysł – odezwał się Badył. – To jest nasz pomysł. Możemy ocalić Mira City. Możemy ocalić naszą planetę. Możemy przestać zabijać.

– Jak? – zainteresowała się Nan. – Jak, do kurwy nędzy, chcecie to zrobić?

Badył wyjawiał swój plan.

– Nie! – krzyknęła Nan. – Nie możecie tego zrobić!

– Pójdę pierwszy na ochotnika – rzekł Jake, po czym zwrócił się do Badyła: – Zaczynaj. Już. Mnie pierwszego.

Wróciła mu energia. Mieli plan. A może energia pochodziła od płynu, który przygotował dla niego Badył; Jake’owi było to obojętne. Po raz pierwszy od opuszczenia Zielenika przepełniała go nadzieja. Podobnie czuli się Karim, George, Ingrid, Lucy i Gail, aczkolwiek nadzieja Gail była podszyta histerycznym strachem, który nie podobał się

Jake'owi. Gail od początku nie ufała Obcym, a teraz cały plan zależał od najbardziej obcego Obcego, z jakim się zetknęli.

No i byli jeszcze Shipley i Nan. Oczywiście żadne z nich się nie zgodzi.

Jake nigdy nie rozumiał Shipleya. Nowy Kwakier wciąż się zadreślał śmiercią Franza Muellera, jakby to on, a nie Badył, pozbawił życia przekładańca. Do tego Shipley rzucał takie zapalne słowa, jak „ludobójstwo” czy „masowe morderstwo”.

– Nie zabijemy Zwierzaków – tłumaczył po raz trzeci czy czwarty Jake. – Sprawimy tylko, że będą mniej niebezpieczne.

– Kastracja – prychnęła Nan z furją. – Nazywaj rzeczy po imieniu!

– Nie – zaprzeczył Jake. – George, nie mam na to czasu. Wyjaśnij im.

– Już wyjaśniałem – powiedział George.

– Wyjaśnij jeszcze raz! – Jake opuścił główną wyspę i skierował się do „szpitala”, gdzie Gail trzymała nadajnik kwantowy. Oddalając się, usłyszał, jak George mówi:

– Będą szczęśliwsze niż wcześniej, jak zapewniają Badyłe. A czyż szczęście nie jest nadrzędnym celem w życiu?

– Nie – rzekł Shipley. – Nie jest.

Shipley ma rację, pomyślał Jake, *aczkolwiek nie w ten sposób, jak mu się wydaje*. Shipley utrzymywał, że nadrzędnym celem w życiu jest coś w rodzaju duchowego rozwoju, wewnętrzny spokój... Jake miał na ten temat inne zdanie. W życiu chodzi przede wszystkim o przetrwanie. Szczęście to tylko przypadkowy skutek uboczny. Jeśli plan wypali, wszyscy przeżyją. Ludzie, Badyłe, nawet Zwierzaki.

Chyba że coś pójdzie nie tak. Aby temu zapobiec, należało założyć wszystkie ewentualności. A nikt nie był lepszym organizatorem niż Gail.

Trzymała już nadajnik na kolanach, chociaż jeszcze go nie włączyła. Jake domyślał się, że jego zastępczyni formułuje w myślach treść wiadomości, poprawia ją i kompiluje. Towarzyszyła jej Ingrid.

– Gdzie Lucy? – zapytał Jake.

– Badył ją gdzieś wysłał – odparła Ingrid. – Otworzył dla niej specjalną ścieżkę, którą następnie zamknął za jej plecami.

W głosie Ingrid pobrzmiwało rozczarowanie: czemu Lucy, a nie ona?

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

– Jak Badył skomunikował się z Lucy? – zdziwił się Jake. Jedyne tłumaczenie wciąż

znajdował się na głównej wyspie.

– Ścieżka się otworzyła, a Badył owinał rękę Lucy wąsem i pociągnął ją. Niezbyt silnie – dodała pośpiesznie, widząc minę Jake’a. – Lucy nie musiała posłuchać. To była jej decyzja.

Franz Mueller z rozpuszczającymi się oczami i ustami... Jake nie mógł myśleć w ten sposób. Musiał okazać zaufanie Badyłom. Nie było innego wyjścia.

– Karim też poszedł?

– Tak, ale w przeciwną stronę.

Na mostek, uznał w duchu Jake. Żeby wejść na kurs kolizyjny ze statkiem Zwierzaków. O ile to w ogóle możliwe. Właściwie nie powinno być trudne, skoro do tej pory statek pilotowały Badyłe, które nawet nie mają oczu...

– Sprowadź doktora Shipleya i Nan tutaj, żebym mógł porozmawiać spokojnie z Badyłem – poprosił Gail.

– Nan mnie nie posłucha – odparła, wzruszając ramionami. – Uważa, że to, co robimy, to, co robią Badyłe, to nic innego jak eksperymentowanie na wysoko rozwiniętym gatunku celem popełnienia masowego morderstwa. Coś niewiele lepszego od tego, co Buntownicy Wolnej Nauki zrobili w Dakarze.

– Otóż to. Właśnie dlatego chcę rozmawiać z Badyłem sam na sam.

– Czemu nie...

Ingrid nie dała jej skończyć:

– Jake, nie wydaje mi się, żebyś musiał być obok tłumacza, aby Badył cię usłyszał. Doktor Shipley poprosił go, żeby się nas pozbył, znajdując się całkiem gdzie indziej, co wiem stąd, że wszyscy wtedy byliśmy przy tłumaczu.

– To prawda – potaknął Jake. Zdążył się tego sam domyślić. – Mógłbym porozmawiać z Badyłem z byle jakiego miejsca. Tylko że on może mi odpowiedzieć wyłącznie przez tłumacza. Gail, skoro nie potrafisz ich tu ściągnąć, kto może tego dokonać?

– Nikt nie przekona Nan, jeśli się zawzięła.

– W takim razie przekonaj Shipleya. Nan pójdzie za nim. Powiedz doktorowi, że Ingrid zasłała i musi się tutaj natychmiast pojawić. Ingrid, zasłańnij.

Ingrid otworzyła usta, aby zaprotestować, ale przemyślała sprawę i położyła się na kocu. Gail puściła się pędem.

Gdy Shipley i Nan nadeszli, Shipley wyglądał na zaalarmowanego, ale też mniej

słamszonego. Dobrze mu zrobi jakieś inne zajęcie niż tylko rozmyślanie o nieżyjącym Muellerze. Przynajmniej przez jakiś czas. Jake wyslizgnął się pośród zamieszania wokół Ingrid, po czym pomknął ścieżką na główną wyspę, gdzie pozostał tylko George. Bieg sprawił, że żebra znów dały o sobie znać, nawet mimo środka przeciwbólowego, tak że musiał w końcu zwolnić.

Na miejscu zwrócił się do Badyła:

– Doktor Shipley i Naomi nigdy nie przystaną na ten plan. Wyjawią Zwierzakom prawdę. – Tak jak przedtem Shipley wyjawiał prawdę Badyłom. – Myślę, że powinniście potraktować ich jakimś środkiem, który ich unieszkodliwi, ale poza tym nie wyrządzi im żadnej krzywdy. Niech będą nieprzytomni tyle, ile trzeba...

George sapnął z wrażenia, ale nic nie powiedział.

– Dobrze – rzekł Badył.

Pierwsza przeszkoda pokonana.

– Shipley wypije wszystko, co mu podacie, ale Nan nie bierze praktycznie niczego do ust. Jak zaordynujecie jej środek uspokajający?

– Możemy stworzyć cząsteczki gazu. Wszyscy pozostali powinni opuścić „szpital”.

– Zgoda. Tylko że gaz nie przedostanie się do wnętrza hełmu.

– Gaz przedostanie się do wnętrza hełmu.

To było niepokojące. Niemniej Jake zapytał tylko:

– Uda wam się naszykować ten gaz prędko?

– Już mamy cząsteczki.

No tak, Badyłe są gotowe w każdej chwili zapanować nad nami, w razie gdybyśmy wpadli w amok. Lepiej o tym nie wspominać innym... Na głos tylko zapytał:

– Co robicie Lucy?

– Eksperymentujemy na niej – odparł Badył, sprawiając, że krew zamarła Jake’owi w żyłach.

– Na czym polega eksperyment? Czy nic jej nie grozi? – zainteresował się George.

– Nie wiemy, czy ktokolwiek z ludzi przetrwa nasz plan. Jesteście tego świadomi.

Dlatego eksperymentujemy na Lucy.

– Ona... ona jest bardzo nerwowa – zdołał wydukać Jake.

– Dlatego eksperymentujemy na niej.

– Wolałbym, żebyście eksperymentowali na mnie – rzekł bez przekonania George.

– Twój system nerwowy nie jest tak podatny.

– Ile zostało nam czasu, zanim zaczniecie wdrażać plan w życie? – zapytał Jake.

– Nie wiemy. Te cząsteczki, które musimy stworzyć, są skomplikowane. Będą musiały wpłynąć różnie na dwa różne gatunki.

– Racja – przyznał Jake, nagle czując znów bezradność. Odepchnął od siebie to uczucie. Nie mógł sobie na nie pozwolić w tej chwili.

Wrócił spacerkiem do „szpitala”. Ingrid już siedziała, robiąc wrażenie osoby, która właśnie odzyskała przytomność. Nie była szczególnie dobrą aktorką.

– To pewnie przez stres – zawyrokował doktor Shipley. – Aczkolwiek nie widzę innych wyraźnych symptomów.

Zerknął podejrzliwie na Jake’a.

– Skoro już ci lepiej, Ingrid, chodź ze mną. Badył jest gotów nas zainfekować.

– Tak szybko? – zdziwił się Shipley. – Jakim cudem stworzył serum tak prędko? Ten związek musi być tak skomplikowany, że...

Jake nie dał mu skończyć.

– Skąd mam wiedzieć, jak Badył sobie poradził? Ale ewidentnie wszystko jest gotowe. Musi pan podjąć decyzję, doktorze. Ty też, Nan. Do infekcji dojdzie wzwiewnie. Albo idziecie z nami i poddajecie się jej, albo zostajecie tutaj.

– To, co chcecie zrobić, jest złe – oznajmiła z pasją Nan, pozostając do samego końca idealistką.

– Ingrid?

– Idę – powiedziała genetyczka, ruszając za Jakiem. Gdy dotarli na główną wyspę, dodała: – Jestem gotowa.

– A gaz jeszcze nie – rzekł George.

Ingrid zwróciła oskarżycielskie spojrzenie na Jake’a.

– Twierdziłeś, że...

– Musiałem cię stamtąd wyprowadzić. Badył załatwi doktora Shipleya i Nan na potrzebny czas. Nie możemy sobie pozwolić na ich niesubordynację.

Wargi Ingrid ułożyły się w małe okrągłutkie O.

Gail, nie wypuszczając nadajnika z dłoni, powiodła niepewnym wzrokiem wzdłuż ścieżki do „szpitala”.

– Nic im nie będzie? Nie ucierpią trwale?

- Oczywiście, że nie – obiecał Jake. – To my tak naprawdę ponosimy ryzyko.
- Co teraz? – zapytał George.
- Czekamy – odparł Jake. – Niech Badyła odprawia swoje biochemiczne czary-mary.

Lucy wróciła wiele godzin później. Czas mijał powoli, głównie w ciszy. Gail zajrzała do „szpitala”, gdzie stwierdziła, że zarówno doktor Shipley, jak i Nan śpią głęboko. Dopiero w piątkę udało im się przenieść śpiącego Shipleya na główną wyspę – mocowali się z okazałym ciałem wszyscy: Jake, George, Karim, Ingrid i Gail. Jake chciał mieć na oku całą ósemkę ludzi. Nan przeniósł samodzielnie; w jego ramionach okazała się lekka jak wychudzone dziecko. Złożył ją ostrożnie obok ojca.

– To chyba pierwsza okazja w ciągu ostatnich dwudziestu lat, że ci dwoje na siebie nie warczą... Patrzcie! Lucy!

Wracała do nich na przełaj przez śluz, nie ścieżką. Jake uświadomił sobie, że żadne z nich czegoś podobnego nie zrobiło. Drobne bosc stopy kobiety zagłębiały się na dwa cale w błonę pokrywającą podłogę, ona jednak nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Jej zachowanie było tak nietypowe, że Jake od razu zaczął się obawiać najgorszego. Tymczasem gdy Lucy zasiadła z nimi na kocu, wyglądała i zachowywała się normalnie.

– I już – rzuciła. – Jestem zainfekowana.

Jake zwrócił się gniewnie do Badyła:

– A mówiłem, że chcę być pierwszy!

– Nie – zaprzeczył mechanicznie translator. – Ty musisz podejmować decyzje. Ty nie możesz być chory.

– Dobrze mówi – poparł George Badyła, zanim Jake zdążył się odezwać. – Ktoś musi pozostać zdrowy, na wypadek gdybyśmy... – Nie skończył.

– Wiem – powiedział Jake. – Tą osobą będzie Gail. Ona podejmie decyzje w razie potrzeby.

Gail zrobiła najpierw zdziwioną, a potem zawstydzoną minę. Nie zaprotestowała jednak. Jej ksenofobia wynikała nie z ideologicznych pobudek, jak w wypadku Nan, tylko z biologicznych. Bardziej się przyda zdrowa, z nadajnikiem kwantowym na podporządkowaniu.

„Zainfekowana” – w głowie Jake’a rozległo się echem słowo wypowiedziane przez Lucy. Spojrzał na nią. Siedziała po dziecięcemu, z wyciągniętymi przed siebie nogami i z piersią zakrytą prowizorycznym pareo. Twarz miała spokojną. Czyżby dostała też środki

uspokajające?

– Powiedz nam, czego się mamy spodziewać – zwrócił się Jake do Badyła. – W wypadku naszym i Zwierzaków. Powiedz nam wszystko.

– Lucy wypła najlepsze cząsteczki, jakie udało nam się wytworzyć w tak krótkim czasie. Nie mogliśmy podumać o tym w słońcu, jak wypada. Wkrótce będziemy mieli dość płynu dla Jake'a, George'a i Ingrid. Cząsteczki zainfekują wszystkich. Infekcja będzie się roznosić drogą powietrzną. Nasz wróg oddycha takim samym powietrzem jak wy. Gdy nasz wróg wpuści was na swój statek, zarazi się od was. I przeniesie infekcję na swoją planetę. Zakażenie rozprzestrzenia się bardzo szybko.

– Ale co ono dokładnie robi? – zaciekała się Ingrid, nie odrywając wzroku od Lucy.

– Stworzyliśmy tę cząsteczkę dla naszego wroga – wyjaśnił Badył. – Badaliśmy ją przez dwieście lat na eksperymentalnych wrogach na tej planecie, na której znaleźliśmy was. Nie widzieliście tej eksperymentalnej kolonii. To był nasz najlepszy eksperyment. Nasi wrogowie byli szczęśliwi. Przesiadawali w słońcu, marząc. Produkowali potomstwo i dbali o nie. Potomstwo też przesiadywało w słońcu, marząc. Ale nikt nie umierał z głodu. Wszyscy hodowali żywność i budowali schronienia. Nikt nie wytwarzał maszyn ani statków. Wrogowie nie poruszali się więcej, niż to było konieczne. Byli szczęśliwi, przesiadując w słońcu i marząc w milczeniu.

Mój Boże, pomyślał Jake. Badyłe zamierzają zamienić Zwierzaki w rośliny...

– Zainfekowani wrogowie wyprodukują więcej potomstwa niż inni. Zainfekowane potomstwo wydaje się atrakcyjne w oczach swoich pobratymców.

Na chwilę zapadło zdumione milczenie. W końcu przerwał je George, mówiąc:

– Jak... jak kwiaty. Feromony przyciągają pszczoły, a nawet ludzi, a wszystko po to, by zwiększyć możliwości reprodukcyjne.

– Tak – potwierdził Badył. – Jak kwiaty.

– Zatem to cząsteczka robi ze Zwierzakami – rzekła niepewnie Ingrid. – A jak podziela na nas?

– Nie wiemy – przyznał Badył. – Jesteście nosicielami. Przetworzyliśmy cząsteczkę, aby radziła sobie w waszych ciałach i była przez was rozprzestrzeniana. To było trudne. Nie mamy czasu na nic więcej.

– Ale jeśli Lucy... – zaczął Jake i urwał. – Co będzie, jeśli ta cząsteczka nas zabije?

– Nie wiemy – powtórzył Badył. – Na razie Lucy żyje. Wszyscy musicie wypić czynnik

zakażający, zanim wsiądziecie na statek wrogów. Pożyjecie dostatecznie długo, aby ich zainfekować.

Badyle nie są zimnokrwiste, musiał sobie przypomnieć Jake. One tylko sprawiają takie wrażenie przez ten swój obcy spokój i mechaniczny głos tłumacza.

Jednakże nawet ta myśl nie powstrzymała go od rzucenia sarkastycznej uwagi:

– Zrobiliście swoje. Czy nie pora, abyście się ewakuowali, zanim nawiążemy połączenie kwantowe ze Zwierzakami?

Badył nie odpowiedział. *W porządku, niech te rośliny zaplanują swoją ucieczkę wedle własnego widzimisię. Na pewno mają wszystko przemyślane...* Zmartwieniem Jake'a byli ludzie, jeśli już nie on i jego towarzysze, to przynajmniej mieszkańcy Mira City. Chociaż oczywiście Jake chciał przeżyć. Nie odrywał spojrzenia od Lucy, która rozglądała się po nich pewna siebie, dzielna. Jak dotąd nie wykazywała żadnych symptomów choroby.

Jak szybko się pojawią? George wyjaśnił im, że można zarazić jeden gatunek chorobą drugiego i nie doczekać się żadnej reakcji. Przykładowo komary nie chorują na malarię. Myszy nie chorują na choroby wywoływane przez hantawirusy. Koty nie chorują na chorobę Corina, będącą straszliwą bronią biologiczną, która wyczyściła z ludzi niemal całą Afrykę Północną, pozostawiając na placu boju stada zdrowych kotów.

Z drugiej strony, dodał George, niektóre gatunki chorują na „nie swoje” choroby. Nie podparł się jednak żadnymi przykładami.

– Gail – odezwał się Jake. – Wyślij wiadomość kwantową.

Skinęła głową. Wszyscy – z wyjątkiem śpiącego doktora Shipleya i Nan – patrzyli jej na rękę, gdy kodowała wiadomość, która zostanie bezzwłocznie przekazana na pokład statku Zwierzaków i tam rozkodowana do symboli, jakich one używają.

STWIERDZILIŚMY, ŻE NIE DA SIĘ ZNISZCZYĆ TARCZY. POZNALIŚMY LOKALIZACJĘ BIBLIOTEKI GENETYCZNEJ, KTÓREJ WRÓG UŻYŁ DWUKROTNIENIE DO ODTWORZENIA GATUNKU. BIBLIOTEKĘ DA SIĘ ŁATWO ZNISZCZYĆ. POWIEMY WAM, GDZIE SIĘ ZNAJDUJE, JEŚLI OBIECACIE, ŻE ODSTAWICIE NAS Z POWROTEM DO NASZEJ KOLONII I NIE UNICESTWICIE NASZEGO MIASTA.

– Domyślą się, że to jakaś sztuczka – rzekł George z nietypowym dla niego pesymizmem.
– Przecież to oczywiste.

– Przerabialiśmy już to – odparł Jake. – Będą podejrzewać sztuczkę. Ale też pomyślą, że znamy lokalizację biblioteki, a to dlatego, że Badyłe współpracowały z nami na Zielniku.

Zwierzaki uwierzą, że Badyle powiedziały nam wszystko, co chcieliśmy wiedzieć. Ich zdaniem Badyle są szczerze i otwarte, podczas gdy my jesteśmy zdradzieccy i tajemniczy.

– W tym akurat się nie mylą – stwierdziła Lucy.

Jake nie wyprowadził jej z błędu. Badyle nie były do końca szczerze. Nie wyjawily ludziom – nawet Williamowi Shipleyowi – lokalizacji biblioteki genetycznej. Były prawdopodobne, ale nie głupie.

– Co ważniejsze – dodał George – Zwierzaki uważają nas za tępaków. Równie dobrze mogą wierzyć, że my wierzymy, iż prowadzą z nami uczciwy handel: Mira City za bibliotekę.

– Nie sposób ocenić, w co one wierzą – oświadczyła Ingrid.

Dlatego, że są tak podobne do nas, pomyślał Jake. Z nami jest tak samo: jeden człowiek nigdy nie wie, co myśli sobie drugi. Wiara Shipleya, moralne obiekcje Lucy, namiętna mizantropia Nan, zdolności organizatorskie Gail... skąd to się bierze? Czy decydują o nich geny, wychowanie czy środowisko? Shipley ma więcej wspólnego z rośliną niż z rodzoną córką. Wszyscy jesteśmy dla siebie zagadką...

– Jest odpowiedź – rzuciła Gail.

Jake wykręcił szyję, żeby lepiej widzieć.

UMOWA STOI. WKRÓTCE ZAATAKUJEMY.

Jake poczuł się tak, jakby Mueller znowu go uderzył. *Atak... Zrozumiałe, że Zwierzaki tak to postrzegają. Poza tym to statek Zwierzaków, znają go dobrze. Spodziewają się, że Badyle będą się bronić.*

Zwrócił się do Badyła:

– Będziemy musieli powiedzieć, iż domyśliliście się, że te przekazy pochodzą od Zwierzaków, a nie z Zielnika, jak wam wmawialiśmy. Tylko tak możemy usprawiedliwić waszą ucieczkę. Lepiej zacznijcie się przenosić do kapsuły ratunkowej.

– Nie ma kapsuły ratunkowej – powiedział Badył.

– Ale mówiłeś, że...

– Nie – przerwał mu Badył. – Nigdy nie mówiliśmy, że istnieje kapsuła ratunkowa. Mamy tylko wahadłowiec, powolny i stworzony do opadania na powierzchnię planety. Nigdy nie mówiliśmy, że istnieje kapsuła ratunkowa. To wy, ludzie, założyliście, że ją

mamy.

– Zatem nie uciekniecie... – odezwała się Lucy.

– Nie uciekniemy – potwierdził Badył. – Ale nasza śmierć jest dobra. Ocalimy naszą planetę i waszą. Przez ostatnie tysiąc lat prowadziliśmy ten eksperyment. On jest dobry.

– Mój Boże... – szepnął George.

– Damy wam nasze kwiaty śmierci – kontynuował przemowę Badył. – Musicie je umieścić w nadajniku kwantowym. Zwierzaki do niego nie zajrzą. Może pozwolą wam zatrzymać nadajnik kwantowy. Proszę, przekażcie nasze kwiaty śmierci naszym pobratymcom, jeśli ich kiedyś spotkacie.

Statek Zwierzaków nadleciał szybciej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Badył, skończywszy wyrażać swoją prośbę dotyczącą kwiatów śmierci, dodał:

– Statek wroga będzie tutaj za sześćset ludzkich oddechów.

Pod nieobecność Karima pierwszy z arytmetyką uporał się George.

– Za jakieś pół godziny.

– Tak szybko? – zdumiała się Lucy.

– Musiał być w pobliżu – powiedział George. – Ciekawe, ile mają tych napędów McAndrew...

Jake nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Nie w takiej chwili. Oświadczenie Badyła wprawiało go w osłupienie. Te rozumne rośliny – Jake nie potrafił myśleć o nich inaczej bez względu na to, co twierdził George – miały zginąć. I wiedziały o tym, występując z planem, który gwarantował ocalenie ich planety i Mira City. Zatem stanęły przed takim samym dylematem jak ludzie przed wejściem na pokład statku Badyli. W obu wypadkach chodziło o uratowanie pobratymców, którzy zostali na powierzchni planety. Z jedną istotną różnicą: ludzie przegłosowali zniszczenie drugiej rasy, Badyłe natomiast postanowiły (o ile można tak powiedzieć) same zginąć.

Co to mówiło o poziomie etyki obu gatunków?

Wszelako nie było czasu na dywagacje na temat moralności. Pojawił się znowu Karim.

– Dasz radę? – zapytał go Jake.

– Mam nadzieję. – Zwykły entuzjazm młodego fizyka w obliczu obcej technologii przygasł, gdy Karim zdał sobie sprawę, co bierze na swoje barki.

– Teraz wszyscy wypijemy napój – zakomenderował Jake. Następnie znowu zwrócił się do Karima: – Możesz otworzyć obudowę nadajnika? Nie niszcząc niczego? Chcemy włożyć do środka kilka pakietów.

– Myślę, że da się to zrobić. Co to będą...

– Powiem ci później. – Jake przeniósł spojrzenie na Badyła. – Gdzie te kwiaty śmierci?

– Musicie je od nas pozbierać. Nasz brat otworzy dla was ścieżki.

– W porządku. Ingrid, George, Lucy, pójdziecie... – Urwał nagle. – Lucy?

– Nic mi nie jest – odparła, podnosząc się na nogi. Jednakże pod osłoną przezroczystego hełmu na jej czole widać było krople potu.

– Już? – zapytał Jake Badyła. – Zachorowała?

– Nie wiemy.

No tak, cząsteczka została przecież wytworzona z myślą o Zwierzakach, nie o ludziach. Jake to rozumiał. Bez mrugnięcia przyglądał się, jak trzy przezroczyste kubki wyłożone śluzem napełniają się klarownym żółtawym płynem. Gail się wzdrygnęła.

– Ścieżki się otwierają – oznajmił George. – Chodźmy.

Gęsty śluz znowu się rozstępował, tym razem w wielu miejscach naraz, wpełzając na podwyższone krawędzie wszystkich pięciu ścieżek.

– Dla ciebie także, Gail – zauważył Jake. – No dalej.

Oczekiwał jej protestu, jednakże zmilczała, choć wydawała się równie blada jak Lucy.

Jake ruszył pierwszą ścieżką do najbliższej kępy Badyli, na którą składały się trzy osobniki. W jego stronę wystrzelił wąż „trzymający” pakiecik z liśćmi, ciałem czy cokolwiek to było. Odpowiednik materiału genetycznego.

– Tylko jeden pakiet? – zapytał Jake. – Jest was tutaj troje.

Oczywiście nie doczekał się odpowiedzi. Czyli Badyle dzieliły się na poszczególne osobniki, w przeciwnym razie jeden pakiet wystarczyłby za cały statek. Czy więc ta trójka stanowiła jeden organizm? Razem z „braterskim” śluzem czy bez niego? Jake zapewne nigdy się tego nie dowie, a zresztą nie miało to większego znaczenia. Wziął do ręki pakiecik.

Okazał się śliski, przez co Jake omal go nie upuścił. Ruszył dalej ścieżką, zbierając jeszcze trzy podobne pakiety, i na koniec wrócił na główną wyspę.

Karim już tam był. Zaraz zaczął wpychać pakieciki do wnętrza nadajnika.

– Statek wroga właśnie dokuje – oznajmił Badył.

Biegiem wrócili Ingrid, George i Lucy, która wyglądała tak samo jak przedtem: ani lepiej, ani gorzej. Karim wyrwał im z rąk pakiety i upchnął je w nadajniku.

– No dobra, pijemy! – rzucił Jake, podnosząc swój kubek.

Żółtawy płyn nie miał smaku lemoniady jak „żywność”, którą spreparowały dla ludzi Badyle. *Zabrakło czasu na dodatki*, uznał Jake. Wmusił w siebie gorzki napój, krztusząc się lekko.

– Wróg jest na mostku naszego statku – poinformował Badył.

Jake nie był nawet pewien, gdzie to jest.

Tymczasem George i Ingrid dopili swoje porcje i odstawili kubki. Karim oczywiście nie

podlegał infekcji – ostatnie, czego potrzebowali, to pilot nie dość, że niedoświadczony, to jeszcze chory. Wszystkie kubki momentalnie się rozpuściły, po czym otworzyły się drzwi śluzy. Do środka wkroczył odziany w kombinezon i hełm Zwierzak – samiec, z którym Jake mógł, choć nie musiał zadawać się wcześniej. Dziwnie było widzieć w pełni odzianego Zwierzaka. Drugi samiec niósł jajowaty translator, a samica trzymała wygiętą różdżkę, która – jak wiedzieli już ludzie – służyła Zwierzakom za broń.

Przywódca warknął coś, po czym translator ożył:

– Ludzie pójdą z nami.

Jake zawczasu zaplanował ich odejście, kładąc nacisk na czyny zamiast na słowa. Karim złapał Shipleya pod pachy i pociągnął go naprzód. George podniósł Nan. Gail trzymała nadajnik. Wszyscy przekroczyli próg śluzy. Jake bał się, że Zwierzak zakwestionuje obecność nieprzytomnych ludzi albo przynajmniej zapyta o powód, jednakże tak się nie stało.

Jake przestrzegł wszystkich, aby darowali sobie pożegnanie z Badyłami. Nie należało pokazywać Zwierzakom, że między ludźmi i roślinami powstała jakaś więź. Na szczęście Badyłe również milczały.

Translator Zwierzaków powiedział:

– Było dziewięcioro ludzi. Teraz jest ośmioro ludzi.

– Rośliny zjadły jednego człowieka – odparł Jake.

Oblicze Zwierzaka, ukryte za przezroczystym hełmem, wykrzywiło się, lecz nic nie odpowiedziało Jake'owi, co oznacza ten grymas.

– Zdejmijcie obce hełmy i odrzućcie je.

W śluzie było powietrze, którym oddychały Badyłe.

– Słuchajcie, weźcie kilka głębokich oddechów – rozkazał Jake, nadymając potężnie pierś.

Hełmy zeszyły bez trudu. Ludzie kolejno odrzucali je aż na główną wyspę za progiem. Jake spodziewał się, że Zwierzaki rozkażą, aby ludzie zdjęli także przepaski, ale tym razem to nie nastąpiło. Prymitywne stroje nie wyszły spod ręki człowieka; były to koce skradzione prostym Zwierzakom i jako takie nie zostały uznane za zagrożenie.

Płuca zaczęły palić Jake'a, zanim śluza się zamknęła i wypełniła powietrzem przyjaznym dla Zwierzaków i ludzi. Prezes Korporacji Mira zaczerpnął głęboko tchu. Wkrótce wszyscy znaleźli się na pokładzie statku Zwierzaków, w tym samym bezpłciowym

pomieszczeniu wyłożonym matami podłogowymi, z których na początku zrobili sobie ubrania. Zatem to była ta sama załoga Zwierzaków. Najzwyczajniej w świecie śledziły statek Badyli, z czego Jake powinien był sobie zdawać sprawę. *Dlatego zjawiły się na miejscu tak szybko...* Poczł się jak głupiec.

Wszystkie trzy Zwierzaki wkroczyły do pomieszczenia za ludźmi. Przywódca zwrócił się do Gail za pośrednictwem tłumacza:

– Strażniczko imion i ptaków, czy chcesz teraz umrzeć za ptaki i poranne niebo?

– Nie – odparła Gail.

Samiec skierował uwagę na Jake'a.

– Powiedz nam, gdzie jest biblioteka genetyczna.

– Muszę to narysować – rzekł Jake. – Nie rozumiemy tego, co powiedzieli nam wrogowie. Po prostu zapamiętaliśmy drogę. Dlatego muszę wykonać rysunek.

Przywódca obnażył imponujące zębiska. Jake pomyślał, że to uniwersalny, zrozumiały w całym wszechświecie grymas agresji. Wszystkie trzy Zwierzaki w dalszym ciągu miały na sobie ściśle przylegające kombinezony i przezroczyste hełmy. Ile powietrza może mieścić taki strój? Jake nie widział żadnych zbiorników ani przewodów. Jednakże Zwierzaki nie były mistrzami biochemii, jak Badyli. Zapas powietrza w tych hełmach musiał być ograniczony.

Drugi samiec odłożył tłumacza i zniknął. Minęło trochę czasu, zanim wrócił, niosąc okrągłą tabliczkę zrobioną z... z czegoś. Nikt się nie odezwał. Jedyne słyszalne dźwięki wydawał chrapiący Shipley.

Jake ujął tabliczkę i dziwne, zakrzywione „pióro”, które nie miało zaostzonego czubka, a jednak zostawiało ślady na powierzchni tabliczki. Bez pośpiechu zaczął rysować konstelacje, które uprzednio niezwykle precyzyjnie ukazało ramię Badyli. Badyli zapewnił ich, że wskazuje prawdopodobną fikcyjną lokalizację biblioteki genetycznej. Jake miał nadzieję, że okaże się ona równie prawdopodobna dla Zwierzaków, jak dla Badyli.

Statek zakołysał się lekko. Raz. Karim zamrugał energicznie.

Zwierzaki nadal nie zdejmowały hełmów.

Jake kreślił rysunek z niezwykłym mozołem, w końcu zamarł z ręką uniesioną nad tabliczką.

– Usiłuję sobie wszystko przypomnieć – powiedział przeproszającym tonem pod adresem tłumacza. – Nie chcę się pomylić.

„Zdajesz sobie sprawę” – zwrócił mu wcześniej uwagę George – „że gdy poznają lokalizację, będą mogli się nas pozbyć?”

Biolog miał rację. Ale nic nie było jeszcze przesądzone. Jake długo praktykował prawo, wiedział więc, że nie uwalnia się istotnego świadka, dopóki nie potwierdzi się jego zeznań. Nie miał pojęcia, jaka jest wojskowa analogia tej zasady prawniczej, ale nie wątpił w jej istnienie. A te stworzenia były wojownikami. Żołnierzami.

Były także Obcymi.

Podjął rysowanie jeszcze wolniejszymi ruchami.

Shiplej chrapał.

Przywódca uniósł ręce i zdjął hełm.

Jake nakreślił kilka pozbawionych znaczenia kresek. Dwa pozostałe Zwierzaki również zdjęły hełmy. Jake uczynił ruch w stronę przywódcy, aby mu pokazać tabliczkę. Nie zbliżył się zanadto ani nie wykonał naglejszego gestu. Po prostu wyciągnął rękę z tabliczką, niezbyt daleko jednak, a kiedy Zwierzak nachylił się bardziej, aby lepiej widzieć, Jake chuchnął na niego niezwykle delikatnie, tak że ciepłe obłoczki wydychanego powietrza były niczym dyskretne pocałunki.

Jakąś godzinę później Lucy zaczęła wymiotować. Do tej pory w zamkniętym pomieszczeniu panowała niemal świąteczna atmosfera. W absolutnej ciszy, ponieważ nikt się nie odzywał. Ludzie zakładali bowiem, że są na podsłuchu. Mimo to uśmiechali się do siebie. Najprawdopodobniej udało im się zarazić Zwierzaki. I pozostać przy życiu. Na razie.

Z drugiej strony jednak samica z różdżką wyrwała Gail nadajnik i wyniosła go. Jake nie miał pojęcia, co Zwierzaki zrobią z urządzeniem i z kwiatami śmierci ukrytymi w środku, jeśli je odkryją.

– Szkoda, że nie mamy wody – powiedziała Gail. – Ostatnio dali nam wodę.

Oderwała więcej materiału z maty podłogowej, która stała się bardzo niechlujna, i najlepiej jak potrafiła wytarła Lucy twarz. Nie było dobrze. Szklanooka Lucy leżała cicho w kącie.

– Musiała zjeść coś, co jej nie posłużyło – oznajmiła głośno Ingrid.

Gail przewróciła oczami na tę nieudolną próbę wprowadzenia w błąd.

Jake zdał sobie sprawę, że coś dziwnego zaczyna się dziać z jego wnętrznościami. Poczłł kwaśny smak w ustach, potem jakby skurcze... Zdążył dojść do przeciwległego kąta w samą

porę, zanim także zwymiotował.

– O Boże – usłyszał szept Gail.

Potem sprawy przybrały jeszcze dziwniejszy obrót. Pochylał się nad nim Badył, z tym że nie był to jakiś tam Badył, lecz Beta cały obsypany czarnymi kwiatami, które przypominały przerażające lśniące orchidee.

– Zabiłeś panią Dalton – powiedział Beta głosem Lucy.

Był tam także doktor Shipley, który swoim przeklętym zwyczajem siedział w milczeniu, aczkolwiek gdy Jake wyplątał się z wąsów Bety i podszedł do niego, przekonał się, że lekarz wcale się nie modli. Shipley nie żył.

– Zabiłeś panią Dalton – powiedziały zwłoki, na co Jake odkrzyknął:

– Staralem się tylko ocalić Mira City!

W końcu przed oczami stanęła mu roztańczona Nan, naga i wijąca się lubieżnie.

– Przestań bredzić na głos! – powiedziała Gail, nachylając się do jego ucha. – Co będzie, jeśli nas słuchają?

– Dobrze – odpowiedział, ale że odezwał się w języku Zwierzaków, nic nie zrozumiała i odeszła.

Czuł ogień w kończynach. Uniósł obie ręce, aby podziwiać barwę płomieni: były czerwone, żółte, pomarańczowe, niebieskie, zielone i czerwone, żółte...

– Potrzebujemy wody, do diabła! – zawołała Gail w stronę sufitu. – Dajcie nam przynajmniej trochę wody! – Po minutowej lub godzinnej przerwie dodała: – O kurwa. Nan!

Później Jake'a ogarnęła ciemność.

Gail rozmieściła wszystkich w rogach. George, Ingrid, Jake, Lucy... każde z nich wymiotowało do wtóru. Boże, smród był porażający.

W końcu zrzygał się Karim.

– Nie złapałeś tego! – krzyknęła Gail, zapominając o podsłuchu. – Nic przecież nie piłeś!

– Musiałem... zarazić się... od któregoś z nich – wysapał, blednąc na śniadej skórze, przez co nagle zaczął przypominać obrany kokos.

Gail zeszywniała. Jeśli zaraził się od któregoś z towarzyszy, może się okazać zbyt chory, aby pilotować statek. Poza tym skoro Karim mógł się zarazić, ona także nie jest bezpieczna.

Co znaczy, że być może nie ostanie się ani jeden człowiek funkcjonujący jak należy. Wtedy Mira City...

Tylko działanie nie pozwalało jej się załamać. Odkąd wszyscy pięcioro wymiotowali, trzymała się środka pomieszczenia. Ułożyła Karima pod ścianą między Lucy i Jakiem. Doktor Shipley i Nan, niczego nieświadomi, spali dalej w najlepsze.

Mogła jedynie oddzierać pasy materiału z maty podłogowej i z prowizorycznych ubrań i nimi doprowadzać do porządku chorych, upewniając się, że nie zachłysną się wymiocinami. Całe szczęście, że nie była obrzydliwa, przynajmniej w odniesieniu do ludzi. Po czasie, który jej zdawał się eonem, wszyscy oprócz Jake'a skończyli wymiotować i zapadli w niespokojny sen. Gail uznała, że najgorsze minęło.

Potem Jake, którego czoło było jej zdaniem najbardziej rozgrzane, zaczął znowu bredzić na głos.

– Zabiłeś panią Dalton! – wrzasnął.

Pani Dalton? Kto to taki? Jake usiłował się podnieść do pozycji siedzącej z twarzą wykrzywioną przerażeniem i ciałem drżącym z gorączki i strachu. Gail popchnęła go z powrotem na podłogę.

– Przestań bredzić na głos! – powiedziała. – Co będzie, jeśli nas słuchają?

– Zabiłeś panią Dalton! – odrzekł i dodał: – Stariałem się tylko ocalić Mira City!

Gail próbowała zagłuszyć jego krzyki. Ile sił w płucach ryknęła:

– Potrzebujemy wody, do diabła!

Niewątpliwie była to prawda. Krzyczała tak długo, aż Jake się uspokoił.

Ku jej zdziwieniu drzwi się otworzyły i do środka wszedł Zwierzak, niosąc miednicę z wodą.

Gail się skuliła. Dotyk Obcego... Jednakże Zwierzak ją zignorował. Postąpił parę kroków w głąb pomieszczenia, przystanął, spojrzął na miednicę, rozglądnął się, ponownie spojrzął na miednicę, uczynił krok i znowu się zatrzymał.

Gail jeszcze nigdy nie widziała, aby Zwierzak zachowywał się w ten sposób. Do tego był nieuzbrojony. Tymczasem Zwierzaki zawsze nosiły przy sobie broń, względnie miały za towarzyszy uzbrojonych kompanów. Ten zaś stał bez ruchu pośrodku pomieszczenia. Gail podniosła się ostrożnie z podłogi i zbliżyła do niego. Wyciągnęła ręce i odebrała od niego miednicę.

Zwierzak odchylił wargi, odsłaniając zęby. *O Boże, ależ jest zły...* Jednakże zaraz wargi mu zadrżały, a skóra wokół oczu... zrobiła coś dziwnego. Potężny ogon się zatrząśł. Wyglądało na to, że... Wprawdzie to byli Obcy, ale przez jedną szaloną chwilę Gail pomyślała, że ten Zwierzak się śmieje.

Na jej oczach Zwierzak odwrócił się i pomaszerował w stronę drzwi tak samo dziwnie, jakby miał kłopoty z przypomnieniem sobie, co właściwie powinien zrobić. Jego ogon trząśł się raz po raz. W końcu Zwierzak wypadł raptownie za drzwi. Gail z trzaskiem odstawiła miednicę na podłogę, nie dbając o to, że co najmniej jedna trzecia wody wychlusnęła na ziemię, i rzuciła się, by złapać skrzydło drzwi, zanim się zamknie na dobre.

Z walącym sercem czekała, aż ktoś przytrzyma jej palce albo wyszarpcie skrzydło z wściekłością. Nic takiego się nie stało. Po dłuższej chwili wyciągnęła rękę do Karima leżącego najbliżej drzwi. Zdołała dosięgnąć tylko zarzyganej szmatki, której używała do przecierania jego twarzy. Krzywiąc się z obrzydzenia, złożyła materiał kilka razy, po czym umieściła zwitek między skrzydłem i futryną.

Ten Zwierzak... On był zarażony!

„Będą szczęśliwe” – obiecał Jake. Badył ujął to inaczej: „Będą przesiadywać w słońcu”. Być może. Jednakże w oczach Gail wyglądało to tak, jakby Zwierzak był pijany w sztok. Może taka była pierwsza faza. Wielka szkoda, że w wypadku ludzi wyglądało to inaczej. Banda roześmianych towarzyszy podróży pachniałaby o niebo lepiej od gromadki rozgorączkowanych rzygaczy.

Gail pozbiierała rozchlapaną cenną wodę w ten sposób, że zgarnęła ją brudnymi szmatkami, które następnie wyżeła, aby wykorzystać je później ponownie. Resztą czystej wody z miednicy obmyła twarze pięciorga chorych. Czy powinna ich napoić? Nie miała pojęcia, na ile bezpieczna jest ta woda. Ostatecznie uznała więc, że nie powinni tak szybko umrzeć z pragnienia.

Skradając się dokoła brudnej kabiny, raz jeszcze sprawdziła stan wszystkich osób. Żyli. Lucy wydawała się nieco chłodniejsza, choć może było to tylko jej pobożne życzenie. Doktor Shipley i Nan w dalszym ciągu spali jak zabici. Jak długo powinna trwać ich chemicznie wywołana śpiączka? Czy Jake w ogóle o to zapytał?

Potrząsając głową, Gail usiłowała wymyślić, co jeszcze mogłaby zrobić. Bezczynność jest wrogiem w każdych warunkach. Jeśli tylko znajdzie sobie zajęcie, nic jej nie będzie. Jednakże nic nie przychodziło jej do głowy. Koniec końców potrafiła tylko siedzieć i gapić się na uchylone drzwi, dopóki – o dziwo – nie zasnęła.

Przebudziła się z krzykiem. Coś się działo, coś straszego. Ale to była tylko Nan, Nan, która siedziała chwiejnie pośrodku pomieszczenia. Czując mieszaninę strachu i radości, Gail wykrzyknęła:

– O kurwa, Nan!

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odparła Nan, rozglądając się wokół siebie. Jej otępienie mijało za szybko. Mierząc Gail wzrokiem, zapytała: – Co ten wredny szczur Jake znowu wymyślił?

Padło na Gail, żeby wszystko opowiedziała. I to komu? Nan, która nienawidziła Badyli od samego początku; która pasjami sprzeciwiała się eksperymentom na innych gatunkach; która była zdolna do wszystkiego.

Gail podpełzła do niej i przyłożyła usta do jej ucha.

– Podśluch – wyszeptwała. – Nie możemy teraz rozmawiać. Później.

Nan mogła tylko się z tym pogodzić. Chociaż ten jeden raz. Był to swego rodzaju triumf.

Doktor Shipley się nie budził. Po godzinie, w czasie której nie wydarzyło się kompletnie nic, Gail nie mogła tego dłużej znieść. Jeśli infekcja rozprzestrzeniła się wśród Zwierzaków równie szybko jak wśród ludzi, obecnie już wszyscy na pokładzie byli chorzy. Taką przynajmniej miała nadzieję.

– Chodź – rzuciła do Nan. – Idziemy.

Nan zrobiła wielkie oczy.

– Dokąd?

Najwyraźniej nie zauważyła zwitka przytrzymującego uchylone drzwi.

Gail ujęła ją za rękę – jak dobrze było znów poczuć jej drobne pobliźnione palce w swojej dłoni! – i pociągnęła w stronę drzwi, które delikatnie pchnęła. Nan wydała z siebie niezwykle satysfakcjonujące sapnięcie ze zdziwienia.

– Zwierzaki się zakaziły – poinformowała ją Gail.

– Nie możesz tego wiedzieć! Wiesz tylko, że nasza piątka pochorowała się na śmierć!

– Zwierzaki też się pochorowały – powiedziała Gail z większą pewnością siebie, niż faktycznie czuła.

Wyślizgnęły się za drzwi. Stały w bezpłciowym korytarzu, którym ludzie dostali się na statek. Na jednym końcu znajdowała się śluza, której Gail w tym momencie nie potrzebowała do niczego. W przeciwnym kierunku korytarz rozdzielał się na dwoje. Poprowadziła więc Nan w tamtą stronę. Za załomem korytarz rozdwajał się ponownie. Gail skręcała na chybił trafił.

Ledwie wyszła z za drugiego załomu, sapnęła i zatrzymała się. Dwa Zwierzaki wily się na podłodze. Chore? Zbyt chore, aby rzucić się na nie i zaatakować? Gail zaczęła się gwałtownie cofać, jednakże Nan złapała ją za rękę.

– Gail, one się pieprzą!

– Pieprzą?

Nan się zaśmiała. Gail musiała przyznać, że to faktycznie przypomina seks – o tyle, o ile, dwa Zwierzaki bowiem ocierały się energicznie o siebie. *Co jeszcze tak naprawdę robią?* Nagle Gail nie chciała tego wiedzieć. Przypomniała sobie słowa Jake'a: „Zainfekowane osobniki będą seksualnie atrakcyjne w oczach pozostałych”. Cóż, ludziom na nic się to nie przyda, jeśli zarażone Zwierzaki będą tracić siły na amory. W ten sposób infekcja się nie rozprzestrzeni.

Tyle dobrego, że nie wymiotowały.

– Łap! – Nan wypatrzyła dwie różdżki na podłodze obok zaabsorbowanych Zwierzaków i rzuciła jedną do Gail.

– Nie wiem, jak tego używać – szepnęła Gail.

– A ja niby wiem? Masz, trzymaj. – Nan nie zawracała sobie głowy zniżaniem głosu. Kopulujące Zwierzaki nawet nie podniosły głowy.

Nan wymierzyła z różdżki i zaczęła gmerać przy jednym jej końcu. Gail złapała ją za ramię.

– Nie masz pojęcia o ustawieniach! Równie dobrze możesz wypalić dziurę w poszyciu statku!

– Chyba masz rację... – przyznała Nan. – To co zrobimy z tą parą?

Gail ucieszyła się, że Nan wreszcie przestała kibicować Zwierzakom. Jednakże następne słowa Nan rozwiały jej złudzenia.

– Lepiej niech będą martwe niż zamienione w te eksperymentalne karykatury.

– Te eksperymentalne karykatury są nam potrzebne. Nie bądź głupia, Nan. Po prostu... chodźmy stąd.

Przekradły się obok zapiekłych kochanków, którzy zdawali się na nic nie zwracać uwagi.

– To dopiero pieprzenie – rzekła z podziwem Nan.

Gail ją zignorowała. *Co ja wyprawiam, pchając się bezczelnie w głąb statku wroga? Z drugiej strony, jaki wróg jest bardziej zainteresowany seksem niż wojną?*

Dobrze mieć takiego wroga...

Korytarz prowadził do obszernego pomieszczenia. Zanim Gail zauważyła cokolwiek innego, spostrzegła, że podłoga tutaj jest zrobiona z jakiegoś grubego przejrzystego materiału, który przecinały szare nieregularne rozpory. Podłoże zaginało się na krawędziach, w samym środku zaś pod spodem tkwiła masa jakiejś ciemnej substancji utrzymywanej w kupie przez krótki gruby palik.

– A więc to jest napęd McAndrew! – szepnęła Nan tak cicho, że Gail ledwie ją usłyszała. Zdażyła do tej pory wypatrzeć Zwierzaki w pomieszczeniu.

Było ich pięć. Wszystkie siedziały na podłodze, podpierając się z tyłu ogonami. Dwa podniosły głowę na widok wchodzących kobiet, przez co Gail wstrzymała oddech. Jednakże żaden Zwierzak się nie poruszył. Po prostu patrzyły spokojnie na kobiety, jakby ich zdaniem przedstawiały interesujący obiekt kontemplacji.

– Odbierz im... odbierz im broń – poleciła Gail niepewnie.

Nan usłuchała. Żaden Zwierzak nie zaprotestował, gdy Nan odbierała im pistolety czy cokolwiek to było. Ale jeden się podniósł, gdy Nan go rozbierała, co widząc, Gail krzyknęła cicho. Nan natychmiast odskoczyła. Zwierzak zignorował ją jednak – podszedł do szafki, wziął z niej coś i zaczął jeść z zadowoleniem.

Czyli są w stanie o sobie zadbać. Co jeszcze potrafią? A może to tylko pierwsza faza

choroby, podobna do gwałtownych wymiotów u ludzi, i potem Zwierzaki zaczną się zachowywać inaczej? Gail nie miała pojęcia.

Nan zachwiała się przy skoku. Rzuciła się ku Gail ze słowami:

– Trochę mi słabo...

– Oczywiście, że ci słabo. Nie jadłaś od wielu dni! – warknęła Gail w tej samej chwili, w której Nan zemdliała.

Cudownie. Tylko tego trzeba było Gail. Spacyfikowani Obcy, zarzygani towarzysze podróży i zagłodzona Nan. Nie wspominając o tym, że sama Gail nie miała pojęcia, co właściwie robi.

Poklepała Nan po twarzy i przywróciwszy ją do przytomności, wmusiła w nią trochę jedzenia, którym poczęstował się Zwierzak z szafki. Nan nigdy nie miała problemu ze spożywaniem jedzenia Zwierzaków, które zabijały ludzi. Za to ani myślała wziąć do ust jedzenia Badyli, które pomagały ludziom. Ale nie była to pora, aby się zastanawiać nad perwersją ludzkiej natury.

– Myślę, że powinniśmy je zagonić do jednego pomieszczenia, zanim.. jakoś się zmienią.

– Jak miałyby się zmienić? – zapytała Nan.

– Nie wiem – przyznała Gail. – Wiem za to, że jedyne pomieszczenie, które ma zamki, to to, w którym byliśmy uwięzieni. Musimy wyprowadzić z niego wszystkich ludzi i zapędzić tam wszystkie Zwierzaki, jakie znajdziemy.

Nan wpatrywała się w Gail, jakby ta postradała zmysły.

– A co, masz lepszy plan? – obruszyła się Gail.

– Może jakiś opracuję, jeśli mi wreszcie powiesz, co tu się, do diabła, wyprawia!

– Powiem ci wszystko w trakcie wyprowadzania naszych. Chodźmy.

Reakcja Nan była lepsza, niż Gail mogła się spodziewać. W gruncie rzeczy za dobra. Gail będzie miała o czym rozmyślać...

Zanim wyciągnęły piątkę chorych plus doktora Shipleya na mostek, Gail zaczęły mdleć ramiona. Nan, osłabiona przez narzuconą sobie głodówkę, cała się trzęsła z wysiłku. Ale przynajmniej Karim zdawał się w lepszej formie. Może był najsilniejszy ze wszystkich, a może zarażenie się chorobą od innego człowieka gwarantowało lżejszy przebieg choroby – Gail nie miała pojęcia. O niczym.

Karim patrzył na nią z iskrą rozpoznania w ciemnych oczach, nie odzywał się jednak. Pozostali trwali w niespokojnej śpiączce, nadal rozgorączkowani, i w żaden sposób nie reagowali.

– Gdybyśmy tylko zdołały dobudzić twojego ojca! – utyskiwała Gail. – Było nie było, jest lekarzem!

Nan spoglądała poważnym wzrokiem na rodzica rozciągniętego na podłodze statku.

– To morderstwo, Gail.

Gail uświadomiła sobie, że Nan nie chodzi o Shipleya. Chodziło jej o zarażone Zwierzaki, które na rodzimej planecie miały zamienić pobratymców w szczęśliwe kopulujące głuptaki.

– Nan... – zaczęła, lecz kochanka nie dała jej skończyć.

– Wiesz, co one robią? – Nan przemówiła najbardziej gorzkim tonem, jaki Gail kiedykolwiek u niej słyszała. Powiodła wzrokiem po pięciorgu ścichłych Zwierzakach, które nie wykazały najmniejszego zainteresowania chorymi ludźmi wprowadzonymi w ich grono. – Skupiają się na wyższych sprawach. Marzą w słońcu. Dzielą milczenie. Czekają na Światło. Urządziły sobie pieprzone spotkanie religijne, jak Nowi Kwakrzy!

– Zamierzasz nam się sprzeciwiać, Nan? – zapytała cicho Gail. – Zamierzasz pokrzyżować nam szyki?

– Nie – odparła Nan ze znużeniem. – Próbowałam tego dwukrotnie i zobacz, na co mi przyszło. Teraz już wiem, że nie jestem w stanie kontrolować zachowania innych, nawet jeśli bardzo mi się nie podoba.

Niezła definicja dorosłości, stwierdziła w duchu Gail. Na głos powiedziała jednak tylko:

– Zaczniemy szukać reszty Zwierzaków.

Okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewała. Nie musiały ciągnąć Zwierzaków, tak jak ciągnęły ludzi. Po prostu dźgały je ukradzioną bronią, a Zwierzaki potulnie szły tam, gdzie im kazano. W sumie było ich tylko dwanaście na całym statku podzielonym na małe pomieszczenia i wąskie korytarze. Gail w końcu zdała sobie sprawę, że cała powierzchnia nie przekracza wielkością jednego pomieszczenia na statku zaadaptowanym przez Badyle. Najwyraźniej obie rasy Obcych miały różne zapatrywania na temat wykorzystania przestrzeni.

Tuzin Zwierzaków zmieścił się bez trudu w komorze z podartą matą podłogową. Kiedy już Gail zlokalizowała źródło wody, uparła się, aby w pierw doprowadzić pomieszczenie do porządku. Było więc czyste i dobrze zaopatrzone w żywność i wodę, zanim Gail ostatecznie usunęła zwitek tkaniny i zatrzasnęła jeńców w środku.

– Co dalej? – zapytała Nan.

– Poszukamy nadajnika, który nam zabrały.

– Po co?

Gail nie powiedziała: „Ponieważ zawiera kwiaty śmierci Badyli”.

– Ponieważ to nasze jedyne urządzenie do komunikacji. Prędzej czy później inne Zwierzaki zorientują się, że ten statek nie odpowiada czy co tam powinien robić.

– I co z tym faktem poczniemy?

Gail nie miała pojęcia. Wszystko to był plan Jake’a – Jake powinien stać u steru, bo w przeciwnym razie ludziom groziła zagłada. Z tym że zrzadzeniem losu za sterami znalazła się Gail.

– Na razie poszukajmy tego nadajnika.

Znalazły go w innej szafce, w czymś w rodzaju przezroczystego pojemnika. Gail nawet nie próbowała go otwierać, nie wiedziała, jak to zrobić. Będzie musiał jej pomóc Karim. Tymczasem sprawdziła, co słychać u chorych. Wszyscy żyli, a Karim przynajmniej zdawał się o wiele mniej rozgorączkowany.

Nan nie przestawała oglądać nadajnika.

– Nie sądzę, aby nam pomógł. Przecież został splątany kwantowo z tym statkiem... Jeśli nie zmienimy ustawień, każdy statek Zwierzaków będzie się z nim komunikował.

Oczywiście miała rację.

– Nie wiem nawet, jak taki nadajnik Zwierzaków wygląda – odparła ze znużeniem Gail.

– Zresztą choćbym go znalazła, urządzenie nie będzie połączone z translatorem. Cokolwiek inne Zwierzaki powiedzą do tych Zwierzaków, pozostanie dla nas tajemnicą.

– W takim razie zapomnijmy o tym. – I Nan cisnęła nadajnik kwantowy na ziemię, aż huknęło.

Gail w życiu nie czuła takiej bezradności. Wiedziała, że jest kompetentną osobą i doskonałym organizatorem. Jak jednak zorganizować cokolwiek na pokładzie statku wiozącego zarażonych Obcych, chorych ludzi i ani jednego pilota?

– Nan, czy my lecimy?

Nan wgapiła się w nią.

– Oczywiście, że lecimy. I to z maksymalnym przyśpieszeniem. Spójrz pod stopy! Przedział mieszkalny jest tak blisko dysku, jak tylko się da. Nie słuchałaś, jak Karim wyjaśniał zasadę działania napędu McAndrew?

– Nie – odparła Gail. – Skoro jednak lecimy, musimy zmienić kierunek.

– Na jaki?

– Zielnik – rzekła krótko Gail. – Jeśli Zwierzaki odkryją, że ten statek nie odpowiada...

– Nie powiedziała: „Kiedy Zwierzaki odkryją, że ten statek nie odpowiada” – ...zaczną go szukać. Równie dobrze mogą zniszczyć Mira City, doszedłszy do wniosku, że nie dotrzyaliśmy umowy. Musimy wrócić do miasta, aby odeprzeć ich atak.

Nan rozdziawiła usta.

– Naprawdę myślisz, że...

– Nie wydaje mi się, abyśmy mieli jakiś wybór! Gdybym tylko zdołała wyrwać Karima z tego otępienia...

– Może niepotrzebny nam Karim – stwierdziła Nan. – Mam lepszy pomysł.

Przeszukały kilka innych szafek, przetrząsając przedmioty dziwnych kształtów i niezrozumiałego przeznaczenia. Wreszcie Nan stwierdziła:

– To chyba to. – Trzymała w ręce zakrzywioną czerwonawą pałeczkę zakończoną kulką.

W oczach Gail wyglądała na wygięte berło.

– Na Zielniku używali czegoś podobnego, ale Nan!... lepiej z tym nie eksperymentuj!

– Jak inaczej mam się przekonać? Nie zapominaj, że to nie broń. – Zaczęła obmacywać pałeczkę na całej długości. – O, czuję coś jakby mrowienie. Spróbuj do mnie podejść.

Gail ostrożnie ruszyła przed siebie z wyciągniętymi rękami. Jej dłonie napotkały momentalnie niewidzialną ścianę.

– Jest! Wysoka chyba tylko na kilka stóp!

– Zostań na miejscu i daj mi to sprawdzić...

Pół godziny zajęło Nan opanowanie sztuki tworzenia prostych ścian przeróżnych wysokości, ścian zagiętych pod różnymi kątami oraz zamkniętych przestrzeni wielorakiej średnicy.

– No dobrze, już mam. Możemy iść.

Gail złapała ją za ramię.

– Nan, posłuchaj... Nawiązałaś szczególną więź ze Zwierzakami. Czy teraz, widząc, co ta infekcja robi z nimi... a nie mam pojęcia, co to jest na tym etapie... gniewasz się na mnie tak bardzo, że mi się sprzeciwisz?

Nan wyrwała się z jej uścisku.

– Nie przestanę się gniewać o to, co zrobiły Badyłe. Głosowałam przeciwko temu planowi, zanim.. jak na pewno pamiętasz... Jake poradził sobie ze mną, odbierając mi świadomość. Mimo to wcieliście swój plan w życie, Zwierzaki skończyły zarazone, a ja nie widzę możliwości, żeby to cofnąć.

– Oczywiście, że jest na to sposób – powiedziała Gail wolno. – Wystarczy nie pozwolić na kontakt zarazonych Zwierzaków z resztą.

– Jedyne to zabić je. Zgadza się z tobą, że w chwili kiedy rozmawiamy, pędzi w naszą stronę inny statek. Zwierzaki z pewnością umieją namierzyć własną jednostkę w przestrzeni, a kiedy już to zrobią, uwolnią swoich pobratymców. Mogłabym wypchnąć wszystkie te Zwierzaki przez śluzę, i to bez trudu, ale nie zamierzam ich zabijać!

Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała Gail. Przypatrzyła się twarzy kochanki. Nan sprawiała wrażenie wściekłej, smutnej i zrezygnowanej.

– Dobra – zdecydowała Gail. – Idziemy.

Przeszły z powrotem do pomieszczenia z zarazonymi Zwierzakami. Gail otworzyła drzwi, podczas gdy Nan stworzyła wokół siebie ścianę ochronną, która zarazem blokowała przejście.

I bardzo dobrze, gdyż jak się okazało, część Zwierzaków rzuciła się w stronę Gail z obnażonymi zębiskami – bynajmniej nie w uśmiechu. Dopiero po chwili Gail zdała sobie sprawę, że Zwierzaki nie tyle atakują, ile starają się uwolnić.

– Druga faza infekcji – obwieściła z mniejszym przekonaniem, niż dawała po sobie poznać. – Doszły do siebie na tyle, aby ogarniać, co się z nimi dzieje, ale spójrz... nie próbują mnie dopaść.

– W takim razie przestań się kulić i blednąć – rzekła Nan. – Nic ci nie grozi. Mam wszystko pod kontrolą. Przyrowadź tu jednego z tyłu pomieszczenia, one wydają się wciąż kompletnie oszołomione.

Z tyłu pomieszczenia... Nan było łatwo mówić, skoro stała sobie bezpiecznie w korytarzu. Wtem Gail poczuła lekkie pchnięcie w bok. Nan zmieniała kształt jej więzienia, tworząc elipsoidę, która w dalszym ciągu blokowała przejście, ale zarazem sięgała w głąb

komory, ku rogowi, gdzie na podłodze siedział jeden Zwierzak. Ogon miał podwinięty pod siebie i gapił się w przestrzeń przed sobą pustym wzrokiem. Resztę Zwierzaków zepchnęła na bok powstająca ściana. Gail nie zdejmowała ręki z jej dodającej otuchy niewidzialnej powierzchni. Ściana „zgasła” na ułamek sekundy, po czym znów się pojawiła, ale wtedy już Zwierzak znajdował się po tej samej stronie co Gail.

Poczuła, że zaczyna się pocić i że żołądek jej się kurczy. Zwierzak był zdolny pozbawić ją życia jednym uderzeniem. Co gorsze, był to Obcy. Zmusiła się, aby się schylić i złapać go za jedno ramię. Gdy pociągnęła, Zwierzak podniósł się na nogi.

– Brawo – pochwaliła ją Nan. – A teraz chodź...

W pomieszczeniu zrobiło się głośno. Zwierzaki rozmawiały czy co one tam robiły. Gail ciągnęła potulnego osobnika w stronę drzwi. Pozostałe macały rękami niewidzialną ścianę i jakby chciały coś mu przekazać, jednakże on – nadal we wczesnej fazie infekcji – był w stanie tylko dziwnie kręcić głową. Gail wyprowadziła go za drzwi, które Nan zaraz zamknęła. Miały pilota.

– Skąd wiadomo, że ten akurat umie pilotować? – zapytała Gail poniewczasie.

– Nie wiadomo na pewno, ale spójrz na te paski na jego piersi. Takie same nosiła tamta samica, która pilotowała wahadłowiec. Właściwie to chyba ten sam Zwierzak.

Gail przyjrzała się Obcemu i również poniewczasie zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z samicą. Świadczył o tym brak pióropusza na plecach. Zatem w pomieszczeniu musiał się też znajdować bezwzględny przywódca, który z góry założył, że ludzie to sabotażyści, i unicestwił ich skimmer. Gail jednak nie potrafiłaby go wskazać. Zresztą nie miało to w tej chwili wielkiego znaczenia.

– Jak zamierzasz się z nią porozumieć, skoro nie mamy tłumacza?

Nan nie odpowiedziała. Ujęła Zwierzaka za rękę, powiodła na mostek i usadziła w fotelu pilota, jak jej się wydawało. Zwierzak wbił w Nan spojrzenie pozbawione wyrazu. Nan sięgnęła po pióro i tabliczkę, na której Jake wyrysował fikcyjną lokalizację biblioteki genetycznej Badyli. (Jak przy tym zmasowała rysunek Jake’a?). Następnie nakreśliła system gwiazdny z małymi postaciami ludzi, Zwierzaków i Badyli stojących na tej samej planecie. Na twarzy Zwierzaka pojawił się grymas, jednakże poza tym nic więcej się nie zmieniło.

Nan narysowała Zwierzaka siedzącego w fotelu pilota. Potem paroma ruchami skreśliła coś, co zdaniem Gail przypominało pojemnik na żywność, jeden z tych, które widziały

przedtem w szafce.

Potem przeciągnęła grubą czarną kreskę przez rysunek jedzenia.

Zwierzak zaczął płakać.

– Co u... – chciała zapytać Gail.

– George zaobserwował to po raz pierwszy u dziecka Zwierzaków jeszcze na Zielniku – wyjaśniła Nan. – W tej dobrze sobie radzącej kolonii samic. Uznał, że łyzy to mechanizm konieczny u wszystkich organizmów z oczami i bez migotki. W celu usuwania kurzu i brudu. Ale był też zdania, że u Zwierzaków łyzy są wyrazem zaniepokojenia. Twierdził, że niektóre mechanizmy rozwijają się przypadkowo w wyniku odmiennych ścieżek ewolucyjnych.

– Aha. – Gail kiwnęła głową. Nie potrafiła sobie przypomnieć w tym momencie, czym jest migotka.

Zwierzak dalej płakał; duże łyzy toczyły się groteskowo po zmatowiałym futrze na jego twarzy. Nan ponownie wskazała na rysunek z systemem gwiazdnym, fotelem pilota i przekreślonym jedzeniem. Zwierzak sięgnął do dziwnych wyrostków na piersi.

– A może – dywagowała obojętnie Nan – jej łyzy nie są oznaką niepokoju? Może to przejaw radości? Przecież infekcja miała je uszczęśliwić, prawda?

Gail nie odpowiedziała. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Nan... Zwierzaki pozostają potulne tylko przez pewien czas. Co zamierzasz, jeśli pilotka przejdzie w drugą fazę?

– Zamknę ją w więzieniu z niewidzialnych ścian.

– A jeśli będzie tylko gapić się przed siebie, zamiast pilotować? Albo jeśli polecą w zupełnie inną stronę, niżbyśmy chcieli? Przecież nawet nie będziemy o tym wiedzieć!

Nan zmarszczyła brwi. Rozgoryczenie przerodziło się w złość.

– Kurwa, Gail! Nie jestem w stanie myśleć o wszystkim!

– Nikt tego od ciebie nie oczekuje.

– Sugerujesz, że...

– Nieważne, Nan. Wygląda na to, że niepotrzebny nam twój oswojony Zwierzak.

Właśnie budził się Karim.

– Zatem przejęłyście kontrolę nad statkiem ot tak? – zdziwił się Jake.

– W twoich ustach zakrawa to na łatwiznę. – Gail wzruszyła ramionami.

W otoczeniu pozostałych ludzi nareszcie znów czuła się sobą. Wszyscy, nie licząc doktora Shipleya, odzyskali przytomność, aczkolwiek trudno było powiedzieć, że dobrze się czują. Tylko Karim nie miał już wysokiej gorączki. Reszta cierpiała na ból głowy i skurcze mięśni, a od czasu do czasu kogoś dopadały suche torsje, ponieważ od dawna nikt nie miał nic w żołądku. Nawet Karim przy pierwszej próbie podniesienia się zachwiał się na nogach i wyrznął o podłogę. Oprócz wymiocin pojawiła się krew. Na szczęście rana nie była poważna. Gail opatrzyła ją, korzystając z topniejącego zapasu koców.

– Jak długo jeszcze, zanim dotrzemy na Zielnik? – zapytała słabym głosem Ingrid.

– Skąd mam wiedzieć? – odburknęła Gail. – Jesteśmy tylko pasażerami... – Zwracając się do Karima, dodała: – Uda ci się w porę rozpracować działanie tego arsenału?

– Nie – odparł Karim.

Siedzący w fotelu pilota fizyk przyglądał się dziwnym wypustkom na konsoli. Wcześniej Jake zarządził, aby pilotującą samicę z powrotem umieścić w brygu, jak to nazwał. Zdaniem Gail ten dowcip wcale nie był zabawny.

– Nie? – podchwyciła Nan, zanim Jake zdołał odpowiedzieć Karimowi. – Nie potrafisz rozpracować tej broni?

– Nan, zastanów się – rzekł cierpliwie Karim. – Badyłe nie pokazały mi, jak używać systemu uzbrojenia na statku, który ukradły Zwierzakom. Nie miały pojęcia, jak to się robi, bo żaden Badył nigdy nie korzystał z broni Zwierzaków. One są pacyfistami, pamiętasz?...

– Powinieneś jednak szybko się połapać – wtrąciła Gail, nie chcąc, aby Nan dosiadła swojego konika i zaczęła się wyżywać na Badyłach.

– Nie, Gail.

– Czyli wszystko na nic – skwitował Jake. – Drugi statek Zwierzaków rozprawi się z nami.

– Niekoniecznie – zaprotestował Karim. – Jest jedna ważna rzecz... Pamiętacie, jak jeszcze na pokładzie *Ariela* stwierdziliśmy, że minęła nas inna jednostka lecąca z przyśpieszeniem osiągającym sto g? Chociaż ten statek przeleciał bardzo blisko, praktycznie nas nie zauważył. A to dlatego, że przy włączonym napędzie McAndrew powstaje gęsty obłok plazmy, w miarę jak energia jest czerpana z próżni.

– No i? – ponagliła go Nan.

– No i w takim obłoku plazmy czujniki nie działają. Statek Zwierzaków albo Badyli, bo nie wiemy, czyj on był, nie zauważył *Ariela*. Jego pasażerowie nie mieli pojęcia o naszym

istnieniu. Zwierzaki śledzą wzajemnie swoje ruchy w przestrzeni za pomocą urządzenia, które przypomina łącze kwantowe. Ale nasz nadajnik był splątany z Ziemią, nie z ich statkiem, a poza tym nie był włączony non stop, jak najwyraźniej oni robią. Właśnie dlatego statek Obcych nas najzwyczajniej w świecie zignorował.

Gail czuła, że to, co mówi Karim, jest bardzo ważne, tylko nie wiedziała dlaczego. Niespokojnie wodziła wzrokiem od jego twarzy do Jake'a i z powrotem.

– A więc jeśli zniszczymy nasz nadajnik... mówię tu zarówno o nadajniku pokładowym, jak i naszym zmodyfikowanym przez Zwierzaki... żaden statek Zwierzaków nas nie wytropi?

– Ale my też nie będziemy wiedzieli, gdzie ich szukać – zauważyła Nan.

– Właśnie że będziemy wiedzieli – powiedział Karim. – Pod warunkiem, że wyłączymy nasz nadajnik, ale ich zostawimy włączony. Poza tym chociaż nie wiemy, jak używać broni Zwierzaków, mamy to... – Wskazał na duży dysk u swoich stóp.

– I co z tego? – zapytała Nan. – Przecież to nie broń. A zresztą ten drugi statek ma to samo.

– To prawda – przyznał Karim. – Wiem. Ale posłuchajcie...

31

William Shipley nie wiedział, gdzie jest.

Ostatnie, co pamiętał, to że go morzy sen w „szpitalu” na pokładzie statku Badyli. Teraz jednak, nawet leżąc na wznak i gapiąc się w sufit, widział, że to nie ten sam statek. Na suficie nie było śluzu.

Nie czuł się chory. W gruncie rzeczy czuł się zdumiewająco dobrze. Poruszył głową, aby się rozejrzeć dokoła.

Metalowe pomieszczenie, chociaż nie tak obszerne jak tamto pełne Badyli, śluzu i ścieżek, które opuścił. Ale jak? Teraz najwyraźniej znajdował się na mostku. Widział ekrany z nic mu niemówiącymi symbolami, jakieś wypustki na konsoli, wreszcie tył oparcia fotela pilota, pod spodem zaś krótki rdzeń łączący pomieszczenia z czarnym dyskiem, który Karim nazwałby supermasywnym. Czyżby znalazł się w innej części statku Badyli? Nigdzie w zasięgu wzroku nie miał żadnych Obcych ani ludzi.

Ostrożnie podniósł się na nogi. Z mostka otwierało się kilkoro drzwi. Shipley ruszył w kierunku pierwszych z brzegu, zaraz jednak zatrzymał się z sapnięciem, gdy zaskoczył go głos Karima:

– Doktorze Shipley! Witamy!

Karim siedział w fotelu pilota, gapiąc się na wypustki służące do nie wiadomo czego.

– Co robisz? Gdzie jesteśmy? – zarzucił go pytaniami Shipley.

– Na statku Zwierzaków – odparł Karim, nie odrywając wzroku od wypustek. Niektóre się poruszały, najwyraźniej samoistnie. Karim od czasu do czasu dotykał którejś. – Gail odebrała statek z rąk Zwierzaków. Teraz my sprawujemy nad nim kontrolę.

– Gail?

– Przepraszam, doktorze, ale muszę się skupić. Proszę poszukać Jake’a, on panu wszystko wyjaśni.

– Gdzie... gdzie są wszyscy?

– Niszczą nadajnik kwantowy.

Shipley potrząsnął głową, aby pozbyć się z niej waty. Nie pomogło. Nic, co widział i słyszał, nie miało dla niego sensu. Wybrał jedne drzwi na chybił trafił i ruszył w ich stronę.

Zdażył zrobić tylko kilka kroków, gdy rozległo się potężne dudnienie. Karim ani drgnął. Pomajstrował coś przy wypustkach, po czym czarny dysk zaczął się wymykać spod stóp

Shipleya. Lekarz pomyślał przelotnie, że statek się rozpada, i złapał się powietrza, wytracony z równowagi. Zaraz jednak się opanował, zrozumiał, co się dzieje.

Statek zwalniał. Przedział mieszkalny ślizgał się wzdłuż rdzenia, by przeciążenie wywołane zwalnianiem zrównoważyć z siłą grawitacji dysku. Odezwał się znów wbrew sobie:

– Karim... gdzie my jesteśmy?

– Na Zielniku.

Na Zielniku?

Znów to dudnienie, po którym nastąpiły krzyki. Oszołomiony Shipley skierował się w stronę źródła dźwięków, pokonując krótki wąski korytarzyk.

George, Ingrid, Lucy i Gail tłoczyli się przy wejściu do niewielkiego pomieszczenia. W środku Jake unosił raz po raz nad głowę jakieś na oko nieznanne urządzenie, po czym opuszczał je z całych sił na blat stolika wyrastającego bezpośrednio z metalowej podłogi. Stół, już wgnieciony, poddał się jeszcze trochę. Jake zadrżał od impetu uderzenia. Shipley miał wrażenie, że słyszy, jak prezesowi Korporacji Mira dzwonią zębami.

– Dobra, Jake – rzucił George – teraz moja kolej.

– Proszę bardzo.

– Co... – zaczął Shipley.

– Doktorze! – zawołała Gail. – Obudził się pan! Jak się pan czuje?

To najnormalniejsze z pytań pośród tego całego obłądu było kroplą, która przelała czarę. Shipley doznał zwrotu głowy. Zwalczył go jednak siłą woli i spróbował ponownie.

– Co wy robicie?

– O Boże! – wykrzyknął George. – Trzeba panu opowiedzieć wszystko od początku. Jake, daj mi to, teraz moja kolej.

Jake przekazał mu prowizoryczny młot i zszedł z drogi. George walnął o stół. Do wtóru ogłuszającego trzasku rozległ się głos Ingrid:

– Wszyscy są jeszcze słabi, doktorze. Niech pan im nie pozwoli się nadwerężyć.

– Doktor Shipley nie ma o niczym pojęcia! – zawołała Gail. – Pozwoli pan, że wytłumaczę...

Shipleya z wdzięcznością ruszył za nią z powrotem na mostek, gdzie panowała względna cisza. Teraz wyraźnie było widać, że dysk przeciwwagi u ich stóp jest osadzony na pręcie, przy czym właśnie oddalał się od nich czy też raczej oni od niego. Jak tylko mogli

rozmawiać, Shipley zapytał:

– Gdzie Naomi?

– Ze Zwierzakami. Nic jej nie jest, doktorze, nie musi się pan martwić.

Ze Zwierzakami. Nie musi się martwić. Położył dłoń na ramieniu Gail. Z pomieszczenia obok dobiegł kolejny huk.

– Przejdźmy w jakieś cichsze miejsce – poprosiła Gail. – Zaraz panu wszystko wyjaśnię.

Wyjaśnienia trochę potrwały. Kiedy Gail kończyła, wrócili pozostali. Moment później George zemdłał.

– Doktorze! – krzyknęła Ingrid.

George wrócił do siebie prawie natychmiast. Shipley polecił mu zostać w pozycji leżącej na podłodze. Poczuł, że zalewa go spokój towarzyszący znajomym czynnościom, gdy przykładał dłoń do piersi pacjenta, mierzył mu puls, odchyłał powieki, żeby zbadać białka oczu.

– Nic mi nie jest – rzucił niecierpliwie George. – Chcę wstać.

– Masz przyśpieszony puls.

– Dopiero co zniszczyłem nadajnik Obcych!

Ze swego miejsca przy konsoli Karim zapytał:

– Jesteście pewni?

– Nie, nie jesteśmy – prychnęła Ingrid. – W końcu mówimy o obcej technologii. Ale mamy nadzieję, że rozprawiliśmy się z nim jak należy.

– Czyli został nam tylko jeden nadajnik – powiedział Jake. I zwracając się do Karima, zapytał: – Kiedy znajdziemy się na orbicie Zielnika?

– Za czterdzieści siedem futrzaków.

Widząc minę Shipleya, Gail wyjaśniła:

– Karim wymyślił taką nazwę na jednostki pokazywane przez chronometr Zwierzaków. Badyle nauczyły go odczytywać cyfry.

– W systemie szóstkowym – dodał George, chcąc być pomocnym.

– Nie przeciążajcie go tym, czego nie musi wiedzieć – napomniała Gail. – Ani mnie. Doktorze, zaprowadzę pana do Nan, jeśli pan chce. Właśnie karmi Zwierzaki. Tylko ona nauczyła się stawiać niewidzialne ściany.

Shipley wstał, jednakże w tej samej chwili Naomi wkroczyła do środka przez jedne z

drzwi. Na widok jej półnagiego, pobliźnionego i wychudzonego ciała Shipleya załamywały wspomnienia tego wszystkiego, co wydarzyło się na statku Badyli. Franz. Atak przypuszczony na Jake'a. On przewracający Franza. Śluz pożerający twarz przekładańca.

– Tato? – wyrwała go z zamyślenia Naomi.

– Doktorze, proszę usiąść – dołączyła do niej Gail. – Zbladł pan jak płótno.

– Chcę... chcę porozmawiać z Naomi.

Pozostali taktownie się oddalili. Naomi ujęła go za rękę i powiodła jeszcze innym wąskim korytarzykiem. Był pusty, ale gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku i słuchu ludzi na mostku, Naomi usiadła na podłodze i delikatnie pociągnęła ojca za sobą.

Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywało. W końcu Shipley rzekł:

– Gail opowiedziała mi, co się stało.

– Tak – bąknęła Naomi. – To było niewłaściwe. Jest niewłaściwe.

– A mimo to przystajesz na to. Godzisz się, żeby zainfekowane Zwierzaki rozniosły bierność wśród swoich pobratymców na rodzimej planecie.

– Tak – przyznała, unikając go wzrokiem.

Shipley poczuł, jak żołądek mu się wywraca, po czym wędruje w górę. Naomi kłamała. Mogła omamić Gail, ale nie jego. Nie zamierzała godzić się z tym, co uważała za masowe morderstwo dokonane na innej rozumnej rasie, której mimo wszystko w dalszym ciągu kibicowała. Czy dlatego, że najpierw z tymi istotami się zaprzyjaźniła? A może dlatego, że tak jak ludzie są oparte na DNA? Czy też dlatego, że z czystej przekory zawsze musiała stać w opozycji do większości? Tak przecież się określała: była samotnym buntownikiem. Ta definicja była dla niej ważniejsza niż jakakolwiek obiektywna prawda. Bez definicji w swoich oczach była nikim.

A czy Shipley tak bardzo się od niej różnił? Określał się jako Nowy Kwakier, to stanowiło sedno jego życia – bez tego określenia również czułby się nikim.

Naomi zaczęła przyglądać mu się podejrzliwie. Aby odwrócić jej uwagę, rzucił:

– Zabiłem Franza Muellera. Przrzekałem, że nie będę zabijał, a jednak to zrobiłem.

– Och, tato, ty tylko go przewróciłeś! To nic złego! Franza zamordowały przekłete Badyli!

Nie, pomyślał Shipley. *Naomi nic nie rozumie*. Jego czyn przyczynił się bezpośrednio do śmierci Muellera. W związku z tym był za nią odpowiedzialny. Mimo to postanowił mówić dalej; Naomi perorowała z namiętnością i przekonaniem, wierna swemu pokrętnemu

idealizmowi. Serce Shipleya przepełniła bolesna miłość. *Moje dziecko...*

Gdy w końcu zabrakło jej słów, rzekł:

– Chciałbym zobaczyć Zwierzaki. Jakie są teraz?

Zerwała się ochoczo.

– Chodźmy. Tylko ja potrafię stawiać niewidzialne ściany.

Ujęła go za rękę i poprowadziła ku drzwiom. Z dumą wyciągnęła niewielką zakrzywioną pałeczkę zza skromnego odzienia, które okrywało jej biodra. Pomajstrowała przy niej, po czym otworzyła drzwi. Parę Zwierzków rzuciło się w ich stronę. Reszta siedziała spokojnie na podłodze, podniosły tylko głowy, aby zmierzyć przybyłych spojrzeniem, w którym – zdaniem Shipleya – było widać ciekawość, ale nie strach. Shipley zatrzymał się tuż przy wzniesionej przez Naomi ścianie.

Przepełnił go spokój, niespodziewany i słodki pośród cuchnącego chlewu, jakim było to pomieszczenie.

– Naomi... – Nie był w stanie powiedzieć nic więcej. Zamiast tego usiadł na podłodze przy drzwiach.

– Tato... co ty, do cholery, wyprawiasz?

– Dzielę milczenie.

Obserwował gamę uczuć malujących się kolejno na jej twarzy: niecierpliwość, typowe dla niej lekceważenie i o dziwo, dobrotliwość. Mimo wszystko nie sądził, że jej tolerancja wobec niego okaże się dostatecznie silna, aby ją powstrzymać. Dlatego powiedział:

– To z powodu... z powodu Franza. Muszę posiedzieć z nimi w ciszy. Proszę, posiedź z nami, Naomi...

Zawahała się, on zaś wstrzymał oddech. Nieoczekiwanie Naomi usiadła. Dowiedział się czemu, dopiero gdy się odezwała:

– Jesteś teraz inny.

– Inny? Jak to?

– Wydajesz się... wydajesz się mnie potrzebować.

– Bo cię potrzebuję. Zawsze cię potrzebowałem.

Zmarszczyła brew.

– Nie o to mi chodziło. Mam na myśli to, że z nas dwojga to ja jestem teraz silniejsza.

Odkąd zabiłeś Franza.

– To prawda.

Spojrzała na niego ostro, a on zwiesił głowę, chcąc ukryć kłamstwo, które właśnie padło z jego ust.

Siedzieli w milczeniu przez długi czas. W końcu Shipley poprosił:

– Naomi, wyłącz ścianę.

– Mam ją wyłączyć?

– Te stworzenia nas nie skrzywdzą. Chyba to widzisz. Są w późnej fazie infekcji. Nawet te, które z początku się na nas rzuciły, teraz tylko siedzą... marzą w słońcu... a ja chcę z nimi dzielić milczenie naprawdę. Bez żadnych barier, choćby niewidzialnych.

– Nie mogę wyłączyć ściany – odparła. – Tylko dzięki niej drzwi pozostają otwarte. Nie otwierają się od tej strony.

– Och. Cóż, w takim razie ja je przytrzymam. Chyba nie sądzisz, że te spokojne stworzenia spróbują uciec? – Shipley przesunął się tak, aby po części siedzieć w pomieszczeniu, a po części na korytarzu.

– Skoro „dzielisz milczenie”, co za różnica, czy robisz to z niewidzialną ścianą czy bez niej? – obruszyła się Naomi.

– Żadna – przyznał. – Zapomnij, że coś mówiłem, serce moje. Niech sobie ta ściana będzie.

Naomi ponownie zmarszczyła czoło, po czym – zbuntowana do samego końca – wyłączyła barierę.

Shipley sięgnął błyskawicznym ruchem i wyrwał jej pałeczkę z dłoni. Następnie cisnął przedmiot za drzwi.

Udała mu się ta sztuka, ponieważ wziął Naomi przez zaskoczenie. Jego córka krzyknęła i rzuciła się na niego. Walczyła z nim bez żadnych zahamowań, kopiąc i gryząc. Czując, jak jej zęby zaciskają się na jego ramieniu, wydał z siebie okrzyk bólu. Jednakże miał nad nią przewagę stu pięćdziesięciu funtów, co było przeszkodą nie do pokonania. Cofając się i zastawiając ciałem wejście, odtrącił ją i zatrzasnął drzwi.

Z nierówno bijącym sercem oparł się o skrzydło od zewnątrz i zastanowił, czy zaraz dostanie zawału. Aby uspokoić rytm serca i oddech, wgapił się w trzymaną w ręce pałeczkę i skoncentrował na jej krzywiznie i twardości. W końcu się uspokoił.

Zwierzaki wewnątrz nie robią jej krzywdy. Shipley był tego pewien. Nie uczynią krzywdy nigdy nikomu. Tymczasem obecność jego córki na pokładzie statku groziła tym, że Naomi pozabija wszystkich, zarówno Obcych, jak i ludzi. Shipley nie wiedział, jak chciała

sabotować plan Jake'a, lecz był pewien, że myślała o tym. On, jej ojciec, zobaczył to w jej oczach. Była gotowa wymordować wszystkich, siebie nie wyłączając, w przekonaniu, że rozprzestrzenienie infekcji na resztę Zwierzaków równa się masowemu morderstwu. Naomi oddałaby życie za swoje przekonania.

„Niech wasze życie przemówi za was”.

Shipley uzmysłowił sobie, że był skłonny ją poprzeć, póki nie znalazł się w tym pomieszczeniu. Gdy to się jednak stało, gdy zasiadł w otoczeniu nagle spokorniałych Zwierzaków, Światło spłynęło na niego jak jeszcze nigdy wcześniej. Nie oślepiło go, tylko oświeciło – głęboką, słodką wiedzą pozbawioną jakichkolwiek wątpliwości. Stworzenia te nie okazały się bezwolnymi istotami, jakich się spodziewał. Infekcja nie pozbawiła ich duszy. Zamiast tego uwolniła je z pęt żądz mordu narzuconej przez ewolucję darwinowską i pozwoliła, aby miała miejsce ewolucja wyższego rzędu. To był krok we właściwym kierunku. To była droga Zwierzaków: od wojny do dzielonego milczenia, marzenia w słońcu, pokoju.

Naomi w życiu by tego nie dostrzegła. Nie pozwoliłaby sobie na to. Dlatego pokrzyżował jej szyki, sabotując jej sabotaż, jakkolwiek zamierzała go przeprowadzić. Oczywiście córka nigdy mu tego nie wybaczy. Shipley postąpił właściwie za cenę kiełkującej córczynej miłości do siebie.

Cena nie była przesadnie wysoka. I być może równoważyła śmierć Franza.

Shipley zamknął oczy nagle wdzięczny za metal, z którego były zrobione drzwi. Zdawał się bardzo wytrzymały. Jednakże nawet przez niego docierały na drugą stronę odgłosy walenia piąstek Naomi w skrzydło.

Gdy odzyskał już zdolność ruchu, udał się do Gail i Jake'a, aby im powiedzieć, co zrobił i dlaczego.

Statek się zatrzymał. Przez iluminator w podłodze Jake zobaczył długi rdzeń ciągnący się od przedziału mieszkalnego do dysku na drugim końcu. Za nim, hen w dole, ujrzał to, co pragnął zobaczyć od tak dawna.

Zielnik.

Planeta obracała się powoli, zielono-niebiesko-biała, najcudniejsza ze wszystkiego, co kiedykolwiek widział. Statek znajdował się na wysokiej orbicie, lecąc na wyłączonym ciągu. Przy zgaszonym napędzie czujniki działały. Teraz wszystko zależało od tego, na ile Karim nauczył się od Badyli odczytywać te czujniki.

George siedział na podłodze, mocując się z przenośnym nadajnikiem. Karim instruował go na głos, ani na moment nie spuszczać z oczu dziwnych, obcych ekranów. Z tego, co powiedział Jake'owi, wynikało, że rozumie poprawnie tylko jakąś jedną czwartą. Badyle miały za mało czasu na naukę.

– No, otwarte – sapnął George. Przechylił nadajnik, z którego wysunęły się lepkie pakieciki. Kwiaty śmierci.

– Nie wiemy, czy kiedykolwiek będziemy mieli szansę przekazać je Badyłom – stwierdziła Lucy.

Nikt jej nie odpowiedział. Podniosła więc spojrzenie na Jake'a, który pomyślał, że widzi w jej oczach błaganie. Czy dotyczyło kwiatów śmierci czy czegoś innego? Odwrócił wzrok.

– Co tymczasem z nimi zrobimy? – zapytała Ingrid.

Nieoczekiwanie dla samego siebie Shipley powiedział:

– Dajcie je mnie. Zaopiekuję się nimi.

Lucy w milczeniu zebrała pakieciki i podała je lekarzowi. Wszyscy czuli się niezręcznie w obecności Nowego Kwakra. Opowiedział im – cicho i bez dramatyzowania – dlaczego uwięził Nan ze Zwierzakami. Gail zachłysnęła się i jak podejrzewał Jake, popłakała sobie na osobności. Pozostali skinęli głową, niepewni, co mogliby powiedzieć, i zostawili Shipleya samemu sobie, aby przeboleł poczucie winy, które jak sądzą, męczy go z powodu Nan. Jednakże Jake podejrzewał, że Shipley wcale nie czuje się winny. Starszy mężczyzna roztaczał atmosferę spokoju, zupełnie jakby właśnie doszedł z czymś do ład. Jake nie chciał wnikać w szczegóły. Powtarzał sobie, że zawilości wierzącego umysłu przekraczają

jego zdolność pojmowania. Poza tym było mu wszystko jedno.

– Skoro jesteśmy gotowi, odpalmy nadajnik – rzuciła Gail.

Ta część była łatwa. Umieścili nadajnik w śluzie, otworzyli ją i na moment przyśpieszyli. Nadajnik wyleciał w przestrzeń. Jake zobaczył jeszcze, jak planeta znika z pola widzenia – Karim zajmował pozycję.

Teraz pozostało im oczekiwanie.

Jake nie był w stanie usiedzieć na miejscu tak jak inni. Shipley medytował ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami, zapewne komunikując się z nieskończonością. George, Lucy i Ingrid rozmawiali ściszymi głosami, jakby ze strachu, że rozkojarzą Karima, który nie spuszczał oka z obcych ekranów. Gail nigdzie nie było widać.

Jake zaczął jej szukać. Tak jak przypuszczał, siedziała oparta plecami o drzwi więzienia. Zwierzaków i Nan.

– Gail, nic jej tam nie będzie. Zwierzaki są nieszkodliwe.

– Zdaniem doktora Shipleya. – Podniosła na niego zdecydowane, spokojne spojrzenie. – Jake, wyjaśnij mi jeszcze raz, o co w tym wszystkim chodzi, bo nie do końca rozumiem.

Usiadł obok niej. Jej prośba była dla niego miłą odmianą.

– Pozwól, że zacznę od tego, czego nie możemy zrobić.

– W porządku – zgodziła się sucho Gail. – Bo odkąd cały ten bałagan się zaczął, w ogóle niewiele możemy.

– Masz rację. Obecnie nie możemy przyśpieszyć statku, który... tego jestem pewien... został wysłany, aby zniszczyć Mira City. Przybędzie tutaj wtedy, kiedy przybędzie. Lecące na jego pokładzie Zwierzaki skontaktowały się z naszymi, zanim je unieszkodliwiliśmy, a poza tym przez cały czas namierzają nasz nadajnik. – Jake urwał na chwilę. – Gdy statek w końcu się pojawi, nie będziemy mogli go zestrzelić, ponieważ Karim nie ma pojęcia, jak obsługiwać system uzbrojenia Zwierzaków, a poza tym nie chce stracić swojej jedynej szansy. Nie mamy pojęcia, gdzie statek Zwierzaków się zatrzyma w stosunku do orbitującego nadajnika. Zapewne zachowa bezpieczną odległość, poza zasięgiem rażenia broni, szczególnie że Zwierzaki wiedzą, iż coś jest nie tak, i znają zasięg tej broni. My go nie znamy, zatem nie jesteśmy w stanie przewidzieć, w jakiej odległości od Zielenika zawiśnie, kiedy skończy hamować i wyłączy napęd. Nie wiemy nawet, czy Zwierzaki są w stanie użyć swojej broni przy włączonym napędzie.

– W ogóle mało wiemy – mruknęła Gail.

– Ale Zwierzaki też nie wiedzą jednej ważnej rzeczy. Mianowicie że orbitujący nadajnik jest poza naszym statkiem. Ponieważ ich maszyna jest splątana kwantowo z naszym nadajnikiem i odbiera tylko jego sygnał, prawdopodobnie założą, że wychodzi z naszego statku i że statek ten obsługują Badyłe. Nas bowiem mają za głupców.

– Cóż – wtrąciła Gail rozsądnie – miałyby rację, gdyby nie to, że Badyłe pokazały Karimowi, jak pilotować statek Zwierzaków...

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Jake podsumował:

– Mówiąc w skrócie, Zwierzaki nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy.

Gail, która zdrętwiała od opierania się o metalowe drzwi, zmieniła pozycję na wygodniejszą. Gdy się odezwała, Jake dosłyszał w jej głosie napięcie:

– Zakładasz wiele rzeczy, Jake. Co będzie, jeśli się mylisz?

Nie zareagował na to. Zresztą Gail znała odpowiedź – umrą wszyscy.

Tymczasem Jake podjął:

– A teraz to, co możemy zrobić... Możemy ukrywać się do czasu, aż Zwierzaki wyłączą swój napęd. Możemy przyśpieszyć przy ciężeniu sto g. Możemy obserwować, jak szybko hamuje statek Zwierzaków. Niewykluczone nawet, że możemy wyliczyć z ich położenia i tempa hamowania, gdzie dokładnie się zatrzymają.

– Niewykluczone?

Jake odparł cicho:

– Karim potrafi z obcych ekranów odczytywać prędkość i położenie, a także interpretować wyniki. Do pewnego stopnia. Nie ma pojęcia, jak obsługiwać ich komputer. Nie wie też, jak skomunikować się z komputerem na Zielniku za pomocą dostępnego sprzętu. To oznacza, że będzie musiał wykonywać obliczenia ręcznie, i to w czasie pomiędzy zauważeniem statku Zwierzaków a wyłączeniem przez nich napędu.

Gail milczała przez moment. W końcu powiedziała:

– Sprawdzę, co u doktora Shipleya. Bardzo się przejmuje uczynkiem Nan.

Wcale nie, odpowiedział jej w myślach Jake. *To ty się przejmujesz.*

Doktor Shipley osiągnął coś w rodzaju duchowego konsensusu, którego Jake ani nie rozumiał, ani nie chciał zrozumieć. Jednakże Gail czuła się rozdarta z powodu planowanej zdrady Nan. Jake nie znał bardziej wyrozumiałej, matczynej osoby niż Gail (aczkolwiek jej uczuć do Nan raczej nie dało się nazwać matczynymi). Czy jednak jest w stanie przebaczyć

Nan? Jak daleko sięga jej miłość?

Jak na zawołanie zza rogu, za którym zniknęła przed chwilą Gail, wyłoniła się Lucy.

– Jake... możemy porozmawiać?

Było to ostatnie, na co Jake miał ochotę. Jednakże Lucy już usiadła naprzeciwko i wpatrzyła się w niego z natężeniem w wielkich oczach osadzonych w drobnej twarzy.

– Możemy tego nie przeżyć – rzekła bez ogródek – ale tak czy owak chcę, abyś coś wiedział.

– Lucy, to nie...

– Proszę, wysłuchaj mnie, Jake. To dla mnie ważne. Po tym, jak opowiedziałeś mi o pani Dalton, odparłam, że nie mogę z tobą dłużej być, że to ode mnie silniejsze. Była to prawda. Wtedy. Morderstwo z premedytacją, do tego tak okropne... Nie mogłam się powstrzymać. Ale teraz... teraz już czuję co innego. Tyle zaryzykowałeś, byłeś taki odważny... Mówię tu o wyjawieniu Badylom naszego planu zniszczenia ich tarczy planetarnej. Poinformowałeś je o tym nawet przed doktorem Shipleyem. Uważam, że postąpiłeś bohatersko.

– Zatem odkupiłem się w twoich oczach – rzekł głucho.

– Nie chciałam tego ujmować w ten sposób, ale... tak. – Pochyliła się do przodu i przymknęła oczy.

Czuł jej zapach, przemożny kobiecy zapach, który trafiał prosto do jego krocza. Lucy zbliżyła usta do jego twarzy. Zanim jednak ich wargi się zetknęły, Jake zmusił się, aby ją odepchnąć.

Lucy otworzyła raptownie oczy.

– Jake?

Błogosławiony gniew przydał mu stanowczości, której teraz najbardziej potrzebował.

– Twierdzisz, że odkupiłem się w twoich oczach. Ale ty nie odkupiłaś się w moich.

Jej wargi ułożyły się w małe różowe okrągłutkie O.

– Nie rozumiesz, prawda? Sądzisz, że skoro powiedziałem ci o sobie coś, czego nie byłeś w stanie znieść, miałaś prawo mnie odepchnąć. Masz rację i słusznie zrobiłaś, odpychając mnie. Teraz jednak uznałaś, że moje ostatnie poczynania przekreśliły tamto morderstwo i że nadaję się znów do kochania. Ale widzisz, Lucy, ja nie chcę takiej kapryśnej miłości. To, co ci opowiedziałem, było historią sprzed dwudziestu pięciu lat, a jednak nie byłeś w stanie tego znieść. Nie byłeś w stanie znieść mnie. Teraz znowu czujesz, że mnie akceptujesz, że sprostąłem twojemu idealistycznemu kodowi i że bilans mojego

pożądania wypada znów dla mnie korzystnie. Co musiałbym uczynić, aby to się zmieniło? Jak bardzo musiałabyś nie pochwalać moich uczynków, aby uznać, że nie jestem godny twojej miłości? Istny kalejdoskop... Nie chcę żyć w ten sposób, nie chcę stać przed wiecznym testem. Nie chcę co rusz wyczekiwać werdyktu. Przykro mi. Nie chcę być z tobą.

Wiedział, że nie mógłby być bardziej brutalny. Nie żałował jednak swojej szczerości. Lucy podniosła się chwiejnie i odeszła. Jake odprowadzał ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za zakrętem, po czym przymknął ze znużeniem oczy.

W dalszym ciągu tam siedział, gdy jakiś czas później pojawiła się Ingrid i zawołała do niego:

– Jake! Wracaj! Karim zauważył statek Zwierzaków!

Cisza jak w opustoszałej katedrze. Jake'owi przez głowę przebiegła myśl, że wolałby zginąć pośród ludzkiego hałasu, nie zaś wśród tej cmentarnej ciszy. Nikt jednak nie śmiał przeszkodzić Karimowi.

Młody fizyk siedział w fotelu pilota, trzymając na kolanach tabliczkę i obce pióro, którym Jake rysował fikcyjną lokalizację biblioteki genetycznej Badyli. Karim wściekle coś notował drobnym niewyraźnym pismem. Co jakieś dwadzieścia sekund podrywał wzrok na ekrany – chyba aby się upewnić, że nic się nie zmieniło. Grzywa ciemnych kręconych włosów rzucała ruchomy cień na jego napiętą twarz. Był nagi, nie licząc szerokiej przepaski biodrowej.

Ręczne wyliczenia. W systemie szóstkowym. W większym stresie, niż mógł sobie wyobrazić Jake, który był ze stresem za pan brat. Jake zerknął na ekrany z pełnego szacunku dystansu, lecz to, co zobaczył, nic mu nie powiedziało. Ot, bazgroły, kreski i sześciokąty przypominające plaster miodu, tyle że w trzech wymiarach. Czy Karim aby na pewno wie, co robi? „Zakładasz wiele rzeczy, Jake” – powiedziała Gail i miała rację. Całkowitą.

– Dobra – rzucił Karim. – Już mam. Jedziemy z tym koksem.

Upuścił tabliczkę i sięgnął po dziwaczną wypustkę na konsoli. Jake spostrzegł, że fizykowi drżą palce.

Jak zawsze panowało wrażenie bezruchu. Jednakże przedział mieszkalny zbliżył się do dysku; zaczęli przyśpieszać.

Jake nie potrafił ocenić, jaki odcinek przelecieli. Trwało to ledwie kilka minut: przyśpieszyli, zwolnili i zatrzymali się. Poznał to nie tylko po tym, że dysk znalazł się w

maksymalnej odległości od nich, ale też dzięki temu, że Karim się rozgadał, aczkolwiek głosem drżącym z napięcia:

– Dobra, jesteśmy na miejscu. Wyłączam napęd. Pounosimy się trochę. Dysk jest wymierzony w punkt, w którym moim zdaniem... na podstawie prędkości i tempa hamowania... Zwierzaki powinny stanąć. Jesteśmy blisko, bardzo blisko. Oczywiście nie mogą nas wyśledzić, dopóki nie wyłączą napędu plazmowego, który wytwarza taką wściekłą masę zjonizowanych gazów.

– Karim.. – odezwał się delikatnie Jake. Nie wiedział, czy lepiej potaknąć fizykowi czy raczej pozwolić mu nawijać.

– Będzie to wyglądało jak jaskrawa kula ciągnąca za sobą purpurowoniebieski wisiorek... – Nagle ton głosu Karima się zmienił. – No i są!

Jake wysilił słabnący z wiekiem wzrok. Tak, byli. Zbliżali się do nich z kraju czarnego dysku: poruszająca się jasność z długim ogonem, bardziej rażąca z każdą chwilą... W końcu zniknęła za krawędzią supermasywnego dysku. Jake'a ogarnęła irracjonalna panika. Jak Karim będzie ich śledził?

Ale oczywiście Karim nie posługiwał się zmysłem wzroku. Dłonie trzymał na dwu dziwnych wypustkach, nie odrywając spojrzenia od ekranów. Kierował się upływem czasu wyrażanym w jednostkach, które sardonicznie określał mianem „futrzaków”, czekając, aż pojawi się symbol wyliczony przez niego jako ten właściwy moment. Dokładny moment, gdy Zwierzaki wyłączą swój napęd i wykryją obecność ludzkiego statku, niegdyś należącego do nich. Nie, tak naprawdę Karim czekał na chwilę tuż przed tym. Albowiem do wtedy powinien już uruchomić statek...

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Jake nie był pewien, czy się nie pomylił. Poczuł, jak ogarnia go mdląca dezorientacja, po czym... Chybili.

Statek Zwierzaków wyłączył napęd. Kilka starannie wyliczonych sekund wcześniej Karim uruchomił maksymalne przyśpieszenie przy ciężeniu niemal stu g. Statek ludzi szarpnął się – dyskiem naprzód – ku przedziałowi mieszkalnemu statku Zwierzaków, który obracał się wokół własnego rdzenia podczas całego hamowania w celu zrównoważenia supermasywnego dysku. Obecnie znajdował się na samym końcu rdzenia, po przeciwnej stronie od dysku. Karim powinien był wrazić swój dysk w przedział mieszkalny przy maksymalnym przyśpieszeniu, zabijając wszystkich na pokładzie. Zanim jednak ich dysk przesłonił iluminator w podłodze, Jake zauważył błysk i... nie doszło do zderzenia.

Chybili.

Ludzki statek w dalszym ciągu przyśpieszał, oddalając się w linii prostej od Zielnika. Czy zdoła umknąć, zanim Zwierzaki wypalą ze swojej broni? Nie, to bez sensu, zasięg broni musiał być większy, w przeciwnym razie okręt wojenny byłby bezużyteczny w czasie walki... Jake przymknął oczy i zaczął się szykować na śmierć.

Ale nic się nie działo.

Karim wydusił z siebie:

– Nie wystrzelili do nas... To znaczy nie wiem, co robi ich broń, ale...

– Gdyby wystrzelili, nie mogliby chybić z tej odległości, prawda? – zapytał Jake.

– Nie wiem!

– Zawróć, zanim wysadzą Mira City! – krzyknęła Gail.

Jake poczuł, że zawracają, jakby ta siła równała się grawitacji. To go uspokoiło.

– Zwolnij – rzucił do Karima. – Spróbuj nawiązać kontakt wzrokowy przez iluminator.

Nie ufał ekranom. Były zbyt obce.

Karim przeleciał nad drugim statkiem, który pozostawał nieruchomy. Ponieważ dalej nic się nie działo, podochocony Jake polecił:

– Zbliź się bardziej.

Przelecieli obok statku Zwierzaków w wolnym tempie i w ogromnej odległości, po czym powtórzyli to samo znacznie bliżej. Jake ponownie poczuł to dziwne, przyprawiające o mdłości uczucie. Strach...

– O mój Boże – powiedział George. – Czuliście?

– Tak! Co to? – zawołała Ingrid.

– Szarpnięcie grawitacyjne spowodowane przez ten drugi supermasywny dysk. Doświadczamy, niech pomyślę, kilkusekundowego bocznego szarpnięcia z siłą czterdziestu procent g...

– Ich statek nie uległ zniszczeniu. Przynajmniej nie wygląda na zniszczony – stwierdził Jake.

– O mój Boże! – wykrzyknął George. – Już rozumiem!

Jake nic nie rozumiał. Poirytowany przez uczucie strachu złapał George'a za ramię – tylko dlatego, że nie śmiał złapać Karima.

– Co? Co się stało?

– Nie chybiliśmy wiele. Au, Jake, puszczaj! Nie chybiliśmy wiele, a chociaż lecieliśmy

z maksymalnym przyśpieszeniem, trwało to tylko kilka sekund. Nasza prędkość nie była wcale duża. Minęliśmy ich przedział mieszkalny. Kiedy był w maksymalnej odległości od ich dysku, za to o wiele bliżej naszego. Grawitacja to fenomen nie liniowy, tylko sferyczny. Zwierzaki w tym drugim statku zostały pociągnięte w stronę naszego dysku z przyśpieszeniem osiemdziesięciu albo nawet dziewięćdziesięciu g. Trwało to tylko sekundę, ale najwyraźniej wystarczyło. Rzuciło nimi o poszycie jak...

– Nie wystrzeliły do nas – wpadł mu w słowo Karim – bo moim zdaniem wszystkie nie żyją.

Minęło parę godzin, zanim ktoś przeszedł na pokład drugiego statku. Koniec końców byli to Jake, Ingrid i o dziwo, doktor Shipley, który powiedział, że jeśli ktoś tam ocalał, lekarz okaże się przydatny. Osobiście Jake uważał, że Shipley zaczął pragnąć śmierci.

Zderzyli się śluzami, przy czym Jake ponownie przyszykował się na śmierć, podejrzewając jakąś sztuczkę. Ale jaką? Rozum podpowiadał mu, jak bardzo jest to nieprawdopodobne, co z tego jednak, skoro ciało nie chciało go słuchać?

Na szczęście obie śluzy, gdy znalazły się w odpowiedniej odległości od siebie, automatycznie zaczęły ku sobie ciężyc, uszczelniły się i otworzyły. Karim nabrał pewności, że gdyby tylko miał wystarczająco dużo czasu, rozpracowałyby na tym statku dosłownie wszystko. Pewny siebie po triumfie, nabrał ochoty podobnej do Shipleyowej w wyrazie, chociaż różniącej się motywacją.

– No dobrze – odezwał się Jake ni w pięć, ni w dziewięć. – Idziemy.

Wkroczył na tymczasowy neutralny grunt. Przelotnie wyobraził sobie, jak to musi wyglądać z przestrzeni kosmicznej: dwie połączone kule pośrodku niesłychanie długiego rdzenia zakończonego po obu stronach czarnym dyskiem. Podwójny koralik z jakiegoś powodu zawieszony między dwoma spodkami.

Drugi statek niczym się nie różnił od ich jednostki. Najwyraźniej Zwierzaki nie uznawały ani udoskonaleń, ani indywidualnych rysów. Jake ruszył korytarzem do centralnego pomieszczenia, które na statku Zwierzaków było mostkiem, a na statku Badyli ogromną cieplarnią.

Konsola, fotel pilota i iluminator – wszystko było takie samo. Przez jeden iluminator Jake widział dysk znajdujący się w maksymalnej odległości od przedziału mieszkalnego. Naprzeciwległy iluminator przesłaniało rozmazane futro i gęsta brązowa ciecz. Ciała

leżały na podłodze. Przelotnie plasnęły o poszycie, po czym grawitacja wróciła do normy, gdy ludzki statek przeleciał.

Shipley natychmiast zaczął się rozglądać za jakimiś Zwierzakami, dla których pęknięcie narządów wewnętrznych – jakiegokolwiek by były – nie okazało się śmiertelne. Jake nie mógł na to patrzeć. Zamiast więc zostać na miejscu, udał się na eksplorację krótkich korytarzy. Wszystkie prowadziły do takich samych pomieszczeń, jakie widział już wcześniej. Pokój łączności, dok wahadłowców, bryg i jeszcze kilka innych, których przeznaczenia nawet się nie domyślał. Aczkolwiek Zwierzaki musiały też gdzieś spać, prawda?

A może nie potrzebowały snu? Nie miał pojęcia.

– Żaden Zwierzak nie przeżył – zameldował doktor Shipley po jego powrocie. Wszyscy, Shipley, Ingrid i George, spojrzeli na niego wyczekująco. Czekali, jak sobie uświadomił, na jego następne rozkazy.

– Zniszczymy nadajnik kwantowy znajdujący się na pokładzie – rzekł. – Dzięki temu będziemy mogli korzystać z tego statku bez ryzyka, że Zwierzaki wytropią nas w przestrzeni. Potem zniszczymy nadajnik krążący na orbicie.

Zobaczył, że Ingrid otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale najwyraźniej poszła po rozum do głowy i zmilczała.

– Następnie – dodał Jake – rozpracujemy, jak odpalić te wahadłowce, i wrócimy do domu.

Oczywiście nie było to takie proste.

Gdy Jake wrócił na własny statek, pozostawiając obie jednostki szczipione, zastał Karima w doku wahadłowców.

– Badyłe nauczyły mnie najważniejszych rzeczy – powiedział fizyk – ale nie miały czasu wdawać się w istotne szczegóły. Na przykład, jak się otwiera drzwi wahadłowców. Zresztą gdybym wleciał w atmosferę Zielenika, nie bardzo wiedząc, co robię...

– Skończyłbyś gorzej niż Zwierzaki na mostku – dokończył za niego Jake. – Nie śpiesz się, Karim. Właściwie zrób sobie przerwę. Wyglądasz na bardziej napiętego niż kabel windy kosmicznej.

– Ale ja...

– To rozkaz – oznajmił Jake, w dalszym ciągu nieco zdziwiony swoją zdolnością do

wydawania rozkazów niczym oficer, a także tym, że inni ich słuchają.

– Dobrze – zgodził się Karim. – Jake, chciałbym nazwać ten statek, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Nazwać? Proszę bardzo. Z całą pewnością sobie na to zasłużyłeś. Jak zatem go nazwiesz? *Karim S. Mahjoub*?

– Nie. *Franz Mueller*.

Jake poczuł się tak, jakby oberwał. Karim dodał pośpiesznie:

– Wiem, że pod koniec próbowałem cię zabić. Ale przedtem, nie zapominaj, zabił porucznika Halberga, który usmażył Badyła. Uznał, że to właściwe. Nie miał nic wspólnego z atakiem paranoi u przekładańców. No, może trochę miał... Wcześniej jednak spędziliśmy razem sporo czasu w Mira City, nauczył mnie latać skimmerem i wahadłowcem i z tego, co wiem, zawsze postępował zgodnie z interesem ludzi...

– W porządku – przerwał mu Jake, słysząc wzruszenie we własnym głosie. – Ten statek nosi nazwę *Franz Mueller*. A ten drugi to *Beta*.

Grupa ochotników oczyściła *Betę*, wyrzucając ciała Zwierzaków w przestrzeń kosmiczną. Zanim pokład został wyczyszczony i zanim Karim odkrył, jak sprowadzić wahadłowiec na dół, Jake opracował plan. Najpierw przedstawił go fizykowi, na którego bardzo liczył.

– Nie jestem zdziwiony, Jake – powiedział Karim. – To samo sobie pomyślałem. Właściwie nie widzę innego rozwiązania.

– Jeśli zdołasz namówić kogoś, żeby poleciał z tobą na ochotnika... Chociaż może to nie w porządku wymagać, aby ktoś jeszcze ryzykował.

– Już mam ochotnika.

– Naprawdę? – zdziwił się Jake. – Kogo?

– Lucy. – Karim się zaczerwienił. – Ona... my... Lucy chce ze mną polecieć.

Jake zamarł, zastanawiając się, co czuje. Ot, zdawkowy żal, nic więcej. Lucy, idealistka i wielbicielka bohaterów, oczywiście przyssała się teraz do Karima. Do człowieka, który ocalił Mira City.

– Dobrze, weź Lucy – powiedział. – Wcześniej jednak naucz mnie, George'a i Ingrid, jak się tym lata. Potem zabierz jeden wahadłowiec na dół, aby się upewnić, że wiesz, co robisz. Później przewieziesz na Zielnik resztę oprócz mnie.

– To trochę potrwa – uprzedził Karim. – Mamy dość czasu, zanim pojawią się tu

następne Zwierzaki?

– Nie wiem. Tak czy owak musimy to zrobić.

– Dlaczego chcesz zostać sam na pokładzie?

– Przeszkolę żołnierzy, których mi tutaj przywieziesz. Nie zapominaj, że jesteśmy w stanie wojny z całym imperium Zwierzaków.

– Ale przecież staną się bierne i szczęśliwe za sprawą wirusa Badyli!

– Kiedy? – zapytał trzeźwo Jake. – Nie wiemy, gdzie leży ich planeta ani jak jest do niej daleko. Nie wiemy, ile mają kolonii i statków w przestrzeni. Zainfekowanie wszystkich Zwierzaków może zająć pokolenia. Na razie prowadzimy wojnę.

– Ze Zwierzakami?!

Karim oczywiście miał prawo czuć się wstrząśnięty. Technologia Obcych tak bardzo przewyższała żalosne dokonania ludzi, że nie mogło być mowy o rywalizacji. Ludzie mieli jedną jedyną przewagę: czas, który przy dylatacji relatywistycznej był niepewnym sojusznikiem.

– Zbyt pochłonęły cię problemy techniczne, abyś miał możliwość się nad tym zastanowić – rzekł wyrozumiale Jake. – To naturalne. Niemniej tak, prowadzimy wojnę ze Zwierzakami.

Karim nie ruszał się przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział:

– Sprowadź Ingrid i George’a. Nie jestem taki zmęczony. Możemy rozpocząć lekcje natychmiast.

Jake skinął głową.

– *Si vis pacem, para bellum.*

Karim zrobił głupią minę. Jake nie był zdziwiony. Nikt już nie uczył się na pamięć łacińskich sentencji w wolnym czasie. Jedynym znanym Jake’owi człowiekiem, który potrafiłby przetłumaczyć to zdanie, był doktor Shipley. I na pewno by się z nim nie zgodził.

– To znaczy: „Jeśli chcesz pokoju, przygotuj się do wojny”. To co? Pokażesz mi, jak się pilotuje ten statek?

Razem opuścili dok, aby udać się na mostek, zmierzając ku temu, co czekało na nich później.

Epilog:

Trzy miesiące lub jedenaście lat później

Jake stał obok Gail i Fajsala bin Sauda na obrzeżach Mira Parku skąpanego w perłowym świetle poranka. Park ten, położony na obrzeżach Mira City, porastała bujna mieszanka miejscowego poszycia i ziemskiej trawy. Modyfikowane genetycznie kwiaty wznosiły główki na starannie wytyczonych grządkach. Z boku rosła kępa rodzimych smukłych drzew, które rzucały cień na zgrabne otwarte pawilony. Ławki, ścieżki, plac zabaw dla dzieci. W jedenaście lat można wiele wybudować.

Jak to możliwe, zastanawiał się Jake, że nikt z nich, nawet Karim, nie wziął pod uwagę kwestii dylatacji czasu? Dla dziewięciorga porwanych ludzi ich przerażająca odyseja trwała kilka miesięcy. Na Zielniku upłynęło jedenaście lat. Jake nie miał pojęcia, jak daleko w kosmos zabrały ich najpierw Badyle, a potem Zwierzaki, jednakże musiało to być dalej, niż śmiał sobie wyobrazić.

– Widzisz je już? – zapytała Gail, ocieniając oczy dłonią.

– Nie – odparł Fajsal.

Po zniknięciu Jake'a i Gail to on został głównym zarządcą Mira City. Tak to wyglądało z punktu widzenia mieszkańców miasta: dotychczasowi zarządcy zwyczajnie zniknęli, i to na dobre. Na stanowisko został wybrany Fajsal, aczkolwiek Jake podejrzewał, że „głosowanie” obejmowało coś więcej niż „jeden człowiek, jeden głos”. Udziały Jake'a i Gail w Korporacji Mira trafiły do ich spadkobierców. Przywrócenie ich obojgu po „zmartwychwstaniu” wiązało się z paroma nieprzyjemnymi incydentami. Udziały Gail zostały przejęte przez jej swarliwych krewnych, Jake'a natomiast przez fundację charytatywną.

Jake odzyskał swoje udziały i prawo głosu, jednakże nie przywrócono go na stanowisko prezesa. Mira City przestało być korporacją i zaczęło się rządzić prawami miasta-państwa.

Nie przeszkadzało mu to. Miał ważniejsze sprawy na głowie, a zresztą nosił teraz inny

tytuł.

– Czekajcie... Są! – krzyknęła Gail. – Tam, na horyzoncie!

Jake zmrużył oczy. Tak, na horyzoncie pojawiły się jakieś kropki. Powoli przeistaczały się w karawanę ludzi i zwierząt. Czejenowie Larry’ego Smitha przybywali, aby się oficjalnie dowiedzieć, jak i czemu ludzie znaleźli się w stanie wojny z rasą Obcych żyjących nie wiedzieć ile lat świetlnych od Zielnika. Przed prawie trzema miesiącami przedstawicielka Mira City wybrała się łazikiem na subkontynent Czejenów, aby ich o tym poinformować, jednakże Larry Smith odmówił udania się z nią z powrotem do miasta. Oświadczył, że reprezentanci Czejenów przyjadą w swoim czasie.

– Co to za zwierzęta ciągną travois? – zapytała Gail.

– Czejeni nazywają je „słoniami”, aczkolwiek nasi naukowcy mają dla nich inną nazwę – odparł Fajsal. – Są bardzo powolne i łagodne, ale niestety roztaczają straszny odór.

– Czejenom to nie przeszkadza?

– Najwyraźniej nie – powiedział Fajsal.

Wyglądał na starszego o jedenaście lat, lecz jego wspaniałe maniery nie zmieniły się ani na jotę, za co Jake był wdzięczny w ostatnich trudnych miesiącach. Koloniści opuścili Ziemię, aby rozpocząć nowe, bardziej pokojowe życie. Niełatwo ich było zmobilizować do wojny.

Przyglądał się, jak „słonie” się zbliżają, ciągnąc travois załadowane tipi i przeróżnym sprzętem. Zwierzęta właściwie wcale nie przypominały słoni, jeśli nie liczyć ich ciężkiego kroku. Były pociągłe, smukłe i krótkonogie, z małymi łbami i ostro zakończonymi grzebieniami grzbietowymi. Gdy wiatr zmienił kierunek, Jake’a doleciał ich zapach – był tak odrażający, że musiał zatkać nos.

Na szczęście Czejenowie pozostawili słonie razem z większością ludzi dobre kilkaset jardów od Mira Parku. Co młodszy zaczęli rozładowywać travois i rozbijać obóz. Delegacja Czejenów ruszyła w stronę komitetu powitalnego Mira City.

Przyszli czterej mężczyźni i dwie kobiety, wszyscy ubrani tak cudacznie, że Jake aż zamrugał. Spodnie i buty mieli ze zwierzęcej skóry, krótkie tuniki zaś najwyraźniej z tkaniny z włókien purpurowego poszycia. Tak, na pewno było to poszycie potraktowane czymś, dzięki czemu stało się elastyczne i wytrzymałe. Tuniki były ozdobione jaskrawymi koralikami, piórkami i muszelkami. W promieniach słońca lśniły naszyjniki i podobne ozdoby we włosach. Każdy Czejen miał na lewym policzku tatuaż. Jake nie potrafił

stwierdzić, czy tatuaże są permanentne czy naniesione za pomocą zmywalnej farby roślinnej. W każdym razie przedstawiały gwiazdy, księżycy i kwiaty.

– Witajcie w Mira City – odezwał się formalnie Fajsal. – Nazywam się Fajsal bin Saud i jestem głównym zarządcą. To moi doradcy, Gail Cutler i Jake Holman.

– Pamiętam was – powiedział młody mężczyzna. – Jestem Śpiewająca Góra.

– Gdzie Larry Smith? – wypaliła Gail i zaraz się poprawiła. – To znaczy Błękitna Woda?

– Mój ojciec odszedł do świata duchów przed dwoma miesiącami – rzekł Śpiewająca Góra. – Odśpiewaliśmy mu pieśń śmierci.

Pieśń śmierci. Jake zniechęca przypominał sobie o Becie i innych Badyłach.

– Przykro mi z tego powodu – powiedział Fajsal. – Twój ojciec był fascynującym człowiekiem.

– Dziękuję – odrzekł Śpiewająca Góra, podczas gdy Jake usiłował sobie bezskutecznie przypomnieć prawdziwe imię syna Larry’ego Smitha. – Nie smuć się jednak. Mój ojciec połączył się z ziemią, której przepych i dary podtrzymują życie.

Cóż, nie do końca. „Ziemia” nie była właściwą nazwą na Zielniku, aczkolwiek Jake przypuszczał, że „połączył się z glebą” nie brzmiałoby równie patetycznie.

– Mamy wam wiele do opowiedzenia, Śpiewająca Góro – podjął Fajsal. – W Mira City doszło do wypadków, które mogą mieć też wpływ na Czejenów.

– Tak twierdziła Nan Frayne. Jeśli to wszystko prawda, będzie konieczna współpraca między naszymi ludami.

– Miło słyszeć, że jesteście chętni do współpracy.

– Dzielimy obfitość i moc tej planety – rzekł łagodnie młody człowiek. – W razie potrzeby będziemy jej bronić.

Włóczykami i łukami? Jake nie widział innej broni u Czejenów. Nie zamierzał jednak wyciągać pochopnych wniosków. Jak widział, Czejenom udało się dokonać tego co zapowiadał Larry Smith: rozpoczęli na Zielniku harmonijne życie, rezygnując z nowoczesnej technologii, która tylko przeszkadza w kontaktach z tajemniczą pełnią będącą zarodkiem wszelkiej egzystencji. Bardzo możliwe, że ta ich samowystarczalność bardzo się przyda w nadchodzących latach.

Problem polegał na tym, że nikt nie miał pojęcia, co ich czeka. Zwierzaki równie dobrze mogły nigdy nie zaatakować. Mogły uznać ludzi za zbyt nieznaczących, aby sobie nimi zawracać głowę. Aczkolwiek Jake w to nie wierzył; Zwierzaki, inna forma życia oparta na

DNA, potrafiły rozpoznać niebezpieczny gatunek, gdy się na niego natknęły. Nawet gdy jeszcze był w powijakach.

Mogły też powstrzymać się od ataku z tego powodu, że infekcja zapoczątkowana przez Badyłe uczyniła je szczęśliwymi i biernymi. Nie dało się wykluczyć, że wszystkie Zwierzaki teraz marzą w słońcu i dzielą milczenie. W chwili gdy Jake o tym myślał, Karim i Lucy, dla których od zarażenia pierwszych Zwierzaków minęło tylko kilka dni, mknęli przez Galaktykę na pokładzie *Franza Muellera*, kierując się ku planecie z kolonią Badyli. Nieopodal niej wystrzelą zarażone Zwierzaki w przestrzeń kosmiczną na pokładzie wahadłowca razem z małym nadajnikiem pierwotnie zaprogramowanym przez ludzi i przeprogramowanym przez Zwierzaki. Nadajnik będzie rozgłaszał ich lokalizację, inne Zwierzaki z pewnością wychwycą sygnał, przejmą wahadłowiec i zarażą się. Jednakże przy dylatacji relatywistycznej nastąpi to za całe lata albo nawet za dekady, licząc w skali Zielnika. Zatem ludzie mieli czas, aby przygotować się do wojny, która ich czekała lub nie.

Przygotowania już się rozpoczęły. Fizycy, inżynierowie, wojskowi z nowo uformowanej armii – wszyscy kolejno rozpracowali broń znajdującą się na pokładzie *Bety* i obecnie byli już w stanie jej użyć. Statek znajdował się na wysokiej orbicie Zielnika, w pełni obsadzony. Bezzałogowe czujniki krążyły jeszcze dalej, gotowe wychwycić wszystko, co by się zbliżało do planety. Na powierzchni cywile odbywali ćwiczenia ewakuacyjne. Gdyby Mira City zagroził atak z powietrza, ofiar nie byłoby wiele. Ludzie mieli przykazane rozprzecznić się, ukryć, przenieść w inne miejsce. Wróg, który by przyleciał pojedynczym statkiem, nieważne jak zaawansowanym technologicznie, nie zdołałby unicestwić całej planety.

Prawda?

To znaczy zdołałby, gdyby dysponował bronią biologiczną. Ona jednak była dostępna Badyłom, nie Zwierzakom. A Zwierzaki miały tylko zwykły sprzęt, niezdolny wybić wszystkich. Dowodem na to była kolonia dzikich Zwierzaków założona przez Badyłe na Zielniku. Na przestrzeni lat zauważono ich kilka. Zwierzaki, które przyleciały statkiem kosmicznym, nie zdołały ich wybić, a same nie wymarły do szczętu. I w dalszym ciągu uważały, że są na wojennej ścieżce z Czejenami.

Tyle wrogości... Komunikacja z Ziemią zamarła, toteż Jake nie wiedział, czy obiecana ekspedycja naukowców została w ogóle wysłana na Zielnik. Tak czy owak jeszcze długo się nie pojawi. Od czasu do czasu martwiło Jake'a, że tak mało myśli poświęca Ziemi.

Ustały nawet jego koszmary rozgrywające się w bibliotece pani Dalton. A jednak... o Ziemi nie dało się całkiem zapomnieć. Nawet jeśli szalała na niej jakaś straszliwa wojna albo wielkie wymieranie, ludzie mogli się odrodzić, podobnie jak odrodzili się Czejenowie Larry'ego Smitha.

Tymczasem Fajsal mówił do Śpiewającej Góry i jego delegacji:

– ...ze mną. W parku rozbiliśmy namiot z poczęstunkiem. Tam porozmawiamy.

Ten namiot był pomysłem Gail. Pomimo raportu przedstawicielki Mira City nikt nie wiedział, czego się spodziewać po Czejenach – Nan zbyt krótko z nimi przebywała. Namiot na obrzeżach miasta wydawał się roztropniejszym rozwiązaniem niż przyjęcie w sercu Mira City.

– Nan jest na miejscu? – zwrócił się Jake półgłosem do Gail.

– Nie. Wybrała się na poszukiwanie Zwierzaków.

Jake'owi ulżyło. Nan w dalszym ciągu była nieprzewidywalna jak żywioły; objęła funkcję porucznika w nowo utworzonej armii, lecz została oddelegowana do „zadań specjalnych”. Ilekroć przebywała w mieście, zatrzymywała się u Gail, która chyba pogodziła się z sytuacją. Nan nigdy nie widywała się z ojcem. Ta myśl sprawiła, że Jake przypomniał sobie o porannej rozmowie.

– Gail... – szepnął, gdy śladem Fajsała i Czejenów szli przez park. – Dziś rano przyszedł do mnie doktor Shipley z oficjalną prośbą.

– Jaką? – Gail wpatrywała się z fascynacją w koraliki na tunice Czejenki, która szła kilka kroków przed nią.

– Chce udać się z misją do pierwszej grupy Obcych, która pojawi się na Zielniku. Czy to będą Badyle, czy Zwierzaki.

Gail zatrzymała się jak wryta na ścieżce obrzeżonej rabatkami.

– Czy to będą Badyle, czy Zwierzaki? – powtórzyła pytającym tonem.

– Tak się wyraził.

Gail potrząsnęła głową.

– Zawsze wiedziałam, że ten staruszek jest szalony.

Jake nie był już tego taki pewien. Zbliżenie się Czejenów do natury bez niszczenia jej piękna i dobrodziejstw, „marzenie w słońcu” Badyli, nacisk kładziony przez Nowych Kwaków na prostotę, prawdę i pokój – czy te trzy rzeczy tak naprawdę czymś się od siebie różniły? I czy tak naprawdę były w czymkolwiek gorsze od tego, do czego najpierw

Ziemię, potem Mira City doprowadziła „zaawansowana” technologia?

Jake nie znał odpowiedzi na to pytanie. Zresztą nie ono zaprzętało jego uwagę. Stał przed problemem, jak utrzymać przy życiu ludzi na Zielniku. Obecnie nosił inny tytuł. Przeszedł drogę od prawnika przez mordercę, przedsiębiorcę na skalę kosmiczną, prezesa korporacji aż do głównodowodzącego Tymczasową Armią Zielnika. Był odkrywany raz po raz niczym proch strzelniczy.

Zresztą może na dłuższą metę właśnie ta zdolność do adaptacji ocali ludzkość. Przed wszystkim, co na nią czyha w kosmosie.

– Pośpiesz się, Jake, zostaliśmy w tyle – rzekła Gail. – Muszę się upewnić, że w namiocie jest wszystko, co potrzebne do spotkania.

Gail Cutler, główny kwatermistrz Tymczasowej Armii Zielnika, przyśpieszyła kroku. Jake się zawahał. Ponad strzelistymi purpurowymi drzewami niebo było jasne i czyste, pozbawione chmur, a nawet tarczy księżycy często wiszącej nad horyzontem o poranku. Całkowicie puste. Mimo to spojrzał na nie, mrużąc oczy przed światłem i zastanawiając się, co przyleci z ciemnej pustki i rozedrze dobrotliwy nieboskłon.

Si vis pacem, para bellum.

Postara się, aby Zielnik był gotowy do obrony.

W przygotowaniu
kontynuacja
Ognia krzyżowego



Ogień krzyżowy

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

PODZIĘKOWANIA

Dedykacja

PROLOG

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

Epilog: Trzy miesiące lub jednaście lat później

W przygotowaniu

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Crossfire*

Copyright © 2003 by Nancy Kress *All rights reserved*

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Bożena Sęk

Projekt, opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce: Tomasz Maroński Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Ogień krzyżowy*, wyd. I, Poznań 2017) ISBN 978-83-8062-789-5

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl